**Lwowska Narodowa Naukowa Biblioteka Ukrainy imienia W. Stefanyka**

NAUKOWY DZIAŁ CZASOPISM IM. MARJANA I IWANNY KOCIW

**Gi 719**

# PO PRACY:

bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej”

**1911** nr 1-51

**KATOWICE**

Gi. 719
Gi. 719.

Po pracy
1911

Nr. 1. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 7 stycznia 1911.

Crataegus.

## Wiara a Wiedza.

Bajka.

Że „chłopski rozum“ nieraz wielkiego dokaże:
Niniejszy przykład pokaże.
Był chłop, który kłonicą pobił ekonoma —
A wiarą swą... astronoma.

Raz wyszedł z domu —
(A była to noc księżycowa) —
Więc do Boga modły wznosi,
O coś błaga, o coś prosi,
I modli się w takie słowa:
„O, Panie! Któż mnie usłysy
Jak nie Ten, który jest świadom:
Jako mała trawka dysy,
I dlacego zgrzysył Jadom!
Kto wie, o cem myśli ryba,
Gdy czerwia w wodzie przydyba!
Jakie są ucucia drzewa,
Gdy kto je wodą podlewa;
Który, kiedy słońce zgaśnie,
Zanim cłek pod piecem zaśnie,
A matka dziecka utuli
I do snu rozpowie baśnie —
Na niebo miesiącek wyśle,
W postaci ognistej kuli,
Abyśma wiedzieli, culi —
Że Bóg cięgiem o nas myśli
A jest to ta kula ze stali
Większa jak nasa obora
(Jak mówił zakrystjan wcora)
I cięgiem, ciegiem się pali...
A gdybyśmy wyparli się Chrysta,
I uznali Antychrysta —
Na głowy nase się zwali!“

Takie chłop modły zanosi,
Takie confiteor wznosi...

Aliści tuż obok w parku
Niedaleko od folwarku,
Co na pagórku widnieje —
Astronom aleją kroczy
I z chłopskich modłów się śmieje.
Chociaż heretyk — przechera —
Cięgiem na niebo spoziera,
Z podziwu prawie zamiera
Ta heretycka — psiewiera —
Za parkiem ma swe pawilony,
W nich stoją te teleskopy,
Których tak boją się chłopy!
Mówią, że z djabłem wciąż gada
Że djabelskie „śtuki“ bada,
A to ci „fizyk“ nielada!
Nikomu krzywdy nie czyni,
Nikogo nigdy nie wini,
Kraść nawet drzewo pozwala,
(Miałby na trumnę Obala*)
Łagodny ci to dobrodziej,
A więc do chłopa podchodzi
I rzecze:

„Człowiecze!
Niechaj cię wiedza oświeci!
Dla dobra swych własnych dzieci —
Bajd różnych powymieć śmieci!
Czy wiesz co to są planety?
Czy wiesz, co są teleskopy,
Przez które widzę ich kopy?
Czy wiesz, że przez obserwację —
Gwiazd zobaczysz konstelację!
Nie wiesz? Ach, jakże cię, człeku, żałuję!
Bardzo ci, bardzo współczuję!
Ale że ludność miłuję —
Więc oto cię uratuję...
Pójdź ze mną na obserwację,
Księżyca ujrzysz mutację“.

To mówiąc, w pawilony wchodzi,
Człeka pod teleskop stawia,
Coś kręci, coś poprawia,
Coś mruczy a coś zawodzi,
(Pewnikiem gusła odprawia...)
Skończył. A gdy szkło przeciera,
Chłopu gęba się rozwiera,
I oczu gały wyłażą...
Od włosów jeży się głowa,
Chce coś rzec, lecz jest niemowa
Drży więc jako liść osiny,
Jakieś małpie stroi miny,
Na gębie się raz wraz mieni,
To blednie, to się czerwieni.

*) Patrz Żeromskiego nowelę o chłopie, co kradł drzewo na trumnę.

126931

Львівська Бібліотека АН УРСР

ad 126/931

Tu mu astronom przerywa:
„Patrz człeku, jakaś ty duda!
Widziałżeś ty takie cuda?
Wiesz teraz, co są te plamy,
Które na księżycu mamy?
Wiesz teraz, co są planety?“

Jęknie chłop na to: „O, rety!“
I nie dawszy odpowiedzi,
Na astronoma się boczy,
Splunął, wdział czapę na oczy —
I ruszył wprost... do spowiedzi.

A. S.

# Ze służby na służbę.

Ciężki był dzień zimowy.

Mroźny wiatr silno dął z północy, zawijał skrzydłami o przysiołki, drzewa i lasy, targał się o strzechy, błądził zaułkami, poświstywał w polu i hukał po borach. Od czasu do czasu wiatr ustawał, poszum lasów nacichał i następowało pewne uspokojenie, ale tylko po to, by następnie ryknął wicher, zaśmigał płotami rwał chmurą śnieg sypki.

Niebo zakrywały ołowiane chmury, a dalszy widnokrąg opasywała sina taśma mgły, która z wzrastającym wiatrem ciągle się zacieśniała.

Na ziemi nigdzie najmniejszego śladu ścieżynki, lub drogi. Miejscami wiatr wyorał w śniegu długie bruzdy, gdzieindziej bezlitośnie zdrapał z ziemi białą osłonę, którą dalej ułożył. Kędy jeno maleńki krzaczek rósł, tam wiatr sypał wał śnieżny sporemi garściami. Jedynie poszarpane łożysko rzeki wiło się niezwyciężone, znaczne wśród morza bieli, biorąc gdzieś w widnokresowej mgle początek i ginąc w niej z przeciwnej strony. Obok rzeki w niejakiej odległości biegło szerokie dosyćwgłębienie drogi, śniegiem nie zasypane jeszcze w zupełności. Gdzieniegdzie widniały koło niej smutne łodygi drzew, na których gołych konarach wiatr rozpaczliwie zawodzi, a hen, w dali, na wzgórku, czernił się jakiś przedmiot — krzyż.

Wokoł zaś, jak daleko wzrokiem sięgnąć było można, żadnego śladu ludzkiej osady, tylko bory wielkie odziewały góry daleko, szeroko; i jak daleko słuch niósł, nic słychać nie było, prócz ujadań wiatru, skrzypu borów i tysiącznych jego odgłosów.

Dzień już widocznie miał się ku schyłkowi Zmierzch popołudniowy kładł się chwiejny, to tu, to tam.

Drożyną koło rzeki brnęła w zaspach zdala jakaś dziewczyna. Mimo uciążliwej drogi, wiatr widocznie nie zbyt dawał się jej we znaki, bo twarz jej rumieniła się częścią ze zmęczenia, częścią z gorąca. Szła bowiem z wiatrem. Okryta ciepło i grubo, choć nader ubogo, niosła na ręku węzełek.

— Żeby han na kępke, potem pujdzie sie już dobrze. Godzina lasu i już dziedzina, tam bedzie mi lepi — szepnęła, drżąco przy ostatnich słowach.

I przyśpieszyła kroku. Nie było to jednak rzeczą łatwą dostać się na wzgórek. U stóp jego narobił wiatr tyle zamiętów i nasypów śniegu, że dobicie celu kosztowało dziewczynę sporo czasu i wiele ciężkich upadków. Wiatr do tego zrywał się coraz większy.

Na pagórku stał krzyż stary, opierając się jeszcze krzepko wichurom i zawiejom. Kto wystawił go na odludziu, nikt nie pytał nikt nie badał. Stał, bo stał i czy to uroczą wiosną, skwarnem latem, czy smętną jesienią, lub groźną zimą, zawsze jednako w świat wyciągał ramiona.

Do niego podeszło dziewczę, słabe, zmęczone i rzuciło się do jego stóp, zasłaniając się nim przed wiatrem. Nie dbała dziewczyna, że noc zbliża się szybkim krokiem; umysłem jej zawładnęła nieopanowana żądza spoczynku. Nic dziwnego, wszak szła ciągle, z małymi tylko wypoczynkami od samego rana.

Naraz poczuła dokuczliwy głód. Zgrabiałemi rękoma otwarła węzełek z wielkim kłopotem, odszukała resztki spleśniałego chleba i skostniałą gębą poczęła zmarznięty chleb łapczywie chrupać.

Widocznie jednak chleb ten obudził w niej pamięć złych czasów, bo nagle poczęła łkać.

— Chlebiczku mój, chlebiczku, jakiś ty procny. Od rana do wieczora trza było harować pore roków — a potem marsz, idź, gdzie chcesz, nie pokazuj się więcej na oczy. Och, panie Jezusku, czy już taki to ludzki żywobyci? Dyćeś przeca za nas wszeckich doł sie zabić, a kanyż na świecie równość i sprawiedliwość? Czemuś też nie umrzył za nas biednych? Wygnali mie ze słóżby w tęgi zimie, a jo niewinno... Tłóc sie trza po świecie, jako wiecznemu żydowi, a wszędzi wyśmieją, wykopią. — Moje aniołeczki, ale lepi mi będzie na przyszłej słóżbie — i ukoiła się powoli. Bo i wiatr wzmagał się coraz butniejszy i począł mroźnym oddechem doskwierać nie na żarty.

Tymczasem zaczęło zmierzchać się na dobrze, jednak zmierzchu nie zauważyła dziewczyna skulona pod krzyżem. Sen bowiem ogarniał ją coraz natarczywiej. Początkowo broniła mu się świadomie i całą siłą, ale on przymilał się jej jako ten Jura, syn gazdów wtedy na sianie, z powodu czego wyprano ją ze służby, przyciskał się do niej, ogrzewał ją, znieczulał, że było jej tak dobrze, tak błogo, tak niebiańsko... Do tego uciekła się pod krzyż, a pod nim nic jej się nie stanie, o nie, ona ufa.

Sen zbierał ją coraz większy, przywodząc jej różne rozkoszne marzenia.

...Jura idzie!... Jednak nie zapomniał, jak myślała. Bo gdy wygnano ją z domu, on, winowajca, ukrył się gdzieś, miast stanąć w obronie uwiedzionej. Nie jest on taki zły, jak myślała. On przecież najlepszy w świecie. On jeden o niej pamięta, bo Jezus nie przyszedł na świat do ubogich. Przeprasza go z całej duszy, woła go do siebie i rwie się do niego. — Tak, przyszedł za nią, bo Jewka zaś nie tako szumno.

Jura kręcił się zdala czegoś po polu, to podchodził, to oddalał się, to do niej ręce wyciągał o ratunek, to śmiał się, lub groził jej straszliwie. Taki był dziwny, jak nigdy dotychczas. Przedtem to powiedział ostro: już móm cie dość, a teraz wyprawia takie dziwactwa.

Od czasu do czasu zdawało się jej, że dłoń jego gorącą czuje na swoich włosach i pocałunek ciepły na czole i że słyszy namiętny głos jego: Kaśko, Kasieczko! Gdy jednak chciała nim się nacieszyć, brakło go jakoś.

Naraz ujrzała się, rozkosznie przestraszona, gdzieś za borami i lasami, na rozległej łące. Jak cudnie tam! Ona pasie krowy, śpiewa, a odgłos tysiącznie jej wtórzy. Jurek kosi na polanie wyskają se do siebie, aż on wytrzymać nie może i idzie do niej. A ona śmieje się, niby to ucieka, niby woła o pomoc, on zaś tuż, tuż za nią zręczny i gibki.

Idą razem, krowy tak dobrze się pasą, słoneczko świeci, świat rozweselony, bo tak dobrze i cieplutko. Jurek chcę pójść na polanę, gdzie roją się kopice siana, ona się broni, bo przypomina jej się siano inne... Dążą więc do Jaruchowej skały. Stamtąd zbój Jaruch rzucił się przed pościgiem na dół. Jurek straszy, że oboje tam się rzucą, że straci ją samą w przepaść, a on sam zostanie.

Sama nie pujdę, ty też musisz!

Naraz czuje, że traci grunt pod nogami że fruwa w powietrzu, leci, spada... Chce krzyczeć, nie może. O, lżej na sercu, bo Jurek też z nią. Jak to dobrze, że razem lecą bo im dwom razem nic złego się nie stanie — Jakaś chmura przysłoniła jej radość. Właściwie Jury niema... Gdzie on? Jest... Niema go... Jurku, Jurku, jak mi dobrze, żeś przy mnie... Niema cię?... Pój... lecimy, idę z tobą na słóżbe. Tyś dobry, jo źle myślała, daruj złotko. Widzisz, jak nóm dobrze wroz, ani w niebie nie bedzie nom lepi, Jezus mi strzeże, nic mi sie złego nie stanie... Idę lepszą słóżbę, tam bedę sie miała lepi a ty zemną... Lecą długo, długo..., a są w jednem miejscu... tak dobrze, błogo, niebiańsko Kaśce, że lepiej już nie pójdzie na tę dobrą służbę... —

Wśród tego zmierzch pełny omotał ziemię. Z nadchodzącym mrokiem wstawał wichr, zrywała się burza, szalał orkan. Zawieja szła większa od szalejącej przy wisielcu. Wichr rwał śnieg całemi masami i zarzucał go daleko, wściekły orkan huśtał lasami, grzmiał w borach, zrywając stuletnie drzewa.

Wzgórze zupełnie odrapane ze śniegu czerniało nagością ziemi. Tylko pochylony latami krzyż opierał się naporowi i osłaniał sobą cudnie marzącą Kaśkę, nieczułą zupełnie na marny świat. Stał jak zwycięzca pośród rumowiska i nagości ziemi.

Nagle powstał wśod głuchego grzmotu ziemi rozszalały wicher i potężnem ramieniem obalił krzyż...

Gdy w późnej nocy uspokoiło się trochę na świecie, rozległo się gdzieś krakanie krucze...

# Czy księdza wolno krytykować?

Zbrodnia jasnogóska, dzięki swej niesłychanej potworności, zdarła z oczu ludu całun, którym od wieków przysłaniano wzrok mas ludowych, starając się gorliwie, aby one nic nie widziały, a tylko słuchały kłamliwych słów i opowieści klerykalnych morderców i oszustów. Zawrzało wśród ludu, zakotłowało w pismach, które w sposób od dawna niebywały głośno i nie dwuznacznie objawiły swój wstręt i swe głębokie obrzydzenie przeciwko klerykalnej szajce morderców i zbrodniarzy! I poczęto rozważać i badać stosunki kleru do społeczeństwa, a jedno z pism, które w tej sprawie pomieściło artykuł doskonały, jest „Zaranie“ pismo ludowe doskonale redagowane, w królestwie wychodzące. Podajemy tu wyjątki z „Zarania“.

„Zaranie“ (Nr 44 st. 888) pod wrażeniem zbrodni jasnogórskich takie stawia postulaty:

1) Zerwać należy stanowczo i bezwzględnie ze zgubną i nierozsądną zasadą, która głosi, że księży krytykować nie wolno — że oczy zamykać trzeba na wszystko, co oni czynią, choćby źle czynili — że ksiądz nieodpowiedzialnym jest wobec społeczeństwa.

Ksiądz jest dla społeczeństwa, nie społeczeństwo dla księdza; to też społeczność musi mieć prawo kontroli nad księdzem.

Ma prawo żądać, by był takim, jakim być powinien — By nie tylko ze społeczenstwa, ale i dla społeczeństwa żył. —

Prawo to przyznaje pośrednio sama Ewangelia, gdy mówi o kapłanach: „wy jesteście sól ziemi — jeśli sól zwietrzeje, czem solona będzie? na nic się więcej nie przyda, jedno by była precz wyrzucona i podeptana od ludzi...“

Więc społeczeństwo osądzić powinno czy sól nie zwietrzała. —

Prawo to przyznaje i Kościół, skoro są dekrety papieskie (Mikołaja II, Grzegorza VII, Innocentego II) potwierdzone przez powszechny Sobór Lateraneński (1139 r.) [1]), które zabraniają wiernym słuchać Mszy, odprawianych przez księży, żyjących w jawnem zgorszeniu — przyjmować z rąk ich Sakramenty, składać im ofiary na Msze.

Nieprawdą jest, że ksiądz każdy — choćby najgorszym był — zasługuje na cześć i poważanie

Kapłaństwo — jeśli niegodnym jest ten, który sprawuje władzę — nie jest powodem do chluby, ale hańbą. Bo wielka godność — wielkie też wkłada obowiązki, i kto nie spełnia ich, temu kapłaństwo winą jest, a nie zaszczytem.

Człowiek, pewny bezkarności — pewny, że wszystko co uczyni, na dobre tłomaczonem będzie; że na najgorsze jego czyny każdy zamknie oczy — człowiek, pozbawiony pomocy w dobrem, jaką daje kontrola i sąd tych, co go widzą, upada łatwiej.

I ksiądz jest człowiekiem.

Pozbawić go tej pomocy, jaką daje opinia publiczna, to ułatwić mu upadek, to dopomódz mu do zaniedbania się do pójścia drogą ułomności ludzkich, złych skłonności, właściwych człowiekowi.

Sama opieka kościelnej władzy, jak stwierdza dotychczasowe doświadczenie, nie wystarcza. Pomoc duchowna, jaką czerpie kapłan ze sprawowanych obrzędów — nie ratuje go od znieprawienia.

Potrzeba mu pomocy z zewnątrz.

Potrzeba, by czuł, że na niego zwrócone są oczy' że ludzie widzą go i sądzą. Ze zło, które czyni, złem nazwane będzie, że występków jego nie pokryje usłużne milczenie.

Kontroli społeczeństwa, pomocy, która z kontroli tej płynie, każdy ksiądz, godny tej nazwy, nie odtrącać, ale pragnąć powinien. Tylko źli, tylko ci, o chcą w nocy milczenia i bezmyślności ogółu ukryć złość swoją — lękać się mogą kontroli.

Społeczeństwo ma prawo i obowiązek we własnym interesie i w dobrze zrozumianym interesie Kościoła żądać kontroli nad postępowaniem księdza, nad czynami jego, nad funduszami, które w ręce jego składa.

Zbrodnia częstochowska, choć w mniejszym zakresie, wszdzie powtórzyć się może — obowiązkiem każdego — zła nie dopuścić, złemu w zarodku się sprzeciwić.

Księża, skoro czuć będą oczy społeczeństwa na siebie zwrócone, łatwiej odepchną pokusy, którym przy obojętności ogółu ulegają.

2) Zerwać należy tembardziej ze zgubniejszą jeszcze i bardziej bezrozumną, a głoszoną przez księży jako pierwszy obowiązek chrześcijański, zasadą ślepego posłuszpństwa księżom.

Według nauki Kościoła sam papież tylko jest nieomylnym i to wyłącznie w rzeczach wiary i moralności.

Tymczasem księża podają się za nieomylnych we wszystkiem a przynajmniej każdego, kto ślepo nie ulega księdzu, ogłaszają za heretyka, za złego chrześcijanina, za złego, niebezpiecznego człowieka.

Zbrodnia częstochowska wskazała do jakiej przepaści upodlenia dojść może kapłan. Doświadczenie codzienne wskazuje, jak wielu jest księży niegodnych tej nazwy i nietylko ograniczonych umysłowo, ale złych i przewrotnych.

Nieoświecony ksiądz nieświadomie i bez złej woli wprowadzać może w błąd, żądać rzeczy nierozumnych i szkodliwych.

Zły — świadomie i rozmyślnie powagi swej, posłuszeństwa, które mu lud daje, rzeczy świętych, wiary samej nadużyć może dla nizkich, egoistycznych celów, dla wysługiwania się komuś, dla własnego jeno dobra, choćby ze szkodą i krzywdą ludu.

Nawet gdy rzecz wiary wykłada ksiądz, na bezwzględne zaufanie nie zasługuje. Kapłan ciemny, nieoświecony, zasady religji pojmuje sam ciasno i nierozumnie — ciasno też i bezrozumnie wiernym podawać je będzie.

Kapłan zły nakręcać je będzie do swych celów nizkich lub fałszować religię z konieczności, bo czyż człowiek w rodzaju Macocha zdolny jest zrozumieć Boże prawdy, czy zdolny jest je odczuć, kiedy Bóg, jak głosi Ewangelia, tylko ludziom „czystego serca“ się objawia?

Ślepe posłuszeństwo księżom, to jedno z największych nieszczęść naszego narodu.

Bo jakich że to potrzeba księży mądrych a świętych, „aby naprawdę słuchać się ich godziło“ i aby posłuszeństwo im wyjść mogło na dobre? A takiego ogółu księży nie było i niema. Więc skutki takiego posłuszeństwa musiały być opłakane.

I nietylko rozum posłuszeństwo takie potępia — nawet Kościoł go nie żąda.

Wszak w zakonach, gdzie mnisi składają przełożonemu ślub posłuszeństwa, obowiązuje on tylko o ile sumienie podwładnego pozwala mu być posłusznym.

Gdy sumienie sprzeciwia się rozkazom przełożonych, słuchać ich się nie godzi.

Sumienie — oświecone i prawe — to przewodnik bezpieczny — nie ksiądz; choćby najlepszym był, bo ten może być ciasnym, nieoświeconym, fanatycznym.

Według sumienia żyć trzeba i czynić — choćby wbrew wszelkim klątwom księżowskim. Sumienie omylić nie może, a jeśli omyliłoby nawet, byle człowiek szczerze dobrego chciał i do dobrego dążył — Bóg mu przebaczy.

Bo Bóg według sumienia naszego tylko sądzić nas będzie.

Więc słuchać księdza wtedy i tylko wtedy gdy własne sumienie nam wskazuje, że ksiądz dobrze radzi.

Nie słuchać — skoro sumienie nasze sprzeciwia się.

Grzechem jest posłuszeństwo, gdy ono na zawadzie stoi urzeczywistnieniu rzeczy dobrych i pożytecznych — bez względu na to, kim jest ten, co dobru przeszkadza.

Bo Bóg chce, by dobro się krzewiło.

Czyń, co ci sumienie wskazuje, radź się wszystkich, co dobrze poradzić mogą, a więc i księdza, jeśli świątobliwy i rozumny; ale nie postępuj wbrew swemu sumieniu i ono niech przewodnikiem ci będzie. Sumienie każdego najbezpieczniej wskaże, co dobre, a co złe — co czynić, a czego unikać.

I lepiej omylić się niekiedy, niż wiecznie iść bezmyślnie za głosem ludzi przewrotnych nieraz — niepewnych często.

3) Rozumniej — w duchu oświeconej wiary skierować ofiarność.

Nie kocha się wszak Bóg w złocie i srebrze — nie potrzebne Mu skarby.

Nie lśniły od drogich kamieni ubogie kościoły pierwszych czasów chrześcijańskich, kiedy to chrześcijanie naprawdę „w duchu i prawdzie" służyli Bogu.

Wszak poucza Ewangelia, że Chrystus ubóstwo umiłował i w stajence się rodził — i żył i umarł w ubóstwie.

Wszak św. Franciszek — ta najjaśniesza postać w historji chrześcijaństwa, ten najdoskonalszy naśladowca Chrystusa, co duchem Ewangelji był przejęty — zabronił wszelkich drogich ozdób w kościołach swego zakonu — zabronił zakonnikom swoim przyjmować pieniądze na msze.

Skarby, nagromadzone w kościołach, prędzej czy póź niej zmarnieją.

Ukradnie jaki Macoch, zniszczy je wojna lub ogień.

Wiadomo już, że skarbiec jasnogórski systematycznie, oddawna był okradany, to samo działo się gdzieindziej.

A ileż skarbów kościelnych poginęło czasu najść wrogów, albo różnych politycznych przewrotów.

Msza św. każda, bez względu na to, kto ją „zakupił" za wszystkich się odprawia — żywych i umarłych — i niepodobna przypuścić, by do Boga przystęp miał tylko ten, kto ma z czego dać na Mszę. By ta dusza zbawiona była prędzej, której rodzina może hojne księdzu nieść ofiary.

Nie skarbami, składanemi w kościołach, nie pieniędzmi, płynącemi w ręce księży, którzy je potem nie wiedzieć na co używają — może na zniewagę Boga — chwali się Stwórcę.

Ale wszystkiem, co na pożytek jest bliźnim, na istotne dobro współbraci.

Co podnieść może, uszlachetnić, oświecić, do lepszej zbliżyć przyszłości tych, co pokrzywdzeni są — w ciemnocie — w poniżeniu.

Wszak powiedział Chrystus: „cokolwiek jednemu z tych najmniejszych uczynicie — mnie uczynicie".

Więc jeśli jałmużna pojedyńczemu dana człowiekowi takiej jest ceny, to cóż mówić o wysiłkach i staraniach, zmierzających do ogólnego dobra.

Oto moc ciemnoty panuje nad ziemią polską, oto „narodem analfabetów" jesteśmy, oto ubóstwo wszędzie, oto dzieci bez opieki, bez ochrony, bez szkoły, oto lud, co próżno w znoju się trudzi około roli swojej, bo go nikt należytej uprawy nie nauczył, oto tyle instytucji pożytecznych ginie, bo niema komu ich wspierać, oto na najbardziej pożyteczną książkę grosza braknie.

A skarby gromadzą się po kościołach w oczekiwaniu Macochów, którzy je pokradną.

A miliony płyną do rąk księży na grzeszny może użytek.

A za te pieniądze, które lud, dziwnie rozumiejąc Boga i chwałę Jego, składa bez pożytku, ileżby co roku szkół założyć można, ile ochron otworzyć, ile instytucji pożytecznych wesprzeć.

Ile łez otrzeć ile ludziom oczy na światło otworzyć, ilu chorym i opuszczonym zapewnić opiekę, ile dzieci od złego uchronić!

Jak w krótkim czasie inaczej wyglądałaby ojczyzna, gdyby ludzie zrozumieć chcieli:

Że nie złota Bóg pragnie i nie bogactwa dla sług swoich pożąda.

Ale dobra wszystkich —

I że chwałą Jego — szczęście Jego dzieci —

I ofiarą miłą Mu — to wszystko, co się w najmniejszej mierze do lepszej dla wszystkich przyszłości przyczynia.

Gdybyż w czyn wprowadzoną została zasada, że poza słusznem wynagrodzeniem księdza, resztę ofiarnego grosza na cele ogólnego dobra składać należy.

## Rozmaitości

**Dawne kary na oszukańczych kupców.** Biedni ludziska, którzy muszą udawać się na targi po zakupno wszelakich wiktuałów, są ustawicznie narażeni na oszukańcze eksperymenty ze strony handlarzy, którzy sprzedają im za drogie pieniądze złe artykuły spożywcze jak: zepsute jaja, rozwodnione i mąką zaprawiane mleko i śmietanę, fałszowane masło itp. Skargi takie słyszymy niemal codziennie...

Oszukańcze te eksperymenty przekupniów nie są jednak wymysłem naszych dni, lecz skargi na nie powtarzały się już za owych starych, dobrych czasów. Już w r. 1681 wnieśli mieszkańcy francuzkiego miasteczka Ambert skargę do władz, aby pociągnęły do odpowiedzialności oszukańców i w ten sposób położyły kres awanturom i bójkom, jakie wskutek tego wywiązują się między obywatelami i przekupniami. Wówczas władze wydały następujące rozporządzenie:

Każda przekupka, która sprzedaje rozwodnione mleko, ukarana zostanie w ten sposób, że włoży się jej lejek w usta i będzie się w nią lać mleko w takiej ilości, jaką według orzeczenia lekarza wytrzyma bez niebezpieczeństwa dla życia.

Każdy przekupień, który sprzedaje masło, wkłada do niego ziemniaki, kamyki itp., aby zyskało na wadze, zostanie publicznie przywiązany do pala. Następnie położy się mu na głowę kawał masła, które tak długo będzie ogrzewane promieniami słońca, aż się rozpłynie, wówczas publiczność może przyprowadzić psy, aby się rozkoszowały tem spływającem masłem. W czasie niepogody roznieci się obok pala ogień, który ma spełniać taką funkcję, jak w powyższym wypadku słońce.

Każdy handlarz, sprzedający zepsute jaja, będzie postawiony pod pręgierzem, a zepsutemi jajami mogą sobie dzieci dla zabawki rzucać na twarz i odzienie delinkwenta. Takie to były przepisy za owych dawnych, dobrych czasów.

* * *

**Olbrzymie przedsięwięcie.** Paryż stać się ma miastem portowem pierwszego rzędu. Rząd zajmuje się już tym pomysłem. Sekwana ma być tak pogłębiona, że do Asnieres mogłyby dopływać choćby i największe parostatki. W ten sposób myśli się zapobiedz powodziom Paryża, także dowóz żywności stałby się łatwiejszym.

* * *

**Na co mogą się przydać śmieci.** Człowiek stara się obecnie wszystko zużytkować. We Wiedniu radca dworu Fodor miał odczyt o wartości śmieci. Podniósł on, że śmieci coraz mniej są używane do wyrabiania nawozu i leżą bez użytku, a nawet są zawadą. Wobec tego palenie ich jest konieczne i wskazane przez hygienę, jak się to dzieje w Londynie, Brukseli i t. d. Następnie obliczył mowca, jakie zyski mógłby mieć Wiedeń z palenia śmieci. Gdyby rocznie co najmniej 200.000 ton poszło w ogień, to otrzymanoby taką ilość pary, że wystarczyłaby do wyprodukowania 15 milionów kilowat godzin. W tym wypadku węgiel kosztowałby 400.000 K, gdy śmieci są bezpłatne. Popiół mógłby być zużyty w przemyśle. Wkońcu prelegent wykazał, że skutkiem postępów technicznych zakłady palenia śmieci mogą znajdować się w mieście, nie będąc przykrością dla mieszkańców z powodu cuchnięcia dymu.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 3. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 21 stycznia 1911.

AN KASPROWICZ.

## FRAGMENT.

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

Nie mogę patrzeć, jak się łamią w boju
Dążeń podniosłych najwybrańsze szyki;
Jak myśl, trawiona żarem niepokoju,
Kończy w rozpaczy, by wichura, dzikiej;
Nie mogę patrzeć, jak gasną promyki
W serc zawiedzionych spochmurniałej głębi;
Jak tłumią dumnych zwycięzców okrzyki
Jęk zwyciężonych; . . . . . .
. . . . . .

Pali mnie surdut niezdarty na ciele,
Gdy ujrzę łachman na plecach nędzarzy;
Widok głodnego gasi mi wesele,
Jeśli się kiedy w mem oku zażarzy;
Chleb staje w gardle, jak ogień mnie parzy,
Dławi jak stryczek, gdy pomyślę o tem,
Że czyjeś życie bez chleba się waży;
Ciepła izdebka zimnym zlewa potem,
Gdy wspomnę, że ktoś kończy na mrozie pod
[płotem.

I z całej duszy złorzeczę porządkom
Świata, że ziarnem przepełne ma spichrze
Dla jednych tylko; złorzeczę zacząłkom
Bytu, że nie znikł w chaosu prawichrze,
A tylko zrodził pokolenia lichsze
Od nędznych płazów — bez serca; złorzeczę
Samemu sobie, że me skargi, cichsze
Od jęków świerszcza, nie dotrą, jak miecze,
Gdzie topią się we własnem sadle żądze człowecze.

Że nie mam siły, by wstrząsnąć słupami
Tego przybytku, gdzie kadzidła palą
W cześć samolubstwa; gdzie Moloch rękami
Pozłocistemi broni wstępu żalom
Wydziedziczonych; gdzie rozputa, falą
Zbytku owiana, pieje sobie hymny,
Co w urąganie dla łez się kryształą;
Gdzie przekosztownej ambry obłok dymny
Otacza jej nagości kształt, na nędzę zimny.

J. RENARD.

## JANOWA.

(Z francuskiego.)

Janowa nie może się już doliczyć swych lat. Ponieważ pytano ją o to zbyt często, poplątały jej się w końcu odpowiedzi i teraz naprawdę, nie wie, ile ma lat. Najlepiej poinformowani wiedzą jednak, że Janowa nie ma mniej niż osiemdziesiąt sześć lat.

Zdarzyło jej się w tym czasie wielkie nieszczęście. Jedna z jej wnuczek zeszła z drogi cnoty.

— Pierwszy raz nie śmiem podnieść głowy do góry! — rzekła Janowa.

I spuściła ją, znużona. Zniosła już wszystko: pracę ciężką, nędzę, troskę i biedę. Straciła dzieci w rozmaitych okolicznościach: jedne przygnieciono ciężarami, inne utonęły, jeszcze inne stały się ofiarami groźnych chorób; miała nawet syna zabitego na wojnie (sama tylko nie wie na jakiej). Zniosła wszystko bez skargi, lecz teraz nie może się pogodzić z niesławą. Dlaczego? Dziwili się ludzie, że ona taka zwiędła, znużona, tak bliska śmierci, nieznosi niesławy swej wnuczki z równą obojętnością, jak wszystko inne. Zasłabła ze wstydu i pewną była, że to już koniec. A kiedy się podniósła z łóżka, niezdatna już była do niczego.

Zresztą domy, w których ją brano do prania, skorzystały z jej choroby, aby zmienić praczkę. Nadszedł czas, w którym się żyje z renty. Szkoda tylko, że ona, która pracowała może więcej niż ktokolwiek na świecie, nie ma ani grosza oszczędności, skazana jest, jak sama mówi, na szukanie chleba i drzewa. Z drzewem idzie nieźle, bo jest to praca nieledwie taka, jak inne, i nie upokarza staruszek nawet bogatszych od niej. Wprawdzie suche drzewo cięży na grzbiecie więcej od mokrej bielizny. Ale w końcu daje sobie z tym staruszka radę.

Gorzej jest z chlebem codziennym. Trzeba bowiem przyznać, że Janowa żebrze. A jest to dla niej najcięższe. Och! Przyzwyczai się z czasem, i już teraz, kiedy jej chcą włożyć pieniądz do ręki, odsuwa się zrazu, mówiąc głośno: „nie, nie“, a po chwili szepce cicho: „dziękuję“, i otwiera machinalnie rękę, aby pieniądz nie spadł na ziemię.

* * *

Janowa rozmawia chętnie i odpowiada ciekawym na wszystkie pytania. Jest to jedna z oznak jej starości, że zapomina nigkiedy o swej płci. Mówi więc:

— Kiedy byłem młody, byłem mały i szczupły, ale za to silny i żywy.

Skoro w opowiadaniu swem dojdoie do dzieci, trzeba ją powstrzymać, gdyż miała mnóstwo dzieci, a ponieważ wszystkie umarły, wskrzesza je jedno za drugiem, liczy, mięsza, opłakuje. Można się w tem pogubić, litanja jest za długa, a przytem niewesoła.

— Czy pozostaliście uczciwą?

— Rozumie się.

— W małżeństwie?

— I w małżeństwie i potem.

— Potem, nie mieliście obowiązku.

— Małżeństwo trwa wiecznie — mówi Janowa.

— A jednak, czy mało na wsi kobiet złego prowadzenia?

— Poddostatkiem.

— Pogardzacie niemi?

— Nie obchodzą mnie wcale.

— Czy nienawidzicie kogokolwiek, Janowo?

— Kogóż to, panie?

— Choćby wrogów waszych, tych, którzy wam przyczynili przykrości, zmartwień?

— Nikt mi nic złego nie zrobił.

— I wyście nikomu nic złego nie zrobili?

— Chwała Bogu, nie! Jeszczeby tego brakowało!

Mówi to bez dumy, ale już po chwili zaczyna doznawać skrupułów i dodaje:

— A jednak, obawiam się, że na starość stanę się złośliwą.

— Nie bójcie się.

— Tak, tak, już teraz zdaje mi się czasem, że jestem zła na pijaków, na próżniaków, na bliźnich.

— Zaznaliście dość biedy, stara Janowo!

— Miałam za swoje.

— Niema już dziś takich robotnic.

— A niema.

— Czy boicie się śmierci?

— Rzadko myślę o niej.

— Może też nie umrzecie?

Ten żart zapala słabym błyskiem stare oczy, w czerwonej obwódce. Jak gdyby miała nadzieję. Ale gasną wkrótce.

— W każdym razie przeżyjecie wasz wiek.

— Powtarzam to często młodym i drażnię ich tem trochę.

— Ale chyba macie już dość tego ciężkiego życia i nie idzie wam o to, aby żyć sto lat?

— Trochę mniej, trochę więcej — mówi pogrążona w zadumie.

Ale już po chwili podnosi głowę.

— I śmiechu miałam dość w życiu.

— Wy? kiedyż to?

— Na zabawach, na weselach we wsi, nad rzeką z praczkami.

— A z czegóż to, Janowo?

— Byle z czego; śmiałam się, bo byłam wesoła, bo lubiłam się śmiać i tańczyć. Nie zawsze przecież opierałam się na szczudłach drewnianych. A i dziś jeszcze, gdyby mój wnuk Pietrek nie był umarł i wyprawiałby jutro wesele, poszłabym w pierwszą parę. Trzeba było mnie słyszeć na weselu jednego z moich chłopców. Mój Boże! ile się naśmiałam! Mój Boże! ileż było śmiechu! Tak, tak, nikt może nie napłakał się tyle, co ja, ale też i nikt chyba nie naśmiał się tyle, ile ja w mojem życiu.

— Czy też chcielibyście rozpocząć na nowo to wasze życie?

— Gdyby Pan Bóg zechciał, przeżyłabym je drugi raz.

— Poproście go.

— Nie umiem. Wieczorem w łóżku zasypiam wśród modlitwy. Rano śpieszę się do roboty, modlę się po drodze, ale spotykam kogoś, gawędzę i nie kończę modlitwy.

— Powiedzcie szczerze, Janowo, czy też wy wierzycie w Boga?

— Trzeba przecież, a wy, panie?

— Och, ja nie wiem. Ale wy, czy wierzycie w Boga tak samo, jak wtedy, kiedyście byli młodzi?

— Tak samo, tylko że go już tak nie kocham.

— Za cóż to?

— Pietrek, mój ostatni wnuk, umarł tej zimy, a ja, stara do niczego, wciąż jeszcze żyję.

— Nie płaczcie, Janowo, pójdziecie do raju i spotkacie się z Pietrkiem. Sądzę, że wierzycie w raj?

— To zależy od dnia i dziś nie wiem sama.

— Powiedziałem „nie płaczcie!“ Ale Janowa miała łzy tylko w głosie. Oczy jej są suche od śmierci Pietrka. Mogłaby tylko krzyczeć. Po co jednak? Siada na krześle, kuli się, jakby przygnieciona jarzmem. Stara Janowa przestaje istnieć.

* * *

Zrazu nie zauważono nic w opuszczonem domostwie. I jakiś czas wszystko szło tam, jak zazwyczaj.

Pierwszy umilkł niewidzialny świerszcz, wówczas, kiedy zgasło polano drzewne.

Potem ostatnia kura, spacerująca po podwórku, weszła na schody, trąciła dzióbem zamknięte drzwi, wyciągnęła szyję w stronę okna i poszła nie doczekawszy się codziennych obierzyn.

Kot rozgniewał się, iż nadaremnie wyginał grzbiet, aby poczuć dotknięcie dobrze znanej wyschłej ręki, zamiauczał gniewnie, podrapał krzesła i uciekł przez strych szukać przytułku gdzieindziej.

Jednej nocy szczury schrupały ostatnią okruszynę, otworzyły pustą cukiernicę i nie powróciły więcej.

Pająki, które czekały tylko na ciszę, aby rozciągnąć swe sieci, doczekały się niebawem umilknięcia ostatniego dźwięku. Zegar stanął. Stanął, jak człowiek, uderzony znienacka.

Serce domu przestało bić.

Ludzie ze wsi wyważyli drzwi i podnieśli z podłogi starą Janową, która umarła osamotniona, nie uprzedziwszy o tem nikogo. „Nowe Życie“.

# Kapitał i praca.

George W. Perkius, współwłaściciel olbrzymich zakładów przemysłowych miljonera I. Pierponta Morgana, z dniem 1. stycznia wystąpił z tej firmy, aby się poświęcić zadaniom społecznym i filantropijnym. Zajmuje się on także kwestją robotniczą i doszedł do przekonania, że w miejsce zwykłego systemu płac robotniczych powinno nastąpić dzielenie zysku z przedsiębiorstwa między kapitał i pracą i że miejsce konkurencji przemysłowej powinno zająć wspólne działanie wytwórców.

Zjednoczone Stany Ameryki północnej, mówi on, stanowią dziś punkt środkowy rozwoju świata, dlatego jest pożądanem, aby rozwinęły politykę ekonomiczną rozwoju twórczego, który prowadzi do osiągnięcia jaknajwiększej sprawności, do uruchomienia i rozwinięcia wszystkich sił twórczych. Dziś polityka ta polega nie na wyzyskiwaniu istniejących środków do osiągnięcia jak najlepszych rezultatów ale także uwzględnia ona opinję publiczną oraz wymaga jawnego, uczciwego prowadzenia interesów. Walka między jednostkami okazała sią szkodliwą dla społeczeństwa ludzkiego jako całości.

Także w dziedzinie przemysłu ma to swoje znaczenie. Musi się dojść do przekonania, że kapitał i jego przedstawiciele mają obowiązki względem publicznośri, jako całości. Kooperacja zamiast konkurencji jest środkiem do osiągnięcia jak największej wytwórczości, ale też zamiast starej zasady: „siła jest prawem“ powinna zapanować nowa: „prawo jest siłą“. Miejsce kosztownej walki interesów kapitalistycznych musi zająć polityka: „żyć i pozwolić żyć“

Koopercja nie może być jednak wprowadzona jednostronnie tylko ku pożytkowi społeczeństwa i jego akcjonarjuszy, ale powinna uwzględnić także dobro pracowników i publiczności. Przedewszystkiem jednak potrzebni są na czele społeczeństwa ludzie uczciwi i dzielni.

W jakiej formie powinien się odbywać podział zysku z przedsiębiorstwa między pracodawców i robotników? Idzie tu nie o zwykłą podwyżkę płac robotnikom, zasadniczą jest kwestja, czy płaca jaką otrzymuje robotnik odpowiada sprawiedliwemu udziałowi w zysku, jaki przynosi wyprodukowany przez niego towar. Musimy w ogólności zaprowadzić kooperację, a więc także między kapitałem i pracą. Należy w sposób jasny publicznie oznaczyć, jaki zysk przynosi faktycznie kapitał. Nie jest to wcale niebezpieczeństwo, ale tylko polityka pewności. Kapitał musi się zadowolić tylko

swoim dochodem, rozwiązanie kwestji zależy od uczciwego i sprawiedliwego podziały zysku z przedsiębiorstwa

Do takich rezultatów doprowadzić może nawet kapitalistę rozważanie nowoczesnego rozwoju stosunków ekonomicznych, jeżeli on tylko jest uczciwym i logicznie myślącym o ile nie jest dla niego najświętszem zadaniem wyciśnięcie jak największego zysku z pracy robotnika. Poglądy Perkinsa są przykładem, jak się przedstawia nawet niesocjaliście nowoczesne zagadnienie pracy i kapitału z drugiej strony oglądane, tj. ze strony pracy. Zapewne Perkins ze swymi poglądami jest jeszcze białym krukiem. Wystąpienie jego dowodzi jednak, że nawet niektórzy kapitaliści zastanawiają się poważnie nad problemem produkcji kapitalistycznej, która zwłaszcza na gruncie amerykańskim wydała najtypowsze i najdojrzalsze formy, oddając w ręce jednostek monopol w całych dziedzinach wytwórczości, wydając temsamem masy robotnicze, a zarazem społeczeństwo na łaskę i niełaskę królów trustowych. „Głos".

# Zarabiające dzieci.

Tegoroczny wykaz statystycznego urzędu austrjackiego przynosi nam ponure cyfry co do ilości zatrudnionych w roku 1907 dzieci, które jaskrawo wykazują, czem jest i do czego prowadzi dzisiejszy kapitalizm, zmuszający rodziców biednych do wciągania dzieci swych w mniej lub więcej twardą pracę. Oto ze 418,391 badanych z całej Austrji dzieci szkolnych nie mniej jak 145.471 spełnia zarobkowe prace; do tego jeszcze przychodzi 2897 dzieci, nie uczęszczających do szkoły. Razem mamy więc 148.368 dzieci zarobkujących. Że głownie nędza zmusza dzieci do tak wczesnej pracy, widać z tego, że z tej sumy 41 proc. dzieci całkiem osierociałych pracuje, zaś dzieci, mających rodziców, tylko 33 proc. Gorzej jeszcze z dziećmi nieślubnemi. Z tych 37 proc. musi zarabiać, a takich, które nie mają matki pracuje 48,8 proc., czyli blisko połowa. Myślałby ktoś, że to tylko dzieci w 13, 14 roku. Bynajmniej. 27,030 dzieci w wieku od 6 — 8 lat już pracować muszą.

Gdzież to pracują te dzieci, spyta niejeden. Wszędzie: W domostwie 27 tysięcy (okrągło), w polu 35 tysięcy, w przemyśle 16 tysięcy, w gospodach i szynkach 880, w handlu 1400, jako posługacze blizko 2000, gdzieindziej 405. Najczęściej pracuje dziecko w dwóch lub więcej takich „zawodach", a więc w domu i fabryce, w gospodzie, handlu itd. Nas interesuje głównie praca dzieci w przemyśle. Oto 2300 dzieci było w przemyśle kamieniarskim, garncarskim, szklarskim itd. 1350 w metalurgicznym, 5100 w drzewnym, 1709 w skórnym, 17,216 w przemyśle tkackim itd. itd. A pamiętać ciągle trzeba, że to dzieci szkolne, z których 82 proc. niema całkiem pozwolenia na opuszczanie szkoły. Groźne to zjawisko dla całego przyszłego pokolenia!

A teraz popatrzmy, gdzie te dzieci zajęte bywają! Oto 118,622 dzieci pracuje u rodziców, 1281 jest „samodzielnych", zajmując się handlem, roznoszeniem rzeczy itd., 17,355 pracuje u ludzi cudzych. A jak długo pracują? 4 proc. po jednej godzinie, 23.2 proc. po dwóch, 21 proc. od 2 — 3, 15,5 proc. od 4 — 6, 5,1 proc. od 5 — 6. 1,1 proc. 8 — 10 godzin. W lecie praca trwa jeszcze dłużej; i to wszystko przy nauce szkolnej!

Sumując pracę te, dowiadujemy się, iż w zimie 7974 dzieci pracuje w tygodniu dłużej, niż 60 godzin, w lecie aż 20,796. Dziesięć tysięcy dzieci pracuje nawet dłużej niż dorośli. Z dzieci, któje otrzymują czasowe zwolnienie od nauki szkolnej, więcej jak 50 proc. pracuje 50 godzin tygodniowo. I nietylko w dzień dzieci te pracują. Z badanej sumy więcej niż 27 proc. zajęte jest także w nocy. 8979 dzieci rok cały muszą w nocy pracować, inne po kilka tygodni, miesięcy w roku. O płacy jeszcze nie wyszły z urzędu statystycznego dostateczne liczby. Stwierdzonem tylko jest, że 38,462 dzieci, a więc więcej jak jedna czwarta część badanych pracuje za wynagrodzeniem pieniężnem czyli zarabia na siebie. Że płaca ta będzie strasznie mała, można się spodziewać. Dodać trzeba, że 103,877 dzieci zostało uznanych przez lekarzy jako niezadawalająco zdrowych, czyli chorowitych. Więcej więc niż trzy czwarte części dzieci robotniczych pozbawionych jest dostatecznych warunków zdrowotnych.

Tych trochę suchych liczb mówi mowi nam więcej niż najostrzejsze słowa zapalanego, bólem nad niedolą ludu zdjętego mówcy. Mówią nam te liczby o tysiącach i setkach tysięcy w nędzy żyjących rodzin, o ich dzieciach, do pracy zmuszanych w tym czasie, kiedy tysiące innych jeszcze się bawią i pieszczą przy boku rodzicielskim. Jedynym środkim przeciw temu jest tylko podniesienie dobrobytu całych mas, któreby nie były zmuszane do zaprzęgania dzieci w wczesną pracę. A walka o podniesienie dobrobytu wiadomo jak trudną, jak uciążliwą jest. Ale prowadzić ją należy, zapominać o niej nie wolno, jeżli nie chce się zapomnieć o swoim i dzieci swych losie, o losie całych przyszłych pokoleń. „Robotnik Tkacki".

## Rozmaitości

**„Największym kłamcą stulecia"** nazwano dra Cooka, fałszywego odkrywcę bieguna północnego. Gazety duńskie podają o nim następujące szczegóły: Powróci on po blisko całorocznej nieobecności do Nowego Jorku. Rzekomy odkrywca bieguna północnego opuścił swego czasu ojczyznę, gdyż ustawiczne nagabywania uczyniły mu pobyt w niej wprost niemożliwym. Na przybycie Cooka oczekiwała cała falanga reporterów; tym dał on pisany na maszynie list, w którym określa swe stanowisko w sprawie scysji o biegun północny. Reporterzy nie zadowolili się tem i zasypali go pytaniami, na które dawał tylko bardzo niedokładne i niewystarczające odpowiedzi; po większej części odsyłał wszytkich do serji swych artykułów, które zaczęły się drukować w „Hamptons-Magazins". Na pytanie, czy podda się krzyżowemu przesłuchaniu, odparł zrazu nie, lecz potem poprawił się, że owszem, ale wtedy i tam, gdzie mu się będzie podobało, zresztą twierdzi, że do dziś dnia ma przekonanie, iż rzeczywiście był na biegunie; co do wejścia na szczyt Mount Mac Kinley, jest tego zupełnie pewnym. Na tę kwestję obiecuje dać wyczerpującą odpowiedź w niedalekiej przyszłości. Powiada, iż w Kopenhadze był pewnym prawdziwości tych twierdzeń. Dlaczego jednak prosił kapitana Koose'go o pomoc w zebraniu dowodów, jakiem prawem zatrzymuje pieniądze uzbierane za swe wykłady, teraz gdy się okazało, iż był w błędzie, na to odpowiedź da także w przyszłości. Odkryciu bieguna przez Peary'ego nie zaprzecza i w żadne debaty z nim wdawać się nie będzie. Ale podróży odkrywczych ma już dosyć. Wkońcu powiedział, iż nie wie jeszcze, czy podejmie na nowo praktykę lekarską. Żona dra Cooka przebywa w Francji, gdzie dzieci jego uczęszczają do szkoły.

* * *

**Okropności w szpitalach francuskich.** Paryska Akademja Umiejętności nadała w tym roku jedną z nagród lekarzowi dr. Icard'owi w Marsylji za książkę p. t. „O stwierdzaniu śmierci w szpitalach". Autor opowiada rzeczy wprost okropne w sprawie stwierdzania śmierci w szpitalach cywilnych i wojskowych we Francji. Konstatuje, że wielka część chorych żywcem bywa grzebana lub za życia przychodzi na stół do sekcji. W jednym szpitalu w Marsylji zaszło 40 wypadków tego rodzaju, w których omyłkę rozpoznano; ilu zaś ludzi żywcem pogrzebano lub rozkrajano bez przekonania się o tem, tego nikt wiedzieć nie może. Pochodzi to stąd, że stwierdzenie śmierci nie było dokonywane przez lekarzy lub medyków, lecz przez niewykształconych dozorców lub siostry, a lekarz dyżurny wydaje kartkę pośmiertną, nie widziawszy wcale zmarłego, poczem natychmiast zwłoki przenosi się do kostnicy lub sali sekcyjnej. Raz zdarzyło się, że pozornie umarły obudził się pod nożem, innym razem pewien student widział serce bijące po otwarciu piersi dziecka, rzekomo zmarłego. W innym wielkim szpitalu dozorcy, aby zyskać na czasie, po-

łożyli chorego, walczącego jeszcze ze śmiercią, do trumny i zamknęli ją, gdy chory jeszcze oddychał. Takich przykładów jest w książce jeszcze więcej. Szczególnie liczne były podobne wypadki w czasie epidemji cholery w Marsylji, kiedy to postępowano sumarycznie i codzień przeciętnie 16 trupów chowano bez fachowego zbadania.

* * *

**Sensacyjne odkrycie.** W sferach artystycznych i tych które interesują się sztuka, niemałe wrażenie wywarły rewelacje wdowy po Arnoldzie Böcklinie, która obecnie ogłosiła swoje pamiętniki. Według jej opowiadań Böcklin, w początkach swojej karjery artystycznej, ożeniwszy się w Rzymie, opuścił stolicę Włoch i udał się do Monachium, gdzie się zapoznał z Lenbachem. I stało się, że wielki artysta niemiecki niemiłosiernie wyzyskiwał kolegę, który był wtedy jeszcze w bardzo trudnych warunkach materjalnych. Böcklin korzystać musiał z pracowni Lenbacha, nie mając możności urządzenia własnej a liczne portrety, jaki Lenbach malował, były w rzeczywistości dziełami Böcklina. Między innymi portret cesarza Franciszka Józefa i obraz „Mali pasterze", znajdujący się obecnie w galerji Schacka w Monachium.

„Gdy przychodziła do pracowni Lenbacha — pisze pani Böcklin — osoba, która zamówiła portret, Lenbach szkicował tylko podobiznę, gdy mój mąż ukryty za parawanem, z za którego mógł dobrze obserwować, przypatrywał się dokładnie. Kiedy potem osoba owa wracała jeszcze do pozowania, mój Arnold ze swojej kryjówki za parawanem słuchał uwag, jakie robiła Lenbachowi. W ten sposób kończył się portret".

Autorka pamiętników cytuje nazwiska żyjących jeszcze artystów, którzy mogą poświadczyć prawdziwość jej słów. Zerwanie między artystami nastąpiło w roku 1872, z powodu zatargu, wywołanego kwestją wynagrodzenia za pracę.

* * *

**„Czarna ręka"** Straszna banda, która napełniała przerażeniem ludność włoską Nowego Jorku i rozciągała swoje krwawe sieci na miasta włoskie w Europie, została nareszcie schwytaną.

Banda postępowała z bezprzykładnem okrucieństwem i tajemniczością. Nagle, niewiadomo jakim sposobem, ginęły bogatszym włochom dzieci. Nieszczęśliwi rodzice otrzymywali jednocześnie rozkaz zapłacenia jakiejś wysokiej sumy z nadmienieniem, że jeżeli suma niebędzie wypłaconą w żądanym terminie, to dzieci umrą straszną śmiercią.

Jeżeli pod taką groźbą wypłacono pieniądze, zanosząc je na umówione miejsce, to dziecko wracało, ale tylko po to, żeby zginąć znowu. Na kogo zwróciła uwagę „Czarna ręka", dla tego nie było ratunku. Albo nędza, albo śmierć, albo jedno i drugie, bo biada tym, którzy dawali znać policji! Ci nigdy nie byli pewni życia, jak również i tacy, którzy lekceważyli groźby „Czarnej ręki". Przed kilku miesiącami zamordowano w Nowym Jorku młodego doktora i jego żonę, bo ci wcale nie odpowiadali na listy „Czarnej ręki".

Policja nowojorska długo była bezsilną wobec tych krwawych szantażów. Dopiero zastosowawszy metody europejskie, nowojorskie biuro detektywów zdołało wytropić liczną bandę sycylijczyków, stanowiących włośnie „Czarną rękę". Już ją uwięziono. Członkowie jej denuncjują się wzajemnie. Podobno szefem bandy jest bardzo bogaty kupiec włoski, słynący z dobroczynności. Nigdy nie padł na jego czyste — jak sądzono — życie ani cień podejrzenia.

* * *

**Głos nieboszczyka nad własnym grobem.** Nie zdarzyło się chyba jeszcze nigdy dotychczas, aby nieboszczyk dźwiękiem swego głosu przyczynił się do uświetnienia własnego pogrzebu. Współczesne wynalazki umożliwiają jednak podobne występy i zdarzyć się może wkrótce, iż nieboszczyk sam sobie wygłosi pogrzebową oracje. Od czegóż gramofony? Pierwszy krok na tem polu zrobił włoski szewc Pietro Fieco, zmarły niedawno w Waszyngtonie. Był zamiłowanym w muzyce i posiadał głos piękny. Przez dłuższy czas robił oszczędności, aby módz kupić gramafon, a gdy wreszcie go zdobył, postarał się, aby towarzystwo gramofonów utrwaliło jego śpiew na 72 płytach. W testamencie zastrzegł, iż na jego grobie ma być ustawiony gramofon i ma wykonać wszystkie te pieśni. Gdy niedawno jego zwłoki zostały oddane ziemi, nad świeżą mogiłą zabrzmiało „Ave Maria" Gounoda, „Serenada Anioła" i kolejno 70 innych najstrojowych pieśni. Nawet przedsiębiorca pogrzebowy nie zdołał wysłuchać do końca programu, a oprócz niego zebrało się zaledwie kilku włochów. Po pogrzebie, stosownie do życzenia zmarłego, gramofon został odesłany do Włoch, do jego matki staruszki. Przez lat kilka Pietro Fieco zbierał skrzętnie każdy grosz na opłacenie kosztów tej wysyłki.

* * *

**Fonograf jako środek pedagogiczny.** We Francji obecnie w niektórych szkołach wchodzi w użycie bardzo użyteczna innowacja, która może mieć z czasem ogromne zastosowanie ze względu na swą przystępność i pedagogiczną wartość. W sali szkolnej ustawia się fonograf, który reprodukuje ze specjalnych, w tym celu porobionych zdjęć, znakomite i znakomicie wygłoszone ustępy z literatury jakiegokolwiek języka, utwory sławnych poetów, urywki przemówień mężów stanu i t p. Uczeń kształcący się w danym języku odnosi tu podwójną korzyść, bo poznaje naprzód jakiś utwór, następnie słyszy, jak on ma być wygłaszany. Innowacja ta powinna znaleźć szerokie zastosowanie szczególnie po szkołach artystów dramatycznych, gdzie tak bardzo idzie o dykcję dobrą i poprawną wymowę.

* * *

**Ile papieru spotrzebowano przy ostatnim spisie ludności w Prusach?** Do wykonania potrzebnych 70 miljonów formularzy spisowych zużyto 5728655 arkuszy papieru w różnej wielkości. Gdyby tę ilość arkuszy obok siebie położyć, pokryłyby obszar 2982114 mtr. kwadr., w dłuż zaś biegłyby 644 mile. Na jednym stosie dosięgłyby wysokość 9 kilometrów, czyli 30 razy wyżej niż wieża Eiffla w Paryżu, która ma 300 metrów wysokości. Nie zapisany papier całej tej kolosalnej ilości wynosi okrągło 700 centnarów.

## Z literatury i sztuki

„Krytyka", miesięcznik poświęcony sprawom społecznym, nauce i sztuce. Wyszedł zeszyt I na styczeń i zawiera:

Część pierwsza: 1. (f): Światopogląd a życie... — 2. K. Stefański: Współczesne stronnictwa polityczne w Królestwie Polskiem. — 3. Lux: Istota i cele „modernizmu". — 4. E. Czekalski: Etyka i socjalizm. — 5. Junius: Współcześni politycy polscy. XXIII. Włodzimierz Kozłowski. — 6. H. Boczkowski: Tomasz G. Masaryk. Charakterystyka. — 7. R. Kucharski. Strajki robotnicze w Rosji. — 8. Przegląd: I. Z prasy. II. M. Ramułtowa: Nowy elementarz. III. Praca społeczna duchowieństwa. IV. K. Jampolski: Stosunki narodowościowe w szkole galicyjskiej. — 9. Sprawozdania.

Część druga: 1. C. Norwid: Do współczesnych. — 2. E. Woroniecki: St. Wyspiański w świetle pism pośmiertnych — 3. Czesław Halicz: Kostanty Meunier. — 4. Ewa Łuskina: Hekate. — 5. Stef. Stasiak: Uczta. Wiersz. — 6. Kaz. Czapiński: List rosyjski. (Ostatnie utwory L. Andrejewa). —7. Marja-Alexandra Walewska (hr. W.): Okwitły drzewa, ale — śniegiem. — 8. W. Sieroszewski: Dary wiatru północnego. — 9. Walt. Whitman: Mistyczny Trębacz. Przełożył F. Sobieniowski. — 10. Przegląd: — I. Z prasy literacko-artystycznej. — II. L. Kowalski: Uwagi o Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie. — III. Igor: Z życia umysłowego w Poznaniu. — IV. Ad. Zagórski: Teatr lwowski. — V. O katedrę uniwersytecką. — 11. Sprawozdania. Z niwy beletrystycznej. — Książki filozoficzne.

Adres Redakcji i Administracji: Kraków, ul. Stachowskiego L. 14. Kwartalna prenumerata 5 marek.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 4. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 28 stycznia 1911.

MARJA KONOPNICKA.

## SOBOTNI WIECZÓR.

Od zgrzytającej zębami maszyny
Powstał znużony z osłupiałem okiem,
W którem się palił płomyk jakiś siny,
I przeszedł izbę w milczeniu głębokiem.
O czem miał mówić? — myśl jego włóczona
Pomiędzy koła i śruby i piły,
Była tak ciężką, jak jego ramiona,
Co się bezwładnie wzdłuż ciała zwiesiły...
O czem miał mówić? — wszak świata obroty,
Jego pragnienia i walki i ruchy,
Nie dobiegają tam, gdzie ciężkie młoty,
Grzmiąc przez dzień cały, ogłuszają duchy.

Jak senny przeszedł przez puste warsztaty,
Z głową zwieszoną, obliczem wygasłem,
Aż tam, gdzie kasy okienko z za kraty
Migało wypłat tygodniowych hasłem.
W około gwarnym cisnęli się tłumem
Dnia najemnicy z zamgloną źrenicą;
A zmrok zapadał z głuchym jakimś szumem
Ponad tych istnień smutną tajemnicą...
Zapłatę swoją wziął w ciżbie ostatni
I wyszedł, czoło ocierając z potu...
Po dniu spędzonym wśród maszyn łoskotu,
Chciałby usłyszeć głos ludzki, głos bratni,
Myśl z odrętwienia rozbudzić w gawędzie,
Uścisnąć rękę przyjaźni życzliwą,
Poczuć w swym bycie nie martwe narzędzie,
Lecz jakieś żywe ludzkości ogniwo...

Stanął w ulicy: na rogu jaskrawy
Napis obwieszczał, że tutaj dostanie
Głośnej muzyki i hucznej zabawy
I zapomnienia o każdej swej ranie...
U wejścia para buchnęła gorąca,
Tłum robotników cisnął się nawałem,
A błędny obłok skrzydłem swojem białem
Chwytał przebłyski gasnącego słońca...
Cofnął się młody wyrobnik z przed progu;
Ten zmierzch wieczorny, przejrzysty, różowy,
Jakieś mu dumki nawiewał do głowy;
O wiośnie, ciszy, przyrodzie i Bogu;
Jakieś pytania o życiu, o świecie
Zmąconą falą o duszę mu biły...
On czuł się cząstką i ruchu i siły,
Lecz nieświadomą i bierną, jak dziecię...

Powiew żywszego, szerszego już prądu
Pchnął myśli jego na głębię od brzegu...
Lecz brakło steru... i w błędnym tym biegu
Nie umiał dostrzec przystani i lądu.
Czuł, że są wyższe i czystsze uciechy
Nad wrzask pijanej ciżby i muzyki,
Nad wyuzdaną swawolę i śmiechy,
Nad brzęk kieliszków i klątwy i krzyki...
Lecz gdzie je znaleźć?... Ach! gdyby w tym tłumie
Usłyszał jakieś dobre, mądre słowo,
Rzeźwiące rosą myśl jego jałową,
Jakżeby słuchał w poważnej zadumie!
Jakżeby chętnie podzielił się biciem
Serca stwardniałej dłoni uściskiem!...
Jakżeby chętnie żył choć chwilę życiem
Wiedzy i światła i prac duchá błyskiem!...

Stał tak niepewny, a wrzawa kipiała.
Przed nim szli ludzie; myślące oblicza
Siła sympatji jakaś tajemnicza
Nieraz ku niemu przyjaźnie zwracała...
Z przechodniów owych niejeden zapewne
Kochał lud, myślał o jego oświacie
I miał dla niego to uczucie rzewne,
Które obcemu nawet mówi! „bracie!...“
Lecz gdzież są drogi, na którychby duchy
Dwóch sfer odmiennych schodziły się społem?
Czyliż zwyczaje, jak więzów łańcuchy,
Każdej z nich ciasnem nie zamknęły kołem!
Przedmiotem czyjej troski i narady
Jest znikczemnienie w zwierzęcym spoczynku?

Czyliż więc dziwno, że wyrobnik blady,
Postał, podumał i poszedł — do szynku...

JULJUSZ KADEN.

## DRUCIARZ.

Chudzik se na drodze przystanął, ten ziemniakowaty swój nos w góre wzniósł i jął węszyć czy tropić: zimne, świeże powietrze, zapach idący z miasta, ten i ów dym złowonny, ten i ów miły pierś we wnętrzu, niby miodem

głaszczący. Ale jeszcze coś prócz tego wszystkiego węszył druciarz Chudzik z otwartej drogi jakby białym płótniakiem ku miastu wyciągniętej. Oto radość przyszłą węszył.

Ej! przyjdzie tu jakaś krzta radosna, radosnej chwili przebłysk nadejdzie. Ej, niby na nosze, na kołyseczkę wyplataną z zimnego szuwaru Chudzika wyniesie i pohuśta.

Zdaleka przez świetliste powietrze niby przez farbkę niebieską w wodzie rozpuszczoną widać stare narożniki Wawelu podziurawione czarnemi oknami rzekłbyś te spódnice i kiecki bab w gromadzie rozsiadłych i gwarzących coś.

Ej, skądże ta radość przyjdzie i jakie nosze sprawi i kogo i gdzie jak bujać i huśtać będzie.

Ano, gdzie ona jest, niewiadomo. Ale wiadomo, że w Chudzikowej piersi zostawiła wartki wrzątek czegoś, co się kołem obraca, piętą przystępuje, śmigą wiatraczka strzyże, młyńskiego kamienia żuchwą miele smakowicie i powiada gwałtownie a tak radośnie, że aż gderliwie i tak prędko, że aż pytlując - powiada w oczy patrzące, w ucho rozwarte i nos weszący: Radość cię czeka, Chudziku — i już. Gdzieś ci się ta na drodze twego dnia strawa, posiłek nadarzy i już.

Na tę myśl, niby z najniższej czeluści głodowej wychynęło coś pod górę, błysnęło w oczach, zwarło szczęki i zaświergotało w uszach chłopca: Ech ty! jedzenie.

Czerstwy, ranny głód ścisnął idącego Chudzika, krzepko i zdrowo. Przystanął, bo mu mruczało w środku, jakby w brzuchu kot na przypiecku mruczący siedział. Przystanął Chudzik porteczki podciągnął, paskiem ściągnął, potem z ramienia na ramię przełożył rzemień z ciężarem. Przywykł i jużby nie wiedział jak się ma ruszać bez tego gniotu który dźwigał za sobą. A było co dźwigać. Nosił przecie na sobie blaszane formy, firanki, zmiotki, łapki na myszy proste i droższe, zmyślne otwierające się z dwóch stron, na dwie myszy. W torbie miał kawały blachy do łatania rondli, różnoraką maź do lepienia czerepów, obręgi, obcążki wreszcie na ramieniu zwoje białego i mosiężnego drutu.

Przerzucił to wszystko z ramienia na ramię i poszedł. Z za zakrętów, z za wikliny z poza mgły lekkiej wylęgał coraz sowiciej cały Wawel z wieżami kręconemi wysoko pod niebo, z drugiemi, którym jakby kto w łeb dał i spłaszczył i trzeciemi, co, gruzu się najadłszy, wyrość nie zdążyły. Między tem zgromadzeniem wież murowanych przelepek i łat rozrastał się mur warowny, zjedzony przez burze, słoty i szturmy. Z daleka to się ten mur bronzowy, przechodem czasów ściśnięty i wysuszony — widział Chudzikowi niby ogromne kromy czerstwego razowca, tu i ówdzie spękane daleko w głąb, aż do ośrodki. Bo jako przez spieczoną skórę ośrodka — taka tu z murów wyłaziła — wyciskała się ta stara, odwieki pamiętająca i wciąż płodna ziemia. Juści tak. Bo gdy na starym bochenku chleba pleśń i śniedź żeruje, — tu z między — pomiędy starych wawelskich rozłamów kasała w najlepsze ku górze bujna zieloność. Dziwnie to wyglądało. Powiedziałbyś człowieku, że samo życie nowe rózgami prętow soczystych tryska z rozpndlin, że młode życie wachlarzem liści bogatszym od pawiego ogonu starość owych murów pociesza, łagodzi i koi.

Dalej od Wawelu, od schylonych przez wiek grzbietów katedry i kaplic spływały ze wzgórza ku dołowi modrym fałdem zieleni aż po srebrną listwę Wisły. A ta Wisła teraz we słońcu wiosennem widziała się Chudzikowi, niby rozpuszczony, jedną, niewyczerpaną wodą płynący płynny djament, oprawiony w złoto nadbrzeżnych piasków.

Wiater se chodził i łaził między wszystkiem. Przez wodę rzeki plus ał tchem słodko dmuchającym, to znów wikliny ku sobie słaniał, że się liśćmi zczepiały, niby spló tszy ręce dzieci kręgiem rozchwianym tańczące. To znów trawę pod włos do góry czesał i lecąc wyżej, rozganiał nadmiastowe dymy po czystem niebie.

I jakżeby to mogło być — pomyślał sobie nie chcący Chudzik, rozwartem okiem widok obejmując — żeby to — to wszystko nie dało zjeść i napić się i zarobić człowiekowi.

Ominął spojrzeniem stary zamek wawelski i patrzył na samo miasto Kraków. Na te dachy spiętrzone, splatane, polane światłem słońca niby topionem masłem. Na te wieże — co, żebyś człowieku nie wiedział, tobyś myślał, że tam wysoko, w przestworzu nieba czystego, głosem godzin bijących nie godzinę znaczą — a zasię oddychają głośno, spiżowem tchnieniem z kamiennej piersi oddech miarowy wypierając.

Przysporzył kroku. Teraz mu droga szła nad samą Wisłą wedle rybaków i galarów. Rybacy, niby te haki wbite u brzega siedzieli nieruchomo nad wodą z wielkiemi wędami, wpatrzeni w srebrny połysk toni — rychłoli się pławik zakołysze. Zato na galarach szło życie już na dobre. A zdały się one, grzecznie obok siebie stojące szerokie pojemne, niby czyjeś chodaki lub kierpcie.

Udała się ta myśl Chudzikowi i zaśmiał się. Juści na takich chodakach wielgachnych, mocnych i posuwistych sunie se człek po wodzie, ojej, jeszcze jak zgrabnie. Chodaki nie lada, większe niż łódka, zmieści się w nie wszystkiego jak w karczmę, ale nie dla zabawy są — mocne i spławne.

Pełne były węgla, który się we słońcu mienił i łuszczył sinawo niebieskim pobłoskiem. W środku każdego galara widniała przystojna budka podłużna. Na progu jej tu czy tam siedział se taki lub owaki flisaczyna i prządł z z fajki do zębów uczepionej cieńkie wstążeczki dymu. Opodal na cegłach paliło się krasne ognisko pod garnkiem z warzą. Płomień drżeniem i blaskiem raz po raz znikającym ginął w jasnym ogromie powietrza i zdało się targał nim i na karbki zwijał. Bo wszystko coś z oddali ponad ogniskiem ujrzał drżało, jakby żarem płomienia kołysane.

Do miasta by już wejść — pomyślał Chudzik. Żal mu się zrobiło tego widoku, tego powietrza słodkiego, tego zapachu, co nęcił wonią jak proszące zaprosiny. Ale wiedział Chudzik, że przecie pracować, zarabiać musi, bo musi do domu nad wieczór pieniądz zarobiony przynieść. Więc żeby tak i tu pozostać i własne lenistwo omylić kroku zwolnił i już szedł noga za nogą becząc głodnym, żadną strawą nie przetartym głosem: Garnki drutować, garnki drutować.

Odezwał się któryś flisak z dołu z nad Wisły: Chodźno tu.

Pobiegł Chudzik. Pokazali rozbity garnek, do odrutowania, umówili się o cenę. Chudzik siadł na krawędzi galaru. Z blaszanym chrzęstem ściągał przez głowę rzemień z wyrobami, zwoje drutów i torbę. Sunął to wszystko na ziemię, że aż jęknęło i zaczął przymierzać czerepy garnka.

— Jodeś już co? — zagabnął flisak stary, siedzący przy ognisku.

— Nie — odpowiedział Chudzik. I zaraz radośnie się zaśmiał, drąc gębę od ucha do ucha. Bo przecie wyczuł w głosie starego niby srogim i zadzierzystym, że nie po próżnicy o jedzenie pyta.

Tymczasem przy ognisku, drugi flisak z fajką w zębach, zakrzątnął się i podawszy chłopcu garnek gorącego żuru, wrócił na swe dawne miejsce.

— Niech ji — rzekł.

— Niech se poji — dodał stary.

Cisza zaległa. Słychać było, jak chłopy w szczękach niezłomnych miażdżą chleb podlany, zwilżony, rozrobiony tym kwaśnym żurem i śliną sprawiedliwego głodu. Chudzik też nie dał się prosić, tylko zawijał, aż mu w skroniach trzeszczało. Dobrze było. Ogień coś tem trzaskaniem płomieni pytlował i ranną ciszę bruździł; chłopy mlaskały ów twardy chleb językiem niby kijanką rozgłośnie przygniatając a łyżki na krawędzi garnków chrapliwie skrzypiące pokazywały, że statecznie ludzie jedzą i potrzebnie.

Smakował Chudzikowi ten żur, Jezus, jak smakował. Kwaśne to było, że ci gębę szczypiąc ściągało, ale nie nadto, tylko w miarę. Nie ugryzła cię ta kwaśność, a i owszem, im więcej jadłeś, tem cię więcej swą kisłą potęgą radowała. Gęste było, po wysuszonym przetyku szło rozważnie, statecznie jak dobre słowo rzeczone w ciężki czas, dając otuchę i ciepło. I dokumentne to było. Kiedyś ledwie kilka łyżek przełknął, toś zrazu czuł, żeś w sedno spraw twych i kłopotów ugodził człeku, że zaspakajasz nareszcie ten brzuch niesforny i nienasycony.

Podpadł se Chudzik, skromnie powstał, miseczkę przypochlebnie na miejscu wedle ogniska odstawił i wziął się do roboty.

Właściwie, to śpiewać mu się chciało z tego dobro-

dziejstwa, co je czuł teraz w żywocie słodką pogodą płynące. Ale się wstrzymał ze względu na flisaków.

Robotę zaczął. Przepatrzył se skorupki, przymierzył, przycelował tym bokiem i tamtym, tym do tego i tamtego, cierpliwie i chytrze. Przymierzywszy, zlepił. Zlepiwszy — z drucianego krążka wywinął drut, błyszczący niby włosie a wykrętny, nieustępliwy, i nieusłuchany. Co, nie co, wymierzył, ile trzeba było zmiarkowawszy. Obcążkami, co je sobie był przedtem z torby wydostał, niby tym pyskiem psim drut chwycił, zgiął i ugryzł, czyli odciął. Garnek zlepiony wgrążył se Chudzik w brzuch tak miarkując, aby się naczynie na podołku między podniesionemi udami a piersią przytrzymującą statecznie ustaliło. Wysunięty język zębami przyłapał, uszy od pracy i namysłu zaczerwienione nastawił i wziął się do pracy ostatecznej.

Zaczepił Chudzik o garnka kant drut na ząbek zakręconę. Przez denko zwinnie przeciągnął, zaczepił z drugiej strony a potem na krzyż a potem w gwiazdę. Na środku gwiazdy skręcił końce drutu w warkoczyk i stąd dalej na prawo i lewo, z oczka na oczko. Z kłębu, niby z kądzieli owo włosie, coraz więcej drutu troczył raz wraz słopą w kierpeć obutą kłąb dalej od siebie kopiąc.

Śmigała w rannem słońcu ta nić żelazna, którą Chudzik garnek rozbity od spodu w znak gwiazdy oszywał, a paluchy chłopaka z pozoru niezgrabne, powiedziałbyś wałkonie lub niedorajdy, zgrabnie się przy robocie zwijały, jakby każdy za siebie swój rozum miał, mimo, że wszystkiem świadoma dłoń rządziła. I znów mu drutu brakło i znów se go obcęgami w powietrzu szczeknąwszy uciął, oczko palcami ugniótł, w zębach ścisnął, niby ową żmiję czy śliskiego padalca — drut w świder splótł i jął drutować dalej i tym drutem w czworoboki zaginanym, zczepionym mocno garnek okrążał, spulał, spoił — aż się klej z czerepów krawędziami wypacał i wyciskał, aż skorupy podołkiem przychwycone postękiwały. I tak pracował, działał, kręcił i wiercił, jakby nie drutem, a tą rodzoną myślą własną ów garnek do kupy skupić miał.

Dobrze mu się pracowało. Złotem słońcem po głowie głaskany, zdrowo pojedzony, siedzący na krawędzi galaru nad tą wodą Wisły, bardziej świetlistą, niż blacha, co ją Chudzik w torbie nosi, chybotając się na mocnych posiadkach, pracował se Chudzik w to słoneczne rano, nie czując, że mu się palce na drucie jak druty gną i na obcęgach strzępią. Nie czuł, że mu oczy potem zachodzą, że zgryziony, przed wargi wysunięty język, schnie i grzbiet wysilony drętwieje. Nie czuł Chudzik fatygi ani żadnej udręki, ani wcale mitręgi, bo pracował, a pracując, myślał.

Zaś gdy mu tak robota szła i w czynnych palcach rajdosząc się gadała, grała i śpiewała, myślał se Chudzik o Bóg wie czem. O tem graniu, gadaniu, o tym śpiewie roboty, co go człowiek uchem nie usłyszy, ale piersią pracującą pojmie.

Ze skrzypem drutu, z pochrzęstem czerepów stękających szła myśl Chudzikowa coraz dalej i dalej od tego, co jawne jest aż do jakiegoś kresu, a od kresu owego, niby w jakieś pole cudne bardzo, mało znane i szczęsne.

Więc myślał se Chudzik, myślami na wsze strony, niby koń uchem strzygąc, o tem, gdyby mu to kiedy cały galar zdrutować przyszło, — żeby zrobił. I o tem, gdyby mu kiedy całe to miasto Kraków, rozbite odrutować przyszło: żeby się namyślił, pokruszone czerepy zmyślnie złożył, — i odrutował. I gdyby mu ziemię rozbite, rozszarpane w całość odrutować przyszło — żeby odrutował... I gdyby mu cały ten świat, co mówią, że kulą jest straszliwą po przestworzach latającą, odrutować rozbitą przyszło — żeby się w kupę zebrał, w sobie rozognił i dechu w płuca wziął. I żeby wtedy myśli w głowie jak w kuźni stal do wszystko widzącej jasności rozgrzał i żeby zamiast drutu promień z cyferblatu słońca zdarł, i, żeby onym promieniem cały świat schorzały i rozbity w całość zdrutował.

Nie wiele się w tem wszystkiem mylił mały druciarz Chudzik. Bo przecie powiedz, sam wiesz, ty polski robotniku, czegobyś bracie nie zdziałał wszystkiego, gdyby ci dali sprawiedliwie jeść i gdyby już otworzyło się przed tobą pole sprawiedliwej pracy Twojej.

---

# Z przeszłości przemysłowego robotnika górnośląskiego.

Szkic historyczno-ekonomiczny.

Napisał Emil Caspari.

Nie wesołem jest dziś życie robotnika górnośląskiego: w nadmiernych wysiłkach wydobywa on z łona matki ziemi, ukryte skarby — czarne djamenty i kruszce, lecz nie po to, by w nagrodę za to wieść życie godne człowieka, bo wielki kapitał górnośląski stoi na straży swego uprzywilejowanego stanowiska i skarby te nieprzeliczone zgarnia dla siebie, a tym, którzy mrówczą swoją pracą stwarzają je, z łaski pańskiej rzuca nędzne okruchy. Takim jest los nieszczęsny górnika górnośląskiego. Nie lepiej się wiedzie bratu jego po werkach i hutach: w żarze piekielnym, oblany potem, prawie nagi, jak go matka-rodziecielka w mękach na świat wydała, ciągnie werczanin, z rozżarzonego do białości żelaza, belki, wytwarza co rok olbrzymie wartości — lecz znowu nie dla własnego pożytku, a dla panów-magnatów, ucieleśniających kapitał górnośląski, który kleszczami swoimi wpił się w niego, biednego najmitę, mozolącego się bez wytchnienia do ostatniej chwili, kiedy śmierć staje się dla niego wyzwolicielką z mąk na tym padole łez i troski nieustannej o nędzny kawałek chleba powszedniego dla siebie, dla bliskich sercu jego.

A ci, co owoce najmity górnośląskiego stale przywłaszczają sobie? Oni z góry spoglądają na ten „motłoch wasserpolacki", przez pachołków swoich obelżywie zwią go „świniami polskiemi", nie mają dla niego nic prócz pogardy panów dla niewolników, a w nienasyconej żądzy bogactw prawić śmią o pożądliwości biednego najmity-proletarjusza, gdy domaga on się dla siebie choć trochę znośniejszego życia.

Dziś dla dwustutysięcznej masy robotniczej obwód przemysłowy górnośląski jest istnem piekłem na ziemi, dla garści niemieckich kapitalistów rajem, ziemią obiecaną, z której spływa dla nich szeroki potok złota, powstały z łez, potu i krwi rzesz robotniczych polskich.

Dziś obok wyciągniętych jak sznur kolonji robotniczych, pańskich kajdan dla robotników, gdzie ich przykuto do pobliskiej kopalni lub werku pod okiem pańkich dozorców, spotyka się tylko gdzie niegdzie pyszne pałace magnatów-kapitalistów, bo jest ich przecie tak niewielu...

Dziś obok nędzy dwustutysięcznej polskiej ludności robotniczej w górnośląskim obwodzie przemysłowym — przepych i nadmiar bogactw garści uprzywilejowanych magnatów.

Nigdzie też bodaj w państwie niemieckiem niema tak przygnębionych mas robotniczych, jak na Górnym Śląsku. Wiekowy ucisk i wyzysk brzemieniem swojem tak przytłoczył najmitów górnośląskich, że nie mogą się oni z niego otrząsnąć i poczuć się w masie siłą, w mocy której leży przekształcić obecne nieznośne stosunki górnośląskie na bardziej godne ludzkiego bytu.

Jeżeli dziś położenie robotników górnośląskich jest rozpaczliwem, o ileż gorszem ono było jeszcze w czasach minionych. Chcemy skreślić poniżej kilka kartek z przeszłości robotnika górnośląskiego, a zrozumiemy, czemu dzisiaj jeszcze tak źle jest z ruchem robotniczym w tej prastarej dzielnicy piastowskiej, czemu usiłowania uświadomienia go wydają plon na razie tak mało obfity...

## Rozdział pierwszy.

### Od wcielenia do Prus, ku schyłkowi ośmnastego stulecia.

Przemysłowy robotnik górnośląski jest w prostej linji dzieckiem wsi górnośląskiej, tej wsi pańszczyźnianej, w której pan uważał chłopa-poddańczuka jedynie za bydło robocze i tak go niemiłosiernie gnębił, że na wsi górnośląskiej wytworzyły się tak rozpaczliwe dla chłopów stosunki, jak nigdzie w Prusiech. Niedarmo też uczony badacz stosunków chłopskich w Prusiech przed uwłaszczeniem włościaństwa, profesor Knapp, o ile chce przedstawić, jak szalony ucisk musiał znosić chłop pod wodzą junkierstwa pruskiego, powołuje się wtedy zawsze na stosunki górnośląskie.

Zwycięskie wojny śląskie króla pruskiego Fryderyka drugiego doprowadziły do tego, że na mocy pokoju, zawartego we Wrocławiu w roku 1742, Górny Śląsk został przełączony do monarchji pruskiej. Głównem zajęciem ludności była tu podówczas praca na roli. Ona prawie wyłącznie dostarczała środków do życia. Z jednej strony mamy do czynienia z szlachtą niemiecką, lub choć pochodzenia polskiego, to już doszczętnie zniemczoną, która w ręku swem dzierży olbrzymie szmaty ziemi. Wystarczy, gdy wymienimy takich magnatów, jak książęta na Pszczynie, hrabiowie Henkel-Donnersmarki, von Schaffgotsche itd. Z drugiej natomiast strony widzimy polski lud wiesjki, jęczący w podwójnem jarzmie: poddaństwa i pańszczyzny. Odróżniano przytem dwie kategorje chłopów: zwykłych i tak zwanych ogrodników.

Posiadamy niejedno świadectwo z owej epoki, jak nie słychanie ciężkiem było położenie tych „pańskich poddanych“ Szczegółowo opisuje je Kaulfersch w brószurze swej, która bez podania autora (anonimowo) wyszła w Dreznie w r. 1786.

Dowiadujemy się z niej, że zwykli chłopi, których los był znośniejszym, muszą 4, 5, a nawet 6 dni w tygodniu chodzić do dworu, zależnie od „państwa“. Odbywają oni pańszczyznę zazwyczaj sprzężajem. Wskutek zbytniego przeciążenia pracą we dworze pozostaje im mało czasu, aby módz należycie chodzić koło swych własnych zagród. Szczególnie zaś uciążliwem jest położenie t. zw. ogrodników folwarcznych. Prawie wszędzie zobowiązani są oni stawać we dwie osoby przez wszystkie dni w tygodniu do pańszczyzny na roli, za co nie otrzymują żadnego lub bardzo niską zapłatę. Oprócz tego mają oni powinności, jakich nie posiadają zwykli chłopi: muszą żąć, otrzymując za to dwunasty snop, i młócić, za co otrzymują szesnastą część wymłotu.

Zarówno chłopi jak i ogrodnicy mają obowiązek na zawołanie dostarczać „państwu“ dzieci swe do służby na dworze: za parobków lub dziewki folwarczne. Służba takiej czeladzi folwarczej trwa 6 do 8, niekiedy 10 lat i jest bardzo uciążliwa. „Niektórzy chłopi odczuwają — powiada Kaulfersch — swe jarzmo i buntują się. A gdy państwo grozi takiemu opornemu turmą, często odpowiają wprost w twarz: lepiej dziesięć lat w kaźni pracować, niż dwa lata być poddanym Waszej Wielmożności...“

Ten sam autor pisze nieco dalej: „Mięso bydląt zdechłych lub spalonych żywcem, zasypanych gruzami, zjadają (chłopi górnośląscy) jako przysmaki i wyszukują z pod gruzów. Po większej części chadzają boso, a odzież w lecie składa się z koszuli zgrzebnej i portek. Ba, bywa, że niewiasty, młode i stare, w październiku jeszcze — sam to widziałem w roku 1782 — chadzają zgoła bez koszuli, odziane tylko spódnicą i kaftanem, a i kaftan już się spiąć nie da i świecą nagą piersią i brzuchem aż po biodra. Najczęściej, gdy umrze chłop, trumnę mu skołaczą z desek od gnoju i tak go pochowają.“

Takie rozkoszne życie wiedli chłopi górnośląscy około roku 1786!

Nic zatem dziwnego, że wskutek długowiekowego, ciężkiego ucisku polski lud wiejski na Górnym Śląsku znajdował się na bardzo niskim stopniu kultury. Był on nieoświecony zupełnie, nadzwyczaj zabobonny, chętnie oddawał się lenistwu i pijaństwu.

Nędzne, niedostateczne odżywianie się, w połączeniu z nadmierną pracą, wywoływało częste grasowanie chorób i wielką śmiertelność. Do czego w owych czasach doprowadzała niepomiernie ciężka pańszczyzna, o tem świadczy na przykład opis stosunków górnośląskich w czasopiśmie „Oberschlesische Monatsschrift“, wydawanem w Grotkowie w roku 1788, w którem w pewnem artykule pomiędzy innemi czytamy: „Bardzo często bierze się tutaj (t. j. na Górnym Śląsku) dwudziestoletnich a nawet starszych ludzi za dwunastoletnie dzieci“.

W dodatku nowy rząd prawie nic nie robił, aby ludność górnośląską podnieść na wyższy szczebel rozwoju kulturalnego. Coprawda zaczęto zakładać po wsiach nowe szkoły, aby tym sposobem podźwignąć stopień oświaty pańszczyźnianych chłopów. Lecz siła nauczycielskie, w jakie nowe te szkoły zaopatrzono, były tak niewystarczające a nawet nędzne — byli to przeważnie wysłużeni żołnierze, którzy częstokroć sami zaledwie umieli czytać i pisać — i przytem stosowana metoda nauczania z gruntu tak fałszywa, gdyż starano się dzieciom polskich chłopów narzucić gwałtem język niemiecki, że wobec tego takie szkoły nie mogły osiągnąć swego celu. Dodać jeszcze należy, że od samego początku rząd pruski mniemał, że „uszczęśliwi“ biedny lud górnośląski, wszczepiając weń za pomocą giermanizacji — w którym to celu wydano cały szereg rozporządzeń — wyższą oświatę i kulturę niemiecką, przedsięwzięcie, jakie dotychczas jest stosowanem i które stanowi prawdziwy hamulec dla rozwoju kulturalnego polskiego ludu na Górnym Śląsku.

(Ciąg dalszy nastąpi).

## Rozmaitości

**Ciekawy jubileusz.** Z Berlina donoszą: W roku 1911 przypada ciekawy jubileusz. Oto właśnie mija 200 lat, od czasu, jak poraz pierwszy w Berlinie pochowano aktora na chrześćjańskim cmentarzu. Dotąd aktorzy, linoskoczki, komedjanci itd. uważani byli za ludzi podrzędnej wartości, traktowano ich, jako cyganów lub ulicników. Kupcy np. nie dawali kredytu aktorom, ponieważ sądy nie przyjmowały skarg przeciw aktorom. Chowano aktorów tam, gdzie chowani byli samobójcy i zbrodniarze. Dogiero w r. 1711 pochowano po raz pierwszy aktora Jakóba Szellera na cmentarzu chrześćjańskim w Berlinie.

**Zbrodnia pod Paryżem.** W lesie pod Paryżem znaleziono w niedzielę mężczyznę że związanemi nogami, przywiązanego do drzewa, na wpół zamarzłego, ubranego w łachmany. Ocucony opowiedział, że nazywa się Harry Müller jest kupcem z Ameryki i przybył do Paryża celem poczynienia zamówień. Miał on przy sobie 1000 dolarów i złoty zegarek. Chcąc wyjechać do Marsylji, udał się na dworzec kolejowy, lecz skutkiem pomyłki przybył na niewłaściwy dworzec. Na dworcu przedstawił mu się jakiś pan, który w języku angielskim ofiarował mu się przewieźć go na właściwy dworzec automobilem. Nieznajomy ów woził Müllera przez godzinę, aż wreszcie zatrzymał wóz przed domem, do którego go wprowadził. Portjer tego domu odebrał od Müllera pakunki, zaś nieznajomy wprowadził go do wnętrza domu, gdzie w pokoju znajdowało się 12 osób, w tem dwie kobiety. Wszyscy byli elegancko ubrani. — Dwaj mężczyźni rzucili się na Müllera i pod groźbą rewolwerów zmusili go do rozebrania się i do ubrania w łachmany. Pod strażą trzymano go w tym domu od godz. 7 wieczór do drugiego wieczora. Wieczorem zawieziono go do lasu i przywiązano do drzewa, zaś przedtem wlano mu w usta jakiś narkotyk. Zabrano mu 1000 dolarów, złoty zegarek i ubranie.

Sprawa budzi tem większą sensację, że przed kilku dniami dokonano podobnego zamachu na pewnego kupca paryskiego.

**Dżuma na terenie rosyjsko-mandżurskim.** Do Petersburga nadeszły bardzo groźne wiadomości o coraz większym wzroście epidemji dżumy na dalekim Wschodzie. Chorych i zmarłych liczą na tysiące. Zachodzi obaw dalszego rozpowszechnienia epidemji.

Pisma donoszą z Charbina, że pierwszym, który stwierdził dżumę sam na sobie, był lekarz francuski Meunier. Pielęgnującym go lekarzom polecił studjować na nim przebieg choroby w interesie nauki, dodając, że swoją śmiercią chciałby się na coś przydać.

Ponieważ dżumę zawlekli już kulisi, powracający z Mandżurji do różnych okolic Chin, władzy chińskie zajęły się przedsięwzięciem środków zapobiegawczych przeciwko dalszemu szerzeniu się epidemji.

**Pani Curie-Skłodowska nie wybrana!** Francuska Akademja umiejętności wybrała w miejsce zmarłego członka Gernesa po dwukrotnym wyborze fizyka Branly'a członkiem 30 głosami przeciw 28 głosom, które padły na p. Curie Skłodowską.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 5. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 4 lutego 1911.

MARCELI SACHS.

## LAUREAT.

A gdy ostatni gość wyszedł i w salonie, rozbrzmiewającym przed chwilą głośnemi i wysołemi śmiechmi, ożywionemi rozmowami i krystalicznym brzękiem trącanych kielichów, zrobiło się naraz bardzo cicho i bardzo pusto, zasłużony laureat raz jeszcze spojrzał rozrzewnionym wzrokiem na wszystkie dary, które mu dzień ten przyniósł, i zmęczonemi krokami powlókł się do sypialni.

Z drugiego pokoju dochodziły poprzez zawieszone ciężkiemi kotarami drzwi czyjeś przytłumione głosy i ostre, nieprzyjemne dźwięki zbieranych ze stołu naczyń. Jeszcze zaszemrały po miękim dywanie salonu drobne kroki, słychać było, jak ktoś zakręca, jedną po drugiej lampy elektryczne, potem zaskrzypiały drzwi i już nic nie mąciło głębokiej nocnej głuszy.

Wyczerpany i osłabiony laureat powoli zdejmował z siebie uroczyste swe stroje, bezładnie rzucał je na obok stojące krzesło i z wyrazem ulgi na zbróżdżonej twarzy położył się do łóżka. W sypialni, zwisając z samego środka sufitu, płonęła jeszcze maleńka lampa, ale już pierwsze blaski świtu wkradały się przez szpary portjer i mąciły szarością swoją jednostajność świata.

Laureat był senny i ziewał. Czuł jednak, że, mimo całe zmęczenie, nie zaśnie w tak jasno oświetlonym pokoju i po długiem zmaganiu się i wahaniu leniwie wysunął się z pod kołdry i bosemi nogami zadreptał po podłodze. Guzik lampy elektrycznej czernił się maleńką plamką tuż przy samych drzwiach, wiodących do salonu. Gdy laureat ujął go już w palce, jakaś nagła ciekawość kazała mu odsunąć kotarę i zajrzeć do wnętrza przeległego pokoju. Trzymając cięgle palce na czarnym guziku, swobodną rękę otworzył drzwi i w bok szarpnął ciężką materję zasłony.

Na wszystkich prawie stolikach, rozrzuconych po obszernym, w mgle tonącym, salonie, barwiły się świeże kwiaty, dyszące upojną wonią kwitnącej wiosny. Gdzieś w kącie, opierając się jednym końcem o wielkie tremo, a drugim, gubiącym się w kunsztownem wiązaniu wstążek, dotykając podłogi, zielenił się potężny wieniec laurowy. Na wstęgach jego widniały jakieś napisy. A przy nim na maleńkim stołku leżała gruba i wielka księga, jakby jakiś starodawny foljał, oprawna w białę skórę i złotą klamrą zamknięta. Jeszcze dalej, na krzesłach i fotelach widniały stosy gazet i zwisały z poręczy, mieniąc się wszystkiemi kolorami, uprzednio od kwiatów odjęte, jedwabne i atłasowe szarfy.

W salonie było cicho, poważnie i szaro. Zdało się, że oto przed chwilą wyniesiono z niego zwłoki czyjeś, a w osamotnionym przez wszystkich pokoju zostały tylko kwiaty, i wieńce, i wstęgi i unoszące się śród ciężkiej woni ostatnie wspomnienie. I wydało się dziwnem bardzo, że znalazł się jednak tutaj człowiek żyjący, który spokojnie i w milczeniu spogląda na wszystko. Stary i siwy, o twarzy bladej i szczupłej, z oczyma, patrzącemi skądciś z głębi, jakby ich wzrok szedł z najdalszej części czaszki.

Sięgnął ręką do najbliższego stolika, wziął atamtąd wiązankę kwiecia, uniósł ją do twarzy, długo wchłaniał jej woń, a potem znudzonym ruchem precz ją odrzucił. Zatrzymał jeszcze przez chwilę wzrok na wieńcu laurowym, a przerzuciwszy wnet spojrzenie na wielką księgę, powiedział półgłosem, jakby czytał wypalony na niej napis, dwa krótkie słowa:

— Złote myśli...

I widocznie w słowach tych znalazł jakąś treść ukrytą, a sobie jednemu jeno znaną, bo przez twarz przebiegły mu jakieś drżenia lekkie, które szybko zbiegły się w kątach warg i tam zachybotały skrzywionym uśmiechem. Zmęczony i senny przymknął swe dziwne oczy, postąpił nieco w bok, jakby się zachwiał i równowagę utracił. A kiedy znów podniósł powieki, ujrzał swą postać, odbitą niewyraźnie i mglisto w wielkiem, aż do sufitu sięgającem zwierciadle. Jakaś żałość i bezradność biła od tego człowieka, spowitego w szarą mgłę, w krótkiej koszuli, z obnażonemi, cienkiemi jak martwe badyle nogami.

Laureat cofnął się szybko, zamknął drzwi za sobą, opuścił kotarę i przekręcił guzik. Lampa zagasła i tylko jeszcze krótko bardzo krwawem pasmem żarzył się w niej rozpalony drut. I w pokoju zrobiło się mętnie, jakby go naraz napełniły gęste bardzo chmury czarnego i ciężkiego dymu.

Laureat znów położył się do łóżka, nakrył się szczelnie aż pod szyję atłasową, lekką kołdrą i mocno opuścił powieki. Słabość i zmęczenie objęty ciało jego i leniwemi, gęstemi falami przelewały się przez żyły. Już prawie zasypiał, ale jeszcze w myśli przewijały mu się splątane obrazy przeżytego dnia, w którym było tyle podniosłości, radosnej dumy i wielkiego, zalewającego serce wzruszenia. Oddzielne zdania i słowa wygłoszonych uroczyście mów i toastów, płynące ze wszystkich stron gorące życzenia, ogniste wybuchy zachwytu, stosy depesz i listów, góry kwiatów, wstążek i laurów.

Nierównym i gwałtownym deszczem biły o mózg poszarpane szczegóły, stłumione urywki wspomnień i jakieś błogie odgłosy czegoś niejasnego, wijącego się długą nicią i brzęczącego, niby struna, rozlewną pieśnią pszczelego ula. I zrobiło się wokół bardzo cicho i ogromnie spokojnie, i już o niczem nie myślał laureat, bo pogrążył się w jakieś wielkie, bezdenne, miękkie i kołyszące morze szczęśliwego snu.

Lecz naraz zatrwożył się bardzo. Posłyszał czyjeś głośne i awanturnicze wołania, jakaś pięść w zniecierpliwieniu waliła w deski drzwi i ktoś zuchwale śród nocy naciskał guzik elektrycznego dzwonka.

Laureat w złości i strachu zerwał się z łóżka, pobiegł szybko do przedpokoju i drżącym głosem zapytał niespokojnie:

— Kto tam?...

Stukanie i dzwonienie ustało, krzyki urwały się nagle. Za drzwiami rozległy się czyjeś spokojne słowa.

— Otwórz, to ja, spóźniony gość.

Jakimś bardzo znajomym i bardzo bliskim wydało się laureatowi brzmienie tego głosu. Otworzył więc ostrożnie i powoli drzwi. Na progu stał młodzieniec jakiś. Twarz miał beztroską i jasną, oczy wysołe, zasnute przejrzyst

mgłą melancholijnej zadumy, czoło wysokie i białe i wijące się nad nim bezładnie bujne włosy.

Laureat zdziwionym wzrokiem spoglądał na gościa. Wiedział, że kiedyś, dawno już bardzo widział tę twarz, przypomniał sobie nawet zupełnie dokładnie jej rysy. Młodzieniec wszedł do przedpokoju, zamknął za sobą drzwi, a potem, widząc zdumienie zasłużonego laureata, zapytał go szyderczo:

— I cóż, nie poznajesz mnie nawet?...

— Coś, coś sobie przypominam, ale tak jasno zupełnie nie mogę się zorjentować jeszcze, — odrzekł powoli laureat, starając się ciągle wywołać w myśli to zapomniane wspomnienie.

— Tak, to trudno, — rzekł, i jakimś smutkiem bolesnym dźwięczał głos jego, — bo to było już tak dawno, już tyle, tyle lat temu....

Potem ujął za rękę nic nie pojmującego laureata i powiódł go za sobą do salonu. Ze wszystkich stron płynęła woń kwiecia, gdzieś na krześle barwiły się różnokolorowe wstęgi, a w kącie jakimś zielenił się wieniec laurowy. Szli tak długo w milczeniu po tłumiącym kroki puszystym dywanie, aż wreszcie zatrzymali się przed kryształowem lustrem. Spojrzeli w nie obaj i tam wzrok ich się spotkał. Młodzieniec patrzył zuchwale i przenikliwie, jakby chciał spojrzeniem swem dotrzeć aż do mózgu starego pisarza, którego nędzna, słaba i drżąca postać, spowita w krótką koszulę, odbijała się wyraźnie w zwierciedle. Laureat też długo spoglądał w lustro, a potem, w jakiemś zawstydzeniu palącem, wzrok ku ziemi opuścił. Młodzieniec zakrył twarz dłonią, rozpaczliwie głową pokiwał i z ust jego, niby szloch straszny, wyrwał się łzawy szept:

— I to ja jestem...

Laureat, przeczuwając coś złego, chciał wyciągnąć dłoń swą z dłoni młodzieńca. Zaszamotał się i szarpnął, lecz próżno, bo trzymająca go ręka miała palce ściśnięte, jak kleszcze żelazne. I znów poprowadził go młodzieniec po salonie. Ujmował jedną po drugiej wiązanki kwiecia, gniótł w latającej nerwowo dłoni i, jak zgniłe i brudne ochłapy, któremi się brzydził, z wstrętem od siebie odrzucał. A gdy spostrzegł wielką i grubą księgę, spoczywającą poważnie przy olbrzymim wieńcu laurowym i gdy przeczytał na oprawie jej wypalone słowa, w jakiejś bezradnej słabości otworzyła się kurczowo zamknięta dłoń jego, uwalniając zsiniałą starczą rękę laureata.

Laureat poczuł ulgę i odetchnął. Zdawało mu się, że już wyswobodził się z pod tej brutalnej przemocy, którą go zniewalał ten niepożądany i wrogi gość. Chciał się cofnąć do drzwi, chwycić za dzwonek i głośnym krzykiem zaalarmować służbę. Lecz nim zdołał choćby jeden krok uczynić, już ujrzał utkwiony w sobie straszny i obezwładniający wzrok jasnych i młodych oczu.

Młodzieniec trzymał w obu rękach ciężką księgą i szedł z nią, jakby w nagłej ślepocie, nieprzytomnym krokiem wprost na starca. I laureat cofnął się przed nim powoli, krok za krokiem, blady, z drżącemi i sinemi wargami, niby widmo grobowe. A kiedy już tyłem głowy mocno o ścianę uderzył i zmuszony był stanąć nagle, młodzieniec podał mu rozwartą księgę i, ciężko dysząc, rzekł złamanym i bezsilnym głosem:

— Czytaj...

W krótkiem tem słowie dźwięczał taki nieugięty rozkaz, że laureatowi sił i odwagi zbrakło, by się mu sprzeciwić. Zebrał ostatki opuszczającej go mocy, zwilżył spękane od gorączki usta gęstą i słoną śliną i począł czytać. Jedno za drugiem płynęły słowa. Zdało się, że nie z ludzkich warg płyną, lecz że gdzieś zamknięte w ciasnej żelaznej trumnie, trąc się o skrzypiące próchno, biją o siebie wzajem na poły zgniłe piszczele. Sączył się jad starości bezwładnej, obłudna ślina tchórzliwej mądrości i nudna, do snu kołysząca, pieśń o bohaterstwie niewoli tucznej i wygodnej. Wielki i ciężkie krople błotne z jednostajnym szmerem ospale i sennie padały do złotego puharu.

I już nie mógł skończyć czytania laureat, bo tuż nad samą jego głową rozległ się zrazu piskliwy śmiech, co niby szalone ostrze zatańczył mu gdzieś w głębi uszu, a potem cały salon, odbijając od ściany do ściany, zahuczał dzikim, obłąkanym płaczem.

Stał przed nim młodzieniec z rękoma na krzyż rozpostartemi, z piersią podrzucaną łkaniami, a z oczu jego czystych i jasnych spływały wielkie purpurowe, krwawe łzy. I jakiś ogromny strach i niepokój, bolesny smutek, odebrały laureatowi ostatki sił. Poczuł na sercu swem potężne brzemię, które się rozparło w piersi i wtłaczało się w gardło. Chciał coś mówić i pytać, uspakajać, przepraszać i błagać. Ale młodzieniec już płakać przestał. Na twarzy skrzepły mu łzy i barwiły się na policzku długim czerwonym sznurem, niby pasmo korali. I znów, z obliczem aż do bezduszności spokojnem ujął dłoń starca i poprowadził go aż na drugi koniec obszernego salonu. Podeszli do jakiegoś stołu. Młodzieniec wyciągnął zeń szufladę i wyjął z jej najdalszego kąta zwitek starych i pożółkłych papierów, Były one starannie ułożone i przez pół związane wyblakłą niegdyś niebieską wstążeczką.

Brał młodzieniec do ręki kartkę po kartce ostrożnie i troskliwie, jakby się bał, by nie rozpadły mu się one, zbutwiałe od starości w pył, i słonecznemi oczyma wchłaniał ich słowa. A potem, po wielu, wielu chwilach podał je laureatowi i rzekł cicho:

— A teraz to czytaj...

Ujął je starzec w drżącą dłoń i długo patrzał na nie zdziwiony i milczał. Aż wreszcie wylęknionym i szczerym głosem powiedział:

— Nie znam liter pisma tego, obce mi są słowa niemi skreślone i niepojęta treść...

Młodzieniec patrzył uporczywie w twarz laureata. Wypuścił z swej dłoni dłoń jego i w tył się nieco cofnął. Namyślał się długo i długo milczał. A potem jakimś podziemnym szeptem zapytał:

— Dlaczego mnie zabiłeś?...

Laureata mróz przeszył. Skurczył się i zmalał i ręce rozpaczliwie zawinął. Drżały mu szczęki i ząb o ząb uderzał. Młodzieniec czekał cierpliwie na odpowiedź, ale ani jeden dźwięk nie doszedł jego uszu. I znów tym samym szeptem zapytał:

— Dlaczego mnie zabiłeś?...

I jeszcze dalej odszedł. Laureat patrzył nań w milczeniu i widział, jak coraz bardziej oddalał się od niego. Młodzieniec stał już przy drzwiach samych z twarzą ciągle do starca zwróconą. I naraz powolnym ruchem rąk obu rozwarł odzienie na piersiach i w strzępy podarł koszulę.

Laureat zamarł. Dławił się krzykiem i pienił. Obłędnym, przerażonym wzrokiem spoglądał na pierś młodzieńca. Widział wielką zczerniałą skorupę i sączącą się z lewej strony maleńkiemi kroplami stężałą krew.

Lekko i cicho otworzyły się drzwi i równie lekko i cicho zamknęły się za młodzieńcem. Dokoła zapanowała głusza bezmierna i otchłanny mrok. I tylko jakiś okropny lęk przyczołgał się do stóp starca i, niby długi wąż owinął czoło jego.

Laureat zebrał resztki sił, szarpnął się gwałtownie i rozpaczliwie krzyknął. Rozproszyła się cisza i rozsunął mrok. Z oczu zeszło zmęczenie i ciało opuściła niemoc. Długo jeszcze ciężko dyszał i nerwowo tarł dłonią spocone i gorące czoło.

A gdy już zupełnie podniósł powieki i nad głową swoją ujrzał malowane i sine freski, białe sklepienie sufitu, odetchnął z ulgą niepomierną. Ale jeszcze nie wierzył sam sobie widocznie, bo szybko wyskoczył z ciepłego i miękiego łóżka i pobiegł do salonu. Nic tam nie było ruszone. Wszystko spoczywało na tych samych miejscach, co i wczoraj wieczorem: i kwiaty i wstęgi i laury i wielka, w skórę oprawiona księga,,.

I ujrzał laureat odbitą w lustrze swą postać w krótkiej koszuli, z obnażonemi, cienkiemi, jak martwe badyle nogami. I ujął w swą słabą i drżącą rękę potężny wieniec laurowy i z rozrzewnieniem długo bardzo nań spoglądał...

„Wolna Trybuna".

# Z przeszłości przemysłowego robotnika górnośląskiego.

Szkic historyczno-ekonomiczny.

Napisał Emil Caspari.

(Ciąg dalszy.)

Położenie ludności wiejskiej pogorszyło się wkrótce jeszcze przez to, że rząd zaraz po zagarnięciu kraju zwrócił baczną uwagę na skarby, ukryte w łonie ziemi. W drugiej połowie ośmnastego stulecia zostają założone królewskie zakłady hutnicze w Ozimku oraz Kuźnia Kluczborska wśród obszernych lasów powiatu opolskiego. Za przykładem rządu poszli rychło panowi magnaci, zakładając również rozliczne werki. Działalności tej sprzyjała ustawa górnicza z 5 go lipca 1769 roku, na mocy której ruda żelazna oraz inne kruszcze nie należały do t. zw. regaljów, tak że właściciele gruntów mogli z nich bez jakiego bądź skrępowania skorzystać.

Teraz, gdy zaczęto eksploatować bogactwa kopalniane kraju, pańszczyzna przybrała formy jeszcze bardziej potworne. Na ziemi i pod ziemią pracował teraz chłop polski na Górnym Śląsku: batogiem ekonom napędzał do pańszczyzny na ziemi folwarcznej, pałką — majster górniczy do pracy w kopalni. Kopalnie i huty wymagały nietylko rąk ludzkich lecz również i siły sprzężajnej: trzeba było wozić rudę do fryszerni, odstawiać na dziesiątki mil żelazo i cynk; chłop miał obowiązek dostarczać nędznych swych koni w liczne dni do roku do tych furmanek.*)

Wprawdzie poczęto spowadzać obcych górników i hutników ze stron niemieckich — przeważnie ze Śląska Dolnego — budowano dla nich kolonje, aby zapewnić sobie stałe, wykwalifikowane siły robocze, główną jednak ich część stanowili przez długie lata pańszczyźniani chłopi. Tak np. dla fiskalnych zakładów w Ozimku i Kuźni Kluczborskiej chłopi z królewszczyzn powiatu opolskiego obowiązani byli dowozić rudę i drzewo, które podówczas wyłącznie używano tam jako paliwo, bo węgla że prawie jeszcze nie znano. Ucisk, jakiemu biedacy ci przytem ulegać musieli, tak musiał być wielkim, że wreszcie przebrała się u nich miara cierpliwości. W roku 1761 chłopi ci zbuntowali się. Siła wojskowa pouczyła ich, że takich „zdrożności“ bezkarnie chłopu robić nie wolno. Zrozpaczeni chłopi wracać musieli do dawnego jarzma.

Wszelkie dane przemawiają za tem, że w zakładach przywatnych jeszcze gorzej było. Posiadamy wskazówki, że chłopi powiatów gliwickiego i bytomskiego — gdzie najwięcej było zakładów przemysłowych — podnieśli jawny rokosz w roku 1790. I w tym wypadku nauczyła ich posłuszeństwa siła wojskowa.

Początkowo hutnictwo było mało znaczącem. Prowadzone było technicznie bardzo pierwotnie. Zwrot nastąpił tutaj dopiero od roku 1780. W roku tym królewski urząd nadgórniczy, ze siedzibą we Wrocławiu, przejmuje administrację zakładów w Ozimku oraz w Kuźni Kluczborskiej, wprowadzając cały szereg udoskonaleń technicznych. W roku 1794 zakłada on werki w Gliwicach, w cztery lata potem słynne zakłady w Królawskiej Hucie, przyczem zostaje zastosowaną po raz pierwszy siła pary do poruszania t. zw. maszyn wiatrowych.

Przechodząc teraz do górnictwa węgla kamiennego, zaznaczyć trzeba, że wydobywanie węgla w ośmnastem stuleciu było jeszcze tak niewielkiem, że na przykład w sprawozdaniach głównego urzędu górniczego nie posiadamy o niem przez dłuższy czas żadnej wzmianki. Dopiero w roku 1781 po raz pierwszy jest w nich mowa o kopalnich pod Hulczynem (w powiecie raciborskim). Roczna ich wytwórczość miała wynosić zeledwo 10 tysięcy szefli. Wiedziano wprawdzie o istnieniu bogatych pokładów węgla, lecz nie umiano go zastosować jako materjału opałowego przy wytapianiu zwłaszcza żelaza, a także i innych metalów. Szybka zmiana nastąpiła wtedy, gdy hrabia Reden zaczął stosować węgiel kamienny w postaci koksu przy wytapianiu żelaza surowcowego. Działalność jego na Śląsku datuje od roku 1781.

Z powyższego przedstawienia widzimy, że przemysł górniczy i hutniczy był podówczas na Górnym Śląsku dopioro w pierwszych okresach swego rozwoju, stawiając pierwsze swe kroki.

O przemysłowej klasie robotniczej, w ścisłem znaczeniu tego słowa, trudno wtedy było mówić: główny kotyngient sił roboczych stanowili chłopi pańszczyźniani, przykuci prawem do ziemi.

O stosunkach zarobkowych, jakie podówczas panowały na Górnym Śląsku, znajdujemy ciekawą wzmiankę u Schumella.*)

„Wprzęga on (t. j. chłop pańszczyźniany) dwie swe szkapiny do wozu, jedzie półtorej mili do kopalni (kruszczu), łopatą naładowuje wóz, potem jedzie na hutę, wyładowuje kruszec i otrzymuje za to razem 8 groszy srebrnych. Zrobił on zatem tam i z powrotem trzy mile drogi pieszo, powinienby przecie za to otrzymać 6 groszy srebrnych, a za naładowanie i wyładowanie osobno po dwa grosze srebrne! Co zaś pozostaje się z tego dla koni? A mimo to takie życie podoba się górnoślązakowi! (?) Czy można to nazwać lenistwem i czy dolnoślązak za płacę całodzienną ośmiu groszy srebrnych ruszałby z wozem, nie mówiąc już o tem, aby tyle pracować i biegać?“

Słowa te naocznego świadka najlepiej charakteryzują, jak niewielkie wymagania posiadał wtedy lud górnośląski i jak licho był opłacany.

Stosunki mieszkaniowe z owego czasu opisuje pewien inny obserwator życia gornośląskiego w ten sposób (z roku 1790):**

„Pomieszczenie, które nazywa się izbą, mieści porą zimową liczną rodzinę: nawpół nagie dzieci i odżyci starcy w jednych tylko portkach, które obrażają uczucie wstydu; obok nich — współżyjące z rodziną bardzo harmonijnie — cielęta, świnie; tuż cały zapas do spożycia kartofli i innych jarzyn. Wszędzie takie pomieszczenie to najsmutniejsze dowody biedy, nieładu, brudu. I w takiem pomieszczeniu, w którem unosi się najbardziej zabójcze powietrze, śledzi rodzina i żywi się najjałowszą, najmniej pożywną strawą i jest zdrowa i zadowolona. Wódka jest bożyszczem tych ludzi.“ (Ciąg dalszy nastąpi).

*) Dr. J. B. Marchlewski: Stosunki społeczno-ekonomiczne w ziemiach polskich zaboru pruskiego. Lwów 1903. str. 103

*) J. G. Schummel: Reise durch Schlesien im Juli und August 1791. Breslau 1792.

**) S. Jakobi: Ländliche Zustände in Schlesien. Breslau 1884, str. 190.

Prof. Garret P. Serviss.

# Wysychanie kuli ziemskiej.

Fakt ubywania wody na ziemi nie ulega wątpliwości; obejrzenie się po powierzni ziemi dostarcza ku temu niezbitych dowodów. Największy z ziemskich kontynentów, Azja ma po środku olbrzymią pustynię Gobi czyli Szamo. Afryka posiada Saharę. Obie one wyschły stopniowo przed czasami hjstorycznemi i ludzie dopiero od niedawna zaczęli się nad przyczynami tego zastanawiać.

W Azji proces wysychania i teraz robi ciągłe postępy i niezawodnie kiedyś susza zapanuje na całą tą częścią świata.

W samym środku olbrzymiej pustyni Gobi znajduje się małe słone jezioro, Łob — Nor, które z każdym dziesiątkiem lat zmniejsza swoją powierzchnię, a piaszczysty grunt naokoło niego zmniejsza się. Okolice tej ogromnej wyschłej przestrzeni są jeszcze zamieszkałe przez nielicznych koczowników, podobnież jak i Sachara afrykańska.

Jezioro Łob — Nor nie jest jedyną resztką po morzu w środku Azji; jeżeli posuniemy się na wschód, znajdziemy

tam słone Jeziora: Issyk-Kuł, Bałkasz, Aralskie, a nawet Kaspijskie; wszystkie one kiedyś musiały być połączone między sobą i za pomocą Morza Czarnego ze Śródziemnem, które swoją drogą jest tylko głębszą częścią morza, pokrywającego niegdyś Saharę. Wszystkie wyżej wyszczególnione słone jeziora azjatyckie stopniowo zmniejszają się.

Innych ziem w Azji, zamieniających się w pustynię także nie brak, np: Arabja, Syrja i Beludżystan.

To wysychanie ziem w Azji bywa czasami przerywanem; ocean może nawet niwelować i pochłaniać części kontynentów, może nawet kiedyś pokryć całą powierzchnię stałego lądu, ale faktem jest niezaprzeczonym, że masa wody wsiąka w skorupę ziemską, jak w cement i stale się zmniejsza.

W Stanach Zjednoczonych jest także resztka słonej wody, w postaci Salt Lacke w Utach, otoczone piaszczystą pustynią.

Człowiek może walczyć z suszą za pomocą „irrygacji, ale jest to tylko możliwem, gdy znaczne rzeki przerzynają pustynię, ale z biegiem czasu nawadnianie stanie się niewykonalnem.

Człowiek może walczyć z suszą zwycięsko przez czas pewien, ale na stałe jest to niemożebnem; — prawo natury sprzeciwia się temu. Środkowa Azja i Sachara dają nam najlepsze wyobrażenie wyschniętych przestrzeni; rzeki tam zmieniają swoje koryta, wysychają lub giną pośród piasków, gdy tymczasem archeologiczne poszukiwania i miejscowe legiendy świadczą o bujnem niegdyś życiu w tych okolicach.

Wysychanie naszego planety nie pochodzi z przyczyn klimatycznych, przeciwnie, klimat od tego zależy. Planeta, tak samo jak każdy żyjący organizm, starzeje się i umiera. Ziemia jest jeszcze pełną życia obecnie; ma oceany, rzeki, lasy, łąki i zwierzęta — jest jeszcze względnie młodą. Planetarna starość wyraża się przedewszystkiem przez stygnięcie i wysychanie. Masa stałej ziemi ma pragnienie, — jest to pragnienie chemiczne, pragnienie części stałych do wejścia w ściślejsze kombinacje ze składnikami wody, — jedyną przeszkodą ku temu jest rozpalony podskórek ziemi.

Można łatwo dowieść, iż części stałe, składające ziemię, są w stanie pochłonąć cały wodór i tlen znajdujący się w oceanach, jak tlen i azot znajdujący się w powietrzu i wypić chemicznie te materjały w miarę dostatecznego ochładzania się ziemi. Księżyc, jako dziecko ziemi miał kiedyś także wodę, powietrze i życie, ale jako znacznie mniejszy wystygł wcześniej i umarł. Trudno oznaczyć, czy za miljon lub za pięćdziesiąt miljonów lat, ale ziemia musi wyschnąć, zestarzeć się i życie organiczne na niej przestanie istnieć.

## Rozmaitości

**Najgrubsza książka świata.** Przed kilku dniami opuściła prasę „najgrubsza“ książka świata. Liczy 2538 stron, i to w jednym tomie. Książką tą jest „Kelly's Post Office Directory“, księga adresowa Londynu. Tego rodzaju wydawnictwo w tych rozmiarach posiadają tylko anglicy. Podczas ostatniego spisu w roku 1901 stwierdzono, że liczba mieszkańców Londynu wynosiła 4 536 272, z przedmieściami 6 581 272.

Londyn składa się z City i 28 przedmieść, bourghs Te bourghs, w których każde ma samodzielną radę miejską i własnego burmistrza, jak np. Westminster, Kensington, Holborn, bardzo dbają o swą samodzielność. Granice lokalne przestrzegane są bardzo ściśle, tak np., że w pobliżu gmachu parlamentu, gdzie znajduje się przeważna część gmachów rządowych, wszystkie napisy uliczne przypominają, że znajdujemy się w City of Westminster, bynajmniej nie w Londynie. Właściwy Londyn stanowi tylko City, liczące 4568 domów. Przed czterdziestu laty miała ta City 75 000 mieszkańców, dziś cyfra ta spadła do 17 000. I to jest w pojęciu anglika istotna liczba mieszkańców Londynu. Około 17 000 grupuje się reszta — $6^1/_2$ miljonów.

Z olbrzymiego materjału statystycznego księgi wybrać wystarczy cyfry najbardziej dla charakterystyki Londynu znamienne: O bogactwie miasta świadczy, że same towarzystwa ubezpieczeń od ognia zabezpieczają corocznie 1000 milionów funtów majątku (20 miljardów marek); takiej cyfry nie wykaże żadna z innych stolic świata. Z drugiej strony o ubóstwie mowi to, że co 33 mieszkaniec Londynu otrzymuje wsparcie dobroczynności publicznej. Co godzina rodzi się 16 obywateli Londynu, umiera 9. Około 3000 ludzi rocznie dostaje się do więzienia, 7000 ginie gwałtowną, nagłą śmiercią. Ta liczba nie jest znaczna w mieście, gdzie 30 000 wozów motorowych codziennie krąży po ulicach. Codzienne wybucha 10 pożarów. Cudzoziemców mieści Londyn 180 000, między nimi najliczniejszę grupę, 40 000, stanowią pochodzący z państwa rosyjskiego. Długość zbiorowa ulic Londynu wynosi 4000 kilometrów. Domów znajduje się 610 000, fabryk 28 000, teatrów koncesjonowanych 60, tyleż teatrzyków, „Varietes“ i hal koncertowych.

**Alkoholizm w Rosji.** Według wiadomości organu urzędowego rosyjskiego ministerjum skarbu, wypito w Rosji w r. 1909 ogółem 84 283 000 wiader wódki, t. zn. na głowę przypada średnio przeszło pół wiadra (0,6). Wydatek roczny na wódkę był w poszczególnych częściach państwa bardzo różny, bo gdy np. w Królestwie Polskiem przypadało na głowę 2 rb. 8 kop. wydatku rocznego na wódkę, to w okręgu t. zw. południowo-zachodnim wydatek ten wynosił przeszło dwa razy tyle, tj. 4 rb. 24 kop., a w okręgu południowym jeszcze więcej bo 5 rb. 12 kop. Z obliczeń urzędowych wynika, że największa trzeźwość panuje w Królestwie polskiem, ale i tu jeszcze alkoholizm jest straszną klęską, która pochłania rocznie około 70,000,000 rb. wydatku i zabiera tysiące ofiar, a której usunięcie wymagać będzie długiej i wytężonej walki.

W związku z tem zestawieniem podają pisma rosyjskie ciekawe obliczenia, dokonane przez posła do Izby Czełyszewa, odnoszące się do ilości ofiar, jakie pochłonęło używanie wódki w Rosji w przeciągu jednego roku. — Liczby te przedstawiają się następująco: Zmarło na zatrucie alkoholem 3,226 osób, utopiło się w stanie upojenia 9,176 osób, porozbijało się o stopnie i latarnie 2,896, zabiło się wskutek upadku w stanie upojenia 8,858, spaliło się w stanie upojenia 6,895, powiesiło się w stanie upojenia 1,359, otruło się w stanie upojenia 375 itd. Razem zginęło w Rosji bezpośrednio wskutek używania alkoholu w jednym roku 35.668 osób. Dodać należy, że z całej liczby ofiar 80 proc. przypada na klasy ubogie, a więc głównie na robotników.

**Straszna śmierć robotników.** Praca w hutach stali należy do najniebezpieczniejszych. Płynna stal pryska bardzo często i rani robotników nieraz bardzo ciężko. Manipulowanie nadto rozpalonym do białości płynem wymaga największej ostrożności i nigdy nie zawodzących urządzeń. O te ostatnie nie zbyt dbają właściciele fabryk, życie robotników nie jest dla nich aż tak cennem, by wydawali wielkie sumy na urządzenia fabryczne.

Swieżo zaszedł straszny wypadek w hucie stali w Bochum (w Westfalji). Robotnicy odlewali koła zębate. Olbrzymi tygiel zawierający 13 000 kilogramów przechylił się z powodu złamania dźwigni i część żelaza wylała się. Przodownik Henschki i robotnicy Harnischmacher i Roli oblani płynnym metalem w jednej chwili spłonęli tak, że nie zdołano odszukać resztek ich ciał. Robotnik Moll zdołał jeszcze w ostatniej chwili odskoczyć, doznał jednak tak ciężkich oparzeń, że zmarł tego samego dnia w szpitalu.

Z powodu bryzgania płynnej stali wielu robotników odniosło cięższe i lżejsze rany.

Na pobojowisku pracy wypadek ten straszny jest jednym z tysiącznych, w których robotnicy dla kapitału tuczącego się ich pracą, tracą życie i zdrowie. Życie robotnika jest tanie a los pozostałej po nim rodziny nie obchodzi nikogo. Ala te ofiary nie giną daremnie. Klasa robotnicza pamięta o nich, na ich strasznym losie uczy się widzieć przepaść między kapitałem bezdusznym, zachłannym, po trupach robotniczych idącym do coraz większych zysków. Proletarjat z kości ginących w kopalniach, fabrykach, ginących w interesie swoich wyzyskiwaczów czerpie nienawiść do kapitalizmu, który musi usunąć i zniszczyć, by ustał wyzysk, by ustało mordowanie tysięcy ludzi dla zysku garści bogaczy.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 6. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 11 lutego 1911.

JULJUSZ KADEN.

## Roznosicielka dzienników.

Deszcz się niósł skosem, bluzgał i chlapał w rynny, w ścieki charkał i pluł, niby piachem, czy wilgnym żwirem w oczy sypiąc. Wysoko nad blaskiem latarń i jeszcze wyżej nad domami oświetlonymi ognistym ślepiem lamp przeciągał się i bujał, niby drżąca chmura komarów. Zaś przez ten deszcz gęstą łachą wilgoci między niebem a ziemią rozesłany przewijały się chyżą taśmą oberwane, wystrzępione płaty śniegu. Ten deszcz i śnieg brał wiatr na błony zimnych skrzydeł i miótł i pędził i w trąbę skręcał i kotłował. Zdało się, że nad całem miastem nie smugi wichru w dal się rwą, nie chłodu i mrozu nurt czarną nocą przeciąga, a że oto gdzieś wyżej nad domami, zaplątawszy się między wieże kościołów i gnaty kominów fabrycznych ugrzązł straszliwy, ogromny gacek. Po ulicach skrzydłami trzepoce, na placach skrzydła zimne szarpie, prostuje do lotu, spręża i rozpręża i skrzydeł czarnych na drogach zmieścić nie może i na skrętach przecznicach o kanty domów ze świstem je łamie, pruje i drze.

A skręcone taśmy śniegu a podarte szmaty deszczu kłębią się i burzą, to się wznoszą, to spadają, to całą ulicą przyziemnym lotem tną.

Na wsiach posnęli ludzie w izbach na głucho zawalonych. Tylko zimowa noc tym wichrem nad wsiami jęczy, tylko mrok omamem strachu ścieżki owiewa. Wicher w kominach jęczy i wyje, mrok za oknami waruje... Ale się przecie wicher przez strzechę do izby nie wedrze, ale się przecie mrok przez małe szybki do izby nie przewlecze...

Nie to w mieście. Tu ludzie włożeni w dyby pośpiesznego musu czy deszcz, czy słota, czy pogoda, czy noc, czy słońce lecą i śpieszą. Snieg się z czarnego nieba białą rozwianą kosą topielicy wyczesuje, deszcz śrutem pada wiatr się połamanemi skrzydłami oszalałego ptaka w ciasnych ulicach miota. A miasto, niby ta pierś człowieka nigdy przed dolą — nie dolą nie obronna, niby ten wrzód rozgrzebany i nigdy nie zagojony leży świetlistą raną na czarnych dalach nocy rozpostarte. Ludzie w nim śpieszą, krążą, dążą...

Tramwaje, jak płomieniste gąsienice wloką się jeden za drugim tam i sam, a na skrętach w mgle dzwonią, rzekłbyś wystraszone serca, zdrożone dusze dzwonią w nich. Karety się plączą na wsze strony a koni w błocie nie słychać, ni kół gumą powleczonych. Zdaje się, nie karety a zapóźnione karawany cicho i trwożnie mkną. Zaś w nich bez trumien, odświętne odziane, we frakach i sukniach, w strojo i w blasku, o twarzach białych i nieruchomych trupy ludzkie gnają i pędzą, szukając trumien. To znów mimo ciżbę ludzką przepychają się samochody, te ciężkie chrąszcze miasta, uplątane w ostry smród, siejące na boki lepką grudą błota z pod kół, co zdają się lgnąć do bruku. Raz wraz rozpryskuje się tłum pojazdom drogę dając. A gdy te miną na nowo powleka i zaciąga się brudna droga czarnem mrowiem śpieszących ludzi.

Z ulicy w ulicę i do placu, z placu na plac i z miejsca na miejsce wedle czarnego zwału domów ciągną się równo sznury latarnianych świateł, niby te krwawe łzy, co noc z domów niedoli miejskiej płynące. Rzędy tych świateł płyną w gwiazdy się wiążą i znów rozwiązują i znów się plączą, a wiatr je prochem wilgoci zasypuje, kurzem kominów mąci i trawi popiołem spalenizny.

Wśród tego miasta, wieczorem, wyszedłszy z przedmieścia, z wązkich, niby głodem ściśniętych ulic, biegła kobieta, szła biegnąc i spiesząc, myśl bolejącą w sobie ważąc. W domu jej zostały dzieci. A te własne dzieci, nie dziećmi się jej zdały ludzkiemi, lecz gromadą piskląt jaskółczych, gromadą piskląt głodem i chłodem, spędzonych w jedną gromadę. A ta gromada zdała się jej jednem ciałem zziębniętem o kilku bladych ustach rozwartych, o ustach głodnych.

Och, ty jaskółko, ulubienico, co latasz między niebem a ziemię, latasz śmigle i śpiesznie, lekka, dorodna, cóż ci to znaczy wyżywić twe pisklęta! Nie to, co człowiekowi.

Bo człowiek, choć mu się robota w ręku pali choć mu się od łapczywego pośpiechu w oczach troi i mąci, bo człowiek choć mu się nogi od biegu gną osłabłe, choć piersi oddechem tak dążą, że aż wydążyć nie mogą, choć mu skronie tętnami młotów biją, choć się w nim serce tłucze pospieszne, niby ten dzwon na pożar — bo człowiek choć pada nie wydąża i doli swej wydolić nie zdoła..

Zdoła, czy nie, a ty się śpiesz — myślała roznosicielka — śpiesz się i zwijaj, bo nikt na ciebie nie zaczeka a pierwszy umknie ci zarobek, że go potem nie dogonisz, nie złapiesz ani za rogatkami, ani za dziesiątą wodą.

Przybiegła jeszcze w samą porę. W poczekalni na ławach około ścian siedziały jej koleżanki młodsze i starsze, spracowanemi rękoma zaciągające szerokie chustki na piersi. Zamieniły między sobą to i tamto słowo zmartwienia i utysku, jedna z drugą podzieliła się tym smutnym ułomkiem krzepiącego uśmiechu, podzieliły się wzajem tem westchnieniem w trudzie zmęczonej duszy wytchnionem, gdy drzwi od drukarni rozwarto. Ruszyły się kobiety jedna za drugą. W szerokie mocne fartuchy dostała każda umówioną liczbę numerów gazety do roznoszenia.

Przewiązały chustę przez piersi, kto jakim skrawkiem mógł, takim głowę natulił i hajda, w drogę.

Z nieba jak z przetaka na głowę się leje — czemże to głowę okryć. Chustka krzyżem ciepła te niewyczerpane piersi nędzarki grzejąca, niby pomaga, a przecie wilgoć włóknami chłodu po ciele spływa i ziębi, studzi i mrozi, jakże zaradzić. Buciska się już dawno rozgrajdały, ochłapem wystrzępionej skóry po bruku mlaszczą. I zwidziało się roznosicielce biegnącej, że to światło, co się na chodniku w bruzdach błota przewija i przetyka, to nie światło, a blask wozów skośnych, pod nogami grających. Biegła dalej pośpiesznie, długo i zdało się jej, że to światło co się w bruzdach błota przewija, to nie blask nożów, a one same, noże ostre, okrutne po których ubogi człowiek w miasto idący stopa, kaleczy się, na których wreszcie swe stopy rozpłatać musi.

Львівська Бібліотека
АН УРСР

Prawdziwie — myślała kobieta, — po nożach srogich i krwawych bieżysz tu nędzarzu, noże ku tobie ten bruk miejski szczerzy.

Zawsze miała ten strach, że się spóźni i nie zdąży w dół miasta do agiencji z dziennikami na sprzedaż uliczną. Wpadała po kolei od domu do domu, z sieni do sieni od drzwi do drzwi. Czepiając się poręczy, obiegała wysokie, ciche klatki schodowe, co chwilę przystając w utrudzeniu. A wtedy słyszała swe serce głośno bijące. Więc już nie folgując sobie, szła dalej, bo strach ją brał, czy serce nie bije za głośno, czy go nie usłyszą ludzie przez drzwi w wysokich swych pokojach.

W dziwnym zbiegu myśli zwidziało się jej, że te skrzynki do listów na drzwiach to nie co innego, tylko metalowe, zimne gęby nienajedzone. W te otwarte to szmatę papierową, ów ochłap zadrukowany, wciśniesz i lecisz dalej. Ale są inne nieznośniejsze. Mają metalową listwę, co je zamyka. Tę listwę niby twardą wargę podważyć musisz człowieku, a spiesz się! Zmarznięte palce na tej żelaznej wardze tną ci się i siniaczą, toboł gazet nuży cię i gnie. Albo trzymaj jedną ręką tę przykrywę zimną, a drugą, niby kluskę w gardło tuczonej gęsi tkaj gazetę.

A gdy poroznosiłeś wszystko, leć w dół miasta, hapnij twą rację gazet z agiencji, niby ten żywy słup, stań na skrzyżowaniu miejskich dróg i wołaj:

„Gwiazda, Czas, Wieczór, Ostatnia Chwila!“

Tak stając wpośród miejskiego gwaru, nieraz myślała co też w tych gazetach stoi.

„Gwiazda, Czas, Dzień, Wieczór, Ostatnia Chwila“.

Chyba, że wicher wołanie jej z ust kradł i na bok znosił, bo ludzie ją mijali nie przystając, nie kupując, jakoby nie słyszeli. Więc się zabrała z resztami sił i tchu. Zapaska papierem obciążona cięła ją przez biodra, niby piła. Więc ulżywszy se ciężaru, rękami podtrzymując, dalej krzyczała w dżdżyste, śniegiem zawieruszone cztery końce świata.

Gwiazda, Czas, Dzień, Wieczór, Ostatnia Chwila.

Śnieg cicho głaszcze czarne dachy domów i niby piórka pierza po murach w wietrze pędzi.

Umyśliła coby było, gdyby ten śnieg naprawdę pierzem się stał. Zbierałaby go dzień i noc, uzbierałaby pełne skrzynie. Ten śnieżny puch zaszyłaby w kołdry i poduszki, w ciepłe posłanie złożyłaby swoje niebożęta.

Cożeście się tak zagapili? — ktoś trącił ją. Kupił u niej gazetę.

Co ta w tych gazetach stoi — myślała. Literki jedne za drugiemi, ładne, odpocznięte, w rząd ustawione, okrągłe i tłuste. Papier, niby makiem usypany. Ale przecie nie na sen go ludzie biorą — a codzień, do czytania. Litery grzeczne schodzą się w słowa układne, a słowa w całe powiedzenia. Gazeta przemawia do ludzi, jak żywy człowiek. I ludzie czytają se te słowa zgrabnym drukiem powiedziane, nie na to przecie mają gazetę, co ona — żeby ten papier w poprzek złożyć przez plecy i piersi przewinąć, iżby od zimna chronił.

„Gwiazda, Czas, Dzień, Wieczór, Ostatnia Chwila“ — wołała dalej, przestępując z nogi na nogę.

Jak to tego druku znaki posiane są w papier niby ziarenka. Co ta z ciebie wyrośnie ty czarne ziarno, co z ciebie wyrasta na świecie, co? Myśli się jej rozprzęgły, sama nie wiedziała jak. Oczy zaś błędziły po placu i po wylotach pustych ulic, któremi burzliwie latał śnieżny wiatr. Zdaleka w głębi widoku u szczytu wielkiego domu błyskał i znikał raz po raz jakiś napis, piszący się na czarnej głębi nieba świetlistemi literami.

Teraz spostrzegła, że na domach, na oknach, po murze, na drzwiach, wszędzie się wiją napisy, na sklepach, na tramwajach, na progach domów, wszędzie się plotą.

„Gwiazda, Czas, Dzień, Ostatnia Chwila!“ — Głos się jej oberwał nagle. Wołanie uwięzło w ustach. Jakaś myśl ciężka, ciężka jak ołów utknęła w głowie. Ze wszystkich sił dała roznosicielka posłuch tej myśli. Zdało się kobiecie, że się w niej jakoweś ogromne czciony podnoszą, że się niby jakiś napis uwić, ukręcić pragnie. Czy się uwije?...

Po domach pełzną za dnia i w nocy czarne i białe i świecące i z samego światła ulane napisy. Popisane są okna i drzwi i słupy miejskie. Tramwaje i wozy i wszystko. Ona sama, taki przecie nędzny byle-kto nosi w zapasce tego nadrukowanego słowa jak maku, całe garście, całe mrowie. Wszędzie druk, wszędzie napis.

A te jej stopy nieszczęsne, co uganiają i z trudem się wloką po błocie miasta, to dwa wiecznym wyścigiem pokarane czcionki, co piszą, co odciskają w tem błocie jedno słowo, jeden krótki napis: Głód.

Ale to, co ona stopami swemi wydrepta, zmiażdży zaraz, rozdusi i rozgniecie powóz, koń, samochód i człowiek dostatnio, twardo obuty.

Już poszli spać ci co pisali, już śpią ci, którym pisane czytać się chciało. A ona waruje tu wciąż z korcem drukowanego słowa w fartuchu i czeka na spóźnionych. Całe miasto, cały świat tym drukiem do siebie gada. Ciągiem napisu niby wężem, oplątuje się i w jedność wiąże. Napisy się wloką niby kraciaste, zwinne jaszczurki z ulicy w ulicę przez okna, przez drzwi wysoko, aż na szczyty domów.

Tak to się jednt ludzie z drugimi wiążą, a ona korzec drukowanego słowa w zapasce trzyma, lecz gdzie w tym korcu choć jedno słowo prawdy o niej?

Bo gdyby o niej powiedzieli słowo prawdy, zawstydziliby się! Bo gdyby o jej dzieciach, siostrach i ojcach powiedzieli słowo prawdy — odmieniliby się.

Więc nie mówią! Więc kłamią!

Te nazwy pism, co je wołała przez całe dnie, tygodnie, miesiące, teraz jakby ożyły w myśli i sprzysięgły się złowrogo.

Jaka „Gwiazda?“ Gdzie, komu świecąca?

Jaki „Czas?“

Co za „Dzień“? Czy ten dzień mitręgi i niedoli?

Czy ten „Wieczór“ wiecznego po mieście uganiania?

Czy ta „Ostatnia Chwila“, myślisz, że z chwili na chwilę życia człowieczego ostatnia, tak bardzo pełna trudu i wysiłku?

Zwidziało się roznosicielce, że ci ludzie śpiący w wysokich domach omotać ją chcą tchnieniem druku, udusić pragną łańcuchami napisów.

Kłamią!

Prawdę by im rzec chciała. Ten napis by im cisnąć chciała na domy, ulice, ten napis powrozem przewlec przez wszystkie drzwi i okna, ten napis, który jej stopy, niby czciony wydeptują dzień w dzień na bruku miejskim napis: Głód.

Tak jak ona, tak stoją jej dzieci i bracia i siostry po jednej stronie, a po drugiej tamci wiążą łańcuchy kłamliwych liter, by niemi prawdę bólu ludzkiego zdusić.

Żebyż się już zmówili w gromadę jej siostry, bracia, ojce i dzieci. Żebyż już tchnęli na miasto i w świat drukiem głośnym, wojennym i gwarą jasnych słów prawdy.

Ona roznosicielka nie biegłaby wtedy lecz rwała skokiem wewiórki z piętra na piętro niby iskra pożarna mknęłaby szybko od drzwi do drzwi, niosąc w zapasce chybkie mrowie słów i prawdy i walne ziarno ludzkiego odnowienia.

# Z przeszłości przemysłowego robotnika górnośląskiego.

Szkic historyczno-ekonomiczny.

Napisał Emil Caspari.

(Ciąg dalszy.)

## Rozdział drugi.

### Pierwsza połowa dziewiętnastego stulecia.

Przechodzimy teraz do nowego stulecia — wieku dziewiętnastego. Powiew wielkiej rewolucji francuskiej, który wszędy dotarł, a na całym Śląsku wywoływał coraz większe niezadowolenie pomiędzy chłopstwem, oraz porażka pod Jeną zmusiły rząd pruski do zapoczątkowania dzieła uwłaszczenia chłopów.*)

*) Dr. J. B. Marchlewski: Stosunki społeczno-ekonomiczne w ziemiach polskich zaboru pruskiego. Str. 105 i następne.

Edyktem z roku 1807 poddaństwo zostaje zniesionem. Chłop-poddańczuk staje się prawnie wolnym człowiem, mogącym dowolnie rozporządzać swoją osobą. Nie tknięto jednak zgoła obowiązków pańszczyźnianych chłopa. Dopiero w cztery lata potem wydano nowy edykt, który i tę stronę życia chłopskiego uwzględnił. Na Górnym Sląsku z zastosowaniem tego edyktu powstał szczególnieszy kłopot: włościan bowiem takich, jak ich określał edykt, było mało, natomiast dużo ogrodników. Już powyżej zaznaczyliśmy, że los ich był gorszym od losu zwykłych chłopów. Od tych ostatnich różnili się oni i tem, że rola ich nie tworzyła jednego zwartego obszaru ziemi gromadzkiej, a była rozsiana na ziemi dworskiej, pańskiej. Według brzmienia edyktu tak zwana regulacja powinna była być i do nich zastosowaną. Panowie górnośląscy podnieśli gwałt. Ponieważ ogrodnicy zobowiązani byli stawić się każdego czasu do roboty więc oni stanowili całą siłę roboczą; jeżeli ich uregulowano t. j. jeżeli oni stawali się niezależnymi, otrzymywali grunta i pozbywali się pańszczyzny wszelkiej, sprzężajem i pieszo, to nie było komu robić. W innych dzielnicach bowiem obok włościan byli chałupnicy, małorolni chłopi, obrabiający pańszczyznę tylko pieszą, tu ich nie było wcale albo bardzo mało. Rząd naturalnie uległ i przyjął wniosek hrabiego Henkel von Donnermarcka. Wniosek był genjalny: ogrodnik był czemś pośredniem pomiędzy włościaninem a chałupnikiem, więc postanowiono zamienić go na chałupnika! Chłop ustępuje wszystką ziemię, prócz 2—4 morgów, ziemia ta staje się wprawdzie własnością jego, ale zato wszelkie erwituty zostają szniesione, prócz tego musi zobowiązać się stawać do roboty „za płacę najemną będącą w zwyczaju“ jeszcze przez cztery lata. Na takiej podstawie miała bowiem odbyć się regulacja względem tych ogrodników.

Magnaci górnośląscy mogli swobodnie odetchąć, bo dokonali swego: chłopi-ogrodnicy zostać mieli małorolnymi chałupnikami, oddawali panom ogromne obszary ziemi, a robocizna była zapewnioną bo na 2—4 morgach „wolny“ włościanin użyć nie mógł w żaden sposób, musiał stawać do roboty w dworze. Żeby płaca za tę robotę nie była wysoką, na to był właśnie przepis, zmuszający chłopa przez 4 lata do pracy za płacę „w zwyczaju będącą“, żeby i nadał pozostała taką samą, o to już postarali się ekonomowie Henkel-Donnersmarków!

W roku 1816 wydano nowy edekt, pogarszający wogóle sytuację włościan, albowiem regulacji ulegać miały tylko gospodarstwa sprzężajne i starego prawa i zapisane do regiestrów katastralnych. Dla Górnego Sląska jednak sytuacja polepszała się: edykt stosować się miał tutaj w całej rozciągłości, a że część conajmniej owych ogrodników odrabiała pańszczyznę sprzężajem i ponieważ oczywiście nie zdołano zamienić ich wszystkich w chałupników, więc mogli się oni domagać regulacj.

Magnaci górnośląscy znowu zaczęli lamentować, że gdy edykt ten zostanie w sile, to oni „biedacy“ zbankrutują! Pod dowództwem tego samego hrabiego Henkel-Donnersmarka poczęto znowu żebrać u tronu i wskórano, że w roku 1827 wydano prawo specjalne, na mocy którego ograniczono regulację na Górnym Sląsku. Domagać się odtąd regulacji mieli prawo tylko ci ogrodnicy, którzy odbywali pańszczyznę sprzężajem i mieli conajmniej 25 morgów gruntu, sama sprzężajność już nie wystarczała.

Następstwem tego rozporządzenia z roku 1827 było nowe wyrugowanie i odebranie ogrodnikom ziemi. Profesor Knapp cytuje o niem takie sprawozdanie gieneralnej komisji regulacyjnej śląskiej z roku 1849: „Prawo z dnia 13 lipca 1827 roku zostało wydane z względu na rzekome potrzeby rolnictwa górnośląskiego pod względem siły roboczej. Można więc usprawiedliwić, jeżeli wskutek tego prawa regulacja uległa zwłoce; usprawiedliwić jednak nie można, że regulacja została uniemożliwioną. W rzeczywistości jednakże wielu właścicieli ziemskich wyzyskało czas, jaki im pozostawiono, nie po to, żeby przygotować gospodarstwa swe do regulacji, lecz wyrugowało włościan podległych regulacji z gospodarstw i osadzili tam innych, niekiedy też tych samych włościan, na prawie dzierżawy czasowej. W wielu dobrach — powiada sprawozdanie — wyrugowano w ten sposób wszystkich ogrodników i osadzono dzierżawców, a ci ako wolni kontrahenci nie ulegali regulacji.“

Tak oto panowi magnaci górnośląscy umieli wyzyskać swoje wpływy na dworze królewskim, że wprost niemiłosiernie zdarto skórę z chłopa górnośląskiego! Dzieło uwłaszczenia w istocie okazało się dziełem jego wywłaszczenia. Chłopom odebrano przy tej sposobności znaczniejszą część poprzednio posiadanej ziemi. W jakich rozmiarach ten zabór ziemi włościańskiej musiał się odbywać, o tem najlepiej świadczy to, że nigdzie we wschodnich prowincjach Prus (z wyjątkiem Pomorza) nie powstała tak silna wielka własność ziemska, jak właśnie na Górnym Sląsku. Obszarnicy górnośląscy na krzywdzie chłopskiej urośli na możnych panów.

Dla uwydatnienia tego twierdzenia wystarczy, gdy podamy kilka suchych liczb. Według wykazu z roku 1902 obszary dworskie (grunta pańskie) zajmowały w obwodzie rejencyjnym opolskim 52 procent całej powierzchni, natomiast w rejencji wrocławskiej 49 procent, w rejencji lignickiej 46 procent. Jeżeli zaś uwzględnimy te powiaty górnośląskie, które są zamieszkiwane przez ludość polską, to 57 procent (6908 kilometrów kwadratowych) całej powierzchni przypada na obszary dworskie. Ważniejsze natomiast jest, że dworskie te obszary złączone są w olbrzymie dobra (po górnośląsku tak zwane państwa). Z owych 57 procent powierzchnie gruntów 45 procent znajduje się w ręku 54 magnatów (4705 kilometrów kwadratowych), z których każdy posiada przeszło 2000 hektarów czyli przeszło 8000 morgów magdeburskich (jutrzyn); 37 procent powierzchni znajduje się w posiadaniu 22 magnatów (3608 kilometrów kwadratowych), z których każdy jest panem na dobrach powyżej 5000 hektarów czyli 20 000 morgów: 26 procent czyli przeszło czwarta część polskiej części Górnego Sląska (2720 kilometrów kwadratowych) należy do 7 (tylko siedmiu) właścicieli w następujący sposób:

| | | |
|---|---|---|
| 1. Fiskus . . . . . | 83 322 | hektarów |
| 2. Książę Hohenlohe-Oehringen . . | 41 587 | hektarów |
| 3. Książę na Pszczynie . . . . . | 39 718 | hektarów |
| 4. Książę na Raciborzu . . . . . | 33 435 | hektarów |
| 5. Książę Stolberg-Wernigerode . . | 26 517 | hektarów |
| 6. Książę Hohenlohe-Ingelfingen . . | 25 486 | hektarów |
| 7. Książę Henkel-Donnersmarck . . | 21 949 | hektarów |

Wypada z tego, że do siedmiu właścicieli należy 1 miljon 88 tysięcy 56 morgów magdeburskich ziemi (gruntów ornych, pastwisk i lasów)! Do księcia na Pszczynie należy przeszło trzecia cześć powiatu pszczyńskiego *).

* * *

Zatrzymaliśmy się, nieco dłużej z rozmysłem nad dziełem uwłaszczenia chłopów, gdyż sposób przeprowadzenia reformy agrarnej na Górnym Sląsku nabiera wielkiej wagi dla rozwoju wielkiego przemysłu górnośląskiego. Magnaci górnośląscy umieją przytem — jak to wiedzieliśmy powyżej — swe osobiste wpływy na dworze królewskim wyzyskać w ten sposób, że rozporządzenia, regulujące stosunki pańszczyźniane, a dotyczące specjalnie Górnego Sląska, zapewniają im zarówno na roli, jak i ich zakładom przemysłowym ręce robocze. Otóż szczególnie na Górnym Sląsku w pokaźnej liczbie istniejący t. zw. ogrodnicy folwarczni, na wniosek hrabiego Henkel von Donnersmarcka**) pozbawieni zostają swych gruntów, zatrzymując jedynie 2—4 morgi. Tą drogą zamienieni oni zostają w chałupników. Owe małe działki ziemi, jakie im jeszcze pozostały, pod żadnym względem nie wystarczały na opędzenie nawet skromnych potrzeb życiowych. Są oni zatem zmuszeni, jako najemnicy, szukać zatrudnienia na dworach magnatów lub też w zakładach przemysłowych. Następstwem całej t. zw. reformy agrarnej okazała się małorolność chłopa górnośląskiego. Chłopi otrzymali zbyt mało gruntów, aby samodzielna praca na roli była dla nich wystarczającą dla opędzenia skromnych nawet potrzeb życiowych. Oprócz tego swobodne, niczem nie skrępowane rozporządzanie się ziemią przy spadkobraniu

*) Dr. Josef Partsch: Schlesien. Eine Landoskunde für das deutsche Volk etc. II. Teil. Landschaften und Siedelungen I. Heft: Oberschlesien. Str. 8.

**) Patrz: G. F. Knapp: Die Bauern-Befreiung und der Ursprung der Landarbeiter in den ältesten Teilen Preussens. Leipzig 1887.

powodowało coraz większe jej rozdrabnianie, co znowu działało nadar ujemnie: chłopi, i tak już małorolni, coraz bardziej staczali się do szeregów proletarjatu rolnego. Wytworzyła się nadwyżka sił roboczych, płaca robocza wobec tego była bardzo niska przy niskiej stopie życiowej robotników. Ankieta agrarna przeprowadzona w roku 1848**) z polecenia rządu, wykazała, że w owym czasie ze wszystkich wschodnich dzielnic państwa pruskiego najniższe płace robotników rolnych były właśnie na Górnym Śląsku. Nędzne warunki, wśród których zmuszony był żyć lud górnośląski, były wdrost rozpaczliwe. Przyjaciel Karola Maxa, Fryderyk Wolff, opisuje je w barwach nadzwyczaj ciemnych w pracy swojej pod tytułem: „Die schlesische Milliarde"**).

*) v. Lengerke: Die ländliche Landarbeiterfrage. Berlin 1849.
**) Die schlesiche Milliarde. Strona 53 i dalsze.

## Rozmaitości

**Najskuteczniejszym środkiem** zwalczania alkoholizmu okazało się w wielu państwach t. zw. prawo lokalopcji, istniejące n. p. w Finlandji, Norwegji, Islandji, w Ameryce Pół. i t. d. Polega ona na tem, że koncesji na szynki nie udziela rząd, lecz zależą one od wyniku głosowania całej dorosłej ludności (zarówno mężczyzn jak i kobiet) w danym okręgu. W ten sposób ludność sama ma prawo rozstrzygania o tem, czy chce, aby szynki istniały nadal, czy też, aby przestały istnieć i uchwałą większości ludu można przeprowadzić nie tylko zakaz sprzedaży, lecz i wyrobu wszystkich napojów upajających. Prawo to, bezwątpienia sprawiedliwsze i demokratyczniejsze, niż dzisiejszy system koncesji urzędowych, zaprowadza obecnie także Danja, a i w Niemczech budzi się silny ruch, dążący do uzyskania lokalopcji. Zbierają się w całej Rzeszy podpisy na petycję do parlamentu, którą w jednym miesiącu podpisało już przeszło miljon osób, a równocześnie przystępują do tej akcji całe stowarzyszenia i organizacje. Świeżo n. p. 9 te walne zebranie związku niemieckich towarzystw kobiecych uchwaliło jednogłośnie poprzeć starania o uzyskanie tego prawa.

* * *

**Najmniejszy balon sterowy na świecie.** Przed kilku dniami odbył się w Augsburgu pierwszy wzlot nowego balonu sterowego zbudowanego przez szwedzkiego inżyniera Forssmanna. Balon ten ma tylko 800 metrów kubicznych pojemności, i jest najmniejszym dotychczas zbudowanym balonem do kierowania. Forssman skonstruował go na zamówienie zarządu wojskowego rosyjskiego, który ma zamiar w razie udatnych prób, zakupić 40 takichże balonów.

Z powodu swej małości (jest on tylko 35 metrów długi), balon ten nadaje się wybornie do służby wywiadowczej; dalej wielce dobrą stroną jego jest łatwość, z jaką można go zwinąć, a również i napełnić w przeciągu kilka minut; w dodatku może on być wypełniony zwykłym gazem świetlnym i mimoto 4—5 godzin utrzymywać się może w powietrzu. Balon ten łódki nie posiada: kierownik i mechanik siedzą na desce obok motoru; motor ma 28 koni i waży 38 kilo, tak że cały balon razem waży zaledwie 450 kilo, tj. tyle, ile wynosi zwykła waga samej tylko łódki przy innych balonach. Wewnątrz powłoki znajduje się mniejszy balonet, a do sterowania rozpina się ramy stalowe, pokryte płótnem.

* * *

**Jedenaście dni pod ziemią.** Z Rouen donoszą: Dwaj robotnicy zasypani przy robotach ziemnych, którzy przez $11^1/_2$ dnia znajdowali się pod ziemią, zostali wczoraj wydobyci żywi, dzięki temu, że zaraz pierwszego dnia zdołano im dostarczyć żywności.

* * *

**Dorożki napowietrzne.** Londyńska firma budowy aeroplanów Bleriota demonstrowała pierwszy aeroplan-dorożkę, posiądający motor o sile 100 koni i szybujący z szybkością 60 kilometrów na godzinę. Nowy ten przyrząd napowietrzny posiada oprócz miejsca dla sternika trzy wygodne miejsca dla pasażerów. Podobno przejażdżka tą „dorożką" sprawia istotną przyjemność, a szybowanie przy łagodnym wietrze działa bardzo orzeźwiająco na płuca, zakopcone dymem i zatkane mgłą londyńską. Rzeczoznawcy twierdzą, że aeroplan-dorożka stanowi nową erę w lotnictwie, zastosowana do celów praktycznych,

* * *

**Obłąkany w banku angielskim.** Dnia 24 stycznia do jednego z kasjerów w banku angielskim w Londynie zbliżył się mężczyzna nieznany z zapytaniem: „Czy nie wie pan, kim jestem? Kasjer wyznał, że nie wie, a wówczas nieznajomy dobył z kieszeni arkusz papieru i podał go urzędnikowi, który, rzuciwszy okiem na papier, poznał od razu, z kim ma do czynienia, odezwał się więc spokojnie: „Ach tak, pan jesteś synem najstarszym jego królewskiej mości zmarłego króla Edwarda!" Słowa te przytem wymówił tak głośno, że usłyszał je stojący opodal agient policyjny i domyśliwszy się, że kasjer chce zwrócić jego uwagę, podszedł z tyłu do nieznajomego w chwili właśnie, gdy ten odezwał się do kasjera głosem groźnym: „W takim razie spodziewam się, że wydacie mi bez trudności moje miliony, inaczej bowiem niejedna osoba w tym budynku przypłaci opór życiem". — Oczywiście — odparł kasjer — życzenie waszej królewskiej wosokości spełnione będzie natychmiast, w mojej jednak kasie niema dość pieniędzy. Czy nie zechce wasza wysokość udać się do kasy głównej z asystentem moim?" — a mówiąc to, skinął na agienta policji. „Proszę — rzekł policjant — za mną, musimy jednak udać się do wejścia na Threadneedlestreet, tam bowiem znajduje się kasa główna". Nieznajomy poszed spokojnie z policjantem, do którego niebawem przyłączył się drugi. Zauważywszy jednak na ulicy, że prowadzony jest w stronę stacji policyjnej, obłąkany dobył szybko rewolweru z kieszeni. Zanim wszakże zdołał go użyć, policjaci odebrali mu broń, nałożyli kajdanki na ręce i zaprowadzili na stację policyjną.

* * *

**Europie zagraża dżuma.** Dżuma w Chinach i Mandżurji ogarnia coraz dalsze części kraju. Dżuma płucowa, która w Mandżurji i Chinach zabrała dotąd przeszło 100 000 ofiar, znaną jest w Europie ze średnich wieków pod nazwą czarnej śmierci. Wowczas, w XIV wieku, zmniejszyła ludność niektórych państw do połowy. Dżuma mandżurska występuje wśród niezwykle silnych objawów. Dotąd ani jednego nie było wypadku wyleczenia. Wprawdzie usiłuje rząd japoński epidemję tę zwalczać za pomocą osobnej surowicy, lecz działa ona tylko 2 tygodnie, poczem chory ulega znowu zakażeniu. Rząd niemiecki również ma się na baczności i ząkazał żołnierzom, marynarzom i lekarzom, służącym w niemieckiej kolonjalnej armji, powrotu do kraju. W Azji wschodniej wyglądają całe wsie i miasta jak wymarłe W Charbinie podpala ludność domy, w których zmarli chorzy na dżumę.

W komisji budżetowej parlamentu niemieckiego mówiono o niebezpieczeństwie przeniesienia się dżumy do Europy. Przedstawiciel rządu twierdził, ze na zwalczanie gruczołowej dżumy egipskiej wystarczą istniejące środki leczniczo wykonawcze. Gdyby się dżuma płucna traktem syberyjskim miała przenieść do Europy, to trzeba będzie zastosować te same środki, co przeciw egipskiej dżumie gruczołowej. Rosja, mówił również, zapoczątkowała zwołanie międzynarodowej komisji, celem dociekań na miejscu, wobec czego Niemcy wyślą ekspedycję naukową do Mandżurji, celem badania zarazy.

W sposób bohaterski zmarł lekarz francuski Meunier, przybyły celem zwalczania zarazy. Zaraził się przy badaniu zadżumionych chińczyków. Sam stwierdził swe zasłabnięcie na dżumę i zamówił sobie, mieszkając w hotelu w Charbinie, wóz, zwożący chorych, sam, aby nikogo nie zarazić. Owinąwszy się w prześcieradło namoczone rozczynem sublimatowym, kazał się odwieźć do baraku zadżumionych, gdzie oświadczył swym kolegom, że umrze za dwa dni. Prosił tylko, aby o zgonie powiadomiono rodzinę jego. Usiłowania lekarzy kolegów rosyjskich okazały się daremnemi i zmarły skonał na polu chwały, jak przepowiedział.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 7. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 18 lutego 1911.

A. Bonczek.

## Złodziej, który ukradł cały filar węgla z kopalni.

Raz żony dwóch kopaczy, idąc razem z kościoła, umówiły się, że zabronią stanowczo swym mężom, by ani za złamany szeląg nie nosili już nic więcej nadsztygarowi. Od tego czasu zaczęło się całkiem inne życie dla Pawła i Jana.

Pracowali już lata całe razem, złączeni przygodami pracy i zarobkiem. Długie lata, czy to było w pokładzie 16-tym, 19-tym lub znów 15-tym, gdzie to górnicy nie mogli za wyznaczony akort wyżyć, Paweł z Janem zawsze dowcipkowali zadowoleni z zarobku.

„Przecież my zawsze zarabiamy za ten akort i pracujemy bez szemrania, gdzie nas pan nadsztygar nalosuje. Wam zaś potrzebna jakaś tam pomoc organizacyjna, reklamacja i Bóg wie co jeszcze, a przecież tylko 3 koronki macie wystawione na szychtę.“ Taką Paweł z Janem dawali odpowiedź tym, którzy ich namawiali, aby wstąpili do organizacji górniczej.

Ale od czasu, jak żony ich zmówiły się przeciw dawaniu podarków sztygarom, zaczęło i im się gorzej powodzić. Niech djabli wezmą i te baby — mówi Paweł burząc kilofem po ścianie twardej jak róg w przodku, do którego zostali nalosowani razem z Janem po tzw. szlusie. Chciałem jeszcze wczoraj choć na szklankę wina zawołać pana obersztajgra, gdyśmy szli z kościoła, ale baba się uparła. Co nie, to nie! I masz, dzisiaj wynalazł nam kość... byś bił cały miesiąc a nawet na sól nie zarobił.

„Ale przecież tu jest kawał sztrekl zrobionej i robili tu i jakoś wyżyli, to i my miesiąc jakoś wytrzymamy“, mruczy Jan pod nosem, wbijając gwóźdź do obok stojącego stempla, by sobie kabat na nim zawiesić.

Zasiedli potem obydwa do szramania. Zaczęła się rozmowa pomiędzy długoletniemi przyjaciółmi pracy na inny temat. Żelazna twardość węgla stawiała szalony opór dobrze zabruszonemu ostrzu ręcznego kilofa. Ciężka praca przez całą szychtę, niski akort, jaki w tej pracy wymierzony był, niemożliwość wydania dużo fedrunku, zarzuty, jakich oczekiwali następnego dnia w zapisowni od manipulanta, a w końcu, co ich najbardziej trapiło, drwiny innych górników, wobec których zawsze udawali najzdolniejszych robotników, to wszystko razem wprowadziło ich w rozpacz i szukali przyczyn tego zła. W rozmowie raz Paweł całę winę tego nieszczęścia zwalał na żonę, to znow Jan wymyślał, ściskając mocno hełmisko od kilofa, na nadsztygara, który uraczył ich taką pracą.

Niedługo potem dowiedzieli się czegoś gorszego jeszcze. Oto rejonowy dozorca zwiedział wszystkie prace i dał do zrozumienia w smutku pogrążonym kolegom Pawłowi i Janowi, że z tej pracy ma zwyczaj manipulant tylko co 3 miesiące zmieniać kopaczy. Wyrażenie dalsze jego mowy dało im do zrozumienia, że on jako dozorca tylko raz w szychcie te prace zwiedza, zaś urzędnik jak długi miesiąc nie pokaże się, a to dlatego, aby ujść natarczywym robotnikom żądającym zwyższenia akortu. „Szczęść Boże!“ — pożegnał dozorca spoglądających po sobie górników.

Po krótkiej chwili Paweł odszedł od pracy, udając się do jakie 30 metrów oddalonej pochylni, która była zakrzyżowana wielkim z desek ubitym krzyżem. Uszedłszy jakie 20 metrów, zobaczył Paweł 10 metrów gruby filar węgla, którego odłamy uśmiechały się do Pawła. Filary dzielone chodnikami na mniejszą grubość, wyznaczone były w karcie sytuacyjnej w kancelarji markszajdrowej, wyczekiwały chwili lepszej konjunktury. Panowie czekali na to, kiedy będzie mógł jeden kopacz wydać za szychtę 30 do 40 wózków węgla, 10 do 18 hal. za wózek.

Pawłowi ogromnie zrobiło się przyjemnie na widok takiego filara. Wspomniał sobie, jak ciężko bić musi w przeznaczonym przodku. Przyszła mu myśl pocieszająca do głowy, która miała wyrwać go z tego kłopotu. Oto postanowił ukradkiem zabrać się do wydobywania filara, zamiast ciężkiego bicia, a przytem małego fedrunku. Lepiej wygodnie więcej fedrować i wszystkich przewidywanych nieprzyjemności uniknąć.

Wracając do swego kolegi Paweł liczył, ile to znów będzie mógł wyfedrować tym sposobem, cieszył się, że zemsta nadsztygara nie odniesie skutku. Martwiły go tylko dwie rzeczy: jak uniknąć dozoru przy tej podstępnej pracy i jak niedopuścić do tego, aby wozacz nie zdradził, który ten węgiel nakopany miał odwozić.

Wkrótce znalazł się przy swym koledze Janie. Ten z oburzeniem pytał, gdzie marnuje czas tak drogi, potrzebny do kopania tej twardej skały. Z wesołą miną zaczął się mu Paweł zwierzać ze swego wynalazku, który pomoże im lżejszym sposobem węgiel fedrować. Są dwie tylko trudności, które trzeba obmyśleć — powiada Paweł. Trzeba nałożyć tajemnicę na szlepra i starać się zachować wszelkie pozory zwykłej pracy wobec dozorcy i urzędników.

Ej, mniejsza o to — odpowiada z uśmiechem Jan. Tać wiesz, że szleper też należy do chrześćjańskiej organizacji milczków, każe się mu milczeć pod groźbą i będzie milczał, jak niemy, zaś co do dozoru dozorców, to przecież nam dozorca mówił, że on tylko raz z początku szychty do tej roboty przychodzi, gdyż potem musi odpilnować tam, gdzie węgiel lepiej idzie, by jak najwięcej fedrowano. Urzędnicy zaś tu wcale nie chodzą, bo robotnicy stale ich nagabują, by im akord podwyższyli.

Po takiej pocieszającej umowie, postanowiono następujące: Jan dla upozorowania pracy miał zostać w przeznaczonem czole (przodku), Paweł, włożywszy dłuższy „szpic“ do swego ręcznego kilofa i załatwiwszy sprawę ze szleprem poszedł do wspomnianego filara. Kilkoma kopnięciami kilofa zwalił Paweł tyle węgla, że wystarczyło dosyć na wyfedrowanie jeszcze więcej wózków, niżeli wydali jego koledzy w drugiej „parcie“ w przeznaczonym przodku.

Smiał się już w duchu, że znów pobije fedrunkiem i znów będzie mógł wydrwić uniowców, że są leniuchy i nie chce się im pracować. Zobaczycie pierony, ja wam pokażę, jak Paweł umie pracować. Tak twardo idzie a tyle nakopiemy — prawda szleper. — Ano prawda, kiwnął głową wysoki wozacz o głupiej gębie, wypełnionej lizuństwem.

Nie upłynęło ani pół szychty a Paweł już miał tyle nafedrowane, ile przeciętnie fedrowano w tem czole. Przy-

chodzi nazad do Jana, by resztę szychty ukończyć dla upozorowania jakiejś pracy w swem czole, przy czem jeszcze dwa wózki węgla wyfedrowali, to jest właśnie tyle, więcej ile druga partja wydała.

Tego rodzaju praca powtarzała się codziennie. Z początku nadsztygar obojętnie zapatrywał się na wszystko, później jednak oświadczył nawet w raporcie przed dozorcami, że Paweł i Jan są „skutecznie" najpilniejszymi robotnikami, gdyż i ta praca dla nich jest niczem. Dawają niebywały w tem czole fedrunek, przez co wykazują lenistwo drugiej partji kopaczy. Dla kopaczy w drugiej zmianie pracujących, nastały straszne czasy. Przekleństwa, groźby, mazanie pół szychty itp. kary spadały na nich za to, że mało fedrują. Za to dozorcy wychwalali pod niebiosa Pawła i Jana za ich pracę. Nie pomogły tłomaczenia, że w czole ich pracy nie znać. O to się dozorca nie troszczy, mówił ciągle, że fedrunek większy i to najlepiej pokazuje — kto robi. Dozorca z partji Pawła i Jana dumny ze swych robotników, dodawał im jeszcze większej otuchy, by jeszcze więcej fedrowali. Na to nie zwracał on żadnej uwagi, w jakich rozmaitych chodnikach praca postępuje, albo kto jakie zabudowania prowadzi.

Tak pracowano cały miesiąc. Przy końcu miesiąca pokazało się, że Paweł z Janem mieli dużo więcej wyfedrowane od innych, przeto sam nadsztygar zaproponował, by ich fedrunek odłączyć od fedrunku leniuchów z drugiej partji, co się też stało.

Z początkiem nowego miesiąca Paweł i Jan uznani za pilnych robotników zostali zmienieni do innej lepszej pracy, zaś leniuchów z drugiej partji odesłano na hałdę na wierzch, gdyż według orzeczenia nadsztygara brak mu na wierzchu robotników. Przodek zaś ten ze względów technicznych zupełnie zastawiono.

Po kilku miesiącach przyszedł rozkaz: z powodu popytu wielkiego na węgiel, wszystkie filary mają być obsadzone! Wysłano całą komisję złożoną z urzędników, różnych mierniczych, by szczególnie zbadać miejsca w starej pochylni, gdzie stał od kilku miesięcy wielki z desek zbity krzyż, jako świętość górnicza, poza który górnikowi pod groźbą największej kary iść nie wolno. Na rozkaz komisji krzyż usunięto i pomaleńku udawano się w kopiec do filara, który grubą kryską oznaczony był na karcie sytuacyjnej w kancelarji. Lecz jakież zdziwienie ogarnęło komisję, gdy zamiast filara węgla znaleziono wyrabowane pole, częścią już zawalone kamieniami. Przyszło do wielkich rozważań, co z filarem się stało. Mierzono na dole, mierzono na karcie w kancelarji. W kancelarji filar był, na dole go brakowało. Żaden dozorca nie mógł braku jego wytłomaczyć. Różne pogłoski przechodziły z ust do ust tak urzędników jak i górników gdy się dowiedzieli, że filar gdzieś znikł. Przypominali sobie różne fedrunki w poniżej położonej strece, że stosownie mało metrów do wybitego węgla wybito. Jednakże aby nie zdemaskować zupełnego zaniedbania dozoru ze strony urzędników i dozorców kapalni, również, aby nie popsuć opinji chrześćjańskich lizuni, do jakich Paweł i Jan należeli, na karcie w markszajdrowni cichaczem filar ołówkiem wyfiedrowano... zaś na dole nieschwytany złodziej filar ukradł. Tem powiększono liczbę cudów w górnictwie o jeden więcej.

# Z przeszłości przemysłowego robotnika górnośląskiego.

Szkic historyczno-ekonomiczny.

Napisał Emil Caspari.

(Ciąg dalszy.)

Czytamy tam: „Teraz znów sroży się głód i jego sprzymierzeniec — tyfus — w okręgach, które ucierpiały tak strasznie w roku poprzednim. Nawet izba junkrów i dusigroszów w Berlinie zwrócić raczyła uwagę na powiaty rybnicki i pszczyński i poświęciły im garść frazesów filantropijnych... Głód, który sroży się na Górnym Śląsku, i epidemja, jako wynik głodu, nie są bynajmniej powodowane klimatem, nieurodzajem lub powodzią. Klimat tam zdrowy, nieurodzaju ani powodzi nie było: głód i epidemja są wynikiem koniecznym gospodarki bezczelnej wyzyskiwaczy raubritterów, owej „martwej ręki", gospodarki na dominjach, owej nieczułości (ospałości) rządu, który patrzył obojętnie na wszystko, co nie sprzeciwiało się trzykroć świętemu pruskiemu prawu krajowemu, co nie naruszało spokoju i wygody chrześćjańsko-giermańskiej kaście urzędniczej. Ziemia w większej części jest w rękach wielkich posiadaczy, rządu i „martwej ręki". Tylko dwie piąte wszystkich gruntów są w rękach włościan i na tej do części ciążą straszne pańszczyzny i daniny należne panom, podatki należne państwu, kościołowi i szkole, powiatowi i gminie, podczas gdy jasne pany w porównaniu z chłopami płacą jakąś bagatelę zaledwie podarku państwowego. Owe dwie piąte obszaru uprawia prawie trzy razy więcej ludzi niż obszary dworskie. Włościanin pozbawiony kapitału iwiedzy, uprawia rolę licho, a wielkie latyfundja 30 - 40 000 morgów, nierzadko są źle uprawne dla braku sił roboczych, kierownictwa umiejętnego i starania. Magnatowi, który używa w stolicy, podróżuje, bawi u wód, nic do tego, że rola źle uprawiona. Posiadłości są olbrzymie, więc ciągnie on z ról, łąk, lasów, stawów, kopalń, owczarni, gorzelni itp., przy małych lub żadnych podatkach państwowych, a wielkich dochodach z laudemjów czynszów itp. tak wielkie zyski z kieszeni chłopskiej, że nawet roztrwonić ich w normalnych czasach i warunkach nie jest w stanie..."

„Z drugiej strony wynędznienie ostatnie mas. Płaca robocza dla robotnika rolnego 5—6 groszy srebrnych, dla robotnicy 2 i pół do 3 groszy, już jest uważana za wysoką. Żyją ci ludzie wyłącznie kartoflami i gorzałką. Gdyby robotnik miał przynajmniej te dwa wiktuały, to nie byłoby chociaż moru głodowego i tyfusu. Lecz kiedy padła zaraza na kartofle i ta jedyna żywność podrożała nadmiernie, a płaca nietylko nie podniosła się, lecz zniżyła, poczęli ci nieszczęśliwi żyć zupami, jakie warzyli z ziół, korzonków i skradzionego siana, pożerali padlinę. Siły ich więdły. Gorzałka podrożała i — stała się jeszcze gorszą, niż bywała. Szynkarz, zwany też arendatorem, najczęściej żyd, który za bajeczną dzierżawę siedział na karczmie i sprzedawał siwuchę jasnego pana, od dawna już przywykł rozwadniać wódkę, a dla opędzenia dzierżawy i swoich także pokaźnych zysków dolewał różnych ingrydiencji, a przedewszystkiem witryoleju. To zatruwanie ludzi odbywało się od dawien dawna, a kiedy padła zaraza na kartofle, kwitło tem lepiej. Żołądki chłopskie, osłabione zupami na sianie i korzonkach, nie wytrzymały tego lekarstwa. Jeżeli zważy się dalej lichą odzież, brudne, zatęchłe izby, mrozy, brak zarobku i sił do pracy, wtedy łatwo już zrozumieć, jak przy takich stosunkach głodowych musiał kubek w kubek jak w Irlandji powstać tyfus. „Ci ludzie nie mieli w sobie odporności!" To tłomaczy wszystko. Tak ich wysysali bez przerwy raubritterzy i państwo, że przy najmniejszem już powiększeniu swej nędzy ginąć musieli, jeżeli państwo i raubritterzy, nie nieśli pomocy. Jaką była ta pomoc, o tem świadczy tysiące trupów, jakie porwał wezbrany potok nędzy. Raubritterzy, kasta urzędnicza i cała owa błogosławiona banda rządowa robiła interesy, pobierała pensje, rozdzielała gratyfikcje, stawiała pałace, kiedy tam na nizinach, smagani głodem i zarazą, marli ludzie jak bydlęta. Nie wiele lepiej niż owym wyrobnikom wiejskim wiedzie się włościanom, t. j. tym, którzy posiadają chałupę i mniejszy lub większy kęs ziemi. I oni żywią się przeważnie kartoflami i gorzałką. Co im się urodzi na roli, muszą sprzedać, ażeby mieć z czego opłacić czynsz panu i podatek państwu. Wykarmienie wieprzy, co dawniej dawało jeszcze jaki taki dochód, musiało ustać wobec zarazy na kartofle. Toż włościanin sam nie miał z czego żyć! A przytem jeszcze odrabiać pańszczyznę we dworze, odbierać razy batogiem jasnego pana lub jego ekonomów; pracując, głodząc się i znosząc chłostę, patrzeć na zbytki i pychę raubritterów i bezczelnej kasty urzędniczej — oto był i jest do dziś dnia los wiekiej masy polskiej ludności na Śląsku. Włościanin, którego pańszczyzna pozbawia możności uprawienia swej roli, któremu brak kapitału i inteligiencji, zapuszcza gospodarstwo; a w dodatku

w wielu okolicach zwierzyna liczna, bo starannie pielęgnowana przez panów, niszczy mu zasiewy, niweczy jedyne bogactwo."

Nic dziwnego, że tyfus głodowy w roku 1846—47 przybrał tak potworne rozmiary, że np. w takich powiatach rybnickim i pszczyńskim ludność została zdziesiątkowaną. Były nawet wsie, gdzie wymarła blisko połowa mieszkańców.

I otóż z owego nadmiaru rąk roboczych, wytwarzanych przez wieś górnośląską, mógł teraz czerpać i rozwijający się wielki przemysł. Fakt ten miał wielkie znaczenie: robotnik rolny o niezmiernie niskiej stopie życiowej, przechodząc następnie do kopalń i werków, był nader dogodnym objektem wyzysku: potulny i pokorny, bez szemrania znosił wyzysk na nowem miejscu swej pracy. Przyczem zazwyczaj nowym panem jego był ten sam magnat-obszarnik, w którego wsi niedawno on jeszcze jako chłop pracował na pańskiem.

Dzięki temu, że w zaraniu powstawania wielkiego przemysłu do budowania werków i zakładania kopalń brali się przeważnie magnaci-obszarnicy i że materjał roboczy pochodził ze wsi tych samych ludzi, przeniosły się do stosunków przemysłowych zwyczaje wsi górnośląskiej: traktowanie z batem w ręku robotnika, niska płaca, napędzanie do pracy nietylko mężczyzn, lecz kobiet i dzieci, jak to się działo z chłopami pańszczyźnianymi. Feodalizm ze wsi przeniósł się do stosunków wielkiego przemysłu.

Jeden z warunków dla rozwoju przemysłu istniał: był nim wielkie rozerwoar tanich rąk roboczych. Natomiast brakło na początku 19-go stulecia głównego bodźca, dobrych środków komunikacyjnych do rzucania wytworów przemysłu gornośląskiego na rynek. Górny Śląsk był wtedy krajem prawie odciętym od świata. Drogi, jakie istniały, były bardzo liche. Jedyną lepszą drogą, do wywożenia produktów górnośląskiego przemysłu górniczo- hutniczego, oprócz kanału zabrskiego, łączącego fiskalną kopalnię Królowej Ludwiki w Zabrzu z zakładami hutniczymi w Gliwicach, był założony w roku 1807 kanał kłodnicki, łączacy obwód przemysłowy z Odrą, skąd już droga na Wrocław nie przedstawiała znaczniejszych trudności.

Dla starego powiatu bytomskiego, który obejmował obecne cztery powiaty: katowicki, zabrski, bytomski i tarnogórski, nader ważne były dokonane około roku 1809 przez Ruberga w Wesołej pierwsze próby wytapiania cynku z kruszczu galmanowego. Dzięki temu przemysł cynkowy zaczął się szybciej rozwijać. W roku 1809 zostaje założoną królewska huta cynkowa „Lyognia", pierwsza z większych hut cynkowych w powiecie bytomskim.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Prof. Gaweł P. Serwiss.

# Co jest w środku ziemi.

Pojęcie jakoby środek ziemi napełniony był roztopioną ławą już dawno wyszło z mody, chociaż nowe teorje, które zastąpiły tę hypotezę, są niemniej tajemnicze. Wszystkie badania skorupy ziemskiej zgadzają się na to, że ciepło regularnie się zwiększa, w miarę zagłębiania do wnętrza ziemi i to w takim stosunku, że skorupa ziemska nie może być grubszą, jak 40 do 50 mil angielskich; pozatem musi być roztopioną. Jednocześnie nauka dowodzi, że gęstość warst roztopionych pod skorupą ziemską jest większą, niż na powierzchni. Ta dziwna okoliczność da się wytłumaczyć strasznie wielkiem ciśnieniem, jakiemu podlega środek ziemi. Żadna skała, ani metal nie może istnieć tam pod taką postacią, jak na powierzchni. Cząsteczki materjałów skutkiem gorąca muszą ułożyć się na podobieństwo płynu, a pomimo to zgęstnieć, zamiast rozszerzyć się, skutkiem właśnie tego strasznego dośrodkowego ciśnienia.

Obserwacje dokonywane podczas trzęsienia ziemi dostarczyły uczonym pewnych danych, pozwalających odgadnąć skład wnętrza ziemskiego; a mianowicie dowodzą one, że trzęsienia ziemi rodzą się nie głębiej, niż kilkanaście mil ang. pod ziemią, a pomimo to odruchy tychże uczuwać się dają na przeciwnej stronie ziemi. To znaczy, że choć skorupa ziemska jest cienka, wibracje przechodzą na drugą stronę tak elastycznie, jakby przez kulę metalową, albo szklaną. Gęstość powiększa się proporcjonalnie do głębokości i tylko w górnej skorupie możliwe są ruchy i zmiany.

Czem dalej zaś w głąb wszystko jest nieruchome i gęste i tylko przez zbitą masę przechodzą odgłosy na podobieństwo wibracji dzwonu, to jeszcze nie wszystko, gdy się wydarzy częściowe zmniejszenie równowagi w ciśnieniu do środkowem, zgęszczony płyn przedziera się ku powierzchni, rozrzedza i w postaci zwyczajnego płynu przedostaje się przez kratery wulkanów, lub inne otwory. Ale to pochodzi nie z bardzo głębokich okolic wnętrza ziemi, które pozostaje dotychczas tajemnicą dla nauki.

Pośrednio jednakże można uformować sobie pod tym względem dość zbliżone do prawdy pojecie.

Wiemy, że skutkiem obrotów koło słońca i koło swych osi, planety mają postać spłaszczoną u biegunów, a wydętą na równiku, stać się to mogło tylko podczas, gdy przedstawiały kule miękkie. Z drugiej strony postać ziemi odpowiada szybkości obrotów, pomnożonych na jej gęstości, to znaczy musi być gęstsza ku środkowi, przyczem lżejsze materjały umieściły się na powierzchni.

Nauka wie dokładnie przeciętną wagę ziemi; wynosi ona sześć sekstyljonów ton, a gatunkowa i przeciętna waga — jest pięć i pół raza większą od wody; a ponieważ materjały, składające skorupę ziemską mają przeciętny gatunkowy ciężar zaledwie trochę większy, niż dwa, z tego więc wypada, że w środku ziemi znajdują się materjały cięższe, niż przeciętna waga — pięć i pół; czyli, że sam środek ziemi musi mieć ciężar gatunkowy około siedm, czyli musi być bezwarunkowo metalowy. Wolno zatem przypuszczać, że najcięższe metale jako to: złoto i platyna znajdują się właśnie w samym środku.

Że przeważna część wnętrza ziemi składa się z żelaza dowodzi najlepiej magnetyzm naszego globusu. Żelazo jest prawdopodobnie przeważną składową częścią całego naszego systemu słonecznego, a może i dalszych systemów. Większa część meteorów, spadających na ziemię, także składa się z żelaza.

Gdyby się ziemia rozbiła, materjały, na które codziennie patrzymy, a składające skorupę, stanowiłyby bardzo nieznaczną część ogólnej masy zdeformowanego metalu, który spadłby na słońce, lub inne planety, znajdujące się w obrębie przyciągania.

Te nowe teorje nie zgadzają się z motywami wspaniałego naukowego romansu Juliusza Verna, malującego obszerne pustkowia w środku.

Ziemia jest bardziej masywną, niż kula armatnia, a ruchom skały, ziemia i woda, zajdujące się na powierzchni, są jakby plewą rdzą na twardym metalu.

## Rozmaitości

**Alkohol a zbrodnie.** Rzecz to aż nazbyt znana i poparta setkami statystyk i orzeczeń wybitnych fachowców, oraz spostrzeżeniami z życia codziennego, że używanie napojów upajających jest najgłówniejszem bodaj źródłem przestępstw i zbrodni. Nowym ciekawym dowodem na to są wieści, jakie dochodzą nas z Anglji. W końcu października r. b. odbyło się w Londynie wielkie zebranie, na którem przemawiał angielski minister skarbu, Mr. Loyd George, na temat: Alhoholizm a reformy społeczne. W przemówieniu swem zaznaczył on, że zdaniem jego nie rozwiąże się zadowalająco kwestji społecznej bez poprzedniego usunięcia alkoholizmu. Wszystkie rozprawy i dyskusje parlamentarne, a nawet prawa wydane dla ochrony robotników i polepszenia ich bytu nie przyczynią się do zaradzenia ich nędzy i podniesienia ich moralnego, dopóki będzie istniał dzisiejszy przemysł alkoholowy, doprowadzający sy-

stematycznie warstwy pracujące do ubóstwa, oraz zwyrodnienia fizycznego i moralnego. Szczegółowiej rozwiódł się minister nad wpływem alkoholizmu na mnożenie się przestępstw, przytaczając na dowód swych twierdzeń zdania wybitnych prawników i sędziów angielskich w tej kwestji. Lord Sorell n. p. były prezydent wydziału dla spraw testamentów, rozwodów i marynarki, twierdzi, że gdyby nie pijaństwo, to możnaby zamknąć sąd rozwodowy prawie na zawsze. Lord Chief Justice zaś (najwyższy sędzia w Anglji) orzekł w r. u., że na podstawie długoletniego swego doświadczenia 90% wszystkich przestępstw, popełnianych w Anglji, uważa za skutek alkoholizmu. Wreszcie jeden z najwybitniejszych obecnie sędziów angielskich, Mr. Darlnig, zapytany przez ministra o swe zdanie w tym względzie, odpowiedział co następuje:

„Wszystkie prawie zbrodnie przeciwko zdrowiu i życiu obywateli, włącznie przestępstw wobec kobiet i dzieci, a więc wszystkie prawie zabójstwa, napaście, gwałty, niebezpieczne poranienia i t. d. są skutkiem alkoholizmu. Oprócz tego zaś także wielką ilość przestępstw przeciwko czci powstaje z tejże przyczyny, cnoć są one nie tak ściśle związane z alkoholizmem."

Kto zatem pragnie na serjo poprawy bytu warstw pracujących, a szczególnie podniesienia ich poziomu moralnego, powinien zabrać się do walki z napojami alkoholowymi.

* * *

**Wynik spisu ludności w Prusiech.** Podług tymczasowego zestawienia, dokonanego na zasadzie spisu ludności z dnia 1 grudnia 1910 r. wynosi liczba ludności królestwa pruskiego 40 157 673. Przed pięciu laty było w Prusach ludności 37 293 535. Przyrost wynosi więc 2 864 038 czyli 7,68 proc. Udział w tem biorą poszczególne prowincje w sposób następujący:

| | | | proc. |
|---|---|---|---|
| 1. | Prow. nadreńska: | 7 120 519 (+ 684 182) = | 10,63 |
| 2. | Śląsk: | 5 226 293 (+ 283 568) = | 5,74 |
| 3. | Prowincja westfalska: | 4 127 904 (+ 509 814) = | 14 09 |
| 4. | Prow. brandenburska: | 4 091 620 (+ 559 764) = | 15,85 |
| 5. | Prow. saska: | 3 088 778 (+ 109 529) = | 3,68 |
| 6. | Prow. hanowerska: | 2 942 546 (+ 183 030) = | 6,63 |
| 7. | Prow. hesko-nasawska: | 2 221 249 (+ 151 197) = | 7,3 |
| 8. | W. Ks. Poznańskie: | 2 100 096 (+ 113 459) = | 5,71 |
| 9. | Miasto Berlin: | 2 064 153 (+ 24 005) = | 1,18 |
| 10. | Prusy Wschodnie: | 2 063 746 (+ 33 570) = | 1,65 |
| 11. | Prow. pomorska: | 1 716 445 (+ 42 100) = | 1,91 |
| 12. | Prusy Zachodnie: | 1 703 542 (+ 61 668) = | 3,76 |
| 13. | Prow. śląezwicko-holsztyńska: | 1 612 673 (+ 115 425) = | 7,67 |
| 14. | Kraj hohenzollerski: | 71 009 (+ 2 727) = | 3,9 |

* * *

**Drzewo, które się nie pali.** Pismo ogrodnicze „Gardeners Chronicle" podaje ciekawą wiadomość o pewnem drzewie kolumbijskiem, które posiada szczególną zdolność opierania się działaniu ognia. W kolumbijskiej prowincji Rolima istnieje zwyczaj palenia corocznie podczas suszy zeschłych na polu ziół, które w porze dżdżystej tamować mogłyby rozwój roślinności młodej. Powtarzające się wciąż pożary wywierają oczywiście wpływ zgubny na drzewa, które też zwolną giną zupełnie, młode bowiem pędy trudniej jeszcze aniżeli drzewa stare, niszczącemu działaniu ognia mogą się opierać. Jedyny wyjątek tylko stanowi wspomniane drzewo. Niewielkie to, skręcone drzewo, nie tylko nie doznaje żadnej od ognia szkody, ale nawet odnosi stąd korzyść, rozpościera się bowiem coraz bardziej w miejscowościach, opuszczonych przez inne drzewa. Oporność zaś ta polega na budowie jego kory, której część zewnętrzna, mająca 1 centymetr przeszło grubości, utworzona z obumarłych komórek i włókien, działa jak powłoka ochronna względem żyjących części wewnętrznych.

* * *

**Ujawniony podstęp.** W Paryżu wywołała — jak donosiliśmy — wielkie wrażenie przygoda rzekomego kupca amerykańskiego, Harrego Müllera, którego znaleziono w lesie ubranego w łachmany i przywiązanego do drzewa. Ocucony Müller opowiadał, że zaprowadzono go do pewnego domu i tam ograbiono go z ubrania, zegarka i 1000 dolarów. Śledzwo jednak, przeprowadzone przez policję, odkryło prędko zupełnie co innego, mianowicie, że rzekomy Müller jest znanym w Ameryce, Niemczech i Anglji oszustem Rosenblumem, który przez udawanie, rzekomo z nędzy, zamachów samobójczych, albo też przez przedstawienie się za ofiarę napadów bandyckich wyzyskiwał współczucie publiczności. W Niemczech aresztowano go już za to kilkakrotnie, udał się więc do Paryża.

* * *

**Proces rozwodowy przeciwko zmarłemu swojemu** mężowi rozpoczęła niejaka pani J. W. Huut w Nowym Jorku. Mąż jej parę tygodni przed śmiercią uzyskał rozwód dzięki temu że podał jako powód niewierność małżeńską. Pani Huut postarała się o zniesienie wyroku, ponieważ chce udowodnić sądownie że właśnie jaj mąż nieboszczyk był jej niewiernym. Jeżeli pani Huut proces ten wygra to dostanie w spadku po swoim mężu, który był właścicielem hotelu co najmniej jakieś dwa miljony marek. Na otarcie łez — wystarczy.

* * *

**Straszna pomyłka mordercy.** Powracającą z jarmarku z miasteczka węgierskiego wieśniaczkę zaskoczyła w szczerem polu noc, wobec czego wieśniaczka zmuszona była szukać noclegu u pobliskiego budnika kolejowego. Budnik urządził jej posłanie w pokoju, w którym spała jego żona żona. Naraz zauważył, iż kobieta ta posiada przy sobie znaczniejszą sumę pieniężną. Nie namyślając się wiele, postanowił ją pozbawić życia, celem dokonania rabunku. Około godz. 11 w nocy, gdy żona jego i nieznana wieśniaczka zasnęły — wykopał w pobliżu budki swej głęboki grób, a następnie uzbrojony w duże nóż kuchenny wszedł po cichu do mieszkania. Wokół panowała cisza, słychać było tylko głęboki oddech śpiących kobiet. Morderca na palcach zbliżył się do posłania, na którem, jak sądził, spała wieśniaczka. Jednym strasznym zamachem wpakował śpiącej nóż w serce i zaczął ją dusić pod gardło. Rozległo się krótkotrwałe, przytłumione rzężenie; za chwilę kobieta wyzionęła ducha. Zadowolony morderca zapalił światło, jakież jednak było jego przerażenie, gdy ujrzał, iż zabił własną żonę... Przerażony zbrodnią uciekł i do tej chwili go nie ujęto.

## Kącik humorystyczny.

### Głos z góry.

Na wieży pewnego ewangielickiego kościoła w Nadrenji rozpoczęto roboty murarskie. Dnia następnego spaceruje pastor w swoim ogrodzie niedaleko kościoła. Pracujący na wieży murarz chciał swojemu pomocnikowi, który przypadkowo miał to samo imię co pastor, mianowicie „Daniel" dać polecenie by przyniosł wapna i dlatego krzyczy: „Daniel!" Jak tylko to imię poraz drugi i trzeci powtórzył, złożył pastor ręce jak do modlitwy i spoglądając w niebo mówił: „Mów panie, sługa twój słucha!" Odpowiedź jaką z góry usłyszał była coprawda mniej biblijną: „Przyniesiesz ty to wapno nareszcie do djabła, czy nie!"

### To samo, jednakże nie to samo.

„Moja mama kazała sobie dzisiaj u doktora wyjąć ząb i teraz leży chora" opowiada mała Helenka Zosi. „O," odpowiada Zosia, „moja mama robi to sama; co wieczór wyjmuje wszystkie swoje zęby i przytem jest zupełnie zdrowa."

### Dobry przykład.

„Ojczulku co to jest właściwie heroizm? No, widzisz naprzykład, jeżeli członek koła Polskiego orderu nie przyjmie.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 8. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 25 lutego 1911.

JULJUSZ KADEN.

## SZKLARZ.

Szklarz wszedł, rozejrzał się dokoła i czekał. Leżało tu wszędzie szkło w pochowane wielkich zbijanych pakach, nibyi w kojcach. Płyta z płytą zwarta, warstwa na warstwie w zeloną głębię zastygła, głębia w jeszcze szerszym odmęcie lśnienia pogrążona. Szklanna toń płynąca z piętra na piętro ku szczytom, tworzyła olbrzymią, pustą, zimną jak lód źrenicę. Chyba że to nie szkło a przeźroczyste powietrze zastygłe w płyty. Czy też blask dzienny, zwarty w twardą, dźwięczną lecz chrupką moc, pocięty na błamy, plastry i plasterki, skrajany na przeźroczyste zasłony.

Toczył się tu wciąż po piętrach, gankach, piwnicach i strychach gryzący zgrzyt składanych na się tafel i zjadliwy poświst rżnącego djamentu. Przesłyszeć się mogło: że ostra zamienna iskra rozpruwa tu, trawi i źre samo światło. Że nie szkło a wióry i drzazgi lodu sypią się z pod oziębłych palców człowieka. Że paki i składy nie poświst djamentu przenika a syczący, wartki prąd rozłamu i zgryzu.

Hala budowana była z czarnego żelaza i matowych, giętych szyb, które oślizgłą tkanką śluzu pięły się wśród ostrego szkieletu budowy ku szczytowi. Tam wysoko kręcił się ostrożnie i lekko jakiś człowiek.

Ciężki i nagły smutek zwalił się na duszę czekającego szklarza.

Po hali raz wraz wirował i wiercił się wartką strugą pryskliwy nurt djamentowego zgryzu a ze skrzyni do skrzyni szedł wciąż świszczący chrzęst i skrzyp szkła.

Ten tokujący pogłos wsączał się w uszy i dusił piersi. Bo hala jak chrupka pierś, charcząc i świszcząc rzęziła ciągle dreszczem szkła.

Człowiek przylepły do szczytu budowy, spostrzegł nakoniec czekającego w dole i jął zstępować po skręconym świdrze schodów. Usypywały się z nich białym łyskiem cienkie płatki szkliwa a szron i proch rozpiłowanych tafli zgrzytał piskliwie pod nogami idącego. Krzyształowem echem zaśmiała się hala.

Tymczasem gęsta flegma matowych szyb budynku, pożyłowana prętowiem żelaza w groźny skos gniewnego oka nabiegła ciepłem bursztynowem lśnieniem. Ścięło się ono gęstą ropą na zewnętrznych szybach a przez karby, drążenia, przez wybite dziury ćwiekami blasku wbiło się do wnętrza.

Pociągnął silniejszy wiatr i widać, machnął kościotrupem sąsiednich drzew w ścianę budynku, bo się ukazały na szybach sploty gałęzi, targane szarpiącym wichrem. Wszczęło się w zakamarkach prędkie, sypkie pytlowanie prochu szklannego. Słoma wystająca z pak mierźwić się zaczęła, drżeć i jeżyć. Piasek, pył zaszeptał w kątach a wiotką mgłę dmuchnął na ganki. Aż nagle ze świstem stutysięcznych rózeg wdarł się wicher do hali, podniesionym wiechciem piachu sprał klepisko, szczypiącem łoskotaniem wwiercił się między głębokie chropowate pachwiny skrzyń, wyrwał skądś mierżwę okrawków szklannych i hałaśliwie opluł nimi cały gmach.

Szyby zblakły. Zgasło słońce. Człowiek, który zeszedł był z góry, zamknął wrota. Zrobiło się mroczno, lecz zaciszniej, mimo że gmach owiązany szczelnie przędziwem wiatru, trząsł się i dygotał dzwonieniem wszystkich szyb, niby zwarta paszcza o kryształowem podniebieniu i szczękających zębach szklannych.

Przycichło. Tylko po hali raz wraz wirował i wiercił się wartką strugą pryskliwy nurt djamentowego zgryzu a ze skrzyni do skrzyni szedł wciąż świszczący chrzęst i skrzyp szkła.

Szklarz nabył od hurtownika zapas szyb, ustawił je w formę. Formę zaczepił na plecach i ruszył na miasto. Ruszył przecie snuć to szkło po dzielnicy, snuć to lodowate bielmo po rozbitych oknach miasta, słonić je skostniałą błoną przed wiatrem od hałasu grodzić, zatykać i przesłaniać.

Ulice omiatał suchy wicher. Pletwą piachu klaskał w blaszane szyldy, niecił kurzawę na gościńcu a wedle chodników zganiał śmieci do kupy, biegnącej w podskokach i koperczakach z miejsca na miejsce. Okoniem stawiał się względem śpieszących ludzi i ciągnął i targał im odzież. Mijali jedni za drugimi, niby wielkie rozwichrzone strzępy czy kłaki, lecące niewiadomo skąd i dokąd.

Wciąż nie zdążają, już się spóźnili, już beznadziejnie w tyle pozostali. Bo ich wyprzedza łopotliwy pośpiech i niesforne wybieganie szat.

Mężczyźni w długich szalach walczą z jakimś niewidocznym biesem, który porwał końce wedle szyi skręconych szmat i rwie, zaciska, szyje zadusić myśli. Kobiety w uplocie sukien walczą z jakimś tajemnym bezwstydem, który im suknie do góry rwie, pnie i zarzuca. Dzieci płaczą na ten wicher, co im w oczy dymem brudnego miału prószy i sypkim świądem ciekawe źrenice kazi. A szklarz wśród wichru idzie ostrożnym krokiem poprzez ulice. Idzie, zaś dygocące na plecach szkło zgrzyta, chrzęści i skrzypi mu nad uchem: że po dzielnicy snuje szkło, rozpina lodowate bielmo na twardych ramach, on, gnany wiatrem, innych od wiatru chroni i grodzi, on sam, szklarz.

Gdyby nie on, toby im w domach, izbach, pokojach syczał wiatr uszczypliwy, toby im szydłem przeciągów uszy przeszywał, toby im gęstą nacią zawieruchy mieszkania trzepał. I mieliby u siebie w domu, jak mają tu na ulicy, że wiatru zgonić nie mogą a on ich wciąż wyprzedza i goni, za suknie wlecze, wlecze i dusi, dusi i pędzi, pędzi i gna, gna, rwie i pcha.

Przez gęstą pleśń i zmarzły brud ciężkich chmur, niby ów djament prujący szkło przedarł się nagle promień słońca. Za pierwszym drugi, trzeci, jeszcze kilka a wszystkie promienistą więzią krwawych cierni wbiły się w miasto. Zrumieniło się błyskiem śliskie koryto ulicy, złota rdza zażgliła w szybach, zaś na dachy wypełzły rude gadziny blasku.

Wspaniałą ulicą szedł szklarz prędko przed siebie. Nie patrzył na kryształowe wierzeje pałaców, mijał obojętnie całe rzędy szyb okiennych z poza których zionęły mrokiem głębie pokojów osłoniętych białemi rzęsami firan. Całą jego uwagę pochłaniały wystawy. Tu, z cieplarnianych czeluści wypełzły za ogromną szybę schowane białe bzy

róże, gwoździki, konwalje i wiotkim kształtem skręciły się w zawieruchę puszystych liszek. Tu dyszą na szybę krągłe jeszcze ciepłe pyski bochenków chleba i długie, słodkie warkocze bułek. Tam w cukierni, rzędami kryształowych butelek od góry do dołu płynie tęczowa smuga gęstych soków a na białych tacach leżą pstrokate rzędy ciastek. Jeszcze dalej całe szeregi szyb a z za nich wyglądają na miasto cudnie postrojeni panowie i panie, woskowe lalki o twardych szklannych oczach. Prawie każda przytrzymuje ręką opiętą w rękawiczkę zwinięte sztuki materji — dla chłodu ciała giętkie i gładkie sztuki ciepła. Tu znów, za szybą zlaną posuwistym deszczem łańcuszków złotych i srebrnych rozsypaną rosą lśniły na aksamicie klejnoty. Wielki koszt palił się w nich chełpliwie tysiącem blasków złych. Tam dalej z jasnej czerwieni sukna widniały białe, śliskie ostrza nożów — niby białe wąskie wargi, przywarte chciwie do żywego mięsa.

Zobaczył szklarz, że wszystko co jest, jest za szybą.

Wyszedł na górę, skąd biegł daleki widok na miasto na jego stoki coraz niższe, aż hen, ku przedmieściu, gdzie tęchną zmurszałe rudery i białym tasiemcem wiją się robaczywe parkany. Gdzie na rozkisłych nieużytkach gęstą odrą czerwienieją rumowiska cegieł, a zakaźny wilk pleśni toczy jadem zgnilizny szczerbate gnaty opuszczonych domostw.

Pracował przecie i tu na górze w pałacach i pracował tam w dole na przedmieściu. Jednaka niby to ta praca i niejednaka... Wychwierutać, wykręcić z zawiasów ramę okienną, złożyć to na podłodze i wyłupując rozbitą szybę, rwać własnej twarzy podobiznę, w nachyleniu odbitą na szkle. Wstawić nową taflę, wylepić ją przy ramie ciepłą krawędzią ugniecionego kitu, a potem, uwiesiwszy się na wrębie muru napowrót wkręcić ramę w zawiasy. Niejednaka to praca. Inne na górze inne na dole myśli jej towarzyszą, choć przecie w końcu na jedno wychodzi: że snuje szklarz szkło po dzielnicy, snuje to lodowate bielmo po rozbitych oknach miasta skostniałą błoną przed wiatrem je słoni od hałasu zagradza i oddziela.

Chronił szkłem od mrozu i wichru migotliwe ślepka wysokich wieżyc kościoła. Wstawiał skośny zez kryształu w wybałuszone przyczółki bankierskich willi, przeźroczystym lodem wykładał zdziwione, wysokie okna pałaców. Zaś wychylony ze szczytowych okien widział miasto w kupę zbite spłaszczone, dyszące ciągłym gwarem.

Wiatr wydzierał z najeżonych kominów białe czuby pary i niesforne strumienie dymu. To znów pędził z ogromnych, niebotycznych luf roje skier, które krwawą szarańczą gorzały i gasły w zimnem powietrzu. Lub znęcał się jeszcze srożej i ryczącym gwizdawom wtłaczał napowrót w pełne sadzy i płomienia gardziele ten ich ryk rozsierdzony.

Z szerokiego placu wziął się szklarz na lewo wdół. Szedł leczyć te małe zawsze mętne i dymne okienka, z których szyby, jak oczy boleści wraz ze łzami, — wypływały precz żenione wiatrem. Tu go czekała nigdy nie skończona robota. Tu, dobrą drużną ręką wstawiał skąpe łaty kwarcu, który nie mógł dobrze wróść w nadłamane, wyschłe obojczyki i żebra ściśniętych klatek okiennych.

Nim skończył robotę w izbie parterowego domku, pełnej krzyku zaduchu, wypocin i mydlin, spojrzał na niebo. Bo właśnie słońce zwisło na rozognionej smudze zachodu, niby na kaprawej powiece krwawa łza. Policzywszy się z ludźmi, zbierał narzędzia. Zaś krzywonogie dzieci skupiły się przy oknie, by wyglądać na czarną ulicę. Po jej środku pełzł rudy wąż błota.

Szklarz wyszedł. Tak samo jak tam na górze z okien w okna na przepych, tak samo tu oknami w okna na nędzę patrzą się ludzie, patrzą, baczą, ślepią i prześlepiają sprawę swoją.

Zaś on, szklarz, jakby o niczem nie wiedział... Jakby niczego nie czuł... Idzie, chodzi, biega i biegnie i zwija się całymi dniami. Leci do hurtownika tam z tej hali, z straszliwej paszczy szklannej nieco szkła zaczerpnie i wędruje od jednych do drugich, między gwarem ulic a tętnem domów rozpina zimną oponę i snuje to szkło po dzielnicy i kładzie to lodowate bielmo na domach miasta.

To szklarz sprawia, że jedni drugich nie słyszą. Że śpiący za zimną szybą nie słyszy tego, który w nocy na lodzie osiada...

Wiatr siepnął wartko szerokim zawojem piachu i prochem bryznął w ulicę.

Szklarz poczuł, że niby z krwawych owoców ostre pestki, płyną mu z oczu rżnięte krople zimnego szkła. A gdy wtedy spojrzał przed się dostrzegł we wszystkich oknach miasta kamienną pasieką pod górę wzniesionego, świetlisty blask krwawych łez...

Lecz po chwili niebo rzuciło wielką kroplę słońca hen, w przestwór poza krąg ziemi. Nastał mrok. Szyby zgasły. Na ulicach kocim migotaniem łysnęły latarnie.

Samotność uczuł szklarz na powrotnej swej drodze. Rozłomotał mu się w piersi ognisty kołowrot gniewu. Aż mu nagle obrzydła ta jego robota, aż poczuł winę swej uległości, która kamieniem gniecie serce i szyderstwem świszczy w uszach. Zrozumiał grzech swej pracy.

Toć pychą blasku łypie to miasto ku czarnym trzewiom niskiej dzielnicy. Pożogą obłudy spluwają ku nim te szyby. A przecie nie kto inny, tylko on sam rozesnuł powszędy to zimne lodowate bielmo przegrody.

Ej, śpijcież więc domy, śpijcie ludzie, śpijcie okna — huczało mu w głowie. Szklarz was obudzi! Szlochem szkła zapłaczą okienka na bruk. Krasną piwonją wykwitnie wam z szyby...

# Z przeszłości przemysłowego robotnika górnośląskiego.

Szkic historyczno-ekonomiczny.

Napisał Emil Caspari.

(Ciąg dalszy.)

Od tego czasu datuje się szybki rozwój górnictwa i hutnictwa, przebierający rozmiary, które przekroczyły najdalej idące przypuszczenia. Z budową górnośląskiej kolei żelaznej, w połowie czwartego dziesiątka lat ubiegłego stulecia, rozpoczyna się nowy okres. Przemysł górniczo-hutniczy niesłychanie szybko zaczyna postępować naprzód. Kilka liczb rozwój ten najlepiej uwidoczni. Na początku zeszłego stulecia cała wytwórczość węgla kamiennego wynosiła na Górnym Śląsku dopiero sto tysięcy ton, w roku 1822 wzrasta ona do 1 miljona a w roku 1854 wynosi już 8 208 697 ton, wartości około 2 miljonów talarów. W tym samym czasie było w ruchu; 3 kopalnie fiskalne i 82 kopalnie prywatne. Również szybko wzrosła i wytwórczość hutnicza. Niebywały ten rozwój życia przemysłowego przejawił się w niemniej szybkim przyroście ludności. Ludność starego powiatu bytomskiego wzrosła z 27 749 osób w roku 1817 do 106 389 osób w roku 1855, a w sześć lat później, czyli w roku 1861, wynosiła już 145 649 osób. W przeciągu zatem 44 lat podniosła się ona sześciokrotnie!! Na jedną milę kwadratową przypadało w roku 1858 — 9492 mieszkańców, podczas gdy przeciętna dla całego Górnego Śląska wynosiła wtedy 4433 mieszkańców.

Jakiem było położenie ludności pracującej w tym okresie?

O stosunkach mieszkaniowych czytamy w sprawozdaniu tarnogórskiego urzędu górniczego z dnia 4-go stycznia 1818 r.:

„Jeżeli górnik dobre pół mili mieszka od Zabrza wynajmem, ma małą izbę z drzewa, z podłogą z gliny, prawie bez światła dziennego dla siebie, swej rodziny i swego bydlęcia, musi się z mozołem starać o swój opał i codzień chodzić do pracy i od niej przy najokropniejszej drodze i pogodzie, to jednak nie zamieni on się, conajmniej rzadko na znacznie lepsze i bliżej położone, wolne mieszkanie w jednym z domów, w kolonji Małe Zabrze, gdzie ma opał prawie darmo i bez trudu. A dlaczego? Ponieważ w takim domu nie może mieszkać tak, jak on chce, ponieważ nie może zakopać swej kapusty i swych kartofli w izbie i zmuszony jest trzymać swoje bydlęta poza izbą, dlatego też musi wyjść z domu, aby je widzieć; słowem, ponieważ mieszkanie to jest za dobre."

Słowa te urzędowego sprawozdania dowodnie świadczą, jak przeklęcie małe wymagania musiał mieć ówczesny robo-

tnik górnośląski, jeżeli dobrze czuł się w jednej zatęchłej izbie społem z bydlęciem!!

Rząd w dalszem ciągu stosował starą swoją metodę. Gorliwie w dalszem ciągu uprawiano giermanizację. Szkoły przeważnie miały spełniać to „szczytne“ zadanie. Lecz były one słabo uczęszczane — przymus szkolny jeszcze wtedy nie istniał — a prócz tego pod względem pedagogicznym, wychowawczym, stały za nisko, aby módz w wyznaczonym kierunku dodatnio z większym skutkim działać. Pomimo pewnego postępu w stosunkach szkolnych, nauczyciele ciągle jeszcze zmuszeni byli szukać zatrudnień pobocznych, aby tylko jako tako opędzać potrzeby życiowe. Uposażenie nauczycieli było bowiem niewystarczającem. Częstokroć roczna pensja wynosiła zaledwo 30 do 50 talarów. Takie wiadomości posiadamy z roku 1840.*)

Poziom kulturalny ludu w takich warunkach bardzo nieznacznie się mógł podźwignąć. „Zabobony, wielka ciemnota, bigoterja, lenistwo, kłótliwość i pijaństwo, oto główne cechy w charakterze polskiego górnoślązaka“, czytamy w dziełku tego samego autora.

O stosunkach w obwodzie przemysłowym znajdujemy nieco dalej takie jaskrawe przedstawienie:

„Stosowanie chłosty na kopalniach i hutach jest zasadą nieuniknioną. Praca odbywa się podług szycht, co dwanaście godzin; robotnik po ukończeniu swej szychty zapija się i wtedy częstokroć niema go przy zmianie posterunku. Po dniu wypłaty pijaństwo trwa z rzędu kilka dni, a nieraz i cały tydzień. Urzędnik na „werku“ niema wtedy innego środka dla utrzymania respektu i ciągłości pracy, oprócz batoga (?!). Wódka, jako inny łagodniejszy środek, zbyt szybko działa ujemnie.“

Oto jak wspaniale robotnicy byli traktowani przez swoich przełożonych! Posłuchajmy, co nam nieznany autor owego dziełka w dalszym ciągu podaje:

„W niedzielę kobiety razem z dziećmi zabiera się do gospody, gdzie są one już od wczesnej młodości świadkami scen w których brutalność ludkza przejawia się najbardziej jaskrawo. Przy akompanjamencie nędznych skrzypek z szaloną szybkością tańczą rozochoceni w ciasnej izbie. Trzyfenigowa świeczka, umieszczona na szynkwasie, nadaje izbie pewien rodzaj półmroku. Ciemność jednak zalega, skoro tylko ten lub ów z natłoczonej masy pijących chwyta za świeczkę, aby zapalić sobie resztki tytoniu w swej fajce. Im bardziej twarze rozpalają się od wodki, tem jaskrawiej uwypukla się powszechna brutalność. Ci, co tańczą, przyśpiewują podczas każdej przygrywki, tańcujący zaś wyrażają swoją radość urywanymi dźwiękami. Siwucha wypełnia przytem natychmiast butelki, skoro tylko zostały one wypróżnione. Ogólne podniecenie alkoholiczne powoduje szybko kłótnię: z matematyczną pewnością przechodzi ona w bijatykę. Gospodarz bądź po dobroci, bądź też gwałtem wyrzuca wtedy całe towarzystwo. Taki przebieg i tak się kończą zawsze te niedzielne zabawy.“)

Wysłany podczas epidemji tyfusu w latach 1846—47 późniejszy głośny profesor dr. Virchow sąd swój o ówczesnym robotniku górnośląskim wypowiedział w następujący jaskrawy sposób: „Jak robotnik angielski w swoim najgłębszym upadku, w największej ciemnocie zna tylko dwa źródła rozkoszy: pijaństwo i obcowanie płciowe, tak też ludność górnośląska do niedawna tylko do nich zwracała swe pożądanie. Gorzałka i zaspokojenie popędu płciowego stały się wszechmocnymi czynnikami, i tem się łatwo tłomaczy gwałtowny wzrost ludności z jednej strony, upadek fizyczny — moralny — z drugiej strony,“)

Widzimy, że robotnik górnośląski, zmuszony ciężko pracować, szukał zapomnienia w wódce, a magnaci górnośląscy zgarniali przytem wielkie zyski do swych kieszeni.

Jak dalece rozwinął się już w pierwszej połowie 19-go stulecia przemysł górniczo-hutniczy, o tem najlepiej przekonać się możemy z kilku liczb.

Najpierw co się tyczy wytwórczości węgla kamiennego. W roku 1800 wynosiła ona dopiero 106 000 pruskich ton, w roku 1817 wynosi już 773 000 ton, w roku 1822 poraz pierwszy dosięga 1 000 000 ton, w roku 1825, dzięki postępom przemysłu cynkowego, dochodzi do 1 950 000 ton, następuje kilka lat zastoju, tak że np. w roku 1831 wytwórczość spada do 1 021 000 ton. Budowa kolei żelaznych wpływa bardzo dodótnio na rozwój produkcji węgla kamiennego. W roku 1837 wynosi ona 2 100 000 ton, w r. 1841 — 3 102 000, w r. 1845 — 4 467 000, w roku 1850 już 5 320 000 pruskich ton. (Pruska tona równa się 186 kilogramom dla węgla górnośląskiego.)*)

Jeżeli uwzględnimy okresy dziesięcioletnie, to wytwórczość węgla kamiennego na Górnym Śląsku do roku 1850 wynosiła:

| | |
|---|---|
| 1790—1799 . . . . . | 115,5 tys. ton |
| 1800—1808 . . . . . | 590,5 tys. ton |
| 1810—1819 . . . . . | 1 262,0 tys. ton |
| 1820—1829 . . . . . | 2 914,0 tys. ton |
| 1830—1839 . . . . . | 3 342,0 tys. ton |
| 1840 1849 . . . . . | 7 604,0 tys. ton |

W ciągu 60 lat wydobyto zatem na Górnym Śląsku 15 miljonów 826 tysięcy ton węgla kamiennego. Jeżeli zważymy, że np. w jednym tylko roku 1889 produkcja wszystkich kopalń wynosiła prawie tyle, bo 15 mil. 745 tys. ton, to produkcja do roku 1850 była w porównaniu nieznaczna, ale jak na owe czasy wcale już poważna.

Rudy żelaznej w roku 1840 wydobyto w powiecie bytomskim na 39 kopalniach 1 184 494 ton staro-pruskich.

Wysokie ceny cynku na początku 18-go stulecia (1809 20 talarów, w roku 1815 jeszcze 7 talarów za centnar) wpłynęły dodatnio na rozwój przemysłu cynkowego. W roku 1816 wytwórczość surowego cynku wynosiła już około 20 tysięcy centnarów. Przeciętnie za centnar płacono wtedy 6 talarów. W roku 1820 cena ta spadła do 4 talarów lecz potem znowu szybko się podnosi, do 10 i powyżej talarów.

W roku 1825 wyprodukowały 24 kopalnie 1 085 000 centnarów galmanu, a 27 hut cynkowych 220 000 centnarów surowego cynku. Była to na owe czasy nadprodukcja, która zemściła się w ten sposób, że ceny cynku spadły, wiele hut zamknięto. W roku 1830 przeciętna cena cynku wynosiła już tylko 2 i poł talara, a produkcja 82 681 centnarów. Stopniowo, wskutek zwiększonego wywozu do Francji, przemysł cynkowy począł się ożywiać. W roku 1834 płacono za centnar 4 talary, w roku 1836 przeciętnie 5 i pół talara, produkcja wynosiła 225 000 centnarów. Znowu nastąpiły silne wahania, w roku 1841 i 1842 cena cynku podniosła się do 8 i 9 talarów, następnie cofnęła się do 6 talarów W roku 1847 wyprodukowano około 400 000 centnarów cynku, a przeciętna cena wynosiła 5 talarów. W roku 1842 na 53 kopalniach wydobyto 2 miljony centnarów galmanu. W okresie 30-letnim od 1816 do 1847 wyprodukowano 5 i pół miljona centnarów cynku wartości 30 mil. 883 tys. 69 talarów, czyli przeciętnie 5 i pół talara za centnar. W tym samym czasie wartość galmanu wahała się pomiędzy 7 i pół a 18 silbergroszami (w roku 1824 przeciętnie 13 i pół silbergroszy) za centnar. W roku 1848 na rynku cynkowym nastąpił znowu zupełny zastój, cena spadła do 3 talarów, w roku 1849 podniosła się ona pomału do 4 talarów. W roku 1848 wyprodukowano 361 931, w roku 1849—452 546, w roku 1850—495 998 centnarów surowego cynku.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# Nierząd a policja.

W rozprawie, której część pierwszą zamieszcza właśnie „Zeitschrift für die gesamte Staatswissenschaft“ daje Kurt Wolzendorff pogląd historyczny na stosunek policji do nierządu.

W starożytności, zwracano uwagę na prostytucję li-tylko ze stanowiska porządku publicznego. Dozorują prostytucję nie ze względów moralnych, lecz dla tego, że elementy jej często zakłucają spokój. Starano się oddzielić prostytutki od sfer mieszczańskich, co jednakże nigdy, zupełnie przeprowadzić się nie dało. W czasie wojny perskiej, zorganizowaną w cechach prostytucję podzielano na trzy klasy: hetery znakomite zamieszkiwać mogły pierwszorzędną

*) Patrz: Schlesische Zustände im ersten Jahrhundert der prussischen Herrschaft. Ein Beitrag zur Kultur- und Sittengeschichte Schlesiens. Breslau, 1840. Str. 331.

część miasta bez żadnych ograniczeń, druga kategorja t. zw. flecistki były już mniej swobodne, zwyczajne zaś nierządnice wciśnięto w dzielnicę miasta specjalnie dla nich przeznaczoną, pod ostrym dozorem stojącą. Także w Rzymie zabezpieczenie spokoju publicznego, było jedynym powodem dozorowania prostytucji, a zwyczajnemi środkami: wyodrębniona dzielnica, miasto i specjalne odzienie. Bywały też okresy więcej humanitarne; naprzykład pod panowaniem cesarza Justyniana zniesiono wykluczenie prostytucji ze sfer mieszczańskich i dozwolono zawierać małżeństwa z prostytutkami.

Straszna i okropna samowola policji rozpoczyna się dopiero w czasach średniowiecznych, gdy pod wpływem kościoła ze względów „moralnych“ prześladowano prostytucję. Okrutne kary za nałożnictwo, zupełny zakaz prostytucji, równocześnie bezwstydne jej wyzyskiwanie materjalne — to znowu uprzywilejowane stanowisko prostytucji, wspieranie jej — przytem bydlęca rozpusta panoszyły się na tem podłożu. Wyklinano djabelską chuć, a tem więcej popuszczano cugli namiętnościom i tarzano się formalnie w rozpasaniu. Władza świecka współzawodniczyła z kościelną w prześladowaniu i wyzyskiwaniu prostytucji. W Paryżu już w 8 stuleciu widzimy na równi z innymi cechami prostytutki biorące udział w procesjach. Prześladowanie rozpoczyna się znowu za panowania świętego Ludwika. W roku 1254 zabrania on wszelkie wszeteczeństwo. Prostytutki obleczono gwałtem w suknie zakonne, w których jeszcze łatwiej mogły teraz rzemiosło swoje wykonywać. Mimo zakazów, jakie powtarzają się w następnych stuleciach, prostytucja rozszerza się coraz gwałtowniej. „Po czasach tolerancji następują czasy absolutnego ucisku i prześladowania bez miłosierdzia: taki jest stan dozoru policyjnego w wiekach średnich tak we Francji, jak w Niemczech, we Włoszech czy też Hiszpanji.“

Organizacja cechowa była i w niemieckich miastach przeprowadzoną. W roku 1492 prostytutki skarżą się w radzie miejskiej w Norymberdze na brudną konkurencję niecechowych nierządnic; w r. 1508 otrzymały pozwolenie magistratu na zburzenie pokątnego domu publicznego. Nierządnice posiadają nawet prawa honorowe; za słoną zapłatą mogą naprzykład przystrojone kwiatami brać udział w biesiadach rady miejskiej. Podatki z prostytucji oddawano często w nagrodę szlachcie. np. książę biskup Würzburga podarował dochody czerpane z grzesznych namiętności cielesnych hrabiom Henneberg. Tak świeccy, jak kościelni książęta nie zrezygnowali z pokaźnych dochodów tego sprośnego podatku, a straszne bezprawie i samowola policji wymuszała sumy coraz znaczniejsze.

By interes uczynić zyskowniejszym, zwierzchność kościelna wielokrotnie brała w swoje ręce zarząd tego „djabelskiego“ występku. Utrzymywała domy publiczne (burdele) na swoje ryzyko lub też wydzierżawiała je. Nierządnice miewały nawet czasami obowiązki publiczne. W czasie wjazdu trymfalnego cesarza Zygmunta do Bernu rozkazał magistrat miasta „pięknym kobietom z uliczek“ bezpłatne, gościnne przyjęcie i zabawianie panów z dworu królewskiego. W roku 1410 w ten sam sposób honorował Berlin raubrittera Dietricha von Quitzow. Uniwersytet w Tuluzie dochody na utrzymanie swoje czerpał prawie wyłącznie z własnych domów publicznych. Na soborze w Konstancji, którego uchwał dotychczas broni przysięga antymodernistyczna, współdziałało 1400 podróżujących dziewcząt. „Prostytucja opanowała całe życie publiczne właśnie pod okiem policji tego samego rządu, który cudzołóstwo „lekkomyślny stosunek“ niemiłosiernie prześladował i w najstraszniejszy sposób karał prostytutki za zmianę prawnie przepisanego przyodziewku. Chłosta, więzienie, przymus zamiatania ulic, wydalenie z kraju, pręgierz, piętnowanie — jednem słowem, najwięcej hańbiące kary nakładano na nierządnice, a równocześnie tak obywatele jak zwierzność z niemi obcowali„.

Policyjne państwo czasów nowożytnych nietylko że system ten zatrzymało, lecz go jeszcze więcej rozwinęło. Policja, mająca nadzór nad obyczajnością, używaną bywa do załatwiania interesów prywatnych i aktów zemsty panujących, we Francji Ludwik XIV nie mniej jak w Prusiech Fryderyk Wilhelm I. Czerpiący sok z tej kałuży system szpiegowski, zabagniający całe życie publiczne, czynił o wiele gorsze spustoszenie moralne jak prostytucja, do zwalczania której był powołanym cały ten brudny aparat. Szczyt absurdu osiągnęły t. zw. komisje czystości 18 stulecia, zaprowadzone przez Marję Teresę w Austrji i biskupa w Würzburgu. Wielce honorowi członkowie tej Terezjańskiej policji obyczajności, łącząc się z nierządnicami nietylko że mogli z łatwością odkrywać karygodne czyny, lecz pomagali je popełniać, by później z wymuszeniem wyzyskiwać swoje wiadomości. W państwie policyjnem stała się prostytucja czynnikiem potęgi politycznej.

## Rozmaitości

**Spadochrona dla awjatorów.** Katastrofa w Dousy zwróciła uwagę na wynalazek inżyniera Hervieu, mający na celu zabezpieczenie aeroplanów od upadku. Swieżo na polu Marsowem, w obecności przedstawicieli władz wojskowych oraz komisji paryskiego aeroklubu, odbyło się wypróbowawanie spadochronu p. Hervieu. Aparat ma 1 60 m. długości i 60 ctm. szerokości. Przytwierdzony został do pierwszego piętra wieży Eiffla: na dany znak wynalazca przeciął drut i aparat stoczył się z wysokości 80 metrów. Na odległość 20 metrów od ziemi spadochron otworzył się automatycznie i utrzymał głową do góry lalkę, ważącą 75 kilogramów. Spadał z szybkością 4 metrów na sekundę. Lalka spuściła się na ziemię bez uszkodzenia. Komisja rzeczoznawców uznała że spadochron otworzył się zbyt późno. Wynalazca będzie musiał go udoskonalić.

* * *

**Ile pochłania pieniędzy moloch militaryzmu?** Kwestją powyższą zajmuje się pismo francuskie „Matin“. Do obliczeń włączony jest okres ostatnich lat 20-tu. Otóż sprawa powyższa przedstawia się w cyfrach jak następuje: Wojna Anglików z Boerami kosztowała samą tylko Anglję z górą 5 miliardów koron i doprowadziła w rezultacie do utworzenia południowo-afrykańskiego związku autonomicznego. Wojna rosyjsko-japońska kosztowała Rosję 7 miliardów koron, Japonię zaś z górą 5 miliardów. Zakończyła się — zawarciem pokoju. Przed 25 laty skarb niemiecki wydawał na środki, przyczyniające się do utrzymania „zbrojnego pokoju wszechświatowego“, zaledwie 504 miliony, obecnie te same cele pochłaniają $1^1/_2$ miliarda. Anglja przed 25 laty wydawała 702 miliony, obecnie zaś niespełna $1^1/_2$ miliarda. Francja 789, obecnie 1100 milionów. Rosja — 894 miliony, obecnie $1^1/_2$ miljarda franków. Ogólne rozchody mocarstw europejskich w latach 1883—1908 poniesiono na utrzymanie pokoju, streszczają się w sumie 145 miljardów franków. Gdy czyta się sprawozdanie powyższe, rodzi się w głowie pytanie: ile to mianowicie celów dobrych możnaby za tę sumę osiągnąć, ilu łaknących zaspokoić, ile reform ogólnego znaczenia przeprowadzić, ile blasków oświaty rozsiać po świecie, gdyby nie... konieczność utrzymania „zbrojnego pokoju“.

* * *

**Ile słów wypowiadamy w roku?** Jeden z angielskich uczonych wziął sobie za zadanie obliczyć w przebliżeniu, ile słów człowiek przeciętnie wypowiada w jednej dobie. Otóż przyjąwszy, że człowiek, mówiąc szybko, wypowiada w jednej minucie 100 słow, co w godzinie czyni 29 stronic druku w ósemce, dalej, jeżeli się przyjmie, że na dobę mówi człowiek trzy godziny, wypadnie 800 stron druku w jednym tygodniu, zaś w roku powstanie z tego 52 tomów o 600 stronicach.

Nie odnosi się to do pań, których każda „najkrótsza“ rozmowa zajęłaby w druku większy „kieszonkowy“ tom słownika o kilkuset stronicach.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 9. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 4 marca 1911.

A. CZECHOW.

## MŚCICIEL.

(Humoreska.)

...Teodor Sygajew, przyłapawszy swą żonę „in flagranti“, nie rzekł ani słowa, tylko udał się do składu broni pod firmą „Smoocks & Co“, aby wybrać sobie odpowiedni rewolwer. Twarz jego wyrażała gniew, żal i niezłomną decyzję...

— Wiem teraz, co mam robić — myślał. — Ognisko święte oplugawione, honor wdeptany w błoto, zło tryumfuje, przeto ja jako obywatel i człowiek uczciwy, powinienem stać się mścicielem. Najpierw zabiję ją i kochanka a potem siebie...

Nie dobrał sobie jeszcze rewolweru i nikogo nie zabił, a już widział w wyobraźni trzy trupy skrwawione, roztrzaskane czaszki, rozpryśnięty mózg, tumult, hałas, policję, tłum gapiów, ekspertyzę lekarską. Z nienawiścią spotwarzonego człowieka przedstawiał sobie całe przerażenie rodziny i tłumu, agonję wiarołomnej, a nawet czytał w myślach artykuły wstępne dzienników o rozkładzie rodziny współczesnej...

Tymczasem subjekt sklepowy, jakaś ruchliwa, zgrabna figura z brzuszkiem, w białej marynarce, rozkładał przed nim rewolwery różnego kalibru i kłaniając się ustawicznie i uśmiechając się z szacunkiem, mówił: „Co do mnie, to radziłbym panu, wziąć ten czerwony, rewolwer systemu „Smith i Wasson“. — Ostatni wyraz techniki strzeleckiej. Trzykrotne działanie z ekstrakterem. Bije na sześćset kroków w centrum. Zwracam uwagę na wykwintność wyrobu. Najmodniejszy system, monsieur! Codziennie sprzedajemy dziesiątki na bandytów, wilków i gachów... Strzał pewny i silny, rewolwer bije na długi dystans i przebija na wylot żonę i gacha... Co się zaś tyczy samobójców, to, monsieur, nie znam lepszego systemu.“

Subjekt podnosił i opuszczał kurki, dmuchał na rękojeść, celował się i udawał, że nie posiada się z radości...

Patrząc na jego twarz pełną zachwytu, można było przypuszczać, że samby sobie wlepił kulę w łeb, gdyby tylko posiadał własny rewolwer tak pięknego systemu jak „Smith i Wasson“.

— Jaka cena? — spytał Sygajew.

— Czterdzieścipięć rubli monsieur.

— Hm! jak dla mnie to trochę za drogo.

— W takim razie monsieur, pozwolę sobie zaproponować mu inny system, tańszy. Racz pan spojrzeć. Wybór posiadamy olbrzymi, ceny wielorakie... Stosownie do wymagań. Naprzykład ten oto rewolwer systemu Lefochét kosztuje zaledwie ośmnaście rubli, ale... (tu subjekt skrzywił się pogardliwie) ale monsieur, ten system już się przestarzał! Nabywają go jedynie duchowni, proletarjusze i psychopatki! Zastrzelenie czy też zabicie żony z systemu Lefochët uważane jest dzisiaj za dowód złego tonu. Dobry ton poleca tylko Smitha i Wasson...

— Nie mam potrzeby ani zabijać siebie ani nikogoi — posępnie zełgał Sygajew. Nabywam ot wprost dla letniego mieszkania, aby złodziei odstraszać...

— To nas bynajmniej nie obchodzi, w jakim celu pan to nabywa — uśmiechnął się subjekt, opuszczając skromnie oczy. Gdybyśmy w każdym wypadku mieli się doszukiwać powodów, to monsier, musielibyśmy wkrótce zwinąć interes... Do straszenia złodziei Lefochét nie nadaje się ponieważ wydaje niegłośny, głuchy huk, w tym celu, monsieur, poleciłbym mu pospolity kapiszonowy pistolet, systemu Mortimer, tak zwany pojedynkowy...

— A może by go lepiej wyzwać na pojedynek? — błysnęło naraz w głowie znieważonego małżonka. Zresztą za wiele honoru dla takiego urzędnika. Takich urzędników należy sprzątać jak psów...

Subjekt obracając się z gracją i drepcząc nóżkami oraz nie przestając uśmiechać się i paplać bez przerwy, rozłożył przed nim nową kupę rewolwerów. Najapetyczniej i najgroźniej zarazem ze wszystkich wyglądał „Smith i Wasson“.

Sygajew wziął do rąk rewolwer jakiegoś systemu, utkwił w nim wzrok swój tępy, bezmyślny wzrok i pogrążył się w zadumie. Wyobraźnia zwów podsunęła obraz, jak druzgocze czaszki kochanków, jak krew strumieniem płynie po kobiercu i po posadzce, jak drga kurczowo ciało wiarołomnej małżonki. Ale tego wszystkiego za mało snać było dla obrażonej dumy jego męskiej. Krwawe wizje, łkanie i groza nie zaspakajały go... Trzeba było wymyśleć coś stokroć okrutniejszego!

— Oto co — myślał — najlepiej zabiję jego i siebie a jej pozwolę żyć. Niech schnie z wyrzutów sumienia i pogardy otoczenia. Dla takiej nerwowej osoby jak ona, będzie to gorsze od śmierci!...

I począł przedstawiać sobie swój pogrzeb: Oto leży on znieważony małżonek w trumnie z łagodnym uśmiechem na ustach, a ona blada, udręczona wyrzutami sumienia kroczy za trumną niby Niobe i nie wie kędy się ukryć od zabójczych, pełnych wzgardy spojrzeń, jakiemi obrzuca ją tłum wzburzony...

— Widzę monsieur; że podoba się panu „Smith i Wasson“ — przerwał mu marzenia subjekt — skoro wydaje się panu za drogi, to mogę opuścić pięć rubli... Zresztą mamy jeszcze inne systemy znacznie tańsze...

Subjekt zgrabnie i z gracją obrócił się i wydostał z półek cały tuzin futerałów z rewolwerami...

— Oto, monsieur, cena trzydzieści rubli. Nie jest to drogo, gdy się zważy, że kurs strasznie spadł a cło stale wzrasta... Monsieur, klnę się na Boga, że chociaż jestem konserwatystą z przekonań, lecz i ja już poczynam się burzyć! Zważ pan tylko! Kurs i taryfa celna zdziałały to, że teraz broń mogą nabywać tylko bogacze, dla biedaków została tylko broń tulska i fosforowe zapałki! Tulska broń — to kpiny monsieur! Oto mierzysz naprzykład w swą żonę, a sam dostajesz kulę w łopatkę...

Sygajew doznał naraz żalu i upokorzenia na myśl, że będąc trupem, nie mógłby przecież widzieć mąk zdrajczyni. Zemsta bowiem wtedy jest tylko słodką, gdy jest się w stanie widzieć ją i kontrolować jej skutki a co za

cel zemsty — gdy oto będzie leżał w trumnie i nie czuł nic a nic?!...

„A możeby lepiej tak zrobić — rozmyślał. — Zabiję go, potem pójdę na pogrzeb, popatrzę, a po pogrzebie siebie zabiję... Zresztą, psiakrew, i to na nic! Jeszcze przed pogrzebem mogą mnie aresztować i odbiorą mi broń...

A zatem: zabijam go, ją pozostawiam żywą, co zaś do mnie... to na razie nie zabiję się jeszcze, a pójdę do kozy.

Zabić się zawsze będę miał czas. Koza dla tego jest mi na rękę, że przy badaniu prewencyjnem, będę miał sposobność rzucenia światła, wobec władzy i społeczeństwa, na całą nikczemność jej postępku. Jeżeli zaś zabiłbym się, to można przypuszczać, że z właściwą sobie przebiegłością i przewrotnością charakteru — przypisałaby mi winę wszystkiego, skutkiem czego i społeczeństwo i przysięgli usprawiedliwiliby jej czyn i kto wie, możeby się nawet naśmieli ze mnie; jeżeli zaś zostanę żywym, to...“

Za chwilę znów myślał: „Tak jeżeli się zabiję, to przypiszą mi winę wszystkiego i nawet posądzą o niskie instynkta...

A przytem, pocózbym miał siebie zabijać? To raz. Powtóre zastrzelić się — to znaczy stchórzyć! A więc zabiję go, jej pozwolę żyć, sam zaś pojdę do kozy!

Nademną będzie sąd, ona zaś będzie figurowała w sprawie jako świadek... Wyobrażam sobie jej oszołomienie, jej hańbę, wstyd i lęk, gdy ją będzie indagował mój obrońca.

Sympatja, sąd publiczności i prasy będzie oczywiście po mojej stronie...

Medytował tak, a tymczasem subjekt wciąż rozkładał przed nim coraz to nowe tuziny uważając jednocześnie za swój obowiązek rozrywać pogawędką nabywcę.

— Ot angielskie nowego systemu przed niedawnym dopiero otrzymaliśmy czasem — paplał. — Ale upewniam pana, że wszystkie te systemy bledną wobec „Smitha Wasson“! Strzelał do gaszka — i czy da pan wiarę — kula przeszła na wylot, potem lampę z bronzu, następnie fortepjan a od fortepjanu rykorzetem zabiła bonę w przedpokoju i kontuzjowała żonę oficera! Effekt był nadzwyczajny i przyniósł zaszczyt naszej firmie. Oficera teraz aresztowano... Zasądzą go oczywiście i pójdzie na katorgę, bo po pierwsze, zbyt przestarzałe mamy prawodawstwo, a powtóre monsieur, sądy u nas zawsze stoją po stronie gachów...! O monsieur pan nie domyśla się nawet, jak mnie oburza to współczesne zepsucie. Podkochiwanie się w cudzych żonach dziś jest tak modne, jak palenie cudzych papierosów lub czytanie cudzych książek.

Z każdym rokiem handel nasz upada coraz niżej i niżej, nie znaczy to wprawdzie, aby gaszków mniej było, ale, że mężowie godzą się z tem stanem rzeczy, bojąc się katorgi!

Subjekt obejrzał się lękliwie i szepnął:

— A kto temu winien monsieur? — Rząd! Pójść na Sachalin dla jakiejś małpy też chyba mi warto — myślał Sygajew.

Jeżeli pójdę na katorgę, to da to tylko możność żonie powtórnie wyjść za mąż i znów zdradzić drugiego męża... Będzie tryumfowała... A zatem: ją muszę zostawić żywą, siebie nie zabiję. Trzeba wymyśleć coś bardziej mądrego i dotkliwego dla niej. Najlepiej wystawię ją na wzgardę publiczną i rozpocznę proces o rozwód...

— Oto monsieur, jeszcze jeden system — rzekł subjekt wydostając z półki nowy tuzin. — Zwracam Panu uwagę na oryginalny mechanizm zamku.

Sygajewowi po powzięciu ostatecznej decyzji nie był już więcej potrzebny rewolwer, a tymczasem subjekt, wpadając w coraz to większy entuzjazm, coraz to nowe przed nim rozkładał systemy. Wstyd ogarnął znieważonego małżonka, że przez niego ten subjekt tyle się napracował, nagadał, naśmiał i stracił czasu...

— Dobrze, w takim razie — zamruczał — przyjdę później, albo przyślę kogo...

Nie widział wyrazu twarzy subjekta, ale ażeby choć trochę zatrzeć przykre wrażenie, poczuł konieczność kupienia czegokolwiek.

Ale co kupić? Rozejrzał się po ścianach sklepu, wybierając rzeczy najtańsze i naraz zatrzymał swój wzrok na zielonej siatce, wiszącej koło drzwi.

— A to co? — spytał.

— To siatka do łapania przepiórek...

— Jaka cena?

— Ośm rubli, monsieur.

— Zawiń pan.

Znieważony małżonek uiścił ośm rubli, wziął siatkę i czując się jeszcze bardziej zawstydzonym wyszedł ze sklepu.

Tłom. Crataegus.

# Z przeszłości przemysłowego robotnika górnośląskiego.

Szkic historyczno-ekonomiczny.

Napisał Emil Caspari.

(Ciąg dalszy.)

## Rozdział trzeci.

### Od roku 1850 do roku 1859.

Z r. 1860 posiadamy obszerną pracę o stosunkach przemysłowych i robotniczych w powiecie bytomskim, napisaną przez asesora rządowego Solgera.

W tym samym roku ukazało się inne dzieło, mające również za zadanie rozpatrzenie, na podstawie źródeł urzędowych, stosunków życia gospodarczego na Górnym Śląsku. Autorem jego jest radca rządowy Th. Schück.

Obydwie te prace wzajemnie się uzupełniają. Dają one szczegółowy obraz ówczesnych stosunków przemysłowych i robotniczych.

Jak już powyżej zaznaczaliśmy, wpłynęła ożywczo na rozwój przemysłu górnośląskiego budowa dróg żelaznych. Tak zwana górnośląska główna kolej żelazna, łącząca Wrocław przez Opole i Koźle z obwodem przemysłowym do Mysłowic, została całkowicie oddaną do użytku w r. 1847. Ruch towarowy z 1 443 147 centnarów w r. 1846 podniósł się do 18 048 603 centnarów w r. 1856, w r. 1857 wynosił 19 061 302 centnarów. Głównymi przedmiotami ruchu towarowego były wytwory przemysłu górniczo-hutniczego. Na przykład w r. 1857 przewieziono na tej kolei 9 655 366 centnarów węgla kamiennego, 767 526 centnarów żelaza surowego, 556 686 centnarów cynku surowego, 524 228 centnarów koksu itd.

Oprócz głównej tej linji kolejowej przeprowadzono całą sieć kolei lokalnych w samym obwodzie przemysłowym. Ruch towarowy z 8 169 927 centnarów w r. 1855 podniósł się na nich do 11 289 413 centnarów w r. 1858. W r. 1857 przewiozły one pomiędzy innemi 6 570 637 centnarów węgla kamiennego, 2 804 789 centnarów galmanu, 836 747 centnarów rudy żelaznej, 36,687 centnarów żelaza surowego, 38 862 centnarów cynku, 37 449 centnarów blachy cynkowej itd.

Kolej, łącząca Nyssę z Brzegiem przez Grotków, została oddaną do użytku w połowie 1847 r. Ruch towarowy z 253 762 centnarów w r. 1849 podniósł się do 1 550 367 centnarów w r. 1857, w tem 727 075 centnarów węgla kamiennego.

Dnia 1 maja 1847 r. oddano całkowicie do użytku drogę żelazną Wilhelma, łączącą Koźle z Boguminem. Ruch towarowy wynosił na niej w r. 1851 — 954 404 centnarów, w r. 1857 — 5 400 760 centnarów. Kolej tę uzupełniono odnogami z Raciborza do Głubczyc i z Nędzy do Mikołowa.

Wreszcie dnia 25 stycznia 1858 r. otwarto ruch na kolei Opole—Góry Tarnowskie. Z końcem r. 1859 było w obwodzie rejencyjnym opolskim w ruchu 74 mile dróg żelaznych. Drogi te były własnością prywatnych przedsiębiorców i choć opłaty przewozowe były na nich wysokie, to jednak dały one potężnego bodźca przemysłowi górniczo-hutniczemu i stały się dla niego nieodzowną koniecznością dla dalszego rozwoju.

W okresie 5 letnim 1854—1858 produkcja górnośląskich kopalń węgla kamiennego i jej wartość wynosiła:

w roku 1854 — 8 650 273 ton, wartości 2 004 607 talarów
w roku 1855 — 9 985 460 ton, wartości 2 615 530 talarów
w roku 1856 — 11 615 120 ton, wartości 3 161 766 talarów
w roku 1857 — 12 109 461 ton, wartości 3 373 880 talarów
w roku 1858 — 14 078 284 ton, wartości 3 897 595 talarów

Produkcja górnicza do r. 1858 podawaną była w tonach pruskich. W r. 1855 było 118 kopalń z 11527 robotnikami liczącymi 17 169 członków rodzin, w r. 1857 — 104 kopalnie z 12 595 robotnikami, w r. 1858 — 101 kopalń z 14 005 robotnikami i 20 988 członkami rodzin.

W ciągu 5 letniego okresu wytwórczość podniosła się o 62,7 procent, wartość jej o 94 procent! Wogóle w okresie 10-letnim (1850—1859) wydobyto na Górnym Śląsku 35 mil. 215 tys. ton węgla kamiennego, czyli już przeszło dwa razy więcej jak w poprzednich 60 latach.

Z ogólnej wytwórczości węgla zużyły w r. 1857 huty cynkowe 25,8 prc., huty żelaza 24,7 prc., kolejami żelaznemi wysłano 23 prc., jedynie więc niespełna czwarta część wytwórczości szła do dalszych miejscowości, resztę węgla zużywano na miejscu.

Kryzys handlowy, jaki się rozpoczął w r. 1857, na razie nie odbił się na wytwórczości, bo produkcja węgla w r. 1858 wzrosła i dopiero w r. 1859 znacznie się obniżyła.

Kopalnie rud żelaznych cieszyły się niemniej pomyślnym rozwojem. Czynnych kopalń było: w r. 1854 — 85, w r. 1855 — 96, w r. 1856 — 121, w r. 1857 — 110. Kopalnie te zatrudniały w r. 1855 — 3219 robotników z 7034 członkami rodzin, w r. 1856 — 4709 robotników i 7565 członków rodzin, w r. 1857 — 4377 robotników i 8200 członków rodzin. Wytwórczość i wartość rudy żelaznej wynosiła:

w roku 1854 — 645 123 ton, wartości 345 710 talarów
w roku 1855 — 688 424 ton, wartości 361 816 talarów
w roku 1856 — 1 208 509 ton, wartości 572 805 talarów
w roku 1857 — 1 261 915 ton, wartości 581 976 talarów

czyli, że w ciągu czterech lat wytwórczość rudy żelaznej wzrosła o 95,6 prc., a watość jej o 68,3 prc.! Obniżenie się w r. 1858 cen żelaza, zwłaszcza surowego, spowodowało zastój w przemyśle żelaznym Górnego Śląska, który też oddziałał na wytwórczość kopalń rudy żelaznej.

W r. 1858 na 97 kopalniach, zatrudniających 3851 robotników z 7371 członkami rodzin, wydobyto już tylko 841 929 pruskich ton rudy żelaznej, wartości 465 657 talarów.

Do końca r. 1857 produkcja żelaza i stali również szybko postępowała. Wynosiła ona bowiem:

w roku 1855 . . . . 2 582 291 centnarów
w roku 1856 . . . . 2 934 219 centnarów
w roku 1857 . . . . 4 078 766 centnarów

W r. 1858 wskutek kryzysu handlowego produkcja obniżyła się do 3 243 316 centnarów, a wartość jej z 11 060 411 talarów do 9 921 231 talarów. Huty żelaza i stali zatrudniały w r. 1857 — 7516 robotników z 14 956 członkami rodzin, w r. 1858 — 8529 robotników z 16 672 członkami rodzin.

Co się tyczy stanu przemysłu cynkowego, to w roku 1851 wyprodukowano 523 556 centnarów, w r. 1852 — 579 288 centnarów, w r. 1853 — 563 368 centnarów, w w r. 1854 — 553 613 centnarów cynku. Od tego roku znowu poczyna się przemysł cynkowy ożywiać. W okresie 5-letnim 1854—1858 produkcja i wartość kopalń rudy cynkowej wynosiła:

w r. 1854 — 3 159 448 centnarów, wartości 1 772 283 talar.
w r. 1855 — 3 667 100 centnarów, wartości 1 862 498 talar.
w r. 1856 — 3 899 818 centnarów, wartości 1 898 818 talar.
w r. 1857 — 3 667 305 centnarów, wartośbi 2 704 744 talar.
w r. 1858 — 4 148 993 centnarów, wartości 1 668 029 talar.

Pomimo panującego kryzysu wytwórczość w r. 1858 znacznie się podniosła, spadła natomiast pokaźnie jej wartość.

Czynnych kopalń i robotników było:

w r. 1854 — 28 z 4260 robotnikami
w r. 1855 — 37 z 4686 robotnikami
w r. 1856 — 40 z 4258 robotnikami
w r. 1857 — 38 z 4637 robotnikami
w r. 1858 — 31 z 4923 robotnikami

W tym samym czasie produkcja hut cynkowych przedstawiała się następująco:

w r. 1855 — 559 910 centnarów, wartości 3 780 186 talarów
w r. 1856 — 561 911 centnarów, wartości 4 212 255 talarów
w r. 1857 — 612 782 centnarów, wartości 4 709 434 talarów
w r. 1858 — 746 813 centnarow, wartości 4 837 459 talarów

W r. 1855 — 43 huty zatrudniały 3272 robotników, w r. 1858 — 47 hut już 4048 robotników.

Oprócz tego od r. 1855—1858 czynnych było 4 walcownie cynku, których produkcja z 89 327 centnarów podniosła się do 86 998 centnarów, a wartość z 716 204 talarów ds 812 720 talarów. W roku 1858 zatrudniały one 142 robotników.

Wogóle wartość produkcji górniczej w r. 1857 wynosiła 6 757 154 talarów, w r. 1858 6 250 108 talarów, zaś hutniczej w roku 1857 16 705 759 talarów, w roku 1858 — 15 714 776 talarów.

Robotników zatrudnionych w górnictwie było:

w roku 1857 . . . . 22 181
w roku 1858 . . . . 23 376

w hutnictwie zaś:

w roku 1857 . . . . 11 079
w roku 1858 . . . . 12 806

Zarobkujący ci utrzymywali członków rodzin:

w roku 1857 . . . . 55 892
w roku 1858 . . . . 58 584

W samym tylko powiecie bytomskim było zatrudnionych w górnictwie, hutnictwie oraz w zakładach będących z temi gałęziami w styczności, w r. 1856 — 29 127 robotników. Kapitał nie kontentował się jednak jedynie pracą mężczyzn, a zapędzał do niej kobiety i dzieci. Solger liczbę ich oblicza w powiecie bytomskim na 2600, a Schück określa ją tylko jako „nadzwyczaj wielką".

Rozwój przemysłu zaznaczał się również w coraz większem stosowaniu siły mechanicznej, zwłaszcza maszyn parowych. Otóż maszyn parowych wogóle było: w r. 1852 — 161 o sile 4158 koni parowych, w roku 1858 — 315 o sile 11 823 koni parowych, przyczem z liczby tej przypadało na górnictwo i hutnictwo:

w roku 1852 — 136 o sile 3376 koni parowych
w roku 1858 — 223 o sile 6335 koni parowych.

(Ciąg dalszy nastąpi).

## Rozmaitości

**O dżumie w dawnych czasach.** Według powszechnej wiary, że każde nieszczęście, jakie ma spaść na ludzkość, poprzedzają różne znaki, wierzono również, że i przed dżumą zjawiały się przepowiednie. Według wierzeń ludów wschodnich przed dżumą przelatuje zawsze czarna mara o skrzydłach nietoperza; szczególniej w nocy można usłyszeć głuchy łoskot jej skrzydeł. We Francji przed dżumą, która grasowała w r. 1561 do 1563, według świadectwa Belleforesta krążyły olbrzymie stada kruków, którędy „przeciągał zapach przyszłej śmierci." Stada te zataczyły w powietrzu „kręgi złowrogie". La Saintonge widział w powietrzu galop fantastyczny koni skrzydlatych dosiadanych przez dziwuych strzelców. Całe to wojsko przejeżdżało „dźwięczeć kopytami, z graniem rogów i brzękiem żelaztwa".

W XVI wieku znano inną przepowiednię, w którą wierzą jeszcze dotychczas w Lotaryngji. Jeżeli w orzechach lęgną się małe pajączki, to dżuma jest bliska. Każdy chłop z Lotaryngji, gdy po otwarciu orzecha zobaczy małego pajączka wędrującego na małych nóżkach, żegna się pobożnie.

Co do tego, gdzie przebywa dżuma, miano również wiele przesądów. Ulubionem miejscem jej pobytu były źródła i studnie. Wprowadzała się ona tam sama, lub też za pomocą „synów djabła", którzy zatruwali źródła. Oczywiście ci „synowie djabła" występowali zawsze w postaci ludzkiej, najczęściej wędrowców. W roku 1565 oskarżono nawet trzech notablów z Antun, że służą djabłu i roznoszą dżumę. We wieku XVIII w dolnej Normandji oskarżono pasterzy wędrownych, że przez zemstę nad właścicielami farm przynieśli dżumę, nasypając czegoś do studzien i źródeł.

W Medjolanie w roku 1630, podczas epidemji dżumy wierzono, że dżuma „przebywa na murach". Ktokolwiek dotknął muru ręką lub ubraniem, ryzykował, że zostanie zlynchowany przez tłum, który wszędzie widział „rozsiewaczy zarazy". Trzech podróżnych francuskich, oglądając katedrę, byli na tyle nieostrożni, iż dotknęli rękami kilka razy jej rzeźb marmurowych. Rozjuszony tłum rzucił się na nich i grożąc śmiercią, odprowadził niefortunnych turystów do więzienia.

Najlepszym środkiem przeciwko dżumie, według ogólnej wiary ludu francuskiego był „kwiat złoty", który o wschodzie słońca „śpiewał jak słowik". Niestety kwiat ten niełatwo było znaleźć, do tego strzegło go 100 wilków. W epoce Henryka IV wierzono również, że dżuma nie lubi potraw przyprawianych czosnkiem i ucieka z tego domu, gdzie używają dużo tej przyprawy, natomiast przebywa chętnie tam, gdzie używają dużo masła.

W Rouen znano dom, w którym według wierzeń zamieszkała dżuma, krzyżem zamykano drzwi tego domu, a w okna wstawiano kraty. W ten sposób próbowano uwięzić „złą zmorę".

W Marsylji podczas dżumy w roku 1720, lekarze, którzy pielęgnowali chorych, nakładali na się rękawiczki i ubrania ze skóry wielbłądziej, której zapach odstraszał dżumę. Na głowę wkładano czapkę również z tej skóry, zaopatrzoną w „oko kryształowe" i w dziób jakiego ptaka drapieżnego. W tym dzióbie umieszczano po odrobinie każdego ze znanych w owe czasy lekarstw.

* * *

**Telefony całego świata.** „Electrical Review and Western Electrician" podaje przegląd telefonów w całym świecie w dniu 1 stycznia 1910 r. Kapitał włożony w telefony wynosi 6400 miljonów marek; rozmownic telefonicznych jest 10 miljonów; długość linji wynosi 36640000 kilometrow: rozmów było 9 miljonów. W liczbach tych postępują następujące kraje:

| | Liczba rozmownic telef. absolutna | Na 100 mieszkań. % | Długość linji telefonicznych w kilometrach |
|---|---|---|---|
| Stany Zjednoczone | 7 083 900 | 7·6 | 25 190 000 |
| Niemcy . . . . . | 910 900 | 1·5 | 4 401 300 |
| Anglja . . . . . | 615 900 | 1·2 | 2 971 300 |
| Francja . . . . . | 211 600 | 0·5 | 1 227 000 |
| Szwecja . . . . | 171 400 | 3·1 | 331 000 |
| Rosja . . . . . | 155 715 | 0.1 | 451 000 |
| Austrja . . . . . | 99 500 | 0·3 | 481 000 |
| Danja . . . . . | 86 000 | 3·3 | 304 000 |
| Szwajcarja . . . . | 73 300 | 2·0 | 330 000 |
| Japonja . . . . . | 71 400 | 0·1 | 282 000 |
| Włochy . . . . . | 56 400 | 0·2 | 163 000 |
| Norwegja . . . . | 54 500 | 2·3 | 193 000 |
| Holandja . . . . | 52 000 | 0·9 | 178 000 |
| Węgry . . . . . | 50 000 | 0·2 | 382 000 |
| Belgja . . . . . | 42 600 | 0·5 | 212 000 |
| Hiszpanja . . . . | 22 000 | 0·1 | 71 000 |
| Rumunja . . . . | 10 000 | 0·1 | 55 000 |

Na Stany Zjednoczone wypada więc 70 proc. wszystkich rozmownic i 55 proc. kapitału inwestytowanego. Na Europę przypada 30,8 proc., na Kanadę 1,9 proc., reszta na inne kraje. Austrja co do absolutnej liczby jest na miejscu siódmem, co do procentowego stosunku do liczby mieszkańców na jedenastem. „Miastem telefonów" jest Stokholm, który liczy 17,2 rozmownic telefonicznych na 100 mieszkańców, Kopenhaga 6·9, Kristjanja 6·5, Berlin 4·8, Hamburg 4·7, Londyn tylko 2·5, a Paryż nawet tylko 2·3.

* * *

**Mord kapitalistyczny.** Eksploatacja pokładów cennego marmuru w Karrarze odbywa się do dziś dnia w sposób najwięcej prymitywny, bez względu na ochronę zdrowia i życia robotników. „Avanti" donosi, że w roku 1910 dzięki skąpstwu i nienasyconej chciwości pracodawców, było tam 1519 nieszczęśliwych wypadków. Z tego 19 robotników poniosło śmierć, a 200 było dłużej jak 3 miesiące niezdolnych do pracy, szkoda tylko, że nie podaną jest liczba okaleczonych na życie cała. Eksploatację prowadzą liczne towarzystwa, między niemi także francuskie i angielskie towarzystwa akcyjne. Liczbę nieszczęśliwych wypadków możnaby tam z łatwością zredukować do minimum, przez zaprowadzenie odpowiednich maszyn, ale przecież (zysk to grunt, twierdzi kapitalista) maszyny są tam droższe jak życie robotników.

* * *

**Ilość zużywanego papieru u narodów kulturalnych** powiększa się coraz więcej i przyczynia się do groźnego w skutkach trzebienia lasów. Jedyne Stany Zjedn. zużywają rocznie 2,73 miljonów ton papieru, to znaczy 32,5 kilograma na jednego mieszkańca. Niemcy zużywają o wiele mniej bo 937000 ton, co czyni 14,5 kilograma na mieszkańca. Trochę większą ilość papieru zużywa Anglja, gdzie wypada 76,3 kilograma na jednostkę. Francuz zużywa 10,5 kilograma papieru rocznie, a na mieszkańca Austrji wypada tylko 7 kilogramów.

* * *

**Ludność w Krakowie.** Według dotychczasowych obliczeń ludność rozszerzonego Krakowa liczy 151 919 mieszkańców, czyli więcej o 28290 aniżeli w r. 1900 na tym samym obszarze.

* * *

**Zapałki chińskie.** Od lat kilkudziesięciu prowadziły państwa europejskie z Chinami znaczny handel zapałkami, który coprawda w ostatnich czasach zupełnie wyrugowały zapałki japońskie. Teraz pokazują chińczycy, że i w tej dziedzinie fabrykacji mogą być niezależni od zagranicy. Ostatnio powstały wielkie fabryki zapałek w Szanghaju, Hankau, Tientsynie, Pekinie. Fabryka w Hankau zatrudnia 3 600 robotników i wyrabia 50 do 60 ton zapałek. Doczekamy się może niedługo, że chińczycy zaczną swoje zapałki wywozić do Europy.

* * *

**Kawał żelaza w mózgu.** W jednym z lazaretów Londynu operowano w tych dniach szewca Graty, ponieważ cierpiał na straszne bóle głowy. Lekarze, badający chorego, oświadczyli, że wrzód tworzy się pod czaszką i postanowili operować go. Podczas operacji okazało się, że w mózgu znajdowało się żelazo śpiczaste dwa cale długie objętości ćwierć cala, które tylko uchem dostać się mogło do mózgu. Pacjent oświadczył, że nie wie, skądby wziąć się mogło żelazo i umarł po kilku dniach mimo operacji udanej. Żona zaś zmarłego oświadczyła, że nieboszczyk, będąc pijakiem, padł niezawodnie w stanie nietrzeźwym głową na jakieś narzędzia żelazne, przyczem przedostał się mu ułamek żelaza uchem do mózgu.

## Kącik humorystyczny.

**Nowa nadzieja.**

— Wyobraź sobie, w Paryżu zwarjowało prawie jednocześnie dziesięciu krawców damskich!

— Ach, to znowu nareszcie będziemy miały cudowne mody...

* * *

**W ekstazie.**

Burmistrz (który dostał od księcia swojego kraju cygaro, zupełnis zafrasowany): „Wasza książęca mość, całe życie swoje palić będę to cygaro".

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 10. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 11 marca 1911.

## Bajeczki satyryczne.

### I. Koń i świnia.

Raz rumak wskoczył w kałużę — galopem pędząc
przez błonia,
Co widząc, zgorszona świnia — nuże wymyślać na
konia!
„Masz rację“ — koń jej odrzecze — masz rację, lecz
małe „ale“:
„Jam tylko zgłębił to błoto, w którem przebywasz ty
stale“...

### II. Motyl i cielę.

Motyl — cudo Allaha — (choć to rzadka chwila)
Będąc srodze zmęczony, siadł na grzbiet cielaka:
„Toś ty mnie w gnój pogrążył! Ty pokrako taka!
Beknie cielak — bęc chwostem i zabił motyla...

### III. Nowator i ogół.

Nowator raz do walki wyzwał ogół-morze,
Wołając: „ludzie podli! ludzie głusi, ślepi!
Na to ogół: „To prawda, lecz wiedz, nowatorze,
Ze świni najwygodniej w błocie i — najlepiej!“

### IV. Psy i księżyc.

Psy, wzburzone na księżyc, że świeci na ziemię,
Wyzwały go do walki i aby gryzł się z niemi.
Na to odpowie księżyc (okryty chmurami):
„Nie jestem tak rycerski, abym walczył z psami!“

### V. Poeta i świnia.

Pewna świnia (a nie brak tych stworzeń na swiecie!)
Świński pogląd na sztukę przesłała poecie.
Cóż jej na to poeta? — „O, świnio obrzydła!
Ty sądzisz o poezji? Alboż masz ty skrzydła?!“

Crataegus.

O. Wilde.

## Bajka o samolubnym olbrzymie.

Ze szkoły wracając dzieci biegły do ogrodu olbrzyma i bawiły się. Powtarzało się to codziennie, każdego popołudnia.

Był to ogród duży i piękny, tonący w miękkich falach wiecznie młodej trawy. Tu i owdzie jaskrzyły się pośród łagodnej zieleni kwiatki barwne, tam znowu pięło się ku górze dwanaście drzew brzoskiniowych, które, wiosną pokryte kwieciem dziewiczo białem zlekka zapłonionem, jesienią uginały się pod obfitością złotego owocu. A liczne rzesze ptactwa, ukryte w liściastych konarach drzew, śpiewały tak słodko, tak radosne zawodziły trele, że pod ich urokiem dzieci raz wraz przerywały zabawy, by słuchać. A wtedy z błąkającymi się w oczętach ognikami, wołały: „Jakże jesteśmy tu szczęśliwe.“

Ale zdarzyło się, że pewnego dnia powrócił olbrzym do domu. Bawił on w gościnie u przyjaciela swego, rogatego ludożercy; bawił tam okrągło siedm lat. A gdy owych siedm lat dobiegło końca, powiedzieli sobie byli już wszystko, co wogóle do powiedzenia mieli — olbrzym bowiem był od urodzenia wrogiem gadulstwa wszelakiego, stąd całe opowiadania streszczał do kilka zdań, i stąd też możliwe mu było wyczerpać w owych siedmiu latach cały temat i dyskusję. Tak więc postanowił opuścić przyjaciela i powrócić do swego zamczyska. Lecz tu, o zgrozo, zastał rozbawioną gromadkę dzieci, hasających po jego ogrodzie. Więc w słuszne popadł oburzenie.

— Czego wy tu szukacie! — zawołał srogo, iże dzieci uciekły. — To jest mój ogród, mój ogród! i oprócz mnie samego nikt nie ma prawa się tu bawić!

I otoczył swój ogród potężnym murem, a na miejscu widocznem umieścił tablicę z napisem: „WSTĘP SUROWO WZBRONIONY!“

Był to olbrzym bardzo samolubny.

Biedne dzieci! Pozbawione teraz zostały swobodnego miejsca, gdzie mogłyby czas na przyjemnej spędzać zabawie. Próbowały bawić się na gościńcu, ale było tam pyłu dużo i wiele kamieni ostrych; więc gościńca nie lubiły.

Wracając ze szkoły, snuły się tedy smutne popod wysokim murem ogrodu i wspominały o cudach i szczęściu teraz dla nich niedostępnem.

Po smutnej zimie nastała wiosna rozkoszna i wszędzie, wszędzie pachniała wiosna, barwiło się kwiecie i rojno było od ptactwa i gwarno od śpiewu jego. A tylko w ogrodzie olbrzyma samolubnego panowała zima. Ptaszyny trzymały się zdala od ogrodu, ponieważ nie było tam dzieci, a drzewa zapomniały kwitnąć. Kiedyś coprawda kwiatek jakiś wysunął swą główkę ze zczerniałej trawy, ale zoczywszy tablicę z srogim napisem, zasmucił się tak bardzo o los dzieci, że trwożnie ukrył się pod ziemię.

Dwuch tylko cieszyło się złośliwie z zimy w ogrodzie: mróz i śnieg. Oni to aż wyli z radości, że hulać tam będą mogli rok cały bez przerwy. Niebawem też zaprosili w gościnę wiatr północny. Był on potworny; przez cały dzień rozbijał się po ogrodzie jak wściekły i wywracał kominy. „Bardzo ładnie się tu mieszka — mówił — trzeba tylko jeszcze gradu do towarzystwa“. I nadszedł grad. I z siłą począł uderzać codziennie o dach zamku, tak, że potrzaskał wszystkie dachówki.

— Dziwne czasy! — mruczał olbrzym samolubny, spoglądając poprzez zaparowane szyby okien na śniegiem pokryty ogród. — Dziwne czasy, kiedyż wreszcie zakończy się zima nieznośna! I pocieszał się tem jedynie, że lada dzień się to zmieni i nastanie wiosna.

Ale nie nadeszła wiosna, tem mniej lato. Tymczasem jesień dała wszystkim ogrodom owoc złoty w niezmiernej obfitości, a tylko ogrodowi olbrzyma owocu nie dała żadnego. „Samolubstwo musi być ukarane“ — szumiała jesień.

Tak więc zima nieustająca panowała w ogrodzie olbrzyma, a mróz ostry i śnieg, wichry północne i grady tańczyły taniec piekielny dokoła wyschłych, poczerniałych drzew.

Pewnego poranku zbudziły olbrzyma przedziwne jakieś dźwięki; muzyka to była tak słodka, cudna, że zdało mu się, iż grajkowie nadworni króla przechodzili tuż koło jego zamczyska. Ale był to jeno szczebiot najzwyklejszej czeczotki. I dziwna rzecz, że w tejże chwili grad zaniechał swych zwykłych harców, ustało wycie przeraźliwe wichrów północnych, a w powietrzu unosiła się woń przeczysta, woń rozkoszna.

— Toż to wiosna, wiosna! — zawołał olbrzym i jednym susem wyskoczył z łóżka i stanął przy oknie.

I cóż tam ujrzał?

Oczom jego przedstawił się obraz niezwykły. Spostrzegł wyłom w murze, przez który prześliznęły się do ogrodu dzieci i posiadały na gałęziach drzew. Na drzewie każdem siedział mały dzieciaczek, i uradowały się drzewa widokiem dzieci i z radością pokryły się kwieciem bujnem. Ptasząt gromada latała dokoła, ćwierkając wesoło, zazieleniła się trawka i kwiatki wychyliły swe główki i śmiały się. Prawdziwa rozkosz. Lecz uroczy ten obraz szpecił drobny szczegół. Mianowicie w odległym zakątku ogrodu zima jeszcze panowała w całej pełni, i tam pod drzewem stało maleńkie chłopię. Zbyt mały był, by dostać się na drzewo, więc biegał dokoła niego i rzewnie płakał. A drzewo pokryte było śniegiem, a konarami szamotał wichr dziki. „Wejdź na mnie, maleńki“ — szeptało drzewo i zniżało gałęzie bardzo nisko. Ale chłopiec był za mały.

Obraz ten rozrzewnił serce olbrzyma.

— O jakże samolubny byłem — mówił — teraz dopiero widzę, dlaczego wiosny tchnienie omijało mój ogród. Pomogę malcowi, niech wejdzie na szczyt drzewa, a potem mury rozbiję i ogród oddam dzieciom do zabawy.

Samolubstwo pierwotne martwiło go istotnie.

Chyłkiem więc udał się olbrzym do ogrodu, ale spostrzegły go dzieci, przelękły się i uciekły. I w ogrodzie znowu zapanowała zima. Dzieci uciekły, a pozostał tylko ów chłopiec zapłakany, który z powodu łez nabiegłych do oczu nie dostrzegł był olbrzyma. I podszedł olbrzym do niego z cicha, uniósł go w górę i na drzewie usadowił wysoko. I drzewo w mgnieniu oka pokrywać się poczęło bujnem barwnem kwieciem, nadleciały ptaszęta, posiadały dokoła chłopczyka i śpiewały rozgłośnie. I wyciągnął chłopiec swe drobne rączyny, objął olbrzyma za głowę i ucałował go. A gdy zbiegłe dzieci ujrzały, że minął już gniew olbrzyma, przybiegły z powrotem a wraz z nimi nadeszła i wiosna.

— Ogród mój należy odtąd do was — powiedział olbrzym, wziął kilof potężny i rozbił mur w kawałki.

I bawiły się dzieci przez dzień cały, a wieczorem poszły gromadą do olbrzyma z podziękowaniem za gościnę.

— A gdzież to podział się wasz towarzysz, którego usadowiłem na drzewie? — pytał olbrzym, bo pokochał chłopca za to, że go ucałował. Powiedzcie mu, ażeby jutro znowu przyszedł do ogrodu.

Ale dzieci oświadczyły, że nie wiedzą, gdzie chłopiec ten mieszka, że nie znają go. Posmutniał więc olbrzym.

Odtąd już stale przychodziły dzieci do ogrodu olbrzyma, bawiły się wesoło i bardzo były szczęśliwe. I olbrzym bawił się z nimi. Ale nieznanego chłopca między nimi nie było. Olbrzym kochał coprawda swoją gromadkę, ale tęsknił bardzo za młodym swoim przyjacielem, i w myślach powtarzał ustawicznie: „jakże pragnąłbym go znowu zobaczyć“...

Minęły lata i olbrzym postarzał się wielce i osłabł. Przeto nie brał już udziału w zabawie, a tylko siedząc w pokoju swym w głębokim fotelu, zdala przyglądał się bawiącym i radował się ich szczęściem. „Wiele mam kwiatów w ogrodzie, ale najpiękniejsze z nich to dzieci.“

— — — — — — — — — — — — — — —

Nadeszła zima. Śnieg iskrzył się na dalekich polach, w śniegu tonął ogród olbrzyma. Nie nienawidził już teraz zimy, bo był pewien, że wiosna niebawem pokrzepiona wypoczynkiem wróci znowu jasna i słoneczna.

Pewnego takiego poranku białego zbliżył się do okna, by spojrzeć na ogród. Lecz nagle... Przetarł oczy raz i drugi.. Nie dowierzał. W odległym zakątku ogrodu jedno jedyne drzewo pokryte było świeżą zielenią i kwieciem najcudniejszem, a pod nim — jak ongi — stał ów chłopiec nieznany.

Szalony radością olbrzym wybiegł ze swego pokoju, by podążyć do chłopięcia. Lecz gdy podszedł do niego już blisko zupełnie, poczerwieniał nagle z gniewu i żałości i zawołał:

— Któż to odważył się zrobić ci krzywdę? Na dłoniach bowiem dziecka i stopach jego maleńkich zauważył był cztery rany.

— Któż ośmielił się zrobić ci tak wielką krzywdę? — powiedz, a wezmę mój miecz największy i zabiję go.

Ale uśmiechnął się chłopiec, potrząsnął swą główką złotą i odrzekł:

— To są rany miłości...

— Kto ty jesteś? — zawołał olbrzym, a w tejże chwili lęk nieokreślony wstrząsnął nim do głębi, iże ukląkł przed dzieckiem.

I uśmiechnęło się znowu chłopię małe i rzekło:

— Ongi pozwoliłeś mi bawić się w ogrodzie swoim, dziś pragnę cię do swego zabrać ogrodu.

A gdy dnia tego popołudniu dzieci starym zwyczajem przybiegły do ogrodu, znalazły leżącego pod drzewem trupa olbrzyma, pokrytego kwieciem obfitem i najpiękniejszym.

Tłom. Cz. K.

# Z przeszłości przemysłowego robotnika górnośląskiego.

Szkic historyczno-ekonomiczny.

Napisał Emil Caspari.

(Ciąg dalszy.)

## Rozdział czwarty.

### Od roku 1860 do roku 1869.

W następnem dziesięcioleciu (1860—1869) produkcja kopalń węgla kamiennego w porównaniu z poprzednim okresem dziesięcioletnim wzrosła bardziej niż w dwójnasób. Ogółem bowiem wydobyto już w tych dziesięciu latach 74 246 tys. ton węgla kamiennego. W r. 1869 na 103 kopalniach węgla kamiennego wydobyto 5 656 102 ton, przyczem kopalnie te zatrudniały już 23 339 robotników. Przeciętnie na każdego robotnika przypadało 242,34 ton wydobytego węgla.

Na kopalniach rudy żelaznej wydobyto w r. 1869 ogółem 529 683 ton kruszczów, pracowało na nich 3637 robotników. Kopalnie rudy cynkowej i ołowianej wyprodukowały w tym samym roku 324 669 ton galmanu i 13 123 ton błyszczu ołowiu, zatrudniając 7317 robotników. Wartość produkcji kopalń węgla kamiennego i rud wynosiła w r. 1869 — 36 330 225 marek.

Co się tyczy następnie przemysłu hutniczego, to w 62 wysokich piecach (w tem 20 jeszcze na drzewie) wyprodukowano w 1869 r. 211 851 ton surowca. Przeciętnie za tonę surowca płacono 75,60 marek. Produkcja walcowni (żelaza spawalnego i zlewnego) wynosiła ogółem 134 991 ton. Zakłady z wielkimi piecami zatrudniały 4224, walcownie 9161 robotników. Odlewnie wyprodukowały 19 937 ton odlewów, zatrudniając 827 robotników. Wartość produkcji przemysłu metalurgicznego żelaznego wynosiła 45 miljonów 684 561 marek.

Huty cynkowe wyprodukowały w r. 1869 37 917 ton surowego cynku, przeciętnie za tonę płacono 382 marki, walcownie — 11 762 ton blachy cynkowej. Zatrudnionych

robotników było 4295. Hufy ołowiu wyprodukowały 7297 ton ołowiu i glejty, zatrudniając 213 robotników. Wartość produkcji hut cynkowych i ołowianych wynosiła 21 miljonów 856 707 marek.

Ogólna wartość produkcji całego przemysłu górniczo-hutniczego wynosiła w r. 1867: 75 212 919 mk., w r. 1869: 103 871 493 mk., podniosła się zatem w ciągu trzech lat o 38 procent, liczba zaś zatrudnionych robotników wynosiła w r. 1867: 44 174, w r. 1869: 53 224, czyli, że wzrosła o 20 proc.

Sieć kolei żelaznych powiększyła się w r. 1867 o linję po prawej stronie Odry, przechodzącą przez Kluczborek, Góry Tarnowskie, Szopienice do Dziedzic.

O stosunkach robotniczych w tym okresie czasu posiadamy niestety bardzo mało wiadomości. Wiemy tylko, że stały się one jeszcze gorsze, gdy prawo górnicze zmieniono ostatecznie w r. 1865 na korzyść prywatnego kapitału górniczego. Kasy brackie dostały się pod władzę magnatów kopalnianych. Spustoszenia, jakie pociągało za sobą nieograniczone panowanie kapitału prywatnego, stawały się coraz straszniejsze. Tysiące kobiet pracowało w kopalniach pod ziemią. Na 100 robotników w kopalniach węgla kamiennego było w r. 1870 na Górnym Śląsku 4,4 kobiet.

Całe pokolenia karłowaciały. Jak strasznie masowe zatrudnianie kobiet po kopalniach, w dodatku nawet i pod ziemią, podrywało zdrowie ludności, dowiadujemy się z książki lekarza knapszaftowego dr. Schlokowa, który donosi, że śmiertelność dzieci w wieku 1—5 lat wynosiła w latach 1864/66 w Prusiech 47 na 1000, natomiast w powiecie bytomskim aż 80! Po wsiach tego powiatu śmiertelność wynosiła nawet 91 na każdy tysiąc dzieci w tym wieku!

Jasną rzeczą jest, że te straszne spustoszenia wśród dzieci były następstwem zatrudniania kobiet przy szkodliwej dla zdrowia pracy po kopalniach i hutach. Praca ta wywoływała liczne przedwczesne porody. Dziecko, które przyszło na świat, miało w sobie już zarodki wycieńczenia i wczesnej śmierci. Brak następnie należytej opieki matczynej, ponieważ matka musiała chodzić do pracy, dobijał wkrótce takie słabowite dziecko. Spustoszenia wskutek podziemnej zwłaszcza pracy kobiet tak były widoczne, że wrocławski urząd nadgórniczy widział się zmuszonym, rozporządzeniem z dnia 18-go grudnia 1869 roku pracy tej zabronić.

Kapitał nie znał jednak spoczynku. Do obwodu przemysłowego ciągnęły nowe rzesze robotnicze całemi tysiącami ze wsi górnośląskiej.

* * *

## Rozdział piąty.

### Od roku 1870 do roku 1879.

Rozwój przemysłu górniczego w następnem dziesięcioleciu był już znacznie powolniejszym. Ogółem od 1870 do 1879 wydobyto 98 763 tysięcy ton węgla kamiennego. W porównaniu zatem z poprzednim okresem przyrost wynosił już tylko 33 procent. Licaba kopalń węgla kamiennego z 106 w roku 1870 spadła do 90 w r. 1879, produkcja ich natomiast podniosła się z 5 854 403 ton do 8 875 090 ton, a liczba zatrudnionych robotników z 23 446 do 30 644, czyli, że w przemyśle węglowym widoczną się stawała tendencja ku koncentracji. Przeciętna wydajność każdego robotnika wynosiła w r. 1870 239,69 ton, w r. 1879 289,61 ton. Za tonę węgla płacono przeciętnie w r. 1870 4,34 mk., do r. 1873 cena węgla stale wzrasta i dochodzi w tym roku do 6,84 mk. Były to lata ożywienia gospodarczego, wywołanego gorączką spekulacyjną po wojnie francusko-niemieckiej. W r. 1874 rozpoczyna się kryzys, który trwa przez kilka lat, ceny węgla spadają tak dalece, że w r. 1879 płacono za tonę przeciętnie już tylko 3,66 mk., czyli przeszło 3 marki mniej, niż przed 6 laty.

Na kopalniach rudy żelaznej wydobyto w r. 1870 ogółem 406 532 ton kruszczów, lata grynderstwa powodują wzrost produkcji rudy do 686 154 ton w r. 1872, następnie produkcja obniża się i ostatecznie po pewnych wahaniach dochodzi w r. 1879 do 557 290 ton. Liczba zatrudnionych robotników z 3140 w r. 1870 spadła do 2370 w r. 1879, ulegając rozmaitym wahaniom, bo np. w r. 1872 wynosiła 4166, a w r. 1873 obniżyła się raptownie do 3156, czyli przeszło o tysiąc. Kryzys dawał się więc robotnikom dotkliwie we znaki: następowało masowe wydalanie, no i naturalnie obniżanie i tak nędznych płac.

(Ciąg dalszy nastąpi).

## Rozmaitości

**Największy okręt świata** oddała do użytku publicznego ostatnio angielska „White Star Line". Okręt ten, 394 metry długi i 31 szeroki, ma 45 000 ton pojemności. Korpus okrętu jest 35 metrów wysoki, komin 24 metry, tak, że ogółem wysokość od dna okrętu do szczytu komina wynosi 60 metrów. Kotwica posiada olbrzymią wagę 15 i pół ton. Wewnętrzne urządzenie tego kolosa jest jeszcze więcej imponujące jak jego wielkość. „Olympia" (tak został nazwany nowy okręt) może pod każdym względem zadowolnić najwyższe wymagania swoich 2500 pasażerów. Nawet choroba morska pozostanie tam nieznaną, bo dzięki swojej wielkości zredukuje się do minimum kołysanie okrętu. W wspaniale urządzonych salonach, pokojach do palenia, salach koncertowych i przepysznym ogrodzie zimowym, mogą pasażerowie klasy pierwszej spędzać chwile przyjemne, wśród nudnej dotychczas przeprawy morskiej. Sportsmeni nie potrzebują więcej wyrzekać się swojego ulubionego zajęcia. Zwolennicy jazdy konnej, gimnastyki, pływania mają do rozporządzenia: ujeżdżalnię, salę gimnastyczną, olbrzymi bassen do pływania, wędkarze nawet łapać mogą ryby w specjalnie urządzonym stawie. Jednem słowem, wszyscy prawie mogą pasję swoją zadowolnić. Nadmienić trzeba jeszcze, że okręt posiada cały szereg ślicznych pokoi do zabaw dla dzieci, pewną liczbę salonów mód, salonów krawieckich i sklep jubilerski. Jednem słowem — powtarzamy — niczego tam nie brak. Niestety, nic się nie dowiadujemy, jak są zaspakajane konieczne potrzeby pasażerów klasy drugiej i 850 pracowników. Tutaj napewno nie wygląda wszystko tak pięknie!

* * *

**Praca kobiet w wiekach średnich.** Ciekawe wyjątki z książki profesora Büchera „Die Frau im Mittelalter", w której tenże ukazuje, jak praca kobiet rozpowszechnioną była w średniowieczu, podaje „Türmer". Spotykamy kobiety zatrudnione nawet w takich zawodach, z których teraz są wykluczone prawie zupełnie. Dokumenty w archiwum frankfurckiem z lat 1320—1500 wykazują przeszło 200 zawodów, w których pracowały kobiety. Wyrabianie sznurów i wstążek, okryć, zasłon i guzików spoczywało wyłącznie w rękach kobiet. Brały one udział w krawiectwie, kuśnierstwie, rękawicznictwie i kapelusznictwie; wyrabiały sakiewki i kufry, skórzanne napierśniki i rzemienie do ostróg. Czynności kobiet wówczas sięgają także dziedziny drobnego przemysłu drzewnego i metalowego. Igły i sprzączki, pierścionki i drut złoty, miotły i szczotki, rogoże i koszyki, paciorki i konewki wychodzą z pracowitych rąk kobiet. Cukiernictwo uprawiały prawie wyłącznie kobiety, to samo da się powiedzieć o warzeniu piwa i wyrobie świec i mydła. Przeważają one w drobnym — a w bardzo rozwiniętym handlu owsem i sianem biorą żywy udział. Widzimy kobiety jako najemne robotnice i samodzielne majstrowe. Obok żony i córek pomagają także i najemnice w zawodzie majstra; wdowa prowadzi w dalszym ciągu interes swojego męża. Także w sukiennictwie i tkactwie są czynne kobiety jako samodzielne majstrowe i najemnice. W Kolonji istniał samodzielny cech prządek. Bywają nawet zawody z organizacją cechową li tylko kobiece. W służbie miejskiej spotykamy kobiety zatrudnione jako akuszerki i dozorczynie chorych, odźwierne, celniczki i pasterki. Nawet w służbie szpiegowskiej czynny brały udział.

* * *

**Stowarzyszenie żebraków.** Gazeta londyńska „Daily Mail“ pisze ciekawe rzeczy o stowarzyszeniach żebraków w Jerozolimie. 15 000 żebraków uprawia swe rzemiosło listownie w całym świecie w sposób bardzo rafinowany. Mają swe własne biura, w których liczne panny są zajęte pisaniem na maszynie listów proszących o wsparcie; mają swych agientów, którzy udzielają im informacji o odpowiednich osobistościach tak, iż każdy list jest zastosowany do „potrzeb odbiorcy“. Żebracy jerozolimscy chcą naturalnie pieniędzy, a dają w zamian za to zupełnie bezwartościowe przedmioty. Najczęściej są w tych listach pamiątki z Jerozolimy, a więc zasuszone kwiaty, pochodzące rzekomo z Góry Oliwnej, albo małe figurki z drzewa, które miały rość na świętych miejscach Jerezolimy lub Betleem. Ale drzewo jest przeważnie importowane z Marsylji. — Jerozolimski dziennik „Truth“ twierdzi, że rocznie wysyła się stamtąd około 50 miljonów takich listów. O ile ta liczba nie jest przesadzoną, to i poczta robi na tem niezłe interesy.

* * *

**Pojedynek literacki.** Niezwykła walka toczy się w ostatnich czasach między Bernardem Shawem a Frankiem Harrisem, który obwinia przeciwnika o plagjat idei i pomysłów literackich. Wobec znanego ciętego dowcipu obu przeciwników, walka posiada momenty drastyczne, które jednakże w wysokim stopniu podnoszą jej sensację dla zwolenników obu rywali. Ostatni numer „Academji“ zamieszcza odpowiedź Harrisa, której wyjątek brzmi, jak następuje: „Sądzi pan, że pan wyżej stoi odemnie, ale tylko dlatego, że pan każde moje słowo, które napiszę, czyta i eskamotuje. Wobec pańskich małych sztuczydeł nie protestuję przeciw temu; pan już przed 10 laty ściągnął odemnie niejedno, a ja nic na to nie mówiłem. Cieszyłem się zawsze, gdy się pan stroił w moje piórka i mój intelekt we własny brał zarząd. Zaprotestowałem dopiero, kiedy pan się zastrzegł, że piórka nie są moje. Wtedy wpakowałem pańską głowę między moje kolana i pokazałem panu, że samemu sobie przynosi szkodę, kto z zamkniętemi oczyma występuje do walki z faktami.“

* * *

**Niebezpieczeństwo na ulicach miast olbrzymich.** Jak wykazuje statystyka wypadków nieszczęśliwych na ulicach Nowego Jorku, opierająca się na porównaniu wypadków w r. 1826 i wypadków w r. 1908, niebezpieczeństwo życia powiększyło się stosunkowo więcej jeszcze jak liczba mieszkańców. Na kolejach górnej i podziemnej straciło życie w ostatnio wymienionym roku 75 osób, a na ulicach poniosło śmierć 313 ludzi. W Londynie straciło życie wskutek nieszczęśliwych wypadków na ulicach w 1909 r. ogólnie 303 osoby, a liczba pokaleczonych wynosiła 13 588.

* * *

**Flammarion o użyciu powietrza.** Stare przysłowie, że żyć nie można bez powietrza, wkrótce okaże się fałszywem, jak twierdzi astronom Flammarion w nowojorskim „Heroldzie“. Powietrze udziela już ludzkości niezmiernych skarbów, a wydzielony z niego i skroplony tlen i azot mają w przemyśle szerokie zastosowanie. Na ostatniem posiedzeniu paryskiego Towarzystwa astronomicznego dr. Karol Guillaume udowodnił za pomocą doświadczeń, że z powietrza można wydzielić przeprowadzenie prądu elektrycznego przez odpowiednie tubki również inny gaz, „neon“, który dostarcza światła bardzo taniego, a przez swą barwę pomarańczową nader miłego dla oka. Analiza powietrza jest bezwątpienia jedną z najciekawszych praktyk najnowszej chemji. Od czasu Empedoklesa i Arystotelesa aż do czasów Lavoisier'a, a więc przez dwa tysiące lat mniemano, że wszechświat składa się z czterech elementów: ziemi, wody, powietrza i ognia. Dopiero Lavoisier odkrył, że powietrze nie jest nierozdzielnym chemicznie żywiołem, a następnie lord Raleigh i Ramsay odkryli kilka dotąd nieznanych materji w powietrzu, jak helion, krypton, nenon i ksenon. Wierzono przez lat tysiące, że powietrze jest jedynie pokarmem dla piersi żyjącego stworzenia; dziś wszakże służy już ono do oświetlania i ogrzewania. Można się zapytać — kończy swoje spostrzeżenie Flammarion — jakie będą w przyszłości następstwa używania powietrza? co pozostaje żyjącemu stworzeniu do oddychania?

**Co można słyszeć w balonie?** Wbrew opowiadaniom o „głuchej ciszy“, panującej w wyższych warstwach powietrza, stwierdzić należy, że z nadzwyczajną dokładnością dochodzą tam wszelkie odgłosy z ziemi. Powód leży w tem, iż górne wolne od pyłu i wyziewów warstwy powietrza są lepszymi przewodnikami fal głosowych. Gwizd lokomotywy np. słychać — według doświadczeń Flammariona — w wysokości 3000 metrów. Turkot pociągu dobiega uszu aeronautów (lotników) w wysokości 2500 metr., szczekanie psa 1800 metr., głos dzwonu 1600 metr., głos trąby 1200 metr., turkot wozu 1000 metrów. W tej samej wysokości usłyszeć można głos ludzki, a jeszcze w wysokości 800 metrów rechotanie żab. Ciekawą jest jednak rzeczą, iż na odwrót, o ile lotnicy chcą mówić z ludźmi na ziemi, mogą to uczynić najwyżej z wysokości 100 metrów; z większej odległości głos wcale do ziemi nie dochodzi.

## Kącik humorystyczny.

**Wolne od cła.**

Dwóch podpitych winem panów przechodzi granicę celną z Austrji do Niemiec. Każdy z nich wypił 3 butelki wina; to musi być przecież oclone powiada Müller i podchodzi do urzędnika celnego ze swoim towarzyszem podróży i pijatyki Mayerem. Mamy po trzy butelki wina do oclenia, mówią do celnika.

„Gdzie macie panowie to wino?“

„W brzuchu“ odpowiadają. Celnik wciska mocniej okulary na nos, chwyta za książkę z taryfą i czyta: „Wino w beczkach 20 marek; w butelkach 48 marek; wino w oślich skórach wprowadzone — spogląda z zadowoleniem na obydwuch — wolne od cła; możecie panowie iść dalej“.

* * *

Utalentowany humorysta w Niemczech Max Moszkowski wydał zbiór żartów żydowskich, z którego kilka wyjątków przytaczamy:

Löb Aaronheimer zajada się w restauracji koszernej nadziewaną śledzionę. Przytem monologuje: „Jak sobie pomyślę, że są współwyznawcy, którzy się chrzczą!... Wspaniała jest ta śledziona... i taką religję porzucać!“

*

Przed pomnikiem Moltkego żywo giestykulując gawędzi dwóch polskich żydów. W pobliżu stoi dwóch leutnantów, którzy w przystępie dobrego humoru podrzeźniają ich giesta. Jeden z izraelitów spostrzegł to i ukazując palcem na Moltkego woła: „Dla czego naśladujecie nas? Naśladujcie jego!“

*

Cheskel Herz, rosyjski nihilista jest skazany na śmierć. Krótko przed wykonaniem wyroku wchodzi do jego celi rabin. „Przychodzę do was, by wam słowo Boskie głosić...“ Herz: „Na co mi to? Za pół godziny będą już rozmawiał osobiście z pańskim szefem“.

*

Sinnem Kraftgewalt, który posiada czterech synów, rzuca pewnego razu na żonę swoją straszne podejrzenie: „Nie wierzę, żeby Dawid pochodził odemnie!“ — Ona (w najwyższem oburzeniu): „To jest skandal, zgroza wypowiadać coś podobnego. Właśnie że Dawid pochodzi od ciebie“.

*

„Uciekaj Jakób, tam jest strasznie zły pies, szczeka tak zajadle“. — „Nie wiesz przecież: „psy co szczekają to nie gryzą“. Na, tak, ja wiem; ale nie wiem (pokazując na psa) czy on wie“.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 11. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 18 marca 1911.

JULJUSZ KADEN.

## PRACZKA.

Ręce chluszczą, pluszczą, chlupią, chlapią, tu kłusem drobią, to na wyrypy cwałem rwą. Moc się zalęgła w nich niestrudzona i podrywa je i pędzi w skrętach drżących. Plusk wody wilgnym nawrotem owija dłonie a rozczapierzone palce wpijają się w ochłap płótna, nawłóczą go na się i zwłóczą, suną, bruździą, sieką i biją.

Wreszcie dość! Unoszą się piersi w górę wysoko, jaknajwyżej. Praczka wciąga i chłonie powietrze. Głębiej odetchnąć nie zdoła a chce jeszcze głębiej, jeszcze mocniej. Obziera się prostując grzbiet.

Para wypełnia całą izbę. Pod ścianami na zatarapconej podłodze leżą toboły bielizny. W kącie rozżarzony komin charcze, chrapie i kurzy słodkawym czadem węgla. Na blachach tańczą i gryzą się błyski skier a z przykrytych saganów dymi para i wypryskują strugi kipiącej wody. Wśród swędu kręci się i niewidzialnym wyziewem rozściela durzący zapach krochmalu, gęsta woń brudnej, chorej wody i zaduch bielizny.

Gdybyż odetchnąć dwa razy głębiej! Gdybyż wmieścić i zawrzeć w płucach dosytnie to rozrzedzone powietrze, co wciąż umyka i śpiesznym tchem pracującą pierś pogania! Nic z tego. Wciąż brak tu tchu, oddechu, zawsze brak odetchnienia.

Lecz dalej! Ręce chluszczą, chlapią, znów kłusem drobią, to na wyrypy cwałem rwą i pochwycone w pracy pędem pędzą w podrygach.

Od chwili do chwili coś się w płomienistych trzewiach przerwie i ogień z trzaskiem na ruszt rymnie. To znów zadrży pokrywa saganu, jakby tam w garnku żywe stworzenie trwało w bólu i w męce, w cierpieniu nieopisanem.

Praczka to pierze, to ustaje, wpatrzona w balję — pełne, mokre, brudem ciekące pole prace. Po jednej stronie już odeprane sztuki, po drugiej te, które właśnie przeprać należy. Dwie kupy — szale dobrego i złego, wagi zasług, miara ciągłego wysiłku rąk. W pośrodku chwiejnym grzbietem wyrasta kopica piany. Zasiał ją lśnieniem blady poblask prószący z okna. Wgłąb przeciekł, w oczkach siatki świeci a na wierzchu niebieską pogodą wybłyskuje.

Przycicha suterena. W kominie równym cięgiem huczy powietrze. Bunt układa się w saganie i zlewa w jednostajny, rzewny lament. Prawie nie słychać zegara, co czas cedzi i odmierza, na jedną stronę utykając. W półciszy wyraźnie słychać lepki szept topniejącej piany.

Na chwilę przywarły ręce praczki do dna balji.

Ciepłem puchem owija je i tuli mydlina. Zaś oczka piany jedne po drugich gasną. Niebieska ich poświata płynie z warstwy na warstwę w dół, coraz niżej i niżej. Słychać jak oczka nikną i giną w pustce. Wilgotny, cichy szept wypełza z balji, drży w powietrzu, niewysłuchanem jakimś ubłaganiem wałęsa się przy ścianach.

Jak z pod jarzma wychyla i podnosi praczka głowę. Ostrożnie prostuje zgięty grzbiet. Z rozwartych oczu ucieka tęczowy łachman łuny przetężenia. Tej łuny, która nawiedza długo przy pracy schyloną głowę.

Nie patrzy praczka na ściany, spocone gęstą cieczą zaduchu. Nie wodzi oczyma po niskim stropie sutereny. Bo nad suterenę piętrzy się duży, wysoki dom i oknami spoziera w pełny świat, na drogi miasta i cele ludzi. Praczka przed się patrzy w mały prostokąt okna, wznoszący się ponad twardą linję ulicznego chodnika. W tym wąskim skrawku światła szuka chwili odetchnienia.

Światło nie świeże, nie pierwszej wody i nie pierwszej młodości. Przenicowane, przechodzone, z drugiej ręki. Tyle go jest, ile na płat okienny raczyły puścić wysokie piętra, ile się okruchem lśnienia wylśnić i odbić zdoła na murze kamienicy z naprzeciwka. Ale choć je z pierwszej jasności wyssali, to samo jest zawsze jedno z najstraszniejszych wysokości nieba.

Wywlokła ręce z piany i dalej prać, bieliznę w wodzie mierzwić, odęte poszewki gnieść, mięsić, tłumić, robotę mydłem trzeć; a potem w wodzie suswalić na prawo, lewo, na płask, na krzyż, na wzdłuż i wszerz.

Tej zajadłej pracy potakiwała chrzęstem, do krawędzi balji uczepiona wyżymaczka. Ma korbę na boku suchą, twardą jak uschłe, wywrotne, obrotne ramię strzygi. Ta korba kręci krągłe ostre szczęki śrub, co się wzajem gryzą i żują. Skrzętna złość żrących się wzajem żuchw porusza dwie białe, ściśle zwarte wargi — istne usta, z dwuch wałków gumy złożone. Te usta sączą przez się i raz po raz wystawiają biały język wyżętej sztuki i coraz z sykiem zsuwają w kosz.

Znów w płomienistej czeluści komina chrupnęły ogniste żebra, żarem strzaskane. Kręty syk zygzakiem wypełzł z saganu na blachę. Za oknem po chodniku tętniły coraz częstsze kroki ludzkie.

Widać że słońce zachodziło, bo kurz fijoletowy owionął bruki. W gorących blaskach krzepciej zwarły się cienie. Ruchowym, czarnym trójkątem migały na szybie nogi przechodniów. Cień szybko wpadał do sutereny, niby znak złowróżbny ostrym prętem giął się po ścianach i uciekał.

Spoczęła praczka w tej chwili zachodu słońca. Ach, terazby spojrzeć przed siebie w czystą dal świata, niewstrzymanym pędem źrenicy polecieć za obręb pogody nieba. Hen aż ku tej ostoi pokoju jaką człowiek żywi w sercu po twardym dniu pracy, gdy patrzy w piękny wieczór nieba.

Jakiś niepokój ogarnia praczkę. Jakiś szept ją gryzie. Wytęża słuch. Słyszy, że piana sapie w balji. Sapie, z cicha pęka a światłość niebieska zsuwa się po warstwach coraz bardziej w dół i w dół ku dnu. Balja dyszy... Plaster piany — wydarte skądziś, zmordowane płuco tęczowe — legła między kupami trudnej roboty i kona... Piana mruży się ćmi i niknie. Jej przeźroczyste sklepienie — to oczek powieki, co mrużą się, pękają wysilone, mrą świetliste.

Coś stało się. Niby że za miastem i w mieście leżały snem zniemożone straszne potwory. I że przekorny człowiek wsadził każdemu znienacka śpiczasty kół w pierś nieobronną. Taki się ryk nagle zerwał. Zerwał się z kominów fabrycznych i przeraźliwy jednostajny wył przeciągle.

Po długiej chwili zmnożyły się na prostokącie okna trójkąty nóg. Szły jedne za drugimi, ciężkie czarne, w

przechodzie to zwarte, to rozwarte — czarne nożyce okrakiem po bruku kroczące.

Ocknęła się praczka ze swych zamyśleń. Oto dusza jej nibyto szła po skłonie hali kwietnej, wzorzystej — gdy buchnął nagle ten ryk i już znów posłuchana dusza waruje w oczach. Nie prędko się znuży. Kołacze, nagania tętnem w piersiach — nie popuści. Wartkim chrobotem pręży się w rękach — nie ustąpi.

Spojrzała praczka w balję. Piana już zgasła, niebieska poświata dawno już wsiąkła w wodę. Niejedna musiała minąć chwila w tym odpoczynku. A robota wciąż żyje, czeka na pracę. Bielizna czeka na poprawę, na sprawę, na czystość. Skąpym chlebem robota darmo nie szafuje, przyrzeczonym terminem dostawy popróżnicy nie straszy, lecz srogo grozi. Krzep się — myślała praczka — krzątaj, bo ci robota głód niesie w zanadrzu, jeśli jej pracą nad siły nie obsłużysz.

Wytarła zapaską ręce i roznieciwszy mętną, złotą łzę kuchennej lampki, sypnęła w otwarty pysk komina węgiel — czarne, sytne jadło wszystkich ognisk. Warknęła przeciągle para i zaduch przesłonił izbę.

Sporządziwszy, co należy, znów stanęła za balją.

Pracuje. Ręce chluszczą, pluszczą, chlupią i chlapią, to kłusem drobią, to na wyrypy cwałem rwą. Moc się w nich zaległa niestrudzona, podrywa je w skręt, że się tężą i prężą. Coraz wstrzęsa się cała postać kobiety, jakby do balji wskoczyć miała. Coraz nowa szmata przez chwytkie dłonie się przewija. Plusk wody wilgnym nawrotem palce okręca a dłonie rozczapierzone, jak raki, kraby, jak ośmiernice nawłóczą na się bieliznę i zwłóczą, suną, brużdżą, sieką i biją.

Gorąco. Kolczugą potu grzbiet się kryje, dygocą spłocone piersi w uciążliwym bezustanku. Stoi praczka na miejscu, nogami zda się wzrosła w ten doskolny deptak przy balji, a przecie prędko tchnie i śpieszno dyszy, jakby biegła. Bo chociaż nogi stoją, to ręce bieżą, kłusują, człapią, z wody się wyciągają, w wodzie grążą czynne i zwinne. Ubywa i przybywa, maleje i rośnie to jedna kupa bielizny, to druga. A w pośrodku rajdosi się, szeleści i mlaszcze jezioro brudu.

Ogień trzaska, para wciąż pryska, lampa osnuwa się zwolna czarną rzęsą kopciu. Za oknem, po ulicy, cieniem nożyc tnących mija przechodzień. Czasem łoskot powolnego furgonu zatarga szklanną piersią szyb.

Praczka w deptaku pracy drepta i krąży i miarkuje, że ludzie idą, śpieszą się, przemijają. Ona zaś rękami w tej balji bieży, kłusuje i nigdy chyba nie zdąży i nigdy tamtych pośpiechu nie dogoni.

Mijały chwile. Płynął równo w ciemną głąb nocy szary wieczór. Musiała przestać. Należało wywarzyć czop i brudną wodę z balji precz odprowadzić. Łakome syrpanie ściekających resztek rozległo się w izbie.

Trza było zmienić robotę, bo dalej już nie sposób. Rozmiękłe dłonie, wystrzępione, stargane palce nie chciały służyć więcej. Ból osnuwał bezwładne ręce. Twarz zdała się samej sobie ważyć, ciążyć, na szczękach wisieć, zbrzękięta wyziewem krochmalu, porysowana jak szpilką na wsze strony trawiącym zgryzem sody.

Wlała do balji zimną wodę i rozczyniła woreczek farbki. Zmęczone palce dla odpoczynku i dla ochłody pluskały chętnie w niebieskim przeźroczu. Koło błękitu uwięzionego w balji dawało radość w pół zamkniętym źrenicom. Przez okno błękitu nie dojrzysz — skąpe są okna. W sercu go nie masz — dawno przekwitło. Tyle — że wyjrzy ze dna balji i marzeniem ofrunie głowę.

Praczka opłuczę w błękicie te szmatki ludzi. Razem z pracą pójdą niebieskie marzenia na strzępach, szmatach bielizny do ludzi, a z ludźmi w świat.

Ręce piorąc, truchłem biegły, myśl się po jakichś zrębach słaniała nadwątlona. Ręce chciałyby się roztopić w fali niebieskiej. Rozpłynąć się w uplocie niebiebieskiego zapomnienia marzyła myśl.

Czarnemi nożycami rzadziej i rzadziej ciął krok przechodnia zapocony prostokąt okna. Zegar przedzwonił godzinę a zabłąkane razy uderzeń jeden po drugim — niby śpiżowe klucze padały z czarnej zawory nieba na bruk kamienny.

Zaprzątała się praczka koło przedostatnich robót dnia. Usiadła w kącie przy kupie właśnie dziś odebranej bielizny, aby rozdzielić, porachować i wyznaczyć. Brała po kolei długie czarne węgorze pończoch — koszule, których zmięte gorsy, niczem sponiewierane piersi gięły się w prawo i w lewo — wykręcone łazanki mankietów, pogięte nogawki, jakby kołem zgruchotane nogi topielców, lub wiązane krawatki — podarte na listwy skrzydła ciem i motyli. Sztukę po sztuce znaczyła czerwoną nicią. Błyskawicą stalowego ciernia śmigała igła w ręku praczki, znacząc robotę krasnym śladem w gwiazdy, krzyże czy węzły. Jakoby cierń igły wysysał i wyżyniał z palców krwawy pot i ze sztuki na sztukę ronił czerwony ślad wysiłku.

Wreszcie uniosła się, by w pierwszej wodzie zładzić pracę jutrzejszą. Znów brudny war zawarczał w balji a ręce skoczyły w grząski pląs.

Myśli ciężkie, porwane jak te obrzękłe dłonie snuć się jęły w zwieszonej głowie.

I znów spadły w głębię nocy ciężkie uderzenia zegarów — kroki, któremi czas depce chwile i po chwilach w wieczność kroczy.

Zrazu pojedyńcze, częste, częstsze wreszcie tłumne stąpanie lekkim gradem przebiegły po chodniku. Wracali ostatni ludzie miejskiego dnia z teatrów, z wieczornych uciech i zabaw. Pójdą do domów i zasną w końcu. A wtedy ręce praczki gonić ich będą. Ramiona praczki zaskarbią sobie te chwile nocy, by dognać wśród nich pracą potrzeby ludzi, co teraz śpią w beztrosce.

Jak ciężko... Tak wielkim trudem przygniotła praca schylony grzbiet. Chyba całe miasto skłania się nań, gdy całe niebacznie, nieroztropnie błoci się, wala i szarga. Zaś nie wie, że nikt inny tylko ona, praczka, wyprać i zaprać ma ten brud.

Dni, nocy, lat nie starczy w tym zbiegu rzeczy i splącie chwil. Lecz dłonie na schyłku sił, ciężkie jak kamienie maglujące, mielą, piorą i trą i niczem gąbki chłoną ten brud. Biegną w locie skręconym, plotą się w bezustannym wyścigu do celu, do końca początków, do czystości człowieka.

# Wpomnienia młodej robotnicy.

Jedynym czynnikiem, który mnie pchnął do napisania, jak zostałam socjalistką, była chęć dodania odwagi tym licznym robotnicom, które z utęsknieniem żądają działalności, lecz zawsze cofają się, nie dowierzając sobie, że mogą coś zrobić. Kto naprawdę chce pomóc, by słowa Herwegh'a nie zostały czczym dźwiękiem, ten nie powinien cofać się przed żadnymi przeszkodami.

Cel jest tak wzniośle piękny, świeci tak ułudnie, że nie ma tak wielkiej trudności, którejby nie można było dla niego przezwyciężyć. Jeśli uda mi się tą pracą wywrzeć wpływ w tym duchu — wtedy cel mój będzie osiągnięty.

Temi słowy kończy swą książkę niewiasta, która poznawszy na sobie bóle i cierpienia klasy robotniczej w dzisiejszym ustroju kapitalistycznym, z prostej robotnicy fabrycznej stała się wybitną agitatorką i rozgłośną orędowniczką socjalizmu w Austrji. „Wspomnienia młodej robotnicy" — taki nosi tytuł jej dziełko, do którego napisał wstęp posiwiały wódz socjalnej demokracji August Bebel. Z przepięknej tej książeczki *) podajemy tu wyjątki:

*) Polskie wydanie w księgarni Ludwika Fiszera w Łodzi.

## Pierwsze zebrania.

Choć tyle zajmowałam się socjalizmem, nie byłam jeszcze nigdy ani na jednem zebraniu, jednak z palącą ciekawością śledziłam wszystkie sprawy partji i znałam nazwiska wszystkich mówców. Wreszcie chciałam znaleść się też na zebraniu. Gdy zaś przypadkowo w jakąś niedzielę miało się odbyć zebranie, na którem miał mówić jeden z najsławniejszych i najlepszych mówców, uprosiłam brata, by ze mną tam poszedł. Było to w grudniu, i oddawna ustaliła się sucha mroźna pogoda. Wielu ludzi było bez zajęcia i z utęsknieniem patrzano w niebo — rychłoli spadnie śnieg. „Nawet Pan Bóg zapomina o biedakach"; te słowa można było słyszeć bardzo często. W tą ważną dla mnie niedzielę spadł wreszcie tak oczekiwany śnieg. Byliśmy zmuszeni formalnie przedzierać się przez zaspy śnieżne. Zebranie miało się odbyć w wielkiej sali w daleko położonej dzielnicy robotniczej. Gdyśmy przyszli, było już mnóstwo ludzi; chuchali i tarli ręce, tupali nogami, by się rozgrzać. Biło mi serce i czułam, jak pali mnie twarz, kiedyśmy się przeciskali przez ten tłum, by stanąć bliżej trybuny. Byłam jedyną kobietom w sali, i wszystkie spojrzenia, kiedyśmy przechodzili, były ze zdumieniem skierowane ku mnie. Nie mogłam dobrze dojrzeć mówcy, gdyż był otulony jakby obłokiem dymu papierosów i cygar. Mówił o „kapitalistycznej produkcji".

Były to znowu nowe, niesłychane dla mnie rzeczy. Wszystko, co czułam i czego nie umiałam jeszcze dobrze wyrazić, wszystko było tu wypowiedziane dokładnie i wyraźnie. Mówca rozpoczął wskazaniem na śnieżycę i tak obrazowo oświetlił przewrotny i bezmyślny porządek społeczesnego społeczeństwa. „To, co byłoby w społeczeństwie rozsądnem za proste zdarzenie i przeszkodę ruchu, poczytuje się u nas za szczęście, dzięki któremu tysiące ludzi nie umrze śmiercią głodową, te tysiące ludzi bez zajęcia, którzy nie pracują, nie dlatego, że nie chcą, lecz dlatego, że inni, z powodu warjackich urządzeń społecznych i głupich wymagań rządowych, pracować muszą tak długo, aż padną pod ciężarem pracy nadludzkiej".

Ten wstęp został w pamięci i długo o nim myślałam. Na drugiem zebraniu byłam w wigilję Bożego Narodzenia, gdzie oprócz mnie były jeszcze dwie kobiety. Mówca mówił o „Przeciwieństwach klasowych". Mówił dobrze, z natchnieniem, porywająco. Słyszałam smutną historję moich własnych świąt wigilijnych i historję niedoli i nędzy biednych w przeciwstawieństwie do rozkoszy bogaczy. Wciąż miałam chęć krzyknąć: „Ja też wiem o tem; i ja mógłabym o tem wiele powiedzieć". Nie odważyłam się jednak wypowiedzieć ani słowa; bałam się nawet okazać mój zapał dla mówcy. Uważałam to za nieodpowiednin dla kobiety i myślałam, że tylko myżczyźnie przemawiać przystoi. Na zebraniach mówili też wyłącznie mężczyźni. Żaden z mówców nie zwracał się do kobiet, których wprawdzie było tylko kilka. Zdawało się, że wszystko opowiadane to wyłącznie męskie cierpienia i niedole. Bolało mnie bardzo, że nie mówiono nic o robotnicach, nie zwracano się do nich i nie nawoływano ich do walki.

Trzecie zebranie, na którem byłam obecna, i któremu przewodniczę, ze względu na jego charakter dotąd, było zebraniem wyborczem.

Policja nie puszczała kobiet na te zebrania polityczne a tak bardzo chciałam być na niem. Pewnego razu, dzięki mej gorącej prośbie, udało mi się przekonać władzę, by mnie wpuszczono, musiałam jednak zostać w tyle, w kąciku. Po raz pierwszy słyszałam, co mówiono tutaj o militaryzmie z socjalnodemokratycznego punktu widzenia. I znowu część mych dawnych poglądów rozpadła się w gruzy. Do tego czasu myślałam, że militaryzm jest rzeczą samą przez się zrozumiałą i niezbędną. Wielka duma przepełniała moją duszę, że bracia moi nosili „mundur cesarski" i ten, kto nie spełniał tej patrjotycznej powinności, nie wydawał mi się godnym nazwy mężczyznę. Gdy w marzeniach dziewczęcych wyobrażałem sobie człowieka, który miał zostać moim mężem, to zdolność do służby wojskowej była jedną z cnot, jakie powinien był posiadać. Teraz padł i ten ideał. Militaryzm przedstawiony był jako ciężar narodowy, a ja musiałam się z tem zgodzić. Wojna zaś, morderstwo masowe, nie była prowadzona, jak myślałam, w obronie granic kraju przed złym, dzikim wrogiem, lecz w interesie dynastji; podyktowana żądzą posiadania większych obszarów ziemi lub rozpoczęta z powodu intryg dyplomatycznych.

Wszystko, co słyszałam, było tak zrozumiałe, że dziwiłam się bardzo, dlaczego tak mało ludzi to rozumie.

Zebrania otworzyły przedemną jakiś świat zupełnie nowy i wszystko wrzało we mnie chęcią osobistej działalności. Chciałam im pomagać i walczyć razem, nie wiedziałam jednak jak się do tego zabrać. Dzięki tym wszystkim wpływom zmieniłam się zupełnie. Ludzie, którzy nie rozumieli mych ideałów politycznych lub nie chcieli ich podzielać, byli mi osobistymi wrogami. Chciałam wszystkich nawracać do zainteresowania się polityką. Z moimi braćmi i ich żonami zaczęłam odwiedzać towarzystwa, których przedtem unikałam. Nazywano mnie dumną i pyszałkowatą, radzono mi porzucić mój pustelniczy tryb życia i korzystać z młodości.

Dawniej, gdy przyłączałam się do nich, wydawałam się sobie kozłem ofiarnym. Teraz natomiast szłam z nimi chętnie. Chciałam znaleść sposobność mówić o socjalnodemokracji i byłam zdania, że można o tem więcej mówić z mężczyzną niż z kobietą.

Zbyt prędko jednak spostrzegłam, jak dalece przeceniałam rozwój polityczny mężczyzn.

Chciałem zbierać składkę na fundusz wyborczy, i gdy zdradziłam się ze swym zamiarem, jeden z uczestników zebrania, rzemieślnik, zapytał: „Na fundusz wyborczy? Któż to taki? Ah! wiem już! to ten przejechany omywacz wagonów!" I ja, młoda dziewczyna, żadnych praw nie mająca, musiałam tłomaczyć tym panom, postadającym prawo wyborcze, co to jest fundusz wyborczy i dlaczego trzeba robić składkę dla niego. Dziwiono się bardzo, skąd mam te wiadomości, kto mnie tego wszystkiego nauczył? Zbierałam pieniądze nawet we fabryce, z początku tylko między bliższymi koleżankami, liczba ich jednak powiększała się z dnia na dzień.

## Pierwsza mowa.

Wkrótce potem miałam moją pierwszą mowę. Było to w niedzielę przed południem na zebraniu fachowców. Nie mówiłam nikomu, dokąd idę, a ponieważ często wychodziłam w niedzielę przed obiadem, by obejrzeć galerję lub muzeum, więc nieobecność moja nie była nikomu podejrzaną. Na zebraniu zjawiło się 300 mężczyzn i tylko dziewięć kobiet, jak dowiedziałam się później z gazety fachowej. Na tem zebraniu miało być omówione doniosłe znaczenie organizacji rzemieślniczej, w okreslonej branży znaczną rolę bowiem odgrywała kobieca siła robocza, a podaż tańszej pracy kobiet już bardzo się dawała we znaki robotnikom. Prowadzona była do tego specjalna agitacja, a choć w każdej z fabryk tego rodzaju pracowały setki kobiet, jednakowoż na zebranie przyszło ich tylko dziewięć. Gdy przewodniczący ogłosił, a referent zwrócił na to uwagę, uczułam wielki wstyd za obojętność moich współtowarzyszek. Wszystkie wyrzuty przyjmowałam osobiście do siebie i czułam się niemi głęboko dotkniętą. Mówca określił pracę kobiety i nazywał zadowolenie, brak dążeń i zaufanie robotnic przestępstwem, które pociąga za sobą wszelkie inne nieszczęścia. Mówił też wogóle o ruchu kobiecym i od niego usłyszałam pierwszą wzmiankę o książce Augusta Bebla „Kobieta a socjalizm".

Gdy prelegent skończył, przewodniczący zwrócił się do obecnych, wzywając ich do wypowiedzenia się w danej sprawie. Miałam uczucie, że muszę mówić. Zdawało mi się, że oczy wszystkich zwrócone są ku mnie, że oczekują, co ja powiem w obronie swej płci. Podniosłam rękę i prosiłam o głos. Krzyczano „brawo" nim zaczęłam mówić, tak ogromny wpływ miał fakt, że robotnica mówić będzie. Gdym wchodziła po stopniach na mównicę, pociemniało mi w oczach i kurcz jakiś ścisnął mi gardło. Jednak przezwyciężyłam ten stan i po raz pierwszy w mem życiu przemówiłam do zgromadzenia.

Mówiłam o cierpieniach, wyzysku i moralnem zaniedbaniu robotnic. Na ostatnie kładam szczególny nacisk, gdyż to zaniedbanie duszy i umysłu miałam za przyczynę

wszystkich drugorzędnych i hańbiących robotnice rysów charakterów. Mówiłam o wszystkiem, czego doznałam sama i co widziałam u innych koleżanek. Wymagałam dla mej płci oświaty, nauki i wykształcenia, a mężczyzn prosiłam, by pomagali nam w naszem zadaniu.

Zachwyt w zebraniu nie miał granic; okrążono mnie i chciano wiedzieć, kto jestem; z początku myślano, że należę do tej samej branży i proszono mnie, bym napisała w gazecie fachowej odezwę do robotnic w tym samym sensie, co i wygłoszona przezemnie mowa. Było to dla mnie rzeczą bardzo trudną. Chodziłam do szkoły tylko trzy lata, o gramatyce i pisowni nie miałam pojęcia, a kaligrafja moja była zupełnie dziecinna, gdyż nigdy nie miałam sposobności ćwiczyć się w niej. Jednak obiecałam postarać się i napisać żądany artykuł.

Jakby we śnie powróciłam do domu. Bezgraniczne uczucie szczęścia natchnęło mnie, zdawało mi się, żem zawojowała świat cały. Sen nie zamknął tej nocy mych powiek. Artykuł do gazety był wkrótce napisany; był krótki, a styl jego zupełnie prosty. Brzmiał, jak następuje:

„O położeniu robotnic, zatrudnionych w fabrykach"

„Robotnice! Czyście już kiedyś myślały nad swojem położeniem? Czy nie cierpicie wszystkie pod jarzmem brutalności i wyzysku waszych, tak zwanych, panów? Wiele niewolnic fabrycznych pracuje od świtu do późnej nocy, podczas gdy tysiące ich sióstr siedzi, oblega bramy fabryk i warsztatów, gdyż nie mogą dostać tyle roboty, żeby nie przymierać głodem i okryć nagość swego ciała. A jaką jest płaca za tylugodzinną pracę?

Czy niezamężne robotnice mają możność wieść żywot godny człowieka? A cóż dopiero zamężna! Czy mimo wyczerpującej pracy może ona jak należy zaopatrzyć swe dzieci? Czy nie jest wystawiona na nędzę, chłód i głód, by mieć dla nich najniezbędniejsze? Jakiem jest położenie kobiet-pracownikow; gdy spokojnie przypatrywać mu się będziemy — nie poprawi się ono wcale, przeciwnie, będziemy coraz więcej poniżane i wyzyskiwane.

Robotnice! Dowiedźcie, żeście jeszcze nie zupełnie ugrzęzły w błocie i umarły duchowo! Powstańcie, pojmijcie, że kobiety i mężczyzni pracujący powinni iść ręka w rękę w tej walce. Nie zatykajcie uszu na wołanie, do was zwrócone! Wstępujcie do organizacji, która ma na celu wychować i kobiety do walki ekonomicznej i politycznej.

Chodźcie na zebrania, czytajcie gazety robotnicze, wstępujcie w rzędy socjalno-demokratycznej robotniczej partji, jako pracownice, świadome celu i znaczenia klasowego".

## Rozmaitości

**Maszyna do usuwania śniegu.** Zaspy śnieżne, dochodzące nieraz do kilku metrów wysokości, dają się ogromnie uczuwać osobliwie na kolejach lokalnych, przebiegające wpoprzek Stanów Zjednoczonych od Oceanu Atlantyckiego do Spokojnego. Ponieważ używane dotychczas powszechnie znane pługi, popychane przez lokomotywę, nie wystarczają, jeżeli warstwa śniegu na torze kolei żelaznej dochodzi tylko do dwuch metrów, bo wtedy albo śnieg tak się zbija pod ciśnieniem pługa, iż go żadną siłą usunąć nie można, albo pług się wykoleja, przeto obmyślono w Stanach Zjednoczonych osobną maszynę do usuwania śniegu z torów kolei żelaznych. Maszyna do tego celu służąca, jest to maszyna parowa z własnym kotłem, ustawiona na platformie osobnego wagonu krytego i poruszająca walec poziomy, na którym osadzonych jest promieniście 10 łopat lejkowatych, na zewnątrz otwartych i zaopatrzonych w noże. Pod obrotem walca noże krają śnieg, a łopaty chwytają go i odśrodkowo wyrzucają poza tor. Dzieje się to bardzo szybko, a śnieg, w kawałkach nieraz zlodowaciałych, wylatuje na wysokość 18 metrów i pada na odległość, dochodząca do 90 metrów poza tor. Ze śniegu, leżącego na dwa metry na torze, można w godzinie oczyścić 13 kilometrów kolei żelaznej; jakiej zaś siły potrzeba do takiej pracy, wystarczy przytoczyć, że na szwajcarskiej kolei św. Gotarda, na której zaprowadzono usuwanie śniegu nowym sposobem amerykańskim, trzeba maszynę do usuwania śniegu pchać naprzód nieraz aż trzema lokomotywami.

* * *

**Djabeł i śmierć.** Przypadkowo dostał nam się do rąk najświeższy numer wychodzącej w Budapeszcie gazety „Slovenske Noviny" za któremi podajemy następujące zabawne zdarzenie: Pewna kobiecina w jednej wiosce na Węgrzech otrzymała przekaz pocztowy na 5000 marek, które mąż jej z Ameryki nadesłał. Ponieważ jednak pieniędzy tutaj tak bez wszystkiego nie wypłacają, musiała podpis swój na kwicie kazać uwierzytelnić. W tym celu udała się do przełożonego gminy, następnie położyła się spać, chcąc pieniądze dopiero w dzień następny z poczty odebrać. W nocy w godzinie duchów zawitały do jej izby dwie tajemnicze postacie. Był to djabeł, który oświadczył wylęknionej kobiecinie, iż pieniądze przesłane jej przez męża nabyte zostały w nieuczciwy sposób, dla tego on musi je zabrać, inaczej siostra jego „pani śmierć" się zemści. Na drugi dzień udała się owa niewiasta na pocztę i opowiedziała o nocnem zajściu. Otrzymawszy pieniądze, udała się do domu. O północy kusidła znów się zjawiły, żądając stanowczo wydania im pieniędzy.

— Wielmożny panie czorcie — błagała wylękniona niewiasta — przynajmniej 500 marek mi zostaw na spłacenie długów.

— Ja bym to chętnie uczynił, nie wiem tylko, czy siostra moja przystanie na to.

Śmierć przecząco pokręciła głową. Chcąc nie chcąc biedaczka musiała całą sumę oddać.

Kiedy djabeł ze śmiercią dobrze się obłowiwszy, spokojnie zabierali się do wyjścia, w drzwiach pochwyceni zostali przez żandarmów, uwiadonych o całem zajściu przez pocztmistrza. Kiedy straszydła owe rozebrano, wydało się, iż „wielmożnym panem czortem" był sam przełożony gminy, siostrą śmiercią był jeden z najlepszych jego znajomych.

* * *

**Męczennik nauki.** Lekarz Wilson w Londynie czynił doświadczenia z promieniami Röntgena i leczył niemi chorych. Promienie przyprawiły go o poparzenia. Od r. 1906 kilkakrotnie poddał się operacjom. Początkowo zdejmowano mu skórę z palców, później w r. 1908 ujęto mu kilka członków od palców, ale to wszystko nie pomagało. Przed kilku tygodniami ujęto nieszczęśliwemu rękę aż po ramię, lecz daremnie. Tak samo nie przyniósły ulgi kąpiele słoneczne i w tych dniach nieszczęśliwy lekarz zmarł wśród wielkich boleści.

## Kącik humorystyczny.

**Wiec ludowy.**

W pewnem pogranicznem miasteczku Górnego Śląska powracającą z targu żonę jednego z robotników opanowały niespodziewanie bóle przedporodowe i nie zdążywszy do domu, powiła ta pożałowania godna niewiosta na ulicy trojaczki. Przeniesiono ją do pobliskiego szpitala, w którem przez dni kilka walczyła ze śmiercią. Lekarzom udało się jednakże przezwyciężyć niebezpieczeństwo. Po wyzdrowieniu zawezwaną została na policję i szczegółowo przesłuchaną o tym wypadku. W trzy dni po przesłuchaniu na policji otrzymała mandat karny na 40 marek za urządzenie niezameldowanego wieca pod gołem niebem...

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 12. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 25 marca 1911.

WOLNOŚC.

## Z Petöfiego.

Ja ją kocham nad życie! Jeszcze żaden kochanek
Tak nie kochał dziewicy na świecie!
Na cześć lubej spleść chciałem z czystych marzeń mych wieniec,
Z uczuć czystych pragnąłem dać kwiecie...

Nieśmiertelną dziewicą jest mej duszy wybranka:
Nosi Wolność na imię — herb dumny,
Jednak losu przekleństwo na jej piersi śnieżyste
Padło głucho, jak wieko złej trumny...

Ja ją kocham nad życie! Cóż gdy bóstwo me cudne
Mogę ujrzeć zaledwie w marzeniu!
Oto dzisiaj w ogrodzie, kojąc duszy tęsknotę,
Ukazała się w słońca promieniu...

I do stóp jej przeczystych, ze słodyczą wyznania
Padłem, wznosząc ku górze swe dłonie
Aby podać swej lubej różę — symbol miłości
Gdy wtem kat się ukazał koło mnie...

Miecz złowrogo błyszczący nad mą głową kat uniósł,
I po chwili do stóp mej kochanki —
Padła głowa skrwawiona, dar piękniejszy niż kwiecie,
I cenniejszy, niż uczuć mych wianki...

Tłom. Crataegus.

WILLI.

## TALENT.

Humoreska z rosyjskiego.

„Naczelnik ...skiego okręgu komunikacyjnego, inżynier M. wynalazł przyrząd do kradzieży węgla“.
(Z gazet.)

I.

Pyszną była uczta imieninowa.

Jego Ekscelencja, podpiwszy sobie, darzył łaskawie swymi względami żony i córki radców, nawet najniższych rang. Solenizant, naczelnik wydziału, Psoj stachicz, rozpływał się z zachwytu, widząc niewymuszoność, łaskawość Jego Ekscelencji.

Goście z przyjemnymi uśmiechami gwarzyli wesoło wybuchając śmiechem; wokół krążyły żarty, anegdoty, dwu znaczniki.

Małżonkowie, córki z wypiekami pod zewnętrzną nazwą kosmetycznej akwarelli, bawili się wyśmienicie.

I czyż można było nie wyzyskać przychylności Jego Ekscelencji w tak korzystnym momencie?

Psoj Stachicz szepnął coś żonie, która wyszła i wkrótce wróciła, prowadząc następcę chwały i sławy ojcowskiej, pełną nadziei i obiecującą najstarszą latorośl Jasieczka...

Jasieczek szastnął nóżką, ucałował dłoń Jego Ekscelencji i zrobił tak niewinną i skromną minkę, że trzeba było coś zrobić dla niego. Psoj Stachicz, nie wahając się długo, poprosił Jego Ekscelencję o przyjęcie Jasieczka na koszt rządu do szkoły technicznej.

— Dlaczego specjalnie chcecie kształcić dzieciaka w kierunku technicznym? — spytał zdziwiony Ekscelencja.

— Specjalne, wybitne zdolności, talent — proszę Waszej Ekscelencji — odparł ojciec. Bóg łaskaw na naszego Jasieczka... Nie można paczyć talentu!

— Talent? — przychylnie zauważył Ekscelencja. A pokaż-że swoje zdolności, Jasieczku, nie kryj światła pod korzec, pokaż!

Jasieczek podszedł skromnie do Jego Ekscelencji, później jakby się zawstydził, rzucił się w tył, potem znów naprzód; przypadkowo dotknął się kamizelki Ekscelencji, wreszcie cofnął się i zapytał z niewinną minką:

— A gdzież zegarek wujeczku?...

I zaraz też wytrząsnął z rękawa dziwny haczyk, u którego wisiał zegarek Ekscelencji.

Efekt był nadzwyczajny.

Jego Ekscelencja całował Jasieczka z zachwytem, rozentuzjazmowani goście winszowali rodzicom, że mają tak gienjalne dziecko, matka zaś że łzami rozczulenia powtarzała:

— I do wszystkiego, proszę Waszej Ekscelencji, taki zdotny! Niema szuflady, zamku, któregoby nie otworzył lub nie wyłamał! Zadne schowanko dla niego nie istnieje!

— Talent! Talent! — powtarzali goście z podziwem i żalem zarazem, że też to im Pan Bóg nie dał tak uzdolnionych dzieci.

II.

Już w czwartej klasie Jaś nakreślił projekt drabiny w celu wykradzenia owoców z ogrodu dyrektora, brak środków przeszkodził atoli realizacji tego „technicznego“ wynalazku. Koledzy Jasia byli jednak zachwyceni jego talentem.

A kiedy przyszły ostatnie egzamina materyczne, kiedy trzeba było wykraść tematy egzaminacyjne ze szuflady dyrektorskiego biurka, talent Jasia wzmocnił się i pogłębił i trudne przedsięwzięcie było dokonane, ku wiecznej, nieprzemijającej chwale Jasia.

— Talent! — powtarzali koledzy.

— Talent! — szeptali nauczycielowie, niby to nic nie wiedzący o kradzieży tematów.

A Jaś w chwilach porywów młodzieńczych i polotu poetycznego — marzył...

— Ech, gdyby to — mówił do kolegi, pracującego nad rozwiązaniem perpetuum mobile — gdyby to taki ma-

gnes wynaleść... Rozumiesz, specjalny magnes, wstawić go w sufit, ogłosić jakie zebranie, odczyt, pokazy i wszystkie portmonetki zawisłyby u niego... Rozumiesz?... Wszystkie portmonetki! Ech... gdyby to taki magnes...

III.

Będąc w instytucie, już na pierwszym kursie wynalazł przyrząd do kart, cudowne wolty można było robić. Sprzedał go jakiemuś szulerowi za dwadzieścia pięć rubli.

Owocem jego studjów drugiego kursu był specjalny korkociąg; przy pomocy powyższego wynalazku można było odkorkować butelkę, nie naruszywszy etykiety i pieczątki i kilkakrotnie sprzedawać wina krajowe z marką zagraniczną...

Na trzecim kursie począł rozmyślać o udoskonalonym przyrządzie do fałszowania monet, nagle jednak zainteresował się militarnymi ideałami, grasującymi. wówczas wśród kolegów.

Koledzy projektowali nadzwyczajne okręty wojenne, łodzie podwodne, aerostaty, a Jaś, wtenczas już Jan Psoicz, tworzył swój nadzwyczajny i historyczny projekt „łodzi podziemnej".

— Czy wy pojmujecie, koledzy — komentował towarzyszom — łódź podziemna! Szruba z przodu, coś w rodzaju korkociągu, wkręca się w ziemię... I tam, ma się rozumieć, porusza się na wsze strony. Wyobraźcie sobie! Oblegamy — dajmy na to — jakie miasto. Przedrzeć się do środka nie podobna... A przy pomocy mej łodzi podziemnej wyśmienicie podjeżdżamy pod bank państwowy. Naturalnie nocą... Wszyscy już śpią... Wyłamujemy podłogę i... wywozimy wszystką gotówkę...

IV.

Kiedy nareszcie Jan Psoicz rozpoczął swą karjerę służbową, zdolności jego, talent, znalazły realne podstawy. Częste translokacje, awanse pozwoliły mu wynaleść tyleż najrozmaitszych maszyn, o ilu nawet Edissonowi się nie śniło...

Gdy go translokowano w stacji elektrycznej do budowy kolei, zarzucił jako nieużyteczny, wymyślony przez siebie przyrząd do kradzieży prądu elektycznego, a wynalazł dwa inne przyrządy: do kradzieży podkładów kolejowych i szyn.

Gdy droga żelazna była skończona i poczęły po niej jeździć wagony, wynalazł przyrząd do kradzenia wagonów. Przyrząd ten w ulepszonej oczywiście formie znalazł ogromne zastosowanie w Rosji: ginęły całe pociągi! Pamiętacie może — podczas wojny rosyjsko-japońskiej naprzykład?...

Przyrząd do kradzieży węgla, przyrząd do pobierania wygrodzenia za nieistniejących pracowników biurowych, przyrząd do umiejętnego przyjmowania dostaw wojskowych.

Zresztą szczegóły o dalszej działalności wielkiego i gienjalnego wynalazcy — jak również patrjoty — przygotowuje senator-rewident*) do którego też polecamy interesującym się wszelkimi wynalazkami wielkiego, współczesnego naszego gienjusza narodowego zwrócić się bezpośrednio...

# Portrety bojowniczek ruchu socjalistycznego.

Bratni nasz organ „Naprzód" umieścił z okazji „Dnia kobiecego" piękne wspomnienie o polskich socjalistkach pióra tow. Resa, które i my chętnie zamieszczamy, choć nieco spóźnione:

W wydawnictwie, poświęconem sprawom kobiet pracujących, kobiet, walczących pod sztandarem czerwonym, spełnimy obowiązek pjetyzmu, gdy pjonierkom ruchu, zasłużonym działaczkom socjalizmu polskiego, hołd wyrazimy. Ku cichym, zapomnianym, dalekim nieraz mogiłom myśl skierujemy, aby dziełu życia służyć, aby pamięć wzbudzić o tych, które przeszły w mroku mogilnym zniknęły, lecz ducha swego cząstkę najlepszą we wspólne dzieło pokoleń tchnęły: w s o c j a l i z m.

...Z tych, co dziećmi jeszcze byli czasu ostatniego powstania, wyrastało nowe pokolenie bojowników i bojowniczek. Naokół widzieli tchórzostwo, blady strach, bezsilność rozpaczy i gorycz zawiedzonych nadziei. Jarmarczna wrzawa kapitalistycznej walki o byt zastąpiła dawne odgłosy surm bojowych. Ale w młodych umysłach rodziły się nowe buntownicze myśli. Z mogił powstańczych czerpano rewolucyjną nienawiść do ucisku — z zachodu szły wieści o Międzynarodowem Stowarzyszeniu Robotników, o przesławnej Komunie paryskiej — ze wschodu działał zaraźliwie przykład „idącej między lud" młodzieży rosyjskiej. — W Warszawie, w Łodzi czekał na ożywcze słowo „dobrej nowiny", „wolny najmita"... I przyniesiono mu tę nowinę — przynieśli ją Waryński i inni. Jedna z pierwszych stanęła w szeregach — F i l i p i n a P ł a s k o w i c k a.

Przyszła na świat na Ukrainie, w ubogiej rodzinie oficjalistów wiejskich. Tułając się wraz z rodziną po dworach, napatrzyła się nędzy chłopskiej. Wśród służby dworskiej, jeszcze w poddaństwie będącej, lata dziecinne pędziła — i w serce dziecięce współczucie z losem ludu głęboko przenikało. Rodzice, od ust sobie odejmując, starali się mądrej dziewczynce dać wykształcenie: Filipina skończyła 5 klas gimnazjalnych. Musiała jednak zająć się pracą zarobkową, dawała więc lekcje jako nauczycielka domowa. Jednocześnie kształciła się gorliwie: po nocach ślęczała nad książkami, pragnęła nauczyć się wszystkiego, matematyki, przyrodoznawstwa... ale przedewszystkiem zajmowały ją nauki społeczne i sprawy wychowawcze. Była nauczycielka nie tylko z przymusu zarobkowego, ale i z zamiłowania, kochała niezmiernie dzieci i z całego serca pragnęła światło szerzyć.

Z książek i broszur, z ust młodzieży, kształcącej się w wyższych zakładach naukowych, powzięła wiadomość o socjalizmie. Kierunek socjalistyczny, który sobie obrała, odpowiadał jej usposobieniu: postanowiła być socjalistką-wychowawczynią, szerzyć oświatę wśród dzieci i wśród dorosłych.

Latem 1876 r. przeniosła się do Królewswta i tu otrzymała posadę nauczycielki wiejskiej we wsi Janisławice, powiatu skierniewickiego. Wkrótce pozyskała miłość nietylko dzieci, ale i rodziców: coraz więcej dzieci przybywało do szkoły, a oprócz tego, w wieczornych godzinach, miała wykłady dla dorosłych. Starała się rozproszyć przesądy, budzić myśl, dawać porecie o otaczającym świecie. Działając powoli i ostrożnie, wyszukiwała ludzi najbardziej rozwiniętych i utworzyła z nich dwa tajne kółko socjalistyczne.

Podczas wakacji przyjeżdżała do Warszawy i tu brała czynny udział w pracach młodej organizacji socjalistycznej. W Warszawie założyła kółko socjalistyczne kobiece. Pracowała nad ułożeniem książki dla dzieci, książki, dalekiej od zwykłego szablonu, ożywionej miłością i poczuciem braterstwa ludzkiego, budzącej myśl badawczą i wolną. Niestety, rękopis tej pierwszej książki socjalistycznej dla dzieci polskich — zaginął.

W sierpniu 1878 r. Płaskowicką — wraz z innymi towarzyszami pracy i walki — aresztowano. W Cytadeli warszawskiej osadzona, ani na chwilę nie traciła pogody ducha i niezłomnego hartu. Była czynną współpracowniczką „Głosu Więźnia", w rękopisie krążącego po celach, „organu więźniów-socjalistów polskich". Ciężko chorą na serce, zesłano do Syberji wschodniej. Nie dojechała do miejsca przeznaczenia: umarła w drodze...

Kiedy Płaskowicką aresztowano, gmina janisławicka wysłała do władz deputację z prośbą o uwolnienie jej, „bo to święta panienka"...

...Z Ukrainy, jak Płaskowicka, pochodziła również inna wybitna działaczka pierwszych czasów ruchu socjalistycznego: M a r j a z Z a l e s k i c h M e n d e l s o n o w a. Ale gdy Płaskowicka była ubogą nauczycielką, Marja Zaleska należała do „paniąt" ukraińskich, do rodziny bogatej i arystokratycznej. Jej ojciec był właścicielem tysiąca „dusz" chłop-

*) W Rosji, jak wiadomo, odbywają się obecnie t. zw. „rewizje senatorskie", mające na celu zapobieżenie epidemji złodziejstw urzędniczych. Wielcy złodzieje — członkowie sfer rządzących — drwią sobie oczywiście z tych „rewizji"...

skiego poddaństwa. Młodziutką Marję wydano za mąż za bogatego właściciela ziemskiego Jankowskiego (po jego śmierci wyszła za mąż za Stanisława Mendelsona). Dom Jankowskich składał się z 30 wielkich pokojów, obsługą zajmowało się 34 ludzi... Była to złota klatka — i wrótce Marja poczuła się ptakiem uwięzionym, tęsknie rwącym się do świata myśli i pracy i poświęcenia. Brat jej, słuchacz uniwersytetu petersburskiego, opowiadał Marji o tym ruchu, który wrzał wśród młodzieży... Oczy jej się otwierały... Zaczęła pochłaniać książki, mówiące o pracy, o walce społecznej. Pewna burżuazyjna oszczercza książka o Komunie wzbudziła w niej zapał i uwielbienie dla męczenników Komuny. Dusza jej rwała się z więzów... Marja chciała nawet popełnić samobójstwo, tak jej ciążyło życie w złotej klatce. Później poczęła szukać drogi do organizacji socjalistycznej. W Gienewie zapisała się do „Międzynarodówki", a po powrocie do kraju przesyłała znaczne sumy pieniędzy na rzecz ruchu rewolucyjnego w Hiszpanji.

W r. 1878 zapoznała się z socjalistami polskimi i od tego czasu aż do roku 1893 wytrwale, dzielnie i ofiarnie służyła sprawie naszej. Pracowała nielegalnie w trzech dzielnicach Polski, nie bacząc na niebezpieczeństwo: zakładała kółka, przewoziła „bibułę", wykonywała mnóstwo prac agitacyjnych i technicznych. W Krakowie w r. 1879 szczęśliwie wymknęła się przed aresztowaniem, w Poznaniu aresztowano ją w r. 1881 i skazano na kilka miesięcy więzienia. Na emigracji Mendelsonowa brała czynny udział we wszystkich pracach, a specjalną jej misją, w której celowała, było przedstawicielstwo ruchu na zjazdach międzynarodowych, zawiązywanie i podtrzymywanie stosunków z partjami innych krajów, z towarzyszami rosyjskimi, francuskimi, niemieckimi, angielskimi. Piękna, wytworna, mądra i wykształcona — wybornie spełniała te czynności dyplomatyczne. Przez długie lata była też „kasjerką" ruchu, zasilając go poważnemi ofiarami pieniężnemi

W r. 1893 wraz z mężem usunęła się z partji i od tego czasu nie występowała publicznie.

...Kiedy w drugiej połowie 1884 r. partja „Proletarjat" straciła przez aresztowania swoje najwybitniejsze siły, kiedy partja wydawała się rozbitą i złamaną — młode, dwudziestoletnie dziewczę stanęło na wyłomie, podnosząc sztandar, który wytrącono z rąk Kunickich, Dębskich, Janowiczów. Marja Bohuszewiczówna, która dotychczas okazywała dotychczas usługi partji, zajmując się pomocą więzienną, teraz wysunęła się na czoło, stała się duszą partji. O życiu osobistem Bohuszewiczówny mało co wiemy. Podobno pierwszą pobudką, która ją pchnęła na drogę rewolucyjną, było przejęcie się obowiązkiem, który ciąży na niej jako na krewnej Tadeusza Kościuszki. Z socjalizmem zapoznał ją uczony i poeta, Józef Potocki, którego narzeczoną była (Potocki, rozkochany w Marji, przybrał pseudonim literacki: Marjan Bohusz). Rozstali się jednak, gdyż Marja postanowiła niepodzielnie oddać się pracy społecznej — jak dr. Judym z „Ludzi bezdomnych", gdy w imię Sprawy wyrzeka się miłości Joasi. W trudnych, w okropnych warunkach, gdy prowokacja, jak skir, toczyła partję, gdy zwolna okrążały bojowników żandarmskie zastępy — Bohuszewiczówna spełniała swój trud serdeczny, ofiarny. Niedarmo „Reginę" (taki był jej przydomek konspiracyjny) żandarmi stawiali na pierwszem, honorowem miejscu wśród oskarżonych. W jej rękach drobnych, delikatnych, zbiegały się wszystkie nici stosunków partyjnych, ona była wszędzie, wszystkiego doglądała, o wszystko się troszczyła — jak Westalka, bezsennie pilnując świętego ognia.

W wrześniu 1885 r. Bohuszewiczównę — wraz z innymi — aresztowano. Wieziono na Sybir, w drodze, na etapie — zmarła.

...O jednej jeszcze towarzyszce wspomnimy, o Marji z Motzów Abramowskiej. Pochodziła z niezamożnej rodziny drobnomieszczańskiej (ojciec jej był majstrem w fabryce), ale otrzymała staranne wychowanie i gruntowne wykształcenie. W ruchu robotniczym, który szeroko rozwinął się w Warszawie po święcie majowem 1890 r., zasłynęła jako wybitna działaczka. Biorąc czynny udział w pracach ogólno-partyjnych (należała do Centralnego Komitetu partji „Proletarjat"), jednocześnie żywo zaprzątała się organizowaniem i uświadamianiem kobiet pracujących. Między innemi, założyła, oczywiście nielegalną, kasę wzajemnej pomocy szwaczek i krawczyń.

Zmarła w początkach 1892 r.

...W dniu 19 marca, gdy rozskołysze się wielki dzwon wiecowy, nawołując kobiety do walki o wspólną sprawę socjalistyczną, niechaj ten dzwon woła żywych, by drogą, utorowaną przez poprzednie pokolenia bojowników i bojowniczek, szli dalej — naprzód — do boju — do zwycięstwa!

# Z przeszłości przemysłowego robotnika górnośląskiego.

Szkic historyczno-ekonomiczny.

Napisał Emil Caspari.

(Ciąg dalszy.)*)

Jak się przedstawiały w tym czasie stosunki zarobkowe górników górnośląskich? Według dochodzeń urzędowych, podanych u Schücka, wynosiły one w roku 1858 w powiecie bytomskim dla górników od 12 do 15 silbergroszy dziennie, w powiecie rybnickim od 7 i pół do 12 silbergroszy, w powiecie pszczyńskim od 8 do 15 silbergroszy dziennie. W roku 1859 wskutek kryzysu, wywołanego nadprodukcją w przemyśle żelaznym, nastąpiło obniżenie się zarobków. Najniższa płaca wynosiła wtedy według obliczeń knapszaftu tarnogórskiego: dla kopaczy od 9 do 11 silbergroszy, dla szleprów od 6 do 10 silbergroszy, dla robotników zajętych przy przemywaniu węgla od 8 do 9 silbergroszy, dla innych kategorji jeszcze mniej, np. robotnicy młodociani pobierali zaledwie 4 silbergrosze. (1 talar = 3 markom = 30 silbergroszom = 360 fenigom).

Nie lepsze też było wynagrodzenie robotników zatrudnionych w kopalniach kruszczów i w hutach. Naprzykład dzienna praca cynkowian w powiecie bytomskim wynosiła od 5 do 14 silbergroszy. Robotnicy w walcowniach, jako wykwalifikowani, mieli się lepiej, płacono im bowiem od 12 silbergroszy do 2 talarów; robotnicy przy wielkich piecach otrzymywali od 13 do 22 silbergroszy. W innych powiatach płaca była znacznie niższa. W powiecie lublinieckim płacono po kopalniach rudy żelaznej przeciętnie 5 silbergroszy, w hutach 10 do 15 silbergroszy, robotnicy fabryczni pobierali 5 do 6 silbergr., w powiecie pszczyńskim płaca wynosiła: w hutach 6 do 15 silbergroszy, zwykli robotnicy dzienni otrzymywali 6 do 7 silbergr., robotnicy fabryczni 6 do 8 silbergr., w powiecie rybnickim płacono w hutach 10 silbergroszy do 1 talara, w powiecie wielko-strzeleckim w hutach i fabrykach pobierali mężczyźni przeciętnie $6^3/_4$ silbergr., kobiety 4 silbergr., w powiecie gliwickim w kopalniach kruszczów i w hutach płacono 8 do 25 silbergr., w fabrykach 15 do 20 silbergr.

Niskie te płace uwarunkowane były jeszcze bardziej niskimi zarobkami robotników rolnych. W tym samym bowiem roku 1858, według dochodzeń urzędowych, płacono robotnikom rolnym w powiecie lublinieckim: mężczyźnom przeciętnie 5 do 6 silbergr., kobietom 2 i pół do 4 silbergroszy dziennie, w powiecie wielko-strzeleckim płaca dzienna wynosiła: dla mężczyzn 6 silbergr., dla kobiet 4 silbergrosze, w powiecie pszczyńskim dla mężczyzn 5 do 6 silbergr., dla kobiet 4 do 5 silbergr., w powiecie rybnickim przeciętnie 3 do 10 silbergr., w powiecie bytomskim przeciętnie 10 silbergr., w powiecie gliwickim pobierał mężczyzna zimą 5 do 10 silbergr., latem 8 do 20 silbergr., kobieta zimą 2 i pół do 5, latem 4 do 6 silbergr.

Solger znowu odróżnia dwie kategorje robotników: niestałych i stałych. Niestali robotnicy to naogół ludzie bez określonego zajęcia, chwytający się wszelkiej pracy. Sposób ich życia jest nadzwyczaj mało wymagający. Solger

*) Rozdziału trzeciego, który przez pomyłkę został wypuszczony.

tak się o nich wyraża: „To co zarabiają, to też i spotrzebują. Tylko mała część ich stara się coś niecoś zaoszczędzić. Odznaczają się oni wszelkim brakiem poszanowania dyscypliny, są brutalni, oddają się rozpuście, a częstokroć popełniają zbrodnie.“

Robotnicy stali to znowu zazwyczaj ludzie wykwalifikowani. Tworzą oni, zależnie od rodzaju swego zatrudnienia, rozmaite grupy, z których każda posiada swoje właściwości. Przedewszystkiem wyróżniają się z pośród nich górnicy.

Jakie są ich warunki pracy? Naogół pracują w kopalniach węgla dniem i nocą. Dzień roboczy wynosi dla każdej zmiany 12 godzin. Praca odbywa się na dwie zmiany — dzienną i nocną. Szczególnie uciążliwe są warunki pracy robotników po hutach cynkowych. Solger powiada, że chorują oni bardzo często na reumatyzmy i na choroby płuc. Wskutek złych warunków zdrowotnych nie żyją dłużej, jak przeciętnie 45 lat.

Wypłata odbywa się raz na miesiąc. Dzień ten wyróżnia się zwiększoną liczbą pijanych ludzi. Wtedy robotnicy robią rozmaite „potrzebne i niepotrzebne“ zakupy. Pan Solger, opisując taki dzień wypłaty, okazuje wielką wspaniałomyślność względem robotników, pisząc: „Bułkę albo kiełbasę można użyczyć robotnikowi za czterotygodniowe przelewanie potu, wprost jednak jest nie do uwierzenia, jakie niepotrzebne rzeczy ludzie ci kupują, jeżeli przez chwilę mają pieniądz w kieszeni. Zabrudzeni i zakopceni robotnicy kupuję sobie pomadę, której całe słoiki wcierają w swe nieuczesane włosy! Nie kontentując się zwykłymi artykułami spożywczymi, kupuje robotnik, chcąc sprawić swej rodzinie fetę, kiełbaski i ciastka. Jednem słowem, ludzi ci zachowują się często tak, jak gdyby nie byli spełna rozumu . . . Są oni jak dzieci, wyciągają ręce do świecidełek, łakną wtedy wszelkiego użycia, nie będąc w stanie pamiętać o dniu następnym . . . Do nowej wypłaty żyje robotnik z konieczności na kredyt, który chętnie bywa mu udzielanym, zależnie od wysokości spodziewanego zarobku. Szynkarz jest dla robotnika najważniejszą osobą; daje mu kredyt i wódkę, naturalnie tak, że robotnik popada wkrótce w uciążliwe długi . . . Że przy takim trybie życia u wielu robotników nie jest możliwem prowadzenie porządnego gospodarstwa, staje się jasnem. Demoralizacja jest nieuniknionem następstwem.“

Tak przedstawiała się masa robotników górnośląskich dla człowieka, który bezpośrednio przez długie lata mógł ją obserwować.

Z opisu stosunków zarobkowych u Solgera wynika, że były one nad wyraz nędne. Górnicy pobierają płacę nie według czasu, a na akord. Przy wypłacie odciąga się jednak od zarobku za proch, olej i narzędzia. Czemu się tak dzieje? Solger daje na to taką odpowiedź: „Koniecznem jest, aby robotnicy rzeczy takie kupowali, gdyż przy bezpłatnem dostarczaniu działyby się oszukaństwa.“

Główną zasadą postanowień górniczych był wtedy tak zwany przymus zwierzchnictwa. Polegał on na tem, że jedynie państwowa władza górnicza miała prawo przyjmowania i wydalania robotników, właściciel zakładu górniczego nie miał w tym względzie żadnego głosu. Prawo zwierzchnictwa nad kopalnią i zarząd jej spoczywał również w rękach władzy górniczej, wogóle we wszystkiem przeprowadzony był ścisły system opieki państwowej. System opieki odpowiadał w zupełności ówczesnym poglądom prawnopaństwowym, lecz bynajmniej nie odpowiadał potrzebom przemysłowym. Szczególnie odczuwali taki stan ustawodawstwa właściciele kopalń, skrępowani przez to w nieograniczonej możności wyzyskiwania skarbów kopalnych i powiększania swoich zysków kosztem pracy górników.

(Ciąg dalszy nastąpi).

## Rozmaitości

**Najlepszy sposób walki z chorobami tuberkulicznemi,** przedewszystkiem z gruźlicą płucną, jest zwalczanie alkoholizmu. Tak zawyrokował nie kto inny, jak Dr. Jacques (Jakób) Bertillon, kierownik urzędu statystycznego na miasto Paryż. W paryskim miesięczniku „Revue d' hygiéne et de police sanitaire“ (na marzec 1910 r.) wykazuje ciekawą łączność gruźlicy płucnej z alkoholizmem.

Wypracował on kartę i statystykę, gdzie i ilu w całej Francji ludzi choruje na gruźlicę płucną. Tak samo uczynił co do używania trunków alkoholowych, a na pierwszem miejscu wódki.

Przy porównaniu obu tych kart i obu tych statystyk doszedł Dr. Bertillon do powyższego twierdzenia, że gdzie najwięcej piją trunków alkoholowych, tam także zachodzi największa liczba chorych na gruźlicę płucną. Były to północne departamenty: bretański i normandzki. By swoje wywody tem wiarogodniejszemi uczynić, przytacza Dr. Bertillon statystyki pod tym względem i innych państw, przyczem zarazem wskazuje na porównanie liczb męskich i żeńskich chorych na gruźlicę.

I tak np. w Paryżu w przeciągu 5-ciu lat (1901—1905) była liczba męskich chorych (od 30-tu lat zwyż) 2—3 razy większa od liczby żeńskich chorych. Podobno i w innych większych miastach. A to dlatego, że mężczyźni — używając więcej trunków alkoholowych — tem podatniejszy grunt tworzą dla gruźlicy płucnej. Jest to dowód pośredni, ale nie mniej dobry. Kto więc walczy przeciw alkoholizmowi i zmniejsza jego wpływ, ten zarazem walczy przeciw nie mniej wielkiemu i niebezpiecznemu wrogowi ludzkości — przeciw gruźlicy płucnej.

* * *

**Ile żelaza jest na ziemi?** Nowoczesna technika zużywa z roku na rok coraz większe ilości żelaza, czy to w zwykłej formie, czy w formie stali. I w miarę tego zużytkowania wyczerpuje się powoli przyrodzony skarbiec rudy żelaznej w łonie ziemi.

Wedle obliczeń gieologów znane i zbadane pokłady rudy zawierają okrągłe 22,4 miljardów ton rudy żelaznej, z której będzie można wydobyć okrągłe 10 miljardów ton czystego żelaza. Z sumy tej przypada na Europę 12, na Amerykę 9,85 miljarda ton, na Azję 260, na Afrykę 125 i na Australję 136 miljonów ton. Wśród krajów europejskich stoją na czele Niemcy z 3,6 miljardami ton rudy, dalej idzie Francja z 3,3 miljardami, Wielka Brytanja z 1,3 miljardami i Szwecja z 1,1 miljardami ton. Nad wielkiemi jeziorami Ameryki Północnej znajduje się olbrzymi zasób 2 miljardów ton.

Zważywszy obecnie powiększenie się zużytkowania żelaza na całym świecie, gieologowie dochodzą do przekonania, że zasób ten wyczerpie się mniej więcej za lat 60. Wówczas przyjdzie kolej na wyzyskiwanie tych rud żelaznych, których eksploatacja w obecnych warunkach prawie się nie opłaca; trzeba będzie obmyśleć środki zastąpienia żelaza w pewnych wypadkach innemi materjałami, np. aluminjum. Te niewyzyskane dotąd pokłady rudy obliczono na kongresie na 123 miljardy ton z zawartością 53 miljardów czystego żelaza.

Nie wzięto jednak w rachubę pokładów rudy żelaznej w Japonji, Korei i południowej Mandżurji, nie wzięto też w rachubę nieodkrytych jeszcze pokładów, których niewątpliwie sporo się jeszcze znajduje w różnych częściach świata, jak o tem świadczy choćby niedawne odkrycie bogatych pokładów rudy żelaznej w Brazylji. Więc obawy wyczerpania się zapasów żelaza za życia najbliższych gieneracji ludzkich nie są jeszcze groźne.

## Kącik humorystyczny.

**Dobra odpowiedź.**

Policjant: „W tak niedostatecznym kostjumie nie możesz pan chodzić.“ — Maska: „Ja idę przecież jako Adam.“ — „Bardzo słusznie; ale on był także wypędzony.“

**Także zawód.**

Policjant: „Czem pan jesteś z zawodu? — „Jestem chętnym do pracy w wypadkach strejku.“

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 13. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej".

Katowice, sobota, dnia 1 kwietnia 1911.

Maksym Gorkij.

## Serce żebraka.

(Z rosyjskiego).

Takiż jak on żebrak, włóczęga, którego o zmierzchu spotkał na zakręcie drogi, powiedział mu:

„Jeśli chcesz urządzić porządny kawał, to przejdź przez most, idź prosto wzdłuż lasu, a po prawej ręce zobaczysz zamek. Murów tam niema. Rowów także nie. Nikogo, coby go strzegł: państwo jeszcze nie wrócili, a ogrodnik leży chory. Psa także niema, jażem mu dawniej pałką po łbie przejechał. W samym domu tylko nie będziesz wiedział, co wybierać. „Jeżeli nie jesteś podszyty tchórzem, to skorzystaj dobrze ze sposobności" — rzekł krótko łazęga.

Rudy lis bez długich namysłów usłuchał tej rady. Po nocy spędzonej pod gołem niebem — było to bowiem w lipcu i słońce mocno grzało ziemię — wyruszył z brzaskiem dnia w dalszą drogę. Przeszedł wskazany most i kroczył wzdłuż lasu, spodziewając się ujrzeć wkrótce ów zamek.

Przyspieszał coraz bardziej kroku. Odziany w czarne łachmany, mając na nogach owinięte szmaty, przechodził jak cień szary przez pola, błyszczące żywemi kolorami. Oblicze jego wyglądało jakby u człowieka przedwcześnie zestarzałego — poorane cierpieniami i wyniszczone niedostatkiem. Tylko jego rude włosy i wąs odróżniały go od innych takichże włóczęgów.

„Rudym lisem" nazywali go przeto jego współtowarzysze i wieśniacy, którzy go niekiedy przenocowywali, nie znając jego nazwiska.

* * *

Las był już poza nim, a przed nim, oddalony o jakie sto metrów od drogi, wyglądał zamek z poza przykóp oraz grzęd, zarosłych gęstemi krzakami. Dachy łupkiem pokryte, mury z kamieni kwadratowych a po części z cegieł, zalotne wieżyczki i wreszcie szerokie, wesołe schody — wszystko to spoglądało majestatycznie na widnokrąg — panowało nad całą okolicą i zda się mówiło: „Patrzcie — to wszystko do nas należy! Myśmy panami!"

Włóczęga przystanął. Zanim jednak zdecydował się na coś pewnego, upadł na trawę. Jakaś niemoc duszy ogarnęła go, pierwszy raz bowiem w życiu zamierzał — kraść.

Niewątpliwie dotychczas popełnił już niezliczoną ilość małych grzechów na drogach, po których go los gonił. Jednak nigdy ani drzwi nie wyłamał, ani murów nie przełaził, nigdy najmniejszej sumki pieniędzy nie skradł. Pocóż miałby to czynić? Żył przecież i był szczęśliwy.

Przypadek zapoznał go z pewnym starym włóczęgą, który go wyuczył sztuki koszykarskiej. Chodził z jednej okolicy do drugiej, pracował w lecie w gajach wierzbowych nad piękną rzeczką, a w zimie przy gościnnym ognisku gospodarzy. Sprzedawał wszędzie swoje lekkie koszyki, które wyglądały jakby ze złotych pręcików splecione.

* * *

Pewnego wiosennego wieczoru spotkał przy źródle jakiejś zapadłej wsi — kobietę. Nie była ani piękną, ani ładną, jednakże miała delikatne oczy, pokorny uśmiech, a z twarzy jej przebijało się wielkie cierpienie. Była to biedna, osierociała dziewka, z którą pan jej się bardzo ostro obchodził...

Włóczęga i ta nieszczęśliwa istota przypatrywali się sobie wzajemnie i — pokochali się. On wychwalał swobodę pod niezmierzonem niebem, którego słońce tak miło biednym i nieszczęśliwym przyświeca. Ona poszła za nim i od tej pory wędrowali wspólnie po mokrych dolinach, na których rosło sitowie, jak poważne laski marszałkowskie...

Minęły lata. A że nie zważali na czas, nie spostrzegli tego całkiem. Naraz przybyło im dziecię. Tu, między temi dwoma nędzarzami znalazła się istotka maleńka, jeszcze mizerniejsza; wkrótce stało się ono tak piękne, różowe i powabne, iżby je można śmiało uważać za dziecko możnych, co przyszło na świat w najwyższych warstwach społeczeństwa. Ojciec i matka oszołomieni byli tym niespodziewanym darem losu, zachwyceni z całej duszy i napełnieni podziwem. Syn ten stał się ich bożyszczem. Aby się czuł dobrze i zdrowo, by nie był głodny i mógł wygodnie spać — poświęcali mu się cali, trudzili dniem i nocą, cierpieli, nie skarżąc się nigdy!

* * *

Dziecko podrosło.

Miało cztery lata, aż tu naraz odumarła je matka.

„Zimnicy dostała przy wodzie" — rzekł pewien wieśniak do koszykarza. „Uważajcie — skoro i ten mały raz się wylegnie w wierzbinach, to będzie to samo!"

Ojciec nie zważał na to upomnienie; jakie przedtem takie i teraz prowadził życie. Żal za zmarłą, żal, który z biegiem czasu przeobraził się w kolący, dziki ból, przeniósł i na dziecko, gdyż było ono żyjącem wspomnieniem zmarłej i dowodem jej miłości. Ba, było czemś więcej jeszcze — było nadzieją, chlubą tego włóczęgi; było jego ideałem delikatności, łagodności i piękna! Och, te delikatne kręte włoski — te głębokie oczy — różany uśmiech, przy którym widać było małe, białe ząbki — jakże to wszystko ojciec kochał! Jakże drżał z radości skoro nań tylko spoglądał!

Ach, dlaczegóż nie wykonywał danej mu rady? Na dziecko przyszła choroba. W pierwszych tygodniach lata zmarło, jak dawniej jego matka. A włóczęga — może pierwszy raz w życiu — zapłakał gorzko...

Płakał, ale łzy nie przyniosły mu ulgi. Zdawało mu się, że krew z żył wyciekła, że wszystko wkoło niego było czarnem — że serce jego przestało bić. Starał się wyobrazić sobie je w duchu, jego wygląd, uśmiech, poruszenia. Jednak nadaremnie! Nie pozostało nic po dziecięciu... A ból jego stawał się tym ostrzejszy, im bardziej brakowało mu pamiątek po nim...

Od tego dnia człowiek ten stał się złym. Ślepa nienawiść ogarnęła jego serce zranione, a równocześnie obudziła w nim żądzę czynienia zła, burzenia wszystkiego.

„Kraść jabłka czy pieniądze, to wszystko jedno", podszepnął mu pewnego razu towarzysz z jego drogi. I powiedział sobie w cichości: „I ja jak inni będę kradł"...

W trawie wyciągnięty „Rudy lis“ właśnie teraz powtórzył sobie to zdanie.

Wstał, przeskoczył rów i począł kroczyć przez spuszczone aleje parku. Im dalej się posuwał, tembardziej zanikał w nim poprzedni strach przed majestatem zamku. Skoro zaś dotknął się jego murów, począł nim w myśli gardzić, jak gardzi się bezbronną istotą, którą się chce męczyć.

Powoli kręcił się około domu. Po stronie obrosłej drzewami znalazł szklane drzwi. Nikt go nie widział — prostym nożem mógł zdobyć cały zamek, wybił szybę, wnet ustąpiły drzwi — był wewnątrz zamku. Początkowo nie widział nic: spuszczone zasłony szerzyły mroki. Lecz powoli przyzwyczaiły się jego oczy do tego zmierzchu.

Przyjemny chłodek panował w sali, do której wszedł, i czuł w niej jakby pachnące, zwiędłe kwiaty. Na ścianach pomiędzy złotemi arabeskami uśmiechały się stare portrety. Lśniące, dębowe i politurowane meble otaczały go dokoła...

Wszędzie stały kosztowne i rzadkie drobiazgi w wielkiej ilości. Żebrak ten nigdy nie widział takich cudów. Dziwował się tym wszystkim rzeczom lśniącym i błyszczącym, starał się zrozumieć, do czego też one mogą służyć, i nowy strach i szacunek naszedł na niego...

Ale jednak musiał działać! Lecz cóż mógł tu stąd wziąć? Gdyby kiedy spróbował jedną z tych rzeczy sprzedać, zdradziłby się. Naraz ujrzał szafkę na pieniądze, otworzył ją — i dwie zapomniane złote monety zabłysnęły w półcieniu. Już wyciągnął po nie rękę, gdy w tem wzrok jego padł na fotografję, stojącą na biurku i przer. żony, zmieszany, zachwycony, przystanął...

W zwykłych ramkach ujrzał twarz dziecięcą z delikatnemi, krętemi włoskami, z oczyma bardzo, bardzo głębokiemi — z uśmieszkiem różanym na białej twarzyczce: niewątpliwie był to syn pana zamku, włóczędze jednak zdawało się, że to obraz jego własnego dziecka. Powabność swego syna i jego rysy twarzy widział w obliczu tego bogatego dziecięcia, które na świat przyszło już w bogatym stroju. Nawet chwili nie pomyślał o tem, iż jest to tylko przypadkowe podobieństwo. Jedno tylko widział jasno — mianowicie, że nie miał po zmarłym dziecięciu żadnej pamiątkowej rzeczy, a w tym obrazie odżyło ono znowu w jego fantazji...

Włóczęga nie wahał się — porwał portret, począł okrywać go pocałunkami, schował ku sobie i uciekł.

Cała jego nienawiść zniknęła. Popełnił teraz pierwszą, ale i ostatnią kradzież. Nie troszczył się już o inne bogactwa, miał bowiem wspomnienie dziecięcia, które jego serce żebracze ukochało tak bardzo.

# Z przeszłości przemysłowego robotnika górnośląskiego.

Szkic historyczno-ekonomiczny.

Napisał Emil Caspari.

(Ciąg dalszy.)

Wywołało to ze strony właścicieli kopalń silną opozycję przeciw rządowi, zmierzającą do przekształcenia prawa górniczego, któreby odpowiadało potrzebom przemysłu. Usiłowania, podjęte z tej strony nie pozostały bez skutku. W roku 1851 przeprowadzono, że część zarządu kopalń przeszła w ręce przedsiębiorców, usunięto następnie zasadę zwierzchnictwa, zaprowadzono wreszcie t. zw. wolną umowę roboczą. W trzy lata później, na mocy prawa o kasach brackich z roku 1854, zarząd kas, sprawowany przez naczelny urząd górniczy, przeszedł również w ręce przedsiębiorców! Lecz ciągle jeszcze pozostawały przepisy w postanowieniach górniczych, mające na celu ochronę pracy górniczej. Pod parciem przedsiębiorców rząd w roku 1861 usunął najważniejszą część tych przepisów ochronnych. Wreszcie w roku 1865 właściciele kopalń osiągnęli resztę swoich żądań. Prawo górnicze z tego roku skasowało ostatecznie pozostałe jeszcze ograniczenia: prawo rozporządzenia się skarbami kopalnymi przeszło na przedsiębiorców, gdyż te nieliczne ograniczenia prawne, które utrzymano, zostały przez praktykę ominięte. „Wolna umowa robocza“ stała się kardynalną zasadą! Sądzono wtedy, że zasada wolnej konkurencji, przeprowadzona w prawie górniczem, będzie tym cudownym środkiem, który usunie wszelkie niedomagania społeczne! Życie zadało fałsz owym nadziejom. Rozpętana, niczem nieograniczona wolna konkurencja w życiu ekonomicznem okazała się dla dobra ogólnego zabójczą.

Co się tyczy płacy górników, to była ona wtedy jeszcze co rok normowaną przez urząd górniczy. Państwo, rozporządzające regaljami, miało znaczne prawa co do prowadzenia kopalń. Ono też ustanawiało zarobki, aby uchronić robotników przed zbytnem obniżaniem ich ze strony przedsiębiorców. Oprócz tego każdy członek kasy brackiej miał zapewnioną pracę, którą wyznaczał t. zw. przysięgły górniczy. Naturalnie, że obydwa te zarządzenia nie podobały się przedsiębiorcom, to też przeciwko nim występowali, twierdząc, że jedynie zasada wolnej konkurencji winna przy tem oddziaływać. Wreszcie też w roku 1865 kapitał prywatny przeprowadził w tym względzie swoje żądania. Od tego czasu wysokość płacy normowała „wolna“ umowa, przy której robotnik mógł z głodu umierać. Państwo pozostawiło kapitałowi zupełnie wolną rękę. Kapitał, nie krępowany niczem, mógł się swobodnie rozwijać, doprowadzając wyzysk pracy robotniczej do potwornych wprost rozmiarów. Zobaczymy nieco dalej, jak się to przejawiało.

Według obliczeń Solgera za rok 1858 przy 300 dniach roboczych kopacz na kopalni węgla mógł zarobić rocznie 160 talarów, szleper 108 talarów. Mógł zarobić, czy zaś zarabiał, to rzecz inna. Na kopalniach galmanu zarobek roczny wynosił przy 300 dniach roboczych dla kopaczy 138 talarów, dla szleprów 98 tal., dla kobiet 65 tal., dla dzieci 50 talarów. Na kopalniach kruszczu żelaznego był on jeszcze niższym, przy 300 dniach roboczych mógł zarobić kopacz 109 tal., szleper 88 tal., kobiety i dzieci 55 talarów.

W cynkowniach przy 365 dniach roboczych mógł zarobić szmelcerz rocznie 228 tal., nasypywacz 169 tal., gichciarz 125 tal., formiarz przy 300 dniach roboczych 211 tal., koksiarz 149 tal., kobiety i dzieci 70 tal.

W walcowniach mógł zarobić przy 300 dniach roboczych pudlerz 198 tal., przodownik 266 tal., „hintermann“ 204 tal., robotnik dzienny 90 tal., ślusarz 191 tal., kowal 189 talarów.

Na innem miejscu podaje Solger, że rodzina robotnicza, składająca się z 3 do 4 osób, potrzebuje do życia w obwodzie kopalń rudy cynkowej i żelaznej rocznie 120 talarów 12 silbergroszy. Możemy zatem osądzić, jak niewystarczające były zarobki większości robotników, aby móc jako tako opędzić potrzeby życiowe.

O stosunkach mieszkaniowych wyraża się Solger w ten sposób, że więcej niż połowa stałych robotników znajduje się w niesłychanie nędznych warunkach. „Chociaż w ogólności powiększenie się domów mieszkalnych — czytamy u Solgera na innem miejscu — co rok znacznie postępuje, gdyż od spisu w 1855 roku dochodzi 1096 nowych domów mieszkalnych, w tem wiele domów familijnych, to jednak ciągle jeszcze jest więcej ludzi, niż w istniejących pomieszczeniach, z których większość składa się z małych chałup dla rodzin, złożonych najwyżej z 5 osób, może być ulokowanych. Następstwem tego jest szkodliwe dla zdrowia przepełnienie mieszkań, zwłaszcza w takich miejscowościach, gdzie jest wielka podaż pracy, oraz włóczenie się pewnej części najniższych klas ludności bez dachu nad głową. Latem dają dość miejsca na nocleg cegielnie, dziury wiertnicze i pola zbożowe. Można liczbę takich bezdomnych liczyć latem na tysiące... Zimą nocuje reszta tych ptaków przelotnych, która nie powróciła do swych stron rodzinnych po ukończonym sezonie letnim, w rozkopach hut cynkowych, na dymiących hałdach szlaki, po piecach wapiennych i palących się miejscach kopalń, wszędzie, gdzie znajduje ciepłe miejsca i dziesięć razy przepędzona, dziesięć

razy znowu się wkrada. Niektórzy zaduszą się lub spalą, nie powstrzymuje to reszty od powrotu do tego samego noclegu".

Jeszcze gorzej rzecz się przedstawia z robotnikami niestałymi. „Znajdowano ich często z żoną i dziećmi w niskich, podobnych do jaskiń lepiankach ziemnych, podczas deszczu w błocie, a w dni skwarne w zatęchłem powietrzu. Często następstwem takich warunków był skorbut i inne zakaźne choroby. Pracodawcy niestety bardzo mało dbali o umieszczenie tych ludzi, których siły zużywali. Był to wzór europejskiego niewolnictwa". Otóż jeżeli autor, którego nie można posądzać o przedstawienie rzeczy w świetle ujemnem, tak je okropnie maluje, to można sobie wyobrazić, że w rzeczywistości jeszcze gorzej dziać się musiało.

Przemysł tak pomyślnie się rozwijał, że zaczął dawać się odczuwać brak rąk roboczych, to też starano się sprowadzać robotników z sąsiednich powiatów rolnych, a nawet z Królestwa Polskiego. Schück oblicza napływowych tych robotników na 40 tysięcy osób.

Dla wielkiego przemysłu ważnem było, aby mieć pod ręką dostateczną ilość robotników stałych, możliwie od przedsiębiorców zależnych. Do tego celu miały służyć domy familijne dla robotników, które na gwałt zaczęto budować. Schück podaje, że pod koniec roku 1857 domów takich było już 641, posiadających 3379 mieszkań dla 15 000 osób.

Oprócz tego zakładano rozmaite kasy, jako to: pensyjne, dla chorych, zapomogowe. Ustawy były jednak tego rodzaju, że, zapewniając robotnikom nieznaczne korzyści, uzależniały ich w niesłychanym stopniu od pracodawców. Głos miarodawczy posiadały w nich, oczywiście, zarządy zakładów przemysłowych.

Rozwój przemysłu sowicie się magnatom górnośląskim opłacał. Schück tak o tem pisze: „Nie bez słuszności można twierdzić, że niektóre osobistości w powiecie bytomskim przy pomyślnej konjunkturze mają 400 do 600 tysięcy talarów rocznego dochodu."

W owym również czasie zaczęto zakładać rozmaite towarzystwa akcyjne. Pod koniec roku 1858 było ich 3, rozporządzających kapitałem akcyjnym przeszło 28 miljonów marek.

Pod względem komunikacji zrobiono tak samo znaczne postępy, zaprowadzając całą sieć wąskotorowych kolejek parowych i konnych. Sieć zwykłych kolei żelaznych powiększono o linje, łączące Katowice z Mikołowem, Góry Tarnowskie z Chebziem, Katowice z Ząbkowicami, Mysłowice z Nowym Bieruniem. Pod koniec roku 1857 oddano do użytku kolej żelazną, łączącą Góry Tarnowskie z Opolem, siedzibą rejencji.

Jak już zaznaczyliśmy, zakładano dla zapewnienia sobie stałych robotników rozmaite kasy zapomogowe. Dla kopalń węgla kamiennego istniała już od roku 1769 t. zw. kasa bracka. Podstawą do zakładania kas pensyjnych (emerytalnych), w zakładach nie podlegających kontroli urzędu górniczego, była ustawa z dnia 3-go kwietnia roku 1854. W roku 1858 kas takich było już 74 z 15528 członkami. Pobierały one wkładki wyższe od składek w kasach brackich, zazwyczaj jeden silbergrosz od 1 talara zarobku. Pracodawcy zajmowali przytem stanowisko uprzywilejowane: tylko wedle potrzeby musieli oni opłacać do 50 procent tej sumy, na jaką złożyli się robotnicy. Administrację prowadził zarząd, składający się zazwyczaj z samych pracodawców. Obok zarządu figurował wprawdzie wydział z robotników ale jedynie jako ciało pomocnicze. Gospodarzami w kasach byli przedsiębiorcy, od ich woli zależało wszystko. Ustawy były przytem tak zredagowane, że n. p. wysokość zapomogi określał zarząd według tego, jak dalece „godnym" był tego pobierający. W związku z ustawami kasy brackiej i kas pensyjnych istniały regulaminy, dotyczące kar i porządku w robotniczych domach familijnych. Przyjęcie do pracy i do kasy zależnem było od zgodzenia się na nie. Dziś jeszcze regulaminy takie bardzo są dla robotników niedogodne; możemy sobie wyobrazić, że przed 50 laty nie lepiej się one przedstawiać musiały. Kary, polegające na ucinaniu zarobków, a przewidziane owymi regulaminami, płynęły do kas zapomogowych.

Z tego okresu czasu datuje również założenie górnośląskiego stowarzyszenia właścicieli kopalń i hut, organizacji przedsiębiorców, która teraz stanowi olbrzymią potęgę wobec robotników. Zostało ono założonem w roku 1854, a więc wtedy, kiedy robotnicy ani myśleli o samodzielnem zorganizowaniu się do walki z przemożnym kapitałem. Organizowanie się robotników wyprzedziło znacznie silne zorganizowanie się przedsiębiorców górnośląskich!

Poziom kulturalny klasy robotniczej, powiada asesor Solger, jest bardzo niski. „Większa część ludności, stan robotniczy; jest biedną; przy swej biedzie jednak jest on nad wyraz mało wymagający. Czuje on się zadowolonym, jeżeli do pewnego stopnia może się nasycić, karmiąc się żurem i kartoflami. Dopiero w nowszych czasach należy chleb do zwykłych środków spożywczych. Wyczerpująca praca w mokrych kopalniach, przed rozpalonymi piecami w hutach zahartowuje ciało tak dalece przed wpływem niepogody, że robotnik nawet zimą potrzebuje mało odzienia. Dzieci, skoro tylko pozostawione są samym sobie, a dzieje się to bardzo rychło, biegają w lecie odziane co najwyżej w brudną koszulinę, zimą nieco lepiej; przyzwyczajają się one w ten sposób już wcześnie znosić żar, zimno i wilgoć. Często podziwu jest godnem, co ludzie ci w tym względzie, zwłaszcza przy tak skąpem pożywieniu, wytrzymują. Gdy wreszcie nadejdzie dzień wypłaty, wtedy szybko idą w niepamięć wszelkie niewygody; robotnicy, żyjąc jedynie daną chwilą, przez jeden dzień przepuszczają nieraz więcej, aniżeli wydali na życie przez cały miesiąc."

Nic dziwnego, że wobec takich warunków, jak powyżej przedstawione, poziom kulturalny ludności nie mógł być wysokim. Złe odżywianie się przy ciężkiej pracy a niskich zarobkach powodowało, że ludność robotnicza cieleśnie i umysłowo degienerowała. Solger podaje, że na każdą rodzinę robotniczą przypadało podówczas najwyżej 4 osoby. „Przyczyna tego — powiada on — tkwi nie w rzadkości urodzeń, lecz w śmiertelności większości dzieci w najmłodszym wieku. Ciasne mieszkania, brak powietrza i światła, niedostateczna opieka i liche odżywianie się robią swoje."

Gdy zaś dzieci uchowały się, to przez wczesne napędzanie do niestosownej dla nich pracy, nie dawało im się możności należytego rozwinięcia się cielesnego. Jak się to działo, na to mamy ciekawą wzmiankę u Solgera. „Skoro tylko dzieci podrosną, zabiera je ojciec często do pracy, jako pomocników. Ani na kopalniach, ani na hutach dzieci tych nie wlicza się według ustawy z roku 1853 do robotników młodocianych, nie otrzymują one też żadnej płacy a są jedynie prywatnymi pomocnikami swych ojców".

Wprawdzie można było zatrudniać robotników młodocianych dopiero od 16 roku życia, ale zanim one do tego wieku doszły, korzystano bezpłatnie z pracy dzieci, wszak były one tylko „prywatnymi pomocnikami", a zatem wszystko było w porządku: ciągnięto zyski z nieopłaconej pracy, a i ustawie działo się zadość! Za lichą zapłatę pracował ojciec razem z dzieckiem, z czego pracodawca mógł być jeno zadowolonym. Że źle to się odbijało na fizycznym rozwoju dzieci, na to nie baczono: pamiętano o głównym celu — o jak największych zyskach!

Dzięki też temu nieograniczonemu wyzyskowi różnice majątkowe były olbrzymie. Według statystyki podatkowej z r. 1858 było w powiecie bytomskim 93 podatników w 2 najniższych klasach, przyczem zaledwo 13 procent przy mozolnej pracy mogło na stałe wyżywić swoje rodziny, reszta, czyli 80 proc. żyła z dnia na dzień! Po jednej stronie bogactwa olbrzymie, po drugiej — nędza okropna!

(Ciąg dalszy nastąpi).

## Rozmaitości

**Udaremniony proces „Camorry".** W ubiegłym tygodniu rozpocząć się miał w Viterbo pod Neapolem proces przeciw 45 członkom organizacji zbrodniarzy, będącej plagą Włoch, a znanej pod nazwą „Camorry". Banda ta ma na sumieniu całą masę zbrodni a powód do aresztowania tak znacznej ilości jej członków dało morderstwo popełnione na Genuarze Cuocolo, który uchodząc powszechnie za czło-

wieka uczciwego i zamożnego, był członkiem Camorry, a dom jego składem zrabowanych kosztowności. Żona jego prostytutka, również uchodziła za najuczciwszą pod słońcem mężatkę.

Naraz dnia 6 czerwca 1910 r. rozszerzyła się w Neapolu wieść, iż przy ulicy Nardonnes, gdzie mieszkali Cuocolowie, popełniono tajemnicze morderstwo.

W sypialni Cuocolów znaleziono nagie zwłoki pięknej Marji, rozciągnięte na łóżku i skłute licznemi pchnięciami sztyletów. Ponieważ łóżko męża było wcale nienaruszone, sądzono, iż to on jest mordercą. W parę godzin jednak policja znalazła jego zwłoki na wybrzeżu morza, przy Torre del Graezo i przekonano się, że również zginął od sztyletu.

W cztery dni później w jednej z ciemnych nor kawiarnianych aresztowano bandę indywiduów, podejrzanych o morderstwo — wszyscy oni należeli do „Camorry". Hersztem ich był niejaki Enrico Alfano, zwany „Enricone", bardzo elegancki pan, trudniący się zawodowo lichwą w szynkowniach neapolitańskich.

„Camora" miała posądzić Cuocola, iż zadenuncjował był policji pewnego złodzieja, niejakiego Aranę, który należał do „Camorry". Za to potajemnie skazano Cuocola i jego żonę na śmierć.

Całemu procesowi towarzyszą od początku różne zagadkowe okoliczności. I tak, zaraz po wykryciu zbrodniarzy komisarz policji, który miał w procesie odegrać główną rolę, popełnił samobójstwo, wreszcie prokuratorja długo, bardzo długo zwlekała z wytoczeniem skargi przeciw zbrodniarzom...

Wreszcie przyszło do procesu i proces... nie doszedł do skutku. Wylosowani do sądzenia sprawy sędziowie przysięgli przynieśli ze sobą świadectwa lekarskie i żądali uwolnienia.

Na popołudniową rozprawę z owych wybranych zgłosiło się jednak tylko... trzech, reszta zaś wyjechała nagle z Viterbo. Z tych trzech zaś, jak się okazało, dwóch nie miało prawnych warunków do piastowania „zaszczytnego urzędu" (dlatego właśnie nie uciekli!), trzeci zaś okazał się istotnie ciężko chory...

Proces rozpoczął się w wielkiej sali klasztoru Franciszkańskiego, specjalnie na ten cel przygotowanej, w której zbudowano specjalną ogromną klatkę żelazną na pomieszczenie oskarżonych. We Włoszech bowiem zachował się dotychczas barbarzyński zwyczaj, że oskarżeni o ciężkie przestępstwa umieszczeni są w klatce.

Wobec ucieczki przysięgłych, którzy zrobili to niezawodnie z obawy przez zemstę „Camorry" — proces na razie odroczono.

* * *

**Zachowanie się zwierząt wobec aeroplanów.** Pojawienie się aeroplanów wprawiło w zdumienie nie tylko ludzi.

Zwierzęta również odnoszą pewne wrażenia z tych wynalazków człowieka, które swoją wielkością, ruchem lub wydawanym głosem zwracają ich uwagę.

Znane są napady dzikich zwierząt na pierwsze pociągi, pędzące poprzez niedostępne okolice.

Taksamo też i pojawienie się balonów i aeroplanów w takiej masie, jak w ostatnich czasach nie minęły dla zwierząt bez echa. Niektórzy z pilotów opisują swoje spostrzeżenia w tej mierze. I tak n. p. Lingker opisuje, jak jelenie, zające i lisy uciekały w przerażeniu na widok spokojnie bujającego w powietrzu balonu, przyczem jeden z jeleni, zaślepiony strachem, wpadłszy na zagrodzenie w całym pędzie, zginął na miejscu.

Szwedzki pilot Hofften opowiada znów swoje spostrzeżenia o łosiach, które pędzone bojaźnią, wpadły do rzeki, by się ratować przed olbrzymim ptakiem. Psy na widok aeroplanu wyciem dają znak swej obawy.

Ptaki widzą prawdopodobnie w aeroplanie groźnego rywala i trzymają się z oddalenia od niego. Czasem jednak uniesione gniewem, napadają na groźnego przeciwnika. Tak n. p. jastrząb napadł w Bretanji francuski balon „Falieres". Mimo, że znajdujący się w koszu balonu, obawiając się uszkodzenia kitajki, groźnym krzykiem odpędzali naiwnego ptaka, ciągle powtarzał swój napad na lecącą kulę, aż zanurzywszy pazury w powłokę zewnętrzną, nie mógł się już uwolnić. W ten sposób zyskali powietrzni podróżnicy rzadki okaz jastrzębia i to żywego. Ofiarowano go ogrodowi zoologicznemu w Rouen.

Podobne wypadki często się zdarzają. W północnych Włoszech usidlał się w ten sam sposób olbrzymi orzeł, któryby z pewnością uszkodził powłokę balonu, gdyby go jeden z uczestników jazdy nie położył trupem strzelając do niego z rewolweru.

Od poruszanych natomiast motorem aeroplanów uciekają ptaki. Obawiają się widocznie łoskotu, jaki sprawia poruszanie się skrzydeł śrubowych. Francuski pilot Delagrange miał jednak przygodę, która mogła dla niego smutnie się zakończyć.

Delagrange wyjechawszy z Ljonu spotkał w drodze gromadę szpaków, która nie ustępowała wcale zbliżającemu się aeroplanowi, tak, że tenże musiał sobie wśród gromady ptaków drogę torować. I tylko dzięki temu, że żaden z tych ptaków nie dostał się w koła obrotowe motoru, zawdzięczał swoje życie. Cały aeroplan był pokryty ciałami, piórami i krwią upartych ptaków. W podobny sposób zginęło mnóstwo jaskółek w czasie urządzanych często wzlotów w Reims.

* * *

**Ludność Austrji.** Centralna komisja statystyczna w Wiedniu ogłosiła prowizoryczne wyniki spisu ludności z dnia 31 grudnia r. z. Podług tych wyników obecna liczba ludności w Austji wynosi 28 567 898 głów, t. j. o 2 417 190 czyli 9,2 prc. więcej, niż w 1900 r. Wzrost jest o 2 prc. mniejszy, niż w poprzedniem dziesięcioleciu. Liczba domów wynosi 3 870 958 (przyrost 8,2 prc.). Ludność Galicji i Bukowiny wzrosła o 9,7 prc. Ludność Galicji wynosi 8 miljonów, Czech 6 760 000, Dolnej Austrji wraz z Wiedniem 3 500 000 głów.

## Kącik humorystyczny.

**Złośliwe pytanie.**

„Wczoraj byłem na zebraniu narodowców — mówił Korfanty — ale powiadam ci, Reichshalla była przepełniona, panował ścisk niemożliwy!" — Ależ dlaczegożto, czy wszystkie wyjścia były pozamykane?

**Rzadkie i zaszczytne odznaczenie**

spotkało znowu pana posła Wojciecha. Jak nam donosi fabrykant końskich kiełbasek pan Hanswurst, najnowszy gatunek kiełbasek, który poleca szczególniej na wszelakie uroczystości i zebrania katolikowców, nazwał „kiełbaskami Wojciecha".

**Bal dworski.**

Jego książęca mość polecił przedstawić sobie pewnego młodego oficera. Na pytanie panującego, kiedy się urodził odpowiada uszczęśliwiony lejtnant: 29 lutego 1884 roku. Jego książęca mość spogląda z zamysłem na oficera i mówi dobrodusznie: „O, mój kochany, to miałeś pan wielkie szczęście, że był to właśnie rok przestępny, inaczej bowiem nie mógłbyś pan zupełnie przyjść na świat!"

**Pewna starsza pani**

przychodzi do weterynarza: „Ach panie doktorze, czy nie mógłby mi pan przyprowadzić do zdrowia tej rybki?" przytem wyciąga słoik napełniony wodą ze zdechłą już prawie złotą rybką. Zdumiony weterynarz odpowiada po chwili namysłu: „Proszę zostawić rybkę, jutro może pani ją zupełnie zdrową otrzymać." Poszedł natychmiast do Barascha i kupił za 50 fenigów złotą rybkę. Wielce uradowana z otrzymanej zdrowej rybki pani pyta: „Co jestem panu doktorowi winna?" — „Pięć marek!"

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 14. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 8 kwietnia 1911.

## Robotnik i poeta.

(Z niemieckiego).

Idzie zgarbiony pracą
Z bliskiej fabryki cziek,
I wzrok zatapia we mnie —
Przepełny męki stek.

Ponury wygląd twarzy,
Sam sobie, zda się, kat —
Dłoń wzniósł — za czapkę chwyta —
Zwyczaj to starych lat...

I w płaszcz mój skłania oko,
Badawczo niby grot —
Ja idę coraz dalej,
On pałkę dobył w lot.

Wiem ja, co źre ci serce,
Myśl tę odgadłem sam:
„Żem z tych, co nic nie robią“ —
Ten to twej myśli kłam“.

„Jak ptak szybuje w koło,
Dobrze mu — nie ma fal,
Gdzie krew i pot się kąpią,
Gdzie krzeszem twardą stal“.

„Rajskiego szuka cienia,
Gdy nas pożera żar,
Gdy męka życia trawi,
Gdy zbliżam się do mar“.

„Ten trud ci stawiam w oczy,
Roboczej pracy los,
Za życie — żądam życia,
Za krew — śmiertelny cios!“

Przebaczam twojej myśli,
Srogo zraniłeś mię:
Chętnie przebaczam tobie —
Sądzisz na oko... — źle;

Ty nie znasz ducha męki
Ty nie wiesz, co myśl — trud,
Gdy sny mię czarne tłoczą,
Palą jak zimny lód.

Ty nie wiesz, co za ciernie
Niesie mi dzień w rosterce —
O, myśli, moja męko,
O, dygocące serce! —

Tłomaczył Crataegus.

M. GORKIJ.

## BAJKA.

„Najlepsze bajki to te, które tworzy samo życie.“

Andersen.

W Neapolu zastrejkowali pracownicy tramwajowi; przez całą długość Riviery Chiaja wyciągnął się łańcuch pustych wagonów, a na placu Zwycięstwa zgromadził się tłum kierowniczych i konduktorów, złożony z wesołych i hałaśliwych, ruchliwych jak wąż neapolitańczyków.

Nad ich głowami za sztachetami ogrodu połyska w powietrzu struga fontanny, cienka, jak szpada. Otacza ich wrogi tłum ludzi, którzy muszą jechać we wszystkie strony olbrzymiego miasta, i wszyscy ci subjekci, rzemieślnicy, drobni przekupnie, szwaczki — wymyślają gniewnie i głośno strejkującym. Rozbrzmiewają obelżywe słowa, złośliwe docinki i bez przerwy migocą w powietrzu ręce, któremi neapolitańczyk zwykł rozmawiać nie mniej wyraziście i krasomówczo, jak nieposkromionym językiem...

Z morza powiewa lekki wiatr, i olbrzymie palmy ogrodu miejskiego kiwają ciemno-zielonemi wachadłami, a ich pnie są dziwnie podobne do nóg potwornych słoniów i zdają się być wyciosane z kamienia. Chłopcy — półnagie dzieci ulic neapolitańskich — skaczą niby wróble, wypełniając powietrze donośnemi okrzykami i śmiechem.

Miasto, podobne do starego miedziorytu, zalane obficie gorącem słońcem — rozśpiewało się, jak organ. Modre fale zatoki biją miarowo o parapet kamienny, wtórząc pomrukowi i krzykom tłumu hucznemi razami — jakby się bęben odzywał.

Strejkujący tulą się jakoś do siebie, nie odpowiadając prawie na wzburzone okrzyki tłumu, wlażą na sztachety ogrodu, patrząc niespokojnie przez głowy ludzi na ulice. Podobni są do stada wilków, otoczonego przez psy. Jasnem jest, że ci ludzie jednakowo ubrani, związani mocno ze sobą postanowieniem niewzruszonem, że ci ludzie nie ustąpią. Rozdraźnia to tłum jeszcze więcej, lecz są śród niego filozofowie: spokojnie paląc swe cygara, przekładają oni zbyt popędliwym przeciwnikom strejku:

— Ech, proszę signora! A cóż mają począć, gdy nie starcza dzieciskom na makarony?

Agienci policji municypalnej stoją w grupach — po dwuch, trzech ludzi spokojni, elegancko ubrani, przestrzegają, by tłum nie tamował drogi powozom. Są ściśle neutralni, obserwując z jednakowym spokojem napastujących

i napastowanych i drwią dobrodusznie z jednych i drugich w chwilach, gdy giesty i okrzyki stają się zbyt gorące. Na wypadek starć poważniejszych w wązkiej uliczce, wzdłuż ściany domów stoi oddział karabinjerów, z wiotkiemi a lekkiemi karabinami w ręku. Jest to grupa ludzi o kapeluszach trójkątnych, krótkich czarnych płaszczach i czerwonych pasach na spodniach.

Nagle przekleństwa, drwiny, dowodzenia i zarzuty milkną i ponad tłumem przenosi się jakiś powiew nowy, jakby godzący tych ludzi. Strejkujący stają się bardziej ponurzy i bliżej się zwierają ich szeregi, a w tłumie rozlegają się głosy:

— Żołnierze!

Słychać złośliwe i tryumfujące gwizdanie pod adresem strejkujących, rozbrzmiewają okrzyki powitania w stronę żołnierzy, a jakiś otyły człowiek w szarym ubraniu i w „panamie“ puszcza się w pląs, ciężko tupiąc obcasami po bruku. Konduktorzy i kierowniczy przeciskają się powoli przez tłum, dążąc ku wagonom. Niektórzy włażą na platformy; wyglądają jeszcze więcej ponuro i w odpowiedzi na wrogie okrzyki odcinają się groźnie, zmuszając, by im ustąpiono z drogi. Gwar milknie. Ciszej. Wrogi tłum, rozcięty i podzielony na grupy przez strejkujących, zda się, zaraził się od nich jakimś nowym nastrojem mniej hałaśliwym, a bardziej ludzkim.

Z ulicy nadbrzeżnej „Santa Lucia“ idą małe, szare żołnierzyki, miarowo odbijając krok i wymachując mechanicznie rękami. Wydaje się, że są to blaszane, kruche zabawki nakręcone. Prowadzi ich piękny, wysoki oficer o brwiach nachmurzonych i pogardliwie wykrzywionych ustach. Obok niego biegnie w podskokach gruby jegomość w cylindrze i ciągle mu coś tłomaczy, przecinając niezliczonemi giestami powietrze.

Tłum cofa się od wagonów, i wzdłuż nich, jak szare paciorki, rozsypują się żołnierze, zatrzymując się przy platformach. A na platformach stoją strejkujący.

Człowiek w cylindrze i otaczający go jacyś ludzie krzyczą, rozpaczliwie wymachując rękami:

— Po raz ostatni... Ultima volta! Słyszycie?...

Oficer pokręca wąs z wyrazem znudzenia. Podbiega doń ów człowiek, wznosząc wysoko cylinder i coś krzyczy zachrypniętym głosem. Oficer patrzy z ukosa, prostuje się rozszerza pierś — i rozlegają się głośne słowa komendy.

Wówczas żołnierze jęli skakać na platformy wagonów — po dwuch na każdą, a stamtąd jednocześnie poczęli się sypać kierowniczy i konduktorzy.

Wydało się to śmiesznem tłumowi — wybuch ryk, śmiech i gwizdanie — lecz nagle zgasł i ludzie w milczeniu, o twarzach ściągniętych i zestarzałych, o wytrzeszczonych ze zdumienia oczach poczęli się tłoczyć ciężko, zwartą masą w stronę pierwszego wagonu.

I dało się widzieć, że o dwa kroki od kół, w poprzek szyn leży kierowniczy z twarzą starego żołnierza, bez czapki na siwej głowie. Leży piersią do góry, a wąsy jego sterczą groźnie ku niebiosom. Obok — rzucił się na ziemię jakiś młodzieniaszek, zwinny, jak małpa, a za nim, nie spiesząc, kładną się na tor coraz to inni ludzie.

Tłum huczy głucho, odzywają się lękliwe głosy, wzywające Madonnę, niektórzy rzucają ponure przekleństwa, kobiety jęczą piskliwie, i jak piłki gumowe skaczą wszędzie olśnieni widowiskiem ulicznicy.

Człowiek w cylindrze woła coś głosem łkającym, lecz oficer patrzy nań i wzrusza ramionami: powinien on dać swych żołnierzy na miejsce kierowniczych, lecz walczyć ze strejkującymi — na to nie ma rozkazu.

Wówczas pan w cylindrze, w gronie ludzi, jemu nadskakujących, rzuca się w stronę karabinjerów. Ci poruszyli się, podchodzą, nachylają się ku leżącym na szynach, chcąc ich podnieść.

Wszczęła się walka, szamotanie, lecz raptem — szary okryty kurzem tłum widzów drgnął, zawył, zahuczał, rzucił się ku relsom — człowiek w „panamie“ zerwał ją, podrzucił w powietrze i pierwszy padł na ziemię obok tramwajarza strejkującego, krzycząc mu prosto w twarz wielkim głosem wyrazy otuchy.

A za nim poczęli się walić — rzekłbyś, że podcięto im nogi — jacyś ludzie weseli, szumni, którzy nie byli tu jeszcze przed chwilą. Rzucali się na szyny ze śmiechem, wykrzywiali dziwacznie twarze i coś krzyczeli do oficera. A ten pertraktował z panem w cylindrze, kiwając mu pod nosem rękawiczką, uśmiechając się i wstrząsając piękną głową.

I sypnęli się na tor tramwajowy ludziska. Kobiety rzucały swe kosze i jakieś zawiniątka, ulicznicy padali z wybuchami śmiechu, zwijając się w kłębek, jak psy zmarznięte — i tarzali się w pyle, z boku na bok się przewalając, ludzie dobrze ubrani.

Pięciu żołnierzy patrzyło z platformy pierwszego wagonu na kupę ciał pod kołami. Patrzyli i wybuchali śmiechem, załaczając się i wychylając, nie mogąc ze śmiechu utrzymać w równowadze głowy — nie byli już teraz podobni do nakręconych zabawek...

. . . Za pół godziny toczyły się wagony z piskiem i zgrzytem przez Neapol — a na platformach stali zwycięzcy, wesoło się uśmiechając. I wzdłuż wagonów też chodzili zwycięzcy, pytając grzecznie:

— Billetti?!

Wyciągają ludziska do nich kartki czerwone i żółte, mrugają, uśmiechają się i pomrukują dobrodusznie.

Przełożył Adam S—ski.

# Z przeszłości przemysłowego robotnika górnośląskiego.

## Szkic historyczno-ekonomiczny.

Napisał Emil Caspari.

(Ciąg dalszy.)

Niska stopa życiowa ludności robotniczej, niskie zarobki, nie zezwalające na należyte odżywianie się pożywną strawą, wycieńczenie zatem przy ciężkiej pracy organizmów rodziców, osłabione już przez to organizmy dzieci, również następnie źle odżywianych i na dobitkę zmuszonych we wczesnym wieku chwytać się niestosownej pracy po kopalniach i hutach, musiały robić, działając stale, z pokolenia na pokolenie, swoje. Jak już kilkakrotnie zaznaczyliśmy, ludność przy tak niesprzyjających warunkach musiała ulegać degeneracji. Bezwzględne panowanie kapitału, goniącego za zyskami, nie miało żadnego względu na dobro ogółu, zasada wolnej konkurencji w życiu gospodarczem święciła zwycięski swój pochód z jednej strony wprawdzie niesłychanym rozkwitem przemysłu, z drugiej natomiast stratowaniem całych pokoleń robotniczych, wprzężonych w gniotące jarzmo orki codziennej od świtu do zmierzchu, zgnębieniem w tych masach wszelkich odruchów człowieczeństwa. Kapitalizm na Górnym Śląsku, krocząc, jak i wszędzie, po przez nieuniknione lata zastoju, kryzysów gospodarczych, stale naprzód, smagał podległą i zależną odeń ludność robotniczą biczem wyzysku i ucisku, doprowadzonego do potwornych rozmiarów. Masa robotnicza znoiła się, padając tysiącami ofiar na pobojowisku pracy, tak została zgnębioną i przytłoczoną, że wszelkie uczucie odporu przeciwko bezwzględności kapitału zostało w niej na długie lata wytrzebionem!

Monografja zarządu knapszaftu tarnogórskiego opisuje w ten sposób stosunki mieszkaniowe:

„Stosunki mieszkaniowe pozostawiają niejedno wymagane przez hygjenę życzenie niespełnionem, o tyle, że mieszkania zazwyczaj nie są podsklepione, często są bez podłóg, bez wystarczającej pojemności powietrza i wentylacji, którą mieszkańcy często sztucznie umieją udaremnić. Dzięki życzliwym (?!) wpływom właścicieli zakładów i przykładowi, jaki dany został przez budowle tych ostatnich, następuje i tutaj z roku na rok postęp ku lepszemu. Na miejsce poprzednich drewnianych, pokrytych wiązkami słomy mieszkań z popobnymi do luk otworami okien i z izbami zaledwo przekraczającymi wysokość człowieka, które jednocześnie służyły jako pokój mieszkalny i sypialny, jako kuchnia i

komora do zapasów, i w którem lepiej uposażony robotnik chował szczeciniaste czworonożne stworzenie, które mu w uroczystych chwilach dostarczało delikatesów, wznoszą się dziś w długich rzędach, w bardziej lub mniej zdrowem położeniu, kolonje masywnych domów, dla 2—4 rodzin, w których każda rodzina ma conajmniej jeden pokój mieszkalny oprócz komory i kuchni."

Mieszkania te budowane były przez zarządy zakładów bądź własnym kosztem i odnajmowane za miernym, wynoszącym 2 proc. od sumy, zużytej na zbudowanie, czynszem dzierżawnym, bądź też dawano robotnikom dla własnego wybudowania się bezpłatnie plac i oprócz tego pewną zaliczkę, która po pewnym czasie amortyzowała się.

„Korzystniejsze warunki mieszkaniowe — powiada monografja — zrobiły górnośląską ludność robotniczą nietylko zasiedziałą, polepszyły znacznie jej położenie materjalne, podniosły ją normalnie, lecz też poczynają zwiększać jej potrzeby kulturalne, jeśli nawet te często rozwijają się w wadliwych kierunkach."

Naturalnie, że monografja zarządu knapszaftu przedstawia w ten sposób jedną tylko stronę medalu, zamilczając o drugiej, że te „pańskie" kolonje robotnicze miały zarazem za cel jeszcze większe skrępowanie ludności robotniczej, uzależnienie jej w stopniu jeszcze bardziej wzmożonym przedsiębiorców!

Ciężkie warunki pracy górniczej powodują, że ludność górnicza podlega z łatwością rozmaitym chorobom. Według statystki zarządu knapszaftu tarnogórskiego, obejmujące 10 letni okres (1872—1881), na 1000 zabezpieczonych członków przypadało w przecięciu rocznem 305 wypadków zachorowania. Podczas gdy w pierwszych 5 latach od 1872 do 1876 r., było na każde 1000 członków 262 chorych, to już w następnych 5 latach liczba ta podniosła się do 339. Przyrost ten — wyjaśnia owa monografja — należy przedewszystkiem zapisać na rachunek chorób ogólnych i zakaźnych, oraz chorób organów oddechowych. Z chorób ogólnych szczególnie należy wyróżnić reumatyczne dolegliwości, z chorób zakaźnych tyfus. W przecięciu 10 letniem chorowało pomiędzy innemi na każde 1000 członków: na reumatyzm mieśni 46,5 na tyfus 11,6, na febrę 9,1, na choroby organów oddechowych 45,2. Ostatnie te choroby związane są z warunkami pracy górników w podziemiach, w ciągłej prawie wilgoci, w przeciągach, w powietrzu pełnem szkodliwych gazów i pyłu; choroby te często powodują przedwczesne wycieńczenie i niezdolność do pracy.

Co się tyczy specjalnie chorób infekcyjnych, zakaźnych, to rzadko kiedy który rok, pomijając epidemje szkarlatyny i żarnic pomiędzy dziećmi, był — i powiedzmy sobie: jest dotychczas — wolny od epidemji. Obfitemi źródłami powstawania i rozszerzania się chorób epidemicznych, powiada owa monografja, są gęstość zaludnienia, stosunki mieszkaniowe i niezaradność robotników coraz bardziej uczuwać się dający w ostatnim czasie brak wody, złe środki spożywcze.

Ospa w owem dziesięcioleciu grasowała w latach 1871 i 1872, kiedy z 1000 członków kasy brackiej chorowało na nią 10,7. W następnych dwuch latach, 1873 i 1874, panoszyła się w obwodzie przemysłowym cholera azjatycka. Z 1000 członków knapszaftu chorowało na nią w obydwu tych latach 2,1 względnie 7,1.

Rzadko kiedy w obwodzie przemysłowym wygasał tyfus w rozmaitych swoich postaciach, jako tyfus plamisty lub brzuszny. Najbardziej szerzył się w latach 1873 i 1874, kiedy na 1000 członków knapszaftu chorowało nań 13. W roku 1877 był obwód przemysłowy znowu widownią wielkiej epidemji tyfusu brzusznego, na który chorowało aż 16,4 z 1000 członków kasy brackiej.

Przechodząc do statystyki śmiertelności, widzimy z dołączonej do monografji tablicy, że w przecięciu 10-letniem umierało co rok na 1000 członków knapszaftu 10,7, mianowicie 8,1 wskutek chorób i 2,6 wskutek odniesionych przy pracy nieszczęśliwych wypadków. Zwiększona śmiertelność w latach 1874 i 1877 była w pierwszym roku następstwem cholery, w drugim zwiększonej epidemji tyfusu brzusznego.

Co się tyczy wypadków inwalidztwa, t. j. niezdolności do pracy, to w 10 latach uznanych zostało 3672 członków czyli 8,8 na każde 1000 za niezdolnych do pracy. Wskutek chorób stało się inwalidami 6,3, wskutek nieszczęśliwych wypadków 2,5 na 1000 członków knapszaftu. Liczba inwalidów od r. 1873 znacznie się powiększyła: podczas gdy w tym roku wynosiła ona tylko 5,5 na 1000 czynnych członków, to w następnych latach wzrosła prawie do 10, a w r. 1878 nawet do przeszło 12 i ostatecznie w r. 1881 spadła znowu 10,9 na 1000. Przeciętny wiek przyjętych w owem dziesięcioleciu do kasy brackiej pełnoprawnych członków wynosił 25,8 lat, członków uznanych za inwalidów 49,4 lat, a w r. 1881 nawet już tylko 48,5 lat. Po niespełna więc 22 latach pracy górnik stawał się przeciętnie inwalidą, a że był członkiem kasy brackiej, więc miał pono ostatnie lata ciężkiego żywota, spędzonego bez wytchnienia w pracy nieustannej, zabezpieczone, bo przeciętnie jeszcze przez 6,7 lat kiedy nareszcie na zawsze zamykały się jego powieki i ułożono go do wiecznego spoczynku, pobierał rentę „sutą", bo poczynającą się w drugiej klasie od 5,70 mk. a kończącą się po 50 latach służby kopalnianej na 25 markach miesięcznie. W trzeciej klasie renta taka poczynała się od 4,20 mk. i po takim samym przeciągu czasu kończyła się na 18,75 mk.! Za sterane siły na służbie kapitału miał górnik inwalida królewską pensję, bez troski mógł spoglądać na resztę lat swego ziemskiego bytowania! Mógł umierać z tem błogiem przeświadczeniem, że kapitał niemniej czułą opieką otoczy i wdowę i sieroty po nim! Zapomoga wdowia w drugiej klasie poczynała się od 3,40 mk. a kończyła się na 15,60 mk. miesięcznej, w trzeciej klasie poczynała się od 2,50 mk. a kończy się aż na 11,70 mk.

Oprócz tego dzień w dzień padały na krwawem pobojowisku pracy w górnictwie liczne ofiary. W okresie 6 letnim (1876—1881) było 634 wypadków śmierci, 5246 innych nieszczęśliwych wypadków, ogółem wszelkich wypadków 5880! Zaznaczyć przytem trzeba, że w latach 1876 i 1877 liczono wszystkie te wypadki, które pociągnęły za sobą conajmniej 8 dni choroby, od roku 1878 już tylko te, kiedy choroba trwała conajmniej 28 dni. Na 1000 członków knapszaftu było wypadków śmierci w roku 1876: 3,0, 1877: 2,5, 1878: 2,8, 1879: 3,0, 1880: 2,5, 1881: 2,6, wogóle w okresie 6-letnim na kopalniach węgla kamiennego 3,1, na kopalniach kruszców 1,4, razem w całem górnictwie 2,8.

Natomiast na 1000 członków było wogóle nieszczęśliwych wypadków (z wymienionemi powyżej ograniczeniami): w roku 1876: 34,5, 1877: 40,0 1878: 20,9, 1879: 20,5, 1880: 20,2 1881: 18,2. Taki haracz w ofiarach przy pracy składali górnicy górnośląscy, wprzężeni do ciężkiej taczki harowania po kopalniach!

Nie wesołe było zatem życie robotników górnośląskich. Póki ceny niezbędnych artykułów żywności nie stały wysoko, umierali oni z głodu powoli, lecz kiedy niepogody, wczesne mrozy, zbytnia susza lub zewnętrzne wpływy zaszkodziły urodzajom, wtedy nieubłagana śmierć masowo ich przetrzebiała.

Lata 1879—1880 były takiemi złemi latami nieurodzaju. Póki górnośląscy robotnicy umierali po cichu z nędzy, wycieńczenia i głodu, zwracano na nich mało uwagi. Teraz nareszcie zbyt częste wypadki śmierci zaczęły niemile obijać się o uszy burżuazji. Musiała ona pokazać, że ma serce. Posypały się opisy nędzy górnośląskiej, okropności głodu, epidemicznie grasującego głodowego tyfusu. Rząd nawet pomyśleć obiecał o losie ginących z głodu. Na pobożnych zamiarach i westchnieniach przeważnie się jednak skończyło.

Jakoż wkrótce rząd burżuazyjny pokazał, jakie ma dobre i czułe serce względem robotników, których nędza doprowadziła do rozpaczliwego kroku.

W kilku miejscowościach pomiędzy ludnością robotniczą doszło do rozruchów. Rozleglejsze rozmiary przyjęły zaburzenia górników w Radzionkowie na kopalni fiskalnej. Doprowadzone do ostateczności masy pracujących w tej miejscowości obległy domy urzędników, potłukły okna, rozbiły kasę, a przytem ucierpiały niektóre ze znienawidzonych osobistości.

Naturalnie rozpoczęło się śledztwo, „winnych pociągnięto do odpowiedzialności przez sąd przysięgłych w Bytomiu. Oskarżonych było przeszło 40, między nimi kilka kobiet i

młodzieży, nie mającej lat 18. Dnia 13 czerwca 1880 r. przysięgli wydali werdykt, potępiający znaczną część oskarżonych. Sąd skazał 32 osoby na 4 i pół roku więzienia zwyczajnego i 7 lat domu karnego, prócz tego kilku na paromiesięczne kary.

(Ciąg dalszy nastąpi).

## Rozmaitości

**Swięto praczek w Paryżu.** Tegoroczne święto praczek w dniu Demi-Careme (23 marca), które obchodził cały Paryż, wypadło bardzo pięknie. Przy cudownej wiosennej pogodzie przewinął się przez bulwary tłum kilkuset tysięczny, a królowe praczek, które, nawiasem mówiąc, zbytnią urodą nie grzeszyły, odbierały przejeżdżając w powozach przepięknie kwiatami ubranych, należne w tym dniu hołdy. Niechęć ku Niemcom i tym razem się objawiła satyrą balonu Zeppelina, podczas gdy w czasie całego pochodu majestatycznie się wznosił balon francuski. Confetti zużyto podczas uroczystości w niezliczonej ilości. Bulwary były niemi tak wysłane, że wprost po kostki w nich się grzęzło.

* * *

**Smierć „króla srebra".** W Nowym Jorku zmarł miljarder, posiadający aż 100 kopalń srebra, Dawid Moffat. Był typowym amerykaninem self made man. Rozpoczynał karjerę jako chłopiec do posług w banku w Denver. Swym sprytem i wielką pracowitością zwrócił uwagę jednego z dyrektorów, który go zrobił kasjerem, mimo, że Dawid miał zaledwie lat 17. — Z nowych obowiązków wywiązywał się tak chlubnie, że wkrótce przypuszczono go do spółki. Nie zrażały go żadne przeciwności, gdy go na samym początku rabusie ograbili na 50 000 dolarów; zabrał się do pracy z większym jeszcze zapałem i po paru latach cały ten fundusz odzyskał. — Nabywszy 12 osłów, wyruszył na poszukiwanie srebra. Szczęście mu służyło. Odkrył kopalnie, które stały się źródłem jego bogactw. Doszedłszy do miljonów, miewał cudaczne pomysły, i tak naprzykład, pewnego dnia zaprosił służącą i portjera, aby z nim odbyli podróż do Europy, cały statek wynajął i na tę ekspedycję wydał sumy olbrzymie. Do spraw publicznych nie mieszał się wcale, dowodząc, że ma co lepszego do roboty; słynął jednak z filantropji.

* * *

**Ile jest gwiazd na niebie?** Jedno z fachowych pism niemieckich podaje ciekawą statystykę gwiazd. Z zestawień tych okazuje się, że do r. 1910, skatalogowano 105153460 gwiazd, w tem 21 pierwszej wielkości. Zauważono dotąd wogóle 15 gwiazd, które zabłysły i zgasły po paru dniach świecenia. Około 200 gwiazd ma siłę światła zmienną i to przeważnie okresowo zmienną. Nieuzbrojonem okiem można widzieć gwiazdy do 6 wielkości. Ogółem widzimy tedy według ostatnich obliczeń 7647 gwiazd, nie licząc „drogi mlecznej". Większość gwiazd świeci światłem białem luh żółtawem. Gwiazdy gasnące płoną różowo, z nich najkrwawiej gwiazda „mi" w Cepheusie, zwana u Herschla „garnet star". Najjaśniejszą jest na południowej tylko półkuli ziemskiej widzialna konstelacja „Krzyża Południa". 25 miljonów gwiazd posiada siłę światła $2^1/_3$ miljona razy mniejszą od światła Wegi. Są to najsłabsze gwiazdy 17 wielkości, które dotąd najlepszymi dalekowidzami zostały spostrzeżone.

* * *

**Doniosły wynalazek.** „Frankfurter Zeitung" donosi o epokowym wynalazku, który może wywołać zupełny przewrót w dziedzinie telegrafu i telefonu bez drutu.

Wynalazcą jest docent politechniki w Darmsztadzie dr. Goldschmidt, ktory się od wielu lat zajmuje tego rodzaju doświadczeniami.

Słabemi stronami telegrafu bez drutu są ciągle: ograniczona odległość stacji, która zazwyczaj wynosi zaledwo parę set kilometrów i niepewność fal, przesyłających telegramy, zbyt zawisłych od zewnętrznych wpływów.

Podobnie jak przy falach w wodzie, wywołanych wrzuconym kamieniem, fale w powietrzu stają się coraz bardziej płaskie i dłuższe, wysokość zaś rozmachu łatwo się zmniejsza, tak samo szerokość, jak się mówi technicznie, fale stają się przytłumionemi.

Otóż dr. Goldschmidt próbował teraz zamiast fal przytłumionych wytworzyć i zastosować fale nieprzytłumione.

Telegrafowaniem za pomocą fal nieprzytłumionych zajmował się już duński fizyk Poulsen w styczniu r. 1908, mianowicie falami, które powstają nie w drodze wyładowania iskier, tylko stałego łuku świetlnego. I w owym to czasie powiodło się też Poulsenowi prowadzić rozmowy telefoniczne bez drutu na odległość 400 klm., telegrafować zaś na przestrzeni 2400 klm. Nowy wynalazek Goldschmidta polega także na zastosowaniu fal nieprzytłumionych, które jednak powstają nie tak jak u Poulsena przez stały łuk świetlny, lecz drogą mechaniczną. Chodzi tu więc poprostu o fabrykację fal za pomocą maszyn.

Dotąd już zastosowywano na stacjach telegrafu bez drutu zwykłe dynamomaszyny, dostarczające jednak tylko zwykłego prądu elektrycznego, który dopiero przez inne jeszcze aparaty wprowadzał do fal iskry elektryczne, co przy nowej maszynie odpada. Wytwarza ona odrazu prąd o tego rodzaju zaletach, że bez wszystkich aparatów da się podrucie w górę skierować i potem nieprzytłumione fale elektryczne w dal wysyłać. Wobec tego, że maszyna ta wytwarza większą masę energji, można nią także szerokość fal znacznie powiększyć. Teoretycznie system falowy da się nawet dookoła całej kuli ziemskiej obesłać.

Wynika z powyższego, że zastosowywany dotąd system kablowy okaże się w bardzo niedalekiej już może przyszłości zupełnie zbytecznym i że sposób czerpania wiadomości zamorskich wejdzie na zgoła inną drogę.

Sfinansowaniem i praktycznem zastosowaniem wynalazku dr. Goldschmidta, ma się zająć akcyjne Towarzystwo „Lorenz" w Berlinie.

* * *

**Uczony japoński o dżumie.** Były asystent słynnego bakterjologa, prof. Kocha, dziś jeden z najwybitniejszych uczonych japońskich, prof. Kitasato, wypowiedział przed korespondentem „New York Heralda" swoje poglądy na obecną epidemję dżumy w Syberji, Mandżurji i Chinach. Jest on przekonany, że dżumy nie rozwlokły szczury, lecz mongolscy handlarze futer. Tylko dżuma dymnicowa bowiem rozszerza się przez muchy i szczury, natomiast zakażenie przy dżumie płucnej następuje wyłącznie przez wydzieliny. Bakcyl płucny przenosi się tylko przez bezpośrednie zetknięcie z organizmem ludzkim, a nie przez powietrze. Symptomy dżumy płucnej objawiają się w dwa do pięciu dni po zakażeniu. Nadzieja wyzdrowienia jest wyłączona, chyba, że serum przeciwdżumowe zastosowano już przed okazaniem się symptomów. Prof. Kitasato wątpi najzupełniej, żeby się obecną dżumę w Mandżurji i Chinach udało stłumić, gdyż nie wiedzieć, jak się od niej chronić i niepodobieństwo jest chorych całkiem odosobnić. Kitasato sądzi też, że obecna epidemja przybierze takie same rozmiary, jak straszliwe dżumy ubiegłych stuleci w Europie, które również występowały jako dżuma płucna. Prof. Kitasato przestrzega cudzoziemców w Chinach przed mniemaniem, jakoby europejczycy nie ulegali zarazie. Fakt, że dwuch lekarzy europejskich umarło niedawno w Antungu, przeczy niezbicie temu błędnemu mniemaniu. Jeżeli dżuma w Charbinie rozszerza się stosunkowo powoli, to przypisać to należy lepszym warunkom hygjenicznym w tem mieście. Kitasato wyraża wreszcie pewność, że dżumę płucną w Japonji, gdyby wtargnęła, stłumiłby w przeciągu miesiąca, gdyż stosunki hygjeniczne są tam bardzo dobre, gdy tymczasem w Chinach mógłby się tego podjąć w takim tylko razie, gdyby miał za sobą nieograniczoną władzę i uzbrojoną armję.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 15. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 15 kwietnia 1911.

## Zmartwychwstanie

(Z niemieckiego).

„Zmartwychwstanie!“ Biją dzwony
Na dzień wielki Pana:
„Chrystus — Ludzkość powstał z grobu,
Moc kajdan zerwana...“

Jemu Miłość, Wolność świata,
Równość z ust się rwały:
„Śmierć mu za to!“ krzyż wśród łotrów
Dla wieczystej chwały...

Dziś jak ongi: kto wszechmiłość
Głosi pośród braci —
Nim grób złamie — moc brutalna
Na krzyżu go traci...

MAKSYM GORKIJ.

## WIELKANOC.

Było to wieczorem przed Wielkanocą. Noc zapadła na milczącą ziemię, która przez cały dzień pieściła słońce wiosenne. Później podniosła się mgła, która w łagodnym blasku gwiazd lśniła jak srebro. Hen naokoło spoczywało wszystko w głębokiej ciszy.

Prowincjonalna mieścina W., otulona wilgotną, chłodną mgłą, oczekiwała chwili, w której z wysmukłych wież dzwonnic zabrzmią pierwsze dźwięki. Nie panowały tu jednak cisza i spokój snu. W ciemności i w cieniach zamarłych, cichych ulic panowało jakby wytężone wyczekiwanie.

Ponad miastem i okolicą unosiło się tchnienie odrodzenia i życia nowego. Księżyc skrył się za chmury, a miasto leżało w cieniu wzgórza, na którem wznosił się posępny, wrogi wszystkim budynek. Ciemne, nieregularne kontury tej budowli odbijały ostro od tła jasnego nieba. Stara zmurszała brama, ginęła prawie wśród ciemnych murów, a wieże końcowe sterczały jak upiory w powietrzu.

Nagle rozległ się z wysokich wieżyc dzwonnicy pierwszy dzwon i zginął w ciszy nocnej... Następnie drugi, trzeci, i ze wszystkich wież rozdzwoniły dzwony; tony ich łączyły się w jedną harmonijną całość, w uroczystą melodję, napełniając daleki firmament nieba wspaniałymi akordami.

Naraz doleciał z wysokiej budowli na wzgórzu słaby dźwięk. Nikły i załamany usiłował on dorównać swoim braciom podniesieniem głosu i wraz z nimi śpiewać wspaniałą pieśń radości, miłości i miłosierdzia ludzkiego. Daremnie jednak! Drżąc, upadał on stopniowo coraz niżej i niżej i pobrzękując cicho, zamierał w powietrzu...

Muzyka dzwonów umilkła. Już dawno wzniosły się dźwięki ku wyżynom, ciągle jednak jeszcze szły ciche tajemne echa, jak milczenie struny tajemniczej. W domach panowały ciemności, tylko okna kościołów świeciły jasnem światłem.

Czarna brama starej budowli na wzgórzu rozwarła się. Do posterunku od zachodniej strony przybliżył się rekrut, aby zmienić wartę. W ruchach jego można było zauważyć chłopską niezgrabność, jego młodociana twarz miała cechy nowicjusza, który poraz pierwszy podjął się roli odpowiedzialnej.

Obrócił się twarzą ku murom i sprezentował broń. Dwa kroki postąpiwszy naprzód, zbliżył się w stronę tego, którego musiał zastąpić. On dał mu lekkiem kiwnięciem głowy odpowiedź i udzielił potrzebnych wskazówek.

— „Tam i napowrót chodzić, uważać! Nie spać!“ — rzekł prędko, podczas gdy rekrut słuchał jego nabożnie. „Zrozumiałeś?“ — zawołał. Drugi odparł na to: „Według rozkazu“ i miarowym krokiem znikł za węgłem. Wraz z tem umilkły odgłosy kroków odchodzącego.

Rekrut zarzucił broń na ramię i począł chodzić tam i napowrót...

— — — — — — — — — — — — — —

Wewnątrz w więzieniu wszczął się ruch niezwykły z ostatnim dźwiękiem dzwonu — jak gdyby rzeczywiście wolność swój pochód na ziemię odbywała. Pootwierano wszystkie cele i mieszkańcy ich w długie szare kitle przybrane wyruszyli parami, przechodząc długi korytarz w kierunku ku oświetlonej jasno kaplicy. Przybywali z prawej i z lewej strony, z górnych i dolnych pięter, a w dudnieniu ich regularnych kroków słyszało się brzęk kajdan i postukiwanie broni o posadzkę...

Przy wchodzeniu do kaplicy rozproszyła się ta blada gromada ludzi, wynędzniałych w okratowanych klatkach, i umilkła.

— — — — — — — — — — — — — — —

Więzienie puste, tylko po kątach cel pojedyńczych mrucząc, kroczą tam i z powrotem więźniowie, zatrzymując się od czasu do czasu przy drzwiach, by pochwycić żądnem uchem odgłosy śpiewów dalekich...

Tam również znajduje się cela, w której na twardem łożu więziennem leży rozciągnięty chory więzień. Dozorca, którego powiadomiono o chorobie jednego z więźniów, podszedł do niego w czasie, gdy drugich prowadzono do kaplicy i nachylił się nad nim, by mu zajrzeć do — oczu, które błyszczały w gorączce i z osłupieniem wpatrywały się w przestwór.

— Iwanow! He, Iwanow! — zawołał dozorca. Chory jednak nie ruszył się, wydając niezrozumiałe dźwięki.

Głos jego rozbrzmiewał surowo i ochryple, a wyschłe z gorączki wargi otwierały się z trudnością.

— Jutro do szpitala! — mruknął dozorca, opuszczając duszną celę i zostawiając strażnika u drzwi. Ów przyjrzał się uważnie choremu i rzekł, kiwając głową: „Hej, ty włóczykiju, co będzie z tobą?“

Przekonany, że tu nic do pilnowania niema, odszedł ku zamkniętym drzwiom kaplicy, by wysłuchać kazania, przyczem od czasu do czasu nachylał się, by ziemię ucałować.

Ciszę w niestrzeżonej celi przerywał od czasu do czasu szept gorączkowy chorego. Był to mężczyzna w pełni sił i wieku, a na obliczu jego odbijała się nędza, którą przecierpiał. Był on igraszką srogiego losu. Tysiąc mil przewędrował, głębokie doliny, wysokie góry, tysiące niebezpieczeństw zaglądało mu do oczu, cierpiał głód i pragnienie, gorąco i zimno, pędzony jedynie płomiennem pragnieniem ujrzenia raz jeszcze nędznej wioszczyny, gdzie się urodził, jedynie tą nadzieją podtrzymywany, by między swoimi bodaj miesiąc, tydzień, dzień bodaj jedyny przepędzić, w domu pobyć i odetchnąć powietrzem ojczystem. Niech się potem co chce dzieje — choćby miał ponownie podróż daleką na Sybir odbyć. Ledwie sto mil od upragnionego celu jego życzeń był oddalony, gdy go kundle policyjni schwycili i wtrącili do więzienia.

Nagle zmieniły się rysy chorego; oczy jego rozwarły się szeroko, pierś oddychała swobodniej... jasne obrazy przesunęły się w wyobraźni przez jego duszę...

Las szumi. On zna ten szum, ów wolny, śpiewny pogwar; rozumie on mowę lasu i jego drzew: majestatycznie przemawia jodła królewska, której zielony szczyt ku niebiosom się wznosi, sosny szepcą cichutko, a liściaste drzewa poruszają, igrając liśćmi swe milczące gałęzie i drżą trwożliwie liście osiki. Wolny ptak w powietrzu roznosi i raduje się, strumyk spływa wesoło po kamieniach i wysoko, hen w górze w powietrzu towarzyszą gromady ptaków przelotnych — jemu zbiegowi z syberyjskich kopalń, błądzącemu obecnie w niedostępnych lasach.

Niby tchnienie wiosny szemrze coś naokoło więźnia... Wyprostowuje się i oddycha ciężko, oczy z natężeniem rozglądają się dokoła...

Nagle zaczynają oczy jego błyszczeć radością: on, włóczęga, zbieg, on widzi coś przed sobą, czemu sam uwierzyć nie może — widzi drzwi otwarte!

Potężne pragnienie wolności dodaje mu sił, by mógł się otrząsnąć z osłabienia. Gorączkowe widma znikają natychmiast wobec obrazów, które powstają przed jego chorym, lecz nadzieją przepełnionym umysłem, gdy siebie samego widzi wobec drzwi zupełnie otwartych...

Zdawało się, że dzika gorączka nurtująca ciało chorego, skupiła się w jego oczach...

Wtem uchylił ktoś drzwi kaplicy i odźwięki dalekiego przejmującego śpiewu doszły do jego ucha by wnet znowu zamilknąć. Na bladem obliczu zbiega pojawił się wyraz wielkiego rozrzewnienia, oczy napełniły się łzami i przed duszą jego wynurzył się obraz, który mu już kilkakrotnie ukazywał się: cicha, jasna noc gwiaździsta, szemranie świerków, które swoje ciemne wierzchołki jakby w obronie nad rodzinnem jego miejscem rozpostarły; szereg znajomych, ogień wielkanocny nad brzegiem rzeczułki i tenże sam śpiew; — on zaś spieszy, by wszystkie te obrazy móc zobaczyć w rzeczywistości w domu wśród swoich...

Dozorca więzienny klęczał u drzwi kaplicy, zatopiony w modlitwie.

— — — — — — — — — — — — — — —

Ustawicznie przechadzał się młody rekrut z bronią na ramieniu tam i z powrotem na posterunku. — Przed nim zaś rozciągała się daleka równina, z której śnieg niedawno stajał. Zimny wiatr poruszał wysokie, ciche ziele stepowe, które tajemniczo szemrało, budząc w sercu młodego żołnierza smutne, tęskne myśli...

Przystanął, oparł się o mur i postawiwszy broń na ziemię, oparł się o nią i oddał się bolesnym rozmyślaniom.

Nie mógł tego jeszcze należycie pojąć, dlaczego on tu właściwie się znajduje, podczas tej świętej uroczystej nocy, z bronią w ręku z wzrokiem utkwionym w pustą równinę.

Młodą jego duszę przepełnia smutek i ta niepojęta trwoga, która go wszędzie prześladuje, każdy uczynek rozważać każe, krępując wolną naturę młodego chłopca wiejskiego w więzy posłuszeństwa dyscypliny wojskowej i srogiej służby.

Oto jest sam. Przed nim goły horyzont rozciąga się i szum wiatru w wysokiej trawie stepowej kołysze go niby do snu i wywołuje przed jego oczyma rozmaite obrazy z rodzinnego miejsca. On również widzi ojczystą wioskę, w stronę której wiatr powiewa, kościół rzęsiście oświetlony i tam również chylą jodły swe szczyty, chroniąc małą, starą budowlę.

Od czasu do czasu zdawał się namyślać, gdzie się właściwie znajduje?

Otrząsnął się z senności i w jego niebieskich oczach można było wyczytać pytanie: „Co to właściwie jest? Ta równina? ta broń, mur ten? dlaczego znajdują się tutaj?“ W jednym momencie wracała nieprzytomność, lecz po chwili wprowadzał go jednostajny poszum wiatru ponownie w krainę marzeń, gdzie ojczyste obrazy powstawały jak zaczarowane i znowu drzemał młody wartownik, oparty o lufę swego karabinu...

Niedaleko od miejsca, w którem młody rekrut wartował, pojawiła się nad murem ciemnym głowa włóczęgi.. Patrzał w dalekie pole, okolone ledwie widzialnym zdaleka brzegiem lasu. Pierś jego rozszerzała się, chciwie wciągał on w siebie świeże powietrze, poczem opuścił ręce i ześliznął się powoli wzdłuż muru...

— — — — — — — — — — — — — — —

Radosne dźwięki dzwonów zamąciły ciszę nocną. Drzwi więzienne rozwarły się i na szerokiem podwórzu rozpoczęła procesja swój pochód. Krzyże, chorągwie i obrazy świętych niesiono na czele. W kaplicy rozległ się śpiew... Żołnierz wyprostował się. Zdjął czapkę, by modląc się, przeżegnać się — lecz podniesione właśnie ramię zdrętwiało.

Włóczęga dostał się na dół i usiłował wśród wysokiej trawy stepowej umknąć...

— Zatrzymaj się! stój! Na miłość Boga, stój! — wołał żołnierz, podnosząc broń ze strachem. To właśnie, czego się tak obawiał, co nań okropną trwogę wywierało i drżącym go czyniło z przerażenia — to widok nieszczęśliwego zbiega.

„Służba, obowiązek, odpowiedzialność“. I straszliwe te słowa jak błyskawica przez jego głowę przelatuje. I szybko wyprostował broń i przymykając oczy, nacisnął, nie celując, drżącą dłonią...

I znowu rozległy się dźwięki dzwonów w radosnych, wspaniałych akordach nad miastem, i znowu dzwonił przytłumiony, złamany dźwięk z wieży więziennej kaplicy, dźwięk usiłujący do nieba się wznieść... Tymczasem rozległ się z kaplicy uroczysty śpiew modlących się i radosne ich głosy wydobywały się na zewnątrz na równinę:

— „Chrystus zmartwychwstał!“

Nagle padł znienacka z drugiej strony muru strzał, i słaby odgłos usłyszano w odpowiedzi.

Za chwilę wszystko znowu umilkło. Tylko echo strzału odzywało się po równinie i zamarło niebawem w oddali...

# Z przeszłości przemysłowego robotnika górnośląskiego.

Szkic historyczno-ekonomiczny.

Napisał Emil Caspari.

(Ciąg dalszy.)

Zródła urzędowe, a zatem wiadomości łagodzące i przemilczające o niejednem, wykazały nadużycia oburzające. Otóż śledztwo urzędowe, podjęte z inicjatywy głównego urzędu górniczego, pokazało namacalnie, w jaki to sposób wypłacano owe nędzne zarobki górnikom w kopalniach Górnego Śląska, tak rządowych jak i prywatnych. Okazało się przy sposobności śledztwa w sprawie opisanych rozruchów, że dwuch urzędników niższych, którym polecono było wypłacać robotników, dawało górnikom kwity na znajomego im szynkarza lub kupca, a ponieważ ręka rękę myje, odbierali za to od owych „rzetelnych“ kupców po 25 fen. od każdego talara. Panowie urzędnicy zarabiali na takiej procedurze przez długi czas spore sumy, biedni zaś górnicy nie dostawali zwyczajnie do rąk ani grosza, a z biedy straszliwej prosić musieli o nowe kwitki, po których znowu taż sama manipulacja się powtarzała. W mniejszych kopalniach jeszcze wygodniej rzecz całą urządzono. Urzędnicy w zmowie z szynkarzami odbierali od nich z wysokim rabatem znaczki na wiktuały, wódkę i t. p. i rozdzielali je pomiędzy robotników, jako zaliczki na ich miesięczny zarobek...

Robotnicy górnośląscy nie mając świadomości, że tkwi w tem wszystkiem system cały, do którego usunięcia walką świadomą celów zdążać należy, rozpacz swoją, gdy przebrała się miara cierpliwości, skierowali przeciwko martwym przedmiotom, niszcząc je, i najbardziej znienawidzonym przełożonym... Niewolnik-najmita górnośląski bodaj jednak że po raz pierwszy gniew swój i całą swoją gorycz przejawił na zewnątrz. W zgnębionych mózgach robotniczych zrodziła się widać nareszcie jakaś myśl, kiełkować poczęło dążenie do pozbycia się jarzma okropnego wyzysku i ucisku, do ulżenia swymu opłakanemu losowi.

W r. 1876 wprowadzono w Prusiech instytucję inspektorów fabrycznych. Sprawozdania inspektorów górnośląskich pomimo całej swojej ogiędności zawierają jednak sporo materjału, oświetlającego górnośląskie stosunki robotnicze.

Podajemy poniżej niektóre dane, wyjęte z pierwszych tego rodzaju sprawozdań.

Już powyżej przedstawiliśmy, jak sobie postępowano z pracą dzieci. Pomimo ustanowienia inspekcji fabrycznej i ściślejszej przez to kontroli praca dzieci nie ustawała. Naprzykład w roku 1880 w obwodzie tarnogórskim nawet w górnictwie zatrudniane były dzieci 14 letnie *)

Jeżeli zaś liczba dzieci w niektórych gałęziach nie powiększała się, a nawet niekiedy zmniejszała się, to działo się to wyłącznie dzięki kryzysom gospodarczym, kiedy wogóle praca robotnicza obniża się do minimum. Skoro wszakże czas pomyślniejszy dla przemysłu nastawał — wnet napływ dzieci do fabryk, warsztatów i kopalń wyraźnie wzrastał. Naprzykład w jednym tylko obwodzie tarnogórskim liczba młodocianych robotników w r. 1880 powiększyła się o 500, nie bacząc na powiększenie się jej już w roku poprzednim o 374. **)

*) Amtliche Mitteilungen aus Jahresberichten der mit Beaufsichtigung der Fabriken betrauten Beamten. 1880 zusammengestellt im Reichsamt des Innern. Berlin, str. 76.

**) Tamże.

A jak praca dzieci przy rozwoju kapitalizmu jest jego koniecznym wynikiem, tak też masowe zapędzanie kobiet do fabryk i warsztatów nieodmiennie mu towarzyszy. Ze i na Górnym Śląsku tak się działo, również już widzieliśmy.

Sprawozdania inspektorów fabrycznych rzuciły na te smutne zjawisko jaskrawsze światło.

Z opolskiego okręgu za rok 1877 pisze dr. Bernoulli: „Pierwszą rzeczą, która w górnośląskich okręgach rzuca się w oczy, jest masowe zatrudnianie dziewcząt i kobiet takiemi pracami, jakie zwykle i powszechnie wypełniają mężczyźni. Przy wytapianiu metalów kobiety i dziewczęta stanowią 10 procent ogółu pracujących, a przy zajęciach górniczych 7 procent. Chociaż robota w kopalniach kobietom jest wzbroniona, jednakże zatrudniają je przy rozbijaniu węgla, płukaniu rudy a przedewszystkiem w kopalniach kruszczu żelaznego przy windowaniu rudy z szybów, co wedle zdania lekarzy jest pracą najzupełniej dla organizmu kobiet nieodpowiednią.

Nie ustało to i w r. 1881. W sprawozdaniu inspekcji górniczej czytamy: „Ciężka i niewłaściwa praca dla kobiet windowania w kopalniach rud spełnianą prawie jest najwyłączniej przez niezamężne robotnice.“ Dr. Bernouilli skarży się na demoralizację, szerzoną przez zatrudnianie bez najmniejszej uwagi kobiet — zwłaszcza dziewcząt — społem z mężczyznami.

To samo dzieje się w hutach cynkowych, w kamieniołomach, w cegielniach itd.

I jakie są tego skutki? Sprawozdanie inspekcji przemysłowej daje na to taką odpowiedź: „Skutkiem tego masowego zapędzania dziewcząt do roboty fabrycznej jest to, że młode kobiety nawet wówczas, gdy zdobywają sobie rodzinne ognisko, nie mając najmniejszego pojęcia o pracy domowej, nie przyzwyczajają się do życia domowego, co znowu zmusza mężczyzn szukać jedynej pociechy w pijaństwie.“

Tak oto kapitalizm niszczył życie rodzinne, jak i wszędzie zresztą, ludności robotniczej!

I powiedzmy sobie, że dziś po 25 latach stosunki nie o wiele lepiej się przedstawiają, ciągle jeszcze widzimy na Górnym Śląsku masowe zatrudnianie kobiet i młodocianych robotników w przemyśle górniczym i hutniczym pracami całkiem dla nich niestosownemi.

Jeż li przytem jeszcze zważymy, że przedsiębiorcy starali się ukryć przed okiem inspekcji to, co fabrykantom było niemiłem, to musimy znowu przyjść do przekonania, że w rzeczywistości znacznie gorzej wyglądać musiało.

## Rozdział szósty.

### Od roku 1880 do 1889.

Od r. 1880—1889 wydobyto na Górnym Śląsku ogółem 124 299 ton węgla kamiennego, czyli w ciągu dziesięciu lat mniej więcej tyle, co poprzednio w ciągu lat ośmdziesięciu (1790—1869), kiedy wydobyto ogółem 125 287 tysięcy ton węgla. Liczba kopalń węgla kamiennego z 88 w r. 1880 zmniejszyła się do 64 w r. 1889, mimo to produkcja stale się podnosiła z 10 110 721 ton do 15 745 292 ton, a liczba zatrudnionych robotników z 32 517 do 44 179. Innemi słowy: liczba kopalń zmniejszyła się o 17,3 proc., wytwórczość podniosła się o 55,7 proc., liczba robotników o 35,5 proc., czyli że koncentracja przemysłowa uczyniła dalsze postępy. Przeciętna wydajność każdego robotnika wynosiła w roku 1880 — 310,98 ton, w roku 1889 — 356,39 ton. Ceny węgla w całym okresie 10-letnim były dość jednostajne, wahając się pomiędzy 3,55 a 3,78 mk. przeciętnie za tonę.

Na kopalniach rudy żelaznej wydobyto w r. 1880 ogółem 482 541 ton kruszczów, w r. 1889 — 777 367 ton, liczba zatrudnionych robotników w tym czasie podniosła się z 2623 do 4280. Dziesięciolecie to było dla kopalń rudy żelaznej okresem najświetniejszego rozwoju. W r. 1889 kopalnie te dosięgły szczytu swej wytwórczości, w następnych bowiem latach produkcja stale już była niższa i dziś tak już jest nieznaczna, że górnośląski przemysł żelazny bez masowego przywozu rudy zagranicznej skazany by był na zagładę. Kopalnie rudy cynkowej i ołowianej wyprodukowały w r. 1880 526 954 ton (w tem 91 547 ton blendy,

reszta galmanu), w r. 1889 — 572 660 ton (w tem 246 955 ton blendy), zapasy galmanu zaczęły się zatem wyczerpywać i dalszy rozwój przemysłu cynkowego umożliwiony został jedynie dzięki temu, że zabrano się do eksploatacji złóż blendy, na którą poprzednio nie zwracano uwagi. Oprócz tego wydobyto w r. 1880 — 17 760, w r. 1889 — 32 146 ton błyszczu ołowiu. Liczba zatrudnionych robotników wzrosła z 9926 do 10 583 w r. 1889. Wartość produkcji kopalń węgla kamiennego i rud z wyjątkiem r. 1881 stale się podnosiła, w r. 1880 wynosiła 48 639 817 mk. w r. 1889 — 76 639 094 mk.

(Ciąg dalszy nastąpi).

## Rozmaitości

**Źródło radioczynne.** Gazety warszawskie donoszą: W majątku hr. Juljusza Ostrowskiego Modre Wody pod Tomaszowem w istniejących tam licznie zdrojach przeczystej wody, stwierdzono istnienie pierwiastków radjoczynnych. Wydział klimatyczny Tow. hygjenicznego w Warszawie zawiadomiony o powyższym, zamierza urządzić do Modrych Wód wycieczkę rzeczoznawczą i ustalić, w jaki sposób możnaby zużytkować ten naturalny dar przyrody.

* * *

**Śmierć poety katorżnika.** Zmarł znany i ceniony poeta rosyjski p. Jakubowicz-Mielszyn, były wybitny członek „Narodowej woli". Popularny poeta wstąpił z początku lat 80 tych do sławnej organizacji rewolucyjnej „Narodnaja wola" i wraz z Łopatinem i innym próbował wskrzesić jej tradycje. Aresztowany w roku 1884 został po trzech latach fortecy skazany na śmierć. Konfirmacja zamieniła karę śmierci na 18 letnią katorgę. Był na Karze, w Akatuju i zawsze mężnie znosił swój ciężki los.

Wydostaje się z Syberji w roku 1899, wraca do Petersburga i wydaje szkice z życia katorżników — „Swiat wyrzutków" i kilka tomów wierszy o nastroju rewolucyjnym. Książki te miały sukces wielki; wiersze doczekały się 7-miu wydań.

Wreszcie ciężka choroba serca przerwała nić żywota tego wybitnego poety i mężnego rewolucjonisty.

* * *

**Dwie noce bezsenne Gladstone'a.** W świeżo wydanem dziełku angielskiem „Z życia słynnych ludzi" znajduje się dużo ciekawych szczegółów o znakomitościach. Oto ciekawy epizod z życia Gladstona: „Wielki starzec odznaczał się zawsze snem niezmęczonym. Dwa razy tylko w życiu zasnąć nie mógł. Gdy po raz pierwszy tworzył gabinet ministerjalny, położył się z troską o jego skład i w żaden sposób odgonić jej nie zdołał. Widząc, że nie uśnie, wstał, usiadł przy biurku i począł spisywać różne kombinacje ministerjalne. Wreszcie gabinet został ułożony. Ta praca zajęła mu pięć godzin. Położył się o 4-ej i zaraz sen go zmorzył.

Po raz wtóry nękała go bezsenność w wilię uroczystego zrąbania starego kasztana w obecności zaproszonego umyślnie radży indyjskiego. Kasztan był już podcięty i trzymał się na sznurach. Nagle wśród nocy zerwała się burza. Gladstone, przejęty obawą, że powali drzewo przedwcześnie, oka zmrużyć nie mógł. Wstał i począł układać „bill" w sprawie irlandzkiej. To go uspokoiło. Nazajutrz z radością przekonał się, że uroczystość zrąbania kasztana będzie mogła odbyć się wedle programu.

* * *

**Papier.** W 1904 r. wynosiła cała produkcja papieru na ziemi 4 i pół miljarda kilogramów; w trzy lata później podwoiła się i wzrasta dalej nieustannie. Większość papieru wyrabia się obecnie z drzewa. Produkcja w r. 1908, zużyła około 7 3000 000 drzew, co równa się wycięciu lasu o obszarze 600.000 hektarów. Połowa tego przypada na Szwecję, tak, że tam przy takim samym trybie postępowania za 70 lat zniknęłyby lasy. Celem zapobieżenia temu niebezpieczeństwu, robiono rozmaite projekty zastąpienia papieru drzewnego. Papier ze szmat wystarcza ledwo na zapotrzebowanie bibuły, bibułek cygaretowych i paru gatunków papieru książkowego. Próbowano tedy używać starych lin, bambusa, trzciny cukrowej, liści morwowych. Francja zamyśla o spożytkowaniu trawy ze swych afrykańskich kolonji. Istnieje również projekt powrócenia do papyrusa, który rośnie masowo w Kongo i Sudanie.

* * *

**Co może kosztować błąd drukarski.** Z okazji trzechsetletniej rocznicy pierwszego angielskiego tłómaczenia biblji, urządziło niedawno Brytyjskie Muzeum interesującą wystawę biblji. Najciekawszym okazem tej wystawy jest biblja z osobliwym błędom drukarskim. Oto, co o tem pisze jeden z bibljofilów:

Przed 200 z górą laty drukował angielski nakładca biblję i zdarzyło mu się przy tem, że przeoczył błąd drukarski, w swoim rodzaju może jedyny. Siódme przykazanie nie opiewało w druku: „Nie pożądaj dobra twojego bliźniego", lecz „pożądaj dobra twojego bliźniego". Dzisiejszy nakładca nie wieleby sobie z tego robił. Na odpowiedniem miejscu wykazanoby istotnie przykrą pomyłkę drukarską i, co najwyżej, przeproszonoby za to. Ale to było przed 200 laty, kiedy jeszcze nie było ustawy prasowej, nie rozumiano się na żartach w takich rzeczach. Władza wkroczyła i nieszczęśliwego nakładcę skazano na 300 funtów, t. j. 6000 marek, a więc suma, jeżeli porównamy ówczesną z dzisiejszą wartością pieniądza, którą uważać należy jako karę bardzo wysoką. Oprócz tego jednak zniszczono cały nakład, tak, że przyjąć można, że tak drogo za błąd drukarski nie zapłacił nigdy żaden nakładca.

Egzemplarz, wystawiony obecnie w muzeum brytyjskiem, jest jedynym, jaki się z owego nieszczęsnego nakładu zachował.

## Kącik humorystyczny.

**Policjant do pijanego.**

Policjant: „Tem nie otworzysz pan przecież bramy, toż to jest pańskie cygaro!"

Pijany: „O jej, o jej! toć ja wypaliłem zupełnie cały mój klucz.

* * *

**Tak bywało.**

Pan Adam: „Zostań pan jeszcze; musimy przecież podyskutować trochę o bieżącej polityce".

Pan Wojciech: „Żałuję niezmiernie, ale tym razem nie mogę."

Pan Adam: „I dla czegoć to, czy nie masz pan dzisiaj ochoty?"

Pan Wojciech: „No, jeżeli mam prawdę powiedzieć, zostawiłem w domu mój harap".

* * *

**W towarzystwie narodowców.**

Przewodniczący: „Nie będę się długo na wstępie rozwodził, lecz przejdziemy odrazu do najważniejszego punktu porządku dziennego . . . . kelner szklankę piwa!"

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 16. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 22 kwietnia 1911.

JULJUSZ KADEN.

## SZEWC.

Ocknął się szewc, przetarł oczy i znów wszystko dokoła okazało mu się w wyraźnem i stanowczem świetle. Lampa stojąca za wielką szklanną banią pełną wody, rzucała mocne światło na trzewik w podołku. Obok na stole długie i krótkie języki szewskich nożów, obcęgi niby żelazne kokardy, płaskie i wypukłe łokcie młotków, skrawki skóry, chropawe ozory-pilniki, tępe bełty kulisów, raszpile, ostrym pytajnikiem wykręcone haki do kopyt, wreszcie kopyta, jak w jakiejś kostnicy martwe stopy, gęsto porozrzucane. Dalej słoje, słoiki z mazią, smołą, z woskiem, z całą tą lepką paćkaniną, którą szewc kleji, łata i kleci swą robotę. Wszystko to owiane popędliwym kurzem skóry i opiłek, co sypie się wśród gwoździ, gwoździków, kołeczków po całym warsztacie.

Nim zaczął znów robotę, obejrzał szewc najważniejsze narzędzia pracy — ręce. Na kciukach w łopatkę wygiętych na bokach palców twardymi sękami sterczały odciski. Tam i sam wyzierało wąskie czerwone oko rany brzeżonej czarną rzęsą smoły.

Przemył więc ręce w odwarze z kory dębowej, by twarde były i w ciężkiej pracy nieugięte jak ten dąb.

Wziął trzewik, na wgłębienie między uda położył, przychwycił kostką własnych piersi, tą co kręgi żeber rozprowadza, tedy mostkiem — i obłamkami szkła jął szlifować podeszew. Kolana sterczały wysoko, głowa się nisko ku robocie skłoniła, twarde łokcie rozpiętych w trójkąt ramion zawisły po bokach i puściła się w ruch ta spłaszczona maszyna. Grzbiet jak trzcina giął się, chwiał i tężył za ciężarem głowy a siła szła z wnętrznego źródła od dźwigni do dźwigni, z przekładni do przekładni: Z ramion w łokcie z łokci w przeguby z napiastka do palców. Te zaś właśnie szkłem tarły podeszew.

Pył wiercił w nosie, łaskotał uszy, kłującym świądem zapychał kąty oczne. Odmuchiwał się szewc jak mógł od tej zarazy lotnej, skorej i wlaźliwej. Potem trzewik za nos jak rybę za pysk krzepko ująwszy odwracał i żłobił podeszew lekkim ozdobnym floresem — pożytku i trwałości wdzięcznem umajeniem. Wreszcie jakąś pół łysą, zmizerowaną szczoteczką do zębów malował na czarne te białe grzanki podeszwy, składając wykończone sztuki poodal w grzeczny rząd. Aby przeschły.

Obrobił sprawę kulisem i rzucił się do ostatniego w tem dziele zadania, do tego, co koronuje każdą pracę. Co każdej ostatnim jest słowem: do blasku. By podeszew niezmąconą nowizną, nowizną bez skazy tchnęła, by w tem lśniącem udaniu straciła ulotny ślad trudu i męki. Więc trzewik głęboko w trzewia wgłębiwszy, dwugłową mocą kolan zmusiwszy go do bezruchu pochwytnem wyprężeniem lędźwi jak w kleszcze wziął. Między palce w zaciśniętą pięść porwał gruby fatałach sukna. Tem suknem nuże jeździć po podeszwie. Zrazu opornie. Lecz coraz lżej i sprawniej i coraz posuwiściej. Aż szmata jak po lodzie po skórze śmiga, pięść bąkiem świszczącym sunie, jak wściekła na powierzchni krąży. Na przedramieniu żyły — grube basy, łokieć w skręcie — rozkręcie aż chrupie, mięśnie pęcznieją, ten tego w nawale wysiłku odętym brzuchem wypiera. Aż nareszcie wir pracy całego szewca łapie w swą moc. On w prawo kręgi toczy, ona go w lewo rzutem odpycha. Drętwica w karku usiadłszy postronki żył na czoło mu wysnuła. On dalej wprawo kułakiem opowitym a ona osią wbiwszy obcas w żywot, jak na osi kręci człowieka przekornym kręgiem. Już suchym łyskiem błyszczy podeszew. Na czole szewca pot lśni. A całe ciało na obcas niby na pal wbite, w pracy zajadłej, w srogiej zabawie rozpędu kół, co nigdy się zgonić nie mogą, wykręca się i dygocze.

Przestał by wytchnąć, bo mu się zmąciły w oczach ściany izby i w koło zrównane powoli dopiero wracały w oczywiste kąty czworoboku.

Teraz wziął reparację. Z pospólstwa ułomnych butów najnędzniejszy stanął na stole. Wyrwane miał ucho, język, wystrzępione oczka dziurek, na wylot przebitą podeszew i ściosany obcas. Trzewik ten wbity na kopyto chorobliwie rozprostował się. Pozór tężyzny jeszcze bardziej odsłaniał całą jego mizerję.

Wziął się szewc do zrywania nieużytej podeszwy. Tym szewskim nożem co skórę krając, wraz ciało krającego szczypie i przecina wyskubał stare rozchwierutane gwoździki zerwał podeszew i wypatroszył spróchniałą od potu podściółkę. Jadowity smród starej skóry i pył nieznanych dróg i fetor niewiadomych postoji pyłkim czadem wyłonił się z przegniłych fałdów buta. Trza było również zerwać pokłady obcasa, by wreszcie, niby parszywa gardziel ukazał się w zestrzępionych zwiłkach obrąb przyszwy. Zardzewiałe od wilgoci i potu gwoździe jak chore kły trzęsły się w kolisku dziur. Rdza przeszła w skórę, zmieniając ją w rozkisłe próchno.

Splunął szewc w garście, z motka wysnuł chudą kosiczkę konopianych nici i wichrowate skręcał w jędrny szpagat. Po skręconej dratwie niby grajek po smyku kalafonją — przewiódł wielokrotnie kawałem smoły. Wyciągnięta cięciwa zrumieniła się brunatną barwą, a pofolgowana skrętem zerwanej struny upadła na podołek. W dwa rosochate końce wścibił szewc dwa ostre żądła szczeciny i otuliwszy zwarł przylepnie w konopianym warkoczu. Dratwa była gotowa.

Niby doktór przed operacją, zładził jeszcze to i tamto a wszystko bardzo ważne, nieodzowne, bez którego ani weź. Zdartą podeszew okrył papierkiem i wzdłuż osmolonym palcem rozmiar wyznaczył. Tępemi nożycami, wolno, bo się papier w twardych ręku oszukańczo przeginał — wyciął formę. Taka sama rada przypadła obcasowi w udziale. Wtedy skórę z wiadra z pod stołu wziął bo zbić ją należało. Położył ją na cegle twardego kamienia, giętkim pierścieniem ręki otoczył drzewce młota i zaczął walić. Coraz mocniej, straszliwie mocno. Ostatnia wilgoć z najskrytszych słoji, niby ostatni śmiertelny pot występowała pod uderzeniem. Zaś młotek szybko-chybko wahał się między głową i bitą skórą i głośno przypadał twardym wybuchem: tak! tak! tak!

Teraz zgrabnie przymierzył szewc papier, by miejsca

nie marnować i skóry nie trwonić. Więc wszystkimi sposobami póki na małym błamie zgodnie, sprawiedliwie, krawędź koło krawędzi i bez niczyjego uszczerbu stanęły obok siebie dwa obcasy i dwie podeszwy uszczypliwym nożem dokładnie wykreślone. Tak wycięte, przyszłe zdrowie trzewika postawił gdzieś na widoku, by później w ferworze roboty dokonanego już dzieła nie szukać lekkomyślnie. Wyrychtowana podściółka — ten liść pieszczony, na którym stopa dobrze się ma — całkowicie wklejona dokładnie się już złączyła z przyszwą.

Teraz więc musiała iść rzecz może najprzezorniejsza, każdego dzieła łączna roztropność, wszelkiej pracy słuszny zachód — brzegi. Wąską listwą randu oszyć należało przyszwę z podściółką. Niecierpliwą dłonią wyszukał se szewc między rupieciem wnikliwe szydło. Zapobiegliwie dziabnął nim w wydzióbany krążek mydła — i szydło gotowe czeka. Dratwę obejrzał. Już ostre żądełka szczeciny w ustach na zawołanie trzyma.

Idzie robota. Na przewiady szydło się wciska — wylot sprawiło! Wilgocią ust śliskie dążą w wykłuty ślad obie szczeciny. A potem ręce społem dratwę na się motają i w skok! Pędzą od siebie. U kresu dalszej niemożności, nabiegłe obrzękiem jak przerażone na pętkach, niby na strykach zwisły. Przez mgnienie chwili. Bo właśnie nową skądś biorą siłę. Przypadły z powrotem na podołek z sideł dratwy uciekają żachnąwszy się wykrętnie. Znów na zwiady sunie szydło i zagiętym szponem sprawę przenika. I znów dwa żądła celnego porozumienia krzyżują się w wykłutym podkopie. Ręce łakome męki w pośpiechu sękatych palców wloką co żywo na ranny padół dło.i uprząż konopianną i przerażone pędzą od siebie precz do kresu dalszej niemożności. I znów zdławione uściskiem padają w dół.

Robota idzie coraz raźniej, kopyto coraz głębiej wgłębia się w pierś. Pociągiel, szewskiego trybu ścięgno najważniejsze, pręży się i kalikuje przy organie płuc, z których mus nieugięty wydziera muzykę wartkiego świstu. Sine, czarnawe ścięgna i żyły rąk wiążą się z dratwą w jeden splot. Przez zamknięte dłonie nie dratwa, a zwarty potok czarnej juchy się sączy! Nie dratwa a nić płynnej smoły przez ręce płynie! Własnych rąk żyły i ścięgna wszywają się równym oplotem w podeszew! Wraz z dratwą, one same rzemiosła dratew najistotniejsza krwawym żywo potem pracy buł miedzą.

Teraz obrócił kopyto nosem ku piersi. Pociągiem je przytroczył, by warstwami spiętrzyć obcas. W usta wetknął se gwoździki, by były na podorędziu. Zagadał, zatańczył młotek na kopycie, póki wykończonego obcasa nie otoczył ochronnie i krzepko równy równy rząd złotych gwoździków. Odnowa zaczęła się ta dygotliwa, termosząca mordowania raszpilem i kulisem. By obcasowi nieprzejednaną zwartość nadać.

Czas szedł. Noc w blaskach — rozblaskach niepewnych słaniać się jęła na świecie a szewc schylony na niskim zydlu, niby krasnoludek, czy karzeł złym duchem opętany, harował w pocie czoła z głową przy kolanach trwającą. Im bardziej zabliźniał otwarte rany butów, tem w miarę roboty częściej otwierała się ta, lub owa rana dłoni. Rana, lub blizna — ręki pracującej pamięć i wspomnienie. Na tej drodze traciły palce zwolna swą nieporównaną, skrzętna pieczołowitość w pracy. Chciały uciec, oswobodzić się od samych siebie. Aż ręce stały się kajdanami, w których uwięziony jest ból.

Praca stawiała coraz większy opór. Tu kopyto zasiadło w bucie i wybić go nie można w żaden sposób, tu znów bronująca kopystka nie mogła ściąć i wyplewić czubków gwoździ, sterczących gdzieś w kącie. Młotek jak pijany wywalał się z rąk, raszpile kłodą ciężyły.

Doświadczył szewc ostatatniego doświadczenia. Jakowaś niemoc kamiennym bezwładem zaciężyła pod kolanami. Krzyż wygięty — to garb, nagrobek, kurhan pod którym legło serce bezsilne. To serce raz po raz ktoś bije, czy ono się samo uderza o drąg nieugięty. Ten drąg wlecze się pod kolanami i wzwyż opuszczonych łokci. Krępuje wszystkie członki i skula je i skuwa. Nad całą postacią przez pracę w kij związaną czuwa resztkami przytomności pół-senna głowa. Nie człowiek a warsztat związany naprzeciw martwego warsztatu siedzi. Chciałyby ramiona szprychą zalatać, nadal klepiskiem nadarzyć się chcą kolana, ręce klejem w pletwę zlepione gramolą się z ulepku. Ale pod kolanami i wzwyż łokci drąg się rozpanoszył. W kij niemocy związawszy nie puszcza człeka.

Przedwstępna chwila snu rozplątuje nakoniec omdlałe członki. Głowa kłoni się na stół. Wśród kołków, szpilek i gwoździ spoczywa, jak w otoczy cierniowej.

Lecz praca wyrzutem sumienia staje się i kusi wciąż. Widzi się szewcowi mrowie obuwia, kroczącego po białej drodze pstrokatym tłumem. Tańczą płytkie lakiery, obok nich spacerowym krokiem dążą żółte trzewiki w pokrowcach, damskie pantofle pląsem się plemią. Rozgłos nowego obuwia łączy się z nieskromną czkawką zdartych trzewików. Daleko z końca leci żelazny brzęk podkówek. Leci szparki hałas chłopskich i tupot robotniczych butów, co ziemi synowską pieczę niosą.

Tłumnie, ciżbą idą do szewca, przed świętem po poradę. A on nad dobrem ludzkiej stopy ręce tracący, on, co sobie w piersi niezliczonem mrowiem obcasów grób wykopuje, on, co ciąg całego swego życia o pociągiel nieodmiennej pracy ściągnął, otwiera im drzwi i miłosierną pracą je darzy i własnem zdrowiem ratuje. Uleczone odchodzą prędko, lekko, nie czując pracy, która centnarami siły w nich się zawarła.

Świt już szedł. Niewypowiedzianą radością różowił się daleki zrąb nieba.

A pół przytomnemu szewcowi się zdało, że jasnowidząca orędowniczka pracy nocnej — lampa, przedzierzgnęła się w złocistą jutrzenkę i gości na jego ciasnym stole. Że to właśnie ona śle zorzę, która ziemię ze snu budzi, gasi przymus gwiazd stróżujących i rozwiązuje samą drogę mleczną — ten srebrny pociągiel, co światy wiąże.

# Z przeszłości przemysłowego robotnika górnośląskiego.

Szkic historyczno-ekonomiczny.

Napisał Emil Caspari.

(Ciąg dalszy.)

Jak dalece chętnie właściciele kopalń posługiwali się wtedy tanią pracą kobiet, widzimy z tego, że w r. 1882 w całem górnictwie było zajętych 7355, w r. 1889 już 8972 kobiet, tak że na każde 100 zatrudnionych wogóle było kobiet: w r. 1882 — 15,1, w r. 1889 — 16,0 czyli blisko szósta część!!! Bogobojni katoliccy magnaci górnośląscy ze spokojnem sumieniem dla nabicia kabzy pozwalali po kopalniach swych pracować słabym kobietom, nie patrząc zgoła na spustoszenia, jakie to wywołać musiało. Szczególnie masowem było zatrudnianie kobiet po kopalniach rudy żelaznej, gdzie odsetek ten wynosił w r. 1882 — 40,9 procent, a w r. 1889 zmniejszył się zaledwo do 40,1 proc.! Jakie „pyszne“ płace robotnice te pobierały, zobaczymy następnie.

Rozwój przemysłu hutniczego był w okresie tym następujący: W 34 wielkich piecach (w tem tylko 2 na drzewie) wyprodukowano w r. 1880 — 336 051 ton surowca, po pewnych wahaniach zniżkowych w latach 1881 i 1886, produkcja doszła w r. 1889 w 31 piecach (w tem tak samo dwa na drzewie) do 481 863 ton, podniosła się więc w ciągu dziesięciu lat o 43 3 procent. Przeciętnie za tonę surowca płacono w r. 1880 — 57 marek, w r. 1881 cena ta obniżyła się do 53,60 mk., w r. 1882 podniosła się do 61,84 mk., potem, opadając stale, zmniejszyła się do 45,84 mk. w r. 1886, wzrastając następnie do 51,75 mk. w roku 1889. Walcownie wyprodukowały w r. 1880 — 259 821 ton żelaza spawalnego i zlewnego, w r. 1889, po kilkakrotnych wahaniach produkcja podniosła się do 367 217 ton. Zakłady z wielkiemi piecami zatrudniały w r. 1880 — 3217, w r. 1889 — 4202 robotników, walcownie w tych samych

latach 10 826 względnie 11 796. Wytwórczość odlewni żelaza wzrosła z 20 471 ton odlewów w r. 1880 do 34,559 ton w r. 1889, liczba zatrudnionych robotników z 963 do 1669, cena przeciętna za tonę wahała się pomiędzy 130 mk. w r. 1888 a 151 w r. 1882. Wartość wytwórczości przemysłu hutniczo-żelaznego z 58 843 266 mk. w r. 1880 podniosła się do 81 490 486 mk. w r. 1883, następnie obniżyła się do 51 644 255 mk. w r. 1886, potem znowu podniosła się do 87 850 990 w r. 1889. Liczba zatrudninnych robotników z 15 150 w r. 1880 podskoczyła do 20 733 w r. 1889. Odsetek zatrudnionych kobiet w roku 1889 wynosił 6 procent.

Huty cynkowe wyprodukowały w r. 1880 — 66 044 ton surowego cynku po 340 marek przeciętnie za tonę, bez przerwy produkcja wzrastała do r. 1889 kiedy wynosiła 86 947 ton i za tonę przeciętnie płacono 359 mk. Produkcja walcowni z 16 732 ton w r. 1880 podniosła się do 32 562 ton blachy cynkowej w r. 1889. Zatrudnionych robotników w hutach i walcowniach cynku było: w r. 1880 — 5149, w r. 1889 — 7229. Huty ołowiu wyprodukowały 13 821 ton ołowiu i glejty w r. 1880, przy końcu okresu produkcja wynosiła 21 471 ton dla obu tych wytworów. Liczba robotników z 390 w r. 1880 wzrosła do 703 w r. 1889. Wartość produkcji hut cynkowych i ołowianych wynosiła 34 637 636 mk. w r. 1880, obniżyła się do 29 838 335 mk. w r. 1889.

Ogólna wartość produkcji całego górnośląskiego przemysłu montanicznego podniosła się w okresie tym z 142 120 719 marek w r. 1880 do 224 591 658 mk. w r. 1889. a liczba zatrudnionych robotników z 65 755 do 91 321.

Ogólna suma wypłaconych robotnikom zarobków w całym przemyśle górniczo-hutniczym wynosiła w r. 1880 — 34 127 808 mk.; z wyjątkiem r. 1886, kiedy się obniżyła w porównaniu z rokiem poprzednim, stale wzrastając, podniosła się do 54 450 270 mk. w r. 1889. Na każde 100 mk. ogólnej wartości produkcji przypadało płacy roboczej: w r. 1880 — 24 mk., w r. 1889 — 24,24 mk. Przeciętny roczny zarobek wszystkich robotników wynosił w roku 1880: na kopalniach węgla kamiennego i rudy 484,37 mk. w hutach żelaza i stali 583,96 mk., w hutach cynkowych i ołowianych 626,86 mk., wogóle w całym przemyśle montanicznym 519,15 mk., w r. 1889, wskutek ruchu strejkowego podniósł się on na kopalniach węgla kamiennego i rudy do 581,13 mk., w hutach żelaza i stali do 656,55 mk., w hutach cynkowych i ołowianych obniżył się jednak do 619,74 mk., w całym przemyśle montanicznym podniósł się do 595,61 mk. Statystyka górnośląskiego stowarzyszenia przedsiębiorców górniczo hutniczych dopiero w r. 1887 notuje wysokość rocznych zarobków poszczególnych kategorji robotników. Dowiadujemy się z niej, że na kopalniach węgla kamiennego i rud zarobek ten wynosił: dla dorosłych robotników 648,58 mk., dla młodocianych robotników 223,67 mk., dla kobiet 233,01 mk. — W hutach żelaza i stali dla dorosłych robotników 703,51 mk., dla młodocianych robotników 234,36 mk., dla kobiet 277,18 mk. — W hutach cynkowych i ołowianych: dla dorosłych robotników 726,53 mk., dla młodocianych robotników 300,41 mk., dla kobiet 291,32 mk. — W całym przemyśle montanicznym: dla dorosłych robotników 665 63 mk., dla młodocianych robotników 236,60 mk., dla kobiet 246,52 mk.

Najlepiej zatem płatni byli wtedy robotnicy w przemyśle cynkowo ołowianym, najgorzej w przemyśle górniczym. Ruch strejkowy, jaki w połowie maja 1889 r. żywiołowo po raz pierwszy ogarnął cały obwód przemysłowy dowiódł najlepiej, że „pyszne“ te zarobki wystarczały na to, aby robotnicy mogli się w pokorze chrześćjańskiej głodzić. Miara jednak tej pokory wreszcie nawet wśród potulnych robotników górnośląskich przebrała się i nagle wybuchł masowy strejk.

O licznych ofiarach, jakie padały na pobojowisku pracy, posiadamy dla okresu tego dokładne dane w statystykach górnośląskiego stowarzyszenia górniczo-hutniczego.

Smutny ten obraz przedstawiał się następująco: W przemyśle górniczym od 1882 do 1889 było ogółem wypadków śmierci 847. Odsetek zabitych (na 1000 zatrudnionych) wahał się pomiędzy 1,52 procent w r. 1885 a 2,52 procent w r. 1883, dla całego tego ośmioletniego okresu wynosił 1,98!!! Nieszczęśliwych wypadków z niezdolnością do pracy powyżej 13 tygodni, a więc wypadków ciężkiego okaleczenia, było w pięciu latach (1885 –1889) razem 1425, z niezdolnością do pracy poniżej 13 tygodni — 10 301, wogóle nieszczęśliwych wypadków (z wypadkami śmierci) — 12 139, tak że przeciętnie na każde 1000 zatrudnionych robotników było 40,32 wypadków. W r. 1885 odsetek ten wynosił 27,58, w roku 1888 podniósł się do 49,89!!

Jeszcze większe ofiary pociągała za sobą praca w przemyśle żelaznym. Tutaj od 1882 do 1889 r. było razem 106 wypadków śmierci, na 1000 zatrudnionych przeciętnie 0,74. W r. 1889 odsetek ten wynosił 1,10!! Następnie w okresie 5 letnim (1885—1889) było nieszczęśliwych wypadków z niezdolnością do pracy powyżej 13 tygodni razem 490, z niezdolnością do pracy poniżej 13 tygodni razem 10 515 wogóle nieszczęśliwych wypadków (z wypadkami śmierci) — 10 588 tak że przeciętnie na każdy 1000 zatrudnionych robotników było tutaj już 117,11 wypadków!! W r. 1885 odsetek ten wynosił 78 50, a w r. 1887 podniósł się do 150,13, w r. 1889 obniżył się do 126,32!

(Ciąg dalszy nastąpi).

## Rozmaitości

**Nowy tunel alpejski.** W pobliżu małej mieściny szwajcarskiej Kandersteg, w tak zwanym berneńskim Oberlandzie, nastąpiło w nocy z 31 marca na 1 kwietnia ostateczne przebicie tunelu przez górę Lötschberg. Przez otwór, wyrwany wybuchem naboju dynamitowego, inżynierowie z północnego chodnika dostali się do południowego, a za nimi poszli robotnicy włoscy, niemieccy, chorwaccy, macedońscy. Oba chodniki tunelu spotkały się dokładnie w oznaczonym punkcie, co było rzeczą bardzo trudną do obliczenia, gdyż tunel przez górę Lötschberg nie idzie linją prostą, ale ma aż trzy znaczne krzywizny. Mimo panującego pod ziemią przykrego gorąca, które utrudnia oddychanie, pracowali robotnicy z inżynierami przez 2528 dni, a mianowicie przez 1160 dni po stronie północnej, a 1368 dni po stronie południowej. Robotnicy, których jest 1600, liczą przeważnie 17 do 20 lat życia. Obok nieuniknionych, a małych uszkodzeń cielesnych, wydarzyły się w ciągu 5 lat pracy dwa nieszczęśliwe wypadki. Przed dwoma laty woda z piaskiem dostała się do tunelu i zalała, a następnie zasypała chodnik na przestrzeni 1500 metrów. Straciło wtedy życie 24 robotników. W drugim wypadku lawina zasypała 10 robotników, którzy również zginęli.

Z technicznych szczegółów podnieść należy fakt, że nowy ten tunel nie jest podstawowy, jak dotychczasowe tunele, ale wierzchołkowy, to znaczy nie przebija góry u podstawy, ale znacznie wyżej. Jest to trzeci wielki tunel szwajcarski. Największym jest tunel przez górę Simplon, przebity w roku 1904, a mający 19580 metrów długości. Drugim jest ukończony w roku 1882 tunel przez górę św. Gotharda, mający 15600 metrów długości, trzeci wreszcie tunel przez górę Lötschberg ma 14536 metrów, czyli 14 i pół kilometra długości.

Nietylko berneński Oberland, ale także połączony z nim kanton Wallis odniesie ogromne korzyści z nowej drogi kolejowej. Głównie chodzi jednak o Francję i Włochy, gdyż nowy tunel usunął ostatnią przeszkodę aż do linji simplońskiej Brieg-Domodossola.

* * *

**Technika umożliwiła,** iż w ręku jedynego człowieka złączyła olbrzymie moce natury. Olbrzymie siły np. mieszczą w sobie nowoczesne okręty parowe. Maszyny jednego z najnowszych okrętów „Książę Fryderyk Wilhelm“ mają 14000 technicznych sił końskich, które umożliwiają okrętowi poruszać się z szybkością 19 mil angielskich w godzinie. Zbadano, iż 21 ludzi zdoła to samo zrobić, co jedna techniczna siła końska. Gdyby więc miały ręce ludzkie wykonywać tę samą robotę, co owe powyższe 14 ty-

sięcy technicznych sił końskich, wtedy potrzebaby było 294 tysięcy ludzi ze zdrowemi muszkułami, aby byli w stanie przy bezustannej pracy okręt przewiosłować w tym samym czasie i z tą samą szybkością, co maszyny przez morze. Ponieważ zaś jazda przez ocean trwa conajmniej 7 dni, nie wytrzymaliby ludzie i musieliby się zmieniać, potrzebaby więc było drugich tylu ludzi, a więc razem 588 tys. osób, aby zastąpić maszyny. Okręt, o którym mowa, jest jednym z największych, należących do towarzystwa „Lloyd", lecz nie mieści on w sobie bynajmniej jeszcze największej siły w swoich maszynach. Maszyny następujących parowców pospiesznych są jeszcze silniejsze. I tak parowiec „Cesarzewicz Wilhelm" mieści w sobie maszyny z 35 tysięcy, parowiec „Cesarz Wilhelm II" 45 tys., a parowiec „Cesarzewiczowa Cecylja" mieści w swoich maszynach aż 46 tysięcy technicznych sił końskich. Ostatnio wymieniony parowiec potrzebowałby, gdyby maszyny miały być zastąpione ludźmi, 966 tys. osób, a ponieważ drugie tyle potrzebowanych by było na zmianę, 1 832 000, a więc blisko 2 miljonów ludzi byłoby potrzeba, gdyby mieli zastąpić siły maszynowe tego okrętu.

* * *

**Anegdota historyczna.** W Londynie wyszedł świeżo z druku pamiętnik pani High Fraser, wdowy po dyplomacie angielskim, która opisuje różne ciekawe rzeczy, jakie przeżyła na rozmaitych dworach europejskich. Między innemi opowiada ona następującą wesołą historję, która zdarzyła się w r. 1864 przy wkroczeniu wojsk pruskich do Danji:

Było to przy zajęciu miasta Fredericia. Moltke nie bardzo się palił do wojny duńskiej i w nienajlepszym humorze wjeżdżał jako zwycięski zdobywca do miasta, w którem w dzieciństwie był jak w domu. Znał każdą ulicę i każdy dom tego miasteczka. Bismarck jednakowoż nigdy przedtem nie widział Fredericji i rozglądał się teraz na wszystkie strony.

— Oto piękny budynek — rzekł do Moltkego, ukazując na duży, ładny gmach, który przyćmiewał wszystkie sąsiednie domy. — Tu będzie moja kwatera!

— Dom ten jakby na to stworzony — odparł sucho Moltke. — To kryminał.

* * *

**Handel ludźmi w Meksyku.** W miesięczniku angielskim „Fry's Magasine" znajdujemy niezmiernie ciekawy artykuł podróżnika i publicysty I. K. Turnera. Przeszło połowa ziemi w meksykańskim stanie Jukatan należy do 50 wielkich, reszta do 200 mniejszych plantatorów. Bogacze są wykształceni, zamiłowani w życiu wybornem, pracują zaś na nich niewolnicy. Ludność niewolnicza Jukatanu składa się z 8000 krajowców, jaków, z 3000 chińczyków i przeszło 100 000 majów; ci ostatni są potomkami pierwotnych tubylców. Praca prawie bezustanna (robotnicy śpią w nocy zaledwie 4 godziny) w podzwrotnikowem gorącu, warunki mieszkania i żywności najohydniejsze, zresztą katowanie za najdrobniejsze uchybienie — wszystko to niszczy zdrowie i siły robotników w bardzo krótkim czasie. Najtęższy „jaki" nie wytrzymuje niewoli dłużej, niż trzy lata; majowie ostają w połowie tego czasu. Niewola sprzeciwia się wprawdzie prawu, fabrykuje się jednak masami niewypłacalnych dłużników. Wystarczy niezapłacenie na czas podatku, czy grzywny sądowej, a człowiek, przyciśnięty do muru, podpisuje dokument, zobowiązujący go do odrobienia agientowi, pożyczającymu parę dolarów, należności pracą. Agient cedu je dokument plantatorowi i niewolnik gotów. Sprzedaje się go i wywozi, jak zwierzę. Robotnicy zadłużeni nie otrzymują za swą pracę żadnej gotówki. Za 20 godzin dziennej pracy wynagradzają robotnika formalnie kwotą 12 i pół centów. Lecz „ugodzonemu" potrzeba mieszkania i pożywienia na kredyt do pierwszej wypłaty. Z góry więc dopisuje na piekielnym dokumencie zgodę na płacę w naturze. I wtedy jest już raz na zawsze niewolnikiem. Raz na dzień tylko otrzymuje strawę. Najzwyklejszą karą jest chłosta zmoczonym powrozem. Dozórcy katują niewolników bez miłosierdzia. Zabójstwo niewolnika przez człowieka wolnego uchodzi całkiem bezkarnie. Turner rozmawiał z niewolnikami, którzy byli subjektami handlowymi, urzędnikami, rektorami, nawet profesorami uniwersytetu, literatami i księżmi, z niewolnicami, które niedawno błyszczały w świecie. I takie rzeczy możliwe są jeszcze w dzisiejszych „cywilizowanych" i „chrześćjańskich" czasach!

* * *

**Samobójstwo proboszcza.** W tych dniach w Schwarzalbach pod Wiener Neustadt popełnił samobójstwo proboszcz ks. Cheomecki. Proboszcz zastrzelił się w zamkniętym pokoju. Jak przypuszczają, proboszcz targnął się na swe życie w przystępie ataku nerwowego.

Ks. Cheomecki odprawiał jeszcze w krytycznym dniu mszę i nie zdradzał żadnych oznak desperackich, to też samobójstwo jego sprawiło silne wrażenie. Po mszy udał się proboszcz do mieszkania i spożył śniadanie w towarzystwie leśniczego. Gdy leśniczy oddalił się, zamknął ks. Cheomecki mieszkanie na klucz; niedługo potem usłyszano dochodzący z wnętrza strzał rewolwerowy. Gdy służba wyważyła drzwi zastano proboszcza leżącego na kanapie. Przerażeni mieszkańcy wioski zawezwali lekarza, który stwierdził, iż denat, aczkolwiek nieprzytomny zostaje jeszcze przy życiu. Przy zastosowaniu wszelkich środków ostrożności przewieziono samobójcę do szpitala, gdzie zmarł, nie odzyskawszy przytomności.

* * *

**Przeloty ptaków w Irlandji.** Z różnych punktów Irlandji donoszą o niezwykłem zjawisku, jakie zauważono tam w dniach ostatnich. Oto nieprzeliczone gromady ptactwa przeciągały z niesłychanym krzykiem, jakby gnane jakąś paniką, bez wyraźnego kierunku i chmurą opadały na polach wycieńczone zmęczeniem. W miejscowości New Ross setki ptaków rozbiło się o mury kamienic i kościołów, wielka liczba wpadła do rzeki Barrow. Podobne zjawisko zauważono również w Dublinie. Wieśniacy twierdzą, że podobnego ciągu ptaków i tak niebywałego ich krzyku, najstarsi ludzie nie pamiętają. Przyczyny niezwykłego zjawiska ornitologicznie określić nie umieją. Przypuszczają, że wywołały ją zmiany atmosferyczne, lub że wskutek licznego nagromadzenia ptactwa wybuchła między nim wojna domowa.

# Z literatury i sztuki.

„Krytyki" miesięcznika, poświęconego sprawom społecznym, nauce i sztuce, wyszedł numer za kwiecień i zawiera w części pierwszej:

(f): Królowa Opinja. K. Stefański: Współczesne stronnictwa polityczne w Królestwie Polskiem. Dr. Emil Breiter: Filozofja społeczna Jerzego Sorela. Prof. Jan Baudoin de Courtenay: W sprawie antysemityzmu postępowego". Dr. M. Kukiel: Renesans literatury wojskowej w Polsce. Junius: Współcześni politycy (polscy). XXIV. Hr. Ignacy Korwin-Milewski. Przegląd. Sprawozdania.

W części drugiej: Wł. Orkan: Z wierszy ostatnich. Eustachy Czekalski: Jan Lemański. Charakterystyka. L. Eminowicz: W południe. — Wiersz. W. F.: Najmłodsi w literaturze polskiej. VI. Andrzej Strug. Wł. Piński: List niemiecki. (Teatry). F. Mrandola: Lux perpetua. Marja Aleksandra Walewska (hr. W.): W pomroce domu, — Mówisz, że kłamię... Romualda Baudouin de Coutenay: Axel Gallen i sztuka finlandzka. Przegląd: I. Tadeusz Bezimienny: Ze sztuki i z życia. Feljeton. II. St. Szpotański: Sprawa Rapperswilska. Sprawozdania. Z filozofji i sztuki. Nowe powieści. W dodatku artystycznym: Axel Gallen: „Matka", „Przekleństwo Kullerwo". Pekka Halonen: „Przy budowie".

Adres Redakcji i Administracji: Kraków, ulica Stachowskiego l. 14.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 17. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 29 kwietnia 1911.

## LAS RĄBIĄ...

(Z rosyjskiego).

Las rąbią. Las zielony i tak młody jeszcze,
A młode sosny zadumane stoją,
I patrząc w toń błękitną nieba, roją
Posępne dumy, chmurne dumy, wieszcze...

Las rąbią. Czy dlatego, że rozszumiał wcześnię?
Że swym hymnem radosnym rozbudził przyrodę?
Że z młodzieńczym zapałem modlił się w swej pieśni,
I sławił dobroć słońca, szczęście i swobodę?...

Las rąbią. Lecz nasiona zapadną gdzieś w ziemię.
Przeminą lata i życiową siłą
Do boju wstanie nowe, mężnych plemię
I wzniesie pieśń nad druhów swych mogiłą!

H. HOHNEISER.

## CZEŚĆ ŻYCIU.

Szary zmrok przenikał próżną przestrzeń, otaczając postacie dwóch mężczyzn, z których jeden, białogłowy staruszek siedmdziesięcioletni, o twarzy okrągłej, siedział przy stole, podczas gdy drugi, smukły młodzian z twarzą bezkrwistą, leżał na łóżku. Obaj milczeli zupełnie. Tylko ostatnie głosy, ostatnie stuki i szmery dnia roboczego dolatywały do ich uszu przez otwarte okno, przez które także pierwszy powiew wiosenny wpływał do ich samotnego pokoiku, będącego teraz ich izbą szpitalną.

Starzec podparł prawą ręką swą znużoną głowę i gorzki jakiś, niewypowiedzianie smętny uśmiech wystąpił na jego twarz. Bo oto jedyne dziecko miało prędzej zejść z tego świata, niż on, znużony życiem starzec, dla którego śmierć byłaby zbawieniem, uwolnieniem ostatecznem. Lecz to nie dało się zmienić. Choroba gryzła sam nerw życia. Znikającego światła nie można było zatrzymać! Blade, zapadłe policzki i głębokie, gorączką błyszczące oczy chorego wskazywały na bliski koniec.

Gdybyż on chciał przynajmniej wierzyć w swe życie! — Cóż to powiedział lekarz? — „Przyjacielu drogi! tu nie pomoże żadna sztuka lekarska. Och, tak, gdybyż on sam chciał żyć! Chęć do życia, radość życia, to najlepsza medycyna.“

A starzec daremnie usiłował rozpalić jeszcze tę kopcącą dogasającą lampkę życia. — Daremnie! — nie można było w nim utrzymać ani iskierki chęci, tęsknoty do życia. Więc rozpaczał i on...

Chory otworzył oczy. Spokojnie, bez ruchu najmniejszego miał złożone ręce na kołderce. W izbie zrobiło się ciemniej. Starzec przysunął swe krzesło do łóżka i położył swą drżącą starą rękę na rozgorączkowaną twarz młodzieńca.

— Czy ci się chce pić Henryku? — Chory zaprzeczył lekko głową.

— Nie potrzebujesz czego?

Oczy chorego spojrzały tęsknie w ciemność, a usta wyszeptały słowa: „Chcę umrzyć!“

— Nic, tylko umrzeć — a tyś przecie tak młody, życie ma jeszcze dla ciebie tyle radości!

— Ma ono je dla mających nadzieję. Dla mnie już... nie... nie...

— I ty powinieneś mieć nadzieję, i dla ciebie słonko świeci, uśmiecha się wiosna — i około ciebie toczy szczęście swe złote nici.

Chłopiec nie odrzekł nic; starzec zamilkł na chwilę...

— A czyż nie wiesz, że dla ciebie bije serce jedno w tęsknicy wielkiej? Nie pamiętasz tej, która z nadzieją smętną oczekuje dnia, w którym ty powstaniesz?...

Pierś chorego podniosła się ciężko i stary zamilkł. W dwu błyszczących od gorączki oczach stanęły łzy.

— Dlaczegóż wspominasz ją? Czyżby ona miała spędzić swą młodość, całe swe życie w smutku, na pielęgnowaniu chorych? Ona wie, żem szczerą ją kochał miłością — to dosyć — szczęście dla niej będzie, jeśli umrę.

— I o starym ojcu zapominasz, który w samotności ma przepędzić ostatnie dni żywota. Któż będzie się o mnie troszczył, gdy ty odejdziesz?

— A któż się dzisiaj o ciebie troszczy? Toż jabym ci był tylko ciężarem i troską, gdybym żył. Chodzący trup, któryby ci ostatni kęs chleba zjadł i spokój twój nocny ci zamącał... Gwałtowny napad kaszlu nie pozwolił mu mówić dalej.

Z trudem stłumił starzec płacz swój, który wstrząsał nim całym. Wszystko, wszystko nadaremno. — Pozwól mi umrzeć, ojcze! — to były ostateczne słowa młodzieńca. Więc już tak być musi.

I stara głowa ojca ciężała mu coraz bardziej — na cóż zda się on jeszcze? Tu przed ostatniem swem zadaniem które oczekiwało jego rozwiązania, stał bezradny. Lecz on nie śmiał być bezradnym — czyżby już nie było żadnego środka — żadnego? Starzec myślał, ciągle myślał i pomrukiwał w zadumie. Był jeszcze jeden środek — starzec wzdrygał się, myślał o nim: oto jeszcze nie próbował przedstawić mu grozę śmierci w ponurych obrazach — straszliwość niebytu — zgonu.

— Czy nie lękasz się śmierci, Henryku?

Chłopiec spojrzał na niego ze zdziwieniem, jakby nie rozumiał: dlaczegóż bym się bał, wszak to jest mem pragnieniem!

— Czy nie drżysz przed chwilą, w której ciało twe bez duszy zostanie? — nie boisz się nieskończonej, wiecznej nicości, której tak bliskim jesteś?

— Już się tak stać musi. Jeśli nie dziś, to jutro. —

Wieczny żywot nam przecież... ha, ha... Adam w raju przegrał... — Tu chciał się trochę uśmiechnąć...

Lecz śmiech ten był dla starca pchnięciem miecza w serce.

— I nie wzdrygasz się na myśl, że będziesz pokarmem i mieszkaniem dla robaków?

Ponowny napad kaszlu rzucił chorego na poduszkę, z której się jednak wnet podniósł.

Leżał, a fala krwi uderzyła mu do twarzy. Umrzeć — umrzeć — śmierć nie miała już dlań nic strasznego w sobie. Jakże to pięknie musi być tak sobie w marzeniu przejść do wieczności — do nicości, gdzie niema żadnych trosk i żadnych bolów — — ah — śmierć...

Zmysły jego poczęły powoli usypiać: już tylko ciche szepty wychodziły od czasu do czasu z jego bladosinych ust.

Cóż mu się naraz stało? Cóż się stało? Gdzie jest? Czyż nie widzi się naraz w szeregach towarzyszy, czy nie wychodzi z nimi z fabryki w zbitych, nieskończenie długich szeregach? — Strejk. — Czyż nie widzi, jak głodny i zmarznięty siedzi ze starym ojcem na nędznem poddaszu — ośm, dziesięć tygodni — dłużej — któż wie jak długo? — A potem — potem znów staje w szeregach ze swym towarzyszem pracy — demonstracja — naraz — przed pierwszym szeregiem zjawia się żandarmerja — wojsko — „stać, stać!"

Ale masy ludu prą z tyłu naprzód, one stanąć nie mogą — oto już słychać strzały karabinowe — krzyki — przekleństwa, i znów trzask salwy — kamienie lecą jak grad w stronę żołnierzy — rewolucja. — —

Jęcząc, obrócił się chory gwałtownie na łóżu.

Naraz — cóż to jest? — przed oknem słychać tysiące kroków — o — już nie słyszy salwy ani krzyków swych towarzyszy. — Teraz oni śpiewają:

„Allons enfants de la patric,
Le jour de gloire est arrive!"

Marsyljanka. — — „Allons enfants!"

Głos utkwił mu w gardle.

— Ha — oni zwyciężają — zwycięstwo! — zwycięstwo!

Chłopiec poprawił się na łóżku, podczas gdy starzec stał przy oknie.

— Zwycięstwo — zwycięstwo! — „Przez walkę do zwycięstwa!" Czy nie krzyknął tego ktoś w okno? Żyć znaczy to samo co: Walczyć! Cześć życiu!

Chory porwał się z łóżka i wyciągając ramiona, zawołał w gorączce: „Cześć ży..." Ale strumień krwi, który mu w tej chwili uderzył do ust, zdławił ostatnie jego słowo. Całym ciężarem swym padł na ziemię...

A tam pod domem w zwartych, nieskończonych szeregach przechodziły tysiące robotników, którzy święcili pamięć poległych w boju o wolność i prawa ludu i śpiewały:

„Allons enfants de la patric,
Le jour de gloire est arrive!..."

# Z przeszłości przemysłowego robotnika górnośląskiego.

Szkic historyczno-ekonomiczny.

Napisał Emil Caspari.

(Ciąg dalszy.)

W przemyśle cynkowym i ołowianym było od r. 1882 do 1889 razem 14 wypadków śmierci, w okresie 5-letniu (1885—1889) było nieszczęśliwych wypadków z niezdolnością do pracy powyżej 13 tygodni 77, z niezdolnością do pracy poniżej 13 tygodni 1092, wogóle nieszczęśliwych wypadków (z wypadkami śmierci) 1179, czyli na 1000 zatrudnionych 31,21 wypadków. W r. 1885 odsetek ten wynosił 20,03, podniósł się w r. 1888 do 39,70, a w r. 1889 obniżył się do 32,77!

Wreszcie w całym przemyśle montanicznym było od 1882 do 1889 r. ogółem 986 wypadków śmierci, w okresie 5 letnim (1885—1889) nieszczęśliwych wypadków z niezdolnością do pracy powyżej 13 tygodni 2066, z niezdolnością do pracy poniżej 13 tygodni 21 866, wogóle nieszczęśliwych wypadków w poszczególnych latach: 1885 — 3116 czyli 39,39 na 1000. 1886 — 4291, czyli 53,93 na 1000, 1887 — 5584, czyli 68,89 na 1000 1888 — 5619, czyli 66,20 na 1000, 1889 — 5927, czyli 64,90 na 1000, razem zatem w ciągu 5 lat 24 537, czyli przeciętnie 58,99 na 1000 zatrudnionych robotników!!

O stosunkach robotniczych w sprawozdaniach inspekcji przemysłowej znajdujemy już po r. 1880 znacznie mniej danych.

Co się tyczy pracy robotników młodocianych, to sprawozdanie za r. 1881 zaznacza, że większość ich przypada na przemysł hutniczy, w którym zatrudniano ich ogółem 848. Kopalnie rud w obwodzie górniczym tarnogórskim zatrudniały 491 robotników młodocianych. Podaż młodocianych rąk roboczych była znacznie większą od zapotrzebowania, to też płaca za nie była bardzo niską, bo wynosiła za dniówkę 50 do 60 fenigów! Czas pracy wynosił dla nich 12 godzin z półgodzinną pauzą przed i po południu oraz 1-godzinną na obiad. Na fiskalnej kopalni rudy ołowianej pod Tarnowskiemi Górami płacono młodocianym robotnikom jeczcze mniej, bo tylko 40 do 50 fenigów za dniówkę.

W r. 1882 liczba młodocianych robotników się znacznie podniosła, wzrosła bowiem z 1713 do 2657. W przemyśle górniczo-hutniczym i przy obróbce metalów zatrudnionych było w r. 1881: 979 chłopców i 288 dziewcząt, czyli ogółem 1267 młodocianych robotników, w roku następnym liczby te wynosiły już 1315, 452 i 1767.

Inspektor przemysłowy podkreśla z zadowoleniem fakt, że liczba zatrudnionych dzieci szkolnych poniżej 14 lat) spadła do 3 wobec 10 w r. 1881 i 23 w r. 1880. Tymczasem zaraz z następnych wywodów sprawozdawcy wynika, że tak mała liczba była tylko pozorną. Cóż bowiem się działo? Inspektor przemysłowy stwierdza mianowicie, „że pomimo wielokrotnych napominań ciągle jeszcze dzieci szkolne podczas pory obiadowej lub także po nauce szkolnej przychodzą niekiedy odwiedzać zatrudnionych na hucie swoich krewnych i przy sposobności wykonują drobne prace." Szczególnie działo się tak — powiada inspektor — po hutach cynkowych. Naturalnie, że zarządy hut patrzały na to przez palce, dopóki inspekcja nie zwróciła na to uwagi.

W r. następnym liczba zatrudnionych młodocianych robotników wzrosła do 2786, czyli że podniosła się o 5 procent.

Mówiąc o zatrudnianiu młodocianych robotników w obwodzie górniczym królewsko-huckim, które podówczas na kopalniach węgla kamiennego było jeszcze nieznaczne, ubolewa urzędnik rewirowy, że praca ta „nie odbywa się w większych rozmiarach, z jednej strony w interesie samych zakładów, aby synów górników utrzymać przy zajęciu swych ojców, z drugiej strony, aby umożliwić leżące w zarobku młodocianych robotników polepszenie stosunków gospodarczych rodziny i ochronić młodych ludzi, przez regularną i przynoszącą korzyści pracę, zawczasu przed skutkami próżnowania, w jakie bez wątpienia w przeciwnym razie wpadliby."

Mamy tutaj to, co i teraz widzimy: zarobki dorosłych robotników są niewystarczające, więc muszą dorabiać dzieci, aby „stosunki gospodarcze rodziny polepszyły się".

Urzędnik rewiru katowickiego zapewnia, że robotnicy młodociani pracują tylko na powierzchni i przeważnie (?!) tylko przy całkiem lekkich robotach, jako to przy smarowaniu wagonów, czyszczeniu szyn kolejek, i t. p. i jako posyłki.

W r. 1884 liczba zatrudnionych młodocianych robotników podniosła się do 3003, podskoczyła zatem w porównaniu z rokiem poprzednim o 7,8 proc.

Sprawozdanie inspekcji przemysłowej zwraca szczególną uwagę na to, że w hutnictwie i na kopalniach rudy żelaznej

liczba zatrudnionych dziewcząt (poniżej 16 lat) wzrosła z 481 do 555, czyli o przeszło 15 proc., podczas gdy jednocześnie liczba chłopców w tym wieku spadła z 950 do 890.

Jeżeli zatrudnianie młodocianych robotników po kopalniach węgla kamiennego było jeszcze nieznaczne, to składały się na to — jak powiada sprawozdanie z królewsko-huckiego rewiru górniczego — że z jednej strony wydajność pracy tych robotników jest niewielka „wskutek ich powolnego rozwoju cielesnego", a z drugiej, że przedsiębiorcy niechętnie podddają się „uciążliwym dla nich przepisom prawnym.

Wogóle w okresie 11-letnim (1880—1890) liczba młodocianych robotników w przemyśle górnośląskim (bez właściwego górnictwa) wynosiła w poszczególnych latach:

| | |
|---|---|
| 1880 . . . 1813 | 1886 . . . 2914 |
| 1881 . . . 1713 | 1887 . . . 2824 |
| 1882 . . . 2657 | 1888 . . . 3216 |
| 1883 . . . 2786 | 1889 . . . 4050 |
| 1884 . . . 3003 | 1890 . . . 5028 |

Do r. 1887 przyrost stopniowo następował, zwiększając się o 1010 osób, dopiero w ostatnich 3 latach był on bez porównania szybszym, wynosząc 2204 osób. Najwięcej młodocianych robotników pracowało w przemyśle hutniczym i po kopalniach rudy żelaznej. Z ogólnej liczby w tej grupie zawodowej było zatrudnionych: w r. 1886 844, w roku 1887 991, w r. 1888 1242, w r. 1889 1569. W sprawozdaniu za r. 1889 czytamy, że większość przyrostu młodocianych robotników przypada na przemysł hutniczy, na przemysł obróbki metalów i na kamieniołomy, przyczem — powiada inspektór przemysłowy — jedynie (!!) w tych ostatnich „w pojedyńczych wypadkach zauważyłem, że stawia się nieco za wielkie wymagania co do siły cielesnej chłopców."

Sprawozdanie za r. 1890 zaznacza, że zwiększone zatrudnianie młodocianych robotników „być może częściowo polega na tem, że w przemyśle stale panował brak robotników, który trudno było usunąć, ponieważ nie można było zatrudniać tu robotników zagranicznych". Podaż rąk roboczych z pośród dorosłych robotników była niewystarczającą, więc — cóż prostszego — jak napędzać do pracy młodych chłopców i dziewczęta!

Có się tyczy zatrudniania robotnic, to w sprawozdaniu za r. 1884 inspekcja uskarża się, że ma ono miejsce w hutach i kopalniach rudy żelaznej i wypowiada się za zakazem zatrudniania kobiet przy odwożeniu szlaki i t. d. z kanałów popiołowych, w walcowniach i hutach cynkowych, „ponieważ praca ta z jednej strony z powodu kobiecego ubrania jest niebezpieczną, a z drugiej strony nie zaleca się ze względów moralnych". Ponownie sprawozdawca potępia zatrudnianie kobiet przy windowaniu w kopalniach rud „jako zupełnie nie odpowiadające organizmowi kobiecemu."

Co do rozmiarów pracy kobiet, to mamy liczbowe dane w sprawozdaniach inspekcji za 3 lata (1896—1888), kiedy w całym przemyśle (wyłączając górnictwo) pracowato kobiet w r. 1886: 11 395, 1887: 11 839, 1888: 12 793, pozatem w samem górnictwie było zatrudnionych kobiet w r. 1886: 6256, 1887: 6587, 1888: 6800.

Specjalnie w przemyśle hutniczym i w kopalniach rudy żelaznej liczba zatrudnionych kobiet podniosła się z 4301 w r. 1886 do 5088 w r. 1887 i 5479 w r. 1888. W zakładach, podlegających dozorowi inspekcji górniczej, 12,7 proc., przeciętnie zaś w całym przemyśle 16 proc. Przyznać należy, że jest to odsetek bardzo wysoki!

Czem było wywołanem takie masowe zatrudnianie kobiet? Inspektor fabryczny w sprawozdaniu za r. 1888 zauważa, że tak rozległa praca kobiet na Górnym Śląsku „mniej jest potrzebą przemysłu, więcej zaś samej ludności robotniczej" oraz że w razie zakazu jej „kobiety zmuszone by były bardziej, niż dotychczas, szukać zatrudnienia w innych częściach kraju przez tak zwane „chodzenie na saksy". W ten sposób przedsiębiorcy górnośląscy starali się upozorować przed światem masowe zatrudnianie kobiet w zakładach przemysłowych!

Że zaś przedsiębiorcom bardzo zależało na zatrudnianiu kobiet, o tem świadczy sprawozdanie inspekcji za r. 1887, w którem czytamy, że w przemyśle hutniczym na Górnym Śląsku „częstokroć przejawia się obawa, że praca kobiet mogłaby ulec ograniczeniu prawnemu." Niektórzy kierownicy większych fabryk widzą w tem wielkie poszkodowanie przemysłu i górnośląskiej ludności, inni mniemają, że przemysł jednak będzie w stanie obyć się bez pewnej części tanich kobiecych rąk roboczych i że ograniczenie pracy kobiet będzie miało również zbawienny wpływ na położenie ludności robotniczej. — Obawy pozostały płonnemi — praca kobiet ograniczoną nie została. Właściciele hut w dalszym ciągu mogli się masowo posługiwać tanią pracą kobiet!

Jak dalece rozwinął się był przemysł górnośląski — poza właściwem górnictwem — widzimy z ogólnej liczby zatrudnionych robotników. W sprawozdaniach inspekcji znajdujemy dane dla okresu 4-letniego (1886—1889). Wynosiła ona mianowicie w poszczególnych latach w roku 1886: 60 647, 1887: 62 136, 1888: 68 154, 1889: 73 333. Lata 1888 i 1889 były szczególnie ożywionemi pod względem gospodarczym. Liczba zatrudnionych robotników w ciągu czterech lat powiększyła się o przeszło 12 000 czyli 20,9 proc.!

Jak się w ogólności przedstawiały stosunki robotnicze, na to kilka przykładów. Sprawozdanie inspekcji za r. 1881 powiada, że wielką niedogodnością, jaką się przedtem napotykało, było to, że „na wielu zakładach przemysłu górniczo-hutniczego, rzekomo głównie wskutek braku dostatecznej ilości drobnych gatunków pieniędzy, następnie jednak również ze względu na wygodę, większa ilość ludzi należny im zarobek otrzymywała wspólnie z większemi sztukami pieniężnemi lub banknotami." I cóż było następstwem takiego sposobu wypłaty? Robotnicy dla wykonania wymiany i podzielenia się zarobkiem szli do najbliższych szynków, przyczem naturalnie „pan gospodarz" robił na tem dobry interes, bo robotnicy zaraz na miejscu część pieniędzy przepijali. Pośrednio w ten sposób właściciele kopalń i hut przyczyniali się do rozpijania robotników — byleby sobie tylko zaoszczędzić nieco zachodów o wystaranie się na dzień wypłaty dostatecznej ilości drobnych pieniędzy!

W mniejszych przedsiębiorstwach jeszcze gorzej z wypłatą się miało, bo w tem samem sprawozdaniu czytamy, że działy się w nich wykroczenia przeciwko ustawie procederowej tego rodzaju, że pracodawcy wypłacali robotników po części znaczkami, za które ci następnie mogli kupować towary u kupca-krewniaka, handlującego naturalnie również spirytualjami. Jakie przytem działy się nadużycia, widzieliśmy już w poprzednim rozdziale.

Co się tyczy czasu pracy, to — według sprawozdania za r. 1885 — rzeczywisty 12 godzinny czas pracy i dłuższy zdarza się stosunkowo rzadko. Przy wielkich piecach, w hutach ołowiu i srebra, w koksowniach praca trwa 12 godzin, w kopalniach rudy żelaznej tylko 8 godzin, w walcowniach żelaza i pudlingarniach, stalowniach, walcowniach blachy cynkowej 9—10 godzin. W przemyśle górniczym praca idzie bez wyjątku na dwie zmiany: dzienną i nocną po 12 godzin, włączając w to 2 godziny pauzy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

## Rozmaitości

**Agient policyjny — apaszem.** Szereg skandali francuskich powiększył się aferą agienta policyjnego Gastona Warzé.

Warzé, były podoficer, liczy 25 lat i jest a raczej był do niedawna najzdolniejszym agientem paryskiej policji, podziwianym za swą doskonałą znajomość życia i zwyczajów zbrodniarzy, oraz za niezrównaną odwagę, z jaką zapuszczał się, jako członek „brigade mobile", do najgorszych spelunek i nor. I oto tę perłę policyjną oskarżają obecnie o kradzieże, włamania, morderstwo i dowództwo bandy apaszów. „Niezwykła znajomość" życia przestępców paryskich przydała się jeszcze raz p. Warzé o tyle, że od czasu od-

krycia jego sprawek policja nadaremnie poszukuje śladów po nim.

Historja zamiany agienta policyjnego na apasza jest następująca:

Podczas jednej z wypraw w zaułki Monmartru spotkał Warzé niejaką Kamillę Ogi z przezwiskiem „Bez" — Frynę świata morderców i suterenów, ostatnio kochankę „wielkiego Ludwika", który zamordował na placu Clichy agienta Moulisa. Ten wdzięcznie pachnący „bez" montmartrski, uwikłał Warzé'go bez ratunku w swe sieci. Ogi wprowadziła go do towarzystwa złodziei i zbrodniarzy, a gdy pieniędzy na hulanki nie starczało, Warzé znalazł się niebawem na czele bandy włamywaczy, dokonywającej zuchwałej kradzieży w składach jubilerskich w biały dzień na najruchliwszych ulicach (tak np. sklepy na rue Richèlieu i rue Vivienne obrabowano około 3 po południu.

Szef policji puścił na trop zuchwałej bandy najlepszego agienta policyjnego, naturalnie Warzégo i tu dopiero zaczyna się komedja, odgrywana przez W. z mistrzostwem. Śledził za sobą samym do upadłego, zastawiał na siebie najpomysłowsze pułapki, zawsze miał dobre przeczucie i węch, które zdobywały mu nowe uznanie przełożonych — lecz zawsze przychodził za późno. Wkrótce też doszło do wiadomości władz, że bandą opryszków kieruje jakiś genjusz w rodzaju Sherlocka Holmesa i że przybrał nazwisko „Nicka Cartera".

Pościg za owym „Nickiem Carterem" trwałby zapewne jeszcze bardzo długo i przyniósłby Warzé'mu niejedno odznaczenie, gdyby nie to, że w sobotę aresztowano przypadkiem jednego z członków jego bandy i ten wydał wszystko. Policja rzuciła się do poszukiwań, lecz Warzé znikł bez śladu, a obecnie zapisują na jego konto, oprócz wielu kradzieży i włamań, również fałszerstwo monet, kradzież kościelną i morderstwo, dokonane na osobie jednej z przyjaciółek panny Ogi, która groziła mu zdradą przed władzami.

Podług ostatnich wiadomości z Paryża Warzè sam się oddał w ręce policji.

* * *

**Nowa rasa ludzka.** Na wyspach Sandwich (Hawaji), leżących na Oceanie Spokojnym powstała nowa, niezmiernie ciekawa rasa ludzi. Wyspy Sandwich (jest ich ośm) należą prowizorycznie do Stanów Zjednoczonych. Mają razem 6640 mil kwadratowych powierzchni. Największa z nich, Hawaji, ma 4210 mil, najmniejsza, Kahoolawe, 53 mil.

Na tej przestrzeni mieszka 200 000 ludzi, stanowiących zadziwiające pomieszanie ras. Powstał stąd typ, opisany w „Westminster Gazette", jak następuje:

Wzrost więcej niż średni, włosy czarne, cera lekko oliwkowa, usta zmysłowe, oczy brunatne, błyszczące. Zamiłowanie do muzyki, sztuk pięknych i literatury. Amerykanie nie przestają administrować tych wysp, ale wszystkie sprawy przejdą niebawem do rąk nowej rasy, która zajmuje już prawie wszystkie urzędy. Wyspy Sandwich są wspaniałe, ziemia urodzajna, klimat nieporównany. Nowa rasa mówi językiem angielskim, w którym jest jednak wiele wyrazów miejscowego narzecza.

Według ostatniego spisu ludności (z r. 1900) można zrozumieć, w jaki sposób powstała i w dalszym ciągu tworzy się nowa rasa.

Na wyspach Sandwich mieszka 61 115 japończyków, 29 787 hawajczyków, 25 762 chińczyków, 15 675 portugalczyków, 7848 metysów, 7283 amerykanów, 1730 anglików, 2134 niemców, 653 polinezyjczyków i 2994 różnych innych narodowości.

Są wśród nich katolicy, protestanci, buddyści, wyznawcy Konfucjusza — i wszyscy żyją ze sobą w najlepszej zgodzie.

* * *

**Jakie skarby stwarza dłoń robotnika?** Robotnik, przetwarzając surowiec, wytwarza nieraz ogromne skarby. Wart zatem swej zapłaty i szacunku. Uczony Gottstein daje w „Naturwissenschaftliche Wochenschrift" kilka przykładów o wartości pracy. Naprzykład:

Drzewo. Wartość kubicznego metra w lesie wynosi 10,15 mk. Jeżeli robotnik to drzewo przerobi na celulozę, wówczas wartość wzrasta jak następuje: Za wyroby drzewne 21 mk., za 200 gramów wyrobionej z tego drzewa celulozy 35 mk., za wyrobiony z tej celulozy papier 70 mk. Jeżeli z celulozy tej przędzono nici, wartość wzrosła na 155 marek. Gdyby celulozę zamieniono w wiskozę (substancja otrzymywana przez traktowanie celulozy kwasami i siarkami węgla; służy do klejenia papieru, apretury bawełny, daje się też przerabiać na płyty i masę, zastępującą róg i kość słoniową — przyp.) i tę wiskozę przerobiono na sztuczne włósie, wówczas wartość wzrosła by na 2100 mk., przerobione zaś na jedwab 3500 mk. Gdyby ją acetylizowano i przerobiono na jedwab azetatowu, wówczas wartość wzrasta nawet na 5500 mk.

Wzrost wartości surowca drzewa wynosi 5589,50 mk., czyli 532,3 procent.

Żelazo. Tu dłoń robotnika jeszcze większe skarby stwarza. Centnar żelaza kruszcu kosztuje 30 fen., centnar żelaza surowego 3 marki, żelaza lanego 9 mk., żelaza sztabowego 9,90 mk, centnar blachy 11 mk., drutu 12 mk., stali 27 mk., przerobionego na noże 1500—2000 mk., na delikatne sprężyny do zegarków — nawet 600 000 mk.

Cześć pracy, która takie skarby stwarza!

* * *

**Oryginalna reklama.** Jeden z berlińskich fabrykantów automobilów wpadł na pomysł oryginalnej reklamy. Na banknotach 100 markowych na ich białej stronie wydrukował stempel swej firmy z napisem: „Kto u mnie kupuje, niejeden taki banknot oszczędzi." Przy próbie puszczenia tych reklamowych banknotów w obieg, fabrykant nie uniknął konfliktu z policją. Kelner wozu restauracyjnego, któremu fabrykant banknot taki doręczył, sądził, że ma do czynienia z fałsyfikatem i zrobił doniesienie do policji. Dopiero po opinji rzeczoznawców wypuszczono fabrykanta na wolność. Reklama znajdzie jednak zapewne naśladowców, gdyż niema zakazu sądowego, któryby ją mógł udaremnić. Bank państwa obowiązany jest bowiem taki reklamowy banknot przyjąć, odliczając tylko 18 fenigów za uszkodzenie.

* * *

**Ciekawe podatki.** Ciała ustawodawcze związkowych Stanów Północnej Ameryki niezmordowane są w wymyślaniu środków, celem zapobiegnięcia stałemu zmniejszaniu się liczby urodzeń dzieci. Niedawno temu przyjęto w stanie Illinois prawo, przyznające każdej mężatce, która w przeciągu 2 lat po ślubie urodzi dziecko, premję państwową w sumie 400 mk., za każde następne dziecko, urodzone w przeciągu dwuch lat otrzyma każda matka dalsze 400 marek; za bliźnięta lub trojęta wyznaczone są osobne przemje. Środki na premje te wpłynąć mają z podatków, nałożonych na kawalerów, mianowicie będzie każdy kawaler po skończeniu 35 roku życia płacił 40 mk. rocznie podatku.

* * *

**Ilu abstynentów i ile abstynentek jest w całych Niemczech?** Według obliczenia na rok 1909 było zorganizowanych członków w rozmaitych towarzystwach 125 tysięcy. W roku 1908 było ich 100 tysięcy. Zatem wzrosła liczba członków przez jeden rok o 25 tysięcy. Doliczyć teraz do nich wszystkich tych niezorganizowanych, luzem chodzących abstynentów, i wszystkich tych, np. należących do towarzystw wegetarjuszów, do armji zbawienia i do innych towarzystw reformatorskich, to liczba — zdaje się — wzrosłaby na 250 000 a może nawet więcej.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 18. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 6 maja 1911.

JULJUSZ KADEN.

## RZEŹNIK.

Z drzew kwitnących za parkanem wiatr zrywał raz po raz białe wonne pierze listków i posypywał nimi brukowisko rzeźni, w blaskach słonecznych lśniące, niby ułożone z ogromnych rubinów.

Rzeźnik cisnął papierosa, który z sykiem zagasł w krwawem błocie, obrócił się na pięcie i wszedł pod ciemny strop budowy. W tej otchłani świeżego mięsa, zionącej słodkawym trupim wyziewem, chłodno było, jak w grocie. Gęsty zapach rozdymał nozdrza, napełniał płuca, sadowił się gdzieś pod sercem i zwolna dusił je nieposkromioną czczością.

Słychać tu było bez przerwy wilgoć krwi. Sciekała między kamienie wąskiemi strugami z odciętych już łbów zwierząt, krasną bańką bulgotała w obrzękłych wargach. Cicho, różańcem powolnych kropel sączyła się przez uszy i rozerwane chrapy. Z tułowiów, zawieszonych u stropu płynęła wzdłuż ku szyjom a stąd po przepiłowanych karkach wzdłuż na podłogę.

Ślisko było. Śliskość tę zwiększały w dwójnasób niepouprzątane jelita. Głosy ludzkie, mlaszczące w czerwonem błocie kroki, oślizgły plusk rzucanych na wsze strony wnętrzności, nawet zgiełkliwy śmiech wsiąkał i ginął w ustawicznem ciurkaniu krwi.

Wysoko w kątach krwawej powały tkwiły ostre zęby kół śrubowych, haki, rozwidlone ćwieki i kłęby żelaznych sznurów. Supły, węzły i skręty żelastwa, zatracone w rudym mroku, zrastały się w sturamienny splot macek i żądeł drapieżnych.

Nie było widać ścian izby, a raczej krwawe mięso, wiszące u góry i dokoła zdało się ścianą i sufitem porżniętym ciemnemi rysami. Tam właśnie, głęboko w rozpadlinach ścierwa czarną nicią ruchliwego zajadu żerowały muchy.

Z pod krzepnącej posoki nie było widać kamieni. Podłoga miała pozór grząskiego bajora, na którego powierzchni — straszliwe muchomory, wodorosty, glisty i ropuchy — unosiły się wyrwane trzewia zwierząt.

Na pół obnażeni ludzie, jak wielkie, biało-różowe czerwy uwijającej się w ogromie tej mięsnej gardzieli, patroszyli zaciekle rozwarte kadłuby zwierząt. Nie ustawał ani na chwilę zgrzytliwy świst noży ostrzonych na długich śpikulcach i żelaznych osełkach. Spłoził się po żelastwie zygzakami stalowego zgrzytu a złączony z poszmerem krwi przechodził w lepki sprośny śmiech. Plaskanie mokrych szmat, któremi oklepywano dymiące ciała zwierząt, zwarty chrzęst zdzieranej skóry, suchy trzask piłowanych kości mięszał się ustawicznie z beczeniem bydła, uwiązanego przy sąsiednich wrotach. Hałas i rumor bydląt nikł co chwila w wartkim przeraźliwym kwiku świń, który wytryskał z sąsiednich baraków i świdrującym tokiem pogłosu przewiercał powietrze.

Rozległy się ciężkie, miarowe, dokładne kroki. Obok nich żmudne dreptanie. Wszedł człowiek, ciągnący sznur. Za nim wpadł wielki, rogaty cień. Siną tjarą przepełznął po czerwonem wnętrzu szopy i wsiąkł w powałę. W drzwiach ukazało się białe, ciche, poważne bydlę...

Rzeźnik podciągnął portki wysoko w pasie, odwinął rękawy. Szczeliną przednich zębów splunął sykliwie. W głęboką twardą garść ujął drzewce obucha i czekał.

Zaskrzeczały koła i śruby przy suficie. Suchy krąg żelaziwa wiercił się, krącząc miarowo. Charczącym rechotem zawarczało żelazne jądro. Po chwili, jak straszny, ciągnący się śluz zwisły ku ziemi dwie długie, krwią zbroczone liny. Założono je bydlęciu na nogi, wedle łba bardzo zmyślnie. Tak, że musiało stać bez ruchu, owiązane prężnym sznurem, niby samym nerwem czarnej zdrady.

Załaskotały noże, ostrzone na długich osełkach. Ktoś strącił na ziemię wielką miedzianą misę. Tępym bełkotem huczała na bruku. Człowiek z wąskim białym nożem w w grubych szerokich wargach pociągnął zwierzę za rogi ku światłu. Tu rzeźnik pojętną dłonią wyczuł ciepłe miejsce na czołowej kości, zapamiętał je okiem i odstąpił na dalekość rozmachu ręki.

Ludzie spojrzeli po sobie.

Oburącz ujął drzewce, zakończone tępym, żelaznym klocem. Mocarnymi guzami dłoni ścisnął je. Przywarł potężną wnęką swych pięści. Uniósł w górę poza siebie. Kopiąc daleko gęste skrzepy błota przetarł stopami brukowisko i pewną nogą utwierdził się na niem. Teraz już czekał na przychylną pozycję ofiary.

Stopniowo gotował się w nim zapał ostrej, błyskawicznej chęci. Coś szło niby jakieś wybuchowe tchnienie z miejsca na miejsce. War szumiał pod czaszką. Zdawało się, że serce nie bije w piersi, a nawrotami szczeka, ujada. Niecierpliwość, jak gryzący świerzb oblazła całe ciało.

Głowę zwierzęcia przychylono coraz wyżej, póki łeb nie stanął w jednej prawie linji z karkiem. Duże, ufające oczy wołu z bezbrzeżnym spokojem patrzyły teraz w górę. Oczy rzeźnika, znaczące śmiertelny cios na środku ufnego łba zwęziły się straszliwie. Zdumienie mignęło w nich i zazdrość. Ze to bydlę tak bezkłopotliwie tu stoi, że pogodnie łypie oczyma. Ze ogonem chce majdać i muchy zganiać.

Aż nagle ze szpar zwężonych wybłysły dwie cieńkie lodowate strzały.

Wielka, słodka litość zdjęła rzeźnika. Wraz z nią poczuł w mózgu zestrzępioną błyskawicę strasznego ciosu. A wtedy gniew białą gwiazdą przesłonił mu oczy, przeraźliwie zaświszczał w uszach. W tym oślepiającym błysku chwili zrozumiał rzeźnik, że okrutne cierpienie wołu świdruje jego własną czaszkę. Ciężar bólu, strasznym znojem sprężył kark człowieka. I wtedy, by zwalić z siebie ten ból przeraźliwy, nie do wytrzymania — wykonał.

Ramiona zastygłe nad głową w stalowy klin jednym susem skoczyły naprzód. Razem z piersi zwierzęcia i człowieka wyrwał się krótki, zduszony świst. Wół zachwiał się. Jakby w wielkim smutku i żałości pochylił głowę. Ciężkie westchnienie rozparło mu nozdrza. Zmętniałe oczy stanęły w słup.

Zachuczał drugi, głuchy raz. Grzbiet zwierzęcia zgiął się. Nogi zadrżały. Wyprężony ogon trząść począł chwostem i chlastać.

Po raz trzeci potężnem uderzeniem, jak w mur rąbnął obuch w czoło stworzenia. Jasny trzask wydarł się z czaszki. Zwierzę, niby zachwiana budowa runęło. Oczy jak krwawe jaja zadygotały w orbitach. Z pyska potoczyła się czerwona piana. Drgjące nogi wątłym, daremnym ruchem grzęzły w powietrzu.

Pod gardziel przystawiono misę, do której gorącym ruczajem chlusnęła krew. Chłopcy miarowo przysiadając, międlili pośladkami wzdęte boki wołu.

Nastała cisza. Słuchano uważnie płynnego szeptu w misie mosiężnej... Ten i ów spluwał. Ten i ów chrząkał, by zwilżyć wyschłe gardło.

Rzeźnik odstąpiwszy w tył ocierał drżącemi rękoma wilgotny obuch. Uspokoił się prawie całkiem. Tylko w skronie biła krew głośno, niby pięścią. Na ochłodę przełknął kawałek lodu.

Tymczasem rozpięte na sznurach cielsko przewalili oprawcy na wznak i z nożami w zaciśniętych zębach obsiedli. Olbrzymi tułów zarysował się czerwonymi szwami nacięcia. Brzuch jak kamizelę otwarto w pośrodku, obie poły waląc na strony. Znów pokwapiły się noże, prując przeponę. Mocny, ciepły smród wyłonił się z czeluści. W rozwartym żywocie, jak w garze gospodarzyć jęły skrzętne ręce. Sprawny czeladnik wywlekał długie jelita, serce, wywarczył ogromny żołądek, jedno za drugiem przesuwając po śliskiej podłodze na drugi koniec szopy. Białą ułapraną we krwi strugę kopnął ktoś aż na próg. Stąd wziął ją chłopiec-pomocnik i niby ciężką mokrą gunkę zawrotem zwalił na wóz.

Zdzierać zaczęli błony i zmywać śluz, lub tu i ówdzie występującą jeszcze strugę krwi. Zawarczała piła na kości, zaszczekał tasak i siekiera. Na ludzi śmignął szronem żółty tłuszcz. Letnia, lepka gruda strzępów mięsa bryznęła dokoła.

Rzeźnik poszedł do nowej roboty. Znów badawczą, podstępną ręką zmacał wrażliwe miejsce cicho czekającego wołu. Znów ręce zbrojne w straszliwy guz obucha wytężył do rzutu. Czy, że ludzie nieskładnie do dzieła się wzięli, czy, że zwierzę zamach młota dostrzegło, dość, że cios wymierzony celu nie dopiął, a całą siłą łupnął w bruk. Wszczął się tumult i gonitwa. Pysk wołu kółkiem za nozdrza przyśrubowany do kamienia nurzał się i dławił w krwawem błocie. Spiętrzone cielsko to w tę to w ową stronę biegło półkołem. Twardy ogon siekącym chwostem prał ludzi, którzy gięli się w skokach, chcąc poskromić strwożone bydlę. Już trzymają. Już czarną grudą przylgnęli do krzyża. Jak rozbity bęben dudni rozparty brzuch wołu. Okute obcasy wpadają weń, jak w ciepły piernat.

Nad głową rzeźnika sterczy młot gotów do skoku. Oczy zwężone pośrodkują chytrze miejsce klęski. Krew wali w skroniach. Niby słyszy to uderzenie, co za chwilę z rąk runąć ma. Słyszy je. Nim obuch żelazny skoczy ona sama obuchem w skronie tłucze.

Zwierz się szamota, chrapy na kolcach strzępi. A w piersiach rzeźnika strasznym ukropem wzbiera cierpliwość. Uderzyć musi, by ulżyć skroniom. Uderzyć jaknajprędzej i pierś wyzwolić. I myśl wyzwolić, bo w myśli ciosu zatrzymać nie zdolen.

Nareszcie! Czoło jak półmisek wyciąga się pod młot. Oczy je biorą spojrzeniem jak w obcęgi. Gnie się postać. Obuch zwisa skosem w tył. W rozmachu na odlew trzaśnie.

Szalony rwetes krwi w oczach. W ramieniu prężność piorunowa. Leci cios. Jak głaz z wysoka na murawę ciśnięty — dudni.

Niekształtnym bałwanem na płaz zwaliło się zwierzę o ziem.

W wielkiem gorącu ciała odstąpił rzeźnik. Bolesny wstrząs huczał mu w głowie. Choć zapał rzutu dogasał, to jednak po całem ciele szły jeszcze skore iskry wzruszenia.

Tylko co zabitego wołu powlekli ludzie, umiatając ciężkim trupem świeże kałuże krwi i białawe błoto wypryśniętego mózgu.

Trwało długo...

Tymczasem blask nieba mącić się począł i gęstnieć. Cienie obok kwitnących drzew wydłużyły się i splotem sinych grubych pręgów wpadły do rzeźni.

Rzeźnik cisnął w kąt obuch i przeszedł do sąsiedniej szopy, gdzie czekano na niego z cielętami. Niewielka to już była robota. Cielętko se ustawił raz dwa, ciche, spokojne. Tylną nogę okręcił pętlicą. Przekręcił koło ze sznurem aż cielak na tej nodze zadyndał. Poderżnęło się grdykę. Krew razem z temi krwawemi łzami fontannę zabąbdąkała w misie i już po wszystkiem.

Szło prędko...

Czas, w tej pracowni, na bezmiłosierdzie zamieniony szedł nie kulejąc.

Aż nagle ciszę niebios przeszpikowały twarde gwizdy fabrycznych kominów. Wrzaskiem i wyciem zwaliła się na miasto godzina odpoczynku.

Napęczniałe od pracy i krwi ręce przemył sobie rzeźnik co nieco, zaćmił papierosa i wyszedł z cuchnącej budy na podwórze.

Słońce jak to krwią ociekające ślepie cielęce zrumienionym blaskiem łyskało przed się w rudę kurzawą miasta. Niebo, ubabrane płomienistą posoką zachodu wisiało nad światem, rzekłbyś rozdarty ochłap ścierwa.

Powietrze drżało, trzęsło się niby gęsty dym stygnących zwłok.

Przeciągnął rzeźnik zmachane członki i ruszył ku miastu. W czerwonych łunach zachodu zdało mu się, że dowodnie widzi krew. Ciężka jest.

Rzeką żygnęła z rzeźni. Morzem wylała się na cały świat.

On ci ją toczy, ofiarnik. A pospołu on również i ofiara w białym, spasionym ręku tych, którzy go wynajęli.

Ejże nieroby — zaświtało mu w głowie — ejże najemce gnuśne.

Wysoko u granicy widnokręgów potworny gruczoł chmur rosł i olbrzymiał. Krwawe mroki chłynęły na ziemię i na miasto, zębatą żuchwą kamiennych wyniosłości wśród nagich pól sterczące.

Zdało się, że się z chmur ulewa czarny obuch. Że lada chwila w piorunowym skoku skruszy wyniosłą żuchwę miasta. Ze lada chwila zmiażdży oblicze krwawej ziemi ciosem zagłady.

# Z przeszłości przemysłowego robotnika górnośląskiego.

Szkic historyczno-ekonomiczny.

Napisał Emil Caspari.

(Ciąg dalszy.)

O samowoli, jakiej robotnicy podlegali ze strony przełożonych, świadczy to, że według wywiadów inspekcji w r. 1888 znaczniejsze zakłady, jak Królewska i Laurahuta, huta Donnersmarka, huta Pokoju, zakłady górnośląskiego Towarzystwa akcyjnego dla górnictwa i hutnictwa i Bismarkhuta, nie miały wcale porządku roboczego, czyli że wszyscy robotnicy zależni byli od widzimisię urzędników, którzy też dowolnie mogli sobie postępować. Tam zaś, gdzie przepisy, odnoszące się do porządku fabrycznego, istniały w zakładach hutniczych, były one wzorowane na porządkach roboczych w kopalniach. Jak zaś te ostatnie „przychylnie“ dla robotników wyglądały, na to sprawozdanie inspekcji przytacza przykład, że jedna taka ustawa robocza zawierała 31 paragrafów z postanowieniami karnemi, ustanawiającemi kary pieniężne od 3—10 mk. „Jeżeli nie da się jednak uniknąć — powiada sprawozdawca — ustanowienia kar za pewne wykroczenia przeciwko porządkowi, zwłaszcza zagrażającemu bezpieczeństwu innych osób, to jednak nie winno się przy ustanawianiu porządku fabrycznego kierować dążeniem, aby za każde możliwe wykroczenie zagrażać karą.“ „Porządek fabryczny — powiada zaraz dalej sprawozdawca — powinien

być ustanowionym przy współudziale robotników, tak samo winien być przestrzeganym przez samego pracodawcy i stosowanie wreszcie nie powinno być powierzane niższym urzędnikom." Jeżeli inspektor przemysłowy na te punkty zwracał uwagę, to możemy sobie przedstawić, że do żadnego z nich w praktyce nie stosowano się. Ustawy robocze ustanawiano zatem jednostronnie, przeładowywano je postanowieniami karnemi za byle drobnostkę, sami przedsiębiorcy do nich się nie stosowali, niżsi urzędnicy, opierając się na nich, trzęśli samowolnie robotnikami!

Z systememem wypłaty miesięcznej, z zaliczką w połowie miesiąca, ściśle związane było smutne zjawisko, że robotnicy zmuszeni byli brać u sklepikarzy towary na „borg", którzy ich przytem niemiłosiernie wyzyskiwali. Przedsiębiorcy górnośląscy, chcąc pokazać swe „dobre serce", przystąpili w ciągu r. 1881 do zakładania stowarzyszeń spożywczych dla swoich robotników. Naturalnie, że postarali się oni już o to, aby te stowarzyszenia nie zamieniły się w samodzielne organizacje, to też zarezerwowali sobie prawo dokonywania kontroli przez swoich urzędników kasowych. Zarządy tych „konsumów" wybierane były wprawdzie przez stowarzyszonych, ale przedsiębiorcy pilnowali, aby zasiadali w nich mili dla nich ludzie. Zależność od sklepikarzy zmniejszyła się nieco, ale za to wzrosła zależność od zakładów przemysłowych, konsumy „robotnicze" stały się w rzeczywistości konsumami „pańskimi". Stowarzyszeni za pobierane towary mieli płacić gotówką, ale wkrótce się okazało, że tak łatwo się do tego zastosować, gdyż — jak powiada sprawozdanie inspekcji za rok 1890 — „przeważnie utrudnia to sposób wypłaty", to też ostatecznie konsumy zmuszone były dawać towary częściowo jednak na kredyt. Przez powołanie do życia „konsumów" przedsiębiorcy uzyskali jedną broń więcej do uzależnienia robotników.

Na „taniem" dostarczaniu towarów przez „pańskie" konsumy „dobrodziejstwa" przedsiębiorców nie skończyły się. Dwa dokłady hutnicze — czytamy w sprawozdaniu inspekcji za rok 1890 — zakupują co rok po możliwie tanich cenach kartofle dla swoich robotników, odciągając następnie pieniądze za nie przez 3—4 miesiące. Dwa inne zakłady dają swym robotnikom na zakupno kartofli zaliczki w wysokości 25—50 mk., które również są potem odciągane od zarobku ratami w ciągu 4—5 miesięcy. Znowu trzy inne huty zakupują tanie morskie ryby. — Przez te wszystkie „dobrodziejstwa" zależność robotników od przedsiębiorstw jeszcze bardziej się wzmagała.

Szczególnem wreszcie „dobrodziejstwem" było budowanie „pańskich" domów robotniczych i noclegowych. Sprawozdanie inspekcji przemysłowej za r. 1881 powiada nam, że liche stosunki, jakie na Górnym Śląsku panowały pod względem mieszkaniowym skłoniły władze do wydania szczegółowych przepisów (z dnia 16 lutego 1880 r.) co do przyjmowania stołowników i współlokatorów. Stosunki te nie dały się jednak początkowo prędko naprawić, „gdyż bardzo duża ilość mieszkań, używanych do tej pory przez współlokatorów, okazała się nieodpowiadającą przepisom i dlatego zarządy większych zakładów, aby ulokować nieżonatych robotników, zmuszone były możliwie prędko zbudować domy noclegowe, albo też tam, gdzie takowe istniały, ale przez robotników niechętnie i rzadko były używane, nalegać z energją na ich używanie." Prawie wszędzie (?!) domy noclegowe miały odpowiadać wymaganiom.

Jak opłakane musiały być ówczesne stosunki mieszkaniowe, o tem możemy się przekonać, przytaczając niektóre postanowienia owego rozporządzenia policyjnego o współlokatorach. Np. § 2 przepisywał, że pomieszczenie, oddane do użytku współlokatorów, nie powinny się bezpośrednio łączyć z pomieszczeniem, w której sypiają osoby płci innej. § 3 postanawiał, że pomieszczenie takie musi być wysokie na 2,35 metrów, posiadać zamykające się drzwi i conajmniej jedno okno, któreby się otwierało. W suterynach wolno zamieszkiwać jedynie za zezwoleniem odnośnej władzy lekarskiej, na poddaszu nie wolno wogóle lokować współlokatorów. § 4 powiada, że pomieszczenia takie nie mogą się bezpośrednio łączyć z ustępami, nie wolno ich używać do przetrzymywania zwierząt lub przechowywania rzeczy, łatwo ulegające gniciu. Według paragrafu 5 na każdego współlokatora winno przypadać 10 metrów sześciennych powietrza i 4 metry kwadratowe przestrzeni powierzchni. Stosownie do paragrafu 6 każdy współlokator musi mieć siennik, mocną wełnianą derkę, jeden ręcznik, a na każdych dwuch współlokatorów powinno przypadać conajmniej jedno naczynie do mycia.

Jak dalece pod koniec ósmego dziesiątka lat posunęła się sprawa budowania „pańskich" domów robotniczych, o tem dowiadujemy się ze sprawozdania inspekcji za r. 1889. Zakłady królewsko- laurahuckie posiadały 6 domów familijnych po 13 mieszkań każdy. Za mieszkanie z jednego pokoju i kuchni płacono miesięcznie 7,50 mk. Dla nieżonatych robotników był dom noclegowy, urządzony dla 150 robotników i połączony z jadłodajnią. Fiskalna odlewnia żelaza w Gliwicach posiadała w bliskości huty 6 domów familijnych, każdy z 4 mieszkaniami, przeznaczonemi częściowo dla urzędników. Oprócz tego posiadała huta trzy czterofamilijne domy wyłącznie dla robotników. Za mieszkanie z jednej izby, komory i kuchni pobierano rocznie 54 mk. komornego. — Zakłady laurahuckie posiadały 45 domów robotniczych z 268 mieszkaniami, składającemi się z pokoju, kuchni względnie komory. Oprócz tego huta dawała robotnikom zaliczki dla wznoszenia własnych domów od 600 do 1500 mk. na 2, 4 i 5 procent, z potrąceniem miesięcznem przy wypłacie zarobku 18, 24 i 30 mk. przez przeciąg 15 lat. Plac pod budowlę dawano bezpłatnie, materjały budowlane po cenach kosztu. Domów takich było 83 z 629 mieszkaniami. Naturalnie że robotnik, który taki dom przy pomocy zakładu wybudował, wpadał w niesłychaną zależność od huty, która w ten sposób zyskiwała całkiem potulnych robotników. — Zakłady Towarzystwa górniczego spadkobierców Gieschego posiadały lub odnajmowały 450 mieszkań robotniczych. Komornego pobierano 3—6 mk. miesięcznie. — Zakłady Borsiga posiadały kolonję robotniczą z 53 domów, każdy z 10 do 16 mieszkaniami. Dwa domy noclegowe miały 220 miejsc dla nieżonatych robotników. — Zakłady lipińskiego Towarzystwa akcyjnego posiadały 556 mieszkań dla robotników. Komorne wahało się pomiędzy 3 a 8 mk. miesięcznie. Na jednej kopalni Towarzystwa był dom noclegowy dla 50 osób. — Zakłady księcia H henlohego posiadały mieszkania dla 180 robotników we własnych domach, a dla 107 robotników w domach wynajętych. — Huta Pokoju miała 23 własne domy z 338 mieszkaniami i jeden dom noclegowy dla 80 osób. — Zakłady górnośląskiego Towarzystwa akcyjnego dla przemysłu żelaznego posiadały 8 domów robotniczych z 25 mieszkaniami i 2 domy noclegowe dla 80 osób.

Jeżeli zważymy, że w domach tych robotnicy podlegali krępującym przepisom, że w razie porzucenia pracy musieli zaraz wynosić się z mieszkania, to zrozumiemy, jak uciążliwymi były te „pańskie" domy dla nich. Za to zakłady, lokując robotników po „pańskich" domach, trzymały ich mocno w ryzach. Na pozór sprawa wznoszenia „pańskich" domów była niby postępem, lecz w rzeczywistości okazała się ona skuciem robotników w kajdany jeszcze większej zależności od przedsiębiorców górnośląskich!

Że w takich domach noclegowych robotnicy czuli się wysoce skrępowani panującym w nich rygorem koszarowym, to potwierdza nam sprawozdanie inspekcji za r. 1890. Głównie dzięki temu, powiada ono, że 3219 miejsc w 79 domach noclegowych w obwodzie przemysłowym) zajętych jest tylko 2476. —

O niebezpieczeństwach, na jakie robotnicy wystawieni byli przy pracy, sprawozdania inspekcji przemysłowej zawierają dużo materjału. Najpierw rozpatrzmy sprawę nieszczęśliwych wypadków, jakie zachodziły przy pracy w zakładach przemysłowych. Przedewszystkiem zauważyć winniśmy, że dopiero od roku 1886, od chwili przymusowego zabezpieczenia robotników od nieszczęśliwych wypadków, posiadamy dokładniejsze dane o ofiarach, jakie padały na pobojowisku pracy. Liczba wypadków, notowanych do roku 1886, która dochodziła do wiadomości inspekcji, stanowiła tylko drobną część wszystkich wypadków, jak to dalej zobaczymy.

(Dokończenie nastąpi.)

# Rozmaitości

**Proces śpiewaczki przeciw Wilhelmowi II.** Z Berlina donoszą: Tajny radca sprawiedliwości trybunału dla skarg cywilnych przeciw członkom domu królewskiego rozpatrywał skargę śpiewaczki operowej Hesslöl z teatru dworskiego w Wiesbadenie przeciw cesarzowi i królowi pruskiemu jako właścicielowi teatru dworskiego. Śpiewaczka skazana została swego czasu w drodze dyscyplinarnej na grzywnę 10 mk. za to, że podczas jednego przedstawienia zachowała się nieodpowiednio wobec kolegów. Obecnie śpiewaczka zażądała zwrotu 10 marek odszkodowania za to, że po karze dyscyplinarnej nie otrzymywała ról, co dla niej przedstawiało ujmę. Wyrok sądu orzekł, że 10 marek ma być śpiewaczce zwrócono, resztę skargi oddalono.

* * *

**Skradzione dziecko w bandzie cyganów.** Do Lwowa przybyła przed kilku dniami banda cyganów i rozłożyła się taborem na Janowskiem. Wśród ciekawych, którzy udali się na błonie Janowskie, w celu zobaczenia cyganów, znalazł się Piotr Hawrysz z Komarna. Przyglądając się bacznie, Hawrysz zwrócił uwagę na dziecko, którego rysy wydały mu się bardzo znajome, a przyjrzawszy się dziecku bliżej, poznał w niem córeczkę swojego przyjaciela Kaczmarskiego z Komarna, która swojego czasu zginęła gdzieś bez śladu. Hawrysz zawiadomił o swojem spostrzeżeniu policję, która aresztowała rzekomą matkę dziecka, cygankę Sinziu Puziuś.

* * *

**Rosyjski naczelnik policji bandytą.** W Archangielsku zastrzelił się naczelnik wydziału śledczego Raskatow. „Utro Rossii“ podaje przyczyny samobójstwa. Są one istotnie niezwykłe. Miljoner miejscowy Kastogorow otrzymał list bezimienny, podpisany rzekomo przez grupę zesłańców politycznych, a domagający się złożenia w pewnym, w liście bliżej oznaczonym terminie i miejscu, 500 rubli. „W razie niespełnienia żądania — brzmiał list dalej — córce pańskiej, jedynaczce, oblejemy twarz kwasem siarczanym. Zwrócenie się do wydziału śledczego nic panu nie pomoże. Wyrok nasz w razie odmowy z pańskiej strony zostanie wykonany, choćby nawet część nas została aresztowana“.

Kostogorow, otrzymawszy list, zwrócił się po radę do naczelnika miejscowego zarządu żandarmskiego, który postanowił, bez odwoływania się do wydziału śledczego, na własną rękę zorganizować ujęcie przestępców na miejscu. Zorganizowano zasadzkę. Kostogorow przyniósł o umówionej godzinie na umówione miejsce 500 rubli, przeżegnał się i odjechał do domu.

W kwadrans później siedzący w ukryciu żandarmi ujrzeli jakiegoś mężczyznę w ubraniu cywilnem, zbliżającego się szybkimi krokami do miejsca, gdzie były złożone pieniądze! Wyskoczyli więc z ukrycia i rzucili się na nieznajomego, który zdążył już schować pieniądze. Jakież jednak było zdumienie ich, gdy ujrzeli przed sobą zmieszanego naczelnika wydziału śledczego, Raskatowa. Żandarmi zmieszali się w pierwszej chwili i nie wiedzieli, co począć: czy bić w dalszym ciągu i aresztować Raskatowa, czy też oddać mu ukłon wojskowy. Nadbiegli wyżsi funkcjonarjusze żandarmerji i uwolnili ich z kłopotliwego położenia. Zaszła pomyłka: Raskatow jechał również ująć przestępców, przez pomyłkę jednak sam wzięty został za przestępcę. Bajka ta nie mogła się jednak długo utrzymać. Wszystkim wiadomo bardzo dobrze, że Raskatow nie mógł nic wiedzieć ani o liście do Kostogorowa, ani o urządzonej na przestępców zasadzce, wydziału bowiem śledczego o tem nie zawiadamiano. Mając do wyboru między hańbą a śmiercią, wybrał tę ostatnią.

* * *

**Statystyka wydawnicza w Rosji.** Główny zarząd do spraw prasowych opracował statystykę książek, wydanych w roku ubiegłym w państwie rosyjskiem.

Według tych danych w r. 1910 wydano ogółem dzieł 29 057 w liczbie 109 990 000 egzemplarzy, z czego na książki rosyjskie przypada 22 321.

W języku polskim wydano w tym samym czasie 2062 dzieła, w żydowskim 903, w niemieckim 884, łotewskim 649, w estońskim 454, tatarskim 313, ormiańskim 203, rusińskim 180, gruzińskim 117, białoruskim 14 itp.

Dzieł religijnych wydrukowano 2232 w 8 692 309 egzemplarzach; zbiorowych utworów — 329 w 1 022 575 egzemplarzach; ludowych — 1595 w 15 641 645 egzemplarzach; dla dzieci — 1287 w 5 727 083 egz.; podręczników naukowych — 2075 w 20 730 510 egz.; kalendarzy — 734 w 13 920 357 egz. itd.

* * *

**Pociąg w przepaści.** W odległości 20 kilometrów od Grahamstown, w pobliżu Kapsztadu, spadł przed kilku dniami pociąg z mostu wiszącego w przepaść. O szczegółach katastrofy donoszą obecnie dzienniki niemieckie następujące szczegóły:

Pociąg, który runął w przepaść, składał się z czterech wagonów osobowych i 6 towarowych. Kiedy pociąg przejeżdżał przez most, wypadł z szyn trzeci wagon towarowy, który przechylił się przez wiązania mostu, toczył się jednak dalej, dopóki nie zerwał się łańcuch, łączący go z innymi wagonami. Kiedy łańcuchy pękły, spadł w przepaść wagon, pociągając za sobą jeszcze dwa osobowe.

Wszyscy pasażerowie tych wagonów w liczbie 35, ponieśli śmierć na skałach, cudownie niemal tylko wyratowały się dwie osoby, mianowicie kilkomiesięczne dziecko, które wypadło przez okno i zatrzymało się między wiązaniami mostu, oraz pewien farmer, który, z narażeniem życia, wyskoczył z wagonu, widząc grożącą katastrofę. Wagony, które uległy katastrofie, spadły w dół z przerażającą szybkością i roztrzaskały się na szczątki.

Przerażający wypadek widział farmer, posiadający w pobliżu wilę i zaalarmował następną stację kolejową, która przysłała pociąg ratunkowy. Zwłoki zabitych przedstawiały straszny widok, gdyż były formalnie zmiażdżone.

# Z literatury i sztuki.

„Krytyki“ miesięcznika, poświęconego sprawom społecznym, nauce i sztuce, wyszedł numer za maj i zawiera w części pierwszej:

1. (f). Wybory w Galicji. — 2. Dr. M. Sokolnicki: Porozbiorowe dzieje Polski w świetle nowych badań. — 3. Dr. Emil Breiter: Filozofja społeczna Jerzego Sorela. — 4. Prof. Jan Baudouin de Courtenay: W sprawie „antysemityzmu postępowego“. — 5. Junius: Współcześni politycy polscy. XXV. Prof. Wł. L. Jaworski. — 6. Przegląd: I. Sprawa Rapperswilska. II. K. B.: Z ruchu kobiecego. — 7. Sprawozdania.

Część druga: 1. T. Miciński: Miłości i melancholji świątynia. — 2. Kaz. Błeszyński: „Trzecie państwo“. — 3. St. Szadurska: Z nowszej poezji włoskiej. Przekłady. — 4. F. Woroniecki: Nowe dramaty. — 5. Sieroszewski: Dary wiatru północnego. — 6. J. Kleczyński: Leon Wyczółkowski. Charakterystyka. — 7. Przegląd: I. Z prasy artystycznej i literackiej. II. T. Charzewski: Z muzyki. (Pokłosie roku jubileuszowego. III. Mungo: Ruch artystyczny we Lwowie. IV. (x): Teatr krakowski. — 8. Sprawozdania. Nowe powieści. Z badań historyczno-literackich. — Dodatek artystyczny: Leon Wyczółkowski: Portret Stef. Żeromskiego. — Rybak. — Krajobraz.

Prenumerata kwartalna wynosi 5 marek.

Adres Redakcji i Administracji: Kraków, ulica Stachowskiego l. 14.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 19. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 13 maja 1911.

AVE.

## TRAGEDJA DUSZY.

(Humoreska.)

Początek tej smutnej i tragicznej zarazem historji jest taki:

Na szóstem piętrze olbrzymiej kamienicy stały w rozmaitych porach trzy osoby, prowadząc między sobą niezwykle ożywioną rozmowę...

Kobieta przyciskała pięknemi, zda się wyrzeźbionemi rączkami, do piersi prześcieradło, zapominając, że prześcieradło to nie może spełniać dwóch ról i przykrywać jednocześnie jej kształtnych, białośnieżnych kolan. Kobieta płakała, a w międzyczasie, między jednem a drugiem szlochaniem, mówiła:

— O, Janie! Zapewniam cię, że nie jestem winna... To on wszystko... Zawrócił mi głowę, zbałamucił mnie, a to wszystko było wbrew... mojej woli! Opierałam się, jak mogłam...

Jeden z mężczyzn, nie zdejmując palta i kapelusza, mocno giestykulował, zwracając się z wyrzutami do trzeciego w tym samym pokoju:

— Nędzniku! Poczekaj, a pokażę ci, że zdechniesz jak pies pod parkanem i prawo będzie po mojej stronie! Poczekajże, odpokutujesz ty teraz za tę cichą męczennicę, o podły wężu-kusicielu!

Trzecią osobą w tym pokoju był młody jegomość, ubrany — jak na tę ważną chwilę — powiedzmy, nie zupełnie starannie, ale w każdym razie trzymający się z wielką godnością...

— Cóż ja... Hm... Ja przecież nic... — oponował, spoglądając smętnie w pusty kąt pokoju.

— Ty nic?! W takim razie czekajże łotrze... A masz!

Krzepki mężczyzna w kapeluszu otworzył naoścież okno, wychodzące na ulicę, porwał za bary nie zupełnie starannie ubranego młodego jegomościa i wyrzucił go za okno...

— — — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — —

Znalazłszy się w powietrzu, młody człowiek nieśmiało zapiął marynarkę i szepnąłwszy sobie na uspokojenie:

— Nic to! Niepowodzenia hartują ludzi!

Poleciał w dół...

Nie zdążył jeszcze w swym locie dosięgnąć najbliższego, piątego piętra, gdy z piersi wyrwało mu się naraz ciężkie westchnienie:

Wspomnienie kobiety, którą przed chwilą zaledwie opuścił, zatruło mu goryczą całą rozkosz odczucia tej jazdy powietrznej...

— Boże mój! — z goryczą pomyślał młody jegomość. — Przecieżem ja ją kochał. A ona... A ona nie znalazła w sobie nawet na tyle męstwa, aby wyznać całą prawdę mężowi! Pal ją djabli! Teraz czuję, że jest mi ona naprawdę daleką i obojętną...

Przy ostatniej myśli dosięgnął piątego piętra i, przelatując koło okna, z ciekawością zajrzał do środka.

Za pochylonym stołem, podparłszy głowę rękoma, siedział młody student i czytał książkę.

Przelatujący jegomość, ujrzawszy go, wspomniał swe życie, wspomniał i to także, że spędził całe swe życie w zabawach światowych, zapominawszy zupełnie o nauce, o książkach, i podczas rozpamiętywania tych rzeczy obudziło się w nim pragnienie wiedzy, jakaś chęć zbadania umysłem głębokich tajemnic przyrody, ogarnął go naraz zachwyt wobec gienjusza wielkich mistrzów słowa...

— Luby mój, kochany studencie! — wyrwał mu się szept z gardła. — Tyś obudził we mnie drzemiące pragnienia i uleczyłeś mnie z tego pustego zainteresowania się bezmyślnem życiem próżniaków, które doprowadziło mnie do takiego smutnego rozczarowania tam, na szóstem piętrze...

Ale nie chcąc odrywać studenta od lekcji, nie zawołał tego na głos, lecz poleciał na czwarte piętro, i tu myśli jego przybrały zupełnie inny kierunek.

Serce ścisnęło mu się słodkim i palącym bólem a w głowie zakręciło się z zachwytu i błogości.

U okna czwartego piętra siedziała dziewczyna i, mając przed sobą krawiecką maszynę, coś szyła.

Ale jej piękne, białe ręce zapomniały w tej chwili o pracy, a niebieskie jak bławatki oczęta patrzały kędyś smętnie i marzycielsko...

Młody jegomość nie mógł oderwać wprost oczu od tego widziadła, a w sercu jego rosło i rozrastało się jakieś nowe, wielkie i przemożne uczucie...

I zrozumiał on naraz, że wszystkie jego dawne stosunki z kobietami były niczem więcej, jak tylko próżnymi porywami, i że teraz dopiero po raz pierwszy poznał on to straszne, tajemnicze słowo: miłość...

I pociągnęło go coś do cichego, rodzinnego życia, do pieszczot, do szaleństwa ukochanej istoty, do radosnego uśmiechu statecznego żywota...

Następne piętro, koło którego w chwili obecnej przelatywał, jeszcze bardziej umocniło go w tem pragnieniu.

W oknie trzeciego piętra ujrzał śmiejącą się matkę, która podrzucając na kolanach tłuściutkie, śmiejące się dziecię, nuciła mu kołysankę półgłosem, a w oczach jej błyszczała miłość i łagodna duma macierzyńska.

— Najlepiej będzie ożenić się z dziewczyną z czwartego piętra i mieć z nią takie różowe, tłuściutkie dzieci, jak te z trzeciego piętra — pomyślał jegomość. Oddam się niepodzielnie swojej rodzinie i w tem samozaparciu się znajdę swe szczęście...

Ale zbliżało się już drugie piętro. I obraz, jaki w oknie tego piętra ujrzał ów młody jegomość, kurczowo ścisnął mu serce.

Za biurkiem siedział jakiś pan o błędnem spojrzeniu i rozwichrzonych włosach. Pan ten bez przerwy spoglądał na fotografję, leżącą przed nim. Przytem prawą ręką pisał jakąś notatkę, w lewej zaś trzymał rewolwer, przyciskając lufę jego do skroni.

— Co robisz, nieopatrzny! Zatrzymaj się! — chciał zawołać przelatujący koło okna jegomość. — Życie tak piękne!

Ale jakiś instynkt powstrzymał go od tego.

Przepych i komfort apartamentu, jego bogactwa i ustronność naprowadziły młodego jegomościa na myśl, że jednak w życiu jest coś takiego, co może rozwiać i tę ustronność, i dobrobyt, i rodzinę — coś bardzo wielkiego, przemożnego i okrutnego zarazem...

— Cóż więc to jest? — pomyślał z ciężarem w sercu młody jegomość, i jak gdyby naumyślnie, życie dało mu surową i bezceremonjalną odpowiedź w oknie pierwszego piętra, którego teraz dosięgnął.

Koło okna, prawie zupełnie ukryty za draperją, siedział jakiś młody pan bez surduta i marynarki, a na kolanach jego siedziała niezbyt starannie ubrana dama, miłośnie objąwszy owego pana okrągłemi, różowemi rączkami i namiętnie cisnąc się ku niemu swemi okazałemi piersiami...

Młody jegomość wspomniał, że widział już kiedyś tę strojną damę na spacerze z mężem, ale ten pan nie był jej mężem... Tamten był znacznie starszy o siwiejących już włosach, ten zaś miał bujną, jasnowłosą czuprynę...

I wspomniał sobie młody jegomość swe poprzednie plany — uczucia się wzorem studenta z piątego piętra, ożenienia się z dziewczyną z czwartego piętra, cichego rodzinnego życia na wzór trzeciego piętra i ciężko ścisnęło mu się serce.

Ujrzał naraz całą nicość, nietrwałość szczęścia, o jakiem marzył; ujrzał w przyszłości koło siebie i żony cały szereg młodych ludzi o pięknych, jasnowłosych czuprynach, i przypomniał sobie męki pana z drugiego piętra i te środki, jakie ten pan przedsięwziął w celu wybawienia się od tych mąk — i zrozumiał go dobrze.

— Po tem wszystkiem, com widział, nie warto żyć dłużej: jest to i głupie i bezcelowe — z bolesnym sarkastycznym uśmieszkiem pomyślał młody jegomość i zsunąwszy brwi, padł z całej siły na trotuar ulicy.

I nawet serce jego nie drgnęło, gdy dotknął się tafli trotuaru i gdy zdruzgotawszy swe bezużyteczne już teraz ręce, rozmiażdżył czaszkę o twardy bezlitosny głaz.

— — — — — — — — — — — — — —

A kiedy nad ciałem jego zebrał się niezliczony tłum gapiów, to nikomu nawet do głowy nie przyszło, jak głęboką i złożoną tragedję duszy przeżył ten młody jegomość przed chwilą!...

Tłomaczył C—s.

# Z przeszłości przemysłowego robotnika górnośląskiego.

Szkic historyczno-ekonomiczny.

Napisał Emil Caspari.

(Dokończenie.)

W r. 1881 w całym przemyśle (poza górnictwem właściwem) zgłoszono wszystkiego 275 wypadków (w tem 20 ze śmiertelnym wynikiem) wobec 199 w roku poprzednim. Główna część z nich — jak powiada sprawozdanie — przypada na kopalnie rudy żelaznej, co do których interesenci „przedtem stale twierdzili, że nieszczęśliwe wypadki nigdy tam nie zachodzą, chociaż panowała tam bezgraniczna nieoględność względem bezpieczeństwa robotników". Dopiero po zaprowadzeniu obowiązku zgłaszania nieszczęśliwych wypadków w kopalniach rudy żelaznej na mocy rozporządzenia policyjnego z dnia 27 września 1880, doszła do wiadomości inspekcji wielka ilość nieporządków i braków, zachodzących na tych kopalniach.

W r. 1882 zgłoszono 310 wypadków, w tem 25 śmiertelnych, z których znowu 7 miało miejsce na kopalniach rudy żelaznej. Z powodu częstych wypadków na tych kopalniach, wywołanych zjeżdżaniem robotników na linie, zakazano tego i zarządzono zaopatrzenie kopalń w osobne szyby z drabinami. Wbrew temu zakazowi, jeden z robotników, zjeżdżając na linie, wpadł w głąb szybu z wysokości 7 metrów. Jeden z robotników udusił się wskutek wadliwego i niedostatecznego doprowadzania czystego powietrza. Trzech robotników zostało zasypanych wskutek zapadnięcia się szybu, niedostatecznie oszalowanego. Takie oto wzorowe porządki panowały po kopalniach rudy żelaznej!

W roku 1883 zameldowano 277 nieszczęśliwych wypadków, w tem 31 śmiertelnych, z tego znowu najwięcej, bo 6 w kopalniach rudy żelaznej. Jako charakterystyczny wypadek przytaczamy ten, że dwie robotnice, zajęte windowaniem rudy, wpadły do szybu.

W r. 1884 zgłoszono 335 wypadków, w tem 34 śmiertelnych. Znowu jedna robotnica przy windowaniu rudy żelaznej wpadła do szybu, nienależycie ogrodzonego. Powtarzanie się takich wypadków skłoniło wreszcie inspekcję do odpowiedniego zarządzenia. Przedsiębiorcy nie bardzo się jednak do tych zarządzeń stosowali, co wynika ze stwierdzenia inspekcji, że na kopalniach rudy żelaznej częstokroć brakło drabin i ludzie musieli zjeżdżać na linie w kuble i to prawie zawsze z tego powodu, „ponieważ właściciel uznał za zbyt kosztowne, aby dać szybowi taką szerokość, jakiej wymaga urządzenie drabin." Dla zaoszczędzenia sobie kosztów patrzano obojętnie, jak robotnicy raz po raz spadali w głąb szybu — ale bo też robotnik był wtedy tak tanim i ciemnym jeszcze, że nie nalegał na stosowanie urządzeń ochronnych!

Od r. 1886 ogólna liczba wypadków już inaczej się przedstawia. Mianowicie w okresie 5-letnim (1886—1890) wynosiła ona (poza właściwem górnictwem) w r. 1886: 2149, 1887: 2422, 1888: 3260, 1889: 3494, 1890: 3713, podczas jednak, gdy w tym czasie liczba zatrudnionych robotników podniosła się o 30,3 procent, to liczba nieszczęśliwych wypadków podskoczyła o 72,7 procent! Na każdy 1000 robotników było wypadków w r. 1886: 35,43 w r. 1890 już 46,95 procent. W miarę rozwoju przemysłu przyjmowano coraz to nowych robotników, niedoświadczonych i nieobeznanych z niebezpieczeństwami pracy, nie dbano o urządzenia ochronne, udoskonalanie maszyn wymagało bardziej natężonej pracy — to też rezultatem tego wszystkiego musiała się stawać coraz większa liczba ofiar! W rzeczywistości była ona jeszcze większą, bo np. w sprawozdaniu inspekcji za r. 1890 czytamy, że zwiększenie się liczby nieszczęśliwych wypadków częściowo tem się wyjaśnia, że w roku poprzednim wcale pokaźna liczba wypadków nie została zameldowaną przez spółkę zawodową żelaza i stali. Że to samo działo się i przedtem, jest więcej niż pewne!

Oprócz tych nieszczęśliwych wypadków, na które robotnicy w zakładach przemysłowych stale są narażeni, byli oni jeszcze wystawieni na szkodliwe dla zdrowia skutki, związane ściśle z samym rodzajem pracy. I tutaj inspekcja przemysłowa musiała co chwila wkraczać, by zmuszać przedsiębiorców do wprowadzania zdrowotniejszych urządzeń. Np. w sprawozdaniu za r. 1881 czytamy, że w hutach cynkowych musiano zwracać uwagę na to, aby szkodliwe dla zdrowia gazy usuwane były przez odpowiednie aparaty z miejsc pracy. W hutach żelaznych znowu stwierdzono wykroczenia przeciwko przepisowi, aby czyszczenie rur do odprowadzania trujących gazów nie odbywało się przez spuszczanie do nich robotników. Wskutek niezastosowania się do tego jeden z robotników postradał życie. Szczególnie szkodliwym wpływom dla zdrowia, powiada sprawozdanie inspekcji za rok 1884, podlegają robotnicy na Górnym Śląsku w hutach cynkowych, ołowianych i żylaznych. Jak źle zakłady takie musiały być urządzone wynika chociażby z tego, że pozwolenie na wzniesienie nowej huty cynkowej przepisywało, że wszystkie gazy, wydzielające się z mufli, muszą być w odpowiedni sposób odprowadzane, następnie ze względu na zdrowie robotników winna być zbudowaną sala, zupełnie oddzielona od miejsca pracy opalana zimą i odpowiadająca liczbie robotników, zaopatrzona w dostatecznej ilości w urządzenia do mycia, w której robotnicy mają spożywać swoje jadło. Sprawozdawca robi uwagę, że huty cynkowe starego systemu wskutek masowo występujących trujących gazów z pieców „były w najwyższym stopniu niebezpieczne dla robotników". Pozwolenie co do pieca do rafinowania cynku również opiewało, że aby ochronić za-

trudnionych przy piecu robotników od szkodliwych wpływów pary metalicznej, „należy w tych miejscach, gdzie płynny metal wydobywa się z pieca, urządzić abcugi, przez które para za pomocą rur lub kanałów wyciąganą byłaby do komina".

Jak potrzebne były należyte urządzenia ochronne w hutach cynkowych i ołowianych, wynika np. z tego, że gdy — według sprawozdania inspekcji za r. 1890 — w fiskalnej hucie ołowiu w Strzebnicy pod Tarnowskiemi Górami postarano się o lepsze usuwanie pary ołowiu, liczba zachorowań z 252 w r. 1887 spadła do 113 w r. 1888, a liczba przechorowanych dni z 3312 do 1374, następnie w czasie od 1 kwietnia 1890 do 1 stycznia 1891 r., a więc w ciągu 10 miesięcy było 40 wypadków zachorowania i 454 przechorowanych dni. Bez nalegań ze strony inspekcji właściciele hut o stosowaniu ochronnych urządzeń ani nie pomyśleli. Robotnicy mogli być wystawieni na najbardziej szkodliwe dla zdrowia wpływy przy pracy — przedsiębiorcy spokojnie na to patrzyli!

W rzeczywistości stosunki robotnicze jeszcze gorzej musiały się przedstawiać, jeżeli zważymy na praktykę ukrywania panujących w zakładach przemysłowych nieporządków. Praktyka ta dziś przecie w najlepsze jeszcze kwitnie. Wiemy o tem dobrze z ust samych robotników. Cóż dopiero tedy pod tym względem dziać się musiało? Że praktyka ta wówczas w najlepsze się panoszyła, na to przytaczamy następujący jaskrawy i typowy wypadek. Posłem parlamentarnym okręgu bytomsko-tarnogórskiego od r. 1874 do 1884 był książę Radziwiłł, wikarjusz w Ostrowie, centrowiec. Otóż ten książę poseł postanowił w r. 1883 „zapoznać się z położeniem robotników a w szczególności górników".

Wywołuje to popłoch wśród politycznych przyjaciół pana posła, centrowych magnatów górnośląskich. W numerze 14 „Przedświtu" (rok YY. Genewa, 22 marca 1883 roku) sprawa ta w korespondencji z Bytomia opisaną jest w taki drastyczny sposób: „Oświadczenia tego wystarczyło już, aby nasi posiadacze kopalni i fabryk okrzyczeli pana posła za „socjaldemokratę", który wśród ich robotników niezadowolenie wzbudzić chce i do hec rozmaitych popchnie. Ponieważ jednak wizytacji nie można było uniknąć, poczyniono więc wszelkie przygotowania, aby pan poseł wszystko najpiękniej znalazł i o robotnikach i ich nędzy nic się dowiedzieć nie mógł! Ani na jeden krok nie opuszczony przez dyrektorów kazał wszakże pan poseł przedłożyć sobie książki zarobkowe, księgi inwalidów i t. d. Gdy wszystko to przejrzał, nie mógł się dość wydziwić niskim płacom i biedzie wśród robotniczej ludności naszej... Nie bacząc też na wszystkie ostrożności pp. chlebodawców znaleźli robotnicy sposobność dać księciu stosowne wyjaśnienia o rzeczywistem położeniu robotników naszej okolicy. Podano mu właśnie memorandum, w którem po przedstawieniu ciężkich warunków bytu klasy pracującej, oświadczono wcale otwarcie, że robotnicy do panów żądanego zaufania nie mają, oraz że, jeśli oni nie pomyślą o położeniu co najrychlej cugli swemu egoizmowi i wyzyskiwaniu, to robotnicy nie dadzą się powstrzymać ani w imię narodowości od popierania partji socjalistycznej, jako jedynej partji, co istotnie dla dobra ludu pracuje! Książę Radziwiłł powiedział, że będzie czynił co tylko możliwe dla polepszenia okropnego stanu rzeczy".

Dzisiaj, gdy dla wizytacji zjeżdża na Górny Śląsk jaka urzędowa osoba, np. pan minister handlu, to mniej więcej to smo widzimy. Zarządy zakładów przemysłowych urządzają dla pana ministra sute uczty, przy zwiedzaniu zaś zakładów otacza się go całym sztabem urzędników werkowych, a że przecież pan minister jest członkiem wydziału wykonawczego klasy kapitalistycznej, rządu, więc też sam nie kwapi się, aby się zetknąć z robotnikami, by się od nich dowiedzieć o stosunkach. Jednostronnie informuje się przedstawiciela rządu, który też później w sejmie pruskim oświadcza, że wszystko jest we wzorowym porządku.

### Pierwszy masowy ruch strejkowy.

Dnia 3 maja 1889 r. zerwała się zawierucha strejkowa w obwodzie węglowym westfalsko-nadreńskim. Blisko 100 tysięcy górników w ciągu kilku dni złożyło pracę i zażądało poprawy istniejących nieznośnych warunków pracy i płacy po kopalniach. Władze pośpieszyły natychmiast z pomocą rzekomo zagrożonym właścicielom, całe zagłębie przemysłowe zalano wojskiem, robotnicy swoje dążenie do wywalczenia lepszych warunków życiowych okupili strumieniami krwi. Nawiązane układy pomiędzy delegatami górników a przedstawicielami kopalń doprowadziły do porozumienia; właściciele kopalń solennie obiecali, że skoro robotnicy powrócą do pracy, stosunki robocze będą polepszone. Haniebnie nie dotrzymali oni słowa i w bezczelny sposób oszukali górników. Wywołało to ponowny wybuch ruchu strejkowego, lecz energja walczących była już wyczerpaną, tak, że 1 czerwca wszystko wróciło do dawnego stanu rzeczy — praca na kopalniach znowu szła dawnym trybem. Napozór strejk chybił swego celu, ale miał on te dobre skutki, że zbudził górników westfalsko-nadreńskich z obojętności, pchnął ich na drogę organizacji, wykazał im jaskrawą sprzeczność pomiędzy wyzyskującym kapitałem a wyzyskiwaną pracą. Górnicy zrozumieli, że wina ich nędznego położenia tkwi w samym systemie gospodarki kapitalistycznej, który trzeba planowo, w myśl haseł programu socjalno-demokratycznego, zwalczać do upadłego.

Lecz na tem nie koniec. Walka górników westfalsko-nadreńskich odezwała się głośnem echem we wszystkich zagłębiach górniczych w Niemczech, które również porwały się do walki strejkowej. Poruszenie ogólne masy górniczej wdarło się i na Górny Śląsk. Zgnębiony i zahukany przez kulturników kapitalistycznych górnik górnośląski zrzucił z siebie pokorę niewolnika i po raz pierwszy w zwartej masie wystąpił przeciwko swoim wyzyskiwaczom. Ruch strejkowy rozpoczął się na Górnym Śląsku 16 maja i trwał do 25 maja, przyczem mniej lub więcej brało w nim udział — według urzędowych danych — 32,4 procent ogółu górników.

I mieli górnicy górnośląscy słuszny powód do strejku. Jeżeli w innych obwodach górniczych położenie górników było nad wyraz nędzne, to wprost rozpaczliwem ono było na Górnym Śląsku. Najgorsze zarobki, najdłuższy czas pracy, największe znęcanie się nad ludźmi przez płatnych pachołków kapitału było udziałem polskiego górnika górnośląskiego, tak jakim jest niestety po dzień dzisiejszy.

Na dowód nieco liczb. Zatrudnianie kobiet było zjawiskiem masowem. W r. 1888 kopalnie węgla kamiennego zatrudniały ogółem 41 896 robotników, w tem 4124 kobiet, czyli 9,8 procent. Blisko dziesiątą część załogi stanowiły zatem kobiety. Na kopalniach rudy żelaznej pracowało w tym roku ogółem 3285 robotników, w tem 1395 kobiet czyli 42,4 proc.! Inaczej mówiąc: przeszło dwie piąte załogi składały się tutaj z kobiet! Wreszcie na kopalniach rudy cynkowej i ołowianej pracowało ogółem 10 177 robotników, w tem 2663 kobiety, czyli 26,2 proc., a więc przeszło jedna czwarta część. W całym przemyśle górniczym górnośląskim było w r. 1888 na 55 358 robotników ogólnej załogi 7182 kobiety, czyli 12,9 proc.!

W dodatku płace tych robotników były niepomiernie niskie. Według bowiem statystyki górnośląskiego stowarzyszenia właścicieli kopalń i hut przeciętny roczny zarobek w r. 1888 na kopalniach węgla kamiennego wynosił: dla męskich robotników dorosłych 615 mk., dla męskich robotników młodocianych (poniżej 16 lat) 203,50 mk., dla kobiet 218,50 mk., wogóle 574,79 mk. Na kopalniach rudy żelaznej zarobił przeciętnie na rok: męski robotnik powyżej 16 lat 395 marek, męski robotnik młodociany 167,47 mk., kobieta 216,85 mk., wogóle 309,47 mk. Na kopalniach rudy cynkowej i ołowianej przeciętny roczny zarobek wynosił: dla męskich robotników dorosłych 507,54 mk., dla męskich robotników młodocianych 170,07 mk., dla kobiet 211,42 mk., wogóle 423,02 mk.

Takie sute zarobki musiały wystarczać górnośląskiej ludności górniczej do utrzymania i opędzenia potrzeb życiowych!

Strejk zakończył się porażką: przy zupełnym braku organizacji i wyrobieniu, jakie dają robotnikom stowarzyszenia, dojść musiało do burd, wybijania szyb, demolowania maszyn. Przedsiębiorcy i władze nie zawahały się i na

Górnym Śląsku zastosować zwykłego środka: kul karabinowych, polała się krew, steroryzowani robotnicy powrócili do pracy. Jednakże ten żywiołowy wybuch miał swoje skutki dodatnie: ministerjum wyznaczyło komisję do zbadania przyczyn i nawet ta komisja urzędowa zmuszoną była przyznać w swojem sprawozdaniu, że płace górników górnośląskich są niepomiernie niskie a dzień roboczy nadto długim. Przedewszystkiem zaś odtąd magnaterja przemysłowa i jej narzędzia — urzędnicy i administratorowie przekonali się, że nawet ci przygnębieni i zahukani robotnicy w podziemiach górnośląskich poczynają poznawać swoją potęgę, jako masa, poczęto liczyć się z „polskiem bydłem": podwyższono płacę i poczęto nieco inaczej obchodzić się z robotnikami.

Na Górnym Śląsku ruch strejkowy wyłonił pomiędzy bardziej światłymi górnikami również myśl oparcia się o organizację. Lecz zdrowa myśl w zarodku została spaczoną przez ludzi skupujących się koło redakcji centrowego podówczas „Katolika" bytomskiego. Powołano z końcem 1889 roku do życia „Związek wzajemnej pomocy", organizację, która przez 20 lat swego istnienia nic zgoła dla robotników górnośląskich, jako organizacja robotnicza, nie zdziałała. Za zadanie swoje, miasto walki z przepotęgą kapitału górnośląskiego, uważała ona walkę z nowoczesnym, klasowym ruchem robotniczym. Nie przyczyniła się ona do wzmocnienia ruchu robotniczego, lecz przeciwnie, ciągle mu podstawiała nogę na korzyść kapitału górnośląskiego, a na szkodę robotników górnośląskich.

## Rozmaitości

**Smierć głodowa miljonerki.** W Moskwie zmarła śmiercią głodową miljonerka, księżna Szachowska. Zmarła w ciągu ostatnich lat 20 pędziła życie pustelnicy w wielkim domu swoim, w którym dla siebie tylko zajmowała dwa pokoje. Pokoi tych przez cały czas ten ani razu nie opuściła. Służącej, która ją obsługiwała, nie wpuszczała ani na krok do mieszkania swego, a pieniądze na jedzenie podawała jej przez szparę w drzwiach. Pokoje nie były nigdy wietrzone, ani uprzątane. Pewnego razu gubernator moskiewski dostać się chciał do mieszkania księżnej, ażeby przekonać się osobiście, czy jeszcze żyje. Nie wpuściła go jednak i oświadczyła mu przez zamknięte drzwi, że gdyby jakikolwiek mężczyzna znalazł się w jej mieszkaniu, życie sobie odbierze. Gubernator zaniechał zamiaru swego i mianował opiekunką chorej umysłowo księżnej hrabinę Tołstojową. Na kilka dni przed śmiercią księżna przestała dzwonić na służącą swoją. Gdy wyłamano drzwi, przedstawił się obecnym obraz strasznego niechlujstwa. Księżna leżała w łachmanach na gołym tapczanie. Podarta na strzępy koszula pokrywała wychudłe ciało słynnej niegdyś piękności, która na króiko przed dniem, wyznaczonym na ślub, straciła w zagadkowy sposób narzeczonego. Sekcja stwierdziła, że śmierć księżnej nastąpiła skutkiem paraliżu serca. Żołądek był całkiem pusty. Pod tapczanem znaleziono zawinięte w strzępach miljon rubli gotówki. Zmarła pozostawiła nadto domy i majątek ziemski.

* * *

**Poseł do Dumy — złodziejem.** W dniu otwarcia wystawy awjatycznej w Petersburgu miał miejsce niezwykły wypadek. Do jednego z modelów drobnych zbliżył się jakiś starszy, wytwornie ubrany pan i, upewniwszy się, że nikt za nim nie śledzi, ściągnął model ze stołu i pospiesznie ukrył go w kieszeni. Aliści dostrzegł go ktoś z publiczności, zawiadomił komitet i amatora modelu pochwycono w chwili, gdy wsiadał do dorożki. Przyłapany wyraził ogromne oburzenie z powodu podejrzeń, lecz zniewolony do wydobycia przedmiotu z kieszeni oświadczył, iż wziął go sobie na pamiątkę, podobnie jak to czynił na innych wystawach. Zapytany o nazwisko, oświadczył, że jest członkiem Dumy państwowej, należy do prawicy październikowców i posiada godność szambelana dworu. Można sobie wyobrazić, jakie było zdziwienie obecnych. Policja nie chciała spisać protokołu, lecz wreszcie pod naciskiem komitetu protokół z zajścia został spisany.

Przedmiot skradziony przedstawiał wartość 10—15 rubli. Pisma rosyjskie nie wymieniają nazwiska owego posła-złodzieja.

* * *

**Wynalazek w górnictwie naftowem.** Dwutygodnik galicyjski „Ropa" zamieszcza ciekawy artykuł o wynalezionym przez dr. Dunikowskiego elektrycznym przyrządzie wiertniczym, którego zastosowanie w praktyce może mieć epokowe znaczenie dla przemysłu naftowego. Według przeprowadzonych prób, przyrząd ten wierci w minutę za pomocą 300 obrotów otwór 30 cm., a w jedną godzinę 18 metrów. Gdyby nawet przyrząd wykopał połowę tego i gdyby pół dnia trzeba było poświęcić czyszczeniu go, to mimo to wywierciłby szyb 108 metrów.

Obecnie szyby o przeciętnej głębokości ponad 1500 metrów wierci się 2 lata. Przyrząd nowy wykonałby to w 2 tygodnie. Wprowadzenie tego wynalazku w życie miałoby straszne następstwa dla robotników. Ze 100 robotników zajętych przy wierceniu zostałoby tylko dwuch. Dzisiejszy system wiertniczy, tak zwany kanadyjsko-polski zostałby zupełnie wyparty.

Dla celów naukowych wynalazek ma również doniosłe znaczenie. Tak np. byłoby ułatwione zbadanie kuli ziemskiej na znacznych głębokościach. Cała rzecz obecnie polega na praktycznem wypróbowaniu tego przyrządu. Decydującem będzie wypróbowanie go na terenie naftowym w roku bieżącym w Galicji i na Węgrzech. Budowę nowych przyrządów objęły już dwie fabryki, ponadto zawiązało się we Lwowie towarzystwo dla eksploatacji wynalazku oraz w Anglji osobne towarzystwo dla nabycia patentu na Rosję i Rumunję.

* * *

**Ile miodu wytwarza jedna pszczoła?** Statystyczne obliczenia wykazały, że w Niemczech pracuje rocznie około 65 miljardów pszczół. Obliczono to w ten sposób, iż przyjęto, że z 2 600 000 ulów, które utrzymują w Niemczech bartnicy, każdy mieści w sobie około 25 000 pszczół. Powyższe 65 miljardów pszczół przynosi rocznie hodowcom około 150 000 centnarów metr. miodu. Jeżeli się tę liczbę podzieli przez ilość pszczół, to dojdziemy do rezultatu, że każda pszczoła daje rocznie nie więcej, jak ćwierć grama miodu. Ta niska cyfra niejednego może rozczaruje, ale mimo to nie wolno nam lekceważyć pracy pszczół, jeżeli zważymy, że wszystkie pszczoły całego świata wytwarzają rocznie zdumiewającą ilość 300 miljonów kilogr. miodu, a temsamem dostarczają ludzkości zarobku około 600 miljonów koron.

Przyczem nie liczy się już wartości wytworzonego przez pszczoły wosku, która to wartość jest wprawdzie niższą od wartości miodu, ale w każdym razie dość poważna. Z ilości wytworzonego przez pszczoły na całym świecie miodu można też obliczyć liczbę żyjących na całym świecie pszczół: wynosi ona 1 biljon i dwakroć sto tysięcy miljonów

* * *

**Fałszowanie oleju różanego.** Jednym z najdroższych eterycznych olejków kwiatowych (kilogr. kosztuje na miejscu fabrykacji 1600—2000 koron) jest olejek różany. Europa sprowadza go przeważnie z Bułgarji, mianowicie z Kazanłyku i Karłowa. Całkowita produkcja olejku różanego wynosiła w Bułgarji w r. 1909 43195 kilogr., co wymagało uprawy róż na 73 941 hektarach gruntu. Natomiast wywóz olejku różanego bułgarskiego do Europy i Ameryki wynosił w tymże roku 6053·5 kilogr. Że Bułgarja nie miała zapasów na r. 1909, dowodzi fakt podrożenia olejku z końcem r. 1908 wobec braku materjału. Wobec tego wywieziono z Bułgarji o 1734 kilogr. olejku różanego więcej, niż ten kraj wogóle wyprodukował! „Sztrekowanie" olejku różnemi surogatami, spirytusem i innemi domieszkami przyniosło fałszerzom poważną kwotę, conajmniej 2·8 miljona kor. (Według statystyki Schimmla i Ski w Lipsku).

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 20. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 20 maja 1911.

JULJUSZ KADEN.

## SŁUGA.

Rozmazał się świt na brudnych oknach kuchni i z czarnej toni jęły występować sprzęty. Długi, kuchenny piec werżnął się białem czworogrannem kolanem w odmęt wiotkiego brzasku. Zielonawe lśnienie oblało łyżki i pokrywy wiszące na ścianach. Na pyzatych garnkach zadrżały mętne pręgi światła. Stanęła kuchnia, niby pogrążona w półprzeźroczystej serwatce, na poły widzialna, na poły w ciemnościach jeszcze skryta.

Przebudzona sługa poziera przed się, robotę sobie tłomaczy i przedkłada. Uprzątnąć. Po węgiel skoczyć. Drzazek narąbać. Po bułki. Powstał w głowie ten hałas czynności rozkazanych. Każdej sprawie dogodzić, wszelakiej robocie nos utrzeć zawczasu, pamiętać naprzód w tył i na krzyż — że nim mleko zakipi, buty oczyścić można, lecz w międzyczasie, aby mleko nie wykipiało.

Z oddali, niczem krowa za cielęciem płacząca, ryknęło coś przewlekle. Ryknęło i ryczy i nie przestaje, a drze się coraz zajadlej. A u wezgłowia sługi jakby se na ten przykład stanął sam gderliwy dzień i gębę niewyparzoną rozdziawił i szczypiący pośpiech z niej wysypuje. A gdy mu to nie pomaga, siłą niewidzianą podrywa sługę z pościeli, podrywa nierobę do obowiązku.

Wstała. Stoi. Już se rozczochraną głowę przylizuje, już się ogarnia łapu-capu, na tym oto ziąbie rannym. Nawet Panu Jezusowi, co się w kuchennem czadzie na obrazku wędzi, słowa pociechy cisnąć nie zdąży — ino się bierze do roboty.

Pierwsze ogień, ale gdzie klucz od komórki? Maca ręką na okapie, na blasze, ostrożnie wyciągniętymi palcami między garnki się wdaje — niema tu. Gorąco się robi człowiekowi. Szuru, szuru po zadzierżystym stole ręką a zwierzchu, bo w słojach drzewnych drzazek nie brak. Aż w dołku ściska! Bo gdzieś się zadział ten klucz, że go niema — musi, djabeł na nim siadł.

Ale przecie skoczy sługa po rozum do głowy. Siarnik o ścianę potarła. Skrzebnął, prysnął, w nosie zawiercił zieloną kryzeczką świetlistych skrzydełek zatrzepotał. I okazało się przy blasku łojówki. Klucz jak wół leżał na wałkownicy, sama go tam przecie na noc położyła. Więc klucz, toporek, świecę, zapałki od wypadku, skrzynkę na węgle w garść, byle cicho, bo państwo śpi, chustkę na głowę i do piwnicy. Chłop wczoraj smolaków nie przywiózł, więc drzazek narąbała, ale ostrożnie, bo serdeczny palec obierał, zaś wielki przy szatkowaniu kapusty skaleczony, dotąd nie wydobrzał. Zaś koślawe polano, to się na ziemię kładzie, to sęk pod uderzenie nastawia, że ani rusz. Wreszcie zładziła wszystko. Ale miała to wyjść z piwnicy niczem nie pokrzepiona? Zestawiła kamień cierpliwy i denko beczki z ogórkami odłożywszy, i aksamitny kożuch pleśni ku środkowi zdmuchnąwszy, syrpnęła kilka łyków tego ogórkowego kwasu.

Teraz w kuchni jak na rozstajnej drodze. Rozpali się, czy nie? I hakiem i łopatką i wreszcie pazurami wygrzebała popiół, co suchem śmierdzeniem gardło ściskał. Potem, naprzód papier a na nim drewienka w stos. Płonie. Z języków ognistych rodzą się większe, nowe drzewo trzaska jak z bicza. Tylko, że wszystko ma swoje humory i brewerje. Pokręciło się coś nagle w czeluściach pieca. Wiatr mu coś tam wysoko w rurach pokiełbasił. Zamiast, żeby się palił po ludzku, to właśnie kolka go jakaś sparła. Z głębin gruchnął pakół sadzy, czy popiołu. Jak na drwiny, jeszcze wyższy jęzor ze szczapów wykwitł, liznął w prawo, w lewo i znikł. Na całą pociechę swędziły się strzępy papieru ognistem tleniem zaobrębione. Teraz pośpiesznie natkała mu w gardziel wiechci papieru i drzewa, póki się wreszcie nie przekonał. Nastawiwszy wodę, wymknęła się cichcem do pokojów po rzeczy do czyszczenia. Złożyła to na kupę i po bułki. Deszczyk pluł z góry na ulicę cieńkim kapuśniakiem, wiatr spódnicy powiewał aż się śmieciarze miejskie przystawiać chciały. Spotkała się w sklepiku z koleżankami. Ta tej ostatnią nowość wyspowiadała o państwu, o służbie, czy się gdzie miejsce nie trafia i że znowu niedawno któraś do lafirynd przystała. Ale na uczciwe słowo czasu nie było, bo się furmani schodzili, chłopy rubaszne i bezbożne.

Gdy wróciła do domu, już się państwo ruszyło. Dzieci trza było budzić, z łóżek ściągać, temu gąbkę, temu wodę, panu do golenia letniej. Między jednym biegiem a drugiem do stołu nakryć, buciki wypucować. Tego zapiąć, tu na niewidzianego wedle słów polecenia ręcznik z komody wygrzebać, tu trzewik zasznurować, czuwając poprzez wszystko, aby ogień nie wygasł. A dziecku się książka zatarapciła a pan palto zbłocone w pokoju na noc zostawił i teraz je duchem czyść, a tu kalosz do kubła wpadł, a tu przeciąg głowę człowiekowi urywa, a chłopiec czapkę zgubił, a na mleku kożuch się zrobił i cedzić trzeba, bo się kożuchów brzydzą.

Zaś drzwi kuchenne już się nie zamykają. To chłop ze smolakami, to mleczarka, żeby zapłacić, bo jutro nie przywiezie, to pani znowu płaci, tylko jej kluczy szukaj, bo są na kredensie, gdzie też ich wcale niema, to jeszcze żydówka z jabłkami. Wszyscy się śpieszą wielkim pośpiechem, czekający pan na szczotkę do kapelusza, dzieci już w rękawiczkach, żeby je do szkoły prowadzić, żydówka przy jabłkach z westchnieniem siedząca, węglarz co z podwórza na górę krzyczy i wyklina, i chłop, który cięgiem spluwa a za każdem plunięciem służącą, jakby kto w serce żgał o tą podłogę.

Panu wścibiła szczotkę, przebiera się do dzieciaków. Te stoją złe, już je każda minuta piecze, i kręcą się, gdy im za ciasne kołnierze futrzane na brykającą haftkę spinasz. Tymczasem pani choć słaba w szlafroku rozchełtanym wyszła, że aż chłop od boskiej obrazy obruszył się — i targuje się a żydówka nie słucha tylko wciąż: jak swoim dzieciom szczęścia życzę. Ale cały tumult przecięło jasne słowo — parasol! To pan wołał od jakiejś złości czerwony.

Że to deszcz wczoraj lał więc na noc w kuchni parasol rozpiąć miała, aby przesechł. Ale go teraz nie widzi. Przepłoszona, przestraszona jęła się kręcić jak fryga, drżące

palce w trwodze z trzaskiem wyłamując. Jest! Jest za paką do śmieci. Otarła go ukradkiem, ochuchła i niesie panu w obu rękach, a w oczy patrzy z przeprosinami za wielki grzech. Pan wydarł go jej niecierpliwie z usłużnych rąk i wyszedł, drzwiami trzasnąwszy tak głośno, że aż się młodszy chłopaczek rozślimaczył. Wtedy się pani odwróciła, pana nieobecnego wspomniała i w dyrdy za nim do przedpokoju. Sługa za nią a dzieci drugimi schodami w nogi do szkoły.

— Leć̈e — woła pani — pan mi pieniędzy na dziś nie zostawił. Poleciała, dopadła, mocno ją zpsioczył, pieniądze dał, zziajana wraca i słucha, jak pani obiad wymyśla. Słucha, na pamiętliwych palcach zagina wszystko i przepowiada. Pamięć się mnoży, rozwidla się z jednego potoku na trzy, coraz cieńsze i niemrawe, bo już i słucha człowiek i kręci się, ze stołu zbierając. Pod okiem pani zamiata. Skwapliwie, prawomyślnie w kątach a pod szafami, by słychać było, że szczotka nie żartuje, lecz działa.

Z koszykiem na ramieniu leci na miasto. Pokłócili się w jatkach z rzeźnikiem, bo się rozpychał, roztrącał, w krwawy pień toporem rąbał kości jej chciał wetknąć niemiłosiernie dużo. Skoczyła między stragany i te obmokłe parasole przekupek, rozpięte wysoko niczem grzyby, prawdziwki z bruku wyrosłe, po włoszczyznę, marchew, śmietanę i co trzeba. Ale wracała okrężną drogą. Aby przechodzić koło kościoła, przed którym mokła na deszczu miejska nędza, starość bezdomna i kalectwo niepocieszone. Tu staruszkowi upatrzonemu, co niby ten gospodarz z kościoła wygnany w świtce porwanej na mrozie zębami szczękał, dała swój krwawy grosz.

W domu wir. Ledwo zrzuci chustkę, ledwie marchew oskrobie, mięso na rosół nastawi, ziemniaki obierze, nawet czarne oczka nie bardzo wyłupując, ledwo tej kawiny pociągnie, usiadłszy na kuferku, nogami dyndając, stękliwie jedząca, a w szare niebo cicho zapatrzona, gdy ją pani woła na pokoje.

Więc poduchy z łóżek ściąga, kołdry strząsa, prześcieradła strzepuje, ściele i budowę pulchnych betów kapą zakrywa. Przyciera poduszkom rogów a potem jak w zad w białą poszewkę trzepnie, by się przystojnie wzdęła. Zlewa co żywo pański brud, pańską potrzebę w naczyniu wcale nie obrażona, bo zwyczajna jeszcze na wsi za bydłem sprzątać.

Już miało się ku obiadowi. Z wieżyczek wszystkich zadzwonili na południe, trąbka zagrała na ulicy, że widać jak codzień, poszli żołnierze na swoją straż̈e.

Tu już i sługa nie wytrzymała w cierpliwości i z rąk marchwianych wszystko lecieć zaczęło. A jeszcze klusek niema. Wałkownicę prędko nożem zeskrobuje, na nią mąkę w śpiczasty pagórek sypie. Palcem pagórek przekłuwa i kręci aż się z białego koliska, niby księża tenzura pusty placek wyłania. Jajko wbiła, wodą podlewa i nożem zwolna rozrabia, tak, że białych kudełków ciasta coraz przybywa. Więc w palcach ściśniętych nóż spłozi i pagórkiem dłoni ciasto wyrabia. Rozwałkowała, w paski złożyła, będzie ciąć. Palce na cieście drobią, przed nożem uciekają, a on za nimi w trop siecze, czasem tylko ostrzem na bok wierzgnie, pokrajane kluseczki w stronę spędzając.

Obiad szczęśliwie wydała a w kuchni teraz jak na pobojowisku. Powszędy stoją tłuszczem okrzepłe talerze, noże, widelce i łyżki a wszystko ślizkie i lepkie. Garnek z odcedzoną włoszczyzną ustawiła na stole. Grzebie w kościach gorących, zatajony szpik wystukuje, zjada mięso do gnatów pruzłami żył przywarte, poprzerastane, jędrne, prężne jak guma. Przełknęła, wodą popiła i fartuchem czoło otarłszy, siedzi, aby wytchnąć. Siedzi, dyszy błogo i myśli o tem statków myciu, o przepraniu pończoch dziecinnych, to jeszcze o znajomej. Ale białem, cichem skrzydełki drzemka coraz w te myśli wpada i rozgania je i miecie i strzępi na płatki białe i złote. Płatki się fastrygują w skrzydła bratnie i lecą za okrainy miasta.

Ale mus czuwa. Nieumyte widelce do oczu skaczą, białe talerze brudem napominają. Już stoi sługa za cebrzykiem, w ciepłych pomyjach grzebie, paznokcie na ślizkiej garnków polewie tępi, drze i traci. Pracuje i w świat odeszczony tęsknie spoziera przez mury i dachy do nieba, rzewnym głosem — wiaterkiem strudzonych piersi przyśpiewując. Wspomina dzieje minione. Te jesienne przymrozki cukrem szronu do świata przypadłe, skrzyp studni wiejskich i tę właśnie piosnkę, co przez mgły płuży samotna i to południe, gdy słońce jak pieniądz fałszywy mętnym blaskiem ze stropu chmurnych niebiosów zezuje i ten wieczór niski, przyziemny kiedy się dusza w śpiewaniu twardem i smutnem rozwarła. Rozwarta już się nie zawrze w zamknięty kielich, nie stuli, nie. Bo jako nieśmiertelnik nigdy nie uschnie, tako ona nie przeminie głosem wysokim po polach myszkująca.

Poprzątała, pocerowała, teraz w nagrodę chudobą się swą nacieszy. Otwiera zielony kufer — jabłkami z niego pachnie, jak z raju i ściany obrazkami wyklejone. Na samym wierzchu leży chustka do wyjścia — sam aksamit, czysta wełna. Obok książka do modlenia. Dalej pudełko z broszkami. Dwie drużne ręce w kości wyrźnięte, bukietem róży owiązane, splecione na dozgonną przyjaźń. Gołąb lecący z listem w dzióbku. I najładniejsze: gwiazda z granatów. Obok pudełka w bibułkę zawinięta leży książeczka służbowa. Okładkę ma sino-szarą, zmierzchniętą jak ta dola ludzka u obcych nie na swoim. Stronnice otłuszczone, zmięte, niby te dnie służebne i miesiące. Tu właśnie wszywa się czarnym znakiem pańskich słów zasługa sługi. Że jest wierna, przywiązana, cicha i chętna, zdolna i posłuszna.

Będzie się modlić. Grubą książkę na podołku rozewrze, rozegnie i ostrożnie palcem pierwszą literę słowa pokaże sobie. Pokaże, palcem podsadzi, jakby nim literę z karty, niby ziarno ze strąka wyłuskwić miała. Litery już ma wybrane, cóż, kiedy stoją na osobności, każda się w swoją stronę słania a zgodzić się w wyraz nie chcą ani rusz. Litery się rozłażą a Pan Jezus na chwalbę swoją niedoczekaną czeka, z obrazu patrzy. Nie uradzi sługa czytaniem a sama prosto przed oblicze boże niesie swe sprawy. Udobruchany Chrystus ręce bieluchne do ucałowania jej daje (w myślach napół drzemiących) i idzie z nią pocichu ścierzyną, naprzód łaskawie popycha, pośród jaśminów i lilji, żwir gwiazd malutkich pod stopami mu dzwoni. Idą se razem to znów na ławce spoczywają. A dalej jakaś mgła kadzielna. Twarz jakaś patrzy, wąsiki się na niej poruszają. Ręce mężczyzny oplotły ją przez pół, po plecach głaszczą, tulą do piersi przeczystej, dźwiękiem dzwonu oddychającej. Tu się urwało, bo ją wstyd niespodziany zdzielił między oczy.

Już po kolacji poszła do pani na rachunek. Mięso, włoszczyzna — a za włoszczyzną już nic nie widać jak na przegonie. Ale! Marchew — kapusta — już chyba wszystko. Myśli, że wszystko stanęło na wezwanie. Każde swój koszt szczeblem wstawi. Słuszna drabinka z liczb się ukręci. A po drabince zejdzie na papier zgoda z tem, co dostałaś i z tem coś wydała. Tymczasem, nie! Coś się tam w trokach liczenia nie domyka, nie dopina, nie dociąga. Łokieć jednej ręki w garści ukrzepiwszy, wzniesiony palec drugiej na czatach w kącie ust postawiła i chce przypomnieć sobie — co jeszcze?

Myśli. A myśl się jej mnie sennością przytłomiona. To się znów strzępi, rozpycha, wzdyma jak mętna bania. Tą chęcią wytężoną, jak ręką rozgorącowaną łapie i maca sługa w ciemnościach niepamiętania.

Zamiast płakać pamiętać trzeba — mówi pani. Jej ręka wynosi się miękim przegubem. Sługa całuje i dobrej nocy łasce pańskiej użyczywszy, idzie spać. Zrzuca te szatki naśmierdłe wszelakim zapachem jadła i swądu. Cieńki batożek z włosów zaplata i klęka do modlitwy. Klęknęła, ręce złożyła. Już to źródełko modlitewne kroplami słów bije i kluczy, jeno że przez te słowa proszalne sypią się cięgiem zapodziane grosze. Cień niecdgadnionego sprawunku ze słowa na słowo hyca, wszystkich dosiada, wszystkie dojeżdża i z drogi zwodzi.

Przyległa do poduszki, a jeszcze słuchem wierność wraz z centami zapodzianą nieszczęśliwie — wyśledzić chce.

Nie słychać śladów wierności nadwerężonej. Jeno za piecem grzebią się karabuchy. Spłakanym oczom cała ściana zdaje się ruszać i rozłazić jak robaczywy ser.

Chyba sama troska z człowieka promieniuje, w ściany uderza i lezie, w rój karakonów przemieniona.

Już szary odmęt skleja sprzęty i statki. Tylko sterczy jeszcze z głębiny wyraźnie ku łożu zwrócone białe kolano pieca. Zbliża się, wznosi, trwa na wyżynie, a potem zwolna pada na piersi dławiącym tłokiem ucisku.

# Kaszubi a rok 1848.

W „Gryfie“ *), pismie dla spraw kaszubskich, znajdujemy w zeszycie na marzec następujący przyczynek do stosunku kaszubów do ruchu rewolucyjnego w r. 1848.

Fale nieudanego powstania Mirosławskiego 1846 roku biły także o ściany zaścianku kaszubskiego, ale nie poruszyły wnętrza, nie wzbudziły żadnego echa.

Organizacja powstańcza Mirosławskiego stanowi pierwszy etap poniesienia myśli polskiej do dzielnic pod względem narodowym odłogiem leżących, do Prus Zachodnich i Kaszub. Teoretycznie dotarła już przedtem do gimnazjów chojnickiego i chełmińskiego, które co do odrodzenia i wychowania narodowego inteligientnych warstw społeczeństwa zachodnio-pruskiego bardzo się przyczyniły. Tutaj w towarzystwach skupiała się młodzież gimnazjalna i uczyła się języka i literatury polskiej już dawno przed rokiem 1846. Do takiego towarzystwa (w Chojnicach) należał także Ceynowa.

Powstanie Mirosławskiego zdybyło się na Pomorzu na jeden czyn realny, na ową wyprawę na Starogard w nocy 21/22 lutego 1846, wykonaną przez Ceynowę i Kociewiaków. Owa wyprawa, zakrawająca w pewnych szczegółach na farsę tragikomiczną, się nie udała; dla nas natomiast jest ona o tyle znamienną, że w namacalny sposób odzwierciedla usposobienie polityczne i narodowe ludności Pomorza.

Dwoma hasłami starano się poruszyć ludność kaszubsko-pomorską do powstania: hasłem religijnem uciśnienia katolicyzmu przez protestantyzm, i hasłem reform społecznych. Kościński **) w instrukcjach do komisarzy kładł wyraźny nacisk na to, żeby ludność kaszubską poruszyć do walki ich religijnym fanatyzmem, bo „poczucia narodowego nie mają“. X. Łobodzki w ostatniem przemówieniu do powstańców, wyruszających na wyprawę starogardzką, także jeden i drugi moment podnosi.

Te hasła nie okazały się dosyć silnemi. Kociewiacy za Polskę bić się nie chcą, bo taka Polska będzie Polską szlachecką, krajem niewoli dla chłopa i gbura. Owa odpowiedź mularza Kuny przed atakiem na Starogard jest typową; tak myślała cała ludność Prus Zachodnich a przedewszystkiem Kaszub. Podniecał ich fanatyzm religijny, rozpalała myśl o reformie społecznej (agrarnej) ***), ale nie mieli wiary w „Polskę“.

„Nowy wiatr zawiał na Kaszubach w roku 1848“, pisze X. Poblocki (Dr. Ceynowa, Gryf I, 4). Ów gorączkowy polityczny ruch wolnościowy dotarł także do Kaszub — wzbudził tu atoli jedynie „zaciekawienie“. Stąd powstaje chęć czytania gazet, jako „Biedaczka“, „Szkółki Narodowej“.

Ale ludność kaszubską poruszała myśl uwłaszczenia, którą 1846 tak silnie pożądano z jednej, a akcentowano z drugiej strony. Hasłem wyborczem pierwszych wyborów do parlamentu (w Frankfurcie r. 1848) jest właśnie postulat uwłaszczenia i nowego podziału gruntów. Mianowicie w Starogardzkiem rzecz ta zaprzątała umysł niższych warstw.

Roku 1850 ustąpiło owe uwłaszczenie. Wybory do świeżo ustanowionego sejmu pruskiego wykazują, że ludność kaszubska z powodu dokonanego uwłaszczenia żywi wdzięczność i niezachwianą wiarę w rzetelność i opiekę rządu pruskiego. Północni Kaszubi wybierają odtąd przez pewien czas swego „lantrata“ na posła do sejmu.

*) „Gryf“, Berent, Westpreussen. Kwartalnie pod opaską 1,65 mk.

**) p. Anklageschrift des Staatsanwalts w procesie Mirosławskiego; także „Gryf“ II, 1—2, Wyprawa na Starogard.

***) Chodziło wtenczas o uwłaszczenie drobnego włościanina, który dotychczas odrabiał pańszczyzną „pieszą“. p. „Gryf“ II, 1—2, Wyprawa na Starogard.

# Kiedy przedawniają się pretensje z ubezpieczenia na wypadek okaleczenia?

Nieznajomość przepisów o przedawnieniu pretensji w ustawie o ubezpieczeniu na wypadek nieszczęśliwy już nie raz przyprawiła robotnika o słuszne uprawnienie do renty. Znajomość zaś tych przepisów w dziedzinie ubezpieczenia robotniczego jest najlepszą ochroną prawną. Tyczy się to przedewszystkiem ubezpieczenia na wypadek okaleczenia. Zajmiemy się się więc najprzód wypadkami nieszczęśliwymi takimi, których nie zgłosił do Spółki zawodowej ani pracodawca ani też uległy nieszczęściu robotnik, gdzie więc nie ustanowiono odszkodowania i kiedy skutki okaleczenia dadzą się dopiero po dłuższym czasie zauważyć. Są to przeważnie uszkodzenia głowy i wewnętrznych organów, które początkowo wcale albo tylko na krótki czas uczyniły okaleczonego niezdolnym do pracy. Takie uszkodzenia ciała powodują nierzadko kilka lat po wypadku zupełną niezdolność do pracy. Jeśli w takim wypadku czasokres przedawnienia już upłynął, wtenczas okaleczony zostaje z pretensją oddalony i to bez względu na to, czy jest zupełnie, lub tylko częściowo niezdolny do pracy. Według § 72 ustawy o ubezpieczeniu na wypadek okaleczenia trzeba wnieść podanie o rentę w przeciągu dwuch lat po wypadku do Spółki zawodowej albo też do niższego urzędu administracyjnego (landrat, magistrat). I tutaj trzeba rozróżniać między zgłoszeniem wypadku a zgłoszeniem pretensji do odszkodowania. Nawet kiedy zgłoszono wypadek, nastąpi przedawnienie, jeśli w przeciągu dwuch lat nie została zgłoszona pretensja do odszkodowania. O tem się często zapomina; okaleczeni są zazwyczaj zdania, że raz zgłoszony wypadek wyklucza przedawnienie. Jest to mylne zapatrywanie. Przepisy o przedawnieniu pretensji dotyczą też i pozostałą rodzinę. Pretensja do renty nie przedawnieje w każdym poszczególnym wypadku w przeciągu dwuch lat. § 72, ustęp drugi, tejże ustawy przepisuje, co następuje: „Po upływie dwuch lat przyjmuje się zgłoszenie tylko wtenczas, jeżeli się świadectwami uwierzytelni, że następstwo wypadku, uzasadniające pretensję do odszkodowania dopiero później zauważono i że uprawniony do odszkodowania nie mógł z powodu okoliczności poza obrębem jego woli leżących wystąpić z roszczeniem do renty i jeśli zgłoszenie do renty w przeciągu trzech miesięcy nastąpiło, od czasu kiedy następstwa wypadku zauważono albo przeszkodę do zgłoszenia usunięto.“ Przepis ten wyjątkowy jest wielkiej doniosłości dla ubezpieczonych. Według niego mogą ulegli nieszczęśliwymu wypadkowi, którzy podczas pierwszych dwuch lat po wypadku nie byli niezdolni do pracy, u których się jednak po upływie tego czasu następstwa wypadku ujawniają, wnieść z prawnym skutkiem roszczenia na odszkodowanie. Naturalnie musi to nastąpić w przeciągu trzech miesięcy. — Jak już wyżej wspomnieliśmy, przedawniają pretensje rentowe pozostałej rodziny również w przeciągu dwóch lat, od czasu wypadku liczywszy. Jeśli jednak już przed śmiercią okaleczonego ustanowiono odszkodowanie, to dwuletni czasokres bierze swój bieg dopiero od dnia śmierci ubezpieczonego. Wypada jeszcze zauważyć, że odrzucenie wniosku o odszkodowanie ma znaczenie stwierdzenia. Jeśli więc okaleczony w przeciągu dwuch lat po wypadku stawił wniosek o odszkodowanie i został oddalony z nim, to Spółka zawodowa nie może przy ponownem stawieniu wniosku podnieść zarzutu przedawnienia. „Oświata“.

# Rozmaitości

**Przeciw promieniom słonecznym.** Dotychczas panowało powszechnie przekonanie, że kolor biały stanowi najlepsze zabezpieczenie przeciw promieniom słonecznym. Dlatego też turyści w strefach podzwrotnikowych używali głównie ubrań białego koloru. Wprowadzono również białe uniformy dla wojsk europejskich w kolonjach gorących krajów. Obecnie badania przeprowadzone przez angielskich chemików wykazały, iż kolor czerwony jeszcze lepiej zabezpiecza przed działaniem promieni słonecznych, niż kolor biały. Stwierdzono, iż europejczycy przebywający w strefach podzwrotnikowych, a noszący ubrania czerwonego koloru, znacznie łatwiej znosili upały. W związku z tym odkryciem przeprowadzoną ma być reforma uniformów dla wojsk kolonjalnych.

* * *

**Człowiek z „bujną" przeszłością.** Z Petersburga donoszą: Przybył tu były naczelnik warszawskiej policji śledczej Weissmann, zasądzony na roboty przymusowe na Sybirze za łapówki, za popieranie bandytów i za utrzymywanie stosunków z warszawskimi domami nierządu. — Przeszłość Weissmanna to szereg zbrodni. Weissmann bawił szereg lat za granicą, zwłaszcza w Sofji, Konstantynopolu i w Paryżu. Jak słychać, miał on też brać udział w kradzieży dokumentów z francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych.

W latach dawniejszych zajmował się Weissmann handlem dziewczętami i objechał całą Europę. W krajach bałkańskich zajmował się szpiegostwem i zdołał pozyskać zaufanie wielu rumuńskich, serbskich i bułgarskich polityków. Na dworze zamordowanego Aleksandra serbskiego odgrywał Weissmann znaczną rolę. Był też jakiś czas szefem serbskiej policji. Jego zaś żoną była, wtajemniczona w różne afery, dama dworu królowej Dragi. — W ostatnich czasach Weissmann był naczelnikiem policji śledczej i stąd ostatecznie zesłano go na Sybir. Weissmann wniósł do cara prośbę o ułaskawienie.

* * *

**Tatarzy na Podlasiu.** W pismach warszawskich czytamy: w odległości dwu wiorst od osady Łomazy, w pow. bialskim, gub. siedleckiej, jest wieś Studnianka, w której mieszka 8 rodzin tatarskich (około 40 dusz), potomków dawnych tatarów, osadzonych podobno w tej miejscowości za króla Jana III. Tatarzy studniańscy trzymają się swej wiary, mają we wsi drewniany niewielki meczet i wybieranego ze swego grona mułła, zatwierdzanego przez gubernatora, a podwładnego „muftiemu", rezydującemu w Ufie. Nabożeństwo odbywa się w języku arabskim. Wszyscy mahometanie studniańscy trudnią się rolnictwem, są piśmienni, językiem ich domowym jest język polski, ze sąsiadami są w stosunkach jak najlepszych. Z czasów dawniejszych przechował się ciekawy dokument, dotyczący osadnictwa tatarów na tej ziemi. Jest to dekret Augusta II z roku 1698, którego mocą król nakazuje rotmistrzowi tatarskiemu, Romanowskiemu, zwrócić 68 włók ziemi, nieprawnie zajętej i zagarniętej od włościan łomaskich i ziemie te przekazuje im w czynsz wieczysty. Dokument ten, spisany na pergaminie, zaopatrzony w wielką lakową pieczęć królewską i w oryginalny podpis Augusta II, początkowo przechowywano w urzędzie gminy Łomazy, obecnie puszkę z dokumentami przechowuje ks. proboszcz miejscowy.

* * *

**Marka ochronna na nazwisko.** W tych dniach stawał słynny filantrop, Carnegie, jako świadek przed sądem nowojorskim w sprawie firmy oszukańczej, noszącej nazwę „Carnegie Trust Co", a obecnie zbankrutowanej i pozostającej pod oskarżeniem. Firma ta nie miała nic wspólnego z Carnegiem, to też ten protestował gwałtownie przeciw używaniu jego nazwiska, ale wszystkie jego wysiłki rozbiły się o twierdzenie przeciwników, iż Carnegie nie postarał się dotychczas o markę ochronną na nazwisko swoje, względnie na wyraz Carnegie. Słynny miljoner zakończył swoje zeznania głębokiem westchnieniem: „Nie uwierzycie, moi panowie, jak gorzka jest droga filantropji!"

* * *

**Jubiler włamywacz.** Z Nowego Jorku nadeszła do Londynu wiadomość o aresztowaniu tam herszta jednej z najznaczniejszych szajek „międzynarodowych" włamywaczów. Nikt nie przypuszczał, że jest nim bardzo znany jubiler nowojorski, Jacows. Wydał go w ręce policji czysty przypadek. Ostatniego kwietnia oczekiwał Jacows na żonę i córkę w porcie nowojorskim, wracające z Europy. Zgubił wtedy nieznaczną, zdawałoby się, kartkę, na której był zanotowany adres pani Drumont. Owóż osobie tej skradziono w lutym b. r. na pokładzie statku „America" kosztowności na sumę 100 000 dolarów, a wszelkie usiłowania wykrycia sprawców kradzieży spełzły za niczem. Kartka, zgubiona przez Jacowsa, dostała się do rąk agientów śledczych, i ma się rozumieć, policja zażądała od jubilera wyjaśnień. Zaskoczony, nie umiał się wytłomaczyć; twierdził tylko, że jest to jakiś kwit bagażowy bez znaczenia. Władze policyjne w Nowym Jorku są przekonane o winie Jacowsa i mają pewne dowody na to, że stał na czele niebezpiecznej szajki włamywaczów, grasującej po całej Europie. W Paryżu i w Berlinie wiedziano już oddawna o istnieniu tej szajki, jednak nie udało się wyśledzić z pośród niej nikogo. Według zebranych informacji, Mr. Jacows i towarzysze zrabowali ogółem kosztowności na sumę miljonów marek.

* * *

**Przypadkiem powieszony.** W Cherbourgu dzwon, zwołujący robotników arsenału, nagle przestał bić. Zdziwieni tą nagłą przerwą robotnicy pospieszyli do dzwonu i ujrzeli, że na jego sznurze wisi jeden z dzwonników pilnujący dzwonienia.

Okazało się potem, że dzwonnik zawisnął na dzwonie przypadkowo. Jeden z dzwonników mniejszego wzrostu, ułatwiał sobie dzwonienie, okrążając pętlą, zrobioną ze sznura ciało i dzwonił samemi pochyleniami ciała.

Drugi, zamieniający go, był wysoki. — Dzwonił, trzymając sznur w ręku i trzymając pętlę.

Otóż prawdopodobnie sznur w pewnej chwili wypadł mu z ręki a pętla rozpędzonego sznura chwyciła go za głowę i porwała, odbierając mu natychmiast przytomność. Gdy go odcięto, żył jeszcze ale wkrótce umarł.

* * *

**Duch na cmentarzu.** W parafji Mniszewo Murowane w Płockiem ubiegłej zimy zaczął się ukazywać na cmentarz duch, który niejednemu strachu napędził. Co pewien czas w nocy kręciła się po cmentarzu jakaś tajemnicza postać.

Jedni ją widzieli jak chodziła wśród mogił, drudzy widzieli jak szła wgłąb cmentarza, któryś z mieszkańców chwalił się, że kiedy podszedł do tego „ducha" — przekonał się, że to nie pokutująca dusza, lecz djabeł, gdyż nie ma zwyczajnych nóg, tylko końskie kopyta. Ludzie jeszcze się więcej bali, a duch stawał się jeszcze śmielszym. Początkowo ukazywał się śród nocy, później zaczął i z wieczora.

Tymczasem wypadł w parafji pogrzeb; kiedy zwłoki spuszczono do grobu, zebrani przyjaciele zmarłego przyszli odwiedzić groby swoich krewnych, ten i ów zauważył, że na grobie leży oderwana z krzyża pasyjka i tabliczka a krzyża niema. Takich grobów naliczono 14 czy 15.

Dopiero się przekonano, że był to zwykły złodziej, który z cmentarza kradł bezkarnie krzyże.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 21. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 27 maja 1911.

JULJUSZ KADEN.

## HYCEL.

Tu mieszka: na wydmie, na wydmuchu, na odsłonię tym hylu. Tu pod pokrywą zamkniętych murów wrogo sprawuje srogie rzemiosło. Za najdalszą okrainą miasta, na rozłogach przez zamieć ulizanych, gładkich jak skóra zleniała. Na ziemi pod miasto nieużytej, brudem wydzielin usłanej, wzgardliwie odtrąconej.

Tu, na tej glebie, co biegnie w dal rozgwiazdą skalistych pagórków, wyniósł hycel zgniłe sromotne próchno swej budy.

W dół posępnego siedliska sączą się żółte, spadziste drogi, jak z głowy pasożyta wyrastające macki zachłannych pochwytów i uściśnień.

W jesiennym mroku, gdy dymna miejska mgła morową zarazą rozścieli się powszędy, zda się hyclowska siedziba i te drogi dokonle, jak ulana żółć płynące — drapieżnym olbrzymim pająkiem, co wylągł się z podmiejskiego ugoru. Wylągł i snuje nieskończoną pajęczynę szubienicznych sznurów, snuje a pętlami stryków wiąże, wiąże podstępnie i czeka.

Sam tu mieszka. Sam rano, wieczorem, we dnie i w nocy, w jesieni, w zimie, w lecie i na wiosnę, z nieodebranym łupem ohydnych łowów.

Mija upalna pogoda lata. Opada pył gorący, co zarodem wścieklizny krążył, co jak złocistoszary upiór szaleństwa słaniał się nad rozłożystymi murami miasta. Wraz z pogodą mija ta sfora wyczerpanych psów, które przyległszy do cuchnących ścian gościnnego potrzasku, z krasnym płatem wywieszonych jęzorów, robiąc bokami skuczoły na swój los upalny, niedrożny i bezwodny.

Już dawno z nich hycel tłuszcz wytoczył.

Mija jesień w nawłokach rozchełtanej mgły krwawą rdzą nicowana. Szare, śmiertelne prześcieradła chmur zaścielają niebo, z którego mżą zimne dżdże łez na świat rozkisły. Kwas, zgaga, śniedź tchnie ze wszystkich dołów i nor, a wyrwy podmiejskie cuchną jak zarażone usta. Drogi z osady hycla w miasto wiodące, rzekłbyś dżdżownice, czy strupieszałe włókna rwą się i strzępią pasmami błota daleko wnikając w grunt nieużyty. Na każdym skręcie, pod każdą grudą czyha śliski upadek. Koniom nogi podbija, na butach człowieka klejem narasta, okratowaną karetę hycla trzęsie, telepie, pcha na wyboje i wykroty.

Wokoło samotnej siedziby, wokoło tej kostnicy żywego zwierza zapada głęboka obraza pól milczących. Deszczowe krople docinkiem przekornego plusku tną tę ciszę, jak upiorne wargi grasują po zatraconych wagonach, ostatnie życie ssą z rozpękniętego padołu. Śliną nienasyconego głodu płyną po stokach w uwiądzie zaprzepaszczonych.

Wśród nocy cięższej niż niedola, straszniejszej od zwątpienia, w okratowanem więzieniu bezsenne, bezdomna hołota psia tłoczy się z gorzkiemi łzami do krat, pianą bezsiły obmoczonych i wyje nieprzerwanym tokiem aż do utraty tchu.

W jesiennej zawierusze zda się siedziba hyclowska miejscem zbrodni, przybyłkiem kary bezprawnej, fabryką, która z żywych piersi gwizdawki uczyniwszy, świszcze hasło swych trybów bezlitosnych — śmierć nieubłaganą.

Już i z tych piersi dawno wytoczył hycel tłuszcz.

Mija zima. Obłoki zsiadają się i szarym strzępem lecą na pola. Ziemia puchnie. Ugór zamiejski, niby biała purchawka wydyma się półkolem. W jej zgniłych przewodach dzień w dzień wodzi hycel swój pojazd czarny, wrzeszczący, rozszczekany. Wynędzniałe, głodne psy same idą pod stryk, patrząc człowiekowi w oczy strasznem spojrzeniem. Spojrzeniem, z którego głód wyczerpał wszelką nadzieję.

Mija wiosna. Miasto barwami jako kwiat polny rozkwitło. Wstęgą zieleni opasały się pagórki. Dnie za dniami, niczem ptaki z rąk ptasznika lecą skore i lekkie. Cały świat stoi otworem, podobny nieogarniętej pościeli, którą kwiatami potrząsło młode słońce. A w czarnym wozie oprawcy wraca do domu na szczyt hyclowskiej góry namiętny szał niepomnych psów. Zbuntowana radość kruszy zęby na kratach. Bezpańskie sobaki gzić, plenić się chcą.

Już i z nich wytoczył hycel tłuszcz popłatny.

Sam rano, wieczorem we dnie i w nocy. W jesieni, w zimie, w lecie i na wiosnę. Lata całe — jak dzień, od rana... — —

Rozwarł wrota, furgon przepuścił, a potem obydwaj z pomocnikiem wyszli. Idą pośrodkiem drogi, nie chcący, niczego nie wiedzący, pozorem niefrasobliwym zamaskowani, podczas gdy za nimi hurgocze kratowane wóz-więzienie. Podczas gdy sami na strony z podełba łypią, baczą i śledzą. Ich oko przetrząsuje spękaną dal ziemi, gruntownie rewidując. Idą leniwo. Ale pod ociężałym pozorem czają się wybuchy skoku, nurtuje wartki, zwrotny bieg. Na głowach mycki, kuse, oblepłe, żadnym wichrem nie zwiane. W oczach łasi się obława. W garści wędy jakoweś przykrótkie, kalekie. W twardych butach, w skórzanych portkach, nierozgryzionych, idą spokojnie, fałszem gapiostwa obleczeni, kiwający się z boku na bok. Zastałe opilce, spasione gamonie — nic więcej...

Dopiero, gdy kitę ogona w parowie merdającą spostrzegą, zmienią figury. Teraz się wloką jeszcze wolniej, noga za nogą, niezdary połamane. Wszystko, wszystko widzące, jeno nie tego psa, co w dole starą padlinę wywąchuje i, to kopie, to poniechawszy kopania, słucha roztropnie.

Z dwóch stron parowu zaszli, idą niechcący z wędami w tyle ukrytymi.

Gdy w tem świsną i pędem skoczą, zadudni ziemia pod nogami, niby ten rwany włos zaszeleści stargana trawa. Po gałęziach trzeszczących, jak po tych kościach głodomoru na skwarki uschłych, gonią za zwierzem. Ten zaskowyczał, uszy stulił i rwie pod górę. Ludzie za nim nie z krzykiem, nie z wołaniem, a ujadając. To wyśligane buty ze szkarpów się spłożą, to się głowa między osty uwikła, to ręce już chwytające, między ciernie głogów krwawych rymną. Zwierz ciska się, siepie, przed strykiem umyka. W oczach

się mnoży, dwoi, troi. Póki się wreszcie nie wyłabuda, kitą przed oczyma nie machnie. Szczeka, ujada a oni za nim z przekleństwem w piersiach.

Lecą jeden od przodu, drugi z boku nagonką, podstępem. Rozpieli się w zmienny trójkąt gonitwy, bezwstydnym hałasem na zielonem błyniu tętniący. Trójkąt to spina się, to się już strykami na dobre sprządz ma, to znów ruchliwe jego wierzchołki pryskają daleko od siebie.

Pierś się zadycha, wicher w uszach wyje, wałem rozgłosu przewala się, gdy nogi rwą chyżością pościgu opętane.

Czarny, z czarnym strykiem w ręku leci hycel, ogromnemu komarowi podobny. Jak komar nad wygolonym wertepem, w locie przyziemnym trzęsie się, drży, pole nogami strzyże.

Nagle krętą strugą ostrego żądła upadł stryk na łeb zwierzęcia i wypił z niego wszystek pęd.

Upadł, a obrożą niewoli szyję okręciwszy, całe tętno biegu zamknął we łbie. Zdało się, że rozmach ucieczki, szyją odpływu nie mający, rozedmie czaszkę. Bo już się ślepie wybałuszyły i krasny jęzor po białej koronce zębów spłynął ku dołowi.

Hycel zelżył arkanów i z psem, opornie postępującym, zawrócił do kratowanego wozu. Szli powoli, bo zwierz nietylko piętrzy grzbiet, a czepiał się ziemi miłośnie. Z bezgranicznem zaufaniem więzły mu łapy w trawie, pazury lgnęły do rozmiękłej gleby. Tak jakby zwierzę z ziemią w jedność zespolić się chciało ufne, że z całą ziemią zrośnięte, nie zmieści się na katorżnym wozie.

Podeszli. Pies rzucił się między nogi, łkając w rozpaczliwem oburzeniu. Lecz hycel w niecierpliwe dłonie, niby w namordnik porwał mu pysk, stulił a z pomocą towarzysza wtarabanił na wóz.

Przedmieściami skierowali się ku miastu. Za wozem zebrała się gromada uliczników i wyrostków, którzy czynili znaki zrozpaczonemu psu, przyjaźnie klepiąc się po udach, z podwizdywaniem łaskawem. Zwierz przez łzy szczekał radośnie, płaszczył się na kratach i wołał do ludzi o ratunek.

Hycle szli środkiem ulicy, sami. Dawano im wolną pustą drogę. Przechodnie usuwali się na boki staranniej, niż się cofają przed pojazdem, co grudami błota pryska na strony. Zapobiegliwiej, niż stronią przed psem bezpańskim, co leci nie samowity, ogon zwiesiwszy, z wywalonym jęzorem — może wściekły... Tłum dzieci, pauprów, andrusów wzbierał, coraz liczniejszy. Z ust do ust przelatywały słowa twarde, gardzące, jadowite jak rój rozsierdzonych ós.

„Hycel, rakarz! Czyściciel! Oprawca!"

Lecz po chwili słowa gasły, bo mało już było słów na widok tych zimnych, niemiłosiernych drabów, co z kalekiemi wędami w rękach dybią na niewinną swobodę gościńca. Żywe słowa przeradzały się w syki, gwizd i wycie.

Lecz mało już było wycia, bo hycle szli, głusi na wzgardę, naprzód zaczepnie podani i czujnie śledzący. Nienawiść poniechała głosu, a giestem namiętnym, obelżywym, ruchem szyderstwa, koślastwem kpin występowała za brzegi chodników na gościniec.

Nagle tuż pod nogi kroczącego posępnie hycla, ni to ziarno gradowe, ni to plwocina ciężkiej wzgardy, upadł kamień. Hycel stanął i licem zwrócił się ku tłumowi. Z gromadki malców, cały jeszcze rzutem rozkołysany, jasnowłosy chłopaczek z tornistrem na plecach groził małą różową pięścią. Hycel wstrząsł ramionami i ruszył dalej, już z tą chłopięcych oczu wzgardą w oczach.

Znów żądła, ukłucia, drzazgi i zadry nawoływań poleciały z chodników. Niby krople ukropu, stopiwszy powłokę obojętności, parzyć jęły duszę człowieka.

„Rakarz, hycel! Czyściciel! Oprawca! Kat! — wrzasnął ktoś.

Słowo batem cięło przez serce.

Idzie hycel z jarą szubienicą w ręku, karawan swobody za sobą wlecze. Sprawiedliwość spełnia na bezpańskiem stworzeniu, co płuży nieprzewidzianemi drogami w porządku zaprowadzonym, nieprzewidziane. Bez obroży! Obrożą stryka, śmierci — skarcone. Nie co innego, jeno sprawiedliwość. A oni mu wołają — kat!

Tu już rozjątrzył się w sobie, a serce w nim ścierpło na sam kamień, kamieniem nienawiści uderzone.

Płocha gawiedź — ważył w sobie, grzęznąc uchem w huczny odmęt zaciętych wyzwisk, co go szronem wstydu cięły po oczach. Wstydzą się hycla, wstydzą się własnej sprawiedliwości.

Bo już w tym tłumie, nienawiścią słów zgrzytającym, on, łapacz psów, poczuł się szczutym, szczwanym jak pies. A wtedy zajęła się w nim zgraza gniewu ogniami rozpaczy. W całej istocie poniżenia stanęła mu przed oczami prawda tego rzemiosła. Oto sprawiedliwość ludzka na bary hycla włożona, bezpańskim go wśród ludzi sprawia, psem bezobrożnym.

Mścić ją należy, bo sama zemstę na się wciąga.

Rozlazły jakiś szczeniak wybiegł z za rogu ulicy. Hycel, jak samo zbawienie, czy bratnią dłoń, porwał stryk i skoczył naprzód. Zdało mu się w tej chwili, że hurmą leci za wszystkich hycli całego świata.

Lecz z chodników poskoczyli malcy psu na ratunek. Hałas zakrzepł w piersiach ludzi. Na ulicę spadła cisza niepokoju, kopana tupotem pogoni.

Ach! Dopadnie psa hycel wreszcie!

Mały, jasnowłosy chłopaczek z tornistrem na plecach, skoczył na przełaj. Morda czczeniaka i jasnowłosa głowa zbratały się w oczach hycla.

Świsnął strykiem i głowę chłopaka złowiwszy, ściągnął w błoto.

Na gościniec z wrzaskiem runął tłum.

# Pogadanka przyrodnicza.

## Sen i senne marzenia.

Świat snów! Ileż fałszywych wyobrażeń, dziwacznych przesądów, ile wiary w zaziemską, mistyczną jego istotę. Wedle pojęć ludów dzikich, dusza opuszcza podczas snu ciało i odbywa wędrówki po świecie; obrazy senne, których mgliste zazwyczaj zarysy majaczą w świadomości po przebudzeniu, są wspomnieniem prawdziwych przygód, doświadczonych przez ową wędrowną duszę. Całkowicie wyzwolić się od tego rodzaju skojarzeń niezawsze umieją nawet ludzie skądinąd rozsądni, nie mówiąc już o niedorzecznych praktykach wróżbiarskich, o literaturze „sennikόw egipskich", których zwolennicy wierzą niezachwianie, że człowiek, któremu przyśni się pożar — niechybnie zostanie Krezusem. W miarę tego, jak do mrocznego świata snów przedostawać się poczęły promienie wiedzy, gdy do zbadania zjawisk sennych zastosowano metody doświadczalne, przekonano się, że zjawiska te powstają na podłożu tych samych praw przyrodniczych, jakim podlegają wszelkie inne objawy fizycznego i umysłowego życia człowieka. Najprostszy sposób badania, stosowany już przez Fechnera, twórcę psychologji nowoczesnej, polega na budzeniu śpiącego za pomocą rosnących stopniowo bodźców dźwiękowych. W krótkich przerwach rzuca się raz po raz na płytę żelazną kulę z ołowiu; siła uderzenia potęguje się przez to, że kula spada z coraz większej wysokości, dopóki śpiący nie obudzi się. Przekonano się z tych doświadczeń, że głębokość snu w różnych godzinach nocy jest bardzo nierównomierna. U człowieka normalnego sen najgłębszy przypada na pierwszych parę godzin uśpienia i odbywa się zwykle bez marzeń. Stopniowo — z pewnemi wahaniami — siła snu słabnie pod rano; w ostatnich zaś gogzinach, bezpośrednio przed obudzeniem, sen bywa najlżejszy i najbardziej obfituje we wszelkie wytwory fantazji. Zauważono dalej, że istnieją różne typy snów, stojące w związku ścisłym z indywidualnością człowieka. Kto z wieczora posiada sen głęboki, ten zazwyczaj rano czuje się wypoczętym i czerstwym; i odwrotnie ludzie, dopiero pod rano zapadający w sen głęboki, przez długi czas po przebudzeniu walczyć muszą z senno-

ścią, ustępującą powoli w ciągu dnia, niekiedy dopiero po drzemce popołudniowej. Ludzie pierwszej kategorji skłonni są do pracy porannej i reprezentują wogóle typ zdrowszy; druga kategorja uczuwa szczególne upodobanie do pracy nocnej — są to ludzie słabi nerwowo. Podobnież różne działanie wywiera sen popołudniowy. Jedni ludzi wstają zeń pokrzepieni i pełni energji, inni natomiast budzą się ociężali i mało zdolni do pracy. Pierwsi to neurastenicy, którzy zrana wstali niepokrzepieni, człowiek zaś zdrowy, po dobrze spędzonej nocy, snu w ciągu dnia nie potrzebuje.

Ciekawszem od powyższych różnic indywidualnych jest zagadnienie natury ogólniejszej: czy zdarzają się istotnie podczas snu chwile ustania życia duchowego, chwile gdy świadomość człowieka znika, i czy w podobnym stanie zarówno marzenia senne, jak wszelka czynność świadoma mózgu urywa się? Zagadnienie to posiada podstawowe znaczenie dla poglądu naszego na życie duchowe człowieka.

Jeżeli pojęcia: „życie duchowe" i „świadomość" uważać mamy za równoznaczne, sen głęboki, wolny od spostrzeżeń i wyobrażeń, pojmowany być musi, jako stan całkowitego zaniku świadomości, a tem samem i życia duchowego. Świadomość nasza prowadziłaby tedy wysoce zagadkowy rodzaj egzystencji. Występuje ona przy pewnem natężaniu działalności mózgu, w chwili przebudzenia, kieruje w ciągu dnia całem życiem psychicznem, aby z nadejściem nocy na parę godzin pogrążyć się w nicestwo.

Atoli podobne koleje „świadomości z przerwami" zgoła byłyby niezrozumiałe z punktu widzenia psychologji współczesnej. Celem wyjaśnienia tych zajmujących i zawiłych stosunków podjęto w nowszych czasach liczne badania, których wyniki pozwalają ze znaczną dozą wiarogodności twierdzić, że stan całkowity utraty świadomości nigdy za życia człowieka nie ma miejsca. Dla zaznajomienia się z metodami, stosowanemi w psychologji doświadczalnej, warto poświęcić kilka słów doświadczeniu, dokonanemu przez badacza włoskiego Mosso. Sporządził on wagę, dającą możność obserwowania zmian, zachodzących w ciężarze poszczególnych części ciała człowieka, pogrążonego we śnie. Wyobraźmy sobie duży blat od stołu, oparty na szerokiej belce poprzecznej. Skoro umieścimy na takiej wadze człowieka, chcąc utrzymać przyrząd w pozycji poziomej, będziemy musieli obciążyć lżejsze od głowy nogi odpowiednią ilością ciężarków. Owóż, jeżeli leżącej na wadze pozwolimy usnąć, spostrzeżemy, że koniec wagi, na którym spoczywa głowa, podniesie się do góry. Aby przywrócić zachwianą równowagę, wypadnie teraz obciążyć głowę. Spróbujemy jednak zawołać na śpiącego po imieniu — z kolei podniosą się nogi. Jak mamy sobie to dziwne zjawisko tłómaczyć? Oto w ten sposób, że podczas snu, przy osłabieniu czynności umysłowych, krew odpływa od mózgu i skutkiem tego głowa staje się lżejszą. Odwrotnie — odezwanie się nasze było podnietą do podjęcia pracy umysłowej i spowodowało przypływ krwi do mózgu. Jeżeli jednak dźwięk głosu może pobudzić uśpiony umysł do pracy, oznacza to najwidoczniej, iż działalność psychiczna nie całkiem była przerwana; innemi słowy mówiąc: najgłębszy nawet sen nie jest zdolny do sprowadzenia zupełnego zaniku świadomości.

Wspomnieć wreszcie wypada o przyczynach, powodujących marzenia senne. Doświadczenie wykazuje, że mają one swe źródło w rozmaitych zewnętrznych i wewnętrznych bodźcach, działających podczas snu na naszą świadomość. Wywołane pod ich wpływem wyobrażenia mniej lub bardziej odpowiadają wyobrażeniom, powtarzającym w podobnych wypadkach na jawie. Więc np. odgłos spadającej książki wywołać może w sennym mózgu wyobrażenie o uderzeniu piorunu, pokropienie zaś śpiącego wodą sprawi nań wrażenie kąpieli. Do tych pierwszych wyobrażeń nawiązują się inne, z naturą bodźca w coraz luźniejszem pozostające powinowactwie, tworzące cały łańcuch obrazów, tem dziwaczniejszych i mniej z sobą powiązanych, im bardziej podczas snu zanika kontrolująca czynność umysłu.

Odrębną grupę stanowią sny powrotne. Źródłem ich są najczęściej bodźce wewnętrzne; tak np. utrudnione oddechanie powoduje uczucie duszenia, niskie położenie nóg w stosunku do tułowia — spadanie w przepaści i t. p. Przyczyna powtarzanic się znów polega na tem, że jednakowe bodźce wywołują u tego samego osobnika, z małemi warjacjami, stereotypowe skojarzenia obrazów za pomocą których umysł usiłuje interpretować powstające w mózgu spostrzeżenia.

# Alkohol a praca.

Centralne biuro kas chorych i urząd zdrowia w Berlinie wydały ciekawą broszurę statystyczną, która rzuca światło na stosunek do alhoholu warstw robotniczych niemieckich i na skutki alkoholizmu.

Urzędnicy tych dwóch instytucji wspólnie obserwowali 1 250 000 robotników stale zatrudnionych w lipskim okręgu przemysłowym. Abstynentów między nimi znaleźli tylko pośród młodocianych robotników w wieku od lat 15—19, starsi wszyscy piją.

Między pijącymi znaleźli lekarze urzędu zdrowia 952 674 takich robotników, którzy byli na drodze do zostania alkoholikami, alkoholików zaś było 4847, czyli okrągło pół proc.

Obserwacje wykazały, że abstynenci chorują 0,8 dni na 100 dni roboczych; pijący umiarkowanie w tym samym czasie 2,1 dnia, alkoholicy zaś 12,6 dnia.

Ciekawe jest przytem to, że alkohol najmniej szkodzi ludziom w wieku średnim; alkoholicy do lat 30 tracą wskutek chorób 3,3 procent dni roboczych; w wieku od lat 30 do 40 tracą 3 proc. dni, a później stopniowo coraz więcej, tak, że w 60 roku życia tracą 12 i pół dnia na 100 dni roboczych, podczas gdy abstynenci dopiero w 75 roku życia tracą 11 proc. dni roboczych.

Śmiertelność między abstynentami jest najmniejsza; rzadko też stają się ofiarami nieszczęśliwych wypadków.

Śmiertelność między alkoholikami jest większa, aniżeli między umiarkowanie pijącymi: 2,3 razy w wieku do lat 34 życia; w następnem dziesięcioleciu większa 2,9 razy, a znowu w następnem dziesięcioleciu 2,2 razy, w następnem (do 64 roku życia) 1,2 razy, potem znów blisko 2,0 razy.

Ciekawą rzeczą jest stwierdzenie następującego faktu: Abstynenci przeważnie (95 procent) stale trzymają się nietylko swego zawodu, ale i swej specjalności w obranym zawodzie i tę specjalność doprowadzają do mistrzowstwa, są wskutek tego wysoko cenieni w fabryce i dobrze opłacani. Stale, choć umiarkowanie pijący zmieniają miejsce zatrudnienia średnio raz na 60 dni, a swoją specjalność w zawodzie co dni 144.

Czynią to częściej od abstynentów 8 i pół razy. W ciągu lat kilku obejdą wszystkie fabryki w pewnej miejscowości, a potem wynoszą się do innego miasta. Nadzwyczaj łatwo zawierają przyjaźń, ale zrywają ją jeszcze łatwiej.

Alkoholicy posiadają te wady w stopniu jeszcze większym. Średnio każdy z nich zmienia miejsce zatrudnienia co dni 34, a specjalność w swoim zawodzie co dni 113.

Ciekawe te wyniki statystyki oświetlają dobrze ze stanowiska ścisłych liczb, jak szkodliwym jest alkohol dla organizmu a nawet dla wartości człowieka dla społeczeństwa.

## Rozmaitości

**Badanie dżumy.** Pod kierownictwem profesora Mieczalkowa, kierownika instytutu Pasteura w Paryżu, wyruszyła do Rosji wycieczka naukowa, złożona z pięciu lekarzy. Celem wycieczki, do której przyłączy się na miejscu kilku profesorów rosyjskich, jest zbadanie okolicy Astrachanu, nawiedzanej rokrocznie od lat dwudziestu przez

dżumę. Uczeni pragną zbadać, w jakich warunkach żyją bakcyle choroby w okresie, gdy zaraza wygasa, czy istnieją w organizmach zwierząt, czy u ludzi, którzy zdołali szczęśliwie wyjść z choroby.

* * *

**Wykrycie pracowni kart pornograficznych.** W Otwocku w Królestwie wykryła policja wielką pracownię pornograficzną, reprodukującą obrazy „z natury". Skonfiskowano wielki zapas towaru gotowego, a następnie zajęto się wyśledzeniem kilku żywych „modeli" młodzieży obojga płci, których w fabryce przyłapano. Zaaresztowany został pośrednik w werbowaniu modelek do pracowni. Interesujące karty cieszyły się zbytem największym w cesarstwie rosyjskiem.

* * *

**Smierć lunatyczki.** W Leodjum w Belgji pewna 34 letnia kobieta wyszła we śnie na dach a na następnie schwyciła się brzegu rękoma i tak wisiała czas jakiś. Szmer zbudził sąsiadkę. Przerażona kobieta nie zdając sobie sprawy z tego co czyni, zawołała na lunatyczkę po nazwisku. Lunatyczka obudziła się i spadła z wysokości 20 metrów na podwórze, rozbijając sobie głowę. Zmarła natychmiast.

* * *

**Sen letargiczny.** Petersburskie „Russkoje Słowo" donosi, że do jekatierinosławskiego szpitalu odstawiony został z aresztów pewien wieśniak, który zapadł w sen letargiczny i pozostaje w nim od 6 marca. Lekarze utrzymują, że letarg wywołało silne wstrząśnienie nerwowe. Ów wieśniak jest oskarżony o udział w napadzie rabunkowym na pociąg kolejowy.

* * *

**Skarby cesarzowej chińskiej.** Z Pekinu donoszą o krążącej tam pogłosce, jakoby skarby zmarłej cesarzowejwdowy Tse-szi, mianowicie 8 miljonów funtów szterlingów w sztabach złota, przewieziono potajemnie do Londynu. Czy przewieziono je do Anglji istotnie, sprawdzić trudno, że jednak zmarła cesarzowa chińska była rzeczywiście nadzwyczaj bogata, to nie ulega wątpliwości. Kto bowiem za jej rządów pragnął otrzymać stanowisko wybitne, musiał opłacać się grubo uczciwej staruszce. Tak np. w dzień 60 rocznicy otrzymała Tse-szi od wiernych poddanych 37 miljonów franków, w dzień zaś 70 rocznicy około 50 miljonów. Podczas zajęcia Pekinu przez wojska mocarstw europejskich poszukiwano nadaremnie tych skarbów, aby zabrać je na pokrycie pretensji mocarstw. I oto dziś zjawia się pogłoska o przewiezieniu ich do Anglji.

* * *

**Ludność Japonji.** Ogłoszone urzędownie statystyczne wykazy cyfr ludności podają, że do dnia 1 stycznia 1911 r. ogólna liczba mieszkańców Japonji wynosiła 49587283, z czego 25045399 mężczyzn, 24541884 kobiet. Jeśli się do tego doda liczbę ludności japońskiego pochodzenia w Korei i na Formozie, wynoszącą około 12 miljonów, ta ogólna cyfra stanu ludności dochodzi 65 miljonów. Na kilometr kwadratowy przypada 130 głów.

* * *

**Ślub sufrażystki.** W Londynie, w dzielnicy Brighton, odbyć się miał ślub jednej z sufrażystek z miejscowym przemysłowcem. Obrząd zaślubin natrafił jednak na poważne przeszkody. Narzeczona nie chciała w żaden sposób wypowiedzieć formuły ślubnej, w której przyrzeka mężowi posłuszeństwo. Zażądała natomiast od urzędnika stanu cywilnego, aby przyjął jej formułę, stwierdzającą, że małżeństwo opierać się będzie „na zupełnem równouprawnieniu obu stron". Wobec oświadczenia urzędnika, że formuły takiej przyjąć nie może, sufrażystka z energją odpowiedziała, iż woli zrezygnować z małżeństwa, niż poddać się tyranji wymyślonego przez mężczyzn przepisu.

* * *

**Zamrożone zwierzęta.** Interesujące badania nad zamarzaniem i odżywianiem płazów przedsięwziął niedawno dr. Müller w Erzbach. Niejednokrotnie już zaobserwowali badacze przyrody, że niektóre stworzenia można poddać działaniu bardzo niskich temperatur, i że mimo to po przywróceniu ich ciałom temperatury normalnej, życie się w nich budzi na nowo. Dotychczas jednak nie można było przyjąć ogólnej reguły, raczej wykazywało się, że zaobserwowane wypadki są niewytłómaczonemi wyjątkami, ponieważ szereg doświadczeń przedsiębranych przynosił zazwyczaj ujemne rezultaty. Obecnie twierdził dr. Müller, że zmrożone zwierzęta giną głównie dlatego, że zanadto szybko podnosi się temperaturę ich ciała. Inną przyczyną śmiertelnego wyniku bywa zanadto gwałtowne obniżanie temperatury. W tych to dwuch przyczynach należy upatrywać dotychczasowych ujemnych rezultatów badań. O ile tylko zmiana temperatury dokonywała się bardzo powoli i konsekwentnie, wyniki prawie zawsze były korzystne. I udawało mu się nawet w lecie utrzymać przy życiu żaby, które przez dłuższy czas były poddane działaniu temperatury 8 lub 9 stopni poniżej zera. Badania, dokonywane przy pomocy mikroskopu, udowodniły, że w okresie zamrożenia czynność obiegu krwi zupełnie ustaje. W miarę powolnego powiększenia temperatury krew poczyna znowu krążyć coraz szybciej, aż wreszcie stworzenie powraca do normalnego stanu.

* * *

**Kobieta z gwoździem.** Donoszą z Wilna: Do biura policji zgłosiła się kobieta lat około 30 i oświadczyła, że ma w głowie gwóźdź. Nie dano temu wiary, biorąc kobietę za warjatkę. Dopiero gdy przyszła nazajutrz i złożyła takie samo oświadczenie, przekonano się, że kobietą jest niejaka Łobaczewska. Odesłano ją do szpitala, gdzie istotnie stwierdzono, iż miała wbity w głowę gwóźdź, długości 12 centymetrów. Po wyjęciu gwoździa kobieta umarła.

* * *

**Głód w Chinach.** Biskup Emnigau, mieszkający w Chinach, donosi, że nędza i głód w południowych Chinach jest tak wielki, że nawet ludzie, uchodzący za zamożnych, nie mają co jeść. — Całe rodziny mrą z głodu. Dziewczęta i kobiety Chińczycy masami sprzedawają, aby zyskać grosz na zakupno żywności. Ponadto na ogromnej przestrzeni panuje tyfus i inne choroby.

* * *

**Alkoholizm w Rosji.** Według wiadomości organu urzędowego rosyjskiego ministerjum skarbu, wypito w Rosji w r. 1909 ogółem 84283000 wiader wódki, to znaczy na głowę przypada średnio przeszło pół wiadra (3/5). Wydatek roczny na wódkę był w poszczególnych częściach państwa bardzo różny, bo gdy np. w Królestwie Polskiem przypadało na głowę 2 ruble i 8 kop. wydatku rocznego na wódkę, to w okręgu tak zwanem południowo-zachodnim wydatek ten wynosił przeszło dwa razy tyle, to jest 4 ruble i 23 kop., a w okręgu południowym jeszcze więcej, bo 5 rubli i 12 kopiejek. Z obliczeń urzędowych wynika, że największa trzeźwość panuje w Królestwie Polskiem, ale i tu jeszcze alkoholizm jest straszną klęską, która pochłania rocznie około 20 miljonów rubli (1 rubel = 2,10 mk.) i zabiera tysiące ofiar, a której usunięcie wymaga długiej i wytężonej walki. W związku z tem zestawieniem podają pisma rosyjskie ciekawe obliczenia, dokonane przez posła Dumy, Czernyszewa, a odnoszące się do ilości ofiar, jakie pochłonęło używanie wódki w Rosji w przeciągu jednego roku. Liczby te przedstawiają się następująco: Zmarło na zatrucie alkoholem 3226 osób, utopiło się w stanie upojenia 9176 osób, porozbijało się o stopnie i latarnie 2896 osób, zabiło się wskutek upadku w stanie upojenia 8858 osób, spaliło się w stanie upojenia 6895 osób, powiesiło się w stanie upojenia 1350 osób, otruło się w stanie upojenia 375 osób i tak dalej. — Razem zginęło w Rosji bezpośrednio wskutek używania alkoholu w jednym roku 35668 osób. Dodać należy, że z całej liczby ofiar 80 proc. przypada na klasy ubogie, a więc głównie na robotników. Straszne!

---

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 22. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 3 czerwca 1911.

H. CZUPRIKOW.

## POPŁOCH.

Wicher jęczał ponuro w lesie, wył żałobne motywy, głusząc szum deszczu, a od czasu do czasu pod ścianą klasztorną chichotał przeraźliwie i strasznie przeklęty przez Pana ptak. Przygnębienie zawisło nad starym klasztorem. Trwoga i tęsknota przygniatała kamieniem duszę...

Nie mogąc znieść samotności, dwie zakonnice zeszły się u odźwiernej, aby spędzić wieczór:

— Strach, co się dzisiaj naprawdę dzieje na dworze — twierdziła z namaszczeniem zakonnica. Idąc tutaj, nacierpiałam się prawdziwego strachu.

Poprzez szum deszczu i wiatru do pokoju doleciał idjotyczny chichot.

— O Boże — wyszeptała z wyrzutem zakonnica, trwożnie się żegnając.

— Po czyjąś duszę przyleciał — przesądnie mówiła odźwierna.

Wicher rzucił w okno garść wody, która cieńkiemi strumykami ściekła po czarnem szkle, jak gdyby chciała zaglądnąć do pokoju.

— Przychodzę raz opatrzyć zamek przy wrotach — zaczęła opowiadać odźwierna — jak nie zachichoce... poczułam zaraz, że ktoś stoi za mojemi plecami. Aż serce prawie zamarło we mnie ze strachu. Nie mogę się odwrócić, ani poruszyć... Jak się tutaj dostałam, to tylko Bogu jednemu wiadomo...

— Nie wyjdzie to na dobre, nie...

— I mnie także w początkach ktoś ciągle chodził poza plecami — wmieszała się do rozmowy druga, bardzo jeszcze młoda zakonnica. — Odwrócę się, niema nikogo.

— Już czasy takie nastały — zauważyła starsza. A wszystkiemu winni są żydzi... Buntują oni naród. Wiadoma rzecz, sam czart, Boże odpuść grzechy — zawsze z nimi trzyma. I toby jeszcze nic, ale nawet w świętem miejscu się objawia.

— Niedawno temu, stoję sobie koło ściany — znów się wmięszała młodsza — księżyc tak ładnie świeci. Naraz podnosi się mgła, a z niej człowiek wychodzi. Taki czarny — a oczy mu goreją przy księżycu. Popatrzył na klasztor i wyszczerzył zęby w szatańskim uśmiechu. A potem zdjął strzelbę z ramienia i podszedł do lasu. Jaki straszny. Aaach!..

Zakonnica wzruszyła ramionami.

— Zerwałam się od ściany i ledwie dobiegłam do swej sali.

— Boże, bądź miłościw!...

— A wymyślili też sobie żydzi nadzwyczajnych przyjaciół — ciągnęła starsza. Przyjdzie niedowiarek, wystrzeli do człowieka z fuzji, albo zakłuje nożem i zacznie ssać krew...

— A taki czarny, ja myślę, jak...

Nagle w kominie coś zakotłowało, zaszumiało i rozległo się wolne przeciągłe wycie.

Wszystkie drgnęły.

— To wiatr — rzekła odźwierna, poprawiając knot w lampie.

— Co za pogoda!...

„Trrr... tach... tach... tach...“ rozległo się silne stukanie. Zakonnice się wylękły. Lica ich pokryła trupia bladość.

Wicher podchwytywał dźwięki i z wściekłością to rzucał je w okno — to odnosił w stronę lasu.

Do wrót się dobijano. Skobel furtki odpowiadał na najmniejsze uderzenie, a uderzenia buta ciężko odbijały się o żelazne obramowanie wrót.

Okrywszy naprędce głowę i plecy chustką, odźwierna wybiegła na podwórko.

Wicher rzucił się na nią, obrzucając ją strzępami deszczu i rwąc na wszystkie strony sukienką i końcami chustki.

O dwa kroki nie można było nic dojrzeć. Szare chmury o delikatnych, rozpływających się konturach, bystro unosiły się nad ziemią.

„Trrr... tach... tach... trrr...“

Serce zakonnicy kołatało pospiesznie.

— Kto tam? — krzyknęła, nie schodząc z ganku.

Przestano stukać.

— Otwórzcie, z łaski swojej — dał się słyszeć z za wrót głuszony wiatrem głos. Nie słyszycie, czy co?

— Kto jesteście? — ciągnęła indagacje zakonnica.

Wpuście. Co za przyjemność rozmawiać na deszczu?

— Powiedzcie wpierw, kto jesteście. Wszystko jedno i tak nie otworzę.

— Ach, ty... No więc ze Scieblinówki. Cóż zelżyło?

Tak się nazywał majątek księcia Scieblińskiego, odległy o dziesięć wiorst od klasztoru.

— A jakimże cudem dostaliście się tutaj?

— Ach cóż znowu?... Nie wpuścicie, to powiedzcie odrazu. Cóż to każecie nam moknąć na deszczu?

— Więc poczekajcie, pobiegnę się spytać siostry przełożonej.

— A bodaj cię...

Odźwierna, starając się nie wpadać w kałuże, które się tworzyły pomiędzy kamieniami brukowanego podwórka i w których odbijało żółte światło latarni — biegła do przełożonej.

Po upływie pięciu mniej więcej minut wróciła i zaczęła manipulację koło zamku furtki. Przełożona, dowiedziawszy się, że to wędrowni ze Scieblinówki, wpuścić ich kazała.

Skostniałe od zimna, mokre palce odźwiernej, z trudem spełniały swą powinność, stojący zaś poza wrotami przynaglali, okazując przytem nadzwyczajne zniecierpliwienie.

Zamek wreszcie ustąpił i odźwierna z całych sił szarpnęła skobel ku sobie. Furtka się otwarła. W jej otworze stanęła natychmiast lodowata ciemnia, a furtka zdawała się być prostokątem, namalowanym na wrotach czarną farbą.

Z ciemności wysunęła się noga w wysokim bucie

następnie ukazała się głowa i wreszcie cała figura, przytrzymując się furtki i w niej się poruszając — stanęła w oświetlonej płaszczyźnie. Przybyły był wysokim, zgrabnym brunetem z gęstemi, kędzierżawymi włosami.

Druga figura gramoliła się w otworze, usiłując przepchać przez niego swe ciężkie ciało i zawadzała co minutę o brzegi wrót plączącą się za plecami strzelbą.

Na widok strzelb serce odźwiernej jęknęło. Cała rozmowa dzisiejszego wieczora stanęła jej żywo przed oczyma, napełniając je smutnem podejrzeniem.

Zamykając nieposłusznemi rękami wrota — słyszała jak brunet coś półgłosem szepnął swemu towarzyszowi.

Obróciwszy się, zauważyła na sobie ukradkowe spojrzenie a brunet znowu się nachylił do ucha swego towarzysza podróży.

— Któż to wy, panowie, jesteście?...

— Ech, matko, jeśliście nas już wpuścili, to nie macie się co i dopytywać. Prowadźcie nas lepiej, gdzie potrzeba.

Odźwierna posłusznie poszła przodem, oświetlając drogę latarką. Starała się nadrobić minę, jak gdyby się wcale nie lękała, lecz w gruncie rzeczy, trwoga ogarniała ją coraz większa.

Nagły przypływ wiatru zdmuchnął w jej rękach latarkę, a jej naprężony, pełen trwogi nastrój — jeszcze się więcej spotęgował. Zdawało jej się, że idący w tyle uzbrojeni ludzie zaczną ją zaraz kłuć i że właśnie na to zmawiali się z sobą w wgłębieniu wrót.

Weszli nareszcie do korytarza, oświetlonego maleńką blaszaną lampką. Przy wejściu uderzył ich zaraz kwaskowaty, Bóg wie skąd się zawsze w klasztornych budynkach biorący, zapach.

— Oto celka dla panów.

— Dobrze. Dziękujemy.

Zupełnie wystraszona odźwierna postanowiła wziąść się na sposób.

— A oto tutaj obok będziecie mieli panowie sąsiedztwo. Przyjechał pan isprawnik*) oddać cześć świątyni i zanocował.

Skłamała. Nie tylko żadnego isprawnika w klasztorze nie było, lecz wogóle z mężczyzn był tylko starowina ksiądz. Powiedziała to jednakże na wszelki wypadek. Chciała się przekonać, jakie też wrażenie na nocnych gościach wywrze ta wiadomość, a jednocześnie nie zaszkodziło ich cokolwiek zastraszyć.

Oni natychmiast porozumiewawczo spojrzeli po sobie, a wysoki pan gniewnie odrzekł odźwiernej:

— Nic nam to nie przeszkadza, matko. Zostawcie nam lampkę i dobranoc.

— Zlękli się. Nie chcą tylko tego okazać — myślała wychodząc odźwierna.

Lecz gdzie jej było do tego, aby straszyć innych — kiedy sama znajdowała się w śmiertelnym strachu.

Przeszedłszy poważnie przez korytarz, co ją kosztowało wielkiego wysiłku i panowania nad sobą — puściła się biegiem przez podwórko do swej celi, brnąc po kałużach i roztrącając strzępy wody na wszystkie strony.

Wbiegłszy do pokoju, zatrzasnęła głośno za sobą drzwi i prawie upadła na ławę.

Zakonnice pożerane ciekawością, niecierpliwie oczekiwały jej powrotu.

— No co?

— Bieda! — tyle tylko wykształciła zdławionym głosem odźwierna.

— Jaka? Gdzie? Co?

— Opowiadajże prędzej!...

— Przyszło... dwuch... ze strzelbami...

Zakonnice się wzdrygnęły.

— Gdzie są?

— Tam — wskazała ręką odźwierna.

— Gdzie tam?... Mówże!

Wywiedziawszy się o wszystkiem, postanowiły natychmiast wyszpiegować przybyłych. Jedna za drugą, podobne czarnym cieniom, podkradły się pod słabo oświetlone okienko.

Obydwaj goście siedzieli za stołem i zajęci byli swymi strzelbami, przetykając przez lufy jakieś cienkie pręty.

Zakonnica ścisnęła rękę odźwiernej.

— Nabijają — rzekła złamanym głosem. U wszystkich coś spadło z piersi i zlodowaciało.

Wtem tuż nad ich głowami rozległ się nieludzki chichot.

Wszystkie drgnęły.

— A więc oto dlaczego puszczyk krakał przez cały czas. Wykrakał wreszcie. Czułam to...

— Brunet po krzyku puszczyka podniósł głowę i złośliwie się uśmiechnął, patrząc w okno.

— Ach!... toż-to ten dawniejszy... czarny — prawie mdlejącym głosem wyjękała młoda zakonnica.

Na moment zakonnice opanowała trwoga. Wkrótce jednakże trzy czarne cienie bez szumu rzuciły się do ucieczki, każda w innym kierunku.

Po upływie kilku minut w klasztorze powstał ruch. Zapłonęły ogniki i poruszyły się w oświetlonych oknach drżące, wystraszone cienie. Skrzypnęły otwierające się wrota, wyjeżdżająca kareta zatętniła i zaskrzypiała kołami po brukowanem podwórku. To przełożona, zabrawszy kasę, wyjeżdża do sąsiedniego sioła, aby dla obrony klasztoru, przywołać na pomoc urjadnika i strażników.

Starowina ksiądz przy słabo oświetlonym ołtarzu zasyłał gorące modły o nadejście na czas pomocy. Wargi jego drgały, oglądał się często nasłuchując, gotowy zbiec przy pierwszem najlżejszem skrzypnięciu.

Około strasznego okna stały dwie zakonnice i śledziły za niedobrymi gościami, aby uprzedzić mieszkańców o każdym podejrzanym ich ruchu. Wszystkie zakonnice w strasznej trwodze nie mogły sobie znaleść miejsca. Chowały się, gdzie się dało. Część ich skryła się w piwnicach; część przyczaiła się w drwalni pomiędzy drzewem, dwie nawet wdrapały się na dzwonnicę, a stamtąd przedostały się na strych kościelny.

Straszni goście jednak nic nie przedsiębrali. Czarny często podchodził do okna, zmuszając czatujące zakonnice przysiadać ze strachu, i wpatrywał się w oświetlone okna zakonniczych cel. Za każdym razem podnosił ramiona i coś mówił do tamtego, który bez ruchu siedział na stołku i smętnie patrzał w ziemię.

Tak upłynęła dobra godzina.

Poryw wiatru doniósł do słuchu jednej z wartujących zakonnic prędki tętent koni.

— Jadą! Chwała Panu...

I w radosnem upojeniu zaczęły się żegnać.

Odźwierna pobiegła otwierać wrota.

Na spienionych koniach w podwórko klasztorne wjechał urjadnik i sześciu strażników. Było im bardzo pilno i urjadnik spytał półgłosem odźwiernej, która właśnie podeszła:

— Gdzie?

Zewsząd zaczęły wypełzać jakby zmartwychwstałe rozweselone figury.

Jeden stażnik pozostał przy koniach, a z resztą urjadnik po cichu podkradł się do pokoju przybyłych. Zachowując wszelkie środki ostrożności, doszli do drzwi i urjadnik już chwycił za klamkę — gdy w tem drzwi się nagle otwarły i urjadnik nosem w nos natknął się na czarnego. Urjadnik dziko zawył, starając się zagłuszyć wyzwany niespodziewanem zjawieniem się gościa strach i z całych sił uczepił się czarnego. Towarzysz czarnego chwycił wprawdzie za broń, lecz na niego rzucili się już strażnicy. On zaczął się szarpać, a jeden ze strażników uderzył go silnie w twarz. Krew cienkiemi strumykami pociekła z nosa i z kątów ust.

W przeciągu minuty obydwaj byli związani a urjadnik, zwracając się do obecnych, rzekł:

— Przy aresztowaniu okazano opór — będziecie świadkami...

— Ależ pozwólcie, jak śmiecie? — wołali aresztowani...

*) Urzędnik rosyjski, pełniący władzę policyjną w okręgu.

— No, no — krzyknął w odpowiedzi urjadnik — pomówimy o tem, pomówimy. U komisarza rozmawiać będziecie... Prowadzić ich...

— A wiecie wy, kto my?...

— Dobrze, dobrze!... Milczeć!... Bo jak zamaluję!...

I urjadnik wyszedł, ciesząc się w duchu, że tak łatwo udało się sprawę załatwić i że jego bohaterski czyn odbył się prawie w oczach władzy. Dowiedział się bowiem, iż u księcia Scieblińskiego gości właśnie wicegubernator.

— Zawezwą mnie. Przedstawią do nagrody — marzył radośnie.

U wrót tymczasem zebrał się tłum chłopów, uzbrojonych w widły, kłonice i inną nacjonalną broń. Tłum wył i okazywał wszystkie symptomy zniecierpliwienia, chcąc rozprawić się doraźnie z aresztantami.

A kiedy niewolników, przyświecając latarniami, wyprowadzono na podwórze, krzyki się wzmogły; w powietrzu świsnęły kłonice i pięście...

— Złapano was, herodów!

— Acha!...

— Bić ich, antychrystów!

— Nie zawsze im żłopać naszą krew!

— W mordę go!

— Mordować ich, psów!

— My was znamy!

— Bić ich!

Tłum nadciągał: okrążał podwórze gęstym pierścieniem spoconych, podnieconych ciał. Z trudnością udało się urjadnikowi i strażnikom przeprowadzić aresztowanych całych przez tłum i umieścić na wozie. Ich rzeczy włożono także obok. Trzech strażników, dobywszy rewolwery, zasiadło koło aresztantów, reszta wskoczyła na koń i rozstawiła się koło wozu.

Niewolnicy nie protestowali już więcej. Boczyli się jeno ciągle na tłum i jasnem było, że czekali tylko, aby wóz ruszył jaknajprędzej. Wszystko już gotowe było do odjazdu. Czekano tylko na urjadnika z latarniami.

Wreszcie wyszedł, przepychając się przez tłum — urjadnik a za nim zakonnica, niosąca dwie latarnie. Urjadnik wdrapał się na konia, strażnicy wzięli latarnie i wóz, przeprowadzany krzykami i przekleństwami chłopów, wolno ruszył z miejsca. Zakonnice i chłopi udali się do kościoła, aby wysłuchać dziękczynnej mszy...

Switało, kiedy wóz wjechał w podwórze kwatery stanowego komisarza. Nie bacząc na ranną godzinę, wzbudzono go i on, wbrew przyzwyczajeniu, wstał natychmiast, aby rozporządzić dalszym losem więźniów.

Zaspany i zły, stał komisarz w kancelarji, tyłem do drzwi zwrócony i tępym wzrokiem obserwował dolny kąt okna, bębniąc palcami po grzbiecie krzesełka.

Kiedy jednakże, usłyszawszy skrzypienie drzwi i kroki, odwrócił się i zobaczył czarnego więźnia, przemokniętego i związanego, to na twarzy jego odbiły się niepewność i trwoga. Podając się szybko całym korpusem naprzód i podnosząc rozłożone ręce — wykrzyknął urywanym głosem:

— Wwwa... sze... sija... telstwo!?...*)

A kiedy w drzwiach ukazała się pełna figura drugiego aresztanta z zakrwawioną twarzą — to twarz komisarza wyrażała paniczny przestrach; drżącemi rękami chwycił się za głowę i zaledwie zbielałemi i drgającemi wargami zdołał wymówić:

— Wwwa... sze... pre... pre... wos... choditielstwo...

Tłomaczył: Włada.

*) Sijatelstwo — tytuł członków rodziny królewskiej lub wogóle książąt w Rosji.

# Flamandzka legienda o Ulenspieglu — i jej autor Karol de Koster.

Flamandzka ziemia, której brzeg północny uderza o morze, a południowy o Francję i Niemcy się opiera — dziś Belgją zwana — przeszła przez długie lata cierpień i walk, przez mękę i krew, by wolność swego ludu zabezpieczyć. Nietylko z morzem, wdzierającem się na ląd, nietylko z nieurodzajem złotawo siwych piasków, ciągnących się daleko od wybrzeża w kraj, nietylko z wiatrem-burzycielem walczyć tu musiał człowiek — lecz przedewszystkiem zmagać się musiał z innym człowiekiem, który mu jego wolność, jego prawo życia, jego pracę, jego ziemię wyrywał, a sumienie i myśli ujarzmiał. Dzieje to dawne, ale ognistymi zapisane znakami. Po kraju flamandzkim szła groza i śmierć. Hiszpański król, wszechcesarz Niemiec i Austrji, a zarazem król Niderlandów, t. j. kraju Nizin, Karol V, bojąc się, by kraj ten bogaty handlem i przemysłem, słynący nauką i sztuką — nie urósł w potęgę i nie stworzył swej niezależności, złamał przysięgę, złożoną ludowi flamandzkiemu — i gnębić go zaczął ciężarami i podatkami nad siły. Wojska Karola rabowały miasta, paliły domy, rozbijały mury, wyważały bramy. Miasta były piękne, zwyczajem dawnym bogato zabudowane. Środkiem królował rynek, okolony domami, jakby pierścieniem rzeźbionym; na rynku — ratusz, chluba każdego miasta, dalej katedra, strzelistymi wieżycami patrząca w niebo, o wnętrzu cichem i mrocznem i oknach stubarwnych, witrażami zwanych, co jak drogocenne kamienie ciemne jej mury zdobią. — Po katedrach tych chroniły się cudne obrazy, dzieła wielkich malarzy ówczesnych. Ponad katedrą strzelała w niebo wysoka wieża, czatownia, na której czuwał człowiek, by w razie niebezpieczeństwa, grożącego miastu, uderzyć w spiżowy na trwogę dzwon. A kręgiem miast szły mury warowne z oknami na świat — na daleki, zielony nizinny kraj dolin i wiatraków.

Zachwiał się dzwon gandawski, rozjęczał po kraju... Zabiło serse ludu. To cesarz Karol szedł na miasta i rabował im przywileje. Runęły mury; wyrwano bramy. A serce dzwonu wydarły kleszcze — za to, że przemówił. I zamarł dzwon... W pustem jego wnętrzu zakołysał się trup człowieka; sercem dzwonu uczyniono na urągowisko ciało dzwonnika, który przebudził śpiących. Nad trupem jego zakrakały ptaki śmierci. A dusza Flandrji złożyła mu w hołdzie słowo: „Chwała!“

Lecz przyszły gorsze czasy. Po cesarzu Karolu wstąpił na tron milczący, a okrutny, świętoszkowaty, a nieludzki, syn jego Filip II*). Rozszalała zagłada nad krajem Nizin. Urzędnicy hiszpańscy, przysłani tutaj, zaczęli ścigać podejrzanych o herezję, o odstępstwo od religji katolickiej. Zaroiło się od szpiegów i donosicieli. Na rynkach powyrastały szubienice. Tracono na nich mężczyzn i kobiety, starców i dzieci — wieszano, zabijano, palono, a przed śmiercią poddawano okrutnym mękom. Szli na rzeź niewolną ludzie najlepsi, oskarżeni o zdradę kościoła lub cesarza. Majątek ich zabierał król, a lwią część skarbów urzędnicy. Nie było domu, do którego by nie zajrzał straszny urzędnik inkwizycji, co w imię kościoła wymuszał fałszywe zeznania; nie było rodziny, nad którą by nie przeszła żałobna chmura.

A na czele tej karnej wyprawy stał groźny admirał Alba, sekundowany przez legjon okrutnych kapłanów i mnichów.

I oto w kraju udręczonym, a zdać by się mogło śmierci bliskim — pocichu zaczynają rozpalać się ogniska buntu. Drogą tajnych porozumień tworzą się związki walecznych — rosną, potężnieją — powstaje naród. — Gdyż naród flamandzki ma siłę, ma przekazania ojców, ma pragnienie trwania w przyszłość, w dalekie, okiem niedosięgnione pokolenia. Chce żyć.

Wstaje duch tego kraju. Młodzieniec silny, wesoły, niby sowizdrzał lekki, żartobliwy, wyślizgujący się z niebezpieczeństw, jak piskorz, przewidujący, mądry, czujny, a nadewszystko waleczny i wytrwały — powstaje Ulenspiegel — bohater legiend flamandzkich, symbol, zwierciadło zbiorowej duszy narodu. Ulenspiegel, któremu spalono na stosie ojca, zebrał prochy ojcowskie i na piersi w purpurowy jedwab owinięte nosi. Prochy te żyją — i jak ptak trzepocą mu się na sercu, dając znak, przypominając, że o Flandrję chodzi. Gdyż Ulenspiegel ma zadanie życia, ma misję wyzwolenia kraju — „Czuję drżenie prochów ojca...“

*) Działo się to w XVI wieku.

jest to przykazanie, słowo — rozkaz, które jako następca musi spełnić. Więc idzie bohater przez lądy, płynie po morzu. Idzie jako tajny emisjarjusz, jako niewidzialny płomyk przez miasta i miasteczka, przez wsie i pola, w przebraniu, kryjąc się i broniąc przed wrogami — i szerzy wieść: „już czas!...“

A gdy płomień ogarnia kraj — wtedy jako jawny rycerz waleczny staje do walki. — I część północna kraju Nizin, mężna i nieustępująca, zdobywa wyzwolenie.

Na takiem tle umieścił legiendowego bohatera Flandrji pisarz jej sławny Karol de Koster i uczynił ze swej powieści książkę, która dziś jest epopeą, biblją narodu belgijskiego.

Ulenspiegel, mówi autor, może zasnąć, lecz nie umrze nigdy, gdyż jest on duchem Flandrji. Duch w ten czas ciszy i spokoju, pogodny, sowizdrzalski, niepohamowany, rozbawiony i szalony w przerwach od pracy — umie skupić się, zawrzeć w sobie, zmężnieć i wznieść się na szczyt mocy walecznej i woli nieugiętej, gdy poczuje „prochy ojców, bijące na sercu“ na trwogę, gdy czuje zagrożone swe trwanie.

Karol de Koster żył krótko, zmarł w 1879 roku prawie w nędzy. Na cmentarz odprowadziło go paru literatów i uczniowie szkoły wojskowej, w której wykładał literaturę. Pochowano go jako wolnomyśliciela. — Dziś jest wielki, a imię jego wymawia się ze czcią.

Powiedział o sobie: „jestem z tych, którzy umieją czekać“ — pomimo, że był to człowiek gorący, żywy, bezpośredni i niepohamowany. Miał czystość i świeżość duszy dziecka, a entuzjazm młodzieńca.

I kochał Flandrję. Stąd dał jej dzieło cudne, wielkie, księgę, z której ludzie tutejsi czerpać mogą siłę. I nietylko ludzie tutejsi, lecz i te wszystkie narody, którym swoboda jest drogą, a odzyskanie straconej wolności pierwszą, niezbędną potrzebą.

„Kręcą się młyny; prężą się żagle; wieśniak orze ziemię; kupiec liczy pieniądze...“, cisza i spokój na flandryjskiej ziemi — lecz Ulenspiegel czuwa na czatowni.

Konrada Radwan.

## Rozmaitości

**Proces o spadek po królu Belgji.** W Brukseli toczy się od kilku dni proces córek zmarłego króla Leopolda belgijskiego przeciw państwu o 54 miljonów franków, które król dla uszczuplenia córek zapisał na jakąś fundację. Proces ten zbliża się ku końcowi. Mowa adwokata księżny Jaspara uczyniła wielkie wrażenie. Adwokat dowodził, że pretensje państwa do spadku królewskiego nie posiadają podstawy prawnej, ponieważ wszystko, co król pozostawił po sobie, było jego prywatną własnością, nawet 16 miljonów obligacji renty Kongo. Król pozyskał tę rentę drogą kupna. Rocznie oszczędzał miljon z wyznaczonej mu pensji cywilnej i zarabiał olbrzymie sumy na spekulacjach i operacjach handlowych.

— To wstyd — mówił adwokat — utrzymywać, żeby król przywłaszczył sobie te obligacje przez nieprawidłowości w emisji. W tych obligacjach znajduje się przecież znaczna pozycja majątku jego obłąkanej siostry Karoliny — majątku, zawiadywanego przez króla.

Król założył różne fundacje, aby wydziedziczyć swoje córki i doprowadzić do końca dzieła publiczne, na których mu tak bardzo zależało. Że dzieła te służyły po części krajowi i społeczeństwu, nie dowodzi to jeszcze praw państwa do funduszów, oddanych na owe cele. Ale ponieważ te fundusze są prawnie nieumotywowane, to prawo dziedziczenia funduszów królewskich posiadają córki Leopolda II., nie zaś państwo. A że te kapitały są po części złożone w rencie Kongo, to w niczem postaci nie zmienia.

Wyrok spodziewany jest za dni kilka.

* * *

**Komnata ciszy.** W Utrechcie fizyk Swardemaner zbudował ciekawą „komnatę ciszy“. Komnata odznacza się zupełną ciszą akustyczną. Posiada ona podwójne ściany, przyczem każda ściana składa się z kilku warstw materjałów izolujących dźwięki, między ścianami zaś jest cienka warstwa powietrza. Ściana wewnętrzna jest z obu stron obita grubą materją z końskiego włosia, ściana zewnętrzna składa się z drzewa, piasku, pumeksu, gipsu, a więc z 6 warstw izolacyjnych i 7-mej powietrza. — W ten sam sposób zbudowano sufit i podłogę. Komnata jest niewielka, około 12 metrów sześciennych przestrzeni. Prowadzą do niej drzwi podwójne. Do komnaty nie przedostają się najmniejsze dźwięki, panuje tu absolutna cisza, tak wielka, że obecny w niej człowiek słyszy wyraźnie szum, wywołany przez krążenie krwi w jego żyłach. Po przyłożeniu do ucha muszli, która rzekomo reprodukuje szum morza, okazuje się, że muszla milczy.

* * *

**Gadatliwe miasto.** Wnioskując z ilości połączeń telefonicznych w danem mieście i statystycznych zestawień rozmów i czasu ich trwania, można wyciągnąć wniosek o rozmowności mieszkańców. Interesującem jest, że w świetle dat najbardziej gadatliwem miastem jest Moskwa. Według danych statystycznych Nowy Jork posiada 364 000 połączeń telefonicznych, Chicago 172 000, Berlin 107 000, Hamburg 43 000, Moskwa 56 000.

W stosunku do zaludnienia przypada w Nowym Jorku jedno połączenie na 13 mieszkańców, w Berlinie 19,8, w Hamburgu na 18,9, Wrocławiu 17,4, Wiedniu 58,6, Moskwie na 33. Mimo to rekord gadulstwa wzięła Moskwa. Wyliczono bowiem, że podczas, gdy w Nowym Jorku przypada na dzień jedna rozmowa na trzy osoby, w Hamburgu na dwie itd., to w Moskwie stosunek ten wykazuje dwie rozmowy na każdego mieszkańca dziennie. Nadto podczas, gdy na zachodzie rozmowy trwają przeciętnie od 1—3 minut, w Moskwie od 7—14, a zupełnie do rzadkości nie należą rozmowy całogodzinne.

* * *

**Sobowtór z drzewa.** Rzeźbiarz japoński Hananuma Masakichi wykonał własny swój sobowtór, rzeźbiony w drzewie. Podobieństwo rzeźbionej postaci jest tak wielkie, że budzi podziw wśród ziomków artysty, którego niepodobna odróżnić od posągu, gdy przy nim stoi. Masakichi użył do tego arcydzieła 2000 kawałków drzewa, które są jednak tak dobrze złożone w jedną całość, że spojenia są niewidzialne dla oka. Każda zmarszczka na skórze, każda nierówność skóry są niesłychanie dokładnie odtworzone przez artystę. Prócz tego Masakichi zaopatrzył starannie głowę swego sobowtóra włosami, aby złudzenie było jeszcze zupełniejszem.

Posąg w postawie stojącej trzyma w jednej ręce maskę, a w drugiej narzędzie rzeźbiarskie. Szklane oczy są nawpół przymknięte, jak gdyby patrzyły w ziemię, a w ten sposób nieruchomość spojrzenia nie razi widza.

* * *

**Burze i grady.** Z Mannheim donoszą: Onegdaj po południu przeszła przez wiele gmin w Badeńskiem burza ze strasznym gradem. Pola zupełnie zniszczone, także wiele drobiu zginęło. Płactwo leży setkami po ogrodach i polach. Wiele dachów zerwanych, mnóstwo szyb wybitych. Pewna kobieta zasypana grudkami gradu doznała wstrząśnienia mózgu.

Z Stuttgartu donoszą: Silna burza z oberwaniem chmury i gradem wyrządziła w okolicy znaczne szkody. W Grünsfeld wezbrana rzeka zerwała młyn, właściciel młyna i trzy inne osoby utonęli. Wysłano wojsko na pomoc.

W Paimar w Badeńskiem woda uniosła 6 domów, 12 osób utonęło.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 23. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 10 czerwca 1911.

EMIL ZOLA.

## Zwierzyniec ludzki.

I.

Pewnego poranku powiodło się lwu i hyjenie otworzyć niedbale przymknięte drzwiczki swych klatek w Jardin des Plantes.

Poranek był jasny, a słońce przyświecało wesoło na krawędzi szarego nieba. Pod wielkimi kasztanami czuć było przejmującą świeżość młodej wiosny. Po obfitem śniadaniu przechadzały się owe dziarskie zwierzęta powoli po ogrodzie, a przystając tu i owdzie na chwilę, oblizywały się i cieszyły jak zacne mieszczuchy pogodnym porankiem.

Na rozdrożu spotkały się i pozdrowiwszy się, szły dalej razem i gawędziły jak dobrzy przyjaciele. Ogród wydał im się wkrótce małym i nudnym, naradzały się przeto, jak spędzić wspólnie dzień.

— Dalibóg — rzekł lew — mam wielką ochotę zaspokoić dawne me życzenie. Oto ludzie, te półgłówki, od lat już przychodzą przed moją klatkę i gapią się na mnie i dlatego postanowiłem sobie przy pierwszej lepszej sposobności pójść do nich i przypatrzeć się im w ich własnej klatce, choćbym się miał narazić na to, aby tak głupio wyglądać, jak oni sami. Proponuję ci tedy przechadzkę po ludzkiej klatce.

W tej chwili rozległ się z budzącego się właśnie Paryża tak głuchy ryk, że przestraszona hyjena przystanęła i nadsłuchiwała. Gwar stolicy potężniał coraz silniej i groźniej, a łoskot ten, na który składał się turkot wozów, był do wściekłego ryku i jęku śmiertelnego.

— O Boże mój! — rzekła hyjena — niewątpliwie mordują się wzajem w swej klatce. Czy słyszysz, jak gniewnie ryczą i płaczą?

— Prawda — odrzecze lew — straszliwie hałasują. Może ich dręczy pogromca.

Gwar wzmagał się coraz bardziej, a zarazem zwiększała się trwoga hyjeny.

— Czy sądzisz — pytała się — że taka przechadzka nie grozi niebezpieczeństwem?

— Ach — odpowiedział lew — przecież odrazu nas nie pożrą. Chodź tylko! Kąszą się nawzajem, my zaś możemy się z tego śmiać.

II.

Na ulicach miasta szły skromnie tuż obok domów. W miejscu, w którym ulice się krzyżowały, porwał je nieznośny tłum. Nie opierały się temu w przypuszczeniu, że dojdą do jakiegoś zajmującego punktu.

Niebawem znalazły się na wielkim placu, gdzie tłum się tłoczył. W środku wznosiło się rusztowanie z czerwono pomalowanego drzewa, a oczy wszystkich zwrócone były z rozkosznym oczekiwaniem na owo rusztowanie.

— Bezwątpienia — szepnął lew do hyjeny — jest to stół, który zastawiają doskonałymi potrawami dla wszystkich tych ludzi, którzy już się oblizują. Co prawda, stół ten trochę za mały.

W tej chwili dał się słyszeć z tłumu okrzyk zadowolenia i lew zauważył, że zapewne nadjeżdża żer, albowiem wóz jakiś pędzi galopem. Wywleczono człowieka z wozu, pociągnięto go na rusztowanie i odcięto mu zręcznie głowę, poczym włożono trupa do innego wozu, usuwając go spiesznie oczom tłumu, wyjącego widocznie z głodu.

— Patrzaj! — nie pożerają go! — zawołał rozczarowany lew.

Hyjena poczuła, że sierść się jej jeży.

— Do jakich to drapieżców poprowadziłeś mnie? — zapytała. — Zabijają, nie będąc głodnymi. Na miłość Boską, uciekajmy czymprędzej!

III.

Opuściwszy plac ten, szły po przedmiejskich bulwarach, a następnie przechadzały się spokojnie wzdłuż wybrzeża Sekwany. A gdy doszły do wyspy Cité, ujrzały za Notre-Dame niski domek, w który przechodnie wstępowali, jak się wstępuje do jarmarcznej budy, aby podziwiać widowisko i odejść potem w zachwyceniu. Najpiękniejszym było, że ani przy wejściu nie wymagano żadnej zapłaty. Lew i hyjena przyłączyły się do tłumu i ujrzały na szerokich, kamiennych płytach ludzkie zwłoki, podziurawione ranami. Widzowie stali niemi i zaciekawieni i oglądali spokojnie zwłoki.

— Com ci powiedziała? — szepnęła hyjena — nie zabijają z głodu, zobacz, jak dozwalają mięsu się psuć!

Doszły następnie przed sklep rzeźnika. Zawieszone na hakach mięso było całkiem czerwone; na stołach wzdłuż ścian leżały stosy surowego mięsa, a krew spływała wązkimi strugami po białym marmurze. Cała podłoga czerwieniła się wstrętnie.

— Spojrz! — rzecze lew — sądzisz może, że oni nie jedzą. Oto dosyć tego, żeby całą naszą kolonję w Jardin des Plantes wyżywić przez ośm dni. Czy to ludzkie mięso?

Hyjena, jak już wspomniano, była po dobrym śniadaniu.

— Fe! — zawołała, zwracając się — to obrzydliwe. Nie dobrze mi na widok takiej ilości mięsa.

IV.

— Widzisz — rzecze hyjena po chwili — jak grube są drzwi i jak olbrzymie zamki? Ludzie stawiają mocne mury z żelaza i drzewa, którym się rozgraniczają, aby się wzajem nie pożreć. A po wszystkich rogach ulic stoją mężowie z szablami, ażeby dopilnować publicznej uprzejmości. Ależ to dzikie zwierzęta!

Tej właśnie chwili wóz przejechał dziecię, a krew zrosiła oblicze lwa.

— Toż to wstrętne! — zawołał, ścierając sobie łapą twarz. — Nie można ujść nawet dwuch kroków spokojnie! W tej klatce pada krwawy deszcz!

— Nie dziwota — odrzekła hyjena. — Wszak ludzie wynaleźli te toczące się maszyny, aby otrzymać możliwie najwięcej krwi. Są to prasy ich wstrętnego żniwa. Nie widzisz też tych jaskiń, w których zasiadają mężczyźni i piją szklankami czerwony sok, który nie może być chyba niczym innym, jak tylko krwią. Bezwątpienia czynią to, aby się podniecić do mordu, widziałam bowiem już w paru takich jaskiniach, że pijący wzajem się zabijali.

— Rozumiem teraz — powiedział lew — do czego

służy wielki strumień, płynący środkiem ich klatki. On to spłukuje brud i unosi przelaną krew. Widocznie ludzie ubezpieczają się w ten sposób przed zarazą. Wrzucają tam ludzi, których pomordowali.

— Nie pójdziemy dalej przez most — rzekła z drżeniem hyjena. — Czyś nie znużony? Wróćmy lepiej do domu.

V.

Nie mogę towarzyszyć obu tym poczciwym zwierzętom na każdym kroku. Lew chciał wszystko widzieć, a hyjena, której obawa wzrastała z każdą chwilą, była zmuszona iść z nim, gdyż za nic w świecie nie ważyłaby się wrócić sama do domu.

Przechodząc mimo giełdy, nakłoniła usilnymi prośbami swego towarzysza, aby tam nie wstępować. Tak straszne skargi i przekleństwa wydobywały się z tej nory, że przystanęła pod drzwiami z najeżonym włosem i cała drżąca.

— Choć, choć prędko! — zaklinała lwa. — Bezwątpienia jest to owa wielka rzeźnia, w której zabijają masami. Słyszysz, jak ofiary jęczą i wzdychają, a kaci się radują? Zapewne to rzeźnia, która zaopatruju wszystkie jatki! Na miłość Boską, chodź prędko!

Lwa również ogarnął lęk, opuściwszy więc ogon, zastosował się chętnie do prośb hyjeny. Jeżeli nie uciekał co sił, to tylko dlatego, żeby swej dobrej reputacji nie narazić. W duszy jednak obwiniał się o zuchwałą lekkomyślność i powtarzał sobie, że owe zrana słyszane szmery powinny go były nakłonić do pozostania w klatce.

Hyjena dzwoniła z trwogi zębami i oboje szukali ostrożnie i lękliwie powrotnej drogi do ogrodu botanicznego, obawiając się uczuć lada chwila pazury i zęby przechodniów na swym karku.

VI.

Nagle powstał straszliwy hałas u końca wielkiego zwierzyńca. Zamykano sklepy, bito w dzwony na alarm.

Uzbrojone gromady zapełniły ulice, wyrywały bruk, otaczały szybko barykady. Szum i zgiełk miejski ustał. Panowała ciężka i straszliwa cisza. Ludzkie zwierzęta milczały; przymykały się chyłkiem wzdłuż domów, do skoku gotowe. Wnet też skoczyły: grzmią salwy przy akompanjamencie głuchego łoskotu armat. Krew się leje, martwi leżą twarzą w krwawym rynsztoku, ranni krzyczą. Dwa obozy powstały w ludzkim zwierzyńcu, a zwierzęta te zabijają się wzajemnie z rozkoszą.

Gdy lew pojął, o co idzie, rzekł:

— Uciekajmy co tchu z tej ciżby! Dosyć jużem ukarany za głupią ciekawość, która mię do tych bestji pójść skusiła! Boże, jakże kulturalni jesteśmy w porównaniu z nimi! Wszak nie pożeramy własnej rodziny. Zmykajmy prędko! Po co dłużej udawać odważnych i mężnych? Mnie, przyznając szczerze, marznie szpik w kościach z trwogi. Musimy czymprędzej opuścić ten kraj barbarzyński.

I bezwstydnie, trwożliwie poczęły uciekać. Bieg ich stawał się coraz szybszy, gdyż lęk towarzyszył im i pobudzał je bez ustanku.

# Gdyby klerykali mieli władzę.

Wskutek dekretu Napoleona zniesiono w r. 1809 inkwizycję w Hiszpanji. Bezpośrednim wykonawcą dekretu był polak, który służył w legjonach polskich w Hiszpanji. Spisał on swoje wrażenie, które odniósł przy zdobywaniu gmachów inkwizycji i podajemy poniżej „za Prawdą“ wstrząsający opis tego, co polscy legjoniści zobaczyli, kiedy dotarli do lochów podziemnych.

Po długim i mozolnym szukaniu — pisze polski pułkownik — żołnierze moi wykryli tajemne zejścia do lochów, mieszczących więzienia i kaźnie Inkwizycji. Co za widok! „Trupy leżały tam aż do rozkładu, podczas, gdy cele obsadzano innymi więźniami“. Żeby uniknąć zaduchu, „urządzono dostatecznie długie rury, odprowadzając odór gnijących ciał. W tych celach znaleźliśmy kilku ludzi nie dawno zmarłych, podczas gdy gdzieindziej leżały szkielety, przykute łańcuchami do ziemi“.

„W niektórych celach znaleźliśmy żywe jeszcze ofiary różnego wieku i płci, od młodzieńca i dziewczyny do 70-letniego starca; wszyscy byli nadzy zupełnie. Moi żołnierze rozkuli łańcuchy i nakryli więźniów własną odzieżą.

W ciągu dalszych poszukiwań natrafiono na miejsce kaźni, a w nim „wszelkie narzędzia tortur“, na jakie chyba szatańska a nie ludzka fantazja zdobyć się mogła. „Na ten widok wściekłość naszych żołnierzy nie dała się utrzymać w szrankach“. Krzyczeli, że każdy z inkwizytorów musi być z kolei poddany męczarniom, które sam tylekroć zadawał. „Nie próbowaliśmy ich powstrzymać“, wyznaje pułkownik, do żywego snać poruszony świadectwem tylu zbrodni. Żaden z mnichów hiszpańskich, pojmanych w tym gmachu, nie wyszedł żywcem z rąk polaków — mścicieli odwiecznej krzywdy.

Wieść, że wyswobodzono wielu więźniów Inkwizycji rozeszła się piorunem. „Zbiegli się tutaj wszyscy, którym św. Officjum wydarło w ostatnim czasie przyjaciół lub krewnych. O, jakie tu było powitanie! Około 100 osób zamurowanych od szeregu lat, zwrócono teraz społeczeństwu. Wielu znalazło tu synów, córki, braci. Wielu, niestety, niepoznało swoich kochanych. Te sceny jednak nie dadzą się opisać“....

Autor, żołnierz widać sumienny, chciał „dokończyć dzieła w zupełności“. Położył więc pod zręby przeklętego gmachu potężne ładunki prochu. „Tysiące uważnych widzów obserwowało, jak podłożyliśmy ogień. Mury i wieże tego potężnego budynku runęły w gruzy. Inkwizycja przestała istnieć“. Ostatni zadała jej cios ręka polskiego żołnierza — patrjoty.

Dziś, coprawda, radziby nasi klerykali dźwignąć z gruzów gmachy św. Inkwizycji i obdarzyć cały świat „niewiernych“ torturami, gdyby tylko władzę mieli po temu. Dlatego walka z klerykalizmem jest walką o wolność i nigdy nie powinni klerykali odzyskać dawnej władzy, która jest równoznaczną z torturami i prześladowaniami najokropniejszemi.

FRANCISZEK RÄBELAIS.

# Gargantua.

(Gargantua jest to tytuł pisma satyrycznego Rabelais'ego (czytaj Rab'lego), największego satyryka francuskiego z XVI. wieku i uczonego humanisty. Rabelais był zakonnikiem, następnie świedzkim księdzem, a zarazem lekarzem. Znając dobrze stosunki ówczesne, w pismach swych biczem nielitościwej satyry i sarkazmu smagał kler i możnych, wyśmiewał ich świętoszkostwo, głupotę, sybarytyzm i obłudę, za co był przez kler prześladowany.

Gargantua jest to imię bohatera powieści, syna królewskiego. W ustępach, które podajemy w tłómaczeniu, skreślona jest z humorem scena uczty na królewskim dworze).

## Jak Gargantua mnicha ucztą podejmował.

Kiedy Gargantua siedział przy stole i zajadał pierwsze kąski, opowiedział mu Grandgosier (ojciec jego, król) o początku i przyczynie wojny z Pikrochollerem (sąsiedni król) wspomniał także o bohaterskich czynach brata Hannesa, przy obronie jego opactwa i wielbił go nad Scypiona, Pompejusza i Cezara.

Więc Gargantua zapragnął go rychło oglądać, aby zasięgnąć jego rady. Przeto odszukał go ochmistrz dworu i na muło-oślicy Grandgosiera przywiódł go ochoczo do dworu. Dopieroż się poczęło serdeczne ściskanie dłoni, powitania i uściski: „Bywaj, bracie Hannes, kochany przyjacielu i zacny towarzyszu! Bywaj, bracie Hannes, niech biją pioruny, pójdź do mego serca, ty dzielny chłopie! Niech cię ucałuję! Gnaty ci połamię z miłości“. O, jakże się zanosił od śmiechu brat Hannes! Nigdy żaden bohater nie był tak życzliwie i uprzejmie przyjmowany.

— Bliżej, bliżej — zapraszał Gargantua — zajmij stołek obok mnie. „Pięknie — zgodził się mnich — jak sobie życzycie. Paziu, odrobinę wody! Nalej, ale w skok, mój synku, to mi oczyści wątrobę. Jeszcze trochę!“

— Deposita capa — zapraszał Gymnastes (dworzanin), — zdejmijcie habit. „Oho, zacny panie — bronił się braciszek, — w statutach naszych jest paragraf, który nam na

to nie pozwala. Ach, co tam — mówił Gymnastes — gwizdajcie na wasze statuty! Habit uciska wam ramiona, nuże, odrzućcie go precz! „Pozwólcie, dobry przyjacielu, trunek smakuje mi znacznie lepiej w habicie. Podnosi on mój humor. Gdy go zdejmę, pazie potną go na kapturki, jak mi się to już raz przydarzyło w Coulaines. Zresztą zepsułoby mi to apetyt. Lecz kiedy w habicie do stołu zasiędę, hejże, wówczas dopiero piję jak prawdziwy mąż. Taka jest siła przyzwyczajenia. Wprawdzie spożyłem już wieczerzę, lecz to mi nie jest zawadą. Żołądek mój przywykł do dobrego żywienia, a próżny jest jak but św. Benedykta, a nigdy nie syty jak adwokacka kasa. Przykra to musi być śmierć, gdy się człek z próżnym żołądkiem rozstaje z tym padołem. Opatowi naszemu najlepiej smakują białe części kapłona".

— W tym względzie, opat wasz, zda mi się, nie jest lisem, te bowiem zawsze chętniej pożerają czerwone niż białe kapłony, kury i koguty.

— Jakżeż to? „Otóż, ponieważ nie mają kucharzy, którzyby im je na biało przypiekli. Czerwone mięso, to surowe, raki i chomary wyjąwszy, które w ukropie stają się kardynałami. — Haha do licha, to zdaje się, iż głowa naszego furtyana nie była dotąd gotowana, oczy jego są czerwone, jak szklanica burgunda".

— Paziu, nie zapomnij o konwi. Kling, kling, klang. Jakżeż kochany jest ojczulek niebieski, który gronom winnym dojrzewać każe. Do kata, gdybym był żył za czasów Jezusa, byłbym się starał nie dopuścić, aby go żydzi pojmali w ogrodzie oliwnym! Niech mnie czarci, jeżelibym panom apostołom nie był zaglądnął do skóry, że tak sromotnie stchórzyli i mistrza w biedzie porzucili, kiedy im niedługo przedtem sutą wieczerzę fundował! Człowiek, który w krzaki się kryje, gdy sprawa na ostrze miecza przychodzi, jest dla mnie mniej miły, niż żółć a trucizna...

— Tego roku mało będzie tłustych gąsiąt, nie prawdaż? Hej! ty, daj no mi kawał ścierwa świńskiego. Do licha, moszczu mi nie stało. Na mą duszę, wina tu lub przepadnę! Znamienity to truneczek. Jaką markę piją teraz w Paryżu? Znaliście może brata Klaudyusza z St. Dennis? To był jeszcze kompan do puhara! Lecz go szerszeń ukąsił. Od owego czasu nie oderwiesz go od książki. Ja bo nie studjuję, bez przechery. W klasztorze naszym nikt się wogóle nie uczy. Jest to przecież błazeństwo. Nasz zacny prior zawsze mówił, że mnich uczony to potwór przed Panem.

— Zajęcy dziś mamy, jak ich dawno tak mnogo nie można dostać. Pelloniere przyrzekł mi krogulca lecz ostatnio mi doniósł, że ptak dostał dychawicy. A tu kuropatwy gdaczą ci do ucha. Ale dostałem znakomitego psa gończego. Wziąłem go od służącego hr. Krzyworączki. Bierz go licho, a cóżby z nim począł kulawy niedołęga.

— Co ja słyszę? — rzekł Ponokrates (nauczyciel Gargantuy) — Bracie Hannes, wy przeklinacie?

— O czynię to tylko dla okraszenia mej wymowy — odpowiedział mnich; — są to tylko barwne kwiatuszki mej cyceroniańskiej retoryki...

**Dlaczego mnichy od świata stronią i o długości nosa.**

— Jak jestem chrześćjanin — Eudemon (dworzanin) zabrał głos — szczerością tego mnicha zbudowany jestem ponad wszelką miarę. Jest on prawdziwą krasą biesiadnego stołu! A teraz zapytam, jak się to dzieje, że mnichów burzycielami pokoju zowią i pędzi się zawsze z dobrego towarzystwa, podobnie jak trutnie przepędza się od pszczół?

Na to Gargantua przemówił: Prawda to, że habit i kapuza mają coś w sobie, co burzy upusty szyderstwa ludzkiego, podobnie jak wiatr przynosi chmury. Głównym powodem jest zapewne to, że przyjmują na siebie brud świata tj. grzechy swoje i dlatego omija się ich jak zięby śmierdzące lub wywożących nieczystości kloaczne i zapędza się ich w odosobnione miejsca, tj. do ich klasztorów i opactw, które odcięte są od obcowania z ludźmi. Z drugiej zaś strony wiecie przecież, dlaczego małpa narażona jest zawsze na drwiny i udrękę. Podobnie rzecz się ma z mnichami. Boć małpa nie strzeże domu jak pies, nie ciągnie pługa jak wół, nie darzy mlekiem i wełną jak owca, nie dźwiga ciężarów jak koń. Zadowala się tem, że wszystko paskudzi i brudzi, a za to płaci się jej szturkańcami i złemi słowy.

Podobnie rzecz się ma z mnichami, chcę powiedzieć z leniwymi mnichami. Nie pracują oni jak chłopi, nie walczą jak żołnierze, nie leczą jak lekarze, nie każą jak prawdziwi głosiciele ewangelji, nie poprawiają świata jak mistrze, nie przynoszą do kraju nic pożytecznego jak przekupnie. Stąd też pogarda i szyderstwo jest im nagrodą.

— Już to tak — przerwał Grandgosier — ale przecież modlą się za nas do kochanego Boga.

— Otóż tego właśnie nie czynią — tłomaczył Gargantua. Prawdą jest tylko, że swymi dzwonkami i dzwonami niepokoją całą okolicę.

— Zapewne — przyznał Hannes — msza, jutrznia lub nieszpory dobrze oddzwonione są już połową modlitwy.

— Wymrukują oni wprawdzie stertę litanji i psalmów, że słowa jednego się nie rozumie; klepią łańcuch pacierzy, przeplatając je zdrowaśkami, ale bez żadnego nabożeństwa. A ja to uważam za urągowisko Bogu, nie za modlitwę. Ale Bóg z nimi, gdyby przynajmniej za nas się modlili, a nie dziesięć razy dziennie o żer codzienny i tłustą zupę.

Każdy dobry chrześcijanin prosi Pana Boga wszędzie, zawsze i przy każdej sprawie. I tak czyni nasz brat Hannes. Dlatego też wszędzie jest mile widziany. Nie jest on świętoszkiem, ani podżegającym apostołem. Jest zacny, wesoły, mądry i przystępny. Pracuje i tworzy, broni uciśnionych, pociesza smutnych, leczy ułomnych i broni ogrodu klasztornego.

— O, ja czynię jeszcze więcej — potwierdził mnich; kiedy ukończymy jutrznię i brewiarz, toczę kusze do łuków, robię strzały, tkam sieci i zastawiam potrzaski na ptaki. Nigdy nie próżnuję! Ale teraz napiłbym się jeszcze czegoś. Hejże, wina tu! A przynieś także owoców.

Gymnastes zagadnął go:

— Bracie Hannes, zetrzej sobie kroplę z nosa.

— Haha — śmiał się mnich, — sądzisz, żem pijany, ponieważ mi pot aż na nos występuje?

— Dlaczego — zapytał Gargantua — brat Hannes ma tak pokaźny nos?

— Snać Bóg tak chciał — odrzecze Grandgosier — ukształtował go według swych niebieskich planów, jak garncarz naczynie swe lepi.

— Nie — zauważył Ponokrates — ponieważ stał w pierwszym rzędzie, kiedy rozdawano nosy, więc wybrał sobie najpiękniejszy, najczerwieńszy i najgrubszy.

— Ba, alboż to prawda — rzekł mnich — to się tem tłomaczy, że mamka moja tak miękie miała piersi; gdy mnie karmiła, zanurzał się mój nosek jak w miękie masło i tak rósł jak na drożdżach. Twarde piersi płaszczą dzieciom nosy. Ale wesoło, wesoło! Dziękuję, nie jem żadnych ciast. Lecz podać tu wino i pieczone kasztany!

## Rozmaitości

**Dziwne losy zbiega wojskowego.** Jak donoszą dzienniki berlińskie, dnia 28 kwietnia b. r. uciekł z wojska szeregowiec jednego z pieszych pułków gwardji pruskiej w Poczdamie, nazwiskiem Wichert. Władze wydały za nim listy gończe, które jednakże nie odniosły spodziewanego skutku, gdyż Wichert został ujęty tylko dzięki przypadkowi. Otóż na placu musztry poza sztrzelnicą w Poczdamie, pewien ułan spostrzegł pośród trawy obnażone stopy ludzkie. Z powodu tego odkrycia przywołał kilku towarzyszów broni, z którymi rozpoczął poszukiwania. Ku swojemu zdziwieniu odkryli wejście do jaskini, w której przedstawił się im niezwykły widok. Leżał w niej rozciągnięty na ziemi mężczyzna, wychudły jak szkielet, z oczami płonącymi gorączką i twarzą pokrytą gęstym zarostem. Był tak ze sił wyczerpany, że z trudem zdołano z niego wydobyć zeznania. Wichert opowiedział, że od chwili ucieczki tj. od 4 tygodni, przez cały dzień przebywał w jaskini, którą wykopał w ziemi, a która miała 1 metr 70 centymetrów długości,

a 1 metr szerokości. Tylko w nocy wychodził z jaskini, ażeby się pożywić trawą i ziełami. Wichert oświadczył, że uciekł dlatego z wojska, ponieważ rodzice o nim zupełnie zapomnieli i nigdy mu nie posłali ani pieniędzy, ani wiktuałów. Nieszczęsnego zbiega odstawiono do szpitala wojskowego.

* * *

**Pomysłowi złodzieje.** Na zupełnie nowy pomysł okradania mieszkań wpadła banda złodziejska, grasująca na Grzybowie we Warszawie. Złodzieje, dowiedziawszy się, że jeden ze zamożniejszych lokatorów żydowskich, zamieszkały na tejże ulicy, wychodzi z domu z rodziną, wynajęli kilku ludzi i kazali im zawieźć sofę do jego domu. Służącej, otwierającej drzwi, oświadczono, że z polecenia państwa przywieziono sofę. Po upływie godziny ludzie zjawili się powtórnie i oświadczyli, że przez pomyłkę tu zanieśli sofę, którą też zaraz zabrali. Po powrocie państwa do domu okazało się, że w sofie był ukryty złodziej, który przez tę godzinę zdołał wyłamać drzwi do kasy i zabrać mnóstwo biżuterji oraz gotówki.

* * *

**Uprowadzony przez rozbójników** greckich niemiecki uczony Edward Richter, prowadził od wielu lat z polecenia geograficznego towarzystwa w Thübingen badania góry Olimp. Już przed rokiem próbował Richter dojść na szczyt Olimpu, ale na wysokości 1000 metrów towarzysze jego odmówili dalszego wspinania się. W tym roku Richter dobrał sobie odważniejszego towarzysza i zaopatrzony w najlepsze instrumenty, miał nadzieję dostania się na szczyt. Miejscowe władze udzielały mu chętnie wszelkiej pomocy. Tymczasem porwali go greccy rozbójnicy i jak telegrafują, przyszedł do Monasteru list Richtera proszący o złożenie wysokiego okupu, jakiego rozbójnicy żądają.

* * *

**Wynalazek polaka.** Byłemu dyrektorowi Tow. Szczepanika we Wiedniu, p. Benonowi Borzykowskiemu, który obecnie jest głównym dyrektorem Tow. „Photochemie" w Berlinie, udało się spreparować produkt, nazwany przez wynalazcę „Boroidem", który ma zastąpić niebezpieczny pod względem ogniowym „Celluloid".

Tow. angielskie nabyło od p. B. sposób fabrykowania „Boroidu" i przystępuje łącznie z wynalazcą do wyrobu w pierwszym rzędzie: film do kinematografów, szyb do do automobilów i wagonów, jedwabiu sztucznego zupełnie niepalnego i niewrażliwego na działanie wody, oraz przedmiotów zbytku i galanterji. Fabryki są urządzane w Londynie i Berlinie. W Warszawie wynalazek wkrótce ma być demonstrowany.

* * *

**Przedhistoryczne nieszczęście kopalniane.** Nadzwyczajne odkrycie zrobiono w górach Aramo, położonych w północnej Hiszpanji. Góry te, tworzące odnogę północną wielkich, nadbrzeżnych gór kantabryjskich, leżą na południe od starożytnego miasta Oviedo w prowincji asturyjskiej. Znajdują się tam pokłady miedzi i kobaltu (rzadkiego metalu, znajdującego się razem z miedzią, żelazem, manganem, często także w żelazie meteorowem. Kobaltu używają do wyrabiania farb, szczególnie niebieskiej), przy których wydobywaniu pracowali już ludzie w czasach przedhistorycznych. Ze spadu gór prowadzą prostopadłe szyby w głąb ziemi na kilka metrów głęboko, do znajdujących się w podziemiu poziomych ganków. Podczas dalszych śledzeń wpadli uczeni na myśl, że w szybach tych zatrudniali ówcześni posiadacze ziemi niewolników jako górników, którzy spuszczeni do podziemi pozbawieni zostali wszelkiej możliwości ucieczki. Podług odkryć, jakich w głębi starożytnej kopalni dokonano, myśl ta od rzeczywistości wcaleby nie odbiegała, pomimo, że może istnieć zupełnie inna możliwość, wcale niewinnej natury.

Otóż wewnątrz tej kopalni znaleziono dobrze jeszcze zachowane kości ludzkie, oprócz tego różne narzędzia z kamienia, kości i rogu. Wydobyte kości należą do szesnastu szkieletów, z których dwa można było zupełnie zestawić. Wśród narzędzi znaleziono młotki różnej wielkości, śpiczaki, dłuty kamienne i rogowe, służące do łamania kamieni. Oprócz kości i narzędzi znaleziono także pewną ilość monet, drążki, które prawdopodobnie służyły do podtrzymywania pochodni, jak również gałęzie, które owinięte w skórę i napojone tłuszczem i żywicą jako pochodnie służyły. Z innych znalezionych drobniejszych rzeczy wymienić jeszcze należy naczynie, misternie z łupiny orzecha (wielkiego gatunku) wyrobione, kilka zwykłych naczyń z drzewa i jeden nóż wyrobiony z kości. Wszystkie znalezione rzeczy wskazują, na jak wielkim poziomie kulturalnym ówcześni mieszkańcy tych okolic znajdować się musieli. Niektóre młotki posiadają wagę około 20 funtuw, z tego jak również z wielkości szkieletów, można wnioskować, że ówcześni górnicy musieli być ludźmi ogromnej siły.

Podpadającą jest okoliczność, że wszyscy ci ludzie, wnioskując z postawy szkieletów, nagłą śmiercią przy pracy zostali zaskoczeni. U niejednego wydaje się, jakoby w ręku trzymał jeszcze młotek lub inne narzędzie. Stosunek wskazuje dobitnie prawie, że ludzie ci zostali przez ziemię zawaleni i zginęli z powodu braku powietrza.

Praca w tych podziemiach musiała być straszną, ponieważ ganki wykuwane w kamieniu są tak ciasne, że człowiek średniej wielkości z biedą się przez nie zdoła przecisnąć.

Co do pracy samej da się niejedno jeszcze nadmienić. I tak młotków używano niektórych z trzonkiem, inne bez trzonka, trzymając go w gołej ręce. Niektóre trzymano w ręce za pomocą rzemienia. Śpiczaki były wyrobione z rogów zwierzęcia, jakie w dzisiejszej Hiszpanji już nie istnieją. Pochodnie przyczepiano do ścian za pomocą gliny. Niektóre ganki miały taką spadzistość, że robotnicy musieli się wciągać pod górę za pomocą rzemieni, przymocowanych do posowy. Glina, znaleziona w kopalni, wskazuje dzisiaj jeszcze tysiące odcisków od palcy.

Pismo „Echo des Mines" (Echo górnicze), które o tem dziwnem odkryciu donosi, nie umie używania wydobywanych kruszczów przez ówczesnych mieszkańców wytłómaczyć, w każdym razie nie umiano jeszcze kruszczów użytkować do wyrabiania narzędzi, inaczej nie posługiwanoby się narzędziami kamiennemi lub rogowemi.

# Z literatury i sztuki.

„Krytyki" miesięcznika, poświęconego sprawom społecznym, nauce i sztuce, wyszedł numer za czerwiec i zawiera w części pierwszej: 1. (f). Polityka stronnictwa narodowo-demokratycznego. 2. Dr. Emil Breiter: Filozofja społeczna Jerzego Sorela. 3. Junius: Współcześni politycy polscy. XXVI. Andrzej Kędzior. XXVII. Jędrzej Moraczewski. XXVIII. Dr. Aleks. Lisiewicz. 4. Prof. Jan Baudouin de Courtenay: W sprawie „antysemityzmu postępowego". 5. Przegląd: I. Bilans Polski ludowej. II. Szkoła nauk politycznych w Krakowie. 6. Sprawozdania. W części drugiej: 1. Wł. Orkan: Z „Księgi pieśni" Heinego. 2. Dr. F. Nossig: Pragmatyzm jako nowy kierunek filozofji. 3. W. Sieroszewski: Dary wiatru północnego. 4. Jan Topas: List francuski. 5. J. Skotnicki: Józef Chełmoński. Charakterystyka. 6. Juljusz Petry: Epilog. Wiersz. 7. Edw. Woroniecki: Nowe dramaty. 8. Przegląd: I. J. Kleczyński: Teatralja warszawskie. II. Stanisław Brzozowski. Wspomnienie. III. Kaz. Błeszyński: Z ruchu filozoficznego. IV. Tadeusz Bezimienny: Ze sztuki i z życia. 9. Sprawozdania. „Współczesny dramat polski". Dodatek artystyczny: Józef Chełmoński: Grajek. — Droga do lasu.

Prenumerata kwartalna wynosi 5 marek.

Adres Redakcji i Administracji: Kraków, ulica Stachowskiego l. 14.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 24. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 17 czerwca 1911.

## GOŚĆ.

Była to jedna z tych twarzy potwornych, które, cmentarnym majakom podobne, zawisają nad oczami przerażenemi, jak upiory grozy. Nie pamiętam ani koloru oczu, ani kształtów nosa, była to bowiem dziwna twarz bez rysunku, jak bywa czasem we wspomnieniu zdrada kochanki. Wyraz jeno pozostanie w duszy, choć rysunek się zatrze i zblaknie.

Gość mój wszedł gwałtownie i niespodziewanie, jak wchodzi do pokoju artysty widmo głodu. Król jednak raczej, niż rzezimieszek, szatan prędzej, niż filister, wisielec — niż żebrak — gość mój wszedł pełen godności, poważny, majestatyczny. Nie przedstawiał się, choć był mi nieznajomy; nie witał się choć wchodził... po co? obaj czuliśmy, że tak właśnie powinno być, nie inaczej... Mój gość... ja... są chwile, kiedy się takie rzeczy rozumie...

Z obojętnej pergaminowej twarzy padł na mnie przelotny uśmiech współczucia na wpół pogardliwego, na wpół wyzywającego.

Usiadł przy mnie... Patrzył, ale już nie we mnie — nie wiem: jakby w ziemię, jakby w długie kościste palce, które przesuwał po czole, po twarzy, a później odrywał je niby, odsuwał od siebie, jakby sam chciał się zahypnotyzować, jakby chciał je wydłużyć, wyciągnąć... może odmierzał własną duszę. Długie, ciężkie milczenie stało między nami, jak burza gradowa stoi między niebiem a ziemią. Czułem, że w życiu mojem coś się przełamie i pęknie.

Wstręt i obawa, nienawiść i niepewność, pchały mnie do mego gościa, ostrzyły moją ciekawość.

Cała moja wola leżała pod stopami przybysza, jak dziecię u nóg piastunki.

— Więc niech się już dzieje — myślałem.

— Dramat piszesz? — spytał lodowym głosem.

— Tak — odparłem — dramat piszę.

— Z życia?

— Z życia.

— I długoś dmuchał w serca ludzkie? I umiałeś brać ich pod żeberka tak, wiesz? mądrze?... sprytnie?... żeby to wyśpiewało wszystko... co? hę?... tam... z samego dna?

— Zdaje mi się, żem studjował nietylko rozumem.

— Wiem... wiem... lazłeś w to błotko, w te śmietniki... przykładałeś łapy do tych pudlich serc.

— Nie! tylko płakałem tam, gdzie inni się śmiali, oddawałem hołdy tam, gdzie inni gardzili, kochałem, tuliłem...

— Kochałem, tuliłem... wiem, wiem... Otóż to zasada... ukochać... I naraz z takiego śmietnika bryźnie ludzka łza... prawda? jak dyamenty... Dużoś ich uzbierał?...

— Więcej niż starczy życia na odlewanie ich w formy sztuki... co?...

— Jak, jak powiedziałeś? w formy sztuki? A więc dla sztuki?.. co?..

— Nie, nie dla sztuki... Oddam je sztuce, ale zbierałem nie dla sztuki...

— To na jedno wychodzi... A zresztą — frazesy... Dumny jestem, że znalazłem artystę, który zajrzał aż tam, w samo podziemie mętu. I nie poparzyłeś sobie estetyki?

— Owszem, poparzyłem serce, że dziś chodzę obolały, jak łza...

— Wiem, wiem... Śledziłem twoje kroki od pierwszego świadomego wyjścia z domu. Widziałem, jak dusza twa padała i podnosiła się, płakała i śmiała się gardziła i miłowała.

— Tak, aż ukochała bez ograniczeń.

— Widziałem, jak stanąłeś nad ludzkiem mrowiskiem, jak zajrzałeś twarzą w twarz obłudzie i podłości, brzydocie i hańbie, aby ukazać pod niemi niebo drzemiących pragnień i czystość lilji białych. Pamiętasz tego rzezimieszka, co nie zdążył jeszcze krwi ze sztyletu otrzeć, a już z cynicznym uśmiechem szedł w objęcia czternastolatek... I pamiętasz jego rozmowę ostatnią?...

— Pamiętam... Jaka to bogata natura... Jakiem on czasem umiał być dzieckiem. Jak dobrym, jak zadziwiająco dobrym?

— Widzisz... więc nie był złym?

— Złym? czyż może być człowiek złym? Biednym raczej, zbrukanym, niezaradnym, ale złym? nigdy!...

— I takimi będą ludzie w twoim dramacie?

— Tak, takimi będą, jakimi są... Niech im pęka serce, niech nad głowami warczą im pioruny, niech los ich spycha, na bezdroża nędzy i występku, a oni, jak anieli, niech powstają do promiennych snów.

— A pamiętasz tego anioła powiewnego, co ci wywichnął skrzydła i odciski na duszy powydeptał?

— O nie wspominaj!... przeszło, przebolało. Może i tam drzemały wieszcze struny. Nie poruszyłem, nie umiałem zbudzić.

— A pamiętasz szczekającą tłuszczę tych tam półbogów, co się twoimi sędziami mienili? Hę? hę? co? Pamiętasz? Pamiętasz, jak swojemi lilipuciemi stopami dreptali koło twojego kościoła i szydzili? Co? tylko więży dosięgnąć nie mogli — drabinki zabrakło. Prawda? A wiesz, gdzie cię zepchnąć chcieli? Czy nieświadomość tylko nimi kierowała? Nie zawiść, nie podłość wrodzona? Nie zapomniałżeś tych kapłanów — rzezimieszków cnót narodowych?

— I to już przeszło... Pogardę im rzuciłem i przeszedłem mimo. Nizcy, marni..

— Aha, widzisz... nizcy, marni... Po miljon kroć nizcy i marni. A ty ich chcesz na piedestał? Toż wyborowsi z ludzi, a gdzież podziejesz jeszcze marniejszych? Co? Tych naprzykład poczciwców o duszy dorobkiewiczów, co pluli w twoje słońce, bo się mienili krewnymi twego ciała. Czemuś pokazywał im człowieka? Czemuś nie był cnotliwym hultajem?

— Zasłoń przedemną to wspomnienie, bo dotąd czuję rumieniec policzków na twarzy. Kiedym ich wzgardą pożegnał, zaprzysiągłem nie myśleć o nich.

— Czemu dygocesz jak pojmane ptaszę? Wszak serce ci nie pękło wtedy? I pomyśl zresztą, cześć i miłość ich otacza... Tyż jeden kląć ich będziesz?

— O! niech przeklętą będzie ta trująca cnota poczciwców.

O tak... niech będzie przeklętą... Źli i marni, głupi i bezwstydni, słabi i bezczelni, świecące łachmany własnych podłości, to są ludzie. Zbyt słabi, by iść samopas, tłumami

prą naprzód i wyją, przeklinają, zębami i obuchami miażdżą wszystko, co nie z nich wylęgłe.

— Boże! Boże! Ile miljonów wieków się przetoczy, zanim to wszystko się odrodzi.

— Odrodzi? Ty wierzysz w odrodzenie? Przyjrzej się temu ludzkiemu szczenięciu, jak wzrastała, jak pełzała na czworakach zabobonne, złe, głupie, aby coraz bałamutniejszym zabobonem obalić stary, prostszy. Jak ma się odrodzić to rozbójników plemię?

— Czemu rozdmuchujesz we mnie nienawiść, która już kochać umiała?

— Kochać? ty? Pomyśl! ten kretynizm? Tę brzydotę, która ci napluje w każdą tęczę? Ty ich ukochasz? ty? artysta? Nie potrafisz, że się wznieść wyżej nad te barłogi? Nie położysz, że swojej myśli na krawędzi tego, skąd się zaczyna Nieskończoność? Gardź nimi, depc, pomiataj!

— Rozbiłeś myśl moją na kawałki, jak szklane naczynie. Druzgi się rozsypały a ja...

— A ty?... co? mów!...

— Nie wiem... daj mi myśli skupić.

— Czekaj... Ja ci odkryję prawdę. Znasz ją, lecz boisz się przyznać do niej. Natęż dobrze uwagę... Skupić się staraj...

— Mów... wiesz, że zagrasz na mnie, jak zechcesz. Więc graj.

— Nie potrzebuję grać. Ty jesteś muzykiem.

— A ktoś ty?

— Ja? — czekaj! nie dokończyłem. Odkryję ci prawdę. Czyś nigdy nie czuł, że jesteś bogiem? Milczysz?

— Jak to rozumiesz?

— Mocno, mocno myśl natęż...

— Po coś ty przyszedł do mnie?

— Czemu pytanie to nie stanęło wcześniej między nami?

— Bo było niepotrzebne.

— A teraz?

— Teraz? Wygrałeś gościu! Także niepotrzebne.

— A reszta?

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Mówię o twojem pochodzeniu.

— I to wygrałeś gościu.

— A dramat napiszesz?

— Napiszę...

— Jacyż ludzie w nim będą?

— Mali i brutalni, przebiegli i złośliwi, słabi i bezczelni, przewrotni i rozuzdani. Takimi ich stworzę, jacy są... Niech pełzają, nie przerażają, niech budzą wstręt i odrazę. Niech szczekają i wyją, niech prą się jedni na drugich, jak szakale, i niech świecą w sztucznych światłach, jak upiory.

— Takżeś ich znienawidził?

— Całą pogardą szyderstwa, całą potęgą mego twórczego „ja".

— I jesteś pewny, że oni trzymają miarę twej pogardy. A jeśliś nie wysłuchał tych wszystkich dźwięków, co się szamocą o ściany serc, jak niejedna boska nuta, co w tobie gra?

— Co?... oni?... te, te błotne żmije?... te niegasnące klątwy?... ha... ha.. śmiej się gościu... ha... ha... ha...

— I ty dramat piszesz? ty?

Gość spojrzał na mnie okiem zimnego szyderstwa i potwórzył raz jeszcze:

— I ty dramat chcesz pisać?

Porwałem na stole stojący lichtarz i cisnąłem go w łeb gościowi... W sam łeb! Rozwalić mózgownicę, w której te zimne oczy mieszkają. Lecz lichtarz upadł z hałasem na ziemię, a gość mój wpatrywał się we mnie zimnem, stalowem spojrzeniem, od którego ziębnie myśl.

W oczach jego wygasły już resztki ironji i pozostał tylko niemy spokój, co duszę obraca naokoło.

Nie wiedziałem i dotąd niewiem, kim on był, ale czułem, że muszę go zamordować, bo w przeciwnym razie on zamorduje mi duszę. Myśl ta utkwiła we mnie jak kula, postanowienienie wołało czynu.

Naraz spostrzegłem na stole długi wąski nóż.

Ścisnąłem ręką stalowe narzędzie i zamierzałem się na gościa.

Lecz on powstał wtedy wolno i powoli, powoli, nie usiłując się bronić, ale jakby nie czując niebezpieczeństwa, zmierzał ku drzwiom.

Przy drzwiach przystanął jeszcze na chwilę i, nie oglądając zię zupełnie na mnie, strzepnął palcem pyłek z kapelusza i wyszedł.

# Można powstrzymać życie i wzbudzić je na nowo?

Olbrzymie wrażenie uczyniły w całym świecie wyniki doświadczeń słynnego fizyka francuskiego, zamieszkałego w Genewie, Raoula Pictet, nad możnością chwilowego powstrzymania wszelkich funkcji życiowych i obudzenia ich potem bez szkody dla zwierzęcia, nad którym ów badacz prób swoich dokonywał.

A więc fakirzy mają słuszność? A więc prawdą jest, że oni istotnie od tysięcy lat posiadają tajemnicę, nie znaną jeszcze w całej pełni nauce europejskiej? Więc można zapadać w martwotę, równą śmierci i nie umrzeć?

Przyjrzyjmy się doświadczeniom Picteta, o których donosi „Matin".

Pictet umieszczał w basenie z wodą różne ryby wód słodkich, zamrażał wodę, obniżał temperaturę utworzonej w ten sposób masy lodu do 20 stopni poniżej zera, utrzymywał lód wraz z rybami w tej temperaturze przez dwa do trzech miesięcy — a potem stopniowo podnosił temperaturę — i ujrzał wreszcie, jak ryby ożywiały się i swobodnie pływały po tej samej wodzie, w której były zamarznięte...

Pierwsze doświadczenia nad życiem w niskich temperaturach Pictet czynił już przed ośmnastu laty.

Pictet, rozmyślając nad tajemnicą życia, i uważając, że życie jest siłą, taką jak np. siła ciążenia, doszedł do przekonania, że gdyby można było zbudować chemiczne nasienie, to życie samoby je ożywiło.

Przeciwne przypuszczenie — mówił Pictet sprawozdawcy „Matina" — byłoby równie prawdziwem.

Gdyby zatrzymać reakcje chemiczne organizmu, znikłyby zjawiska życia, ale życie narodziłoby się znowu z chwilą gdy organizm doszedł do poprzedniej równowagi.

Wielkie zimna, bardzo niskie temperatury pozwalają na zatrzymanie w ten sposób życia, nie zatracając go jednak na zawsze.

Najbardziej wymowne doświadczenia — mówił dalej Pictet — czyniłem nad rybami wód słodkich. Można je było zupełnie zamrozić, potem zaś je ocieplić, nie zabijając ich.

Pewnego dnia, w uniwersytecie genewskim, włożyłem do głębokiego naczyczenia szklannego z wodą 28 ryb. Miałem tę ostrożność, że zostawiłem je naprzód przed 24 godzin w wodzie temperatury zera, później zaś stopniowo zamrażałem tę wodę, aż utworzył się jednolity, zbity blok z lodu i zamkniętych w nim ryb.

Można było potem stopniowo obniżać temperaturę tego bloku do 20 stopni poniżej zera.

Rozbijając część lodu i obnażając jedno z zamarzniętych w nim zwierząt, stwierdzono, że można je rozbić na drobne kawałki, jakby one same były z lodu.

W dwa lub trzy miesiące potem przez trzy tygodnie obniżało się stopniowo temperaturę, aż lód topniał powoli — i zobaczono wreszcie, że ryby pływają po tej wodzie bez żadnych widocznych oznak, żeby zamrożenie im szkodziło.

Doświadczenie nie udaje się już w temperaturze poniżej 20 stopni pod zerem.

Żaby również mogą wytrzymać temperaturę — 28 stopni, nie zdychając. Są wśród niższych zwierząt wytrzymalsze, znoszą temperaturę — 50, a nawet — 110 i — 120 stopni przez cały szereg dni.

Wśród wyższych zwierząt wiele znosi temperatury bardzo niskie. Pies pozostawał w temperaturze — 110 przez półtorej godziny — i żył.

Wszystkie te badania — zakończył Pictet — okazały mi, że nauka o zjawiskach życiowych w niskich temperaturach pozwala wprowadzić życie do liczby stałych sił natury.

# Stowarzyszenia współdzielcze w ruchu robotniczym.

W ostatnich tygodniach ukazały się na łamach prasy belgijskiej i niemieckiej artykuły, w których rozważano rolę stowarzyszeń współdzielczych we współczesnym ruchu robotniczym. Dyskusja ta odkryła przed oczyma opinji robotniczej rzeczywisty wygląd i stosunki panujące w belgijskich spółkach współdzielczych.

Jeden z wybitniejszych przywódców ruchu belgijskiego, tow. de Brouckére, nie krępował się w przedstawieniu całego ruchu belgijskiego, jako ruchu prawie o mieszczańskim charakterze, w którym kwestja zysku i dobrego prosperorowania spółek tak jest ważną i pierwszorzędną, że w niej roztapiają się i zanikają wszelkie względy ideowe. De Broucké dowodzi faktami, że ruch współdzielczy, o ile nie jest podporządkowany klasowemu, w polityczną i zawodowa organizację ujętemu ruchowi robotniczemu, z naturalnych przyczyn poczyna wchłaniać w siebie żywioły drobno-mieszczańskie, a dla lepszej wśród nich agitacji rzuca hasła, urągające naczelnym zasadom współczesnego ruchu socjalnego. I tak kooperatywa największa w Belgji, brukselski „Maison du Peuple“ („Dom ludowy“) rzuca n. p. hasło: „Stowarzyszenia współdzielcze usuwają granicę, która oddziela proletarjuszy od klas posiadających.“ Innemi słowy: Ruch współdzielczy, jak z tego wynika, rozwiązuje współczesną kwestję robotniczą. Organizacja zawodowa i polityczna stanowi tylko dodatek, jest sprawą drugorzędnej wagi.

I w rzeczywistości taki jest wygląd ruchu robotniczego w Belgji. Znakomicie rozwinięte organizacje współdzielcze obok karłowatych i lokalnie rozdrobnionych organizacyj zawodowych i politycznych. Robotnicy są wprawdzie zaopatrywani w dobre towary, ale nie mogą ich kupować w większej ilości z powodu bardzo szczupłych płac zarobkowych. Belgja należy przecież, wyjąwszy pewne kategorje robotników, do krajów najniższych płac zarobkowych i długiego dnia pracy. Stosunki w przemyśle domowym i wśród robotników wiejskich są nie lepsze od galicyjskich. Wyda się to może dziwnem — że dzieje się to w kraju tak potężnego rozwoju spółek spożywczych i wytwórczych. A jednak zjawisko to jest proste — bo należy zdać sobie sprawę z tego, co nie zostało zrozumianem jeszcze w szerokich masach proletarjatu belgijskiego: że spółki spożywcze mają tylko to zadanie umożliwić robotnikowi płacę zarobkową, którą otrzyma od przedsiębiorcy, zużyć na kupienie towarów zdrowych i tanich, uniknąć tedy wyzysku ze strony kupca-pośrednika i trucia swego organizmu fałszowanymi środkami spożywczymi. Wogóle stowarzyszenie spożywcze ma umożliwić najlepsze zużycie płacy zarobkowej.

Ale stowarzyszenie współdzielcze nie jest terenem, na którymby się odbyć mogła skuteczna walka o wyższą płacę i możliwe warunki pracy. Tą czynność spełniać może tylko ruch zawodowy. Spółka spożywcza nie jest terenem, na którym bronić by mógł robotnik swych praw zasadniczych, jak prawa strejku, prawa koalicji, gdzie, innemi słowy, każda zdobycz na klasach posiadających mogłaby przybrać formę prawną i stać się trwałą placówką na drodze do emancypacji. Spółka spożywcza nie jest terenem walki o prawa polityczne. Bo cóż z dobrych i tanich produktów, kiedy za mało grosza, żeby je kupić w dostatecznej ilości, i kiedy niema możności ni drogi na wywalczenie lepszej płacy i ludzkich warunków pracy; to brak jest prawem zapewnionych środków, bo brak u państwa odpowiedzialności za swe czyny przed opinją publiczną, w świetle dyskusyj parlamentarnych, gdzieby potężna politycznie organizacja robotnicza z trybuny przedstawicielstwa ludowego pociągała do odpowiedzialności funkcjonarjuszy rządowych.

Ruch belgijski nie doszedł do tych ostatecznych konsekwencyj; nie zaniedbał w całości polityki, niezbyt zresztą klasowej, i organizacyj zawodowych; na ostatnim swym zjeździe przesunęła się partja robotnicza nawet znacznie na lewo, do radykalizmu. Nic dziwnego — zdrowy instynkt mas prze do środków walki, którymi iść musi ruch robotniczy, jeżeli jest świadomy swych ostatecznych celów.

Tam, gdzie silna organizacja polityczna i zawodowa, są podstawą ruchu i umożliwiają walkę o prawa robotnicze, tam wyzyskanie owych praw i zdobyczy w jak najskuteczniejszy sposób umożliwiają stowarzyszenia współdzielcze. Są one organiczną częścią ruchu robotniczego i wraz z organizacją polityczną i zawodową tworzą trzeci odłam tego samego potężnego pochodu zwycięskiego, który samotnie, poza resztą klas społecznych, odbywa klasa robotnicza. Bo właśnie w tej samotności, w tej odrębności leży tajemnica zwycięstwa.

Rozumieją to stowarzyszenia współdzielcze niemieckie (n. p. w Hamburgu) i w znacznej części francuskie. Niedługi może już czas, kiedy i w Belgji sama konieczność wskaże najlepszą drogę.

Z wywodów naszych wynika tedy:

1) Ruch współdzielczy jest trzecią formą (obok) zawodowego i politycznego ruchu robotniczego, nie może on jednak wziąć góry i rozwijać się kosztem owych dwóch pozostałych (t. j. zawod. i polit.), bo stać się to może tylko ze szkodą rzeczywistego postępu klasy robotniczej, czego przykładem najlepszym Belgja;

2) Stosunek partyj robotniczych do kooperatywy musi i powinien być przyjazny i ścisły, w sensie utrzymania w niej ducha socjalistycznego, przyczem kooperatywa powinna być formalnie neutralną i bezpartyjną dla umożliwienia jej swobody ruchów (jakoteż i ze względów prawnych);

3) Kooperatywy robotnicze winny zachować swą odrębność od reszty klas społecznych, bo przez zacieranie granic swej odrębności klasowej a akcentowanie wspólności interesów wszystkich konsumentów — wpaja się w nieuświadomione jeszcze masy robotnicze idee solidarności społecznej, która się staje w dalszym ciągu przeszkodą w skupianiu sił roboczych w partję socjalistyczną i organizację zawodową (przykładem Belgja, po części i Anglja).

Nierzadkie jednak będą zawsze próby, które dla chwilowych korzyści, wątpliwych nieraz zresztą i problematycznych, spuszczają z oka zasadnicze tendencje; krótkowidztwem swojem bowiem powstrzymają tylko konieczny rozwój, jego bieg naturalny, naznaczony spiżowymi słupami praw rozwojowych.

„Zespolenie“ H. G.

## Rozmaitości

**Nowy wynalazek.** Panowie dr. Zdzisław Stanecki i dr. Roman Negrusz wynaleźli przyrząd elektryczny, za pomocą którego usunięta zostanie potrzeba wywołania nazwy stacji przez konduktorów podczas jazdy pociągów. Przyrząd polegać będzie na tem, że prowadzący pociąg po wyjechaniu z jakiejś stacji pokręci korbą, a wtedy we wszystkich wagonach wyskoczy tabliczka z wyraźnie napisanem nazwiskiem następnej stacji. Przyrząd taki istnieje już na kolejach podziemnych w Londynie i Paryżu. Tam po wyjeździe ze stacji wyskakuje nazwa następnej stacji w każdym wagonie i nadto jest ona oświetlona. Wynalazek polski podobno nie ma nic wspólnego z tym aparatem.

* * *

**Golfstrom i lata bieżące.** Przed piętnastu miesiącami dr. Basset, meteorolog angielski, przepowiedział z wielką trafnością chłody i deszcze ubiegłego lata. Prognozę swoją opierał na obserwacjach hydrograficznych (wodoznawczych) i na kierunku Golfstromu. Otóż jego spostrzeżenia, czynione zimy ubiegłej, sprowadziły nowe przepowiednie, które się już częściowo sprawdziły, a mianowicie co do niezwykle chłodnych dni majowych. Pocieszmy się jednak, badania hydrograficzne dr. Basseta pozwalają spodziewać się ciepłego i pogodnego lata, albowiem prąd Golfstromu staje się normalniejszym, niż w ciągu lat ubiegłych.

* * *

**List z pod bieguna.** Kopenhaska „Politiken“ ogłasza list kapitana Roalda Amundsena, kierownika wyprawy dla odkrycia bieguna południowego. List datowany jest z dnia

9 lutego b. r. „z wielkiej karjery lodowej". Amundsen opisuje w nim przybycie okrętu „Fram" w dniu 11 stycznia do zatoki pośród lodów i założenie obozu. O zamiarach wyprawy wspomina Amundsen tylko ogólnikowo. Spodziewa się, że przed nadejściem nocy polarnej dotrze do 81 stopnia południowej szerokości.

* * *

**Wymiary miljarda.** Któryś z cierpliwych statystyków niemieckich obliczył dokładnie wymiary miljarda. Według tego obliczenia miljard marek niemieckich w złocie waży 333.580 kilogramów, a możnaby nim zapełnić kostkę, której każda z sześciu płaszczyzn mierzy 17 metrów kwadratowych. Gdyby z tej masy wyciągnięto drut, możnaby nim opasać całą ziemię. Miljard w srebrze już waży pięć miljonów kilogramów, kostka musiałaby w tym wypadku posiadać płaszczyzny o wielkości 477 metrów kwadratowych. Aby przetransportować miljard w złocie, potrzeba 64 wagonów, które musiałoby zająć tor kolejowy na przestrzeni 400 metrów. Miljard w srebrze wymaga już 1000 wagonów po 5 ton, zajęłyby one 6 kilometrów toru. Gdyby jeden miljard w złocie znajdował się w jednej bryle, to do podniesienia jej potrzebaby 6000 ludzi, a 32,000 osób musiałoby miljard w złocie dźwigać, gdyby każda z nich zabrała tylko 10 kilogramów. Do miljarda w srebrze potrzebaby już 500,000 ludzi. Gdy się miljard złotymi monetami ułoży, jedną obok drugiej, otrzyma się długość 1050 kilometrów, a gdy się monety ułoży jedna na drugiej, otrzyma się kolumnę wysokości 33,000 metrów.

* * *

**Trzęsienie ziemi.** Z Nowego Jorku donoszą jeszcze: Katastrofa w Meksyku była okropna. Przeszło 1000 ludzi postradało życie. Wszędzie rozgrywały się straszliwe sceny. Ulice są gruzami pokryte. Pałac narodowy i katedra Santo Domingo są porysowane. Straszliwe spustoszenia są wyrządzone w biedniejszych dzielnicach. Obawiają się, że liczne ofiary spoczywają jeszcze pod gruzami. — W dzielnicy, gdzie mieszkają obcy, o ile wiadomo, nikt życia nie postradał. Policja broniła porządku mimo zamięszania. Urządzono tymczasowe lazarety. Wedle telegramu nadeszłego z Waszyngtonu, to w koszarach San Coime przeszło 180 żołnierzy zginęło.

* * *

**Statystyka studentek we Francji.** Za ostatnich lat wzrasta powszechnie liczba kobiet na uniwersytetach europejskich, ale ruch ten ogarnął przedewszystkiem uniwersytety francuskie. Według danych, ogłoszonych obecnie przez pisma paryskie, jest teraz we Francji na różnych uniwersytetach słuchaczek filozofji (Faculté des lettres) 1147 poddanych francuskich; 1002 — obcych; na wydziałach przyrodniczych: 303 francuzki i 150 obcopoddanych; na medycynie: 618 francuzek i 88 obcopoddanych; na farmakologji: 51 francuzek i 4 obcopoddane. W Sobornie uczy się większa część tych kobiet, bo 2121, co stanowi ósmą część ogólnej liczby słuchaczów uniwersytetu paryskiego. Ogółem w całej Francji, 4000 kobiet stanowią dziesiątą część ogólnej liczby studentów. Pisma notują poza tem, że w porównaniu z rokiem zeszłym liczba słuchaczy na uniwersytetach wzrosła tylko o 2, liczba słuchaczek powiększyła się o 144.

* * *

**Zrzeczenie się tytułu królewskiego.** W Los Angeles, w Kalifornji, przeprowadził sąd oryginalny proces rozwodowy, a za powód podała strona skarżąca, p. Nelsy Clarke, że nie chce być królową. Mąż, p. Clarke, jadący na parowcu, który się rozbił na Oceanie Spokojnym przed 21 laty, dostał się na wyspy Pitcairn, a zapoznawszy się ze spokojnym i szczęśliwym trybem życia ich 125 mieszkańców, zapragnął być ich królem! Marzenie to urzeczywistniło się przed dwoma laty; wezwany na „tron" przez mieszkańców, podążył tam na jachcie z dwoma synami i objął rządy. Inaczej zapatrywała się na to jego małżonka. Będąc z przekonań republikanką, wniosła o rozwód i sąd w Los Angeles rozstrzygnął sprawę na jej korzyść, uznając „króla" winnym opuszczenia żony.

* * *

**Handel mięsem ludzkiem.** Rzecz, której poprostu trudno dać wiarę, gdyby nie fakt, iż podają ją najpoważniejsze dzienniki zagraniczne. Oto — jak wykryto — w stolicy kulturalnej Japonji, istniał skład solonego mięsa ludzkiego i marynowanych języków. Handel prowadzony był od kilku lat. Mięso pochodziło przeważnie z nieboszczyków a kupowali je głównie chińczycy jako lekarstwo! Policja aresztowała całą służbę zakładu pogrzebowego.

Odkrycie handlu ludzkiem mięsem nastąpiło przypadkowo. Mianowicie pacjenci, którym podawano oryginalny środek leczniczy, uskarżali się, że nie pomaga on na żadną chorobę, lecz przeciwnie po spożyciu lekarstwa pogarsza się stan chorego. Władze przedsięwzięły zbadanie wstrętnego lekarstwa i wykryły, że jest to ciało ludzkie.

* * *

**Humor na wojnie.** O zabawnym epizodzie donosi „Daily Mail" w korespondencji z Tetuanu. Przed tygodniem konsul hiszpański, rezydujący w Tetuanie, doniósł swojemu rządowi, że wojsko hiszpańskie, przebywające w oszańcowanym obozie niedaleko Tetuanu, zostało w nocy napadnięte przez maurów z plemienia andżera. Po zaciętej walce nieprzyjaciel został odparty. Ale już nazajutrz odwołał swoją wiadomość, donosząc do Madrytu, że maurowie wcale nie atakowali obozu hiszpańskiego. W rzeczywistości rzecz miała się tak: Na miejscu, gdzie znajduje się oszańcowany obóz hiszpański, pasło się poprzednio stado nierogacizny, liczące 500 sztuk, a będącą własnością jednego z kolonistów hiszpańskich. Gdy przybyło wojsko, pastuch popędził trzodę dalej. Takie załatwienie sprawy nie podobało się nierogaciźnie, która zatęskniła za dawnem miejscem pobytu. Krytycznej nocy, gdy pastuch spał, stado powróciło na dawne pastwisko i pod palisadami obozu domagało się z kwikiem wpuszczenia do środka. Posterunki, sądząc, że to arabowie, zaalarmowali obóz. Rozpoczęła się gęsta strzelanina, a nawet zatoczono działa. Trzoda jakiś czas kwiczała jeszcze, ale wreszcie truchtem zniknęła w polu. Dowódca obozu dał znać natychmiast do Tetuanu o napadzie i zwycięzkiem jego odparciu, a z Tetuanu poszła ta wiadomość do Madrytu. Dopiero nazajutrz, gdy nastał dzień, widok zabitych świń wyjaśnił sprawę. Nastąpiło sprostowanie wiadomości, ale teraz wystąpił na placu boju właściciel trzody, żądając odszkodowania. Aby sprawy nie rozmazywać, konsul odszkodowanie zapłacił.

* * *

**Mąż pięciu żon.** W ostatnim czasie wykryto w Jarosławiu w Galicji człowieka, który w dzisiejszych ciężkich czasach drożyzny, kiedy to człowiek z jedną połowicą wyżyć nie może, ni mniej, ni więcej, jeno pięć żon posiadał. Jest nim Herman Beglaubter, rymarz. Po raz pierwszy ożenił się niedawno we Lwowie. Tu pozostawił żonę, poczem, przybywszy do Turki, ożenił się po raz drugi bez wiedzy pierwszej żony. Następnie porzuciwszy drugą, ożenił się w Brodach po raz trzeci. I tę wkrótce porzucił dla innej, którą pojął w Tarnowie, aż wreszcie „ustatkował się", żeniąc się po raz piąty w Jarosławiu. Z wszystkiemi żonami zawarł rytualny ślub, a z żadną się nie rozwiódł. Trzeciej żonie z Brodów zabrał gotówkę 400 koron, różne kosztowności i ruchomości, co zwykł był po ukończeniu pożycia małżeńskiego stale czynić. Nie tyle też miłość do męża, ile strata tej znacznej gotówki spowodowała panią Beglaubter do wyśledzenia miejsca pobytu swego małżonka, którego aresztowano.

## Przestrogi i rady.

**Prosty środek przeciw zakażeniu krwi!** Zdarza się nieraz, że ktoś się zadraśnie przy pisaniu piórkiem i atrament dostanie się do ranki, albo też że przy zapaleniu zapałki odpryśnie nieco fosforu i dostanie się w zadzierkę jaką na ręce, pod paznokieć itp. — Gdy wskutek takich przypadków palec lub ręka opuchnie i boli, najlepiej zanurzyć zaraz członek, celem zapobieżenia zatrucia krwi, w kwaśne mleko lub maślankę! Płyn po pewnym czasie, gdy się rozgrzeje, trzeba odnowić; ulgę odczuwa się natychmiast, a po jednej lub dwuch godzinach moczenia wszelkie niebezpieczeństwo zniknie.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 25. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej".

Katowice, sobota, dnia 24 czerwca 1911.

JAN KULESZA.

## POD MASKĄ.

— Uśmiechnęli się do siebie. —

„Jaka ciekawie sympatyczna twarz", myślał on.

„Jakie smutne oczy" — pomyślała ona.

— I przeszli.

On do kawiarni, gdzie przy herbacie pomyśli może o bardzo sympatycznej twarzyczce do niego się uśmiechającej.

— Ona na kursa, gdzie boleć będzie między godziną filozofji a literatury nad jego smutkiem.

— Codziennie się spotykali.

— Codziennie ten sam uśmiech.

— — — — — — — — — — — — — — —

— Mroźne było powietrze.

— Brylantowo lśniły się dachy i drzewa szronem okryte,

— Ona w ciepłem, miękkiem futerku spieszyła, jak zwykle, na kursa.

— On w lekkiem ubraniu, bez płaszcza, wolno stąpał w stronę kawiarni.

— A wzrok jego był dziś dziwnie smutny a uśmiech pełen bolesnej rezygnacji.

— Bezwiednie stanęli — on ręką sięgnął po kapelusz — jeszcze jeden krok — i ręce sobie podali.

— Silnie, bez słów.

— I pocóż było słów?

— Tak dobrze się znali i tak dawno, chociaż nigdy słowa do siebie nie powiedzieli.

— Panna we futrze, poeta w wyszarzałem ubraniu szli milcząco obok siebie.

— — — — — — — — — — — — — —

— „Panie Janku — rzekło dziewczę pierwsze — cóż pana dziś tak smutnego spotkało?"

„Jakto, pani wie, jak ja się nazywam?"

„Napewno nie wiedziałem — ale intuicyjnie wyczułam, iż się Jankiem zwać mnsi".

— To dziwne".

— „Nie — sądzę, iż nie ma w tem nic dziwnego. Pan jesteś mi bardzo — bardzo sympatycznym. Codziennie dusze nasze przez małą chwilę się spotykały i pozostawiały w sobie na długo wielką tęsknotę. I tak mogłam poznać pana — nie znając go wcale. I kiedy pan raz zmutno uśmiechnięty koło mnie przechodził, z ust mi się wyrwało: „mój biedny Janek" i wiedziałam odtąd, iż panu Janek na imię".

„Dziwne to i piękne", szeptał cicho.

„Tak — to melodja dusz do siebie rozśpiewanych".

„Ładnie to pani powiedziała".

— I znowu szli milcząco obok siebie.

— — — — — — — — — — — — — —

— „Pani jest dziwnie pięknym rankiem. Tak mi jakoś dobrze i spokojnie z tobą...

— „Zapewne pan czuje, iż głaszczę go delikatnie po czuprynie".

— „Dziękuję pani — za te chwile tak piękne — po których znowu samotnia i smutek".

— „Chwil tych może pan mieć dużo — dużo".

— „Aby smutek i samotnia potem tembardziej się odczuć dawały".

— „Panie Janku — życie ma dla każdego swoje uśmiechy, trzeba je tylko ująć umieć. Kto z tragiczną maską po świecie błądzi, niech nie wini życia".

— „Głos pani dziwnie melodyjnie — bez końca bym ją słuchał. ...Młoda wiosna o chłodnej jesieni mówi i szron topnieje".

— „Wie pan — nie pójdę już dzisiaj na kursa — chodźmy w Aleje — spojrzała na jego cienkie ubranie — lub nie, lepiej chodźmy do kawiarni".

— „Tam szedłem, to moje stałe mieszkanie", uśmiechnął się smutnie.

— — — — — — — — — — — — — —

— Usiedli przy marmurowym stoliku.

— W kawiarni były pustki.

— Powoli popijali herbatę w siebie wpatrzeni.

„Jaka ona ładna", pomyślał w duchu.

„Jaki on ciekawy".

„Niech mi pan coś o sobie opowie".

„Czy to być musi? — Jestem królewiczem z bajki za grzechy swoje w słup lodu zmienionym."

„Mamże ja gorącym oddechem zimną skorupę roztopić i królewicza wyswobodzić?"

„Ha, spróbuj pani".

— Uśmiechnęli się figlarnie.

„A zresztą nie mów mi pan nic — niechże to będzie bajką. Pan jesteś królewiczem z bajki, ja zaś córką mieszczańską za panem tęskniącą".

„Droga ty".

— Spojrzeli sobie w oczy długo, przeciągle.

„Bardzo mi bliską jesteś dziewczę — jak ci na imię?"

„Fela".

„Szczęściem więc jesteś... — o gdybyś mi chwilę szczęścia dać mogła".

„O jak pragnę być ci całem szczęściem... i tylko tobie..."

— Ręce ich nerwowo się uścisnęły.

„Wyjdźmy z kawiarni".

„Wiesz, czuję w sobie taką wielką radość szeptała.

— Oczy jej błyszczały.

— Szli przez ulicę do siebie przytuleni.

„Dokąd idziemy?" spytała.

„Do mnie".

— Dziewczyna zatrzęsła się — lecz nic nie odpowiedziała.

— — — — — — — — — — — — — —

— Mały kawalerski pokoik.

Sprzęty stare, niezbędne. Na biurku stosy zapisanych świstków. Na półkach porozstawiane piękne drobnostki. Na półkach porozstawiane piękne drobnostki. Na ścianach porozwieszane podobizny wielkich mistrzów. W kącie popiersie Słowackiego.

— Jednym rzutem oka objęła cały pokoik.

— Usiadła na otomanie. Z wielkim wysiłkiem starała się ukryć straszną trwogę. — Coś ją dławiło — chciała krzyczeć... uciec — lecz czuła się zupełnie bezsilną. Serce jej biło jak młotem, a w duszy jedna pieśń: „Janek — Janek — Janek"...

— Usiadł koło niej.

„Dzieciaku mój“ szeptał.

— Ona ujęła konwulsyjne jego rękę.

— Pieściła ją lekko — potem prędko się nachyliła i gorąco ją ucałowała.

„Felo“ — krzyknął.

— Przyciągnął ją do siebie — wpił się w jej usta.

— Fela słaniała się niby w omdleniu.

„Nie mów — nic nie mów“ — prosiła.

— Całował jej usta, oczy, czoło.

— Jednym nerwowym ruchem rozpiął jej bluskę.

„Nie Janku — nie“ — szeptała.

— Lecz on stracił zupełnie świadomość chwili. — Nie panował więcej nad sobą.

— Fela ucichła zupełnie. Tylko jej biała pierś nadmiernie falowała...

Z tej piersi wydobył się cichy, płaczliwy jęk.

— I spoili się w jednym długim, szaleńczym pocałunku.

— W pokoju drżał jęk.

Kwiaty w doniczce więdły.

— — — — — — — — — — — — — —

— Zbudzili się.

— On spojrzał na nią z uśmiechem sytego zwierzęcia.

— Jej wzrok był pełen świętego uwielbienia.

„Kocham — kocham — kocham“ szeptały jej rozkoszą drgające usta.

— W oczach łzy bolu, rozkoszy i wstydu.

— „Trzeba wstać“ — mówił obojętnie.

Ubierając się, nucił elegię Goetego:

„Lass dich Geliebte nicht reun, dass du mir so schnell dich ergeben...“

„Kochasz mnie?“ zapytała Fela trwożnie.

„O tak... jesteś ładna... namiętna...“

— Czy to ten sam człowiek... żadna szczera nuta nie brzmiała ze słów jego... Był jej taki daleki.

„Wiesz — rzekła cicho — zapewne się już nigdy nie zobaczymy — a były to cudne chwile — daj mi na pamiątkę jaką drobnostkę — kwiatek...“

„Pamiątki chcesz?“ zapytał ironicznie...

— Zwrócił się do biurka, wziął maleńki rewolwer i z ironicznym uśmiechem podał go Feli.

„Weź to — przyda ci się w życiu — jeśli cię kochanek opuści“.

— Zatrzęsła się dziewczyna.

— Czy ten wstrętny cynik, to ten sam człowiek, który przed kilku godzinami miał taki cudowny smutek w oczach i słowach?

— Jemu oddała się z całą wiarą.

— Ręką zakryła twarz.

— Nie, tego widowiska mu oszczędzę. Nie będę płakać.

„Ach, jakiś ty podły“ — wyrzekła z trudem.

„Ha — ha — ha“ — śmiał się ironicznie.

— Nagle napięła kurek i jednym celnym strzałem powaliła Janka na ziemię.

Tak szybko się to stało, iż leżał już martwy, a uśmiech ironiczny jeszcze wykrzywiał mu usta.

„To twoja nagroda — za odchylenie maski“ szeptała wpatrując się ze wstrętem w trupa.

— Szybko ubrała się — wzięła misterny rewolwer i wyszła na ulicę.

DUSZCZAK WŁODZIMIERZ.

# Wspomnienia z pobytu w Argentynie.

(Szkic z podróży).

Po bardzo długiej, bo trzydziestodniowej podróży morskiej, zawijamy szczęśliwie do portu stołecznego miasta Republiki Argentyny Buenos-Aires. Tu zaraz zjawiła się policja emigracyjna, która przeglądała paszporty i dokumenty wychodźców, pytając się każdego, czy chce zamieszkać tymczasowo w domu emigracyjnym na koszt rządu czy też na swój własny w hotelu. Przyszła kolej na mnie, i oczywiście powiedziałem, że chcę zamieszkać na koszt rządu. Przybito pieczęć na mym dokumencie, upoważniającą do wstępu do „Emigracyj“, jak tam powszechnie schronisko to nazywają. Przed wchodowemi drzwiami gmachu, który zbudowany jest jak dworzec kolejowy, oczekiwały trzy wozy samochodowe przeznaczone do zabrania pakunków wychodźców, którzy mają zamieszkać w „Emigracji“. Nas zaś piechotą zaprowadził jeden z agientów do tego domu emigracyjnego. W piętnaście minut byliśmy na miejscu. Tu widok, jaki się nam przedstawił, byłby mógł odstraszyć nietylko człowieka, ale nawet psa. Kolosalna drewniana rudera dwupiętrowa wznosiła się przed nami, zbudowana w kształcie cyrku okrągło; szyby powybijane, zgniłe deski w ścianach — jednem słowem obraz nędzy i rozpaczy! Wprowadzono nas do wnętrza, gdzie na ogromnym dziedzińcu czekaliśmy chwilę, aż przyszedł jeden z urzędników, który władał nieomal wszystkimi językami, bo byli między nami polacy, rosjanie, niemcy, turcy, bulgarzy i t. d. a on z każdym się rozmówił. Ten też oglądał nasze stampilje z Komisji Emigracyjnej, wydając tym, którzy mieli takowe, bilety na nocleg i wikt. Tu się okazało, że wielu wychodźców nie otrzymało takowej, wobec tego nie mogli przebywać w „Emigracji“. Ze wszystkich stron podniósł się lament i narzekanie tych biedaków, którzy tu przybyli bez grosza i jeszcze ich wypędzają z tej „Emigracji“, gdzie mieliby chociaż dach nad głową na parę dni. A byli i tacy, którzy przyjechali z żonami i dziećmi.

Tymczasem ów urzędnik, załatwiwszy się z innymi, zapytuje się mnie, czy mam jaki adres tu w Ameryce do kogo, a kiedy dałem odpowiedź przeczącą, wtedy oświadczył mi, że dziś o ósmej wieczór pojadę do miasta Cordoby, gdzie potrzeba dużo robotników i tam dostaną robotę odpowiednią jako stolarz, wraz z kolegą z którym wyjechałem z Krakowa. Zgodziłem się na to i wpisano mię na listę (Carpinteiro Cordoba). Ale tego dnia już było zapóźno jechać, musieliśmy czekać do jutra. Tymczasem zadzwoniono na kolację, składającą się z zupy i kawałka chleba białego) gdyż czarny prawie nieznany w Argientynie). Po spożyciu jej udaliśmy się zaraz do „apartamentów“ przeznaczonych na nocleg dla wychodźców. Straszna ta noc była dla nas: w stancjach o powybijanych oknach i połamanych drzwiach, na gołych pryczach, bez żadnych sienników i przykryć, trudno było wytrzymać w noc zimową. Chociaż tam nie taka zima jak u nas, bo tu śniegu prawie nie znają, ale o ile w dzień upały są ogromne, o tyle w nocy jest zimno, tak dalece, że zamiast wypocząć trochę, musieliśmy gonić całą noc z drugiego piętra na dół i z powrotem, ażeby się trochę rozgrzać.

Kiedy wreszcie dzień już nastał, spożyliśmy trochę ciepłej wody zwanej kawą i wyszliśmy do miasta, przyglądnąć mu się trochę i zakupić prowiantów na drogę do Cordoby. Wieczorem o ósmej zaprowadził nas agient na dworzec kolejowy. W dziesięć minut później mknął z nami pociąg w głąb stepu Pampasu do Cordoby.

Widok, jaki nam się nazajutrz rano przedstawiał z okien, był dla nas zupełnie nowym. Równina jak okiem sięgnąć, nigdzie nie ujrzysz góry ni lasy, nigdzie miasta ani wsi nie napotkasz, jeno goły step ze zeschłemi łodygami, gdzieniegdzie mała drzewina karłowata, a o człowieku to ani mowy niema. Natomiast pełno bydła, wszędzie konie, krowy, woły, a wszystko to z opuszczonemi łbami z powodu braku paszy i wody. Po drodze obserwowaliśmy prawie co sto, dwieście kroków jakąś padlinę: tu konia dopiero co zdechłego, tam krowę napół już zgniłą lub zeżartą przez czerwone wilki stepowe, albo też już sam szkielet bielejący zdala z kośćmi sterczącymi do góry, jak gdyby wołał o pomoc.

Tak wygląda step Pampasu w zimie.

Około godziny dziewiątej rano przyjechaliśmy do Rosarjo, miasta jednego z główniejszych miast w Argentynie i tu musieliśmy się przesiadać, i dopiero o 6-ej jeszcze wieczór zajechaliśmy do miasta Cordoby równocześnie z nastaniem nocy. Co tu czynić, gdzie się teraz udać? Noc ciemna, nikogo znajomego, w kieszeni pusto!

Przypadkiem dopiero jacyś rosyjscy emigranci zapro-

wadzili nas do „Emigracji", jeszcze gorszej nory jak w Buenos-Aires. Tu musieliśmy znów spać na gołej ziemi, ale przynajmniej pod dachem.

Nazajutrz rano przychodzi do nas zarządca tej „Emigracji"; hiszpan, nie znający innego języka.

— Este Carpinteiro? (jesteście stolarze?) — zapytał.

— Si senior (tak panie) — odpowiedziałem.

Dalej nasza rozmowa okazała się niemożliwą, gdyż go nic więcej rozumieć nie mogłem.

Co on widząc, odszedł i wrócił w towarzystwie jakiegoś żyda rosyjskiego, z którym z biedą dopiero żargonem żydowskim trochę się porozumiałem.

Dowiedzieliśmy się tedy, że jeden Patron (przedsiębiorca) z campy (folwark w stepie) potrzebuje dobrych stolarzy, z płacą sześćdziesiąt pesu (120 koron) miesięcznie, wikt i mieszkanie; jeżeli się na to zgodzimy, to popołudniu nas zabierze. Rzecz naturalna, że przystaliśmy z wielką ochotą na taką propozycję.

Późnym wieczorem zgłosił się po nas jakiś furman z wozem o dwóch kołach, ażeby nas zabrać na „campę". Była już dobra noc kiedy przyjechaliśmy do tego folwarku. Wprowadzono nas do kolosalnej szopy i capatas (zarządca) oznajmił nam, że tu będziemy mieszkać. A tam już tyle ludzi spało, że dla nas prawie miejsca nie było; wtedy ów capatas kopnięciem nogi obudził dwóch czy trzech najbliżej śpiących i kazał się im usunąć, ażeby zrobić miejsce dla nas. Wszyscy oczywiście śpią na ziemi, na troszce rozrzuconej słomy. Myśmy byli już tak wyczerpani, że nie zważając na nic rzuciliśmy się na tę słomę, którą wszy formalnie ruszały, i usnęliśmy kamieniem.

Po mniej więcej dwugodzinnym śnie przebudziłem się, gdyż czułem dziwny zamęt w głowie i silne miałem pragnienie. Byłem chory, gorączka mnie trawiła. Tak przeleżałem do rana bez snu. Rano o brzasku ozwał się przeraźliwym głosem dzwon i odrazu wszyscy już byli na nogach. Po chwili każdy spieszył ze szalką do kuchni po śniadanie, składające się z kawy czarnej, a właściwie ciepłej wody, brudnej i dwuch kukiełek białego chleba. W kwadrans później cała masa tych białych niewolników z łopatami i widłami podążała w pole do pracy. Nam też wyznaczono pracę i kazano nam wozy połamane naprawiać. Zabraliśmy się do tej pracy, ale nie szło to jak się należy, gdyż ja byłem osłabiony, a kolega też nie na bardzo zdrowego wyglądał, i już około godziny dziesiątej upadaliśmy prawie z nóg z wyczerpania, do czego się bardzo przyczynił straszny upał tamtejszy i wiatr stepowy. I tu dopiero w tej szopie, pod dachem blaszanym, gdzie nam wyznaczono miejsce do pracy, poznałem całą potęgę słońca południowego: prażyło tak, że tchu brakowało człowiekowi, a wiatr zdawało się, że gorącą wodą pryska. I tak zaledwie wytrzymaliśmy do południa, kiedy dano sygnał na obiad, znów się powtórzyła ta cała procesja ze szalkami do kuchni, gdzie każdy otrzymał rosół z makaronem włoskim, kawałek mięsa i dwie kukiełki, a później po kwaterce wina, kwaśnego jak ocet. Potem oświadczył Patron, że dziś po południu nikt robić nie będzie, bo jest „grande Fiesta" (święto).

Kiedy wieczorem wszyscy zebraliśmy się w naszej szopie, dopiero mogłem się przyglądnąć swym współlokatorom. Była tam przeważna liczba rosyjskich chłopów, kilku włochów i czterech murzynów. A każda gromadka trzymała się osobno od innych.

— Wyście już tu dawno? — zapytałem jednego kacapa obok mnie siedzącego.

— Dwa hody — odpowiedział i splunął tytoń, który gryzł w ustach.

— Tak. A dużo pieniędzy już macie za ten czas uskładanych?

— Ot posłało się już siedemdziesiąt rubli, ta i tyle. Doma została żona i dwoje dzieci, a człowiek tu się poniewiera.

Rzeczywiście nie wesoło tu żyć chłopu, gdyż jeść mu dają jak najgorzej, śpi jak pies, robi jak wół. Płacą mu na takiej campie od czterdziestu pesu do czterdziestu pięciu miesięcznie, z tego musi dodać do wiktu około dwudziestu pesu, boby umarł z głodu, a resztę co mu zostanie, to zazwyczaj przepije.

Na drugi dzień oświadczyłem patronowi, że więcej u niego pracować nie mogę, gdyż czułem się bardzo chory, a w mieście prędzej można wytrzymać, gdyż pracuje się tylko osiem do dziewięciu godzin i więcej chłodu można znaleść. Około godziny ósmej rano byłem w powrocie do miasta, słońce paliło niemiłosiernie, zdało mi się, że w piecu piekarskim się znajduję, a przytem byłem tak chory, że zdawało mi się, że już nie zobaczę twarzy ludzkiej. Pot kroplisty spływał ze mnie, a nogi odmawiały posłuszeństwa. Usiąść i spocząć bałem się, gdyż wiedziałem, że kiedy się człowiek podda chorobie, wtedy ona przychodzi jeszcze gwałtowniej. A biada temu, kto zostanie zwalony z nóg w takiem pustkowiu, pod strasznemi promieniami słońca, gdzie żywej istoty nie ujrzysz, chyba dzikiego zwierza lub węża. I tak wlokłem się z trudem przed siebie, nie wiedząc gdzie i kiedy dojdę. Step szeroki, gościńca wcale nie ma, kierowałem się jedynie podług słońca. A kiedy słońce stanęło prostopadle nad głową, upał się wzmógł tyle, że musiałem siąść pod pierwszem drzewem, które napotkałem.

Teraz dopiero spostrzegłem, że zbłądziłem, gdyż szedłem już około czterech godzin, a droga z tej campy do miasta wynosi zaledwie dwie godziny. Nie wiedziałem, co mam czynić, w którą stronę się udać. Postanowiłem zwrócić się na zachód, gdyż to najwięcej odpowiadało mojemu obliczeniu. I pomimo osłabienia i upału ruszyłem zaraz w drogę, obawa dodała mi sił. Szedłem znów około dwóch godzin, aż spotkałem jakiegoś jeźdźca, który mię objaśnił, że do miasta Cordoba muszę się zwrócić ku południowi, a za sześć lub siedem godzin dojdę do celu. Poczęstowawszy mię chrapą t. j. wódką amerykańską i kawałkiem suszonej ryby, odjechał. Ja zaś udałem się we wskazanym kierunku i szedłem czas jakiś, aż dowlokłem się do małego lasku, gdzie na szczęście znalazłem źródełko. Ugasiwszy pragnienie, postanowiłem tu trochę wypocząć, gdyż gorączka osłabiła mnie bardzo. Po chwili usnąłem na swym tłumoczku. Jak długo spałem nie wiem, ale kiedy się obudziłem była ciemna noc, a członki zesztywniały mi od zimna. Chciałem rozpalić ogień, ale zaniechałem tego zamiaru w obawie sprowadzenia jakich nieproszonych gości, więc po ciemku przesiedziałem do rana.

Z pierwszym promieniem słońca powlokłem się dalej, co chwila spoczywając, aż wreszcie około godz. 4 po połud. dowlokłem się do miasta. Byłem strasznie wyczerpanym. Wstąpiwszy do pierwszej napotkanej fondy (restauracji) i posiliwszy się nieco, rozmyślałem co czynić dalej, gdzie się udać. Tysiące projektów przeszło mi przez głowę, ale każdy, jak zwyczajnie w takim wypadku, okazał się nieodpowiednim. W końcu postanowiłem wyjść na miasto i do każdej napotkanej pracowni wstąpić, pytając się o pracę. Tak też zrobiłem. W kilku pracowniach odprawiono mię z kwitkiem, z powodu, że nie miałem własnych narzędzi, gdyż tu jest zwyczajem, że trzeba mieć swoje narzędzia pracy.

Dopiero traf mię zaprowadził do jednej pracowni, gdzie przyjęto mię do pracy z tem zastrzeżeniem, że w najbliższych dniach sprawię sobie narzędzia. Zaraz na drugi dzień rozpocząłem pracę, ale czułem się bardzo chorym, tak że musiałem udać się do lekarza. Nie chcę się tu długo rozpisywać, tylko nadmienię, że przez pięć tygodni pracowałem bardzo mało, a ów lekarz ciągle mi powtarzał, ażebym jak najprędzej wracał do kraju, bo tak długo nie wytrzymam. Sam to czułem dobrze, ale nie mogłem wracać, gdyż nie miałem pieniędzy na podróż powrotną. Widocznie nie było mojem przeznaczeniem umierać w Ameryce, gdyż na szczęście powietrze się zmieniło, nastał czas dżdżysty, skutkiem czego znacznie się temperatura powietrza obniżyła, a ja uczułem się zaraz zupełnie zdrów. Pracowałem więc od świtu do nocy i zdołałem wkrótce zarobić tyle pieniędzy, że wystarczyło na podróż powrotną.

No i jakąż korzyść odniosłem z tego wszystkiego? Zbadałem stosunki, w jakich nasi wychodźcy tam żyją, i to co piszę będzie wskazówką dla niejednego, kto zamyśla w tamte strony się udać.

Dobrych rzemieślników tam potrzeba zawsze, ale tylko dobrych, bo partaczy jest tam dość. Więc dobry zdolny rzemieślnik, jeżeli nie jest próżniakiem i pijakiem, to może zebrać trochę pieniędzy. Ale musi wiedzieć najpierw czy w tamtejszym klimacie będzie mógł wytrzymać. Ale ponieważ

naprzód nie może wiedzieć, czy wytrzyma w tamtejszym klimacie, więc wobec tego nie radzę nikomu jechać.

Wyrobnicy stoją tam bardzo licho, gdyż jest ich ogromny napływ, trudno im o pracę, a przytem są tak po bydlęcemu traktowani i wyzyskiwani, że tym stanowczo jazdę odradzam.

Co się tyczy robotników, to ci mogą do czegoś dojść, ale nie w Argentynie, tylko w Brazylji, i to naturalnie ci, którzy przywiozą ze sobą jakąś ilość gotówki.

Na zakończenie dodaję, że lepiej każdy zrobi, jeżeli mając jaki taki byt zapewniony zostanie w kraju, a nie będzie się puszczał na niepewne losy.

## Rozmaitości

**Ziemia jako pożywienie.** Pewne rodzaje ziemi służą nietylko za lekarstwo, lecz rownież za pokarm, a nawet za przysmak. Pragnienie zmiany rodzaju pokarmów wiedzie niejednokrotnie do zboczeń, a wskutek tego smakosz chiński uważa jaskółcze gniazda za niezwykle upragniony przysmak; dziewczęta cierpiące na blednicę pochłaniają pod wpływem choroby całe garście kredy lub wapna, zdrapanego z muru. Ten ostatni popęd chorobliwy zanika prawie zawsze, skoro powodująca choroba blednica czy histerja zostanie zwalczona lub wyleczona.

Zdarza się jednak, że i zdrowi całkiem ludzie, którym nie brak innych środków żywności, jedzą ziemię, a nawet czynią to z pewną przyjemnością. W niektórych okolicach Tyrolu, Styrji, Włoch północnych twierdzą wieśniacy, że są pewne rodzaje ziemi, mające doskonały smak, przytem pożywne i wzmacniające siły. W Persji jest również ziemia złożona przeważnie z pyłu wymoczków, którą smakosze miejscowi wysoko cenią. Ziemia ta znana jest pod nazwą „mąki górskiej“ i tak, jak ze zwykłej mąki wypieka się z niej chleb i placuszki. Można jednak nawet wśród sfer wykształceńszych znaleźć przykłady. Niektóre damy hiszpańskie i portugalskie uważają pewne gatunki ziemi, zwłaszcza ziemi z Ortomez, za przykład nader wyszukany. Wszystkim tym rzekomo „smacznym i pożywnym“ gatunkom ziemi nadają smak znajdujące się w nich rozmaite sole. O rzeczywistej wartości odżywczej nie można mówić.

O ile spożywana ilość ziemi jest nie zbyt wielka, nie przynosi szkody organizmowi. Żołądek i jelita dają sobie z niemi doskonale radę, a nawet spożytkowują zawarte w nich sole. W pewnych wypadkach może się nawet sprawdzać ludowe mniemanie, że spożyta ziemia oddziaływuje korzystnie na trawienie.

* * *

**Morderca 57 osób.** Pisma carycyńskie podają ciekawe szczegóły o aresztowaniu głośnego bandyty i zabójcy, Iwana Czernowa, który w ciągu swego życia popełnił 57 zabójstw. Policja w Carycynie została zawiadomiona, że w tych dniach w Stawropolu kaukaskim został zabity w celu rabunku dymisjonowany podpułkownik Kazakow i jego żona i że zabójca udał się do Carycyna. Dzięki temu policji udało się schwytać Czernowa. Aresztowany przyznał się do zabójstwa w Stawropolu kaukaskim oficera kozackiego i jego żony. Zabójstwo to popełnił w nadziei zrabowania 50000 rubli; przy zabitych jednak znalazł tylko 50 rubli i książeczkę czekową na 50000 rubli: pieniądze były wniesione na dzień przed zabójstwem do banku. Czernow przyznał się do 57 zabójstw; za niektóre z tych zabójstw skazano zupełnie niewinnych ludzi. Po każdem zabójstwie zmieniał nazwisko. Czernow inaczej Boldin kilka razy w życiu zdołał zbiec z więzienia i ma nadzieję, że to mu się uda i tym razem.

* * *

**Niezwykły wypadek tragiczny.** Jak donoszą z Kolonji tymi dniami przechadzała się nad brzegiem Renu młoda kobieta, pchając przed sobą wózek z dwuletnim synkiem i prowadząc za rękę synka pięcioletniego. Chłopiec wyrwał się nagle matce, która, obawiając się, aby malec nie wpadł do wody, puściła się w pogoń za zbiegiem. Tymczasem wózek, z drugim synkiem, pchnięty przez wiatr, stoczył się z wybrzeża i zniknął we falach rzeki. Zrozpaczona matka chciała rzucić się za nim do Renu, ale jej przeszkodzono.

* * *

**Śmierć bohatera.** W styczniu roku bieżącego, wśród walki z dżumą w Mandżurji, zmarł francuski lekarz dr. Mesny. Obecnie „Excelsior“ ogłasza list, który zmarły pisał do żony na parę godzin przed śmiercią. „Ukochana moja, gdy to pismo otrzymasz, ja już żyć nie będę. Spotkamy się w lepszym świecie. Dziś rano, o godzinie 7 uczułem, że zaraza mnie dosięgła. Lekarz przybył dopiero o godz. 1 po południu. Przed odejściem w zaświaty całem sercem myślę o tobie i o naszych dziatkach. Nic mi już nie pomoże. Śmierć przyjdzie szybko. Wiem. Miałaś rację, córeczko, twój tatuś umrze. Moje interesy nieskomplikowane. (Tu następują wskazówki szczegółowe co do uregulowania sukcesji i co do praw wdowich: asekuracji na życie, emerytury wojskowej, indemnizacji chińskiej i t. d.). Myślcie o mnie. Kochajcie mnie tak, jak ja was kochałem. Do widzenia najdroższa moja, dzieci ukochane! Zobaczę was kiedyś. Nie przyjeżdżajcie tu na mój grób. Mogłabyś się zarazić. I dzieci pozostałyby zupełnie same na świecie. Nie przyjeżdżaj, błagam cię o to. Odchodzę, całując cię myślą. Pocałuj dzieci odemnie“.

Ustęp, w którym wspomina, że „jego córeczka miała rację“, dotyczy następującej okoliczności. — Gdy dr. Mesny wyjeżdżał do Tien-Tsinu, gdzie wyruszył dla spełnienia obowiązku, córeczka błagała go, by został, mówiąc ze łzami: „Tatusiu, ty jedziesz na śmierć“. Przeczucie małego serduszka sprawdziło się.

* * *

**Deszcz w cyfrach.** 15000000 ton wody deszczowej spada co sekundę na powierzchnię ziemi. W przeciągu godziny spada 53000 miljonów ton, w przeciągu jednego dnia biljon 217000 miljonów, w przeciągu roku 464 biljonów. Jeśli się jednak te olbrzymie masy wodne rozdzieli na całą powierzchnię ziemi, przeciętna ilość opadów deszczowych wyniesie tylko 91 centymetrów. Rozdział tych opadów jest jednak w rozmaitych częściach świata nader nierównomierny. Są okolice, nie znające zupełnie deszczu, podczas gdy w innych opady dochodzą skali kilkunastu metrów. Europa należy do tych części świata, w których opady nie przenoszą przeciętnie 5 m.

* * *

**Banknoty chińskie.** Rząd chiński zdecydował się na zbudowanie w Pekinie kosztem 10 miljonów franków wielkiej, zaopatrzonej w najnowsze przyrządy drukarni, w której będzie się drukowało chińskie pieniądze papierowe. Dotychczas sposób drukowania banknotów w Chinach jest bardzo zawiły i stanowi nieprzezwyciężoną przeszkodę dla obrotów handlowych. Każda prowincja posiada własne pieniądze, które nie obiegają w prowincjach innych. Już oddawna zamierzano ujednostajnić system w całem państwie, lecz nie było instytucji centralnej, która mogłaby zająć się tą sprawą, więc zbudowanie nowej drukarni usunie tę trudność i będzie początkiem reformy, która dla rozwoju Chin posiada olbrzymie znaczenie. Przed dwoma laty rząd chiński powierzył dr. Chen'owi zapoznanie się z systemami drukarń papierów państwowych w Europie, w Ameryce. Chen wybrał system waszyngtoński. Drukarnia pekińska zbudowana na wzór waszyngtońskiej będzie gotowa za dwa lata, w roku 1913, zacznie funkcjonować jednocześnie z parlamentem, który również ma być otwarty w tym roku. Zaangażowano już dwuch rytowników amerykańskich, którzy będą dozorowali ustawiania maszyn i uczyli chińczyków sztuki rytowniczej.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 26. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 1 lipca 1911.

Juljusz Kaden.

## Music-hall.

Czarny kadłub budowy wypryskiem świateł wzdłuż wiązań i szprych żelaznych błyszczący, leżał na brudach miejskiego bruku jak niesłychana jakowaś, olbrzymia, drapieżna kocica. Jej ślepia — to wysokie gały elektrycznych lamp. Słychać jak przewracają się w twardych żelaznych orbitach ostrem światłem sycząc zjadliwie. Rżnięte filary gmachu w ziemię wparte — to chwytkie pazury dziwoląga. Wbił je głęboko w ziemię miasta tłustą od potu ludzkiego. Ta ogromna budowa, potwór, którego pręty i druty, niby zjeżony włos drapieżnika skrzą ogniście, cuchnie naokół czadem spartego powietrza, chucha gryzącym wyziewem napitków, tchnie swędem rozjątrzonej w gorącu ciżby, poci się spiekłem błotem, które znoszą tu ludzie ze wszystkich zakamarkow całodziennej pracy.

W gęstym mroku nocy domy, dachy, narożniki, balkony i wały kamienne rysują się, rzekomo rozpadają w wielkie bruzdy i skiby przeschłego trzęsawiska. Z pośród tych skib szczelin, rozpęknieć i szpar, na podobieństwo szybkich mrówek, mszyc, stonóg i wszelakiego robactwa wylęgają pojazdy, rzesze ludzkie i giną raz-wraz w ciemnych splątanych flakach budowy.

Zda się ten gmach żelazny zbłąkanym jakimś łotrem-łupiezcą, rabusiem, co legł na zeschłem trzęsawisku i wokół zionie próchnicą i gnije. Rzesze ludzkie tłumem czerwów pasożytnych, łakome gnijącej padliny, cisną się w jego stęchłe wnętrzności, chciwie się tłoczą do środka, by zasmakować w robaczywem sercu drapieżnika.

Serce szmatą kurtyny zakryte. Wzdłuż, do zimnych żeber, wklęsłych miednic, nabrzmiałych stawów i wyżej, do oplwanych zżutym tytoniem krętych obojczyków budowy, lepi się i lgnie gęstym szarym zakalcem zgrzane mrowie ludzkie. Twarz spocona przy twarzy, — wyciąga się w pasmo tłustego ciasta. Drobnym makiem przesypują je oczy. Niżej na parapecie jak niesamowite raki kręcą się czerwone, spracowane ręce. W tył, wprzód, to wychodzą jedne na drugie, to nikną, to czepiają się twarzy, to jeszcze z postrzępionych rękawów, jak z oplotu sprószonej pokrzywy zawisają nad dymną pustką sali.

Dym kurzy się, wysnuwa ze wszystkich galerji, tumanem występuje z parteru i kręci się między białemi krzesłami, co ruchem białych chrząstek wciąż się zmykają. Siną podkówką podbija wielkie źrenice latarni. Wielkie, białe, prażące, chwieją się nad pustką kroplami do białości rozprażonego żelaza. Chwieją się, kołyszą, chyboczą.

Aż strach bierze. Że się znienacka oberwą i nagłą śmiercią oparzelisk spadną w dół na tłum różnobarwny. Że spadną, jamy wypalą tam w ogrodzie damskich kapeluszy, dziury wypieką w śnieżnej tafli prasowanych koszul. Te białe piersi, co je strojne panie jak dwie maślane bułeczki ze słaników wyłaniają zaskwierczą przeraźliwie. Ptactwem ognistem wyfruną z głów wysoko strusie pióra. Srogi pożar rozwachlarzy na kolanach stulone wachlarze a krew białe gorsy pańskich koszul w amarantową morę przemieni.

Zeszła się już była czereda muzykantów. Rozmieściwszy się na zydlach roztropnie, by jeden drugiemu smykiem oka nie wydziobał, wzięli się do strojenia instrumentów. Popłynęła jedna i ta sama przeciągle becząca nuta, lejąc się z miejsca na miejsce. Toś ją słyszał jak drży na wyprężonych nerwach skrzypiec, jak podbiera zgarnia pod siebie inne tony, pochodne i na tych innych, niby na rusztowaniu, czy piętrach rozściela się. Toś ją słyszał uwięzioną w zakatarzonem stękaniu klarnetów, jak się z tego śluza, co go to instrument nie żałuje, otrząsa niecierpliwie, by wreszcie ciepłą strugą wypłynąć. To znów chwytałeś ją w chwili, gdy hukając przemykała się w słodziutkiej tchawicy fletów wesoła i niesforna.

Wydęte bańdziochy basów gderały na nią półsennie. Mała czarna świstawka, piccolo, piszczał niezaradnie, jakby jej złapać nie mógł. Inne znów czarne kominy, fagoty zmażyły zawzięcie we wnętrzach wrzaskliwych. Lecz wszystko nikło i pierzchło, gdy złociste gardziele trąb charknęły wielkim, sądnym głosem.

Już skrzypkowie przyłożyli głowy do ramienia, szczypiąc palcami czarne, wychudłe szyje skrzypek a smykiem z naprężonych strun ciągnąc długi potoczysty sok dźwięku. Już wiolonczeliści rzezać poczęli żywot swych instrumentów, wabiąc z nich pożywne, sytne głosy. Już się wzdęły policzki tych wszystkich, co dmą. Jeden se usta w jadowity lejek ustawił, z dudki ostatnie tchnienie wysysając, drugi głowę do fletu jak do poduszki bokiem przyłożył, niby śpi — a tymczasem dmucha szelma piskiem całego świata. Trzeci dmie, wargi zaciska, na lejku trąby płaszczy, by mu z powrotem tchnienia nie oddała, któreby go już bez pardonu rozerwało. Gdzieś w kącie burzył się bęben. Warknął raz, drugi. Jak w głodnym żywocie oberwało się w nim złe echo, a potem wściekły prędkim warczeniem rozbełtał głosy wszystkich instrumentów.

Na okrągły stolec dyrektorski wsiadł kapelmistrz, mały, czarny garbus. Batuta trzepnęła niecierpliwie w pulpit sprośnymi rysunkami upstrzony. Wzniósłszy się w górę, natychmiast przykróciła rozwydrzoną swawolę instrumentów.

Ścichło. Słychać było tylko szczęk talerzy, nożów i widelców, niby szczęk stalowych żuchw szkło gryzących.

Prasnęły pierwsze akordy marsza. Brzękadła, dzińkadła, okrągłe zady moździerzy, wszystko zwierać się zaczęło, zmagać, trzeszczeć, chrzęścić, trzeć rozrabiając w słuchaczach dziki nieokiełznany smak. Lecz hałaśliwa fala wkrótce opadła i wraz fałszywa, przez każdego ulicznika wyszturchana melodja skoczyła skarżyć się skrzypcom. Te precz odtrąciwszy przelały ją w pojemne żywoty wiolonczeli. Wiolonczele tłamsić się wzięły oną melodję, rozgniatać i mięsić. Od spodu kopał ją głuchy bolesny psztyk basów, z góry szczypały skrzypce, z boku opryskliwie rwał flet. Spienioną zasmażką chluptały klarnety. Póki nareszcie melodja wśród tylu zmian złajdaczona, dostawszy się w rozwarte piersi trąb nie huknęła z nich na cały gmach.

Potoczyła się jasnym, bezczelnym zewem głośna fala, co tak jest pospolita, jałowa, obrzydła, że nic już ją zapłodnić ani zohydzić nie jest wstanie. Ogrzana tęsknem wyglądaniem pracowitych podziemi, przyjęta gościnnie przez tych, którym muzyka niedostępną jest na równi z wypoczynkiem. Ciśnięta masom przez pierwszego lepszego

błazna, który dziarski kościec rytmów pochodu w zwywożony łach melodji okrywszy za kilka centów, rzucają tłumom.

Z widowni na scenę puszczono reflektory. Dwa wielkie koła świetlne — dwie przerażone źrenicę upadły na wzniesioną podłogę, goniąc się wzajem. Z którejś kulisy wyszarpnęła się śpiewaczka z głośną wrzawą. To idzie jak tresowana klacz, linję kłębów całym ciężarem ciała podkreślając, to chyli się, by gorzkim karminem umalowane poziomki piersi ukazać. We włosach grzywą pudla opadających, snuje się złoty wąż i gwiazda chełpliwie błyskającą, gwiazda zakazanego popasu. Na szyi bielidłem usmarowanej rząd sinych pereł, niby siny ślad zębów, co szyję ową pogryzły. Na gołych ramionach złote obręcze nierządu. Ręce spasione, wychuchane nierobne, ręce pychą próżniactwa bezwstydne.

Twarz?!

Cienista szminka nosa, krycha brwi na boki, czoła zmarszczonego bruzda w górę, — przecina oną twarz krzyżem pozoru, krzyżem męki. Z krwawego kwiatu ust krzyż ten wyrasta. Pod poprzecznicami jego niby dwie gwiazdy rozpustnej obrazy i bezsiły, niby dwa fałszywe kamienie w czarnych oprawach, w czarnych skówkach płoną oczy.

Postać czerwonym jedwabiem opięta, świecidłami, co jak lśniące robactwo całą szatę oblazły, napiętnowana, w nawale łakomych spojrzeń, niby w grzęskim błocie, — kroczy i stąpa wysoko unosząc nogi.

Kroczy i stąpa — muzyka ją hałaśliwym odmętem popycha. Linję kłębów całym ciężarem ciała podkreśla — muzyka ją uszczypnieniami skrzypek łaskocze. Chyli się gnie — muzyka ją uderzeniem basów kopie. Klęka, rozgina się, rozchyla — muzyka ją sądnym głosem trąb sądzi. I szydzi z niej ostrym ukropem fletów i pali bezwstydnem hukaniem fagotu a na grzbiet wali kamienną grudę bębnień.

Tancerka zrywa się. W szale przed tonami ucieka i zwrotnym kręgiem hasa. Straszne, rozległe źrenice reflektorów mienią się wszystkiemi barwami i uciekającą ścigają nieodstępnie. Unosi spódnic, by ich w źrenicach tych nie zaszargać, chciwe spojrzenia strzepuje, stopami drobi ostrożnie, by łakomstwo ludzkich oczu nie uśmierzyć.

Muzyka nią miota, szarpie, szczypie, kułakuje. Tancerka cofa się w głąb sceny, ku złotej dekoracji, co konturem malunku obrzeża klin biało-lśniącego nieba, niby złota, wycięta kamizelka, ponad którą widnieje biały gors koszuli.

Tu w ostatecznem wyuzdaniu niemocy poczyna śpiewać. Muzyka grzywę ostrych tonów pod ten śpiew chętnie ścieli. Karminowe usta tulą się i rozwierają trzaskaniu słów oddane. A słowa lecą kulawe, pokraczne, każdym drgnieniem kłamiące o jakichś przygodach miłości.

Głos pijacką chrypą stoczony rwie się, w kaszlących gwałtach wylata. Już się usta w krwawy rynsztok zmieniły i pędzi z nich pomiot sprosności i świszczące pomyje. Śpiewaczka w czerwonych szatach na tle ogromu białej dekoracji drżąca, majaczy żywą ćmą, krwawą śpinką, którą ktoś przeszpilił biel koszuli. O dekoracje oparta, — do gorsu wpięta, przebiera rękami i nogami. Niewidzialny olbrzym zawalidroga, miejski frant rozpustnik porusza oddechem bezmierny gors dekoracji, na którym rozkrzyżowana spinka drży w umęczeniu...

Zaczął się nowy numer. Wylęgło kilkunastu drabów w czarnych liberjach. Ci skrzętni karawaniarze budować, rozpinać jęli nad salą i widownią ze sznurów, linek żelaznych drabin skośnych i ukrytych odskoczni. Zachrobotały przekładnie, zazgrzytał rząd kółek wielkiej sieci bezpieczeństwa, co z sypkim szelestem niewodu sunęła po powietrzu. Szare liny i druty poprzerywane tam i sam błyskiem krótkich stalowych orczyków, rozpinały się między stropem a ścianami gmachu potworną pajęczyną, przetykaną zimnym poblaskiem noży. Jeszcze puste były te sidła wymyślne a już wnosić można było z oddalenia trapezów, że się tu podstępne niebezpieczeństwo między sznurami plącze, że obok szarych sznurów rozpinają się tu inne drogi. Drogi strasznych możliwości i karkołomnych rachub.

Hutna, jurna ochota wyszarpnęła się z orkiestry. Trzasła w plecy gimnastyków, którzy wskoczywszy do siatki, spinać się jęli w górę po drabinach. W czarnych trykotach, uczepieni do drabin podobni byli do wielkich much.

Zgiełk orkiestry zachwiał się i nagle zgasł. Gimnastycy byli już u stropu. Całą salę zaległa ogromna cisza. Słychać było dokładnie świst sznurów i trzeszczenie bloków stalowych. Jeden z gimnastyków wirem błyskawicznych ruchów ciskał się i szarpał na najwyższym orczyku. Dwaj inni w odważnych skokach łapali się wzajem z rozhuśtanego trapezu na trapez.

Z głuchej ciszy myślałbyś że to nie szprychy i śruby stalowe a ludzkie stawy, wyłamywane kości gną się i trzeszczą.

Mnogoliczne rzesze w cierpkiej rozkoszy pasły się niebezpieczeństwem życia.

Tymczasem gimnastycy, rozmieściwszy się na trzech najdalszych węzłach sieci, zamarły w głębokiej rozmowie spojrzeń. Rozdarł ciszę ochrypły piskiem przerośnięty skowyt: „All right!“

Wszyscy trzej z szaloną szybkością runęli w rozpiętą pajęczynę lin. Oto nie mogą się utrzymać na śliskich trapezach... To nie trapezy!... Widać w błyskawicznym przelocie. To ostre klingi sztyletów. Ludzie się ich czepiają, w bólu utrzymać się niezdolni, pędzą z drążka na drążek, z ostrza ruchomej brzytwy na brzytwę, coraz prędzej skoczniej, uplątani w straszliwe polowanie równowagi, w stalowej pajęczynie drżący.

Pajęczyna ogromna! Liny stalowe zlewają się, topią z tysiączną strugą żądnych spojrzeń widowni. Sznury i druty kręcą się w jedność z ostrym promieniem ciekawych oczu. Pajęczyna straszliwa. Wysnuły ją ciekawe śmierci, chciwe źrenice, przeplotły się z liną, drutem i czyhają.

Wreszcie gimnastycy skoczyli w dół a muzyka wybuchła hucznym wrzaskiem.

Ledwo ściągnięto sieci i liny, gdy światła zemdlały i pogasły. Muzyka się przecknęła i lekko cicho, na tonie niskim, skaczącym, ostrożnie bujać zaczęła chęć tajemniczą. Doły, wyrwy, wykroty czyniły w ciszy oderwane, ciężkie razy basów. W te wyrwy raz wraz wlewał się lepki pogłos klarnetów płynnem błotem fałszu. Ciemna chytrość, obrażona przekora, tłumiony gniew i dąs okrutny wysmykał się ze ściszonych instrumentów. Wszystko poganiał bęben waląc głucho i mocno, niby w czyjś grzbiet bezwolny. Zasadzka, podstęp, to budził się, to nikł w tonach, aż się przekształciły wszystkie w rozmokły grunt, na którego śliskiej powłoce razy rytmu wybijały twarde koperczaki.

Ta właśnie muzyka wywisnęła, wygnała z dekoracji człowieka nieczłowieka, żywą nędzę, czy podobieństwo ostatniego zaprzepaszczenia. Wyskoczyła postać w łachmany i strzępcie odziana. Rysy jej twarzy określił występek. Ślepa sprawiedliwość pokopała ją sińcami. Gniew władz wyrwał z jej czupryny całe garście włosów. Postać ona pieściła w ręku niechlujnym składany nóż, który z grzechotem strasznego śmiechu to zwierał się to rozwierał.

Ostre gwizdy przekłuły czarną dal sceny. Na przeciwnym końcu zamajaczył żywy wielki strzęp: Dziewczyna w brudnej onucy na głowie, w dziurawych, męskich lakierkach na bosych stopach. Przypadli do siebie i zczepili się dłońmi. On jej ręce w stawach wykręcał, bił, szarpał, — ona mu wymierzała policzki. Ciemnym kołem skoczyli w dziki tan zbirów.

Poniewierka, głód, złodziejstwo miotało dobraną parę to w lewo to w prawo. Beznadziejna chuć wkręciła się w ich ręce, że darli się za włosy, padając z kąta w kąt.

Niedolą poszarpane, głodem skręcone dwa brudne śmiecie ulicy, tarzały się po scenie a zbrodnia tężyła nad nimi zimna skrzydła rozpaczy.

Pierzchli. Zabłysły światła, krzykacz oznajmił następny występ człowieka-węża, rwącego wszelkie skrępowania, dyby i kajdany. Zjawił się artysta w szarej, aresztanckiej przyodziewie. Podeszli ku niemu ci, którzy do obwiązania na ochotnika zgłosili się byli z tłumu. Zadzwoniły łańcuchy i cienkie postronki żelazne. Owiązano go żelaziwem przez piersi, głowę i nogi. Ręce zamknięto na kłódki. Szara twarz człowieka okryła się ledwie dostrzegalnym połyskiem potu.

Muzyka grała truchtem a skrzypeczki cięły z wysoka uszczypliwym szronem przerywanych nut.

Człowiek padł na ziemię, zwijać się zaczął, kulić,

skręcać jak wąż. Na twarz wystąpiły czarne żyły wytężenia. Ręce zsiniały. To stawał na głowie, to padał na bok, drgnieniami całego ciała nieznacznie przesuwając łańcuchy. Ale żelazo i stal trzymały krzepko siną pręgą paląc wzdęte muskuły. Kurz chmurą otoczył człowieka, co w szarym wojłoku podobny do trzęsącej się grudy ziemi, sunął w różnych kierunkach po scenie.

Głęboki wstyd zaważył ciężko na całej sali. Tłumy podały się naprzód oczami, tchnieniem, sercem całem życząc skazańcowi oswobodzenia. Ten zaś, jak piskorz w konwulsjach, skokach, uskokach, prężył się, to ku ziemi przenikał, to całą postacią wystrzelał w górę.

Tysiące ludzi prężyły się pod zaciskiem łańcuchów. Krótkie zduszone życzenia przeklinały zwartość stali. Wysiłek artysty zatętnił we wszystkich skroniach. Potem niewolnika zrosiły się wszystkie czoła. W zawziętej walce o swobodę ruchów stał się człowiek bezkształtnym workiem.

Ktoś huknął z galerji: Przestańcie grać! — Muzyka zczezła. Słychać było przypadanie zmiętego ciała do podłogi, rzężenie wgiętej piersi i chrzęst wyprężonych łańcuchów.

Naraz łańcuchy, niby kry lodowe czy zbite szkło z głośnem dzwonieniem zsunęły się na ziemię. Człowiek stał — wolny. Weselny ryk szarpnął się z piersi tłumu, lecz zmilkł. Bo oto człowiek skrępowane miał jeszcze ręce. Zwęził je, zwarł, sklepił. Opuchłym przegubem spychał łańcuch ku napiąstkom a stąd starał się końcami palców ściągnąć dalej. Lecz stal wężowym oplotem wijąca się dokoła nie dała się uchwycić. Człowiek przykląkł, szukając na ziemi jakiegoś sęka, gwoździa czy wyniosłości o którąby się dało oczko łańcucha zaczepić.

Pot lał mu się z czoła na ziemię. W koło rąk wysterczających beleściwie z aresztanckich rękawów, obok wężowego oplotu stali przewijał się drugi płynny, czerwony sznur krwi. Człowiek zamarł w wytężonym bezruchu. Sine jego ręce jak upadłe płaty irysu drżały ustawicznie.

Słychać było dygot łańcuchów i porywy litosnego płaczu gdzieś na galerjach.

Zda się, nie może człowiek sam uradzić. Drżąc czeka aż przeciw stalowemu, co mu ręce opełzł i zniewolił wynijdzie z wewnątrz drugi wąż. Gdy tamten zimny, ten gorący, — gdy tamten blady, ten czerwony, — gdy tamten zwarty, ten płynny. Wąż krwi. Rudą rdzą na stali osiędzie, rdzą stal przegryzie.

Czeka człowiek, tęży się, mimo że mu tłum białemi szmatami macha — i nie pyta i głową przeczy. Nareszcie! Połyskiem zimnego śluzu spłynęły łańcuchy na ziemię a człowiek drżące zakrwawione ręce wzniósł ku tłumowi, jakby mu je teraz krwawe, lecz wolne oddawał w podarunku.

Tumult chyba żeby rozwalił mury. Lecz pokwapiły się srogie płuca trąb, ogromnymi haustami fanfar łykając głośne uradowanie rzeszy.

Przyćmiono światła. Zielonawo-niebieskie lśnienie zatopiło całą scenę. Krzykacz z za węgła oznajmił, że popisywać się będą sztukmistrze, co ze strun ludzki głos wydobywają.

Wyszli młodociani chłopaczkowie, w kusych, strojnych atłasach, usiedli zgrabnie na prawo i lewo koło harfy. Zaś przy harfie pięknej, w kształt dzióba czółen starożytnych wygiętej spoczęła blada dziewczyna.

Ona pierwsza w ton uderzyła. Palce młode lekkie, nito wiotkie gałązki jabłoni muskać jęły długą, złotą przędzę strun. Więc drżały pod palcami, to splątane, jak cieńkie nici słodkiego miodu, to kołyszące się, niby świętem tchnieniem uniesione, złote włosy męczennicy. Z kosy rozpiętej przędła się giętka tkanina, plótł się cudny warkocz różnolitych, powłóczystych harmonji.

Lecz i ręce człopaczków nad wnęką mandolin różowymi okiściami zawisłe, wdały się w tę muzykę. Wufrunął głos jękliwy, powiewem skrzydeł niewidzialnych zatrzepotał.

Rozwiane tony zwarły się, zbratały w słodki, nieprzerwany zew. Ten zew rósł i żywej mocy nabierał. Póki w końcu pełen żalu i boleści nie przekształcił się w rozlewny czarujący jęk głosu ludzkiego. W rękach dusza załkała.

Jęk trwa.

Grające na mandolinach dłonie palcami w zmienny, pięciolistny kielich kwiatu rozkwitłe, linją, jak wstęga liljowa nad instrumentami usłane wiona ze strun wołanie.

Pląs lekkich dłoni budzi, na jaw dobywa te inne ręce, co się przed chwilą w kajdanach krwią oblały, te inne świszczące na zimnym gnacie trapezów, te inne shańbione taneczną sromotą. A cienie tych wszystkich lecą gęstą żałobą na dłonie widzów, poharatane w pracy. Tak, że gdy muzyka szczytami harmonji na końców kokardę się zawiązuje, — twarde ręce widzów wiążą się w pięście.

# Przegląd techniczny.

Znużenie metalów. — Zmiany w osiach wagonów kolejowych. — Mosty żelazne i nity. — Zaraza cynowa. — Jej przyczyny i leczenie. — Inne choroby metali.

Technicy już od dłuższego czasu wiedzą z doświadczenia, że także ciała nieżywotne, a mianowicie metale, wykazują objawy, podobne do procesów natury organicznej. Wiadomo dzisiaj, że metale nużą się i starzeją podobnie jak żyjące organizmy. Pierwsze doświadczenie w tym kierunku poczyniono na osiach kolejowych. Konstruowano tę osie z pięciokrotną pewnością, to znaczy, że dopiero obciążenie, 5 razy większe od przewidzianego, mogło je złamać. Osie tak silne poszły w służbę ruchu, rokując jak najlepsze nadzieje. Tysiące i tysiące kilometrów przebiegły wagony, aż wreszcie jedna z osi złamała się.

Oczywiście technicy nad podobnym wypadkiem nie mogli obojętnie przejść do porządku dziennego. Badano dokładnie uszkodzone osie i stwierdzono, że włóknista stal z powodu wibracji tudzież ciągłych uderzeń zmieniła swój miąższ i przybrała krystaliczny skład. Gdy taką oś za pomocą maszyny złamano, pokazało się, że łamała się ona jak cukier, gdy inna oś po złamaniu miała strukturę włóknistą jak trzcina, albo kij z niektórych gatunków drzewa. Uwzględniono ten moment znużenia stali i dzisiaj wyrabiane są osie jeszcze trwalsze.

Następnie zaczęto badać mosty kolejowe. W ciągu lat powstawały coraz to cięższe maszyny i wagony, a skutkiem tego na starych mostach musiano zaprowadzić nowe konstrukcje na miejsce dawnych. Z tych dawnych mostów brano rozmaite części i badano je w maszynach kawałkujących. Wynik potwierdził poprzednie doświadczenia. Stwierdzono, że są pewne gatunki stali, które stosunkowo łatwo się nużą, gdy inne po 50 latach ruchu nie wiele się zużyły, niektóre zaś nawet wykazały wzmożoną spoitość.

W ostatnich czasach zwrócono uwagę na bardzo ważną część konstrukcyjną mostów: nity. Każdy chyba spostrzegł na żelaznych mostach jakby małe główki grzybów. Są to główki nitów, któremi są połączone bardzo silnie poszczególne części konstrukcji. Kołek stalowy, rozpalony do czerwoności wtyka monter do wywierconych poprzednio otworów w dwóch mających się spoić częściach, poczem wystające końce kołka maszyna hydrauliczna spłaszcza, dając im kształt główki. Taki nit ma przez szereg lat poszczególne kawałki konstrukcji utrzymywać w spójni.

Jeżeli weźmiemy książkę pomiędzy palec wielki i wskazujący, chcąc ją w ten sposób utrzymać w powietrzu, palce o wiele prędzej odmówią nam służby, niżbyśmy sądzili. Na tem tle rozgrywają się często zakłady. Podobnie dzieje się z nitami. Są gatunki stali, bezwzględnie wybornej, nie ustępującej pod względem twardości i siły najlepszym rodzajom stali konstrukcyjnej — a mimo to owe gatunki nie nadają się właśnie do nitów, gdyż nużą się bardzo szybko. Most spojony takiemi nitami, rychło się rozchwieje i może spowodować taką katastrofę, jaką wywołał most na rzece św. Wawrzyńca w Ameryce.

Technika uwzględnia dzisiaj w zupełności znużenie metalów, jako ważny czynnik w budownictwie. Ale obok tego istnieją prawdziwe choroby metalów. Powszechnie znaną jest rzeczą, że rdza źre żelazo, jak rak toczy organizm ludzki. Ale mało są znane choroby cyny, o których niedawno w paryskiem Towarzystwie dla chemji fizykalnej miał odczyt Ernest Cohen, profesor tego przedmiotu na

uniwersytecie w Utrechcie. A ta tak zwana „zaraza cynowa", jedna z zakaźnych chorób metali, obchodzi blisko tych, którzy posiadają cenne medale cynowe lub inne wyroby. To też zaraza cynowa stała się postrachem muzeów i zbiorów.

Już w roku 1851 mówił dr. Erdmann w Towarzystwie naukowem w Lipsku o spostrzeżonych przez niego dziwacznych zmianach w cynie, z której są zrobione piszczałki organów w kościele zamkowym w Zeitz. Jak sądził Erdmann, przyczyną owych zmian były wstrząśnienia piszczałek podczas gry organów. To przypuszczenie samo przez się nasuwało się, zwłaszcza, że równocześnie badano łamiące się osie wagonów kolejowych i spostrzeżono w nich zmianę miąższu z włóknistego na krystaliczny. Ale badania postępowały swoim torem. Nie podobna tutaj podawać szczegółów z prac w tym kierunku Fritzschego, Cohena i innych, podamy tylko w krótkości najważniejsze wyniki.

Zaraza cynowa objawia się w ten sposób, że biały i spoisty metal cynowy staje się szarym i ziarnistym. W ten sposób całe bloki cyny „Banka" w ciągu niewielu lat zamieniły się w proch, gdy przylepiono do nich papier staniolowy, dotknięty zarazą cynową. I oto widzimy, że choroba cyny przenosi się z łatwością z metalu na metal, że więc jest zakaźną. Cohen pokazywał medale zniszczone tą chorobą.

Próby wykazały, że zdrowa cyna może nabawić się choroby skutkiem silnego oziębienia. Nawet najczyściejsza cyna wykazuje ślady rtęci, a gdy tylko raz oziębi się temperatura aż do punktu stężenia rtęci, następują chorobliwe zmiany w cynie. Do tego potrzeba 40° mrozu, ale wystarcza także i mniej niska temperatura. Nic też dziwnego, że pierwsze większe wypadki spostrzeżono w Petersburgu. Jednakże w ciągu wieków i u nas wydarzają się wyjątkowe mrozy, a jednorazowe oziębienie wystarcza, ażeby cyna zaczęła chorować. W ten sposób w nieogrzewanych kościołach cynowe piszczałki organów mogły w ciągu wieków uledz chorobie.

Potem choroba czyni już szybkie postępy, o ile temperatura nie podniesie się do 18 stopni ponad zero. Wtedy obie modyfikacje: biała i szara cyna — mogą istnieć obok siebie bez szkody dla białej cyny ze strony szarej. Cohen sądzi, że w muzeach ze względu na przedmioty z cyny powinna temperatura mieć 18 stopni ciepła. Są także sposoby, ażeby za pomocą pewnych płynów przy wysokiej temperaturze usunąć szarą modyfikację cyny, a więc wyleczyć ją. Co prawda blizny pozostają.

Ciągłe badania wykryją z pewnością inne jeszcze choroby metali. Wszak znamy już dzisiaj tak zwaną chorobę stwardnienia, którą zauważono także najpierw u cyny, która jednakże zdarza się równie w żelazie i mosiądzy. Jest także zakaźna choroba, która powstaje skutkiem zbyt intensywnego obrabiania metali, a którą można zaszczepić zdrowemu metalowi. Są to prawdziwe tajniki metalurgji.

„Metalowiec."

## Rozmaitości

**Pożywienie dla 9 miljonów ludzi.** Na parę tygodni z góry czynione były w Londynie przygotowania, aby zapobiedz brakowi żywności w dniu koronacyjnym i następnych. Chodzi o zaprowiantowanie nietylko olbrzymiej ludności stałej, lecz i napływowej. Obliczają, że przyjezdnych będzie conajmniej do miljona, a w dniu koronacji dowóz produktów byłby niemożliwy z powodu ustania ruchu kołowego na ulicach, przez które ma przeciągać pochód. Już o godzinie 4 zrana będą dostarczane do miasta wszystkie zapasy. Publiczność, stojąca przez pół dnia, ruszyć się nie mogąc, musi mieć jedzenie pod ręką, więc też będzie krążyło 3000 przekupniów, sunących taczki z gotowanemi śniadaniami. W koszyczku lub tekturowym, eleganckiem pudełeczku, zawarte będzie chłodne mięsiwo, butersznyty, owoce. Pokup na nie będzie niewątpliwie duży, zarówno jak i na chłodzące napoje. Przygotowują 90000 balonów wody sodowej.

* * *

**Szalona podróż morska.** Tomasz Day w towarzystwie dwu przyjaciół wyruszył z Nowego Jorku w podróż do Rzymu na miniaturowym jachcie, który ma zaledwie 5 i pół metra długości. Jacht, mający nazwę „Sea Bird", posiada małe żagle i motor o sile 3 h. p., który jednakże ma być użyty dopiero w razie koniecznej potrzeby. Day oświadczył, że drogę do Azorów, wynoszącą 2200 mil, chce odbyć bez przerwy. Stąd przez Gibraltar popłynie do Rzymu, następnie zaś wzdłuż wybrzeży uda się do Londynu. Wprawdzie jacht zbudowany jest wzorowo, mimo to marynarze uważają taką podróż za szaleństwo. Zarówno w Nowym Jorku, jak w Londynie, porobiono zakłady, czy jacht zatonie, czy wyjdzie cało z tej imprezy. Już na początku podróży jacht musiał walczyć z silną burzą.

* * *

**Żywa pochodnia.** Depesze doniosły o śmiertelnym wypadku lotnika wojskowego Princeteau. W przeddzień rozpoczęcia lotu okrężnego na polu awiacyjnem w Reims, kilku oficerów dokonywało próbnych wzlotów. Porucznik Princeteau wzbił się w górę, lecz, wbrew innym, skręcił nie na lewo, lecz na prawo. Silny wiatr zerwał się w chwili, gdy lotnik znajdował się zaledwie na wysokości 20 metrów. Ujrzano płomyk, strzelający z pod aparatu. W tejże chwili cały aeroplan stanął w ogniu, wiatr pędził go na dół. Płonący lotnik wraz ze swym aparatem runął na ziemię. Przy upadku wybuchł zbiornik z benzyną. Przerażeni widzowie rzucili się na ratunek. — Pierwszy nadbiegł brat porucznika, wołając o sikawkę. Princeteau leżał na ziemi, grzebiąc ją z bólu, błagał o pomoc, nie mogąc się oderwać od aparatu, do którego był uwiązany sznurem. Kilkakrotnie brat jego i paru innych podchodziło, próbując go oswobodzić, ale wysiłki były daremne. Princeteau spłonął, jak pochodnia. Cała katastrofa trwała zaledwie 4 minuty. Z nieszczęsnego lotnika pozostała garść popiołu. Pożar wybuchnął skutkiem pęknięcia zbiornika z benzyną.

* * *

**Prałat papieski przed sądem wojskowym.** Sąd wojskowy 16 dywizji armji niemieckiej, zasiadający w Trewirze, rozstrzygnął ciekawą sprawę. Przed 24 laty kelner Woerth nie stanął do służby wojskowej, za co sąd skazał go w 1888 r. zaocznie na 160 marek, a władze wojskowe poszukiwały, jako dezertera.

Tymczasem Woerth udał się do Rzymu, tam porzucił zawód kelnerski, wstąpił do seminarjum, oddał się studjom teologicznym i w końcu otrzymał tytuł prałata domowego oraz tajnego podkomorzego dworu papieskiego.

Obecnie prałat zgłosił się sam do sądu wojskowego w Trewirze, aby, jak oświadczył, odpokutować za błąd młodości. Sąd skazał go na karę najlżejszą, mianowicie pół roku więzienia oraz zgodnie z wymaganiami formalistyki wojskowej, na zaliczenie do żołnierzy drugiej klasy.

* * *

**Niezwykły potworek.** W rzeźni w Kamieńcu Podolskim zabito krowę, która była cielną, a gdy rzeźnicy w celu wypaproszenia rozpruli jej brzuch, z okrzykiem grozy odskoczyli przerażeni, ponieważ okazało się, że w krowie było... dziecko. Przywołany weterynarz skonstatował, że jest to tak niezwykły potworek — mający rzeczywiście wielkie podobieństwo do dziecka. Głowa i ramiona wraz z rękami zupełnie przypomina noworodka. Niezwykłego potworka odfotografowano w kilku pozycjach. Donosi o tem, zapewniając o wiarogodności, „Podolanin".

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 27. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 8 lipca 1911.

Juljusz Kaden.

## Wychodźca.

Oberwane wszystkie liście. Poharatane gałęzie. Konary rychło patrzeć, kiedy uschną. Pada drzewo. Ptacy je pstrzą, deszcz omywa. Korzenie w ziemię wbite sok ciągną jeszcze. Z ziemi piersi nieprzebranej ciągną po próżnicy.

A tyś człowieku zdrów i cały wyszarpnął się z objęcia rodzinnego zagona. W latach młodości. Wczesna biedronka nie w lato lecisz, a w zimę. A tyś się człowieku, mocą całą w moc ziemi wrośnięty, wyrwał. Ojczystą grudę proch i pył z odzieży strząsasz, co żywo.

Niby ta woda z nadbitego dzbana płyniesz precz — aż dzban pustką zadudni. Niby ten tchórz bitwy rozjątrzonej odbiegasz precz — aż bitwa klęską na ziemię runie. Niby ten złodziej pracą rozłożoną z pomocą twoich rąk okradasz. Gonisz podstępną steczką w bok — aż się robota pleśnią oblecze.

Otwierają się w piersiach bramy prawd, otwierają się głosy wyrzutu. Nie woda, nie tchórz, nie złodziej! Nieprawda! Lecz nim rzekną, nim udowodnią, nim się opatrzą — zmiecie je srogi lament nad tą dolą pomyloną i oszukaną.

Dola ty jesteś ostra, krzemienna, nieużyta! Dolaś ty jest niesprawiedliwa. Tyś jest niedola!

Dolaś ty jest — ojczym, macocha, zbir i kat. Dolaś ty jest ten spłatek na ziemi ciążący. Spłata, za czyje grzechy, uznojoną krwawicą, za czyj fałsz?!

W twe łapy porwałaś i dusisz głodny brzuch. A w piersiach wydmuchałaś niezapełnioną pustkę. A pod żebra wbiłaś gwoździe ciągłego łaknienia. A w rękach zarodziłaś drżenie wysilne, a w nogach ciężar. Chlebem, dosytem kwitnie ziemia, aleś ty chleb i dosyt ukryła za pazuchą i karmisz popiołem, tulisz w ciernie i częstujesz chorobą. — Nie woda, nie tchórz, nie złódziej. Ginące drzewo śmierć własną korzeniami z ziemi ssie, rany na słońcu zapieka, ginie niezaradne, kopnięte łamie się. Ale nie ty człowieku. Gdyż w oczy ci spoziera, co żadnemu stworzeniu w oczy nie patrzyło. W oczy błyska mocniejsza od niebiańskich łyskawic groźba, gdyż ci z rąk zwartych wypada ostatnia na świecie utrata: ziemia.

Więc gdy do tego przychodzi, żeś u siebie na ziemi nie pan, nie gospodarz a znajda, żeś mniej niż ono drzewo od wieków wrosłe, ledwie drzewa onego liść! Niesiony, goniony, żeniony wrażą słotą i zawieruchą. Że twój trud, mozoł, pot i krew ku doli twej niema wracać, a ma innym ziemię ugnoić — nic ci nie zostaje, jak huknąć w sobie: za pozwoleniem!

Zajdy pakować. Ze szmatami pospołu wszystko cierpienie wtłamsić w podróżne troki. W zajdy powiązać wszystkie strachy i tęsknoty i ckienia. Ze się tu słońce ukaże i zgaśnie i znów i znów — bez ciebie. Ze się tu roki i lata bez ciebie w powrósło zdarzeń sercu bliskich ukręcą — bez ciebie. Ze się tu moc zła nad niemocą braci twojej rozwichrzy bez ciebie.

Żal... Za ciepłem roli dość nigdy nie doznanem, za słońcem, wiatrem, deszczem pogodą. Wszystko w sobie węzłem niezmożonego hartu związać, w głąb zaryć a rozegnać koło gonitwy. Gonitwy za odkupieniem.

Tak, tak, tak — kuje raz za razem ta moc żelazna, co niesie wychodźcę naprzód. Dygot, drżenie i szczęk zlewa się w hałas fali żelaznej. Jakieś światło przelewa się w niej i krąży. Łzy?...

Tak, tak, tak — świat wychodźcom, odpowiada. Swiat ze snu nocnego rozbudzony wie gdzie prawda leży, wie dobrze. Rozgadała się czarna noc, spłoszona przelotem żelaznego węża.

Wąż-ci to jest! Jelita ma podzielone na klatki i kojce. Połknął chmarę strapionej biedoty i ucieka z nią, pełznie i sunie. Gdzie ucieka? Gdzie pełznie? Ślepia mu czerwienią nabiegły. Paszcza dymi, ogniem bucha. Widać pragnienie go trawi. Pędzi do morza. Pędzi do zrębu ziemi na kraj świata, nalać się wody. Ludzi na skraju świata odda i wróci po nowych. Bo znów się nowi zbiorą. Jak ugór niewdzięczny kamienie, tak dola nieubłagana wciąż wyłania tych ludzi. Wąż ich unosi precz, aby tam w domu na widok spraw o pomstę wołających nie zawalił się strop nieba.

Tak, tak, tak — kuje raz za razem świat czarny z nocnego snu rozbudzony.

Ejże, więc tak bez końca, bez wytchnienia i bez nadziei? Bez końca niepobudowany, niewykupiony, na gospodarstwie dziesięciu palców, które się wszczepić nie mają w co? Bez końca będzie ta bieda zła naród z krajów jego nieść we zmienne świata strony? Mimo, że złoto z obczyzny strugą na spłaty posyła, mimo, że tam marnieje, na mrozie wymiera, w upałach więdnie, w suszy schnie, w powodzi tonie? Bez końca, po ziemiach dzikich do wiary niepodobnych, wśrod ludów cudackich i krzewiny nieużytej?

Tak, tak, tak — kuje noc. Noc twierdzi. Twierdzeniem, jako tym cepem w bujny zagon młóci. Kłosy, kwiaty omłóca. Już sprała troskę i sprała wszystkie gorzkie żale. W grzbiet między łopatki leci pięść za pięścią, cios za ciosem, że głowa zwisająca dryga, jak kwiat skoszony.

Tak mnie to pędzisz precz — pyta ta ostatnia krzyna rozumu w omrokę zjawy uwikłana? Tak mnie to kułakami w świat wypychasz? Tak mnie to śpiesznego przewozu pięścią, pogrzutem gościsz?

Tak, tak, tak — kuje noc.

Że gdzie głowę skłonię, gdzie legnę, spocznę — wszędzie cię spotkam? Ze cała ziemia to nic, jeno pięść w grzbiet waląca?

Tak, tak, tak.

Żachnęło się wszystko wierzenie, jakie to kiedy w piersi tliło. Na poratunek zawołane leje łzy, słowami pachnącemi kadzi, śpiewem wstęgę uwija. Ale o niesprawiedliwości milczy. Dzwoni, kadzi, błyska, śpiewem — sianem się wykręca...

Samto jestem — wrzeszczy człowiek pytający.

Błogosławieni ubodzy — mówi wierzenie.

Czem? Tą pięścią? Tą pieścią co w plecy wali?

Milczy wierzenie.

Tak, tak, tak — kuje noc.

Wychodźca strasznym dreszczem potarty ocknął się.

Co będzie? Aha, juści jadą. Napakowani — śledzie

w beczce, ręce, nogi i głowy pomięszane na kupie. Ze stropu łyska małe światełko, po glensowanych deskach cieniutkiemi igłami się ślizga. Smutne, niemrawe, żółte zaduszne. Pali się jak ten kaganek w dzień wszystkich świętych, czy gromnica za konających konająca. Snem są zmożeni wszyscy. Leżą — ciężkie trupy we wspólny grób zwalone. Światło niedoli wiekuistej nad nimi świeci. A, żeby wstydu w domu nie było, a, żeby się pomsta z ciał nie wylęgła — wielka drewniana trumna, wspólna trumna na wartkich kołach ucieka z kraju. W noc zwichrzoną, na zrąb ziemi, potonąć w morzu.

Wychodźca ruszył się. Zaraz się ocknął ból wszystkich członków. Nogi obrzękłe, dawno nierozzute piekły. W grzbiet weszła długa bolesna ciągota i żadnem przecią ganiem z pleców jej wywlec nie sposób. Ręce polepione brudem, błotem, kwasem piwnym i tłuszczem kiełbasy brzydziły się samych siebie. Głowa ciężka, kamienna. Huśtały się w niej tłumy myśli pamiętliwych o tej ucieczce. Bo reszta w oćmę przepadła.

Ziemi nie popuszczę. — Oto, co się krzyżem cierpienia, piorunem siły na wspak wszystkich wspomnień położyło. Że odeszły. Nie nagabują. I nie wracają.

Ziemię jak matkę rodzoną obejmę. Oto — co się na przodku ostatnich celów pielgrzymich żarzy. U ostatnich celów. W święto powrotu. Jako to wrócę, gdym tak wychodził? Jako żem to wychodził stąd.

Ranek ledwo tylko raz drugi tchnął, gdy wychodźca z przytulonych do krzyża drożnego czworaków wykręcił się, na wóz zamówiony wskoczył, z całą kompanją czekający. Pojechali tą polską chropowatą drogą jak po tarku wyciągniętym. Na tym tareczku krwawe zacierki trze z własnych pięt o kamienie płużyświat, głodomór, włóczykij, obieżysas nienachodzony. Na wozie przepili luto. Chałupy jak te prawdziwki ze śmietany łonią się i puczą z mgły. Na polach śnieżną krupą zalega czerstwy przymrozek. Jadą, kłapiąc zębami. Zimno i wiatr portki targa i w łydy szczypie. Koniska drobią, ile tylko wydolą. Hej, hej, nie wiedzą konie, nie wiedzą!

Między ziemie wjechali uprawione. Łany się ciągną, nito zapaski rozciągnięte. Nie usiędzie już człek na słodkim podołku tej ziemi, nie pośpi. Ale sam ocet w gardle i ocet w oczach gdy wóz mija znajomków, nad polem schylonych w pracy. Wykrzykują ci do tych. Wychodźca natrząsha się, kpi mocno, obiecuje im, że ich jeszcze sam potem w świat wywabi. Turkot kół wartkim hałasem przegryza głosów rozmowę. Ale się jeszcze ludzie wzajem widzą. Wychodźca ku nim z wozu machający, oni, co niby ule pracowitości pełne suną przy ziemi. Aż się z oczu stracili.

Po bokach płyną ziemie znane jak ci ludzie, i płyną i płyną i płyną — nienapatrzone. Słońce się wsparło u samej góry, bacznie świeci, podczas gdy wychodźcy koło karczmy obiadują. Butnie, mocno, głośno, dziarsko, że bez kija nie przystępuj. Czapy na bakier. Ślepia wyjaszczurzone to wódką się przesłaniają, to łzami. Ale gęba w gębę z trzaskiem strawę głoda.

Nagle słońce zakrywa sobie czoło złociste białą płachtą chmury. Chmura się tli, białe promienie ją obrębiają. Ale nie strąca jej słońce z głowy promiennej, a owszem więcej naciąga. Zgasło. Cicha żałoba dmuchnęła powszędy na wskroś ziemi.

Wiatr się zerwał między polami przycupnięty. Zieloną skibą śpiesznego zgibu popłynął po oziminach i w lasy się wdarł, z trzaskiem, stukiem i skowytem. Trąby kurzu wzniósł na gościńcach. Trąba się podniosła, wirując głosem wielkim, na drogach zaplątanych skoczyła domagać się gdzieś czegoś.

Wieczór zasypiał, noc się ścieliła, gdy wychodźcy dobrali się do lasu. „Ociec" nadgraniczny łysy, chudy jak gwóźdź poprowadził ich mrokami w głąb. Szli cicho, potulnie, każdy z dobytkiem na plecach i z odpowiedzialnem kołem w garści. Woda chlustała pod nogami. To się grunt rozstępował, to znów sklepił twardo, to wielkie bocheny kamienia ciskał pod nogi.

Tęskliwy wzrok nie uświadczył na niebie ani jednej gwiazdy. Pokryły się. Zamknęło niebo swe oczy jasne na te przeprawy ludzkie. Czarność leżała na niebiosach, jakby się wywróciły na lewą stronę, na stronę żałobnego kiru.

„Ociec" im czuwać przykazał, charknął, na dwie strony wysmarkał się dokumentnie i znikł. Raz drugi trzasnęły pod nim gałęzie i rozlał się w pustce nieprzeniknionej.

Ostali sami. Kilku legło, bo sen ich zmógł. Reszta czuwała. Ostali czuwający jako ci apostołowie pańscy w godzinie przełomu. Wicher już był ucichł. Trwali w czarnej nocy, niby w toni głębokiej pogrążone topielce. Chrzęst się wydobywał z cichej otchłani, z odwiecznego ludu drzew. Chrzęst drzew, czy własnych uszu tętnienie.

Zjawił się ociec nadgraniczny i powiódł. Cichcem, chyłkiem, pokurczeni szli jeden za drugim gęsiego. Wreszcie ukazała się łysa polana. Syczący rozkaz starego, gęby im pozamykał.

Woda ciamkała pod nogami. Brnęli głęboko po szyję, zostawiając za sobą łańcuch żywych ruchomych słupów, z których groźnie sterczy błyszczący kieł karabina.

Po tamtej stronie przyjęła ich znów nędza rozdrapanych pól i nędza ludzi chciwych, głodnych. Rudy, kaprawy żyd zagonił ich do karczmy i zliczył. Pobrał pieniądze, dając wzamian przeróżne karty i bilety. Porwała ich szacherka w śliskie łapy, oprzędła długim czasem postojów i przesiadań. Sypnęły się na ludzi nazwy po nazwach, kraje i miejscowości do przebycia. Jakieś papiery fabrykować się jęły na prawo i lewo a pieniądze wciąż supłać trza było z węzełków, z cholewy i z za pazuchy.

Przybyli do miasta polskiego, Krakowa. Ten na nich wejrzał smutnemi oknami starych grzesznych pałaców. Jak mógł pobłogosławił wysokim gołębnikiem wież.

Dziwno się tu zdało człowiekowi i straszno. Mgła białą pleśnią mury pożerająca włokła się wszędzie po kamieniach. Cichy ogród krwawym wieńcem uwiądu wieńczył miasto całe. Ogród — nie ogród, bodaj że cmentarz. Gdyż co krok z pomiędzy drzew i krzewów sterczały kamienne nagrobki. Nie rozejrzawszy się nawet, niemotą mnogich nagrobków pożegnani szli na dworzec. Bo tu ich właśnie handlarska umowa zobowiązała.

Wielki smutek zaciężył nad narodem zgonionym, mimo że ten i ów krzepił się przy ladzie walną gorącością napiłku. Jak do tego ścierwa wrony, zleciały się do nich gromady handlarzy z pamiątkami, upominkiem płatnym i sprzętem wszelakim.

Tymczasem drzwi huknęły na dwie strony. Gad już usłany na szynach stał, sapiąc głośno. Cały tłum kupą wparł się w drzwi, niezaradny, nieobrotny, zajdami obarczony. Ale konduktory słowem i pięścią zrobiły porządek, póki się wszystko do wozów nie wgramoliło.

Dym tytoniu przyćmił już i tak ciemne wnęki wagonów. Jazgot bab, pisk dzieci i płacz zmięszał się ze stukiem kół.

Tak, tak, tak — przytakują w nieskończoność.

W wagonach jedni śpiewali, drudzy wciąż jedli. Część pośpiła się, część oczami szeroko rozwartemi patrzyła na świat deszczem pocięty i w tył uciekający.

Tak, tak, tak — gadają koła tyle razy, już tyle razy.

Aż znów wrył się pociąg w szklanną norę stacyjnego podjazdu. Ludzi z wagonów wygnano. Poszli i górą i dołem, zabłąkani wśród tysiąca napisów i rąk papierzanych, na wszystkie strony wskazujących. Żydek się im po drodze gdzieś zawieruszył, że już nic nie wiedzieli, co, jak i dokąd. Ktoś im znów drogę wskazał.

A wtedy, jakby wiatr poderwał tę całą gromadę, poopieraną o kuferki, tłomoki i toboły. Zerwali się wszyscy na łapu-capu lecieć po schodach kamiennych w dół. W rozkręt dróg okręceni ciskali się na oślep. Znów wypadli na świat boży między krasne glisty szyn, między światła czerwone i zielone, bazyliszkowym okiem z góry pozierające. Głupe, watowane władze o tem spojrzeniu, co je czarny daszek zamydla, skleły ich. Inni goście, porządnie ubrani, omijali pędzącą kupę wychodźców, niby to błoto. Z okien stacyjnych żygał na nich śmiech i politowanie. Mowa im uszy darła obca, żelazna.

Zbici w szarą gromadę, ławą pędzący z przewodu kamiennego w przewód, z miejsca na miejsce wiatrem ślepego pośpiechu gnani, w tej nocy ostrością świateł pokłutej — wyglądali jak ta kupa przywiędłej plewy, czy pyżu. Dziki wiatr porwał ją z granicy zagrabionych pól, uniósł w nieznane dalekości. Cudem wegnał do kamiennego labiryntu

i tu zaśmieca nimi obce głazy, tu nimi kamienie zasiewa, tu ich przeciera piachem obcego szlaku.

Podczas gonitwy spłosonej, raz-po-raz z hukiem wodospadu wpadały na stację grzmiące pociągi. Ledwo zipnęły, gdy znów je trąbka budziła do dalszej drogi. Szklanny dach drżał rozgłośnie, ziemia trzeszczała pod kołami, światła pokręcone to bladły, to ożywały, szyny to się nalewały krwawą czerwienią, to nikły w sinych cieniach żelaza.

Odnalazł się żydek. Bluznąwszy charkotliwym szwargotem pognał ludzi gdzieś daleko, na szary koniec.

Miasta się po drodze nadarzały, jak te żołwie ogromne, jasnością szyb i blach na czarnej ziemi rozesłane. I pola i ciche lasy, założone pięknie, niczem dworskie ogrody i składne wioski. Dzień wstał i upadł i noc zaległa. I jeszcze dzień przewalił się wśród łoskotu. A teraz noc ostatnia, w której do końca chyli się sprawa i następuje przyjazd do morza samego.

Tak, tak, tak — kują rozpędzone koła. Odzywa się ku nim serce z wnętrza ludzkiego. Odzywa się zbolałe. Tęsknota je uderza, bodzie. Tęsknota serca w ziemię uderza, puka. A ziemia się rozstępuje. Każde uderzenie kół, wszystko stukanie tęsknoty żłobi w tych ziemiach schody przestronne. Ze stopnia na stopień, ze schodu na schód spada pociąg w dół, niżej i niżej, na sam brzeg morza.

Zerwali się wszyscy na głos donośny.

Agienci ich między siebie podzieliwszy, brudnych, czarnych przeprowadzili poprzód do oględzin i kąpieli. Wstyd i sromota i gniew nic tu pomogły. Prawo takie przedkładają. Tuś się już człowieku na dobrze rozstawał z ostatnim prochem ojczystym. Zajdy ci świństwem jakimś lekarskim pokropili i otoś w mieście nieznanem idący, zagapiony na cuda żałośne a wielkie.

Tu ci się kościół ukazuje obszyty dzierganą w kamieniu koronką. Tam wieża jak dzida wielgachna, na wysokości zawrotnej ogromne krągłe oko złotego zegara przekłuwająca.

A nagle, gdy akurat mijasz w żelazie rozpartą osadę wieżycy, zegar krągły — złote oko przebite, ronić poczyna łzy niewidzialne, z cudnym rozgłosem na bruk lecące. Tak gra. Za nim drugie, inne, że na całe miasto z wież szlochających lecą ciężkie, długie, odwieczne płacze śpiewów przesłodkich.

Zwęża się ulica, przecznice ją szarpią, zaułki skubią. Mury murów coraz bliższe. Kompanja idzie cierpliwie do końca drogi. Idzie strwożona a w sobie uparta, głucha na niezrozumiałe pyskowanie obcych ludzi.

Gdy w tem grunt się pod nogami urywa. Domy rozmiata coś na boki. Wszystkie szyny tramwajów załamują się a przed oczami widać biały bezmiar, tak powietrzem wzdęty, tak niepodzielnie na przestrzeniach rozparty — że się pierś patrzących rozpiera szeroko, wyniośle, jak nigdy w życiu.

Idą naprzód. Nisko od ich stóp aż do dalekiej wysokości nieba mielą się srebrne skiby z czarnemi płatami chmur. Nieobjęta, okiem niezrozumiana łuska gnie się, mlaszcze i pluszcze. To się statkuje, w wielkie źrenice zbiega a źrenice te głębią bezdenną patrzą w niebo. To pęka i ścina się i zrasta w grudę srebrnych blizn.

Morze.

Przyszedłszy nad sam brzeg zgięciem postaci oblepili żelazną balustradę. Patrzą w ten żywy bezmiar.

Wiatr po nim hula, karbuje siną pianę, z rozdołów wody pędzi plusk i lepkie jęki. Białe słońce topi się w odmęcie, promieniami bezpowrotnie przepada.

U dołu w ciemnej zatoce drą się w niebogłosy czarne kominy. Wielkie okręty syrpaniem wody owite chyboczą się leniwie. Łodzie jak garście łupin giną w ruchliwym przeogromie wód.

Zgroza wieje z tych dali. Ruch zimny, nieskończony.

Zgroza owiewa szarą drużynę ludzi do balustrad przylepłych, co ją wir losów złych wałem pyżu zmiętego, kupą plewy wygnał aż tu z łanów rodzinnych precz.

Myśl się w gromadzie gnie, ze strachu łabuda i nieskończonemu ruchowi dali przeciwstawia doczesną moc znikomego pyłu-człowieka. I mocy doczesnej postanowienie: Choćby morze łez przejechać, choćby krocie blizn przetrzymać — lecz wrócić.

## Rozmaitości

**Złodzieje carscy przed sądem.** Jak wiadomo, od kilku dni toczy się przed sądem wojennym w Moskwie olbrzymi proces o łapownictwo w intendanturze, spowodowany wynikiem rewizji senatorskiej.

Na ławie oskarżonych zasiadło około 70 osób. Proces ten potrwa kilka tygodni, a odkrywa w istocie różne nadużycia. Dość powiedzieć, że sama firma Till, której przedstawiciele zasiedli również na ławie oskarżonych, wypłaciła w ciągu 5 lat około dwóch miljonów łapówek, a oprócz tego szyła członkom komisji odbiorczych ubranie, dawała obiady bezpłatne i t. d.

Świadkowie zeznają, że wszyscy dostawcy opłacali się członkom komisji i że kłamie ten, kto mówi, że nie płacił, że w ciągu 28 lat było tylko trzech takich urzędników intendantury, którzy nie brali łapówek: generał Mejsztowicz, półkownik Adalberg i jeszcze jeden oficer. Komisja zabrakowywała najlepszy towar, jeżeli dostawca nie dał łapówki. Urzędnicy intendantury mówili: „żebyś dostarczył aksamit i jedwab". Za to ci, co płacili, mogli dostarczać i dostarczali najohydniejszą tandetę. Od takich dostawców brali wszyscy i zwierzchnicy i podwładni i nawet prości żołnierze.

Książki, odebrane od dostawców wykazują szczegółowo, ile i kto płaci każdemu intendantowi. Każdy prawie członek komisji odbiorczej posiadał rachunek bieżący w banku; posiadał papiery procentowe; wielu grało hazardownie na giełdzie. Zawsze i rachunki bieżące i fundusze ukazywały się u intendantow wkrótce po wstąpieniu do komisji odbiorczej. Niektórzy oskarżeni, jak np. technik Lerner, pułkownik Kalinowski, szt.-kapitan Woskrosinskij, generał Artobalewskij, składali w bankach od 25 do 45 tysięcy rubli rocznie.

Każdy z oskarżonych otrzymał od dostawców różne sumy. Liczby wahają się między 262 800 rubli, jakie otrzymał prezes komisji pułkownik Zinowjew, 870 rb., otrzymanemi przez kapitana Schietza. Większe sumy otrzymali jeszcze: Zawiatin (rubli 60 500), technik Krysztof (172 000). technik Lerner (71 400), kapitan Mieńszikow (57 600), technik Morozow (74 800), generał-major Piłsuckij (34 000), kapitan Szeremietiewskij (42 600) podpułkownik Rodniew (52 600).

Oskarżeni nie przyznają się do nadużyć, a tłomaczą, że brali pieniądze jako wynagrodzenie święcone zwyczajem.

* * *

**10 ofiar samosądu.** Wypadek okropnego, zwierzęcego samosądu opisują gazety rosyjskie.

W siole Dmitrjewskoje, w powiecie petropawłowskim, od wiosny rozpoczęła się prawdziwa epidemja pożarów. W ostatnim czasie spłonęło od razu sto z górą domostw. Zaczęto przebąkiwać o podpalaczach.

Doprowadzeni do rozpaczy włościanie zgromadzili się na rynku i zawezwali trzech mieszkańców, na których padło podejrzenie o podpalenie. Wydano wyrok i natychmiast go wykonano: dwóch zabito na miejscu, trzeciego skatowano i wyrwano mu brodę. Obecna na placu matka konającego z pobicia syna otruła się na miejscu.

Nie dość na tem. Rozbestwieni „sędziowie" idą do domostwa umierającego i tam zabijają ojca jego. Następnie tłum wdziera się do sąsiedniego domu i tam starego ojca zabija, a syna zostawia także konającym.

Po wsi rozlega się płacz i lament, ale szaleńcy nie ustają w swej krwawej pracy. Przypominają sobie, że trzej sąsiedzi w zeszłym roku wyrokiem gromadzkim zostali skatowani za jakieś przestępstwo. Więc i teraz ich wezwano na rynek i zatłuczono na miejscu.

Nazajutrz władze aresztowały 60 z górą ludzi i osadziły w więzieniu.

* * *

**Atmosfera człowieka.** Pewien lekarz londyński dr. Killner ma ogłosić niezadługo broszurę traktującą o atmo-

sferze człowieka i jej znaczeniu przy djagnozie lekarskiej. Zdaniem dr. Killnera ciało każdego człowieka otacza atmosfera, którą po długoletnich studjach udało mu się uczynić widzialną. Do uwidocznienia atmosfery wynalazł dr. Killner specjalny aparat, noszący nazwę „Spestaurina". Aparat składa się z dwuch płytek szklannych długości 10 centymetrów i szerokości 10 cent. Płytki te położone jedna na drugiej, a między nie wprowadza dr. Killmer „fluidum" swego wynalazku, konsytencji. „Tribuna", podająca wiadomość o tym wynalazku angielskiego lekarza, zapewnia, iż gdy się patrzy na człowieka przy odpowiedniem oświetleniu i przy pomocy owego aparatu, daje się zauważyć po kilku sekundach około ciała warstwa powietrza, zlekka zabarwiona i promieniejąca światłem. Atmosfera ta ma otaczać człowieka ze wszech stron i poruszać się z nim razem.

* * *

**Sensacyjne odkrycie medyczne.** Berlińskie telegramy rozniosły w sobotę sensacyjną wiadomość, że profesor Carell z instytuta Rockefellera w Nowym Yorku na odczycie w Berlinie przedstawił tkankę spreparowaną z rozmaitych organów ciała, tak, że tkanka ta poza ciałem dalej rośnie i rozwija się.

Jak podaje berliński „Lokal-Anzeiger", demonstrował profesor Carell na oddziale chirurgicznym uniwersytetu berlińskiego przed szczupłym audytorjum powag lekarskich swój głośny wynalazek.

Jest to tkanka, złożona z najrozmaitszych części ciała ludzkiego, tak zwana plazma krwi, która niezależnie od organizmu ludzkiego żyje sama dla siebie. Odkrycie to wywołało w kołach uczonych lekarzy olbrzymie wrażenie. Sądzą bowiem, że nastąpi w medycynie, względnie w nauce o puchlinie olbrzymi przewrót.

Z innych kół donoszą, że odkrycie amerykańskiego prof. Carella okazuje się rzeczą bardzo poważną, a nie jak na pierwszy rzut oka wydawać się mogło humbugiem. Corell, który już ma głośne nazwisko, szczególnie w chirurgji, przed zaproszonymi lekarzami berlińskimi zaprezentował swoje odkrycie. Polega ono na tym, że wycięta z ciała cząstka może poza ciałem dalej rosnąć. Pokazał on na przykład kawałek skóry, wyciętej z ciała, która w środku była nożem przeciętą i ta rana już poza ciałem zupełnie się zrosła. Tego rodzaju eksperymenty mają ogromną doniosłość, szczególnie dla badania raka. Po przedstawieniu kilku jeszcze innych podobnych wypadków, prof. Bier, najznakomitszy berliński chirurg, podniósł doniosłość odkrycia i dziękował uczonemu. Również znany chemik Fischer wyraził się na zgromadzeniu, że odkrycie to stanowi nową epokę w chirurgji.

* * *

**Ilu przodków ma człowiek?** Na hygienicznej wystawie w Dreźnie znajduje się tablica, odpowiadająca na to pytanie. Każdy człowiek ma dwoje rodziców, czworo dziadków, ośmioro pradziadów, szesnastu prapradziadów.

Według tej tabeli osoba, żyjąca w 1911 roku, badając 10 poprzednich swych gieneracji, a więc sięgnąwszy, przypuśćmy, do czasów reformacji, może wykazać 1024 przodków, którzy w tym czasie żyli.

Sięgnąwszy do czasów narodzenia Chrystusa, musiało żyć 18 miljonów ludzi, których ten jeden człowiek za swych przodków uznać może. W rzeczywistości suma ta obniża się przez małżeństwa między osobami spokrewnionymi.

Cesarz Wilhelm ma na tej tablicy swoją gienealogję. I oto wykazuje się, że w czwartej już gieneracji występuje zanik przodków; powinienby posiadać 16 pradziadów, a ma ich tylko 14. W ósmej gieneracji powinno ich być w teorji 256; na tablicy jest tylko 116; w 12-ej gieneracji zamiast 4096 jest tylko 275 znanych Hohenzollernów.

* * *

**Późne odznaczenie.** W urzędowej gazecie chińskiej z dnia 27 maja b. r. znajduje się interesująca wiadomość o odznaczeniu chińskiego uczonego, który zmarł w roku 201 po nar. Chrystusa, mając lat 95. W uznaniu jego zasług naukowych za komentarz do dzieł filozofa Muncjusa, obecnie przyznano mu miejsce honorowe w świątyni Konfucjusza. Równocześnie zaznaczono w akcie, dlaczego uczony nie otrzymał tego odznaczenia „już" w roku 630 po Chr. Wówczas to filozof Muncjusz nie był uznany za klasyka, stąd i jego komentator nie mógł otrzymać najwyższego odznaczenia naukowego. — Drugim „nieśmiertelnym" według tego samego urzędowego pisma w Pekinie mianowano uczonego, którego działalność przypada na lata między 1260 a 1294 rokiem. W mianowaniach tych widzą europejczycy zamieszkali w Chinach, zwrot przeciw nowoczesnym kierunkom. Odznaczenia tego rodzaju zdarzają się w Chinach od czasu do czasu; ostatnio w r. 1876 nadano najwyższe odznaczenie, równe prawie czci boskiej, przypuszczalnemu wynalazcy hieroglifów, Tsanghiok, który żył w epoce około 2800 lat przed nar. Chrystusa.

* * *

**Najosobliwszy uniwersytet.** Nowy i bez wątpienia najosobliwszy uniwersytet powstał w Europie. Oto bowiem donoszą z Reykiawiku, że dnia 17 z. m. odbyła się tam uroczystość otwarcia najwyższej uczelni islandzkiej.

Islandja, wyspa należąca do Danji, przewyższająca ją jednak powierzchnią dwukrotnie, liczy bowiem 104,785 kilometrów kwadratowych, gdy tymczasem cała Danja — tylko 40,384, posiada zaledwie 78,500 mieszkańców. Są to czystej, najczystszej może krwi potomkowie starych normanów, którzy wyspę tę kolonizowali przed lat tysiącem. Dzięki jej odosobnieniu najczyściej też utrzymał się tam stary język norweski, tak, że znacznie różni się dziś od norweskiego i duńskiego, a jednocześnie najobficiej przechowały się stare „sagi" i pieśni skandynawskie. W wiekach średnich miała Islandja wspaniałą własną literaturę, a i dziś bujne tam panuje życie umysłowe.

Życie to, a niemniej gorące przywiązanie islandczyków do własnego kraju, podziwiać należy tem bardziej, gdy się zważy, jak mało on daje swoim mieszkańcom. Nieznane są tam prawie zupełnie drzewa, w krótkiej, bo zaledwie trzy miesiące trwającej porze ciepłej zboże jare dojrzewa tylko wyjątkowo, a ziemniaki uprawiać trzeba w ogrodzie wraz z jarzynami, z których również tylko najwytrzymalsze dają plon pewny. To też w głębi wyspy, gdzie klimat jest jeszcze ostrzejszy, niż na wybrzeżu, chleb i ziemniaki należą do świątecznych delikatesów. Ludność żywi się przeważnie mięsem i mlekiem, pierwszego dostarczają jej w doskonałej jakości oryginalne islandzkie owce o czterech rogach i grubej wełnie, drugiego także wyłącznie tam tylko żyjąca bezroga rasa krów, małych, niepozornych, lecz wytrzymałych na silne mrozy. Znajdują one pożywienie na obszernych łąkach, porosłych mchem i krótką trawą: Na wybrzeżach głównym środkiem pożywienia są ryby, od których wody te roją się formalnie, a na których połów przybywa tam corocznie mnóstwo statków francuskich i duńskich.

Islandczycy od dawna upominali się o własną wyższą uczelnię. Uważają się wogóle za naród samodzielny i nieraz grozili zupełnem oderwaniem się od Danji. Ażeby nie dopuścić do tego, rząd duński, mimo że wobec ubóstwa tej wyspy i tak dużo dopłaca do kosztów jej administracji, obecnie spełnił ich życzynie i uniwersytet ów otworzył.

Posiada on, co prawda, aż 4 wydziały: teologiczny, filozoficzny, prawniczy i lekarski, ale wszystkich razem tylko 15 profesorów, mianowicie na teologicznym 3, lekarskim 9, prawniczym 2 i filozficznym — jednego.

Jest to więc najosobliwszy uniwersytat na świecie i to nie tylko ze względu na najmniejszą liczbę profesorów, ale i ze względu na to, że położony jest najdalej na północ, bo pod 64° szerokości gieograficznej, w mieście liczącem zaledwie 3800 mieszkańców i wreszcie, że posiadać będzie co najwyżej setkę słuchaczów.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 29. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej".

Katowice, sobota, dnia 22 lipca 1911.

PAWEŁ LENOWICZ.

## CIENIE.

I.

Przeržnął powietrze świst gwizdawki fabrycznej, i jak kartofle z rozwiązanego worka tłum się wysypał postaci ludzkich. Kiedy się znaleźli w podwórzu, prostowali członki, okurzali odzienie, włosy z uznojonych odgarniali czół.

Cała ta gromada podobną zdała się do siebie, przez jeden wspólny im wszystkim wyraz zmęczenia w twarzach. Jakaś starość i brzydota piętnowała, zgniecione jakby, te postacie ludzkie. Szli ku domowi powoli, ociężale. Nie cieszył krótki odpoczynek — za krótki, by zmęczone rozprostować członki.

Szli grupami, lecz nie słychać było między niemi rozmów; energję pozostawili w murach fabrycznych.

Ostatni wyszedł za wrota stróż fabryczny Piotr Śmiga, Krukiem przezwany. Z nim nie chętnie się bratano. Za świdrujący wyraz jego małych, ciasnych oczu, za głos do wroniego podobny skrzeku, za nagłe pojawienie się tam, gdzie najmniej był potrzebny, przezwano go Krukiem. I zaufania do siebie kupić mu się nie udało, ni słodyczą miodową, ni zapraszanie „na kufelek". Nie ufano mu i unikano go. Odstraszał od siebie natręctwem i wymyślaniem „na cholerę burżujów", których, o ile tylko zdawało mu się, że nikt nie patrzy, ukradkiem w rękę całował.

I dziś, jak zwykle, na ulicy pozostał sam. Spojrzał w jedną i drugą stronę, splunął przez zęby, czapkę nasunął na oczy i poszedł. Daleko na Smoczej wszedł w bramę wielkiego, do koszar podobnego gmachu. W podwórzu gromada brudnych i obdartych, różnego wieku i płci dzieci, hałaśliwie bawiła się „w wilka". Chude, anemiczne, z podsinionemi oczami, podobne były do często używanych tanich latarek, poprzez brudne i zakopcone szkła których, świeciły żywe, drgające płomyki-oczy. Kruk obrzucił gromadkę obdartusów wzgardliwem spojrzeniem i znikł w jednej z sieni, gdzie na parterze mieszkał z rodziną. Otworzył i tak niedomknięte drzwi. Kłęby brudnemi mydlinami cuchnącej pary, ciepłą wilgocią uderzyły w niego. Minął cały we mgle tonący pokój, w którym Smigowa nachylona nad balją, nie dosłyszawszy kroków męża, prała dalej. Wszedł do następnej małej stancyjki. Tu nachylona nad tabliczką, kreśliła gryfelkiem pałki, kółka, półkoła, najstarsza z trojga dzieci Smigów, ośmioletnia Hanusia.

Hanusia bała się ojca strasznie. Bała go się więcej od mieszkającego z nimi razem prawie zawsze pijanego dziadka. Przed pijanym dziadkiem schować się można było, nie było jednak kryjówki przed strasznym wzrokiem ojca, przed jego ciężkiemi razami.

Złożyła gryfel na tabliczce i cicho podeszła do ojca. Ujęła go za rękę i pocałowała.

— Idź, powiedz matce, by dała kolację.

Hanusia wiedziała, co to znaczy, kiedy ojciec jeść chce, a jedzenie jeszcze w lesie.

— Mama — szepnęła matce z przerażeniem Hanusia — tata przyszedł i jeść chce!

— Przyszedł?! a la Boga, łeb mi zerwie — wycierając ręce fartuchem, rzekła Smigowa.

— Biegnij mi Hanuś duchem po słoniny pół funta i chleba bochenek. Tylko duchem, nie marudź!

Hanka jak wiatr wypadła z mieszkania. Do pokoju wbiegła galopem rącza para źrebiąt, Witek i Hipek. Rżęli wesoło, lecz zobaczywszy ojca, wnet zamilkli i na koniuszczkach palców pomaszerowali do kuchni.

— Mama, tata jest!

— Nie szarp! — wiem.

Śmigowa, czy to z niepokoju, czy ze zmęczenia trzęsła się cała i wszystko z rąk jej leciało.

Przyszła ze sprawunkami Hanusia.

— Mama, niema wczorajszego chleba. Wzięłam dzisiejszy — nie mogąc ukryć zadowolenia na myśl o świeżej kromce, jaka jej się dziś dostanie — powiedziała Hanusia.

— Witek, Hipek, nie skubcie chleba! niech mama patrzy jak obłamali skórkę!

— Nieprawda, nieprawda, tak było!

Wtem rozległo się za drzwiami:

— Tra-lala, tra lala, jedzie wóz na przewóz, malowane... choroba! gdzie drzwi?!

Dzieci przerwały spór, a Śmigowa pośpiesznie drzwi przymknęła.

— Synewa, jeść pedam dawej! do stu asse-nacji! Do stu assen-izacji pedam jeść dawej, bo łe-łe-łeby porezbijam, pedam!

I szukał klamki, a nie mogąc jej znaleźć, kułakiem i nogą tłuc we drzwi począł.

Śmigowa otworzyła.

— Niech ojciec będzie cicho, bo Pietrek w domu!

Bał się syna widocznie, bo przycichł.

Wszedł Kruk.

— Dasz jeść, czy nie? Do północy, psiakrew, grzebać się będziesz!

— Czego klniesz?! Jedzenie już dawno gotowe — skłamała. A zresztą — zbuntowała się, możesz dawać na dzieci, by mi nie trza było wiecznie przy balji stać, to ci pilnować wtedy i garów będę, psubracie!

— Masz za „psubrata", masz, masz! — tłukąc o ziemię wszystko, co mu pod rękę podpadło — powtarzał Kruk.

— O rany boskie! — lamentowała kobieta, wściekłeś się, czy co!

A dzieci blade z przerażenia, z zatajonym oddechem, zbiły się w kącie jak owce w trwodze i nie śmiąc oczu podnieść, końca czekały.

II.

W najbliższą niedzielę, około dziesiątej zrana, wyszedł Kruk z domu. Przeszedł Smoczą, Dziką, Przejazd. Przekroczył Leszno i wciąż szedł dalej. Nie zatrzymał się, aż gdzieś daleko na przeciwległym [od Smoczej krańcu miasta. Wszedł w bramę. Przystanął, obejrzał się i szybko przeskakując po trzy na raz stopnie, wszedł na trzecie piętro. We drzwiach minął się i oczami porozumiał z panem w cylindrze.

W pełnym zastarzałego dymu przedpokoju siadł obok dwuch innych na szerokiej ławie. Zaćmił papierosa i czekał. Po chwili zawołano go. Przeszedł dziwacznych kilka pokojów, a w ostatnim znalazł się przed obliczem... przed wygolonem obliczem samego pana „naczelnika".

— Nu co? przyniosłeś nowego co?—a?

— Tak właśnie, wedle rozkazu!

— Mów!

Długo Kruk mówił, a „pan naczelnik" muskając jedną ręką wąsa, podpierał się drugą i nie patrząc na mówiącego, słuchał niedbale i tylko od czasu notował coś na leżącym na stole arkuszu.

— Jak? Gieronim Bok?

— Hieronim Bąk — poprawił Kruk.

— Nu, dobrze. Możesz pójść.

— A ja chciałem jeszcze przypomnieć panu naczelnikowi, że mi podwyżkę raczył obiecać.

— A? podwyżkę? a ile ty czasu służysz? 6 miesięcy? i żalisz się, że na tej samej wciąż pensji?

— Mało? — nie, to nie mało 10 rubli na miesiąc. Zresztą odznacz się, to się zobaczy, zobaczy!

I zatopił się w przeglądaniu stosu papieru.

Kruk chwilę postał, ale widząc, że mu się nie uda przerwanej nawiązać rozmowy, włożył na głowę czapkę i wyszedł.

III.

— A dziś — skarżyła się matce Hanusia — chłopaki z przeciwka mówiły, że wszystkie lokatory pójdą do gospodarza prosić, by nas z domu swego wyrzucił.

— Jakto żeby wyrzucił! a czy to mu komornego nie płacę, czy co?!

— Kiedy chłopaki mówią, że jeżeli tata zostanie w tym domu, to się wszystkie lokatorzy wyprowadzą w jedną chwilę!

— Eech! nie plotłabyś!

— Tak, nie plotła! I bawić się z nami nie chcą i biją nas i mówią, że wszystkie lokatory wyprowadzą się przez nas!

— I bez co tak? nie mówili?

— Mowili, ino trudno mi spamiętać. Jakoś mówili... zaraz... twój tata... Kiedy nie mogę wspomnieć! Aha! wiem już!... hycel! nie, nie hycel. Sznycel, czy tam jak!

— Sznycel? sznycel?... a cóż to takiego sznycel?

Hanusia nie mogła matce objaśnić; wiedziała tylko, że ich biją za to, że bawić się z niemi nie chcą, i że „wszystkie lokatory" wyprowadzić się mają przez nich „w jedną chwilę".

I nagle!... kobieta myśl tę odpędza, ale przylgnęła ona jak smoła do mózgu. Ssie serce, krew mrozi. Chce się upaść na ziemię, ciężarem swoim przygnieść tego „sznycla czy tam jak", wyrwać z siebie latami wspólnego z nim życia wyrobione przywiązanie, krzyczeć mu nad uchem o niedoli, o łzach dzieci, o nienawiści swojej.

Woda wstygła na balji, a Śmigowa bezczynnie wciąż siedzi, z bezwładnie opuszczonemi rękami.

— Mama jeść! maama! — płaczliwym tonem powtarzają chłopcy.

Przezwycięża niemoc, wstaje. Z trudnością własny swój dźwiga ciężar. Daje dzieciom po kubku czarnej kawy i kromce chleba.

— Macie po dwa grosze i spać idźcie.

Chłopcy tańczą z radości, upojeni nieoczekiwanem szczęściem.

Śmigowa nie patrzy na Hanusię, jakimś obcym pyta głosem:

— Jak chłopcy mówili? Szpi... sznycel? A może inaczej? może drań?

— „Drań", drań to przecież wiem co to znaczy, to tata tak mówi.

Śmigowa nie pyta więcej, już wie, już wie, już wie.

IV.

Kruk krwią cały zbroczony zaledwie do proga się dowlókł. Z dzieci Hanusia tylko nie śpi. I patrząc obłędnemi oczami na tę krwią zalaną postać, zdaje jej się, że w szalonym jakimś pląsie, ociekając krwią, wirują w koło niej matka, balja, dziadek, gryfelek z tabliczką, wszystko, wszystko. . . . . .

. . . . . .

Hanusia otwiera zmęczone oczęta. Spać, spać, dalej, nie rozproszyć widzianych we śnie cudów.

Spojrzy tylko w okno. Na niebie, w odbiciu znów sen swój widzi. Raj. Fjoletowa smuga, później różowa. Zaciska powieki, by w oczach widziane barwy uwięzić. W tym raju to jak w bajce. Rzędem białe stoją łóżeczka, białą zasłane pościelą. W łóżeczkach śpią dzieci — pewnie aniołkowie; nie widać ich dobrze, ale pewnie to oni.

Ach, jak dobrze! Niema taty. I dziadka niema. A mama gdzieś pewnie śpi w pobliżu. Pewnie tak. Inaczej bez niej dobrzeby tak być nie mogło. Czysto ubrana, nie przy balji. Matuś kochana! Hipek i Witek w konie pewnie się bawią. Ach, jak dobrze, jak dobrze...

— Jak się mamy, Hanuś?

I ten pan jaki dobry — pewnie św. Mikołaj. Pan zbliża do ściany, nad głową coś Hanusi ogląda. I ona chce zobaczyć co tam jest takiego, ale nie może. Szerzej otwiera oczy. Ptak! jakiś duży ptak o skrzydłach białych nachyla się nad nią, lekko poprawia posłanie.

— W nocy spała po raz pierwszy. Temperaturę pan doktór widział? — normalna.

— Zadowolonym z ciebie dziewuszko moja! — i św. Mikołaj po twarzyczce ją gładzi.

Hanusia inaczej sobie raj wyobrażała, ale nie lepiej, o nie! tu tak dobrze, tak dobrze!

Dwa, trzy dni trwał ten pół sen, pół jawa. W środę na widzenie przychodzi mama. Lecz jaka straszna! Od niej dowiaduje się Hanusia, że raj ten, to szpital.

Chciałaby się matki spytać czemu taka zbiedzona, ale boi się. Boi się usłyszeć o ojcu, o dziadku.

— Byłaś Hanuś chora na szkarlatynę — głos matki drży od powstrzymywanego płaczu, Hanusia słucha z natężeniem — i doktór mówi, że jeżeli wszystko dobrze pójdzie, to za tydzień zdrową będziesz zupełnie.

— I co?

— No nic, zdrową będziesz, do domu wrócisz.

— Do domu wrócę?!

Naciąga na oczy kołderkę. I znów widzi ojca, dziadka, widzi stosy brudnej bielizny, słyszy przekleństwa, brzęk tłuczonych naczyń.

— Hanuś! czemuś się zakryła?

Matka łagodnie uchyla nakrycie i widzi jak łzy po policzkach dziecka cieknąą.

— Nie płacz, Hanuś! wyzdrowiejesz może prędzej, może jutro, i zaraz do domu cię wezmę...

Hanusia jednak płakać nie przestaje...

Wieczór. Doktór rozmawia ze siostrą.

— Tak, o ile nie nastąpią jakieś komplikacje, to za tydzień wypisać ją będzie można. Byle nam tylko nerki nie weszły w drogę.

Doktór oddala się. Cichną jego kroki. Słychać jeszcze jednak głos jego:

— Czy nie tej samej matki, dwoje tych zmarłych było chłopiąt? — pyta on siostry.

Odpowiedź tonie w oddali.

# Statua śmierci w Limie.

Jest to już dziś faktem stwierdzonym, że ląd amerykański posiada również prawa do nazwy starego lądu, jaką dajemy Europie. Po za tem, zdaje się, Ameryka była od półkuli wschodniej zaludnioną wcześniej.

Przed laty pięciu w prowincji Peten, na północ od Guatemali odkryto zwaliska miasta, które snadź było jednem z większych w starożytnym Meksyku.

Pozostało zeń budynków piętnaście, z tych dwa mają zgórą po 30 metrów wysokości. Komnaty w domach tych zdobi malowidło starożytnych etrusków. Poza miastem odkopano dwie świątynie dawne, wybudowane wspaniale.

Stwierdzono dalej, że plemię, które mieszkało w stronach tych, posługiwało się, jak i egipcjanie hieroglifami.

Plemię to wypędzili prawie doszczętnie hiszpanie. Ocalałych pokoleń kilka, potomków w prostej linji starożytnych azteków, żyje dziś jeszcze w Yukatanie. Indjanie ci zwą się w narzeczu własnem majasami. W czwartym dziesiątku lat ubiegłego stulecia próbowali stworzyć republikę własną, zostali jednak po długich walkach pokonani i przyłączeni do Meksyku.

W niewątpliwem z majasami pokrewieństwie stoją znów ci indjanie Ameryki północnej, którzy używali dawniej pisma runicznego. Otóż runy indjan i runy skandynawów są podobne do siebie najzupełniej: można zatem wnioskować stąd, że Europę północną zamieszkiwali niegdyś przybysze z Ameryki, co działo się w tym okresie, gdy nie istniała jeszcze Europa środkowa.

I co do mieszkańców starożytnego Peru, wiadomo, że na 50 wieków przed erą naszą, plemię to stało na stosunkowo wysokim szczeblu kultury. Swiadczą o tem niezliczone wykopaliska cmentarne, mumje dzieci, przy których znajdywano zabawki przedziwnej roboty. Z grobowców kobiet wynoszono nieraz koszyki roboty nader zręcznej ze znajdującemi się w nich wrzecionami z drzewa, malowanemi i rzeźbionemi pięknie.

Oprócz koszyków wyjmowano z mogił wykonywane artystycznie grzebienie. Niektóre z przedmiotów tych zachowały do dziś dnia świeżość barw i deseń wyraźny. Tu zaliczyć wypadnie dywany, rzecz istotnie wspaniałą. Rysunki osób, ptaków, zwierząt i figur gieometrycznych są tak piękne, że starożytny dywan peruwjański rywalizować może na punkcie tym z gobelinami nawet.

Pięknym jest odkopany niedawno przez jednego z archeologów z Nowego Jorku garnek bronzowy, który przedstawia dziecko pogrążone we śnie i obejmujący ręką owieczkę. Prawdziwe arcydzieło sztuki i natchnienia. W wielkiej ilości powykopano przedmioty z metalów cennych, świadczące zarazem o artyzmie peruwjańczyków z okresu panowania inkasów. Tu należą statuetki z masywnego srebra, symbole religijne złote i srebrne, naszyjniki z grubych kulek złotych, bransolety, puchary cyzelowane srebrne, a wreszcie głośna w kraju tym „Statua śmierci“ mieszcząca się obecnie w klasztorze św. Augustyna w Limie.

Starożytny posąg ten wyciosanym jest z drzewa, które w ciągu stuleci stwardniało, jak żelazo. Statua wysoka na pięć stóp i 10 cali przypomina wyglądem swym mumję; z pod pomarszczonej skóry mięśnie i ścięgna przeświecają wyraźnie, a tak odrobionemi zostały prawidłowo, że twórca posągu musiał posiadać nader dokładne pojęcia z anatomji człowieka.

Postać owa trzyma w ręku łuk i strzały: oba przedmioty te odlano z jakiejś mieszaniny metalów, w której przeważa miedź przedewszystkiem. Wydaje się, że strzałę możnaby odłączyć od cięciwy łuka. Możliwem więc jest, że w środku posągu znajduje się sprężyna tajemna, za naciśnięciem której strzała padnie w kierunku umówionem z góry? W jakim? — zdaniem opinji ogółu, w kierunku miejsca, gdzie ukryto skarby inkasów.

Znany jest tragiczny los inkasów, wytępienie rasy tej przez krwiożerczego Franciszka Pizarro i godnych kompanów tegoż, zwycięzców Nowego Świata. Jak aztekowie w Meksyku, tak i plemię inkasów w Peru zdołało przechować część skarbów w kryjówkach niedostępnych, przyczem pierwsi i drudzy nawet wśród tortur nie zdradzili tych, nie czynili zadość wymaganiom chciwego łupów wroga. A dużo mówi się w legiendach peruwjańskich o skarbach; miały to być szmaragdy wielkości głowy dziecka, złote puklerze, wysadzane kamieniami drogimi, tak zwane koła słoneczne, mieniące się od brylantów, sztaby złota i srebro itp.

Przez czas jakiś sądzono, że skarby te poukrywano przeważnie w mało dostępnej części Andów, niedaleko od miasta Limy. Setki awanturników potraciło już życie szukając złota w górach i stromych urwiskach. Zawiązywały się nieraz kompanje całe dla odszukania skarbów.

Dotąd wszystko kończyło się tylko daremną stratą pieniędzy. A jednak niektóre z plemion górskich w Peru uporczywie trzymają się tradycji, że istnieje statua cudowna, która mogłaby wskazać drogę prowadzącą do skarbów. „Gdzie padnie strzała, tam szukać masz złota i klejnotów“, powiadają górale. Niewątpliwie zachodzi tu mowa o wyszczególnionym już „Posągu śmierci“.

Klasztor św. Augustyna założyli mnisi, którzy towarzyszyli wyprawie Pizarra do Peru. Stoi tam do dziś dnia statua owa w wielkim przedsionku, na piedestale, groźna i milcząca, przedmiot zabobonnej trwogi dookoła.

Przed laty 150 statua przewróciła się nagle z piedestału, a strzała przeszyła przechodzącego w tejże chwili mnicha Francesco. Trafiony w serce zakonnik padł trupem na miejscu. Wówczas przeniesiono ją do innego kąta przedsionku, gdzie przestała spokojnie do r. 1902.

W tym czasie jeden z zakonników chciał zburzyć to bożyszcze. Z siekierą podszedł do posągu w porze nocnej. Zaledwie jednak zamierzył się, utracił równowagę, runął na posąg i skonał. Tajemnicza strzała trafiła go w samo serce.

Jak sądzi większość badaczów współczesnych, statua śmierci była jednym tylko z szeregu znaków, pokazujących drogę do kryjówki. Gdyby więc można było ustawić ją z powrotem w miejscu tem, z którego niegdyś przenieśli ją hiszpanie, możeby wówczas, po wykryciu mechanizmu wewnątrz i wypuszczeniu strzały, otrzymano ową cenną co do lokalizacji skarbca wskazówkę.

W bibljotece klasztornej znajduje się wiele dokumentów i ciekawysh notatek na temat posągu. Na nieszczęście żadna z nich nie omawia miejsca, gdzie posąg stał w epoce najścia kraju przez hiszpanów, dopóki zaś miejsce to nie zostanie oznaczonem dokładnie, wszystkie poszukiwania nie doprowadzą do celu, a skarb pozostanie w ukryciu. O to gniewa się bardzo rząd peruwjański, gdyż na gwałt potrzebuje pieniędzy.

## Rozmaitości

**Mężczyzna w ciąży.** Gazety odeskie opisują fakt niezwykle sensacyjny. Oto w Krzemieńczuku był czeladnikiem szewckim u jednego z tamtejszych majstrów niejaki Benjamin Farfel, syn Dawida Farfla z Tomaszpola. Już podczas poboru wojskowego miał z nim ojciec nie mało kłopotu, okazało się bowiem, że popisowy Benjamin jest hermafrodytą.

Nie uświadamiano go co do tego, zresztą próżne byłyby to wysiłki, gdyż Benjamin słabo był umysłowo rozwinięty i zawsze sprawiał wrażenie idjoty. Liczy obecnie lat 29, twarz ma kobiecą, głos ma piskliwy i, gdyby nie ubiór męski, możnaby go śmiało zaliczyć do płci niewieściej.

Jednak zarówno Benjamin, jak rodzice i otoczenie mieli go za mężczyznę, nawet chciano go ożenić, ale jakoś małżeństwo odkładano z roku na rok.

W ostatnich czasach Farfel sypiał razem z innymi czeladnikami, a sypiał twardo i długo. Wogóle leniwy był do roboty.

Przed dwoma miesiącami Benjamin, czując, że jest chory, udał się do lekarza dr. Stiepanowa w Krzemieńczuku. Lekarz, jak to się praktykuje, opukał go, osłuchał i nie znalazłszy nic poważnego, uspokoił pacjenta. W tydzień potem Benjamin wyjechał do Odesy i tu dostał miejsce w dużym zakładzie obuwia. Przed dwoma tygodniami Farfel znów poczuł, że jakoś mu niedobrze na zdrowiu, udał się więc po poradę do dr. P.

— Co ci jest? — zapytał lekarz.

— Takie mam wymioty, to tu boli, to tam boli, chce mi się jeść, ale jeść nie mogę, miejsca sobie znaleźć nie mogę. I zaczął płakać.

Dr. P. uspokoił nieszczęśliwego i postanowił zbadać go szczegółowo. Badał, badał, sam z podziwu wyjść nie mogąc. Wreszcie oświadczył:

— Jesteś w ciąży, nieszczęśniku!

Farfel się przeląkł i pobiegł za wskazówką dr. P. do specjalisty-akuszera dr. W.

Ten ostatni stwierdził, iż Benjamin jest w trzecim miesiącu ciąży.

Wieść o tem poruszyła cały świat lekarski odeski. „Dziwem natury" zaciekawił się też znany lekarz odeski dr. Ch., który wziął z sobą Farfela do Berlina, aby tam „brzemiennego" Benjamina poddać operacji i przeprowadzić szereg obserwacji nad fenomenalnym okazem.

W środę dr. Ch. z pacjentem wyjechał z Odesy do Berlina.

* * *

**Przygoda ambasadora.** Ostatni numer „Matin" opowiada wielce drastyczną przygodę konsula gieneralnego pewnego państwa, który zdążając na miejsce, gdzie miał objąć swe stanowisko, trafił... do domu warjatów.

Parę tygodni temu wylądował w Marsylji statek, na którym znajdował się konsul gieneralny — dajmy na to jednego z państewek południowo-amerykańskich.

Dyplomata wiele przecierpiał w czasie podróży, i dlatego, ujrzawszy zdala wzgórze otaczające Marsylję, postanowił uczcić tę chwilę i kazał sobie podać wiski, którą przeplatał winem szampańskiem.

Konsul gieneralny wszakże musiał poprzestać na swem własnem towarzystwie, nikt bowiem na statku nie znał jego języka ojczystego, sam on zaś umiał zaledwie powiedzieć po francuzku: „dziękuję", „tak", „nie panie", „gdzie dworzec" i „jestem ambasadorem".

Przechodząc przez trzęsący się pomost, ambasador zmierzał ku brzegowi... i czy należy przypisać to wpływom trunków, czy też palącym promieniom słońca Marsylji, jednak dyplomata zachwiał się i runął w czarną otchłań wody portowej.

Kilku tragarzy rzuciło się na pomoc tonącemu i wyciągnęło go ociekającego z wody. Konsul gieneralny rozdał szczodrze napiwki i wkrótce znalazł się w dorożce, która go zawiozła do hotelu. Tam za pomocą okrzyków i mimiki dał do zrozumienia, że potrzebuje świeżego ubrania i po upływie godziny krawiec od stóp do głów ubrał poszkodowanego ambasadora.

Poczem doprowadziwszy do porządku swoje papiery ambasador udał się do restauracji, gdzie przełknął trochę absyntu, niezbędnego przed spożyciem projektowanego obiadu.

Jednak, czy dlatego, że ambasador był nieumiarkowany czy z innych powodów, słowem, skierował się on wkrótce na dworzec i po dwuch godzinach bez rzeczy i pieniędzy znalazł się w pociągu dążącym do Vintimlia. „Przyjechałem" pomyślał raptem ambasador zbudzony ze słodkiego snu i żwawo wyskoczył z wagonu na stacji — dajmy na to „Cassis", czy „Ciotat". O świcie znaleziono ambasadora na ławce w parku.

— Pan chory? — zapytuje go stróż.

— Jestem ambasadorem — odpowiada spokojnie.

Na wszystkie zapytania władz miejscowych odpowiadał jedno: „Jestem ambasadorem"...

— Warjat — zakonkludował policjant.

Zdanie to podzielał widocznie i lekarz, albowiem po dwuch dniach dyplomata znalazł się w celi domu warjatów.

Trwało to około dwuch miesięcy. Wreszcie zjawiło się do dyrektora szpitala trzech tajemniczych panów, którzy oświadczyli mu, że poszukują gieneralnego konsula, który w niewytłomaczony sposób znikł z Marsylji w sam dzień przyjazdu.

— Mamy chorych jedynie z naszego departamentu — odparł dyrektor.

Jednak po wyjaśnieniach gości dyrektor zbladł. Rysopis zgadzał się z powierzchownością jego pacjenta. Po pięciu minutach ambasador został wypuszczony i niezwłocznie wyjechał na miejsce przeznaczenia.

* * *

**Spacerujący nieboszczyk.** W Zworniku w Bośni, wydarzył się przed kilku dniami wypadek, który zupełnie usprawiedliwia tytuł niniejszego artykuliku. Oto włościanin tamtejszy Rakie umarł i został ułożony w trumnie. Któż jednak opisze przerażenie wdowy i domowników, gdy po niejakim czasie nie znalazła męża w trumnie? Wdrożone poszukiwania dały ten rezultat, że Rakie bez życia leżał w ogrodzie. — Zagadka wkrótce się wyjaśniła. Oto Rakiea pozornie zmarłego ułożono w trumnie, skąd na chwilę odzyskawszy przytomność, zwlókł się do ogrodu, gdzie już naprawdę umarł.

* * *

**Potęga muzyki.** Niejaki doktor Gordon z Havany dorzuca nowe szczegóły do starej prawdy, że muzyka wywiera dodatni wpływ na niektóre chore organizmy. Twierdzi, że poszczególne instrumenty muzyczne można stosować w specjalnych chorobach jako środek leczniczy.

Skrzypce działają kojąco na melancholików i hipochondryków. Altówka osięgnąć może wprost cudowne wyniki przy osłabieniu nerwów i wyczerpaniu fizycznem i można jej także używać z pomyślnym skutkiem u flegmatyków i osób skłonnych do mistycyzmu. Harfa jest doskonałą lekarką w histerji; flet w nieszczęśliwej miłości i — początku suchót! Trąba działa skutecznie w manji prześladowczej. Puzonem można skutecznie leczyć głuchotę!... To ostatnie przynajmniej twierdzenie brzmi nieco wiarogodnie.

* * *

**Ekspedycja uad Morze Martwe.** Berlińskie „Tow. studjów nad Palestyną" postanowiło urządzić ekspedycję naukową mającą na celu dokładne zbadanie Morza Martwego. Na czele ekspedycji stanie kustosz instytutu oceanograficznego dr. Ludwik Brühl. Dotychczasowe badania, podjęte przez ekspedycję w roku 1848/49, posiłkując się niedostatecznie wydoskonalonymi przyrządami, pozostawiają wiele kwestji spornych tak co do pierwiastków, z jakich składa się woda morza, jak również co do dna, roślinności podwodnej i t. d. Przez pewien czas przypuszczano, że w Morzu Martwem nie istnieje żadne żyjące stworzenie; przypuszczenie to okazało się błędnem, skonstatowano bowiem, że żyje tam pewien gatunek małych ryb, a prawdopodobnie dadzą się odnaleźć i inne organizmy żyjące. Ekspedycja złożona z 4 osób udaje się w tych dniach do Jaffy. — Badania naukowe potrwają 6 tygodni.

* * *

**Paszport do nieba.** Słyszeli wszyscy pewnie o sławnych paszportach do nieba, jakie dziś jeszcze chciwi zysku księża, zwłaszcza jezuici puszczają pomiędzy najgłupszy lud, ten lud, którego oni już tak ogłupić i zdeprawować moralnie potrafili, że nie rozumie on nawet prostej katechizmowej nauki, że do nieba się przez dobre uczynki i poddanie się Bogu dostaje, i kupuje przez przebiegłych jezuitów listy do nieba, które zabezpieczać mają zbawienie człowieka po śmierci. — A także wiadomo wszystkim, że kapłani wszystkich religji żyli z tej głupoty wiernych, że między księdzem, popem, rabinem i pastorem może być tylko różnica co do stopnia kłamstwa i chytrości, nigdy zaś co do treści. A jak dawno księże plemię uprawia to swe ogłupiające rzemiosło, widać z następującego faktu:

W archiwum kijowskiej metropolji odnaleziono w tych dniach ciekawy dokument, pochodzący z r. 1341. Jest to paszport do nieba wystawiony przez metropolitę Makarjusza, zmarłemu podówczas księciu Fedorowi Władymierskiemu. Jeden egzemplarz tego paszportu włożono do trumny, drugi zachowano w aktach. Paszport ten opiewa:

„Makaruszka, z Bożej łaski arcybiskup i metropolita kijowski, do naszego Pana i przyjaciela św. Piotra, klucznika bram niebios. Zaświadczamy, że dnia dzisiejszego zmarł wierny sługa boży, książę Fedor Władymirski i upraszamy cię, byś natychmiast bez stawiania mu jakichkolwiek trudności wpuścił go do królestwa niebieskiego. Odpuściliśmy mu wszystkie grzechy i udzieliliśmy mu naszego błogosławieństwa, tak że nic nie stoi na przeszkodzie, by wszedł do raju. Dla uwierzytelnienia, list ten wystawiony w Kijowie, w dniu 13 lipca r. 1341 składany do trumny zmarłemu. Najuniżeńszy Makarjusz, arcybiskup i metropolita kijowski".

Starzy znajomi — nieprawdaż?

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Józef Okoń w Katowicach.

Nr. 23. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 29 lipca 1911.

## Dusza kapitalisty.

Dziwiłem się dawniej, teraz już rozumiem. Był czas, kiedy się wahałem, dziś nie mam wątpliwości.

Dziwiłem się, czemu kapitalista nie rozda dobrowolnie majątku, który przewyższa jego potrzeby. Poco mu wory złota i stosy banknotów, kiedy ich ani strawić, ani zjeść nawet nie może?

Sądziłem, że gdyby ktoś przemówił spokojnie a logicznie, bez gniewu a mocą argumentów — możeby przekonał — kto wie?

Aż stało się, że poznałem duszę kapitalisty — i pierzchły złudzenia.

Poznałem.

Bo sam przez trzygodnie byłem nim. Byłem kapitalistą, przyznaję w pokorze, bo któż z nas nie błądzi, kto niema win — ach, droga żywota doczesnego pełna manowców, tak łatwo duszę zagubić.

Stało się, że w poniedziałek rano zapukał ktoś do drzwi moich — zrazu dyskretnie, potem głośniej — zrazu palcem, potem pięścią — poruszył za klamkę, pokołatał klamką — — — znam to: albo praczka z rachunkiem, albo rządca ze stróżem i awanturą, albo chłopak od piekarza z wymówką.

Nie miałem ani grosza i udawałem, że śpię. Poco sobie i bliźnim czynić zawody a przykrości?

— Jest tam kto? — słyszę głos względnie obojętny, nie gniewny, nie napastniczy.

— Bo co? — zapytuję przez drzwi.

— A bo mam list do pana.

Może podstęp?

— Proszę zostawić u stróża — powiadam przezornie.

— Nie można, bo w liście są pieniądze.

Pieniądze?

Wiele w życiu miałem różnych zdarzeń — przykrych, rzadziej miłych — ale żeby mi ktoś w liście do domu — i to ktoś nieoczekiwany, niespodziewany — przysłał pieniądze?

Jestem przesądny: przestraszyłem się.

Kochany Panie!

Zakładając pismo pod nagłówkiem: „Brednie ilustrowane“, a licząc na cenne współpracownictwo Pańskie, pozwoliliśmy sobie nazwisko Jego umieścić w spisie stałych... i t. d. Na rachunek przyszłych...

I pięć trzyrublowych papierków, co czyni niewątpliwych rubli piętnaście.

Wyprostowałem się, spojrzałem na posłańca wzrokiem uprzejmym acz chłodnym. Przedemną stał człowiek pokorny. Dalej nie wiedziałem już co zrobić.

— Tak, piętnaście rubli... Tak... Zapewne... zapewne...

Ani rusz dalej. Przez wytrąconą z równowagi mózgownicę snuły się błyskawice zdań następujących:

— Trochę cierpliwości... W tych dniach zapłacę... Właśnie oczekuję na znaczniejszą sumę...

Koniec końców — nie powiedziałem nic, tylko dałem posłańcowi jeden zielony papierek.

Skłonił się i wyszedł spiesznie.

I tu pierwsze drgnienie obcej, przed chwilą zaszczepionej a już kiełkującej duszy posiadacza:

— Dałem za wiele. Palnąłem bąka. Szkoda papierka. Zostały tylko cztery a było pięć. Pięć jest więcej niż cztery.

Uważacie: nie miałem żadnego planu, projektu, życzenia, któreby usprawiedliwiały chęć posiadania papierków — żal mi było straconego papierka tylko dla pierka, chciałem mieć pięć a nie cztery, więcej a nie mniej, a pozatem nic — ani jednej myśli, ani jednego skrystalizowanego dążenia, możliwego do przeprowodzenia przy pięciu, a nie przy czterech papierkach.

Zamiast radości zgryzota, zamiast zadowolenia smutek, zamiast poczucia dobrodziejstwa — poczucie krzywdy.

Mam mało, mniej niż mogłem, mniej niż mieć powinienem — jestem zrujnowany, okradziony — a świat milczy.

— Posłańcowi dać trzy ruble — szaleństwo. Posłańcy są ludźmi zepsutemi, zwyrodniałemi — pijacy jeden w drugiego — utracjusze — w Boga nie wierzą — kraju nie kochają, o rodzinę nie dbają.

Uważacie: już pogarda, już obłuda, już oszczerstwo.

Ubrałem się śpiesznie, poszedłem do sklepu, kupiłem portfel skórzany z aluminjowemi brzegami, z trzema przedziałkami, nowy, pachnący, istne cacko. W każdą przedziałkę włożyłem jeden zielony papierek; drobne umieściłem w kieszonce kamizelki, i pobrzękując niemi, idę bez celu.

— Dzień dobry...

— Aaa...

Kolega po piórze — towarzysz — ba, nieledwie przyjaciel.

— Dokąd to? — zapytuje nieco natarczywie. — Dokąd to? — patrzy nieco podejrzliwie. — Dokąd to? — wyciąga rękę i badawczo spogląda mi w oczy.

— Zrozumiałem: jest bez grosza i chce pożyczyć. — I on też — chce zabrać — pozbawić — wydrzeć — okraść. — Znów będę uboższy o jeden papierek — zostaną już tylko dwa — w jednej przedziałce portfelu będzie pustka, czarna otchłań — nic — rana krwawa — grobowiec czegoś cennego a utraconego.

Skoczyłem w bok — on za mną — uciekam — biegnę — pot zrasza mi czoło — włosy powstają na głowie. Pragnę ocalić trzy zielone papierki, za które przecież nic nie chcę nabyć, żadnej zaspokoić potrzeby.

Gdym oprzytomniał, stałem nad brzegiem Wisły. Szybko wyjąłem portfel i rzuciłem do wody. A za srebrniaki pozostałe w kieszonce, poszedłem na kiełbasę z kapustą.

J. Korczak.

# W jarzmie kapitału.

Najjaskrawszym, rzucającym się w oczy objawem wewnętrznego przeobrażenia się kościoła katolickiego jest zmniejszenie liczby świąt przez papieża Piusa X. Przemiana ta dokonywała się nieustannie, ale niewidocznie dla szerokich mas: zmieniła się treść wewnętrzna — forma zewnętrzna pozostała niezmienna, chociaż się z niej dawna treść ulotniła, jak skorupa, z której ślimak dawno już wywędrował. Obecnie i forma ulega zmianie, odpowiadającej przemianie treści — i ta przemiana formy zewnętrznej uderzyć oczy miljonów owych maluczkich, których umysły poza formami zewnętrznemi przeważnie niewiele pojmują z tego, co ich dusze napełnia ślepą wiarą.

Wzrokiem pełnym wiary, utkwionym w stolicę apostolską, widziały w niej epokę Piotrową, niewzruszoną burzami stuleci, opierającą się zwycięsko pochodowi historji — a nie dostrzegały, że tylko ceremonjał zewnętrzny pozostał ten sam, co przed wiekami; albowiem widziały wyłącznie tylko ceremonjał. Nie widziały zaś owej powolnej przemiany wewnętrznej — więc niespodzianie zostały zaskoczone papieskim „Motu proprio" („De diebus festis") ograniczającem liczbę świąt.

Jakto? — zapytują się maluczcy — więc to co przez wieki było świętością, może na rozkaz papieża odrazu przestać być świętością?

Na to pytanie odpowiada „Motu proprio" Piusa X:

„Papieże rzymscy, jako najwyżsi opiekunowie i stróże karności kościoła, ilekroć tego wymaga dobro ludu chrześćjańskiego, nie ociągali się z łagodzeniem przepisów świętych kanonów. Jak wielu rzeczy zmianę już wobec zmienionych stosunków uznaliśmy za konieczną, tak uważamy obecnie za nasz obowiązek, by wobec szczególnych okoliczności naszych czasów przeobrazić prawo o zachowaniu przepisanych świąt w formie stosownej."

W walce między nowoczesnym kapitalizmem a dawnemi rządami feudalnymi kościół katolicki stał po stronie feudalizmu. Wychwalał „patrjarchalność" ustroju feudalnego, nie lubił burżuazji, przemysłu, miast, jako rozsadników liberalizmu. Liberalizm był ideologją walczącego o panowanie kapitalizmu, klerykalizm ideologją walczącego feudalizmu. Jakkolwiek kościół katolicki już dawno przezwyciężył swoją antypatję do kapitału pieniężnego i wbrew przepisom prawa kościelnego pozwolił na branie procentów, bez czego obrót pieniężny i gospodarka towarowa byłyby niemożliwe. Ale mimo to przez długie jeszcze wieki kościół, jak mógł, przeszkadzał rozwojowi kapitalizmu, chętnie przybierając w tym celu obłudną, demagogiczną maskę opiekuna robotników, broniącego ich przed wyzyskiem kapitalistycznym. Była to jednak tylko maska, bo nie o robotników w rzeczy samej kościołowi chodziło, lecz o feudałów. Więc zwalczał kościół kapitalizm z jego liberalizmem, wolnym handlem i wszystkiemi rzeczami, które jego są, a popierał obszarników z ich szlachetczyzną, polityke agrarną, żądaniem wysokich ceł ochronnych i t. d.

Ale niepowstrzymany rozwój gospodarczy doprowadził w naszych czasach do zgody pomiędzy agrarjuszami a wielkim kapitałem. Mahomet zbliżył się do góry, góra do Mahometa — i zeszli się z sobą w pół drogi. Wielu magnatów rolnych zaczęło obok rolnictwa uprawiać przemysł, przestając gardzić jego intratnymi zyskami, a wielki przemysł fabryczny, wstąpiwszy na drogę kartelów i trustów, zerwał z dawną polityką wolnego handlu i przy pomocy wysokich ceł rozpoczął plądrować kieszenie ludności. Dawni przeciwnicy podali sobie ręce w dziedzinie polityki cłowej, a przymierze ich utrwaliło się jeszcze bardziej z innego powodu. Mianowicie gdy nowoczesny ruch robotniczy zaczął kłaść tamy wyzyskowi, wówczas burżuazja doszła do przekonania, że przecie „należy niższym klasom zachować religję", że religja stanowi bodaj jaki taki hamulec dla „zachłanności" robotników, więc wrzuciła między rupiecie swój dawny liberalizm i pogodziła się ze szlachtą i z kościołem.

Znikły więc historyczne podstawy niechęci kościoła katolickiego do kapitalizmu, którego niepohamowany rozwój porwał i kościół w swoje tryby, zaprzęgając go w swe jarzmo.

Pius X stwierdził otwarcie tę zmianę stosunków, idąc jawnie na rękę kapitalizmowi i ograniczając w jego interesie liczbę świąt, ażeby robotnicy mniej się modlili na chwałę Bożą, a więcej pracowali dla zysków kapitału. W swojem „Motu proprio" pisze to papież Pius X zupełnie bez obsłonek:

„Z przedziwną chyżością przemierzają już ludzie wodą i lądem najdalsze granice i dzięki tej wzmożonej szybkości podróży łatwiejszy dostęp mają do ludów, u których liczba przepisanych świąt jest znacznie mniejsza. Z drugiej strony wzmożone stosunki handlowe i szybsze zawieranie ich umów zdają się ponosić szkodę z nagromadzenia dni świątecznych. Wkońcu, w codzień wzrastającej drożyźnie najkonieczniejszych środków żywności tkwi dalszy powód, by nie za często przerywać pracę tym, co z niej czerpią utrzymanie życia.

Fakty te rozważywszy w imię dobra chrześćjańskiego ludu, powzięliśmy postanowienie, które nam najpewniej zda wieść do celu, zmniejszenia liczby świąt, przepisanych przez kościół."

Pogrzebana więc została owa „chrześćjańska socjalna polityka" kościoła katolickiego, który się tem chełpił, że za pomocą wielkiej liczby świąt od wieków chroni lud roboczy przed przeciążeniem pracą i nadmiernym wyzyskiem. Dziś papieskie „Motu proprio" jednym zamachem przekreśla całą tę wiekową „socjalną politykę" kościoła i przepisuje:

„Przykazanie kościelne, by wysłuchać mszy św. i wstrzymać się od pracy, obowiązuje tylko w dniach następujących: we wszystkie niedziele, w dzień Bożego Narodzenia, dzień Obrzezania (Nowego Roku), Zwiastowanie (Epiwhanias) i Wniebowstąpienie Pana naszego Jezusa Chrystusa, w dzień Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marji Panny Matki Bożej, w dzień Piotra i Pawła apostołów i Wszystkich Świętych.

Uroczystość św. Józefa, Oblubieńca świętej Marji Panny i święto narodzenia św. Jana Chrzciciela, obiedwie z oktawami, będą obchodzone w dniach wyznaczonych dotąd, pierwsza, o ile nie wypadnie na niedzielę, w pierwszą najbliższą niedzielę, druga w niedzielę przed uroczystością Piotra i Pawła. Natomiast święto Bożego Ciała wraz z jego oktawą będzie obchodzone w niedzielę po święcie Przenajświętszej Trójcy. Uroczystość Przenajświętszego Serca Jezusa (święto nie objęte przykazaniem) wyznacza się stale na szósty dzień oktawy.

Od powyżej wzmiankowanego przykazania obowiązku słuchania mszy św. wyjęte są także i święta patronów. Ordynarjaty biskupie mogą jednak przesunąć połączone z niemi uroczystości i ceremonjały na najbliższą niedzielę."

Jakto? — zapytują miljonowe rzesze wiernych — więc już nie będzie „strzelanego czwartku"? więc to, o czem wczoraj głosiliście nam, że to jest największą świętością, której szargać nie wolno, dziś sami bez ceregieli odrzucacie jako rzecz nieświętą?

I przy tem pytaniu nie zatrzymają się maluczcy, którym oczy otworzył Pius X, lecz dalej pytać będą:

— Głosiliście dawniej: „Módl się i pracuj!" a dziś głosicie: „Módl się mniej, a pracuj więcej!", dziś zapędzacie nas niemiłosiernie w jarzmo kapitału, więc to jest wasza „apostolska piecza"?

I zrozumieją, że to piecza nie nad maluczkimi i wyzyskiwanymi, lecz piecza nad potężnym, światowładnym kapitałem.

I zrozumieją, że kto pozostaje w służbie złotego cielca, ten nie może być orędownikiem maluczkich, ubogich, wydziedziczonych.

„Naprzód".

# Naród bez książnic — twierdza bez broni.

Pod tym tytułem zamieszcza warszawski tygodnik „Świat" ciekawą wiadomość o pierwszej wielkiej bibljotece „dla wszystkich". Wspaniałomyślnym fundatorem tej znacznej książnicy był referendarz koronny, Józef Jędrzej Załuski, wielki jałmużnik „króla wygnańca" Stanisława Leszczyńskiego. Zamiłowany w naukach zacny kapłan skrzętnie gromadził książki, których liczba powiększona datkami biskupów i pozostałością po królu Janie III stała się tak znaczną, że brat Załuskiego, biskup krakowski, ustąpił dla bibljoteki swego pałacu w Warszawie. Przed śmiercią przekazał bibljotece testamentem trzy swoje pałace w Warszawie, oraz dwie majętności ziemskie.

Cuda opowiadano o tem księgozbiorze w całej Polsce. Była to bowiem pierwsza publiczna bibljoteka dla wszystkich, imponująca zarówno liczbą, jak i doborem książek. Ksiądz referendarz bowiem gromadził książki wszelkimi sposobami. Kupował, wypraszał, a nawet wprost zabierał, jak opowiada Bartoszewicz „z rąk nieużytego człowieka, któremu nic po niej nie było — i z przed oczu jego zamknął".

Z wielką uroczystością odbył się akt otworzenia pierwszej publicznej bibljoteki polskiej. Bibljotekarzem został mianowany uczony Daniel Janocki z pewnym jezuitom jako pomocnikiem. Dzieło zapowiadało się pięknie ku chlubie całej Polski. Ale nieszczęścia, które w tym czasie zawisły nad biedną naszą ojczyzną, dotknęły i ten skarb „zadrukowanego bogatwa duchowego" Polski. Po śmierci biskupa rozpoczęły się niesnaski familijne, procesy, brak pieniędzy dotkliwie czuć się dawał. Rząd oddał bibljotekę pod nadzór komisji edukacyjnej, a sejm grodzieński miał zająć się jej dalszem utrzymaniem.

Nieszczęsny rok 1795 uczynił z tych skarbów łup wojenny. Bibljoteka przewieziona do Petersburga, zaliczoną została do księgozbiorów cesarskich. Liczyła wtedy 262 640 tomów, 24 572 rycin i 10 000 rękopisów.

## Rozmaitości

**Miasto pływające.** W warsztatach Hamburg Amerika-Linie w Szczecinie buduje się obecnie olbrzym morski, który będzie nosił nazwę „Europa". Będzie to największy okręt pasażerski i już dzisiaj nazywają go królem morza. „Europa przebywać będzie drogę do Ameryki w ciągu 122 godzin, a pod względem rozmiarów, bezpieczeństwa, wygód i wytwornych urządzeń pobije na głowę wszystkie istniejące parowce.

Długość tego okrętu wynosić będzie 268 metrów, szerokości 30 metrów, pojemność 50 000 ton, czyli 140 000 metrów sześciennych. Kolos taki, wysokości 31 mtr., wymaga oczywiście potężnej siły poruszającej. Będzie więc zaopatrzony w olbrzymie machiny. Złoży się na nie kombinacja turbin i kotłów; te ostatnie umieszczone zostaną w czterech izbach, długości 23 metrów, turbiny zaś w dwóch olbrzymich izbach, długości 29 metrów, a tak szerokich, jak sam okręt. Siła tego „motoru centralnego" równa się sile 70 tysięcy koni, to też na jeden przejazd parowiec zużyje przeszło 600 wagonów węgla, co równa się 5000 ton.

To „miasto pływające" na falach oceanu, pomimo ciężaru swego ładunku, wynurzać się będzie tak wysoko, że obserwator, umieszczony na wybrzeżu lub w łodzi, zaledwie rozróżni rysy pasażerów pierwszego pokładu, gdyż pokład ten, umieszczony ponad dziewięciu innymi, odpowiadać będzie prawie szóstemu piętru naszych kamienic. Co zaś do pokładu komendy, ten wznosić się będzie na 23 mtr. ponad poziom morza. „Europę" zatem śmiało nazwać można „morskim drapaczem nieba o 11 piętrach.

Nowy parowiec pomieści 4250 pasażerów, a wraz z personałem blisko 5000 osób. Jest to zatem ludność małego miasta. „Europa" nadto dostarczy swoim pasażerom wszelkich wygód: będą mogli używać spacerów po kunsztownie urządzonych ogrodach i ulicach, będą mieli bary, palarnie, czytelnie, teatr, sale koncertowe, sale do zabaw wspólnych, wspaniałe jadalnie, w których będzie mogło obiadować jednocześnie po 800 osób; będą mieli nadto zaciszne sypialnie, sale gimnastyczne, sale do masażu, pływalnie i kąpielnie z wody słodkiej; wreszcie będą rozporządzali stacją telegrafu bez drutu, która ich w każdej chwili połączy z żądaną miejscowością stałego lądu. To nie wszystko. Specjalne urządzenie usunie z „Europy" chorobę morską. Urządzenie to zmniejszy prawie zupełnie kołysanie się statku.

Przewidując, że pasażerowie będą mieli dobry apetyt, „Europa" na 5 dni przejazdu z Europy do Ameryki zaopatrzy się w zapasy, które wystarczyłyby na wyżywienie całego pułku armji w ciągu jednego miesiąca.

Swieżego mięsa dostarczy 40 wołów, 30 cieląt, 87 baranów, 78 jagniąt, 36 wieprzy; dodajmy do tego 4 tysiące kilogramów drobiu, tyleż ryb świeżych, 42 beczek ostryg, 48 tysięcy jaj, 4 tysiące kilogramów kartofli, 12 500 rozmaitych jarzyn, 2 tysiące cebuli, 6 tysięcy kilogramów owoców. Gdyby 7500 kilogramów pieczywa nie wystarczyło, upieczonoby więcej z 350 beczek mąki i 500 klg. drożdzy. Nie zabraknie również konserw i marynat, bo parowiec zabiera 12 tysięcy klg. mięsa solonego, 4 tysiące szynki, 25 beczek śledzi (w każdej 650 sztuk), 6 tysięcy śledzi marynowanych, 400 wędzonych, 900 puszek sardynek, 5000 funtów kapusty, tyleż zielonej fasoli solonej, 8000 puszek grzybów, 10 tysięcy kilogramów ryżu i jarzyn suchych, 2500 klg. ciast.

Co do napojów, to mleka sterylizowanego parowiec zabierze 6500 litrów, a zgęszczonego 5200 pudełek; dalej 250 flaszek soków owocowych i 500 flaszek limonjady, 31 tysięcy butelek piwa i 15 tysięcy butelek wód mineralnych. Nadto zabierze z sobą „Europa" 3000 litrów wina zwyczajnego, 700 wina lepszego, 9500 butelek win delikatnych, 5100 butelek szampana i 2200 butelek koniaku i likierów. Jeżeli dodamy do 175 klg. herbaty i 2500 klg. kawy, to wyczerpiemy listę zapasów.

Za każdy przejazd „Europa" będzie miała dwa mijony franków dochodu (licząc przejazd z bagażem), a więc za 52 podróże rocznie przeszło 100 miljonów. Odtrąciwszy 20 miljonów franków na węgiel, 25 mil. na żywność, 40 mil. na opłacenie personału, na amortyzację kapitału ubezpieczenia itp., przekonamy się, że Towarzystwo hamburskie szybko pokryje koszta budowy olbrzyma, które wyniosą 50 mijonów franków.

* * *

**Sąd na latawcu.** Pisma francuskie przytaczają interesujący wypadek w Lille o „sądzie na latawcu". Jeden z podróżnych jazdy samolotem za opłatą zaskarżył lotnika firmy, z której pochodził latawiec, o odszkodowanie za chorobę uszu, jakiej uległ w czasie jazdy wskutek huczenia motoru. W czasie rozprawy sędzia orzekł, że może wydać wyrok tylko po osobistej ekspertyzie. Rozprawę przerwano, sędzia udał się w samochodzie na pole wzlotów; wytoczono samolot i sędzia poleciał w powietrze. Po wylądowaniu sąd orzekł, że jakkolwiek motor sprawia znaczny hałas, huk ten dla zdrowego ucha nie stanowi niebezpieczeństwa.

* * *

**Żmija w gardle.** Z Telawu na Kaukazie donoszą do pism rosyjskich, iż na pastwiskach pobliskich spał dnia pewnego pastuch z otwartemi ustami. Zbudził go ból straszliwy w gardle. Podniósł rękę do ust i oto przekonał się, że z ust zwisa mu ogon ogromnej żmiji. Szarpnął za ogon i ze wszystkich sił począł ciągnąć, aby wyrwać z gardła olbrzymią żmiję, która podczas snu przez otwarte usta wpełzła mu do gardła; niestety jednak daremnie. Na krzyk pastucha nadbiegli towarzysze, poczęli również ciągnąć i urwali tułów, głowa jednak została w gardle. Wsadzili go

na koń i chcieli zawieść do doktora, w drodze jednak nieszczęśliwy skonał.

* * *

**Kopalnia złota i srebra.** Wydajność złota na kuli ziemskiej w ciągu ostatniego stulecia przechodziła rozmaite zmiany. Przed 100 laty wynosiła mniejwięcej 800 miljonów marek rocznie, spadła jednak następnie do 400 miljonów. Dopiero w r. 1882 eksploatacja kopalń złota w Transvaalu a później w Australji zachodniej zwiększyła tę wydajność niemal pięciokrotnie. Jak popaje „Ekonomiste francais", wydobyto w r. 1910 z łona ziemi ogółem złota za 2 miljardy marek, co w porównaniu z wydajnością 1909 roku wynosi zwyżkę 40 miljonów. Obecnie ciągle jeszcze największym dostawcą złota jest Transvaal, gdy natomiast wydajność Stanów Zjednoczonych i Australji znacznie się zmniejsza. W r. 1910 Transval dostarczył złota za 650 miljonów koron, Stany Zjednoczone za 400 miljonów, Meksyk za 90 miljonów. Około 50 miljonów dały Rhodesja, Indje angielskie, Kanada, wschodnio-azjatyckie terytorja Chin, Japonji, Korei. 20 miljonów wydobyto z Madagaskaru i zachodniej Afryki. Kopalnie srebra w ciągu 19 stulecia wykazywały znaczną wydajność, która się następnie zmniejszać poczęła i dopiero w r. 1907 powróciła do dawnej normy. W r. 1910 produkcja srebra wynosiła 6 i trzy ćwierci miljonów kilogramów, dostarczonych przeważnie przez Meksyk, Stany Zjednoczone i Kanadę.

* * *

**Narzeczona wygraną w loterji.** W Pittsburgu czynią przygotowania do wielkiej uroczystości wiejskiej na cele katolickiego domu dla sierot. Głównym punktem uroczystości będzie wylosowanie młodej, uroczej, 20-letniej dziewczyny, która z lekkiem sercem oświadczyła, iż za wygrającym podąży jako oblubienica do stopni ołtarza. A więc za 50 centów można wygrać nietylko „narzeczoną", ale na koszt loterji można będzie sobie wyprawić sute wesele. Według „New-York-American" kasy loteryjne są wprost oblężone. A nabywcy losów żądają od komitetu bliższych objaśnień, dotyczących „narzeczonej". Więc pytają się czy owa panienka zawsze potrafiła sama na życie zapracować? czy potrafi wyrabiać torty miodowe? czy żyje matka „narzeczonej"? Komitet zapewnia tylko natrętnych kandydatów do stanu małżeńskiego, że wielka wygrana, przyszła „narzeczona", jest złotowłosa.

* * *

**Jak powstaje mowa tronowa** — opisuje jeden z dzienników wiedeńskich: Na kilku posiedzeniach rady ministrów ustala się poszczególne punkty programowe, z których później każdoczesny prezydent ministrów układa mowę tronową. Przed wymyśleniem ostatecznego tekstu składa premier kilkakrotnie sprawozdanie cesarzowi, który każde zdanie, niemal każde słowo mowy tronowej dokładnie omawia. Dopiero po ustaleniu tekstu przystępuje kancelarja cesarska do właściwej pracy, to jest do napisania mowy tronowej. Następnie zostaje mowa tronowa wydrukowaną na dużym, pergaminowym arkuszu, a każdoczesny premier przedkłada ją monarsze tuż przed uroczystym aktem, który odbywa się w wielkiej sali ceremonjalnej Burgu wiedeńskiego. Pod główną ścianą sali stoi krzesło tronowe, a obok mały stoliczek z aktami. Tron jest to wielkie złocone krzesło, wybite białym brokatem, a nad nim takiż baldachim, bogato złotem haftowany.

* * *

**Smierć w piecu piekarskim.** Jakie formy przybiera niekiedy obłęd religijny, o tem najlepiej świadczy straszny wypadek, który niedawno wydarzył się w Görtschach w Styrji. Oto włościanka tamtejsza, Agnieszka Konc, słynąca z niezwykłej urody i takiejże pobożności, matka czworga dzieci, z których najmłodsze liczy 7 miesięcy, popadła przed kilku dniami — powróciwszy z kościała po przyjęciu komunji — w ostry obłęd. Roznieciła tedy w piecu piekarskim wielki ogień, a przed piecem zaimprowizowała ołtarz. Potem rozebrała się do naga i wsunęła się do rozżarzonego pieca. Mąż, powróciwszy wieczorem z pola, zastał strasznie zwęglone zwłoki żony. Najnowsze badania wykazały, że obłęd wywołuje niejednokrotnie zupełne znieczulenie nerwów, tak, że samobójca nie czuje wcale strasznych mąk, które sobie zadaje. Nie ulega wątpliwości, że Koncowa w takim stanie popełniła samobójstwo, gdy inaczej nie miałaby takiej siły woli, aby znieść te straszne katuaze śmierci od ognia.

* * *

**Postęp hygjeny.** Drezdeńska wystawa hygjeny eksponuje bogaty materjał statystyczny, odnoszący się do jednej z najgroźniejszych klęsk ludzkości — tuberkulozy. Studjującemu ten dział na wystawie poglądowo rysuje się cały teren walki przeciwgruźliczej a zarazem ogarnia go zdumienie, jak znaczne sumy przeznacza się na prowadzenie tej walki.

Rozumie się, że wkłady setek miljonów marek nie pozostają bez donośnych rezultatów. Stwierdzono też statystycznie, że śmiertelność wskutek suchot zmniejszyła się w Niemzzech w następującym stosunku: W 1875 r. w Prusach umierało z suchot płucnych 35 na 10 tysięcy ludzi. Ta cyfra śmiertelności do r. 1890 obniżyła się na 28, do r. 1898 na 20, a w r. 1910 zmarło skutkiem gruźlicy tylko 15 osób na 10 000. Obecnie liczyć można obniżenie śmiertelności z powodu chorób tuberkulicznych w całych Niemczech na 10 osób z 10 000, co stanowi olbrzymi postęp w odniesieniu do owych 35 osób z przed lat przeszło 30.

Podobny też stosunek postępu zdrowotności konstatujemy względem innych zakaźnych chorób, których śmiertelność obniżyła się w tymże przeciągu czasu na 10 000 osób, jak następuje: ospa z 15 na 0,2; szkarlatyna z 56 na 22; dyfteryt z 121 na 18; tyfus brzuszny z 44 na 7; dysenterja z 150 na 90.

Cały ten znakomity postęp zdrowotnej kultury okazuje się rezultatem udoskonalenia takich urządzeń, jak kanalizacje i wodociągi, jak sporty i kąpiele, jak kontrola artykułów spożywczych, urządzenia mieszkaniowe i kapitalne, słowem, ogólne podniesienie i rozszerzenie hygjeny praktycznej, wraz z systematyczną kontrolą sanitarną.

* * *

**Zakład dwóch pijaków.** Nader ciekawy wyrok wydał sąd Rzeszy w następującej sprawie. Dwóch mężczyzn zrobiło w pewnej oberży zakład, według którego jeden z nich miał wypić pół litra wódki w przeciągu pół godziny. Pijanica wprawdzie zakład wygrał, lecz przypłacił go życiem. Koledze jego wytoczono proces o lekkomyślne pozbawienie życia i zasądzono na karę więzienną. Rewizję, wniesioną przeciwko wyrokowi, sąd Rzeszy odrzucił. W uzasadnieniu wyroku powiedziano:

Zmarły oddany był nałogowi pijaństwa i zwykł był wieczorem po kilku kuflach piwa pić w oberży wódkę. Pewnego wieczora chełpił się, że po wypiciu zwykłej ilości piwa jest w możności wypić jeszcze jeden do dwóch litrów wódki. Oskarżony przyrzekł mu, że zapłaci pół litra wódki pod warunkiem, iż ją wypije w przeciągu pół godziny. Zmarły zakład wygrał, lecz wkrótce potem upadł i tej samej jeszcze nocy wyzionął ducha wskutek zatrucia alkoholem. Zasądzenie oskarżonego za lekkomyślne pozbawienie życia nie może więc być zakwestjonowanem. Wprawdzie śmierci zmarłego nie spowodował oskarżony sam, lecz przyczyniła się do tego także wódka. To jednak nie znosi przyczynowego związku pomiędzy czynem oskarżonego a śmiercią jego kolegi, bo udowodnionem jest, że zmarły bez przyczynienia się oskarżonego nie byłby takiej ilości wódki wypił w tak krótkim czasie. Jakkolwiek wypicie takiej ilości wódki było przyczynieniem się do spowodowania śmierci, to jednak zwarunkowaną była ona tem, że oskarżony zobowiązał się wódkę zapłacić, jeżeli kolega jego wypije ją w przeciągu pół godziny, oraz tem, że oskarżony wódkę u gospodarza zamówił.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Józef Okoń w Katowicach.

Nr. 31. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 5 sierpnia 1911.

## Przed szczęściem.

W jednym z niezliczonych ciemnych okien koszar robotniczych na Widzewie siedziała stara Cywikowa i bezmyślnie patrzyła przed siebie. Tuż przed nią od czteropiętrowego frontu przędzalni biło morze blasku i głucho huczały maszyny. Nocna zmiana. Było już koło północy. Stara siedziała nieruchomie, tak, jak była usiadła przed pięciu godzinami. W izbie było prawie widno od odblasku. Białe, przenikliwe światło elektryczne od strony okna oblewało zgarbioną postać, podkreślało ostremi cieniami każdą zmarszczkę i rysę na pooranej twarzy. Twarz ta nie żyła i nie myślała. Oczy zdawały się bacznie wpatrywać w jedno z okien przędzalni i czatować na kogoś wśród czarnych ludzi, snujących się po którymś piętrze.

Ale stara nie patrzyła na nic i nie widziała nic, ani ludzi, ani budowli, zagradzającej przed nią cały świat, ani przeraźliwego blasku świateł elektrycznych. Już oddawna zamarły w niej i wzrok i słuch i wszelkie ludzkie czucie.

Na zmordowany mózg spadł jak gdyby ciężki sen. Ciężko, niezgrabnie, skrzypiąco przewalały się po głowie odłamy jakichś nadzwyczajności, niebywałych nawet we śnie. Przeciągał jej ktoś przez głowę jakby szorstkie powrozy, ciężkiemi ciosami młota wbijano klin w coś niezmiernie twardego, tkwiącego w jej głowie. Nie było w tem żadnego bólu. Coś się w głowie wciąż zaczynało i urywało. Zbierało się na płacz, ale łzy nie przychodziły. Coś się takiego stało — niewiadomo co? Nie było w niej żadnej ciekawości. Wiele różności działo się w niej ustawicznie, ale już nic nie dziwiło.

Nie dziwiło jej i to, że stała się małym dzieckiem, że otoczyły ją płaskie, rozległe pola. Pasie, jak wówczas, Łaciatą. Krowa targa ją za postronek i uparcie ciągnie się z przydrożnego rowu ku polu, gdzie w przepysznej, ciemnej zieleni stoi dorodna dworska koniczyna. Dziewczynina szarpin się z bydlęciem, krzyczy, płacze, wali patykiem po gnatach i boi się straszliwie, że lada chwila nadejdzie dworski polowy, straszny Jędrzej, ze swoją sękatą łagą, ze swoim grubym głosem. Już ją raz sprał, już raz jej zajął krowę, a w domu ją zbili trzy razy tyle. To pamięta i truchleje ze strachu. Cała zaprzątnięta krową, nie może ani spojrzeć na gościniec, gdzie przechodzą i przejeżdżają ludzie ciekawi jacyś, nie tutejsi, nadzwyczajni, co to nie siedzą w miejscu, tylko niewiadki skąd i poco wciąż po świecie ganiają. Tylko bije od nich gęsty kurz, co włazi w oczy i zakrywa wszystko i zasypuje, jak popiołem, twardą, łykowatą trawę w rowie. Woła dziewczynina z całej siły: Łaciato! Łaciato, a bodajeś ty zdechła! A bodajżeś raz skisła!

Cichym szeptem wybiegają te słowa na usta starowiny. Piecze słońce. W oczach i w gardle pełno kurzu. Już nie ma sił — raz i drugi Łaciata, nie zważając na żadne bicie, zagarnęła chciwym pyskiem po dworskiej koniczynie. Lada chwila nadejdzie Jędrzej, wylezie skądściś, jak z pod ziemi, i stanie nad nią nagle z kijem, z krzykiem, zabierze krowę, pogoni do dworu...

Gdzież się ona nieszczęśliwa podzieje? Jej dziecinne okropne nieszczęście jest tem okropniejsze, że w pamięci tkwi ciężar długich, dręczących lat czyjegoś starego życia, pełnego nędzy, bólu, poniewierki i straszliwego przepracowania. Już raz były te wszystkie nieszczęścia, przeżyły się, zabrały ze sobą wszystkie siły i wszystką krew i wszystkie łzy. A teraz ma się to wszystko jeszcze raz powtórzyć. Taki jest los, taka jest wola boska.

Kara Boska, kara boska... Zaco, sprawiedliwy Boże, karzesz dziecko nierozumne, zaco je bijesz tak niemiłosiernie, srogi ojcze! Czemu ludzie wokoło źli, wściekli, nędzni?... Taki jest świat, taki już jest ten świat! Niema rady, na to żadnej niema rady, cierp, człowieku, a znoś. Umrzesz — będziesz wypoczywał na wieki pod tą świętą ziemią.

Wali z góry młot, wali raz po razu. Klin wciska się powolutku, rozpycha niezmierną jakąś twardziznę. Trzeszczy, zmaga się coś w głowie. Za chwilę rozłupie się na dwie strony to główne, najtwardsze nierozumienie i coś przecie człowiek będzie nareszcie wiedział...

Wodziły starą po świecie, po jakichś odmętach czyjeś cudze myśli. Ktoś jej nakazuje, ktoś jej wzbrania. Ktoś z niej kpi dobrodusznie, jak bogaty z biednego, ktoś się nad użala, jak ten anioł z nieba. Dotknie się do jej głowy dobra ręka, powie anioł stróż: chodź, duszo, z tej grzesznej ziemi, chodź, duszo do nieba, na wiekuisty odpoczynek. Ej, jeszcze nie. Obstąpiły wkoło djabły, szydzą, klną, pomstują niezgorzej od ludzi. Jeszcze ci nie fajerant — jeszcze ci sporo godzin, zgarb się, trzymaj się, a przygarnij się do tej maszyny...

Zahuczały, zaklekotały maszyny, kręcą się duże koła, małe koła, latają bez końca rzemienne pasy, ciągną się bez końca cienkie nici, wywłóczą się, skręcają się, omotują duszę, jak ten pająk piszczącą muchę. Idzie, idzie bez końca ten dzień roboczy... Nie daje maszyna spocząć, nie daje odetchnąć. Ani oka spuścić, ani pleców rozprostować, ani ręki odjąć od roboty. Ejże, patrz, ejże, pilnuj się!...

I znikło wszystko, co jeno może być. Tylko pełen świat tego huku i klekotania, tylko cienka nić dobywa się wciąż z przędzy ogromnej, jak chmura i szybko mknie, leci, ginie gdzieś, a wysilona myśl baczy tylko, żeby nie urwała się nić...

Siedzi stara Cywikowa późno w noc i kiwa się w oknie. Utonęła bezmyślnemi oczami w blasku, bijącym od fabryki, a sprawne, jak maszyna, stare, spracowane palce chwytają przebiegające nici, regulują bieg maszyny. Resztka człowieczego rozumu spala się w niej na tej ostatniej trosce, żeby aby cało wypadła, żeby się nie zerwała ta jej zaklęta nić.

Kiedy odszedł Stasiek? Było to już tak dawno, że nie pamiętała. Może rok temu? Może dwa? Powtarza jej coś uporczywie, że to było dziś, wieczorem. Niech i tak będzie. Zawsze zostanie ta sama dawność, ta sama przepaść.

Kiedyż to poszedł Stasiek? A jakiż to on, ten Stasiek? Czyjże on jest? Cywikowa siedzi już tyle godzin i nie pomyślała ani razu o tem. Jakoś nie mogła. Gdzieś się okropnie zapodział ten syn rodzony. Najprędzej nie było go nigdy. Co było? Różne rzeczy.

Rozgląda się dzikie wiejskie dziecko po ogromnem

mieście. Zamąciło się w głowie dziecku, kiedy szło od rogatek za ojcem i za matką. Ostrożnie wyglądało z pod ziemi z suteryny w podwórze, gdzie harcują miejskie dzieci. W domu głód. Tata szuka roboty i codzień wraca bez niczego, codzień wraca pijany, choruje matka z tego zmartwienia. Naokoło wszyscy obcy, źli, nieużyci, a domy takie ogromne, a miasto takie ogromne, a tyle ludzi, aż za dużo. Bała się mała wszystkiego, a najbardziej strasznych, dymiących kominów, które sterczały wszędzie, gdzie było spojrzeć, i podpierały niebo. Przerażały ją swoim ogromem i tą cudownością, że się nie przwracały, i dymem, i krwawą, czerwoną barwą. Kiedy na nie patrzyła, przypominały jej się najstraszniejsze miejsca z bajek o złych duchach i to, co o piekle opowiadał ksiądz proboszcz dla zastraszenia grzesznych ludzi wiejskich.

Potem służby po ludziach ubogich, ciemiężcach i katach. Złe majstrowe, wiecznie rozżarte, dzieci paskudne i dokuczliwe. Kulawy szewc, obarczony dzieciskami, człek okrutny i pijak. Bała go się, jak ognia. Jak kazał, zrobiła. Ile razy rozkazał — robiła, nie był jednak dla niej przez to lepszy. Bił, jak bijał. A miała wówczas dwanaście lat. Umarła matka, uciekł gdzieś we światy ojciec, została sama, bojąc się wszystkich, słuchając każdego.

Ej, ta nić, ta nić... Wartko idzie maszyna, aż wiatr bije od rozpędzonych kół. Snuje się nić, przewleka się przez czółenka, nawija się na szpule, narasta, grubieją wałki raz wraz, raz wraz, nie nastarczysz, człowieku, choćbyś się rozerwał we dwoje. Nie wyczerpie się nigdy tajemnicza przędza, a wyczerpie się siła ludzka. Kiedyż zawyje gwizdek, kiedyż oczy udręczone będzie można oderwać od warsztatu? Troi się w oczach, opada głowa, mdleją palce. Chwytaj nić! Pilnuj się! Staraj się! Trzymaj się! Pan majster patrzy.

Patrzy na nią pan majster. Popatrzył jeszcze i kiwnął. Poszła. Któż się kiedy oparł majstrowi? Był to gruby, mocny niemiec. Zazdrościły jej inne, a ona się tylko bała, jak zawsze.

Puszcza starowina ręce, chwyta palcami, poprawia, reguluje, przykręca, pogląda bystro tam, gdzie biegnie cienka nić, uważa, byleby nie zerwać, byleby nie zepsuć. Czepiła się czegoś i jeszcze się czegoś trzyma w obłąkaniu. Trzyma się za tę cienką nić. Może się jej urwie lada chwila i stara zamrze na miejscu przy tej swojej robocie. Może utrzyma w sprawności swój warsztat i będzie tak prędka jeszcze przez długie lata, w szpitalu fabrycznym, w przytułku dla obłąkanych, w areszcie miejskim i wszędzie, gdzie nią los rzuci, właśnie jak przystało czynić obłąkanemu człowiekowi w tym bawełnianem królestwie, w tem mieście Łodzi.

Tysiąc postaci i tysiąc znaczeń ma stare ludzkie słowo — szczęście. Szczęśliwy, kto bodaj na moment uchwycił dla siebie choćby jeden jaki pozór — bodaj jaki mały, śmieszny promyczek z tego dalekiego słońca. Miała swoją godzinę szczęścia i stara Cywikowa. Jakże uprzykrzyła się Panu Bogu swojemi podziękowaniami — bardziej niż błaganiem o litość i zmiłowanie przez całe długie, niemiłosierne życie. Ta jej wdzięczność nie miała granic i pomiarkowania. Przyszła bowiem radość na samym schyłku żywota, przeklętego od urodzenia. Po piekielnych, nieprzerwanych udręczeniach, po żelaznych próbach, przyszedł już w starości czas łaskawy i nie do wiary łaskawy. Doświadcza i próbuje człowieka Pan Bóg w niedocieczonej swojej dobroci i nagradza hojnie ponad wszelkie ludzkie spodziewanie.

Trudno się przyzwyczaić do dobrego. Jak kogo życie pierze od dziecka i nie daje ani chwili wytchnienia, skuli się w człowieku, zeschnie i odpadnie na zawsze wszelka nadzieja i wszelkie pojęcie o tem, że może być kiedyś inaczej. Jak kto patrzy wkoło siebie przez długie lata i nie dojrzy nic prócz nędzy i krzywdy, temu ciężko na starość wyzwyczaić się do szczęścia, które przyleci nagle i odmieni wszystko odrazu.

Ale zanim nadeszło to szczęście...

Jeszcze nie spłacili długu, zaciągniętego na wesele, kiedy Cywik położył się i pół roku przeleżał na piersi. Ona chodziła do roboty, póki mogła — urodziła to pierwsze dziecko u obcych, gdzie mieszkała kątem. Tu już się czepiła na dobre nędza. Jak ten wściekły pies, chwyciła się zębami i trzymała i targała i kawałami darła w zaciekzeniu. Cywik wstawał ze słabości, chodził do roboty parę miesięcy, kładł się znowu, było mu gorzej, lepiej, umierał ożywał. Drugie dziecko, trzecie, czwarte... Nareszcie umarł na dobre. Została wdowa ze czworgiem w tem mieście Łodzi. Jak wyżyła? Jak sobie radziła? Któż zdoła wiedzieć.

Jest to jedna z wielkich tajemnic życia, przed któremi się staje w bezradności. Podziw, zgroza i na tem koniec. Można ubolewać, pomstować, załamywać ręce, zaciskać pięści. Można podziwiać siły żywotne rasy proletarjackiej — niepodobna wynaleźć, skąd ona te siły bierze. Wszystko można, tylko zrozumieć tych rzeczy nie można. Tą tajemnicą stoi świat.

Ona, jak kamień węgielny, jest wmurowana w fundamenty gmachów fabrycznych, banków, pałaców, kościołów. Na niej to wznosi się potęga państw, szczęście rodzinne, cnoty kulturalne i wszelki postęp i wszelkie piękno. Jest twardą, jak skała. Nie ugryzie jej żadna metoda, chodzi koło niej strapiony filozof-społecznik, zaduma się i zacznie kwilić poeta. Oprzędły ją wokoło marzenia utopistów, religje otoczyły twardą skorupą dogmatu, oblepiły ją niezliczone warstwy zadrukowanego papieru — ale gdzieś tam, na dnie dusz, czy w głębi ziemi istnieje jej nagie, jak prawda, okropne i niepojęte jądro.

Gdzieś tam w jutrzejszym dniu, czy w następnem stuleciu kryje się moment, kiedy wynurzy się ono z za widnokręgu wszelkich spraw ludzkich, podniesie się i zawiśnie nad ziemią, jaśniejsze od słońca, i zaznaczy — drugi dzień stworzenia.

Padną sobie w objęcia tłumy narodów, niepojęte braterstwo odmieni postać świata i legnie wilk koło jagnięcia. Co kto woli.

Ta tajemnicza potęga kazała Cywikowej żyć, pracować, dbać o dzieci, ona pilnowała, żeby nie spoczęła ani na chwilę w ciągu dnia i nie dosypiała nocy, dbała o to, żeby nigdy nie spoczęła jej głowa, i żeby nawet jej sny były pełne nieszczęścia. Ona dała jej genjalne zdolności w wygrzebywaniu ze śmietników zarobku resztek i ochłapów, na które łakomi są tylko ci, co umierają z głodu. Ona wmówiła w nią, że głód jest rzeczą naturalną, że łachmany są odzieżą, że w zimie powinno się kostnieć od zimna, a latem dusić z gorąca na poddaszach pod blachą, że każdy ma ją prawo wyzyskać, skrzywdzić, obrazić, że — i tak dalej, i tak dalej... Ona wreszcie lepiej od księdza i policjanta przestrzegała, żeby Cywikowa zachowała w tych okolicznościach uczciwość — nie wyciągała ręki po cudze, nie zazdrościła zbyt widocznie i nie skarżyła się za głośno.

Tak dokonał się cud, że wyżyła. Dzieci były wiecznie głodne, wiecznie chore. Zielone na twarzy, całe w krostach na krzywych nogach, z naiwnem zapytaniem w zaropiałych oczach: — a i pocóż to wszystko? Dzieci żyły, póki mogły. Umierały po kolei, co rok, co dwa, opłakiwała je matka i zapożyczała się na pogrzeby. Został tylko Stasiek, chorowity i niemrawy, jak reszta rodzeństwa. Do piętnastu lat był mały i mało mówił. Oddała go matka do fabryki na naukę przez jakąś protekcję, uczył się pilnie i nic nie zarabiał przez trzy lata, a jeść potrzebował, bo pracował. Stara już nie miała zdrowia, już goniła resztkami, a żyła z tego nadprzyrodzonego źródła siły, co to już czerpie z niczego i jest zaprzeniem fizjologji, nauki o energji i wielu jeszcze innych prawd ustalonych. Powinna była bowiem dawno już umrzec z wyczerpania sił, a przedtem zwarjować z wyczerpania cierpliwości. Hygjenista ma prawo z całą surowością zapytać się: jak ośmielasz się żyć wbrew nauce? Psychjatra nazwałby sprawność jej umysłu obłędem takim lub owakim, a specjalista od wymierzania dopływów i rozchodów i energji, zliczywszy z jednej strony potworne prace takiej osoby, a z drugiej ilość kartofli, czarnego chleba, łez, poniżeń i krzywd, które były jej pokarmem — orzekłby, że Cywikowa jest naukowym absurdem i że Cywikowa całkiem nie istnieje. Andrzej Strug.

„Dzieje jednego pocisku“ (urywek).

# Jak brać?

Nie mogłem zrozumieć, czemu tak się dzieje, że kiedy wszystkim wokoło dawano, mnie rzadko tylko wpadł w rękę rubel lub półrublówka. Pracowało nas urzędników przeszło dwudziestu, ja byłem najmłodszy. — Zrazu dziwiło mnie to, potym niepokoiło, dalej — gniewać zaczęło, wreszcie — począłem badać źródła niezwykłego zjawiska.

— Wszystkim wokoło dają a mnie nie dają...

Zapewne wyglądam zbyt młodo? — zapuściłem brodę — i nic. — Może rozmawiam z interesantami zbyt grzecznie? Stałem się opryskliwy — i nic. — Może trzeba zlekka napomknąć, że niby należy się coś za fatygę? — próbowałem, — nie rozumieli.

A był w naszym wydziale urzędnik doświadczony, który najciszej się sprawował a najwięcej brał.

Udałem się do niego po radę.

— Nie weźcie za złe, Piotrze synu Michała, — młody, niedoświadczony jestem. Pouczcie.

— Długa to nauka, mój młodzieńcze... I ważna... I trudna... I w szkole się nie nauczysz... W żadnej szkole... To trzeba prywatnie... Tak, prywatnie.

Pięć pierwszych godzin — były to wykłady teoretyczne — robiłem z nich notatki i może kiedyś wydam, jako „Samouczek brania". — Cztery następne wykłady praktyczne. — Ostatnia godzina — egzamin.

W pokoju nauczyciela ustawiliśmy stolik; a nim kałamarz, pióro, szklanka herbaty, lak, papier, — niby biurko moje. Siedzę przy biurku. On niby interesant, dochodzi. Ja wstaję wówczas i zbliżam się do okna, przewracam kartki i książki, niby coś szukam. On niecierpliwie przestępuje z nogi na nogę, spogląda na zegarek, chrząka. — Mija pięć minut, akurat tyle, ile trzeba, aby wiedzieć, do jakiej kategorji należy interesant. Zbliżam się do stolika, otwieram szufladę, biorę papierek, robię na nim znaczek niebieskim ołówkiem.

— Przepraszam Pana, — mówi interesant — czy nie mógłbym...

Teraz dochodzę do drugiego okna i zaczynam uważnie przeglądać, poszukując niby czegoś, co ma związek z trzymanym w ręku papierkiem — z adnotacją niebieskim ołówkiem.

Po pięciu minutach powracam do pierwszego okna, jestem zajęty, jak żołnierz na warcie — nie wolno mi z nikim rozmawiać — niczem rozpraszać uwagi. Jestem urzędnikiem pracowitym i systematycznym, który nie chwyta dwuch zajęcy naraz, nie rozpoczyna nowej sprawy, dopóki nie zakończy ostatnie z kolei.

Zbliżam się znów do stolika, zwilżam usta jednym tylko łykiem herbaty.

— Przepraszam, czy nie mógłbym...

Rzucam okiem na podany mi papier, przelotnie tylko, niby zaprzątnięty myślą o czem innem — odległem a tajemniczem, a ważnem. — Wiem już, o co idzie i według tego stosuję dalsze działanie.

— Zaraz, proszę spocząć.

Pomiędzy pierwszem słowem „zaraz" a następnem zapytaniem „o co idzie?" — urzędnik winien skryć się w sąsiednim pokoju. Zawsze nasuwa to interesantowi myśl, że możesz wyjść, zniknąć — pozostawić go samego, osieroconego, bezbronnego.

Wracasz. Dochodzi do biurka.

— Przepraszam, czy nie mógłbym...

— O co idzie?

Słuchasz uważnie do pewnego momentu, nagle przypominasz sobie o czemś niezmiernie ważnem, otwierasz szufladę, wyjmujesz papierów pięć, jeden z nich ozdabiasz czerwoną adnotacją.

— W tej chwili — przerywasz interesantowi i odchodzisz do sąsiedniego stolika, tam zagłębiasz się jeszcze w grubszą księgę.

Jeżeli interesant i to wyczeka, dajesz mu informację, możliwie niedokładną a pozwalającą domyśleć się, że sprawa jest mocno skomplikowana i jako taka, ciągnąć się może bardzo, bardzo długo. Nie okazujesz żadnej chęci ułatwienia i broń Boże za wynagrodzenie.

— Ile naszego brata marnie zginęło tylko dla tego, że nie umieli wyczekać.

Interesant idzie sobie — wróci jutro, pojutrze — za tydzień — przez ten czas, jeśli sam nie wie, powie mu ktoś: „daj".

Hasło: „daj" wyjść musi od krewnych, przyjaciół, znajomych interesanta, nigdy od urzędnika. Interesant jest to bydlątko o bardzo jednostajnej duszy: zawsze się śpieszy i opowiada stu ludziom o trudnościach, na które się natknął. Te dwie cechy są sprzymierzeńcami i urzędnika w braniu.

Tu nie trzeba się ani ogłaszać, ani reklamować. Sto osób wiedzieć będzie, że za trzy ruble interesant uniknął całego szeregu szykan, trudności, zwłok, bieganiny i t. d.

Stąd jednak płynie zasada:

— Nic nigdy i nikomu za darmo.

Bo to demoralizuje. Jeden bezpłatnie obsłużony opowie pięciu setkom ludzi, że on bezpłatnie — wprowadzi dezorjentację — spłoszy — rozzuchwali, wzbudzi zazdrość, chęć naśladownictwa.

Przepraszam — to już teorja, a ja miałem opisać tylko egzamin.

Otóż mistrz mój odgrywał na egzaminie interesanta najtrudniejszego, to jest nieobliczalnego, który to niecierpliwi się, to znów łagodnieje, to prosi, to grozi — który naprawdę nie wie, po co i dla czego robi to wszystko urzędnik. Jest to okaz niezmiernie rzadki, ale się spotyka, są to szczątki zdemoralizowanych przez ubiegłe lata, lub ludzie, którzy powracają po dłuższym pobycie za granicą.

Egzamin trwał dwie godziny. Nauczyciel tak przejął się swą rolą, że wreszcie, ociekając potem krwawym, położył mi na stoliku rubla.

— W tej chwili służę — zawołałem.

Objął mnie, przycisnął do piersi — i załkał z rozrzewnienia.

Zdałem celująco.

J. Korczak.

„Nowe Życie".

## Rozmaitości

**Francuska grzeczność aptekarska.** Jeden z rodaków, który świeżo powrócił z Paryża, opowiada mi ciekawą przygodę.

— Byłem w jednej z aptek paryskich i czekałem na lekarstwo, obserwując z zaciekawieniem pracę prowizorów i ruch interesantów.

Między innemi weszła do apteki jakaś młoda, przystojna i bardzo elegancka pani i jakby zakłopotana zwróciła się do jedynie wolnego chwilowo aptekarza.

— Czem pani mogę służyć? — spytał.

— Proszę pana — zaczęła się jąkać młoda pani — proszę pana, chciałam tego... jakże to się nazywa...

Aptekarz domyślił się, że chodzi o coś dyskretnego, więc usunął się na bok, a za nim podążyła piękna pani. Mówiła półgłosem, ale przecież tak, że można ją było słyszeć.

— A więc? — spytał, gdy znaleźli się na uboczu.

— A więc chciałam spytać, czy nie ma pan (przyciszonym głosem) olejku rycynowego, ale nie w płynie, bo tak go trudno zażyć, lecz może w takiej formie, żeby go było przyjemnie zażyć.

— Ależ owszem — zawołał — proszę tylko spocząć, a za chwilę sporządzi się... Lecz może pani łaskawa tymczasem na chwilę spocznie... A może dla ochłodzenia pozwoli pani szklaneczkę orzeźwiającej lemoniady...

— I owszem, proszę bardzo.

Aptekarz nalał szklankę lemoniady i z wyszukaną gracją podał ją pięknej pani, sam zaś zajął się sporządzaniem żądanego preparatu.

Gdy piękna pani wypiła lemoniadę, a aptekarz, jakby na nią nie zważając, zajął się innemi interesantami, spytała po kilku minutach:

— A cóż, panie, z moim olejkiem?

— Aha, prawda... A czy smakowała pani lemoniada?

— Bardzo, bardzo, bo faktycznie byłam spragniona.

— Otóż proszę się dowiedzieć — rzekł z tryumfem aptekarz — że pani już w tej lemoniadzie wypiła porządną porcję olejku!... A co? Dzielnie się spisałem, co?!

— Na miłość boską! — zerwała się piękna pani — to przecież nie dla mnie było przeznaczone, ale dla mego męża!...

Aptekarz zrobił minę, jakby to on wypił pół litra olejku — niepotrzebnie.

* * *

**Wyścigi konne w Chinach.** Powszechnie wiadomo, że mieszkańcy Chin oddają się namiętnie hazardowi w jakiejkolwiek formie; nic dziwnego też, przyjęli oni od europejczyków także i wyścigi konne, w czasie których funkcjonuje nieodzowny totalizator.

Otóż co się tyczy wyścigów, ciekawe i charakterystyczne zajście, jakie wydarzyło się niedawno w Pekinie, opowiada jeden z angielskich dzienników.

W czasie ostatnich wyścigów przyszło do nieporozumień między Szen-Lisz Ting'iem, cesarskim eunuchem, osobistością bardzo wysoko stojącą przy dworze, a pewnym właścicielem stajni i sportowcem z Tien-tsinu. Dygnitarz dotknięty w swej ambicji tem, że sportowy potrącił go lekko, rozkazał go wychłostać na poczekaniu, wobec dziesiątków tysięcy widzów. W sprawie tej próbował interwentować książę Pu tsan, ale rozgniewany eunuch i jemu kazał zaaplikować z miejsca 50 bambusów. Po tem zajściu, jak gdyby nigdy nic nie zaszło, odbywały się wyścigi w dalszym ciągu.

Na drugi dzień wyścigów przybył eunuch a nadto i obaj pobici, ale i ostatni w towarzystwie zbrojnych band. Dyrektor policji, książę Suh, musiał zmobilizować całą policję, aby nie dopuścić do walki, bezsilnym zaś był wobec nadużycia eunucha, gdyż ten dzięki łaskom cesarza i swym wpływom na dworze jest zupełnie bezkarny i może robić, co mu się podoba.

Zajście to wywołało ogólne wrażenie wśród europejczyków, bawiących na wyścigach, a wcale nie pochlebne wyrazy, padające z tłumu krajowców pod adresem brutalnego dygnitarza, wskazywały, że nie cieszy się on zbytnią sympatją ludności.

* * *

**Tajemniczy samochód czarnej sotni.** W okolicach miasta Ługi w guberuji petersburskiej przed kilku dniami ukazał się tajemniczy samochód, w którym znajdujący się podróżni rozrzucali po drodze nader obficie proklamacje. Samochód objechał okoliczne wsie, poczem znikł.

Proklamacje te mają tytuł: „Okrucieństwa żydowskie, ujawnione w państwach cudzoziemskich". Ponadto stronę tytułową zdobią rysunki, wyobrażające nóż rytualny, truciznę masońską i jakiś nieokreślony herb.

Proklamacje utrzymano w tonie programowym, kończą się wezwaniem następującem: „Chrześćjanie, pilnujcie swych dzieci!". Podobny samochód widziano w niektórych okolicach w kraju nadbałtyckim.

* * *

**Łacina w parlamencie.** Austrjacka izba posłów wzbogaciła się jeszcze jednym językiem, mianowicie łaciną, której używa przydjum zjednoczenia duchownych, będących posłami. Prezydjum tego zjednoczenia rozesłało następujące zaproszenia: „P. T. Venire digneris sertissime ad conventum sacerdotum hodie 3 hora in conclavi cassae. Dr. Stojan, Lang, praesides. Vindobons, 26 julii 1911". Znaczy to po polsku: „P. T. Raczcie przybyć jak najpewniej na zgromadzenie duchownych dziś, o godz. 3 w pokoju kasowym. Dr. Stojan, Lang, prezesi. Wiedeń, 26 lipca r. 1911." Pokój kasowy (Kassa-Zimmer) znajduje się w gmachu parlamentu.

* * *

**Pod strażą wężów.** Farmera amerykańskiego Jamesa Stonera znaleziono niedawno niedaleko Croocksten, w stanie Minnezota koło mostu, prowadzącego do jego mieszkania w otoczeniu czterech wężów, przywiązanych do skał za pomocą klamer. Stoner wśród wężów leżał martwy. Okazało się, że Stoner był strasznre zazdrosny, że temu lat pięć kupił te węże i umieścił na drodze do swego mieszkania, aby odstraszać nieproszonych gości od pięknej żony. Tymczasem teraz upiwszy się, wpadł przy przechodzeniu mostu pomiędzy węże, które go pozbawiły życia.

* * *

**Ze zdobyczy nowoczesnej medycyny.** Jedną z doniosłych zdobyczy nowoczesnej medycyny jest wielki rozwój bakterjologji. Obok chemji lekarskiej jest bakterjologja jednym z najważniejszych środków pomocniczych przy badaniu objawów chorobowych, a oprócz tego staje się w coraz większej mierze źródłem nowych środków leczniczych. Stwierdzenie faktu, że bakterje (stworzenia-zarazki) są przyczyną bardzo wielu chorób zakaźnych, zazwyczaj uważane jest za zdobycz ubiegłego stulecia. W rzeczywistości myśl o zakazkach nurtowała na długi czas przed wystąpieniem Kocha i Pasteura w umysłach uczonych. Z pyłu zapomnienia wydobyto ciekawe dziełko uczonego i lekarza angielskiego z XVIII wieku, niejakiego Benjamina Martina, który ze szczególnem zamiłowaniem zajmował się chorobami zakaźnemi, zwłaszcza zaś gruźlicą. W r. 1720 ogłosił on książkę pod tytułem „Nowa teorja chorób", w której dowodzi, że gruźlicę i inne choroby zaraźliwe wywołują małe żyjątka, które nazywa „ani macula". Martina trzeba więc uważać za jednego z pierwszych pionierów bakterjologji. Oczywiście nie przypuszczał on w swoich wywodach, do jakiego znaczenia dojdzie ta gałęź nauki po szeregu lat.

* * *

**Bibljoteka dla ślepych.** W piśmie „Revue de Bibliothéques et Archives de Belgique" znajduje się interesujący opis niezwykłej w swym rodzaju biblioteki, utrzymywanej staraniem „Association" Valentin Hauy. Towarzystwo to, noszące nazwę od założyciela, stworzyło w Paryżu bibljotekę dla ślepych, liczącą około 25,000 tomów; tak dzieła te, jako też i katalogi, kartki itd. są pisane systemem Braille'a, wypukłemi literami. Ruch w bibljotece jest znaczny; ślepcy nietylko czytają na miejscu, lecz i wypożyczają książki do domów, przyczem zarząd bibljoteki wysyła również dzieła na prowincję. Znaczną trudność w przesyłkach stanowi znaczna objętość książek, gdyż jeden zeszyt zwykłego druku, w wydaniu dla ślepców, dochodzi do objętości 8 do 10 zeszytów. Niezwykła bibljoteka powstała z ofiarności publicznej; w pracy nad jej rozwojem bierze udział w największej części grono pań i panienek z najwyższego towarzystwa paryskiego, które przepisują dzieła na alfabet dla ślepych.

* * *

**Życie nocne w Nowym Jorku** przybiera coraz większe rozmiary i ciągnia się coraz dłużej, tem samem przedłużają się i godziny pracy. Wszelkie biura, lokale handlowe i ulice czyszczone są pomiędzy godzinami, w których kładą się do snu próżniacy — a wstają pracowici. Nocą przewożone są listy i posyłki z poczty do dworców kolejowych. Oprócz urzędników pocztowych, felegraficznych i telefonicznych, oraz policji, coraz więcej ludzi sprawuje nocą swe zawody. Restauracje otwarte bywają do białego dnia, poza tem kliniki i gabinety dentystyczne stoją całą noc otworem. O każdej godzinie można się dać ostrzyc, ogolić, kazać sobie oczyścić obuwie na ulicy, oddać list rekomendowany na poczcie. Przez całą noc krążą tramwaje elektryczne, koleje miejskie, podziemne, oraz łodzie. Funkcjonują nawet sądy, w których aresztowani otrzymują na poczekaniu wyroki. Dwaj dyrektorzy teatrów dają przedstawienia pomiędzy godziną 1·30 a 4·30 w nocy. Obliczono, że obecnie 125,000 ludzi zajętych jest w Nowym Jorku przez noc całą.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Józef Okoń w Katowicach.

Nr. 32. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 12 sierpnia 1911.

Ludwik Stanisław Liciński.

## Mały epilog.

. . . Chciałbym was uczyć Boga, ale wyuczcie się pierwej człowieka. Jednego w drugim odnajdziecie.

O, Sztuko! Ty do nich gadaj. Ty potężna i wszechogarniająca, jak Bóg przez poetów śniony. Bo jeśli Ty im nie rozświetlisz mroków — któż im rozświetli?

— — — — — — — — — — — — — — —

Szedłem pod Twoje progi i niosłem wszystkie strzępy łachmanów. A ludzie drwić i urągać będą, że tylko łachmany przyniosłem. Zaprawdę, zaprawdę mówię wam: — Dusza tam żyje. (Z teki pośmiertnej).

## SEN.

Jaśnie pani wie, że musi się leczyć, dać spokój wszystkim ubogim i swojej dobroczynności.

Dziwne, bezładne rzeczy śnią się jej co noc.

Śnią się, uparcie powracając. Coraz jaskrawiej, coraz naturalniej odbijają się w tych snach ludzie i wypadki...

* * *

Jaśnie pani czuje, że ją nawskroś przejmuje wilgoć, ciało i ręce zalatują wonią rogoży. Ciało swoje ogląda z jakąś troskliwą i nieznaną dotąd ciekawością.

Widzi je kościstem, wychudłem, piersi płaskiemi. Dotyka włosów i myśli:

— Jak wcześnie posiwiały mi włosy...

Jakby z daleka, przysłuchuje się gaworzeniu dziecka; mała siedzi u jej nóg, trzyma w podołku kotka i szepcze:

— Nie piszcz... nie piszcz... dostanie mama robotę... kupi nam mleka, bułek.

— Córeczko! wszystkiego kupię jestem bogata... Gdzież ja jestem?

Z wysiłkiem przypomina sobie coś bogatego, wspaniałego. Z gorzkim uśmiechem ogląda ciupkę z małym okienkiem i idzie do starego, przez muchy popstrzonego lustra.

Z lustra patrzy na nią nie jej twarz, lecz jakaś cudza, z mglistym zarysem ciemnych smutnych oczu, otoczonych gęsiemi łapkami zmarszczek.

Obrzydliwość — szepcze gniewnie — ...nie moje... gdzie moje zwierciadło? — I z roztargnieniem patrzy przez okno sutereny na ulicę.

Z ulicy zlewa się dziwne blado-mleczne światło... Z okna nie widać domów, ani samej ulicy — tylko odgłosy skądś idą, podobne do szumu obracającego się koła młyńskiego.

I może dlatego, że szary dzień na dworze — coraz nieprzyjemniej jej się robi oglądać mało znany pokój z czarnym piecykiem w kącie, zawalonym różnemi rupieciami.

Obite podartą ceratą wąskie drzwi, zamknięte są na ciężki, żelazny rygiel. Za drzwiami ukrywa się coś wielkiego, złego i nieprzyjemnego.

Tuż przy drzwiach stoi stara komoda z kawałkami drzewa, podłożonemi zamiast nóg, bez dziurek od klucza, z wielkiemi dziurami na szufladach. Szare wahadło zegara bezdźwięcznie porusza się po nierównej ścianie.

Z nieznaną sobie dawniej trwogą patrzy na pogięte wskazówki zegara, niepokoi się, że nie widzi godziny — chce wstać, podejść bliżej, ale przygarnia się do niej dziecko, tuli się i znów coś gaworzy.

Nie rozumiejąc gaworzenia, domyśla się, że za chwilę musi iść do pracy, a dziecku i zimno i strach pozostać samemu. Coś ją nieprzeparcie pociąga, by otworzyć drzwi, zajrzeć tam. Z lękiem wstaje z łóżka; podchodzi, zdejmuje zasuwę i, by dodać sobie ducha bodaj skutkiem, z siłą spuszcza żelazo w dół, lecz zasuwa miękko jak szmata opada i nie brzęczy.

Drzwi same się otwierają.

Wchodzi stróż z wysokim panem, ubranym czarno. Pan ma pod pachę tekę. Zginając się i nie tupiąc, idzie do stołu, siada i wyciąga pod stołem cienkie nogi.

Pan przewraca papiery, ona nie widzi jego twarzy, chociaż pan patrzy na nią i na dziecko i pyta:

— To, moja kobieto, wasze dziecko?

Ona obraża się za poufałość i milczy.

Pan, milcząc, pisze, potem, na nikogo nie patrząc, pyta schyliwszy głowę nisko nad papierami:

— Ty ją z dzieckiem chcesz na ulicę?

— Nie ja... Gospodarz każe!

Pan czarno ubrany wstaje, zgina się, zamyka ze stukiem obdarte drzwi. Z za drzwi słychać jego głos:

— Nie można wysiedlić... dajcie na przeprowadzkę...

Dziecko chce, aby je wzięła na ręce — drży, i ona drży i słyszy z za drzwi nowy szorstki głos: idź szyby myć!...

Przez sekundę zdziwiona stoi hardo, potem zrywa się, kładzie dziecko na łóżku, otula je kołdrami. Wszystkie kołdry są dziurawe, ona niecierpliwi się, szuka lepszych, a głos wypędza ją na ulicę i gderze: Idź prędzej! dużo was tutaj... Ona spieszy się, spieszy... Na ulicy dużo czarnych głów i nóg, twarzy nie widzi, dziwi się, że tak trudno zapamiętać twarz, patrzy na wielkie buty idącego przed nią człowieka, wchodzi z nim coraz wyżej, wyżej po schodach i z wysokości patrzy na ulicę — ogromnego, pstrego węża. Tam wszystko w dole pełznie, porusza się, a od tego, że potwór pełznie, jej się kręci w głowie, a w uszach dzwoni: ulica... ulica...

Wiatr wichrzy włosy, rozdyma ubranie, usiłuje zdmuchnąć ją ze ślizkiego, mokrego stołka.

Zimna woda spływa jej ze ścierki do rękawów, ziębi ciało, jak szerść rosną na skórze z zimna pęcherzyki...

Zdaje się jej, że nie szyby myje, płaskie oczy, oczy tak wielkie, jak cały człowiek, obstąpiły ją dokoła, płyną po nich łzy jej zimne, lodowate, cienki, ledwie dosłyszalny krzyk wydają wielkie zimne oczy: myj nas... myj nas ślepych. A w dole ulica wciąż pełznie, pełznie, ani na chwilę się nie zatrzymując, wciąż szumi i szum ten przenika jej w duszę — niby gwoździem drapie ktoś po szkle, niby wielki, wielki pijak zgrzyta jej nad uchem zębami.

Z niewidzialnej wysokości na sznurze spuszcza się człowiek-pijak z martwem obliczem bez oczu, śmieje się kościanym chichotem, skrzypiącym jak skrzydła wielkiego świerszcza, krzyczy — i dziwne: kiedy krzyczy, ona już nie widzi jego twarzy.

— Uważaj, bo spadniesz!

Głucho, drobno puka u jej nóg młotkiem. Trzeszczy, spada tynk — i jego już niema.

Ona, chcąc dodać sobie odwagi, myśli: może to blacharz, który kryje dach?

Lecz od skrzypiącego śmiechu, nagłego ostrzeżenia kłuje ją w skroniach i serce w piersi podskakuje wyżej, stygną ręce i nogi.

Zamierając, patrzy w dół, a głos, który zawołał ją do roboty, pokrzykuje z dołu, z pokoju i zmusza ją, by wyciągała ręce ze ścierką wyżej.

— Przetrzej framugę... przetrzej fra...

Blacha okienna ześlizguje się w dół... Stołek upada i wymyka się z pod nóg; stukocze szybko gdzieś tam, w dole. Ona z krzykiem, uwięzłym w gardle, spada. Uderza bokiem. Głową. Znowu bokiem i wisi na czemś ostrem wysoko na ścianie i wywraca się z rozstawionymi rękami i nogami. Bęc! Znów się zrywa, znowu spada — jakby ogień ją pali, i teraz gorąca, miękka, niekształtna leży na płaskich płytach kamiennych.

* * *

Zimno. Okna milczą. Pachną perfumy. Bladą plamą, zagadkowo świecącą w mroku, wydaje się znajome zwierciadło. Trzeba wstać, otrząsnąć się ze zmory. Trzeba zadzwonić na służącą, ale jaśnie pani leży bez woli, bez sił — drży, patrzy w sufit długo i uparcie, lecz znowu przymykają się oczy.

* * *

Ciężkie nogi stąpają po kamieniach... Niosą ją. Kropo drodze. Woń lekarstw...

Od tupotu nóg drewnianym dreszczem drżą szafy.

Otworzyła oczy — łóżka... Na nich kobiety... tabliczki z napisami. Ona jęczy. Pali ją, kłuje. Coś lepkiego napływa jej wprost do oczu, lecz ona, wstrzymując jęk i zamykając oczy, przysłuchuje się głosom.

— Parawanem zastawić?...

— Zastaw.

Szurają czemś. Ona znowu otwiera oczy. Przed nią czarno. W górze zielona plamka i ogień. Kawałek białej ściany. Kawałki okien; w oknach ciemno.

— Ktoś płacze? Zegar... zegar... zegar bije dużo razy i budzi w niej resztkę życia.

— Szare wahadło... Ściana... Pogięte wskazówki. Lecz ona nie może sobie przypomnieć tego, czego potrzeba i usiłuje wstać.

Znowu szurnęło. Na swych piersiach czuje wielką ciepłą rękę. Potem na głowie. Słyszy nowy głos:

— Nieście na dół! — głos ma ton rozkazu i pospiechu.

Posłanie jej podniesiono, rzucono w wielki szary otwór — i popłynęła.

Wionie zimno. Kamienie znowu dudnią pod nogami. Pachnie wilgocią i trupami; położono ją. Zimno jej i strasznо... — Przecież ja nie umarłam?... Otworzyła oczy i w pomroce widzi siniejące, nagie, nieruchome ciała...

Oczy jej coraz szerzej się rozwierają — coraz wyraźniej sinieją ciała.

Nic ją już nie kłuje, nie pali. Powoli oddziela się od ławy, wznosi się w powietrze. Nie czuje już smutku. Nie czuje pożądań.

Spokojnie ogląda swe zsiniałe, opuszczone ciało. Święte obrazy, zgasłe cienkie świece, drewniane, ladajako zbite trumny — obok otwartej kaplicy, ledwie oświetlonej żółtym płomykiem, mrugającym w zimnem powietrzu.

Zadął wiatr i ją, bezkształtną, lekką jak mgła, pociągnął precz z izby.

Wąskim, długim korytarzem mknie ona ku różnobarwnemu tłumowi kobiet. Pobrzękują naczyniami. — Posługaczki... posługaczki szpitalne... dmie wiatr i wynosi ją na ulicę. Błyszczą oślizgłe kamienie brukowe...

Czarna wilgotna mgła. W czarnej mgle głucho i nisko drga huczenie dzwonów.

Jak blade błyskawice, zaczarowane w powietrzu, połyskują miejscami modre druty telegraficzne.

Ona nisko, nisko mknie nad ziemią, czując chłód kamieni; jak motyla, nęcą ją jasne plamy latarń, które zdaleka wyglądają, jak duże, złociste jaskry...

Bez pragnień, spokojna dostaje się do swej suteryny.

Dziecko płacze, w kącie niewyraźnie widać filigranowe jego kształty i mokre, jasne oczy.

W zatęchłym mroku rozlane i nieregularne są zarysy przedmiotów.

Ona przytula się do dziecka i szepce: „Jestem tutaj"... Chciałaby pocieszyć maleństwo, lecz przemyka się sama, jak cieniuchna pajęczyna jesienią pomiędzy drzewami. „Jestem tutaj, jestem tutaj... szepce i wie, że niema słów na jej rozemglonych ustach. Chciałaby podnieść dziecko, lecz nie czuje swoich rąk, i małe ciałko wydaje jej się niepomiernym ciężarem. Krąży w ciemności i staje się coraz mniejszą, mniejszą.

Strach jej przed wiatrem, ale on dmie przez szpary okna coraz mocniej i wbrew jej woli unosi ją z pokoju. Pędzi ją skroś wilgotne mury suteryn przez wyłomy i rozpadliny dalej pod ziemię... Z wysoka, z ziemi, przerosły tu w głąb korzenie drzew — czarno i duszno dokoła. Ona nie może już lecieć, czołga się i dziwnie niedostrzegalnie topnieje czarny jej opar na czarnych korzeniach drzew.

A. Cz.

# Wśród przyrody z pieśnią na ustach.

Zaledwie pierwsze promienie wiosennego słońca ozłocą świat, ciasno się staje człowiekowi i duszno w starych murach miasta. Czuje wtedy wyraźniej niż kiedykolwiek, że przygniata go jarzmo pracy codziennej, że dech mu zapiera przesycona wyziewami atmosfera fabryki lub warsztatu, że dławią go smrodliwe podwórka i cuchnące rynsztoki. I czuje wtedy, że za temi szaremi murami jest inny świat — świeży zielony, wonny, świat przyrody, ze wszystkiemi swemi cudami. I pragnie na nie spojrzeć, zobaczyć to życie kiełkujące, rozwijające się, rozkwitłe i bujne, nasycić się chce tym widokiem, odetchnąć choć raz pełną piersią, wchłonić ożywczą woń lasów, pól, łąk. Należy mu się to piękno przyrody bardziej niż komukolwiek, odczuje je też żywiej, niż ktokolwiek.

Dzień świąteczny staje się dla człowieka pracy istotnie świątecznym, jeżeli go spędzi na wycieczce zamiejskiej, wędrując po drogach i lasach przy dźwiękach ochoczej pieśni. W tym też celu — szerzenia zamiłowania do pieszych wędrówek, urozmaiconych śpiewem chóralnym, powstały wśród zagranicznego proletarjatu robotniczego liczne stowarzyszenia sportowe i śpiewacze.

Już w miarę osiągania lepszych warunków ekonomicznych przez klasy pracujące zaczęły powstawać wśród nich stowarzyszenia o zadaniach bądź oświatowych, bądź sportowych, mających na celu wzmocnienie sił fizycznych, sprawności i energji wśród swych członków.

W ostatnich latach powstały wśród robotników związki turystyczne. W 1905 r. we Wiedniu kółko robotników wspólnie z towarzyszami ze sfer nauczycielskich założyło Towarzystwo „miłośników przyrody", którego celem było podniesienie poziomu duchowego robotnika, spędzającego najczę-

ściej wolne chwile w szynku. Towarzystwo to sięgnęło śmiałą ręką po te dobra, które dotychczas zdawały się być tylko udziałem wybranych. Zrazu ograniczone w sferze swego wpływu, towarzystwo rozwinęło wkrótce energiczną działalność, tworząc oddziały poza Wiedniem. Wkrótce powstały też podobne towarzystwa na Węgrzech, w Bośnji, w Szwajcarji i w Niemczech. Ostatnio powstało jedno z najbardziej obiecujących w New-Jorku. Zrazu wskutek warunków gieograficznych towarzystwa te uprawiały przeważnie sport turystyczny w górach; to zacieśnienie działalności stowarzyszeń zostało usunięte na zebraniu ogólnem w Insbrucku w 1908 r.; zaczęto zakładać oddziały, działające i „na równinach". 150 oddziałów towarzystwa liczy 15 000 członków.

Wycieczki odbywane w góry nie mogły się ograniczać do jednego dnia, uczestnicy zmuszeni więc byli często korzystać ze schronisk górskich, a więc udawać się z prośbą po ulgi do stowarzyszeń burżuazyjnych, w których robotnik-turysta przeważnie uważany jest za parjasa. Wkrótce też powstał w łonie towarzystwa zamiar zbudowania własnego schroniska i zamiar ten został uskuteczniony wielkim nakładem wysiłków. W sierpniu 1908 roku w górach Tyrolu w okolicach Insbrucku powstało pierwsze schronisko robotnicze. Dziś jest ich więcej, przeważnie w Szwajcarji.

Składki w poszczególnych oddziałach towarzystwa wahają się między 3 i 4 mk. rocznie. Ze składek tych opłaca się koszta wydawania ilustrowanego pisma miesięcznego, koszta zarządu, fundusz pomocy; torowanie i utrzymywanie dróg i ścieżek oraz potrzeby miejscowe.

Zadania swoje Towarzystwo pojmuje bardzo poważnie. Nie idzie tu bowiem bynajmniej o piesze przewędrowanie możliwie wielkiej ilości kilometrów, lecz o zbliżenie do przyrody, od której się coraz bardziej oddalamy, o budzenie zainteresowania się przyrodą, pokazanie jej piękna, które istnieje wszędzie, czy na górach czy na równinach.

Czyż trzeba wskazywać wielkie korzyści, jakie robotnik niewątpliwie wyniesie z podobnych wycieczek? Wzmocnione zdrowie, siły i energja uzbroją go dostatecznie przeciw nieubłaganemu wrogowi gruźlicy, która czyha w zatęchłych kątach szynkowni, gdzie zmożony pracą robotnik spędza swe wolne chwile. Prócz tych wielkich nabytków w dziedzinie zdrowia fizycznego, turysta wzbogaca i rozszerza zakres wiadomości i wiedzę. Robotnik-turysta poznaje kraj i ludzi, zdobywa wiadomości gieograficzne, gieologiczne, przyrodnicze, zagłębia się w tajniki natury i staje się obserwatorem. Ileż przytem czeka go wrażeń, rozkoszy i zachwytu, skoro otworzą mu się oczy na całe to piękno natury, któremu niema równego. Trwa ono i przemawia do tych, którzy umieją patrzeć i odczuwać — zawsze: czy to w pierwszem zbudzeniu się wiosennem, czy w bujnym rozkwicie lata, czy w białe, ciche dni zimowe, kiedy drzewa i krzaki lśnią i migocą szronem w blaskach słońca.

* * *

I jeszcze jeden świat piękna otwarty został dla uświadomionych mas robotniczych. A otworzyły go „śpiewacze związki robotnicze". Tysiące lat sztuka była wyłącznym przywilejem klas posiadających. Był czas, kiedy burżuazja próbowała oddać wiedzę i sztukę na usługi proletarjatu, ale minął on wkrótce, kiedy klasa robotnicza wyzwoliła się politycznie od partji liberalnych. I dziś wysiłki w tym kierunku czynić musi sama. A nie są one łatwe. Z szeregów, zginających się pod jarzmem pracy, nie często wychodzą śpiewcy i artyści. W każdym razie, zaczynając od schyłku wieku 18, powstało wiele pieśnie, które utorowały sobie drogę do mas robotniczych i przez nie przyjęte zostały jako wyraz ich nastroju: we Francji Marsyljanka i Carmagnola, w Niemczech pieśni Herwegha, Freiligrata i innych. Licznie też zaczęły powstawać w Niemczech po r. 1870 robotnicze stowarzyszenia śpiewacze, ale niebawem rozwojowi ich położyły tamę prawa wyjątkowe, wprowadzone przez Bismarcka w 80 ych latach ubiegłego stulecia.

Dopiero kiedy w 1889 r. na międzynarodowym kongresie w Paryżu 1 maja uznany został za święto robotnicze objawiła się wśród robotników chęć uświetnienia tego święta śpiewem. Wkrótce też powstało w Niemczech „Stowarzyszenie śpiewacze Berlina i okolic", z którem połączyły się wkrótce wszystkie podobne stowarzyszenia niemieckie. Zadaniem ich było uprawianie śpiewu chóralnego, ze szczególnem uwzględnieniem pieśni wolnościowych i ludowych o wyraźnej tendencji. Wydawnictwo „śpiewaczej gazety robotniczej" szerzyło wykształcenie praktyczne i teoretyczne. Tą drogą przygotowane liczne chóry robotnicze stały się poważnym czynnikiem w ruchu politycznym i ekonomicznym. Prócz tych zadań, związki śpiewacze szerzą także zamiłowanie i zachęcają do uprawiania śpiewu czysto artystycznego. Zadaniu temu sprzyjają chóry mięszane, do których przyłączają się coraz chętniej kobiety i dziewczęta.

Usiłowaniem tych związków jest skupienie w swych szeregach całej uświadomionej rzeszy robotniczej, odciągnięcie jej od stowarzyszeń wyraźnie burżuazyjnych i stworzenie nowych placówek dla zorganizowanego działania. A wszystko to na drodze tak poczętnej w imię haseł tak pociągających, jak sztuka, piękno, twórczość.

Alma.

„Nowe Życie".

## Rozmaitości

**Osobliwa wieś.** Istnieje w Królestwie wieś osobliwa, w której niema zupełnie analfabetów, gdzie wszyscy bez wyjątku, mężczyzni i kobiety, starzy i młodzi, posiadają sztukę pisania i czytania, pomimo, że we wsi tej nie było i niema żadnej szkoły. Wieś ta — to Wola Orzechowa, w powiecie węgrowskim, w gubernji siedleckiej, w gminie i parafji Miedzna, w odległości 8 wiorst od miasta Sokołowa. O tem, kto i jak uczył czytać mieszkańców Woli Orzechowej, zebrał korespondent warszawskiej „Roli" następujące ciekawe szczegóły:

W owym zakątku kraju, na Podlasiu, prowadzi się hodowla owiec na większą skalę. Nie tylko dwory, ale i włościanie utrzymują większe lub mniejsze stada owiec, mając dla nich wspólne pastwiska. Włościanie jednej, a często i dwuch wsi sąsiednich, utrzymują kosztem wspólnym owczarza gromadzkiego.

Jest to zazwyczaj osobistość, posiadająca w hierarchji wioskowej wyższe znaczenie, znajdująca posłuch, ogólnie szanowana. Sprytni owczarze oddawna już wyzyskują to stanowisko, trudniąc się pokątnem leczeniem, znachorstwem, co im przynosiło i dotąd przynosi nieraz poważne dochody z łatwowierności ludzkiej.

Ale owczarz gromadzki w Woli Orzechowej, jaki się tam przed laty zgodził, całkiem inaczej sobie poczynił. Skąd przyszedł, skąd pochodził — nikt nie wiedział. Zdaje się, że owczarstwo praktykował w Wielkopolsce, albowiem w rozmowach swych wspominał często o gospodarstwach shłopskich „pod Prusakiem", o tamtejszych porządkach, drogach, mostach, kasach pożyczkowych i... oświacie ludowej.

Podczas lata, gdy pasał owce, wyciągał z sobą wszystkie dzieci ze wsi i uczył je z elementarza. Pastuszkowie krów nieopodal się pasących, także garnęli się do nauki.

Niezwykły ten owczarz w porze zimowej jeszcze gorliwiej pracę oświatową rozwijał. Zachęcał do uczenia się na elementarzu nie tylko dzieci, ale i dorosłych. Miał szczególniejszy dar przekonywania nawet najodporniejszych leniuniuchów o potrzebie nauki.

Kiedy z roku na rok liczba umiejących czytać we wsi wzrastała, owczarz wstydził resztę opieszałych i zniewalał do zdobycia umiejętności czytania.

— Nie umrę spokojnie — mówił też często — póki choć jeden człowiek w Woli Orzechowej pozostanie ciemnym.

I dwudziestokilkoletnia praca oświatowa dziwnego owczarza wydała plon obfity, dający się stwierdzić z łatwością. Wieś bez analfabetów odcina się, niby jako oaza, od całokształtu szarego zakątka tej okolicy kraju. Gospodarstwa włościańskie są tam intenzywniej, niż w sąsiednich wsiach, prowadzone. Domostwa i inne budynki pokaźniej-

sze, schludniejsze, z sadami owocowymi i pasiekami, mile wpadają w oko. Obok zwiększonej zamożności i stan moralny wsi góruje nad innemi siołami.

— To szczera prawda, że w Woli Orzechowej niema ani jednego analfabety — powiedział interpelowany w tej sprawie przez korespondenta proboszcz miejscowej parafji, dodając:

— Pokażę panu grób tego, który to sprawił.

— Więc ów pasterz gromadzki?

— Umarł przed rokiem, a ten oto piękny krzyż, który niedawno na mogile szlachetnego człowieka poświęciłem, ufundowała mu gromada wdzięcznych wólczan. Napis na krzyżu lapidarnie wymowny: „Naszemu Oświecicielowi."

A imię i nazwisko tego cichego, ofiarnego oświeciciela wioskowego?

Teraz, gdy mu już nie grozi kara za tajne nauczanie z elementarza, można podać do publicznej wiadomości, że pasterz gromadzki owiec, twórca wzorowej wsi polskiej bez analfabetów, nazywał się: Piotr Banasiuk.

* * *

**Podróż mnicha Heljodora.** Mnich Heljodor, który w ostatnich czasach zwraca na siebie znów ogólną uwagę coraz to nowemi ekstrawagancjami, wyruszył obecnie z Carycyna na pielgrzymkę do klasztoru w Saratowie. W pielgrzymce tej towarzyszy mu około 1500 ludzi, wśród których mężczyzn znajduje się około stu. Resztę armji stanowią kobiety, dziewczęta i starcy.

Cała armja, zbrojna w potężne kije, wzbudza w każdem z miast lęk i trwogę, która dochodzi do tego, iż w kilku miejscowościach zamykano sklepy w obawie pogromu.

Kazania, jakie w każdem mieście wypowiada Heljodor, złorzecząc innowiercom i żydom, wzbudzają wprost podziw.

Poniżej przytaczamy za gaz. „Riecz" jeden z bardzo licznych epizodów tej klasycznej podróży, mianowicie przemowę do tłumów, wygłoszoną na stopniach soboru w Saratowie:

Kiedy tłum zbliżył się do soboru, Heljodor wbiegł na najwyższy stopień i głośno zawołał:

— Towarzysze, podnieście kije i dębiny!

Tłum wzniósł ku górze kije, na całym placu nastała chwila ciszy.

— Ha, ha — zawołał wesoło Heljodor — nie bójcie się, nie będziemy was bili. Kije potrzebne są nam jedynie jako podpory.

Następnie Heljodor wysłał jednego z członków pielgrzymki, aby zbierał ofiary, gdy jednak ofiary napływały zbyt skąpe, pobożny mnich wypowiedział piorunującą mowę, przepowiadając Saratowowi los Sodomy i Gomory.

Współpracownik „Russk. Słowa" nadesłał do tego pisma dłuższą korespondencję z Carycyna, w której charakteryzuje Heljodora jako obłąkańca, co przyznają nawet i trzeźwiej patrzący mnichowie. Co się tyczy tłumu jego patrjotycznych wyznawców, to według charakterystyki owego korespondenta są to ludzie, stojący na najniższym, niemal pierwotnym stopniu kultury.

* * *

**O cyganach.** W ostatnim czasie profesor Bigau w Hamburgu miał ciekawy odczyt o cyganach, z którego podajemy niektóre wyjątki:

Cyganie istnieją we wszystkich państwach europejskich, najwięcej ich zaś jest na Węgrzech, około 300 tysięcy. Belgja liczy cyganów 20 tysięcy, Hiszpanja 50 tys., Bałkany 250 tys. W Europie naliczają 13 plemion cygańskich.

Pozatem zamieszkują oni Syberję, Azję, Persję, północną Afrykę i Amerykę oraz Brazylję. W Europie cyganie pojawili się naprzód w Niemczech (w r. 1417).

Charakter ich i wówczas był taki sam, jak dzisiaj: spekulują na łatwowierności prostych ludzi, podają siebie za pielgrzymów z Egiptu, odbywających siedmioletnią podróż za odkupienie grzechów swych przodków. Rząd niemiecki z czasem zaczął prześladować cyganów i król pruski Fryderyk Wilhelm wydał nawet prawo, pozwalające każdemu powiesić spotkanego cygana. Przeciwnie było w Polsce. Cesarzowa rosyjska, Katarzyna II, pozwoliła cyganom osiedlać się w całej Rosji. Mowa cygańska należy do narzeczy indyjskich. Z Indji, ojczyzny swej, wygnani zostali około roku 1000.

Obecnie mowa cyganów nieco się różni wskutek tego, że formują oni żargon stosowny do kraju, gdzie mieszkają. Słowo „cygan" jest jednakowe prawie we wszystkich dzisiejszych językach.

Część cyganów prowadzi życie osiadłe w miasteczkach, większość jednak wędruje z miejsca na miejsce.

W Niemczech cyganie zajmują się przeważnie hodowlą koni — w Austrji również znani są z „uprawiania przemysłu końskiego". Kobiety przeważnie żebrzą i zajmują się wróżbiarstwem. Głównem jednak zajęciem cyganów zawsze była sztuka kowalska. Oprócz tego niektórzy plotą kosze, robią szczotki i miotły, tresują małpy i niedźwiedzie, zajmują się akrobactwem, muzyką i t. p. Osobliwością cyganów jest to, że mężczyzna, żeniąc się, przybiera nazwisko żony i przechodzi do jej rodziny.

Część cyganów wyznaje wiarę chrześćjańską, część kłania się bożkom słońca, mgły i wiatrów.

* * *

**Małpia uczta.** Do czego dochodzi dziś bezmyślność bogaczy, dowodzi następujące opowiadanie: Korespondent londyński „Curriere dela Sere" opowiada o niezwykłym „fife-o-clock'u, na którym niedawno był obecnym. Takie popołudniowe przyjęcie chyba jeszcze się nie zdarzyło w angielskiem towarzstwie arystokratycznym: „fifi-o-clock'e, na którym głównymi gośćmi i gospodarzami byli nie ludzie, lecz — małpy.

Przyjęcie owe urządzone zostało dla reklamy przez gazetę „Daily Mirros" i miało ogromne powodzenie. Nigdy chyba pod jednym dachem nie zgromadziło się tyle tresowanych małp, różnorodnych gatunków i z różnych części świata, co tym razem.

Wielka sala hotelu, wynajęta dla niezwykłego bankietu, sprowadziła arystokrację małpią niemal że z całej Anglji. Zgromadzono ich ani mniej, ani więcej, tylko 120, a wszystkie małpy otrzymały zaproszenia imienne. Zarazem z niemi przybyli ich właściciele, dżentelmani i ladies, którzy zajęli skromne miejsce na boku. Pierwsze miejsca oddano małpom.

Zaproszenia rozesłano w imieniu młodego goryla, który witał gości w białym smokingu. Goryl siedział na wysokim fotelu, mając po prawej ręce guwernantkę a po lewej — sekretarza. Gospodarz główny, należący zresztą do gatunku „homo sapiens", obwieszczał głośno imiona gości, którzy wchodzili pod rękę ze swymi właścicielami. Goryl, przyglądając się gościom z zaciekawieniem, podawał rękę mężczyznom, a przed damami składał poważne ukłony.

Wszystkich gości proszono, aby stawili się przyzwoicie odziani. Niektórych ubierano przed wejściem do sali. Nie wszystkim małpom to się podobało i głośny protest, który słyszano w sali, dowodził, że wiele małp, nawet tresowanych, nie stoi na wysokości cywilizacji.

Kiedy goście się zgromadzili i usadowili, podano herbatę. Przedstawiciele rodzaju ludzkiego zasiedli obok i cieszyli się, z jakiem zadowoleniem małpy chrupią orzechy i zagryzają je cukierkami. Na zakończenie pojawiły się na estradzie dwie najmniejsze małpeczki, które odegrały z wielkim talentem parodję, ułożoną na życie ludzkie.

Następnie goście z całą powagą pożegnali się i rozeszli.

O oryginalnym „fife o-clock'u" bardzo wiele teraz mówią w londyńskich kołach światowych i niewątpliwie, że „herbatka z małpami" stanie się na pewien czas modną.

---

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 33. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 19 sierpnia 1911.

Ludwik Stanisław Liciński.

## „DZIWNE RZECZY“.

Czy znacie te ciasne warszawskie zaułki z wypaczonemi jak dusze ludzkie brukami? te wąskie uliczki, spadające od Starego Miasta na dół ku Wiśle kamiennemi schodami? Czy znacie ten długi apatycznie zimny rynsztok, zwany Rycerską ulicą, gdzie brudne, nieotwierane nigdy okna lupanarów przyglądają się sobie z dwóch stron zaułka takiemi pełnemi rezygnacji oczami, jak wystające w sieniach upiory kobiet?

Tam — w sąsiedztwie tych mętów, zasłaniających się niedbałą dłonią od eleganckiego życia — w jednej wilgotnej norze, zwanej kawalerskiem mieszkaniem — spędziłem wiele, wiele samotnych nocy.

Na schodach ulicy pod mojem oknem rozgrywały się przerażające sceny — błyskały i krwią się czerwiniły noże, szamotały się i przewracały w zaciętych walkach ciała, wstawały i umierały jęki, tarmosiły się i buchały klątwo, pluskała i chlupała krew, wyła i trzęsła się chrapiąca, brutalna miłość.

Warszawa używała życia i darła się całym rozpędem młodej energji w samo centrum europejskiej cywilizacji: wydawała co rok pół uczonego i tysiąc dziennikarzy, Warszawa nie szczędziła ani jednego wysiłku, aby stworzyć wielki handel i wielką nędzę, Warszawa stała się rozpieszczonem dziecięciem kultury — codzień poeci i lekarze pili czarną kawę i robili poezję i medycynę — codzień pod mojem oknem rozgrywały się fatalne, przerażające sceny. Człowiek przywyka do wszystkiego. Traci najpierw sen i apetyt, burzy się i szamoce, przeklina i odwraca się ze wstrętem... Powoli, powoli wyżłabiają się w nim takie nic nie znaczące brózdy — brózdeczki, traci nieco wagi ciała, które nie nabędzie już nigdy, ale obojętnieje już na wszystko, nie dziwi się niczemu — owszem dziwi się tylko, że mógł się był kiedyś dziwić.

Pod oknem mojem rozgrywały się codzień sceny, które mi powykręcały wszystkie moje dobre i wygodne zasady; rozgrywały się sceny, które zzezowaciły mi na całe życie oczy, jednak dziwnie stwardniałem, zesztywniałem...

Z głuchym spokojem przechodziłem, gdy mi siedmioletnia dziewczynka miłość lesbijską proponowała — nie odwracałem się nawet.

Nie dziwiłem się, gdy matka targowała z faktorką o cenę córki.

Widziałem pięcioletniego cherubinka, zapraszającego do mamusi na łóżeczko... I szli... A cherubinek wódkę łykał i papieroski palił. — Przytem kląć umiał takim wyuzdanym językiem, co to gości bawi... Często na piwo mu wyrzucali...

Widziałem ośmioletniego szczeniaka, co zabawiał się nieprzyzwoicie z młodszą siostrzyczką. — Ojciec prał małego i siniaczył... Szczenię poczuło w sobie bunt — pyrnęło starego nożem... Sprawa nie oparła się jednak o cyrkuł — tu wszystko załatwia się w domu... Ojciec połamał szczeniakowi nogi... W ten sposób uszczęśliwił go — dał mu na całe życie kawałek chleba — dziecię z połamanemi nogami zarabia odtąd żebraniną i odtąd jest magnatem w swojej sferze.

Widziałem dzikie, panią ziejące zemsty i roztrzęsione w bójkach bezkształtne kawały mięs ludzkich, widziałem pijackie orgje chuci rozbechtanych, widziałem bunt i zwyrodnienie, krzywdy i zbrodnie — z dnia na dzień tłukły się pod mojem oknem — straszne, rozbabrane we własnem grzęzawisku.

Przesuwały się koło mnie, jak kronika, którą się czyta kartka po kartce — z napiętą uwagą. Na widowni dziejowej tętnią rozhukane rumaki wypadków... Już przeszły, już miejsca innym ustępują...

Tak przechodziło koło mnie wszystko, ale już nie porywało stylem — zastawało mnie raczej drętwego, zimnem skupieniem otoczonego.

Raz jeden jedyny chciałem wydrzeć pomiętą kartę tej krwawej kroniki i podeptać ją — już, już wyciągnąłem rękę — i cofnąłem się w poczuciu własnej niemocy... A kronika ugrzęzła mi w sercu na długo...

Czekajcie! — odczytam.

Północ, zda się, już była... Siedziałem na oknie i bawiłem się w jakieś bezsensowne porównania. Coś, w rodzaju tego: Księżyc na niebie, a ja na oknie... To mnie ogromnie śmieszyło... Nie znaczy przeto, abym się śmiał, lub był usposobiony choćby do śmiechu, a poprostu, tylko śmieszyło... to znaczy: było mi, jak zwykle, cokolwiek niewygodnie na świecie. Nie miałem zresztą żadnych wrażeń, starałem się też nie miewać żadnych myśli... Siedziałem więc na oknie i robiłem bezsensowne porównania... Ja byłem na oknie a księżyc na niebie.

Naraz krzyk... Nie! nie krzyk... zgrzyt jęku, a raczej nawet nie jęku — pisku może — przydławionego wycia... Ale to nie określa jeszcze tego, co słyszałem... Rozpacz, przerażenie, wstręt, ohyda... ale i to nie odmaluje barwy tego rozdartego dźwięku... Zakołysał się i zastygł... pękł, połamał się w jakieś ciche bydlęce jęki...

Wyjrzałem przez okno...

Na schodach leżała dziewczyna. Dwóch pijanych drabów trzymało ją... Trzeci gwałcił, powtarzając czkającą chrypką:

— Nie bój się, djabli cię nie wezmą.

— Precz psubraty, bo strzelam! — krzyknąłem.

Draby parsknęli wesołym śmiechem.

— Chodź! psia twoja pieska mać — wołał jeden, pokazując mi ostrze noża.

Wybiegłem z mieszkania... W każdym nerwie czułem tysiące wbitych szpilek...

Gdy znalazłem się na schodach zaułka, dziewczyna biegła już pod górę, przesadzając po pięć stopni naraz. Było to może piętnastoletnie dziewczę zaledwie... Schwyciłem ją za rękę, bo zdało mi się, że jej pomóc mogę... Silnie przyciągnąłem ją do siebie, aż się zachwiała i nie upadła omal.

Przebiła mnie zzieleniałym wstrętem skrzywdzonego

dziecka i popchnęła. Runąłem, wycinając głową o kamień... Dziewczyna pomknęła...

Niżej, podemną stali złoczyńcy... Z ciekawością przypatrywali się całej scenie... Podniosłem się — z głowy broczyła mi krew... Stałem w milczeniu, nie mogąc zebrać myśli... Oni przywlekli się do mnie i zatrzymali się.

— A to cię gabnęła — zaśmiał się jeden z nich. Drugi wpatrzył się we mnie i rzekł:

— A to tyś, brachu, z okna ryczał?

Nie odparłem mu nic.

— A co? przedziurawić cię?

Wtwarzył się w moją twarz, błyskając mi przed oczami ostrzem noża.

Wyjąłem bezwiednie rewolwer i podałem mu go, sam nie wiedząc, czemu to czynię.

— Masz i to... nie boję się ciebie.

— Daj mu spokój — rzekł naraz trzeci...

— Poznałem w nim gwałciciela... Prawdopodobnie ocalał mi teraz życie... Nigdy nie zapomnę jego naiwnych, szeroko rozwartych oczów...

Poszli wszyscy trzej pod górę... Ja wlokłem się bezmyślnie na dół... Oto moje okno nademną. Pod oknem miejsce zbrodni. Na schodkach stłuczona butelka... Nachyliłem się... Recepta... Data zaledwie dzisiejsza... Więc ktoś chory, może umierający...

Niosła lekarstwo... Ale dla kogo?

Nie miałem się już nigdy dowiedzieć, kto była dziewczyna. Poznałbym ją w tysiącu kobiet.

* * *

Od tego wypadku wiele czasu minęło. Po sercu mojem deptały inne wstrząśnienia... Los zdążył mną rzucać po świecie — na prawo i na lewo — do góry i na dół... W pamięci zacierała się kronika Starego Miasta, ustępując miejsca innej, jeszcze zawilszej...

I znowu się znalazłem na warszawskim bruku. Zamieszkałem jednak teraz w dzielnicy rękawiczek i parasolek... Zbrodnie i krzywdy nie wyły już pod mojem oknem... Chodziły zlekka już tylko podkasane, ale opięte według ostatnich wzorów mody... trochę wstążeczek... trochę piórek...

Mieszkanie moje było suche i słoneczne... Rozkoszowałem się niem tydzień i drugi... Naraz poczułem, że mi rdzewieje serce... Sen już odleciał od mojego łóżka... Zacząłem tęsknić za Starem Miastem.

Wkrótce znalazłem towarzysza... Towarzysza nie zawsze łatwo znaleźć.

Janusz znał wszystkie jamy i wertepy gruntowniej niż ja... Rozbratany ze światem krzywdy tragedją talentu dusił się w swoim schludnym, wypieszczonym przez matkę pokoiku i zamierał.

Otrzymana od natury rzewność poparzyła się punktualnością obiadów i śniadań, wytwornością i ogładą uśmiechów...

Janusz uciekał na Stare Miasto, na Kanonję i Rycerską; na Mostową i Bugaj, na Furmańską i nad Wisłę.

Zwiedzaliśmy razem lunapary i szynki, włóczyliśmy się nocami po piaszczystych brzegach Wisły, obchodziliśmy imieniny prostytutek, zapijaliśmy się wstrętną, cuchnącą wódką z nożowcami...

Janusz z nieporównanem mistrzostwem grał na sercach, umiał wydobywać najsubtelniejsze strunki, najdelikatniejsze drgnienia.

— Janusz! psia twoja mać! — mówił nożowiec Lichtarz, przeważnie Lichtą zwany — ja za ciebie, cholera — chyba duszę bym wytrząsł...

Lichta był od dłuższego czasu naszym przyjacielem... Przez Lichtę poznawaliśmy całą jego sferę...

Lichta otaczał nas braterską prawie opieką i psiem przywiązaniem...

Lichta odkrywał oczom nasym całą swoją załachmanioną duszę — skiba po skibie — kawał po kawale.

— Macie! — frajerska dola wasza! — gnidki jedne! To wam Lichta gada... Zapamiętajcie sobie...

Lichta był prawie niedostępnym towarzyszem naszych wycieczek.

* * *

I zdarzyło się razu pewnego, że Lichty nie znaleźliśmy...

Szukaliśmy tu i owdzie, gdzie mógł być, gdzie niemal powinien być... Ani śladu...

Poszliśmy na Kanonję...

Była może dwunasta, może później...

Posiedzieliśmy z pół godziny na kamieniach...

Stróż nocny wdał się z nami w gawędkę...

Dowiedzieliśmy się, że ma czworo dzieci... Najstarsza córka „w łajdactwo się wdała"...

Wypalił z nami kilka papierosów...

Poszliśmy na Rycerską...

Przed sienią na ziemi siedziało pijane nieszczęście... Paliła papierosa i nęciła nas chrypką... Tuż przy samym murze leżało kilka łachmanów... Nie dziw — noc była letnia... Na odgłos naszych kroków łachmany poruszyły się i zagadały... Wyjrzały z pod chustek twarze...

— No co?

— My właściwie — rzekł Janusz — szukamy przyjaciela.

— Głupi na! — zawarczała jedna.

Łachmany otoczyły nas w koło. Poczęły nas ciągnąć za ręce, nachylać się do naszych twarzy.

— No, zróbże pan początek,

Sięgnęliśmy do kieszeni... Zaczęliśmy rozdawać po złotówce — po czterdzieści groszy... „Na początek"...

Ręce się od nas odsunęły...

— Dobre i to — rzekła któraś.

Były zadowolone, ale nie zadziwione. Tam nic nie dziwi. Tylko siedząca jeszcze przed sienią wyciągała rękę i zapraszała:

— No? może do mnie?

— Nie! — odparłem...

Jednocześnie podawałem jej złotówkę...

— A to po cholerę? — zachrypiała...

— Nic... tak... pożyczam...

— A bo to ja pana znam? Dorzuć pan drugą złotówkę i chodź.

— Nie mogę...

— No to idź pan na zbity łeb...

— Masz... oddasz kiedy — mówiłem...

Porwała nagle pieniądz i trzasnęła mnie nim w ucho...

— Masz na śmiertelną koszulę.

Z leżącej na ziemi kupy wydarł się śmiech.

Janusz pociągnął mnie za rękę...

* * *

Stare Miasto objęte ciszą stało jak człowiek, co stanie i słucha...

Szliśmy powoli... Po chodniku przechadzał się tam i napowrót jakiś człowiek... Przystawał, gdyśmy go wymijali — powracaliśmy — on znowu chodził...

— Alfons pewnie — szepnął Janusz — podejdźmy do niego.

— Dobrze...

Podeszliśmy...

— Przepraszam bardzo pana — mówił Janusz — możeby pan nam pomógł?

Uśmiechnął się ironicznie. Miał zresztą piękną melancholijną twarz bruneta i wyglądał z tym uśmiechem jak królewicz.

— Pomóc panom? A to w czem?

— Widzisz pan, ja sam nie wiem, jak to panu wytłomaczyć?... Chcielibyśmy no... spędzić parę godzin w miłem towarzystwie...

— Tak? no... no... a Nowy-Świat? A Krakowskie?

— Właśnie idziemy stamtąd... Za nudno...

— Zamierzaliśmy — wtrąciłem — do Kawałka... Ale nie pamiętamy, pod którym numerem. Byliśmy wtedy zupełnie pijani...

— Do Kawałka? no, no... to mi dziwno... nie słyszałem... A kiedyż panowie byliście u tego Kawałka?

— Niedalej jak miesiąc temu.

— Miesiąc?... hm... no i tak? we dwóch?... jak teraz?

— E, nie! zaprowadził nas tam nasz przyjaciel Lichta.

— Przyjaciel Lichta? Także nie znam... A skądże panowie poznali jakiegoś tam Lichtę?

— O, panie! to już stare dzieje... U Gulasa.

Nieznajomy zdumiał się na chwilę. Gulas był to zbieg — recydywista z ciężkich robót. Znać Gulasa, znaczyło to być albo policją, albo nożowcem. Trudno mu widocznie było zaliczyć nas do którejbądź kategorji.

— Gulas? — rzekł z dawnym uśmiechem — także nie znam. Ale o co panom właściwie chodzi?... Napić się chcecie?

— No... i napić.

— A to proszę...

(Dokończenie nastąpi.)

# Wrażenia z wycieczki kooperatystów za granicą.

Pod tym tytułem zamieścił warszawski tygodnik kooperatystyczny „Społem" szereg ciekawych artykułów o stosunkach i rozwoju konsumów za granicą, z których treścią pragniemy również i naszych czytelników zapoznać:

W sierpniu 1910 r. wybrało się kilkunastu rosyjskich kooperatystów na kongres międzynarodowy do Hamburga. Korzystając ze sposobności, postanowili zwiedzać sklepy, składy i fabryki współdzielcze w Niemczech, w Belgji i w Anglji. Wrażenia i uwagi z podróży, oraz opis najciekawszych instytucji kooperacyjnych zebrał po powrocie do Rosji p. J. Wołoszynowski, z którego notatek korzystamy, podając tutaj opis głównych instytucji współdzielczych. Świadczą one o tem, jaką potęgą już dzisiaj stał się ruch współdzielczy w Europie Zachodniej. Nas powinny one przepełnić otuchą i ochotą do pracy na polu kooperacji. I oni, tam w Anglji, w Belgji i w Niemczech, zaczynali przecież od małego. Kiedy członkewie wycieczki, obejrzawszy olbrzymie składy współdzielcze w mieście Manczesterze w Anglji, wyrażali się o tem, jak wiele dokonali już kooperatyści angielscy, wtedy pan Sziliton, przewodniczący zarządu, osiemdziesięcioletni, siwiutki starzec odezwał się w te słowa: „Wszystko to, coście, panowie, tu widzieli, jest owocem pracy 60 letniej, pracy ciężkiej i wytrwałej. U was kooperacja stawia pierwsze kroki, ale gdy społeczeństwo zrozumie korzyści ruchu współdzielczego, to kooperacja dojdzie do tego samego stopnia rozwoju i w waszym kraju".

Członkowie wycieczki zjechali się na początku sierpnia w Warszawie. Oprowadzał ich redaktor naszego pisma, p. Wojciechowski. Poczem udali się w dalszą podróż. W Skalmierzycach przejechali granicę. Przesiadłszy się do drugiego pociągu, zaraz zauważyli niezwykłą czystość. Ludzie nie plują tam na podłogę wagonów, ani nie rzucają ogarków cygar i papierosów. Niema śmieci, łupin i papierów. Nadzwyczajna czystość panuje nawet w ustępach. Znajduje się w nich umywalka, obok której leżą cieniutkie plasterki mydła, każdy z nich starczy do jednego umycia rąk. Nad umywalką szafka z małemi ręcznikami do jednorazowego użytku — tak, aby nie potrzeba wycierać się ręcznikiem zabrukanym przez innych.

„Myjąc się w niemieckim wagonie — pisze sprawozdawca z wycieczki — myślałem: dlaczego to u nas niema takiej wygody w pociągach? U nas ludzie nie są przyzwyczajeni myć się mydłem, a ręczniki i mydło kradliby tak, że kolej nie mogłaby ich nastarczyć".

Pociągi w Niemczech chodzą z szybkością od 75—90 wiorst na godzinę i nigdy nie miewają opóźnień. Trzeba też dobrze pilnować godziny, gdyż dzwonka niema. Naczelnik stacji trzyma w rękach tabliczką okrągłą z rączką. Gdy tabliczkę podniesie, pociąg natychmiast rusza.

Wrocław to miasto ongiś polskie, dzisiaj prawie całkiem zniemczone. Ma pół miljona mieszkańców. Miasto bogate, handlowe i bardzo czyste.

Słynne dzisiaj i potężne Towarzystwo Spożywcze we Wrocławiu w r. 1866, czyli 44 lat temu, miało członków 420. Kapitał udziałowy wynosił zaledwie 3389 marek, obrót 36 783 mk., zysk 1734 mk. A więc początek wcale skromny. Zaś w r. 1909 Kooperatywa wrocławska liczy 93 190 członków, kapitału udziałowego 3 174 237 mk., obrotu 21 457 679 mk., czystego zysku 2 512 740 mk., kapitału rezerwowego 670 320 mk. Mały sklepik z przed laty czterdziestu wyrósł dzisiaj na potężną instytucję współdzielczą, która posiada własny skład główny i 75 sklepów spożywczych, 4 składy węgla, piekarnię, fabrykę wody selcerskiej, sodowej i własny młyn, w którym palą, mielą i pakują kawę. W tej kooperatywie pracuje 888 ludzi. Posiada ona 40 koni i 126 furgonów do rozwożenia po sklepach pieczywa, węgla, kawy i innych towarów.

Współdzielcza piekarnia kooperatywy wrocławskiej posiada 22 piece, z których każdy wypieka po 132 bochenki na godzinę*). Piekarnia pracuje przez całą dobę, a większą część pracy zamiast ludzi spełniają maszyny. Piekarnia zakupuje mąkę z siedmiu młynów. Ażeby mąka była jednostajną, wrzuca się ją do ogromnej mieszalni, w której mięsza się ją tak długo, aż wszystkie gatunki zamienią się na jeden. Worki dostają się do innej maszyny, którą je wytrzepuje i wyrzuca czyste, jak nowe. Mąkę, już zmięszaną, wsypuje się do maszyn, gdzie się bez pomocy rąk ludzkich rozczynia, mieci, gdzie rośnie póty, aż wychodzi z nich jako gotowe już ciasto. Ciasto wsuwa się na automatyczną wagę, która sama je waży i wyrzuca w kawałkach 4 i pół funtowych. Ciasto zważone spada na długi pas płócienny, na którym stoją stolnice i teraz dopiero dostaje się w ręce ludzkie. Robotnicy robią z niego bochenki i kładą z powrotem na stolnice. Wtedy pas zaczyna się poruszać i podsuwać bochenki aż do pieca, gdzie wsadzają je na wielką deskę. Na takiej desce mieści się po 66 bochenków, a każdy piec przyjmuje chleb z dwóch desek. Po godzinie wyjmuje się bochenki, składa na wózki, które po szynach przewożą chleb do pakowni. Tutaj wkłada się pieczywo do krytych furgonów i rozwozi na miasto do sklepów spożywczych.

Piekarnia pracuje całą dobę, na trzy zmiany, czyli, że każdy robotnik pracuje 8 godzin, a 16 godzin wypoczywa. Ale przez te 8 godzin musi pracować rzetelnie, gdyż maszyny nie zostawiają mu ani chwili wolnej. Musi bez przystanku robić, co do niego należy; bo maszyna nie czeka. Na obiad ma pół godziny czasu. Piekarze zarabiają 27 mk. tygodniowo, prócz tego otrzymują bezpłatnie chleb dla siebie i rodziny.

Piekarnia wrocławska jest wzorową pod względem czystości. Gdy robotnik przyjdzie na robotę do fabryki, musi przedewszystkiem pójść do osobnej izdebki z wanną. Tam zdejmuje ubranie, kąpie się i wdziewa czyste, codziennie świeżo wyprane ubranie fabryczne. Nawet na obiad nie wolno mu wyjść z fabryki, ażeby się nie zabrudził. Jeżeli idzie do ustępu, to wracając do roboty, musi umyć ręce. Jest do tego przeznaczony osobny funkcjonarjusz dyżurny, który pilnuje, aby robotnik zaraz umył ręce. To też robotnicy tam zdrowi, a w fabryce jest tak czysto, że trudno sobie wyobrazić większą staranność pod każdym względem. A rzecz to przecież ogromnie ważna, azeby pieczywo, którem żywią się setki tysięcy rodzin, było czysto i zdrowo zrobione.

*) O ilości chleba wypiekanego daje pojęcie fakt, że największa ilość chleba, jaką wypieczono w dniu 20-go listopada 1910 r. wynosiła 57 705 bochenków,

## Rozmaitości

**Swiat w cyfrach.** Paryskie biuro gieograficzne wydało świeżo rocznik statystyczny świata, czyli księgę, w której są zestawione obliczenia, dotyczące krajów i ich mieszkańców na całej kuli ziemskiej.

Z rocznika tego okazuje się że Europa liczy 437 miljonów mieszkańców, Azja 851 miljonów, Afryka 126 miljonów, Ameryka 161 miljonów a Australja 51 miljonów mieszkańców.

Co do obszaru największą jest Ameryka, zajmuje bowiem 44 miljony kilometrów kwadratowych, po niej Azja o powierzchni 41 miljonów kilometrów kwadratowych, następnie Afryka 31 miljonów kilometrów kwadratowych, Australja 11 miljonów kilometrów kwadratowych, ostatnie zaś miejsce zajmuje Europa o powierzchni 10 miljonów kilometrów kwadratowych. Ale zato w Europie przypada przeciętnie 43 mieszkańców na 1 kilometr kwadratowy, w Azji 20 mieszkańców, w Ameryce 5, w Australji 3, w Afryce ledwie 2 mieszkańców na kilometr kwadratowy.

Cała kula ziemska, ale bez oceanów, ma 138 miljonów kilometrów kwadratowych. Oceany zaś zajmują 374 miljony kilometrów kwadratowych powierzchni, z czego na ocean Atlantycki, oddzielający Amerykę od Europy i Afryki, przypada 100 mil. klm. kwadr.

Gdyby ląd stały wszystkich części świata gęsto był zaludniony, jak w Europie, to na całym świecie byłoby 6 miljardów ludzi, czyli 6000 miljonów, a jest tylko 1600 mil. Ma tedy rodzaj ludzki dosyć jeszcze miejsca na ziemi.

Największe państwa co do zajmowanej powierzchni są następujące: Anglja wraz z kolonjami, Rosja, Chiny, Francja (z kolonjami), Stany Zjednoczone Ameryki północnej, Brazylja, Turcja, Niemcy, Argentyna, Belgja, Danja, Portugalja, Holandja.

Pod względem zaś ludności porządek państw tak się przedstawia: Anglja 403 miljony mieszkańców (z kolonjami), Chiny 350, Rosja 142, Stany Zjednoczone 98, Francja 81, Niemcy 78, Japonja 62, Austro-Węgry 50, Holandja 44, Turcja 38, Włochy 35, Belgja 27, Hiszpanja 20 mil.

Największe miasta: Londyn 7 miljonów mieszkańców, Nowy Jork 4, Paryż blisko 3, Chicago 2, Berlin 2, Wiedeń 2, Petersburg 1 i pół, Konstantynopol 1, Pekin w Chinach 1 mil. mieszkańców.

Do najdłuższych rzek należy Nil w Afryce (Egipt), ma 850 mil długości, Amazonka w Ameryce Południowej (w Brazylji) 730 mil długości, taką samą długość ma rzeka Jenisej w Azji, (Syberji), w Europie zaś najdłuższą rzeką jest Wolga (w Rosji), ma 530 mil długości.

Z budowli najwyższą jest wieża Eiffel w Paryżu, ma bowiem 300 metrów wysokości. — Drugie miejsce zajmuje obelisk (słup kamienny) w Washingtonie w Ameryce o 169 metrach wysokości. Wieża katedry w Kolonji ma 156 metrów wysokości.

* * *

**Sól środkiem na upały.** Kwestja powietrza nie jest teraz bynajmniej banalnym tematem w Europie, raczej „sprawą palącą", w literalnem zarówno, jak i przenośnem znaczeniu. Rozpisują się o niej wszystkie pisma, podają hiobowe wieści. Dowiadujemy się o wysokich stopniach temperatury, o liczbie porażeń słonecznych wśród ludzi i zwierząt, dowiedzmy się zatem i o sposobie przeciwdziałania tym wypadkom. Będzie to wiadomość pożyteczniejsza od utyskiwań i lamentów.

Znany hygjenista i estetyk monachijski, dr. Jerzy Hirth, na podstawie długich badań doszedł do wniosku, że przyczyną porażenia słonecznego jest tak zwany przez niego „głód soli". Skutkiem transpiracji, sól zawarta w organizmie, wyparowuje w ilościach od 0,65 do 0,8 proc., wyczerpuje się więc jej zapas, w organizmie powodując zmiany w obiegu krwi i znaczne osłabienie. Dr. Hirth radzi zastrzykiwać wodę, zaprawną solą kuchenną. Wniosek ten został poddany rozważeniu lekarzy, którzy mu dali swą sankcję, nadmieniając, że już przed kilku laty profesor Gärter z Wiednia stosował wstrzykiwanie wody słonej podczas upałów z nader korzystnym wynikiem.

* * *

**Student zbrodniarzem.** W Strassburgu w Alzacji napadł przed kilku dniami młodzieniec jakiś na schodach pewnego domu listonosza pieniężnego Zachera, zadając mu z tyłu głowy silny cios młotkiem. Napadnięty miał jeszcze tyle sił, że zaczął szamotać się z napastnikiem i wzywać o pomoc, a gdy zwabieni hałasem lokatorowie zaczęli podążać na miejsce wypadku, wyjął zbrodniarz błyskawicznym ruchem browning z kieszeni i zadał sobie śmierć na miejscu. W zmarłym zbrodniarzu rozpoznano 24 letniego studenta medycyny Hermana Hoffmana z Bydgoszczy, syna poważanej urzędniczej rodziny. Młodzieniec, który studja odbywał w Berlinie, zaczął tutaj wieść życie nieporządne, zadając się z dziewczętami ulicznemi, mimo że miał stały stosunek z sprzedawaczką jakąś, która dzieliła się z nim zarobkiem. Hoffmann staczał się coraz niżej, aż teraz uwieńczył zmarnowane życie zbrodniczym napadem na listonosza a w dalszej konsekwencji — samobójstwem.

* * *

**Wąż w kościele.** Niezwykły wypadek opisują pisma amerykańskie. Wypadek ów zdarzył się niedawno temu w stanie Florydzie, w tamtejszym kościele protestanckim. Gdy w niedzielę zeszli się wierni na nabożeństwo i pastor wszedłszy na ambonę rozpoczął kazanie, naraz wśród uroczystej ciszy rozległy się okrzyki przerażenia: „Wąż jadowity! wąż jadowity!" I istotnie, ogromny wąż, który widać szczeliną drewnianej świątyni wkradł się do wnętrza, pełzał szybko, rozjuszony, samym środkiem podłogi kościelnej. Najbliżsi ludzie, zobaczywszy węża, oniemieli z przerażenia, w dalszych częściach kościoła zapanował straszny popłoch. Wszystko struchlało z trwogi. Wreszcie jeden z mężczyzn, uzbrojony w żelazną łopatę, rzucił się na gada, a drugi tymczasem, wyciągnąwszy rewolwer, celnym strzałem w łeb położył go trupem. Naturalnie, że po tem strasznym popłochu o dalszem nabożeństwie nie było mowy i przerażeni wierni rozbiegli się do domów.

Dodać należy, że Floryda należy do tych prowincji Stanów Zjednoczonych, które roją się jeszcze od dzikich zwierząt i jadowitych poczwar. Nawet przechadzając się po bruku tamtejszych miast, nierzadko można być napadniętym przez jakieś dzikie zwierzę. To też nie dziw, iż mieszkańcy wciąż mają się na baczności i, w każdej chwili przygotowani do walki z niebezpiecznym wrogiem, nawet do kościoła chadzają uzbrojeni w rewolwery.

* * *

**9 godzin nad przepaścią** spędził kupiec Hildemann z Chiasso, w pozycji bądź wiszącej, bądź stojącej, a w wysokości 3200 mtr. Hildemann wraz z dwoma towarzyszami udał się na wycieczkę turystyczną w Alpy podczas której w miejscach niebezpiecznych turyści byli powiązani z sobą sznurem. Nagle pod Hildemanem, który postępował w środku, załamała się cienka powłoka stwardniałego śniegu, pokrywająca przepaść, co spowodowało jego upadek. Towarzysze, nie mogąc go wydobyć, po dwugodzinnych usiłowaniach spuścili go głębiej w przepaść, gdzie znalazł oparcie dla swych nóg, poczem jeden z nich udał się do schronika po ratunek. Gdy Hildemanna po 9 godz. wydobyto niebezpiecznej sytuacji, był on na pół zmarznięty i zupełnie przemoczony. Po długich zabiegach jednak udało się przyprowadzić go do życia.

* * *

**Wieża pizańska.** Pismo paryskie „Les Documents de Progrès" zamieszcza rezulaty najnowszych badań w sprawie wieży pizańskiej. Według przytoczonego pisma, wieża pizańska musi kiedyś runąć, jeżeli natychmiast nie będą przedsiębrane środki w celu jej ustalenia. Komisja inżynierów i architektów włoskich stwierdziła, że pochylenie wieży nie jest rozmyślnym i przy budowie obliczonym. Spowodowane zostało podmyciem gruntu pod wieżą, która ma pod fundamentami głęboki rezerwoar wodny, rodzaj stawku, który utworzył się z biegiem czasu, a którego istnienia nikt nie przypuszczał. Podmycie to datuje się jeszcze od czasów budowy wieży i postępuje powoli. Szczyt znajduje się obecnie o 4 m. 86 cm. poza osią budowli, od r. 1829, gdy dokonano ostatniego pomiaru, wychylenie zwiększyło się o 70 cm. Naprostować wieży nie można, rzecz główna w tem, aby ją unieruchomić w obecnem położeniu. Do tego trzeba osuszyć staw pod jej fundamentami, lub przynajmniej uniemożliwić dalsze wsiąkanie wody.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 34. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 26 sierpnia 1911.

Ludwik Stanisław Liciński.

## „DZIWNE RZECZY“.

(Dokończenie.)

Wyciągnął z kieszeni butelkę wódki... Podał Januszowi... Janusz trzasnął butlę o łapy... Korek wraz z lakiem wyskoczył na kilka łokci do góry... To zaimponowało nieznajomemu.

— Nasze kawalerskie...

— Nasze.

— Ale ba... pijemy razem a nie przedstawiliśmy się sobie.

— Nazywają mnie Władkiem.

Wychlaliśmy całą butelkę. Zakąsiliśmy papierosem.

Władek tracił nieufność do nas.

— Jakże teraz będzie? Pan nas częstował, my teraz musimy...

Przyjrzał się nam raz i drugi, uśmiechnął się, spoważniał, znów się uśmiechnął... Po twarzy przebiegły mu zielone błyskawice. Czoło się broździło, wyginało. Wreszcie się wygładziło... Ogarnął nas spokojnym okiem.

— Dobrze, chodźcie panowie. Ale gdzie chcecie?

— Możeby do Kawałka?

— Kawałek już zamknięty. Wydłubali go.

— Więc prowadź pan gdziekolwiek.

— Dobrze... Zaprowadzę panów w samą grandę. Tylko nie bojcie się nic.

— O myśmy, panie, już chodzili.

— Tak. Z Lichtą, albo z Gulasem. Co? to nie sztuka.

— A teraz idziemy z panem.

— Jakbyś pan wiedział, że ze mną. I powiadam panu: Ot tu, na ten majcher się pierwiej nadzieje, psia jego pieska mać, nim panom krzywdę zrobi. Chyba mnie trupem położy.

Wyjął nóż i, trzymając go w ręku, stał tak groźny, pół natchniony, pół przeklinający.

Janusz wyciągnął do niego rękę i rzekł:

— Władek! mów mi po imieniu. Chcę być twoim przyjacielem.

— A ty, Janusz, cholera jesteś nie człowiek, wiesz? Tybyś samego djabła, draniarzu, za kopyta mógł łapać.

— Ech wy! wasze chorobne nasienia — dorzucił z jakąś dziwną rzewnością.

Ujął Janusza pod ramię, mnie z drugiej strony, i tak szliśmy w towarzystwie poznanego przed chwilą nożownika, z pełną ufnością powierzając mu życie.

— Oho — szepnął — druga bije. Najlepszy czas... Schodzą się...

A było co widzieć u Kłobucha!

Przy niewielkich kwadratowych stołach zżymał pięści i wybuchał gniewam, lub radością hazard. Nieme oczekiwanie wpijało się w przewracane karty. Śledzące oczy szły za ruchem rąk. Nad głowami wisiały kłęby dymu. Gwar zagłuszał się gwarem... Ostry zapach spirytusu i piwa mięszał się z przypalonemi swędami wątrobki...

„Granda“ bawiła się całą pełnią młodych sił.

Tu i ówdzie przycupała na palcach chropawa melodja jakiejś głuchej pieśni. Tam pięścią w piersi kołatały ponure zwierzenia. Wywijały usta do uśmiechu cyniczne, rozebrane do koszuli żarciki. Budziły się na zew alkoholu tkliwość i tęsknoty, żal i ponurość.

Nad wszystkiem rozpościerał się ciężki, przygniatający czad, ale zarazem dziwny, odrębny lirizm.

Trąbiliśmy z Władkiem obrzydliwą, z arakiem mięszaną wódkę. Władek opowiadał nam historję powieszonego przed kilkoma laty nożownika.

Nikt, zda się, nie zwracał na nas uwagi.

— Co? może się panowie przystawicie? — zwrócił się do nas któryś z szulerów.

Władek mrugnął na nas.

— E! za stare wróble jesteśmy — zaśmiał się Janusz.

Odpowiedź zdziwiła ich, ale podobała się. Tam trzeba się czuć „u siebie“. Swoboda i szczerość przedewszystkiem.

— Ja za to szpakami karmiony — odrąbał szuler.

— My także nie plewami — odparł Janusz.

Wszyscy zaśmiali się.

Szuler odwrócił się od nas i rzekł:

— E! pies ich trącał.

Władek podniósł się z krzesła, aby dać znać gospodarzowi, że go potrzebuje. Nagle jeden z szulerów odsunął krzesło.

Władek grzmotnął na podłogę całym ciężarem ciała... Przy stołach zakipiał śmiech.

Władek wygramolił się z ziemi. W oczach skakały mu pioruny. Mięśnie trzęsły się i dygotały, niby zżymając i rozżymając twarz.

— Który to? — ryknął.

Szulerzy stanęli przy ścianie, przyjmując obronną postawę. Chwila jeszcze, a zmienią się w napastników.

— A bo co? — spytał wzywająco sprawca.

— Co? a bo ty wiesz co?

Dzika, rozdrażniona groźba wystrzeliła w oczach i głosie.

Władek mierzył przeciwnika już nie spojrzeniami, lecz całą zbójeckością swej duszy. Z twarzy jego wyglądała krew i zbrodnia.

Przysunęli się obaj do siebie tak, że niemal opierali się twarzami... Zdało się, że się przeszywają wzajemnie oczami i mordują. Splątała ich i rzuciła przeciw sobie jakaś tajemnica, której bali się wypowiedzieć. Żadnych wyjaśnień!.. padały tylko krótkie urywane wyrazy, pełne niezrozumiałego dla nas znaczenia.

— Wiem?... a wiem.

— Wiesz?...

— Wiem.

— A nie wiesz!

— A wiem...

— Tak?

— A tak!..

— A może nie?

— A tak...
— I wiesz?
— Wiem...

Wmięszał się w całą sprawę gospodarz. Lecz i ten nie wiele mówił. Gromił ich tylko — zdało się — spojrzeniami i rozpędzał niemi od siebie.

— No, Władek! Józek! co?... no?!... no?!... Władek... Ale już i Janusz odzyskał równowagę. Wlazł tam w tę kupę... coś anielskiego było w nim wtedy.

— Na litość Boską! panowie! O cóż chodzi?

— A pana nikt nie rusza, to se pan stercz — rozgniewał się szuler.

— Mnie nikt nie rusza... wiem... ale mego przyjaciela ruszają.

— Przyjaciela? — zdziwił się szuler.

Władek na to:

— A tak... wiesz?
— Tak?
— A tak.

Towarzysze odciągali już Józka. Myśmy pociągnęli Władka — uspokoiło się.

— Pijcie, pies z waszą dolą tańcował, ja teraz stawię — mówił Władek. — Gospodarzu! tej od robaka.

A robak gryzł go widocznie przez wszystkie otwory duszu, bo oczy z tą groźbą jeszcze przyschniętą tłukły się i cofały gdzieś... w głębie przyczajonej zemsty.

Piliśmy kielich po kielichu. Czuliśmy, że ta „od robaka" struje nas doszczętnie.

Kołkowaciały nam już języki, rwały się i twardniały sylaby. Ale co z tego? — gdy w takim stanie przychodziły zwykle najsilniejsze momenty naszych wycieczek.

— Ej wy, frajery! — mówił Władek. — A to wy nie wiecie, co ten myślał? Myślał, że ja was tu przyprowadził, żeby obłuskać. Do moti chciał ze mną — podzielić się.

Siedzący najbliżej nas Józek dosłyszał ostatnich słów... Obraził go ten brak solidarności... „Jakto? takim frajerom odkrywać jego zamiary?"...

Przysunął się do ucha Władka i rzekł półgłosem:

— Pies z twoją motią tańcował, telegrafisto!

Władek podskoczył.

— Co? telegrafista? powtórz!
— A telegrafista...

Było to najobelżywsze słowo. Telegrafista znaczy to samo co szpieg, szpicel.

I znowu stanęły przeciwko sobie dwie najcięższe urazy, dwie groźby... na śmierć i życie.

Nożowcy patrzyli na siebie z zimną zawziętością, ale z pod tego chłodu szczerzyły się nieprzejednane, ostre pazury zaciekłej zemsty.

— No, to zapamiętaj! — odsylabizował Władek.
— Dobra... Zapamiętam... — odparł tamten.
— Popamiętasz — dodał jeszcze.
— Aby ty...

W ten sposób padły słowa fatalnego wyzwania. U Kłobucha bójka nie mogła mieć miejsca. Tego wzbraniała solidarność gromady... Władek zapłacił pospiesznie rachunek.

Wyszliśmy.

— Rozprawa nożowa — szepnął mi Janusz.
— Wiem — odparłem.

Poczułem jednocześnie, że te „wiem" łzy mi z oczu wyciska. Tu ludzie stoją w imię jakichś zasad z nożami w ręku, a ja tylko „wiem". I nic więcej... I nawet nie mogę więcej... „Wiem" tylko i... „wiem"... a później pójdę na śniadanie.

— A wy lepiej do domu sobie idźcie — rzekł do nas Władek na ulicy.

— A ty zostaniesz sam? — spytałem.
— Poczekam na nich.
— To i my poczekamy — rzekł Janusz.
— A jak mnie uprzątną, to i was może położą — odparł.
— Nic... zostaniemy... Razem to razem.

Byliśmy pijani, że nogi plątały się pod nami.

Zdawaliśmy sobie sprawę z położenia, ale jakoś ociężale... „Zatłuką, to zatłuką.

— Ej wy! frajerskie łby — rzekł Władek z jakimś strasznym liryzmym.

— Coś mu w oczach zamigotało. Odwrócił się od nas. Zdało się, że coś się pogięło w nim nagle.

Stał w milczeniu.

Znowu się zwrócił.

— A majchrem choć umiecie robić?
— Ja... nie — odparł Janusz.
— I ty nie?
— I ja nie...

Nagle wyciągnął nóż, zbliżył się do mnie.

— Masz! widzisz, jak cię zaczepi, nie pytaj nic. Nie czekaj, a dźgaj pierwszy... Ot tak... no schowaj. A pod żeberka.

— A ty — tu zwrócił się do Janusza, podając mu rewolwer — masz; strzelałeś kiedy?

— Strzelałem...

— To dobra... Tylko rżnij, a nie daj się opamiętać. Raz za razem.

Znowu odwrócil się. Może go już niecierpliwość zbierała.

Naraz otworzyła się brama. Gromada wysypała. Nożownicy coś przekładali Józkowi.

— Nie, nie, nie! — powtarzał niecierpliwie.

Zbliżyło się paru i do Władka. Wszyscy chcieli zażegnać burzę.

Ale zbrodnię czuć już było w powietrzu. Powiew rozprawy nożowej wisiał nad nami jak zmora.

Wiedziałem, że nastąpi coś niebywałego.

Wobec tej pewności stałem jednak niezwykle apatyczny... Poprostu myśleć mi się nie chciało...

Nie bałem się, nie drżałem, ale nie miałem siły reagować.

— Zatłuką Władka, zatłuką Janusza, zatłuką mnie... I cóż więcej się stać może? A no chyba już nic.,. To „nic" pocieszyło mnie.

Nagle — stało się.

Józek postpił parę kroków ku Władkowi. Ten odsunął zlekka ręką stojących przy nim towarzyszów, sięgnął po nóż.

— Cóż? telegrafista? — spytał.
— A tak — telegrafista.
— Tak?...
— A tak...

W powietrzu zabłysły dwa noże.

Naraz poczułem, że nogi latają podemną, a z oczu coś ciepłego płynie.

Nie mogłem zorjentować się, co się dzieje.

Nastąpiła jakaś przerażająca potęgą chwila.

Zdawało mi się, że promienna postać Chrystusa spływa ażeby błogosławić jęczące i pokrzywdzone.

„Błogosławieni są cierpiący krzywdy, albowiem ich jest królestwo niebieskie"...

Janusz stał między dwoma zapaśnikami i trzymał ich za ręce. Blady był, ale natchnienie mu czoło otęczało.

— Rzućcie to. Błagam was, dobrzy ludzie! Na co wam krew? Hycel jestem. Wszyscy jesteśmy hycle. I ty... i ty... i ty... Wszyscy... A to mało nas jeszcze życie po mordzie pierze, żeby się samym zabijać? O co wam poszło? O nas? My gorsze jeszcze bydło, niż wy... No rzuć, no rzuć!... Przyjaciele... Ot widzicie... hycel jestem.

Przechylił się nad Józkiem, otoczył jego szyję ramieniem i pocałował go w mordę... w tę cyniczną, opuchłą, pijacką mordę...

Józek oderwał się od jego twarzy... Zaklął...

Stał w jakiemś niemem osłupieniu.

Żyły ściągały się i kuliły na jego czole.

Zatrząsł się, zakołysał i nóż ze wściekłości rzucił na ziemię.

— A ty szczeniaku, grandziarz jesteś, czy jaka cholera?

I z ust jego popłynęła cała fala niewstrzymanych, zdobytych w upokorzeniu i krzywdzie klątw.

Chciał wyrazić przyjaźń i życzliwość, hołd i uwielbienie, wypieścić, wycałować słowami jak dziwną zjawę, o której śnił może tam... nad brzegami Wisły, lecz ubogi słownik jego nic nie umiał podać ustom prócz brudnych, w zgniliźnie wykołysanych obelg.

I tylko ton obelg wyrażał wszystko, co się tam urodziło w podwodnych nurtach zbójeckiej duszy.

Granda rozchodziła się w milczeniu i znikała na zakrętach ulicy.

Władek usiadł na schodkach jakiejś kamienicy i ocierał pot z czoła.

Józek zbliżył się doń w milczeniu i podał mu rękę...

Uścisnęli się...

Czułem się już wyczerpany do ostatka.

— Idźmy do domu — rzekłem.

Władek podniósł się.

— Idziem...

— A ty chodź ze mną, dobra?.— mówił Józek do Janusza.

— Dobrze...

Żegnaliśmy się... Spojrzałem jeszcze raz na Józka i cofnąłem się. Były to te same szeroko rozwarte naiwne oczy poczciwca.

Zbudziła się we mnie dawna zapleśniała kronika.

Gwałciciel biednego dziecka opierał się teraz o ramię Janusza i prowadził go do jakiegoś szyneczku.

# Wrażenia z wycieczki kooperatystów za granicą.

II.

(Kooperatywa drezdeńska).

Drezdeńskie stowarzyszenie współdzielcze, założone w r. 1888, miało w 1910 r. 27 006 członków. Dwa lata przedtem było członków znacznie więcej, ale zarząd postanowił wykluczyć 1862 członków, którzy nie interesowali się stowarzyszeniem i nie kupowali w jego sklepach. Zdawałoby się, że taki ubytek wyjdzie kooperatywie na złe. Stało się przeciwnie. Mimo zmniejszenia się ilości członków, obrót podniósł się w roku następnym o 7000 rubli. Z tego widać, że kooperatywa powinna przestrzegać swoich zasad. Siła stowarzyszeń leży nie w tem, ilu ona posiada członków, lecz w tem, jak ci członkowie wypełniają swoje obowiązki względem stowarzyszeń.

Kiedy rząd niemiecki wydał prawo, że stowarzyszenia spożywcze mogą sprzedawać tylko swoim członkom, prawo to nietylko nie zaszkodziło kooperatywie drezdeńskiej, ale przeciwnie, wyszło jej na korzyść. Wzrosła solidarność członków. Każdy się starał, aby ile możności wszystko kupować w sklepach spożywczych. Kto chciał mieć towar lepszy i tańszy, musiał zapisywać się na członka. A członkowie zarządu poczynili starania, ażeby w sklepach spożywczych można dostać wszystkiego.

Dzisiaj kooperatywa drezdeńska posiada hurtownię i 44 sklepy. Obrót roczny wynosi z górą 4 miljony rubli. Czyli, że na każdy sklep spożywczy przypada rocznego obrotu około 100 000 rubli. W tem ogromnem przedsiębiorstwie społecznem pracuje 458 ludzi: 5 członków zarządu, 17 w biurze, 96 w składach, 6 w dziale węgla, 55 w piekarni, 9 przy maszynach, a w sklepach 270. Najznaczniejsza część obrotu, bo czwarta część, miljon rubli na rok, pochodzi z piekarni kooperacyjnej. Wskutek drożyzny, jaka panowała w zimie r. 1910, piekarnia rozdała swym członkom chleba za sumę 2000 rb. zupełnie bezpłatnie.

W składzie głównym stowarzyszenia drezdeńskiego panuje taka czystość i taki porządek, że aż w podziw wprowadza. Przecież ten skład zaopatruje w towary 44 sklepy, w których spożywcy kupują najrozmaitszych rzeczy dla 100 tysięcy ludzi z górą. A jednak nie ciasno tu, a przyjemnie czysto. Zarządzający oddzielnymi sklepami przysyłają do kantoru składu swoje zamówienia na towary. Karty na zamówienia są drukowane. Trzeba tylko pod rubryką każdego towaru dopisać, jaką ilość jego mają przysłać ze składu. W składzie są robotnicy, przyjmujący towary całemi partjami. Potem je ważą, rozlewają do flaszek, dzielą na paczki, naklejają karteczki z ceną sprzedaży. Poczem towar wkładają do skrzyń osobnych dla każdego sklepu. Na skrzyni znajduje się numer sklepu, adres i ulica. Oprócz tego do każdej skrzyni wkłada się spis towarów wysyłanych, oraz ceny każdego towaru. Nawet pytlową mąkę pszeniczną waży się w składzie i wysyła do sklepów w paczkach od ćwierć do dwuch funtów mających. W poszczególnych stowarzyszeniach zawiadujący sklepem sprawdza towar według spisu, rozkłada go na odpowiednie pułki i sprzedaje po cenie, wyszczególnionej na każdej paczce. Zawiadujący sklepem, oraz kobiety i mężczyźni, użyci do sprzedaży, są to robotnicy oraz ich córki. Sprzedawać tu rzecz łatwa i prosta. Nie potrzeba do tego żadnej mądrości. Byle sprzedawać uczciwie, robić to prędko i czysto. A czysto tu, że wszystko aż błyszczy. Sklepowi i sklepowe są ubrani w białe, czyste fartuchy, długie od szyi aż do ziemi. Nafta nawet sprzedaje się czysto. Beczka z naftą umieszczona jest pod podłogą, skąd prowadzi na wierzch wysoka, szklana rurka ze znaczkami na pół kwarty, kwartę i t. d. Sklepowy, czy sklepowa pompują do szklanej rurki ile potrzeba, poczem podstawia się flaszkę i wypuszcza naftę przy pomocy kurka.

Jak widzimy, wszystko tu obmyślone w ten sposób, aby spożywca otrzymał towar dobry, zdrowy, i żeby nie potrzebował tracić na to dużo czasu. Bo czas — to pieniądz, czystość — to zdrowie, a porządek — to oszczędność i piękno.

* * *

W jaki sposób uniknąć w kooperatywie nieporządków kasowych.

Na czele wielkiej kooperatywy drezdeńskiej stoi pięciu członków zarządu. Przewodniczącym jest p. Kaltofen. Rosyjscy oraz rusińscy kooperatyści zwiedzali, w towatrzystwie p. Kaltofena sklep współdzielczy, w którym można było dostać wszelaką odzież, a więc: materje, płótna, sukno, bieliznę, buty, czapki, kapelusze. Z wielkiem uznaniem patrzyli nasi wyciekowicze na piękny porządek, czystość i dobrą usługę w sklepie. Widząc to wszystko, przypomnieli sobie, jak to trudno w Rosji o taki ład i dokładność. Zwrócili się wreszcie z zapytaniem do pana Kaltofena, jak często w ich stowarzyszeniu zdarzają się nieporządki i roztrwonienia ze strony funkcjonarjuszów? Narazie p. Kaltofen zdziwiony był ich zapytaniem. Potem odpowiedział: „U nas nic nigdy nie skradziono. Przedewszystkiem nie przyjmujemy do stowarzyszeń ludzi podejrzanych. A zresztą zapisuje się tak skrupulatnie każdą sztukę towaru, co idzie do składu, ze składu i do sklepów, że każdej chwili wiemy doskonale, gdzie i co być powinno. Gdyby ktoś zabrał cokolwiek bez rachunku, to ani dnia nie zostałby w stowarzyszeniu. A nasi członkowie mają sobie to za zaszczyt, że są członkami stowarzyszenia współdzielczego.

Wynika z tego — dodaje od siebie pisarz opisujący wycieczkę kooperatystów po Europie — że u niemieckich spożywców jest więcej poczucia honoru, niż u naszych.

## Rozmaitości

**Sztuczne zapładnianie.** „Matin" podaje wiadomość o sensacyjnych doświadczeniach biologa francuskiego, młodego docenta z Dijon, M. Bataillona, któremu powiodło się dokonać w bardzo wielu wypadkach sztucznego zapłodnienia jaj żaby i wyhodować z nich kijanki.

Doświadczenia odbywały się w sposób następujący:

Aby nabrać pewności, że jaja żabie poddawane doświadczeniom są zupełnie niezapłodnione, Bataillon obmy-

wał żaby w sublimacie. Jaja, które wydobywał nietknięte, uczony przekłuwał pod lupą cieniutką nitką platyny o średnicy mniejszej, niż 20 tysiącznych milimetra.

W początkach doświadczeń z bardzo małej ilości jaj Bataillon otrzymywał larwy, bo mniej więcej około 5 procent.

Poszukał przyczyn tego faktu i zauważył, że rozwój jaja zapłodnionego przechodzi przez dwa okresy. W pierwszym ukłucie wywołuje sygmentację jaja. W drugim, aby rozwój doszedł do końca, potrzebnym jest inny jeszcze czynnik. Bataillon znalazł odpowiednią substancję, przyspieszającą rozwój jaja.

W ostatnich trzech miesiącach uczony przekłuł 100 tys. jaj, z których wykłuło się 400 kijanek, jedna z nich tylko jeszcze żyje.

Przedtem jeszcze Bataillon zdołał wyhodować wiele żab, zupełnie rozwiniętych.

Doświadczenia podobne, czynione przez Bataillona nad jajami szczupaka, nie udały się, jak uczony przypuszcza, wskutek wielkich upałów teraźniejszych.

Jaja szczupaka, przyniesione z okolicy, uczony przekłuwał w 12 do 14 godzin później.

Bataillon próbował też stosować do zapłodnienia prądu elektrycznego, ale o skutkach nie mówi.

* * *

**Sztuczne futra.** Francuski chemik Marche wynalazł system przeróbki futer, dzięki czemu futra mogą znacznie potanieć. Idea wyrobu sztucznych futer nie jest właściwie nowa. Już dawniej próbowano je produkować, stosując do tego sztuczny jedwab. Ale rezultaty nie były najlepsze, towar był nietrwały i lichy, a koszta produkcji wynosiły bardzo wiele. System chemika Marche'a nie jest fabrykacją sztucznych futer w dosłownem znaczeniu, albowiem włos, a więc istota futra, pozostaje naturalny. Wynalazca wyszedł z zasady, że przy każdem futrze traci się nieużytecznie skórę i że wskutek tego futra stałyby się znacznie tańsze, gdyby udało się znaleźć metodę, pozwalającą osobno wyzyskać włos, a osobno skórę. Metoda Marche'a polega na tem, że dwa futra składa się razem, włosem do wnętrzna, następnie zgniata się je, nasyca wodą i wprowadza wreszcie do specjalnego aparatu mrożącego. Z płyty tej można teraz łatwo przy pomocy pił oddzielić skórę z obu stron, tak, ke pozostanie tylko płyta zamarzniętego włosia. Końce włosów znajdują się dokładnie w tej samej płaszczyźnie. Tę płaszczyznę pokrywa się teraz warstwą płynnego kauczuku. Zasycha on szybko, przyczem lód topi się nieco na powierzchni, a kauczuk chwyta końce włosów. Celem utrwalenia kauczuku wciska się w niego materję płócienną lub wełnianą. Po stopnieniu lodu otrzymujemy teraz znowu dwa futra, których wygląd od strony włochatej nie różni się niczem od futer poddanych operacji. Z drugiej strony mamy materję gumową, tak, że właściwie należałoby całość nazwać futrzanym płaszczem gumowym.

Metoda Marche'a może mieć jeszcze inne zastowanie. Mianowicie przy pomocy jej można łączyć poszczególne futerka trwałe w wielkie płaty, dzięki czemu odpada zmudne zeszywanie.

* * *

**Najstarsza recepta.** Ciekawy dokument, dotyczący lecznictwa, znajdujący się w muzeum miejskiem w Nowym Jorku, niedawno temu ogłoszono i opatrzono obszernemi objaśnieniami.

Jest to najstarsza recepta lekarska, pochodząca z Egiptu, mniej więcej z r. 1500 przed narodzeniem Chrystusa. Lekarz egipski wypisał ją na kawałku wapienia, którego powierzchnia została doskonale wygładzona. Dokument przechował się nieuszkodzony i można go było dokładnie odczytać. Był zredagowany w najstarszem, t. zw. hieratycznem piśmie, podobnem do pisma, które znajduje się na słynnym papyrusie, nazwanym imieniem Jerzego Ebersa, na cześć głośnego uczonego, a który pochodzi, jak przypuszczają, z r. 1600 przed nar. Chr. Niestety nie miało się sprawdzić, z jakiej miejscowości pochodzi dana recepta. Egiptolodzy sądzą, że jest ona tylko odpisem właściwej recepty, jest bowiem wypisana całemi słowami, podczas gdy o wiek później lekarze egipscy używali już skrótów, tak samo jak dzisiejsi. Lekarstwo musiało być niezwykle kosztowne, jako medykamenty bowiem są zastosowane drogie kamienie.

Wogóle sproszkowane drogie kamienie były w staroegipskiej medycynie często stosowanym środkiem. Używano ich zwłaszcza przeciw atakom histerycznym, gdy łączyło się z nimi utrudnienie oddechania. Składniki lekarstwa bywały zazwyczaj dostosowane do zamożności pacjenta. I tak np., gdy bogatemu choremu przepisywano proszek z szlachetnych szafirów, uboższy musiał się zadowalać proszkiem z malachitu, który był wówczas dość rozpowszechnionym kamieniem.

* * *

**Napowietrzna flota japońska.** „Standard" donosi, że Japonja buduje energicznie flotę wojennych statków napowietrznych. Z warsztatów wypuszczono już jeden wielki aerostat sterowy, mierzący 500 stóp długości, drugi jeszcze większy, największy ze zbudowanych dotychczas, jest na ukończeniu. Sterowiec ten mierzy 600 stóp długości, więc 90 stóp więcej niż największy z balonów wojskowych angielskich. Srednica jego wynosi 50 stóp. Statek będzie zaopatrzony w maszyny o sile 120 koni i według obliczeń będzie mógł szybować z szybkością 70 mil morskich na godzinę, co pozwoli mu odbywać podróż pod wiatr nawet podczas burzy. (?)

Nowy olbrzym napowietrzny, oprócz załogi, żywności, pocisków i zapasów wojennych, będzie mógł unieść na pokładzie swej łodzi 20 ton benzyny do zasilenia maszyn, będzie przeto mógł szybować bez wylądowania przez tydzień (!) czasu, oczywiście, jeżeli warunki atmosferyczne pozwolą na to.

Po zbudowaniu całej floty głównym jej portem będzie zapewne Jokotuko.

* * *

**Nowa forma korespondencji listowej.** We Francji wynaleziono nowy, pośredni i bardzo praktyczny sposób pospiesznych korespondencji za pomocą t. zw. telegramu listowego. Nadawca pisze zwykły list i oddaje go w urzędzie telegraficznym. List ten nadaje urząd telegraficznie, ale w godzinach nocnych, podczas których jest ruch zmniejszony i urzędnicy są w możności takie listy przetelegrafować. List taki jest doręczony adresatowi najbliższą ranną pocztą, nawet w najdalszych krajach. Telegram listowy jest bardzo tani, bo słowo kosztuje tylko 1 centima. O rozwoju ruchu telegramów listowych we Francji świadczą następujące cyfry z ostatniego półtora roku: miesięcznie nadaje się około 15 000 telegramów listowych o 50 słowach przeciętnie.

* * *

**Samochody w Londynie.** W Anglji liczono w końcu roku 1911 samochodów osobowych 124,860, motocykli 86,413, wozów ciężarowych 7407, razem 218,680 motorowych wehikołów, tak, że przyrost roczny wynosi 36,925. W samym Londynie kursowało z końcem ubiegłego roku 37,815 samochodów osobowych, 6336 dorożek taksametrowych, 1149 omnibusów i 2257 wozów ciężarowych.

* * *

**Nowa ekspedycja polarna.** W czasie wyprawy Peary'ego do bieguna północnego w r. 1906, odkryto na stronie północno-zachodniej Grenlandji pas ziemi, najdalej wysunięty na północ. Około bieguna Peary znalazł ruchome lody. W celu dokładnego zbadania tego rąbka ziemi, podjętą zostanie wyprawa, organizowana przez amerykańskie muzeum przyrodnicze i kilka instytucji naukowych. Srodki na cele ekspedycji zbiera się drogą składek publicznych i ofiar amerykańskich miljonerów. Na czele wyprawy staną profesor Macmillau i H. Borup, obaj uczestnicy ostatniej wyprawy Peary'ego. W celu przygotowania środków dla ekspedycji, uda się jeszcze w bieżącym roku kapitan Bartlett do Etah. Ekspedycja obliczoną jest na trzy lata.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 35. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 2 września 1911.

Czesław Halicz.

## Opowieść o pomarańczy.

W pobliżu Śródziemnego morza w złocisto-żielonym, słońcem przelśnionym gaju wzrosła pomarańcza. Wykołysał ją lekki wiatr, przepojony zapachów upojnością, obdarzały palącą pieszczotą promienie słoneczne a pobliskie morze śpiewało pieśni nieustanne, tajemnicze. Aż dojrzała, stała się piękna, złota i lśniąca, jak olbrzymi topaz z czarodziejskiego skarbca króla Magów. Patrzała codziennie pomarańcza młoda — owoc niesłychanej wspaniałości — na pobliskie morze, po którem zwolna posuwały się okręty, niby olbrzymie, białoskrzydłe ptaki, aż tęsknić poczęła za dalekimi lądami. Daremnie wiatr, doświadczony wędrownik, opowiadał pomarańczy, że zimne i surowe są te kraje i że braknie w nich słońca.

— Rozjaśnię blaskiem i zapachem swoim życie owych dalekich ludzi, o nieznanych ledwie przeczuwanych cudach świadczyć będę — mówiła pomarańcza. Słuchając tego, wiatr chybotał przekornie czubem pomarańczowego drzewa w wesołości nieposkromionej a złośliwej.

Prędzej niżeli przypuszczała spełniło się jej marzenie. Przyszli ludzie i zaczęli tak gwałtownie potrząsać pomarańczowe drzewo, że aż zapłakało złotemi łzami owoców swoich.

Długie miesiące przebyła pomarańcza na dnie statku w drzewnianej pace wśród również uwięzionych siostrzyc swoich. Tęskniła bardzo za słońcem, za śpiewem zalotnych barwnych ptaków, a zwłaszcza za szumem morza, którego zaledwie słaby odgłos dochodził do niej przez drewniane ściany jej więzienia. Ten szum dodawał jej jednak otuchy, mówił, że jedzie ku owym dalekim lądom, ażeby spełnić promienne przeznaczenie swoje.

Długie jeszcze i różne podróże odbywała pomarańcza, których niejasne ledwie przeczucie miała w drzewnianem więzieniu swoim. Aż wreszcie poczuła pewnego dnia, że ktoś rozbija ściany jej więzienia, że już się kończy jej niewoli przemoc okrutna.

Rozbłysła blaskiem cudownym nieziemskiej szczęśliwości, lecz gdy się rozejrzała wokoło, wnet sposępniała i jak gdyby przygasła, pobladła. Nędzny, ciemny, maleńki kramik przepełniony był po brzegi różnymi obrzydliwymi i cuchnącymi przedmiotami. Gospodarzyła w tym sklepie kobieta niemłoda, zniszczona, brzydka i szara.

Kiedy wzięła złocisty owoc w brudne, pokoszlawione ręce, pomarańcza aż się wzdrygnęła ze wstrętu.

Lecz rozpogodziła się trochę, gdy ją kobieta umieściła za szklanną szybą w wystawie swojego sklepiku. Szare, mgłami zasnute niebo, wąska, ciemna ulica i nędzni, przyziemni jak gdyby ludzie, nie przerazili jej zbytnio. Będę mówiła tym ludziom o dalekiej słonecznej krainie, będę opromieniać ich życie przeczuciem cudów nieznanych — śpiewała sobie pomarańcza młoda.

Jakoż błyszczała w wystawie nędznego sklepika, jako nieznanych dalekich lądów dar niezrównany królewski. Lecz nie dostrzegali jej jakoś ludzie zafrasowani, zawsze naprzód śpieszący w mrówczym swych zabiegów wysiłku Wciąż biegli, pędzili, roztapiali się, jak gdyby w mgle wilgotnej i lepkiej.

. . . . . .

Aż pewnego razu zatrzymało się przedwystawą dziecko — dziewczynka najwyżej trzynastoletnia, ubrana w przydługą kiecczynę i pantofle dziurawe, na bose nałożone nogi. W twarzy mizernej i nieładnej świeciły jeno cudownym blaskiem duże, ciemne oczy dziecka. Dziewczynka rozmyślała: patrząc na pomarańczę, dumała sobie o tem i owem. Przypomniało jej się, gdy była zeszłego roku u ciotki, u tej bogatej ciotki, co ma magiel na Krochmalnej, dostali od niej z Antkiem i Wickiem po kawałku pomarańczy. Ach żeby tak raz w życiu mieć dla siebie samej całą, calutką pomarańczę. I żeby mieć choinkę i na tej choince zawiesić pomarańczę! Ale jakże na choince zawiesić, kiedy pomarańcza nie ma ogonka, tak jak naprzykład jabłko, albo dziurki takiej, jak piernik. Chyba żeby wetknąć zapałkę tak jak w złocone orzechy, Wicek by to doskonale urządził... Zapatrzyła się dziewczynina w owe wspaniałości dalekie, niedoścignione, w ową pomarańczę jaśniejąca na choince niby ognista kula słońca i stała nieruchoma przed wystawą sklepiku. Wtem do dziewczynki zbliżył się tłuściutki, różowy, dostatnio ubrany staruszek w przyklejonym do ust obleśnym uśmieszkiem.

Coś tam z nią rozprawiał, przekonywał, a mała spoglądała na niego, to na pomarańczę, wahająca się, niepewna, a jednak olśniona obietnicą otrzymania za nic całej pomarańczy.

Wreszcie stary pan wszedł do sklepiku i wskazał laską na jaśniejący na wystawie owoc.

— Bardzo piękna pomarańcza, pierwszy sort, malinowa — krzątała się podrygając sprzedająca.

— Znam ja was, żydy, oszukańce, u was wszystkie malinowe — mruczał stary pan, dając żydówce miedziany pieniądz.

I znowu pomarańcza utonęła w ciemnościach obszernego palta. Już zaczęła trapić się srodze tą ciemnicą, myśląc, że znowu rozpoczęły się długie tygodnie czy też miesiące więzienia. Lecz tym razem niewola jej trwała znacznie krócej.

Gdy znowu ujrzała światło dzienne, dziwny widok jej się przedstawił: Mała dziewczynka stała, zanosząc się do spazmatycznego płaczu, w wilgotnej ciemnej sieni jakiegoś domostwa, a stary pan uciekał chyłkiem i śpiesznie, jak złodziej.

— Jezus Marja, Jezus Marja — szeptała mała dziewczynka. Jakieś strzępy, jakieś płaty myśli wirowały bezładnie w jej głowie, jak oślepłe ptaki z połamanemi skrzydłami. Nie zrozumiała nawet dobrze tego co zaszło, przeczuwała jedynie niejasno, że jej się stała jakaś okrutna, jakaś nienaprawiona krzywda.

Ściskając bezwiednie w małych czerwonych rękach pomarańczę, powlokła się ku domowi.

. . . . . .

Wąskie, zapylone okienko, jak brudny skąpiec sączyło oszczędnie do piwnicznej izby złoty blask dzienny. W nieznośnym zaduchu młoda jeszcze, lecz dziwnie zniszczona kobieta tarła zapamiętałe stosy brudnej bielizny, napełniające izbę. Na progu stanęła dziewczynka z pomarańczą w ręku. Jaśniał cudownie złoty owoc, znać cieszył się, że blaskiem i zapachem swoim rozjaśni tę nędzną siedzibę.

Wtem nagle, jednym skokiem praczka znalazła się przy dziecku.

— Skąd wzięłaś, ukradłaś... złodziejko jedna!

Zaciśnięta pięść podniosła się nad głową dziecka.

— O la Boga, mamo, nie ukradłam... to jeden stary pan...

Wówczas rozpoczęła się długa nieubłagana indagacja. Biciem nielitościwem wydobyła z dziecka kobieta całą straszną prawdę.

Nieprzytomna z bólu i gniewu powaliła małą, zaczęła ciągnąć po ziemi za cienki lniany warkoczyk i biła strasznie zapamiętale, nieludzko biła. A z ust jej na głowę dziecka leciały ohydne uliczne wyzwiska.

Wreczcie zmęczona biciem rzuciła się na ziemię. W płomieniach strasznego gniewu, niby przy blasku żagwi płonącej przyszło do niej zrozumienie bezdennej, hańbiącej nędzy całego jej żywota. Skowycząc jak zwierzę, dowlókła się do leżącej na ziemi, nieruchomej z bólu i strachu dziewczynki i zaczęła miotać dziecku, sobie, światu całemu kamienne, stanowcze jak śmierć przekleństwa.

. . . . . .

Na środku izby rozdeptana, zmiażdżona „malinowa“ pomarańcza płakała powoli łzami czerwonemi jak krew, jak krzywda...

# Wrażenia z wycieczki kooperatystów za granicą.

## III.

### „Vooruit“ w Gandawie.

„Vooruit“ — po polsku znaczy naprzód. Taka jest nazwa dużej kooperatywy w mieście Gandawie, w Belgji. Kooperatywa gandawska odznacza się ruchliwą działalnością na wszystkich polach. Myśli nietylko o zaspokojeniu najpierwszych potrzeb spożywcy, jego żołądku i ubraniu, ale usiłuje zarazem dawać mu strawę duchową.

Oprócz składu centralnego, oprócz 21 sklepów spożywczych, piekarni, 7 aptek i browaru, posiada własny dom. W tym domu znajdują pomieszczenie: biura stowarzyszenia, sala na zgromadzenia i na przedstawienia teatralne, a także czytelnia, licząca 10 000 tomów, szpital, obsługiwany przez 15 doktorów, kasa oszczędności, kasa pomocy dla starych członków, oraz szkoła dla dzieci stowarzyszonych.

Dom ten ma wartości z górą półtora miljona rubli. Obrót roczny wynosi przeszło 2 miljony rubli. Jeden ze sklepów miał w ciągu roku 1909 obrotu rocznego z górą 200 000 rubli. Inny sklep jest tak duży, że pracuje w nim 23 kobiet i mężczyzn. Otrzymują oni od 7 i pół do 13 rubli pensji tygodniowo. Pensja zarządzającego sklepem wynosi 800 rubli rocznie. Siedem aptek miało w tym samym roku 66 000 rubli, piekarnia współdzielcza pół miljona rubli. Kasa oszczędności posiada 800 000 kapitału udziałowego; od wkładów płaci 3 i pół procentu.

Podobnie jak w Brukseli „Dom Ludowy“, kooperatywa w Gandawie troszczy się o los i zdrowie członków. W razie choroby członek otrzymuje przez 6 tygodni bezpłatnie taką ilość chleba, jaką brał poprzednio, korzysta darmo z porad lekarskich i lekarstw przez całe 6 miesięcy. W ten sposób podnieca się gorliwość członków do kupowania w sklepach stowarzyszenia.

60-letni starzec, który do stowarzyszenia należał przez lat conajmniej 20, otrzymuje emeryturę. Wysokość tejże uzależnioną jest od ilości zakupów, jakie członek w ciągu 20 lat poczynił w sklepie stowarzyszenia. Przy urodzinach każdego dziecka rodzina dostaje dla maleństwa całą wyprawę.

Jak widzimy cel stowarzyszenia „Vooruit“ w Gandawie jest poczwórny: 1) Wyzbycie się pośredników w handlu (własny skład i własne sklepy); 2) powolne ujmowanie wytwórczości w ręce spożywców przez zakładanie współdzielczych warsztatów i fabryk (piekarnia i browar); 3) użycie kapitału, powstałego z części zaoszczędzonych dywidend na cele kulturalne i oświatowe (sala na zebrania, odczyty i przedstawienia, czytelnia i bibljoteka, szkoła dla dzieci); 4) solidarna pomoc wzajemna w razie choroby, śmierci, czy braku pracy.

Zważmy teraz, że kooperatywa gandawska została założona 24 lata temu (w r. 1886), że rozwinęła się tak pięknie, pomimo szczupłych środków, jakimi rozporządzała początkowo (kapitał zakładowy wynosił w pierwszym roku 800 rubli) — a podziwem nas ogarnie widok tej wspaniałej organizacji. Kooperatywa gandawska nie dokonała jeszcze wszystkiego. Zdaje się jednak, że rozwój jej jest niezawodny. Działalność dotychczasowa pozwala wróżyć coraz świetniejszą przyszłość. Bo stowarzyszenie współdzielcze, opierając się na członkach szczerych, rzetelnych, daleko wzrokiem sięgających i rozumnych może się stać przyczynkiem do odrodzenia życia współczesnego. Takie stowarzyszenie oparte na pracy i wytrwałości, na wierze w swoje ideały, o ile uwzględni potrzeby fizyczne człowieka, a jednocześnie nie zapomina o jego potrzebach duchowych — może rozwijać się szybko, zagarniać coraz dalsze, szersze dziedziny życia i stać się fundamentem o wiele piękniejszej niż teraźniejszość — przyszłości.

## IV.

### „Dom Ludowy“ w Brukseli.

„Dom Ludowy“, to nazwa największej kooperatywy w Brukseli, stołecznego miasta Belgji. Kiedyś stowarzyszenie to zaczęło od 300 franków kapitału (255 marek), jako maleńka piekarnia współdzielcza. Teraz rozporządza „Dom Ludowy“ miljonami, posiada 28 sklepów własnych w mieście, piekarnię, 9 domów dla robotników, skład węgla i mięsa, piękne sale dla urządzania wykładów i odczytów. Piekarnia jest wprawdzie olbrzymia, ale niema tu takiego porządku jak w piekarniach współdzielczych niemieckich. Maszyn mało, chleb robią rękami. Przyczyną tego, iż piekarze-robotnicy przez sprowadzenie maszyn obawiają się stracić robotę i dlatego opierają się wprowadzeniu mechanicznych ulepszeń. Z ledwością udało się ich nakłonić, aby pozwolili wprowadzić piece maszynowe. Wynika stąd również, że personel, pracujący tutaj, jest bardziej zapracowany, zamorzony i brudniejszy, niż we współdzielczych piekarniach niemieckich. Są np. urządzenia do mycia rąk, ale niema kąpieli. Mięso, wysyłane do sklepów raz na tydzień, trzymane jest w lodowniach, gdzie się nie psuje, ale przecież nie może być tak świeże, jak mięso rozsyłane dwa razy na tydzień z jatek współdzielczych w Niemczech.

Natomiast brukselskie stowarzyszenie rozwinęło szeroką działalność w zakresie pracy kulturalnej. W „Domu Ludowym“ odbywają się odczyty, jest czytelnia, bibljoteka, sala na koncerty. Co roku wydaje się 100 000 franków (85 000 marek) na pomoc lekarską i na lekarstwa dla członków. Stowarzyszenie wspiera swych członków, o ile ci stracą robotę. Tak samo pomaga członkom niezdolnym do pracy. Ktokolwiek należał do stowarzyszenia przez rok jeden, ma prawo, w razie braku roboty, albo niezdolności do pracy, pobierać przez całe 6 miesięcy chleb z piekarni stowarzyszenia za darmo.

Jak naogół belgijskie, tak samo i brukselskie kooperatywy są pod wpływem dwuch partji: katolickiej i socjalistycznej. „Dom Ludowy“ ulega wpływom partji socjalistycznej. Oba stronnictwa zakładają kooperatywy. Oba więc robią rzeczy dobre. Szkoda tylko, że się w dziedzinie pracy współdzielczej ze sobą kłócą i gryzą. Wskutek tego zdarza się, że w jednem mieście istnieją dwa stowarzyszenia współdzielcze, które sobie wzajemnie szkodzą. Jest to niezrozumienie zasad kooperatyzmu, czyli współdziałania. Ce-

lem kooperatyzmu jest przedewszystkiem zaspokojenie potrzeb spożywcy w sposób uczciwy i zdrowy, bez pomocy pośredników handlowych. Dalszym celem jest owładnięcie wytwórczości przez spożywców. Nie nos dla tabakiery, ale tabakiera dla nosa. Nie spożywca dla towaru, ale towar dla spożywcy.

Na tym punkcie mogą się spotkać ludzie wszelkich poglądów, klas i religji, prócz tych, którzy z pośrednictwa żyją — lub wyzysku.

## Rozmaitości

**Jak się żenią w Ameryce.** Pewien duchowny prezbyterjański w Nowym Jorku wpadł na bajeczny pomysł celem napełnienia swej kasy. Ogłosił w gazetach, że w jego kościele ma się następnej soboty po południu odbyć wielki podwieczorek, obfitością lodów i poziomek przewyższający wszystko, co dotychczas w tym zakresie widziano. Punktem kulminacyjnym zabawy, na którą wstęp wynosił tylko 50 cent, miało być losowanie, którego główną wygraną stanowiła młoda panna, która zgodziła się poślubić tego, którego kupiony poprzednio los za 25 cent., zostanie wyciągniętym. Slub danym będzie zadarmo. Wszystko odbyło się wedle zapowiedzianego z góry programu. Liczne owieczki sprytnego proboszcza tłumnie skorzystały z zaproszenia i szczelnie wypełniły wszystkie ubikacje kościoła, udekorowanego za pomocą chorągiewek, pełnych gwiazd i pasków. Zabawa odbyć się miała w podziemiach, w sali gimnastycznej, gdzie już stały całe kosze poziomek i formalne góry tortów i ciastek. Wszystko to zaczęło z przerażającą szybkością znikać w żołądkach łakomych gości, podczas gdy z kuchni napływały coraz większe masy narodowych łakoci, jakiemi są w Ameryce lody. Tymczasem przy osobnych stolikach sprzedawano losy na loterję małżeńską. Niektórzy ostrożniejsi chcieli się najpierw naocznie upewnić o istnieniu głównej wygranej. Tym jednak proboszcz z tajemniczym uśmiechem wskazywał kotarę, która zasłaniała część scenki. Wreszcie przyszła chwila rozstrzygająca: losowanie. Już po kilku minutach wyszukano ukrywającego się przestraszonego szczęśliwca. Był nim młody, irlandzki nauczyciel, którego w tryumfie wyciągnięto na scenę, wśród ogłuszających oklasków rozbawionej publiczności. Podniesiono kurtynę i młody człowiek po raz pierwszy ujrzał narzeczoną. Była nią młoda, przystojna panna, która prawdopodobnie i na zwykłej drodze byłaby znalazła towarzysza. Slub i wesele odbyto natychmiast i nowożeńcy z godną uznania odwagą wybrali się na wspólną podróż poślubną i na podróż przez życie.

* * *

**Skarga przeciw ex-szachowi.** Zanim ex szach Mahomet Ali odbije tron synowi, lub zanim mu zetną głowę, w Odessie rozstrzygnie się proces przeciwko niemu, wytoczony przez niejakiego Iwana, byłego stójkowego policji odeskiej.

Otóż w podaniu swem do sędziego pokoju ów Iwan przytacza, że wkrótce po swoim przyjeździe do Odessy, ex-szach zaprosił go na służbę w charakterze „anioła stróża". — Niebawem Iwan obdarzony został szczególniejszemi łaskami byłego szacha, który zawarł z nim umowę na rok, zobowiązując się płacić po 50 rubli miesięcznie, a nadto dać mu dwa ubrania i czystą bieliznę.

Wyjeżdżając ostatnim razem do Wiednia, Mahomet Ali wziął ze sobą ulubieńca. — Wkrótce po przyjeździe do Wiednia ex-szach polecił swemu służącemu towarzyszyć jakiemuś persowi, jadącemu do Odessy.

Okazało się, że Mahomet Ali chciał się tym sposobem pozbyć faworyta, który, nie podejrzywając tego, przyjechał do Odessy. Tu odrazu pełnomocnik ex-szacha Muchter-Dowie wypłacił Iwanowi resztę należytości, oświadczając, że służba jego jest już niepotrzebna.

Pozostawszy bez miejsca, Iwan wytoczył przeciwko ex-szachowi w osobie jego pełnomocnika proces, o 128 rubli, w czem policzona jest pensja za miesiąc, wartość kuferka z rzeczami, pozostałego w Wiedniu, oraz jednego ubrania.

* * *

**Obrona przeciw drożyznie.** W okolicach Paryża panuje wrzenie z powodu znacznego podrożenia głównych artykułów spożywczych jak: mleko, masło, jaja. W Maubenge policja i wojsko musiały ochraniać handlarzy przed zaciekłością gospodyń. Ludność miejscowa urządziła owację manifestantom, zarzucono je kwiatami. Pod groźbą kijów handlarze obniżyli trochę ceny. W Roussie gospodynie napadły na chłopa, który przywiózł na targ jaja i masło i chciał je sprzedawać po nadmiernie wysokiej cenie. Ściągnąwszy z niego ubranie, herod-baby ćwiczyły go i puściły w jednej koszuli. W Dowiers rozbito całe kosze z jajami, odebrano gwałtem masło przekupniom. W Ferriere odbył się burzliwy wiec gospodyń z powodu podrożenia środków żywności. Wszędzie w okolicach Paryża gospodynie wrzaskiem i pięścią bronią się od wyzysku. Nie przestrasza ich interwencja wojska — gotowe iść na bagnety. Wobec takich dowodów odwagi — tchórzą dostawcy i opuszczają ze swych nadmiernych żądań.

* * *

**Zagadka snu.** Sen, jedna z najważniejszych funkcji życiowych stanowi dotąd dla uczonych zagadkę. Mimo wszelkich usiłowań naukowych, prowadzonych według wszelkich możliwych sposobów badania, istoty snu nie zdołano dotąd w zupełności wyjaśnić, W ostatnich czasach prowadzili badania w tym kierunku profesorowie Legendre i Picron w Paryżu, a rezultaty swych bądań, obejmujących 6 letni okres czasu, przedstawili onegdaj na posiedzeniu paryskiej akademji umiejętności.

Wyniki ich zmudnych obserwacji są bardzo ciekawe; niezawodnie przyczynią się w znacznej mierze do wyjaśnienia kwestji, bądź co bądź bardzo ciekawej, a dotąd niezbadanej.

Robili oni doświadczenia na przeszło 60 zwierzętach. Chcąc zbadać przyczyny zwyczajnego zdrowego snu, musi badacz, jak może najbardziej spotęgować pragnienie snu u istoty, na której przeprowadza doświadczenia. Niejednokrotnie więc musieli wspomniani uczeni dopuszczać się okrucieństwa wobec zwierząt, aby je doprowadzić do zupełnej senności.

Najlepiej nadawałyby się do tego rodzaju doświadczeń małpy, jako fizycznie najbardziej do człowieka zbliżone, ale małpy były zbyt sprytne i nie poddawały się badaniom, tak, że uczeni musieli zrezygnować z doświadczeń na nich, a zaczęli prowadzić badania na psach.

Wyprowadzali więc w nocy psy na spacer, i nie pozwalali im się położyć, chociaż zwierzęta mogły siedzieć na jakiś czas. Mimo to miały doskonały apetyt, waga ich się nie zmniejszała, temperatura i puls się nie zmieniały, choć doświadczenia trwały nieraz po 10 dni. Wogóle nie zauważono u nich żadnych chorobliwych zmian fizjologicznych. Z biegiem czasu doprowadzono jednak zwierzęta do tego, że nie mogły poprostu otworzyć oczu, taka je ogarniała senność. Upadały na przednie nogi i trzeba było ostrych środków, aby pobudzić ich uwagę. Badania wykazały, że u wszystkich zwierząt, w takim stanie się znajdujących, zachodzą zmiany w komórkach nerwowych, zwłaszcza w mózgu koło czoła, podczas gdy inne komórki się nie zmieniają. Nawet w wymienionej części mózgu zmianom ulegały tylko tak zwane piramidalne i polymorficzne komórki. Zmiany te zasadzały się na tem, że komórki się zmniejszały, zniekształcały i powiędły. Jądro komórki albo się przesuwało, albo podwajało. Jeśli jednak zwierzę mogło potem zaspokoić swoją potrzebę snu, zmiany te w zupełności znikały.

Skutek tych doświadczeń jest taki, że po raz pierwszy skonstatowano, gdzie się rodzi i skąd pochodzi pragnienie

snu. A potwierdziły to dalsze badania, najbardziej interesujące.

Przekonano się bowiem dalej, że stan bezsenności da się z jednego psa przeszczepić na drugiego. Kiedy bowiem psu zupełnie zdrowymu i nie potrzebującymu snu zastrzyknięto serum krwi z psa, ogarniętego możliwie największem pragnieniem snu, przekonano się, że u niego występują te same zmiany w komórkach mózgowych, aczkolwiek w trochę mniejszym stopniu. Kiedy wstrzyknięto zdrowemu psu większą dozę, opanowywała go coraz większa senność, aż wreszcie dochodziła do tego samego stopnia napięcia, jak u psa, którego krew mu wstrzykiwano.

Wynika z tego, że wskutek znużenia tworzy się w organizmie toksyna, oddziałująca na komórki mózgowe.

* * *

**Rabin 104 letni — ojcem.** Z Adamowa w gubernji siedleckiej donoszą do gazet warszawskich, że w tych dniach zmarł tam rabin miejscowy mając, lat 104. Był on rabinem w rozmaitych miasteczkach przez lat 70 bez przerwy. Zmarły zostawił 6 dzieci, z których — co najciekawsze — najmłodsze ma zaledwie pół roku. Druga żona rabina jest jeszcze młodą kobietą.

* * *

**Najwyższy dom w świecie** będzie wkrótce posiadał Nowy Jork. Dom ten, którego budowę rozpoczęto w listopadzie roku zeszłego, jest obecnie do połowy wykończony. Ma on obejmować 55 piętr. Położony między ulicą Bacheley a Placem parkowym, liczy w długości 47, a w szerokości 61 metrów; wysokość od poziomu do szczytu wieży wynosić ma 236 metrów. Przewyższałaby zatem znacznie wszystkie tak zwane „drapacze nieba", a dom byłby drugą najwyższą budową po wieży Eifla w Paryżu. Najbardziej zadziwiają przy tej budowie fundamenty, mające podtrzymywać ogromny ciężar 55 piętr, temwięcej, że wyższe warstwy podziemia na miejscu budowy składają się z piasku. Wskutek tego trzeba było założyć filary fundamentów na skale, znajdującej się 33,5 metrów pod powierzchnią ulicy, tak, że właściwa wysokość wynosić będzie 270 metrów. Mury zewnętrzne aż do 5 piętra są granitowe, wyższych piętr terakotowe. W celu zabezpieczenia mieszkańców w razie ognia założono 26 liftów i 4 szerokie schody w osobnych zabudowaniach ogniotrwałych. Zasadniczo nie używają do takich budowli żadnego drzewa ani innych materjałów łatwo palnych, a nawet obramowania drzwi i okien i ich ozdoby sporządzone są z prasowanej stali, posadzki zaś są mozaikowe.

* * *

**Straszna opowieść.** „Wiatskij Wiestnik" opowiada historję, która brzmi, jak romans kryminalny. Przez Jattę przejechała na okręcie wieziona etapem gromada więźniów z Kaukauzu, wśród których powszechną uwagę zwracał przystojny brunet, lat trzydziestu kilku. Był nim b. nauczyciel gimnazjum realnego, niejaki J. Syn drwala wiejskiego, w 9-tym roku życia uciekł z domu rodzicielskiego i przybył do Moskwy, gdzie się nim z litości zaopiekował stróż pewnego domu, urodzony w tej samej wsi, co i ojciec jego. Jako 15 letni młodzieniec rozkochał w sobie 50-letnią żonę kupca, u którego służył. Kupiec zmarł wkrótce, jak stwierdzono po latach wielu, przyczyną śmierci było otrucie przez żonę za namową kochanka. Młodzieniec zagarnął cały olbrzymi majątek kupca, wdowie zaś, pod groźbą wydania władzom, kazał wstąpić do klasztoru.

Wdowa prosiła i błagała kochanka, by jej nie opuszczał, młodzieniec nie dał się jednak wzruszyć i kazał ją nawet wyrzucić z mieszkania swego. Wtedy wdowa, mszcząc się na niewiernym, doniosła władzom, że za jego namową otruła męża. Aresztowano oboje i skazano na ciężkie roboty.

J. zbiegł jednak w drodze i uciekł do Japonji. Tam zaznajomił się z pewnym przyrodnikiem rosyjskim, zabił go i z dowodami osobistymi zmarłego powrócił do Rosji. Tu w ciągu niedługiego stosunkowo czasu popełnił, jak sam się przyznał, 17 morderstw. W końcu z jednym z domów publicznych w Rostowie nad Donem poznał dziewczynę niezwykłej urody, która wywarła nań tak silne wrażenie, że wykupił ją z domu rozpusty i postanowił jąć się „uczciwej" pracy...

Przy pomocy dowodów osobistych zabitego w Japonji przyrodnika udało mu się otrzymać posadę nauczyciela w jednem z gimnazjów. Tu przez 6 lat pędził żywot uczciwego człowieka. Gdy towarzyszka jego miała zostać matką, postanowił ożenić się z nią jeszcze przed przyjściem na świat dziecka. Zaczęto starać się o dowody dziewczyny i przy tej sposobności pokazało się, że dziewczyna, z którą żył kilka lat i która ma zostać matką jego dziecka, jest... jego rodzoną siostrą.

* * *

**Rozwody w Prusach.** Liczba rozwodów w Prusach w r. 1910 znowu się powiększyła, lecz już nie tak znacznie jak w latach poprzednich. W r. 1910 rozwiodły sądy 9277 małżeństw, podczas gdy w 1909 r. 9070, w 1908 r. 8365, w 1907 roku 7952, w 1906 roku 7539, w 1905 roku 6924. Liczba rozwodów powiększyła się więc z roku 1909 na 1910 rok o 207, czyli 2,3 proc., podczas, gdy w roku 1908 np. powiększyła się o 413, a w r. 1909 nawet o 705. W każdym razie wzrosła liczba rozwodów w ostatnich pięciu latach o 2353, czyli o przeszło jedną trzecią. Wzrost zeszłoroczny przypada wyłącznie na miasta, gdzie liczba rozwodów wzrosła z 7174 na 7452, podczas gdy na wsi zmniejszyła się z 1896 na 1825. Na miasta wielkie, liczące ponad 100 000 mieszkańców, przypada 5094 rozwodów, w tem w Berlinie samym 1971. Na 100 000 małżeństw przypadało w 1910 roku 129 rozwodów, tak samo w r. 1909; w roku 1905 wynosiła ta liczba tylko 106 na 100 tysięcy. W mniejszych miastach rozwiodło się w roku 1910 na 100 tysięcy małżenstw 216 (w roku 1905 180), w miastach ponad 100 tysięcy mieszkańców nawet 323, na wsi tylko 49 (w roku 1905 44). A zatem rozwody w miastach przewyższają co do liczby czterykroć rozwody na wsi. Podczas gdy na wsi w roku 1910 tylko każde dwutysiączne małżeństwo zostało sądownie rozwiedzione, przypada w miastach już na każde 463 cie, w wielkich miastach na każde 310 te, a w Berlinie nawet na każde 217-te małżeństwo jeden rozwód.

Ze statystyki wynika dalej, że podanie o rozwód wnosi częściej żona aniżeli mąż; w 5691 przypadkach wniosły o rozwód żony, w 3586 mężowie; oskarżona żona skarżyła męża w 1702, oskarżony mąż żonę w 1705 przypadkach. W 5548 rozwiedzionych małżeństwach były dzieci, w tem w 2326 małżeństwach tylko po jednem. Znaczna część rozwodów przypada na biedniejsze warstwy ludności; w 2664 przypadkach bowiem przyznano obydwom stronom prawo ubóstwa, 1200 razy mężowi samemu, 3344 razy żonie samej; tylko w 2069 przypadkach nie miała żadna strona prawa ubostwa.

Powodem rozwodów niemal w połowie wszystkich przypadków było wiarołomstwo; w dwuch piątych (40,7 %) ciężkie naruszanie obowiązków małżeńskich, niehonorowe lub niemoralne zachowanie się. Jedenasta część rozwodów wywołana została złośliwem opuszczeniem, reszta chorobą umysłową lub zagrażaniem życiu drugiej strony. Rozwody na wsi tem się różnią od rozwodów w miastach, że wiarołomstwo jest ich przyczyną zaledwie w dwuch piątych wszystkich przypadków. W 63,8 proc. rozwodów uznały sądy winę mężów; wiarołomstwa naogół więcej dopuszczały się żony, mianowicie na wsi. Choroby umysłowe u kobiet były dwa razy częściej powodem rozwodu niż u mężczyzn.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 36. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 9 września 1911.

ROBERT BRACCO.

# NOWORODEK.

Wreszcie, na krótko przed świtaniem, znalazł robotę. Zniechęcony i zmęczony długiem wałęsaniem się i bezowocnem czajeniem się po kryjówkach, usiadł na przesiąkniętym wilgocią chodniku przy ciemnych i samotnych jak cmentarz ogrodach placu Cavoura. Złorzecząc swojej gwieździe, przyglądał się wozom, jadącym zwolna z głuchym łoskotem ciężkich kół po bruku nierównym, wzdłuż wspaniałych pałaców dawnej, wielkiej alei Foria. Na szczęście, w chwili, gdy dostrzegł przechodnia, który miał mu dostarczyć roboty, nie przejeżdżał blisko żaden wóz, te zaś, które znajdowały się w drodze, musiały być daleko jeszcze, mało bowiem było je słychać.

Zdąży więc napewno załatwić się z ofiarą. Przechodzień miał minę znużoną i senną, ocknął się jednak, gdy opryszek schwycił go jedną ręką za szyję i trzymając z całych sił, zawołał:

— Prędko. Dawaj co masz!

Napadnięty był człowiekiem szczupłym, małego wzrostu, nie śmiał więc stawić oporu.

— Nie zabijaj mnie — wyjąkał głosem błagalnym szczękając zębami ze strachu. Kolana uginały się pod nim, czyniąc go jeszcze mniejszym, niż przed chwilą. — Masz zegarek i dewizkę, ale nie zabijaj mnie, nie rób mi nic złego.

— Nie wystarcza mi to.

— Złote...

— Za mało. Dawaj pieniądze. — Mówiąc to, przyłożył mu nóż do gardła.

— Czekaj, nie zabijaj mnie... Co by ci przyszło z tego, gdybyś mnie zabił! Dam ci, co chcesz. Czekaj...

— I ja tak myślę. Lepiej będzie.

Obmacał mu szybko kieszenie, wyjął z nich chustkę, klucz, cygara, portfel. Klucz i chustkę zwrócił, rozkazując spokojnie:

— Wracaj do swojego zajęcia i patrz przed siebie. Dobranoc. Obrabowany umknął jak goniona mysz, a zbój, ciekaw zawartości portfelu przeskoczył niskie ogrodzenie drutu i cofnął się w boczną alejkę, aby móc sprawdzić rozmiary łupu i nie być złapanym przy tej czynności. Noc jesienna była jasna. Gwiaździste niebo rozświetliło atmosferę. Przyczaiwszy się, chciał otworzyć portfel, gdy w tem migający z pomiędzy drzew cień pochylonej nisko kobiety panicznym przejął go strachem. W tej samej jednak chwili kobieta, niemniej od niego przerażona, zerwała się na równe nogi i zawołała gwałtownie:

— Nie! nie!... nie możesz mnie zaskarżyć! Nie możesz! Jestem jeszcze tutaj. Nie oddaliłam się. Nie opuściłam go jeszcze. Nie masz prawa mnie zaskarżyć!

— A łotrzyco! — zawołał zbir, dysząc z oburzenia. Przenikliwy wzrok jego dostrzegł natychmiast niewielki pakiet, rzucony pośpiesznie do wykopanego zagłębia w rychłym gruncie.

— A łotrzyco; więc to tak... to mały trupek!...

— Nie!... żyje! — pospieszyła zapewnić, jak gdyby ją to wytłomaczyło. — To chłopak, chłopak... żyje!...

— Pokaż.

— Nie ruszaj. Śpi.

— Śpi.

— Urodził się piękny i mocny, nieszczęśliwy ten malec. Jak gdybym nie miała nigdy się z nim rozłączyć, trzymałam go w ukryciu przez cztery dni i karmiłam ze smoczka. Za słaba byłam, aby się podnieść z łóżka, a towarzyszka moja, która w sekrecie również pielęgnowała mnie, nie mogła karmić go za mnie piersią. Tej nocy jednak ja sama miałam odwagę uśmiercić go.

— Dlaczegoś chciała go zagrzebać żywcem?

— Nie! nie!... Chciałam powierzyć go losowi... Myślałam...

— A ten dół? Czy nie ty go wykopałaś dla tego robaka, małpo jedna?

— Nie, nie wykopałam, przysięgam ci. Znalazłam. Jak gdyby umyślnie był przygotowany i czekał na małe.

— Na dworze zostawiłać tę dziecinę niewinną, krew swoją własną. Na dworze, na zimnie zostawiłaś?

— Nie możesz zaskarżyć mnie, nie możesz, nie opuściłam jeszcze dziecka!

— Jesteś najpodlejszą na świecie gałganicą! Szubienicy dla ciebie za mało za twoją podłość. Chodź ze mną!...

Schwycił ją za rękę, chcąc siłą pociągnąć za sobą opierającą się. Wtem zagroziła mu.

— Jeżeli mnie zaskarżysz, każę aresztować cię za grabież!

Słowa te miały skutek piorunujący. Puścił natychmiast jej rękę, poczem zapytał spokojniej:

— Widziałaś mnie?

— Wsunęłam się tutaj, przechodząc z tamtego, ciemniejszego kąta. Zauważyłam cię siedzącego na chodniku. Nie chciałam uciekać. Myślałam, że jesteś z policji. Gdybym próbowała uciec, byłabym zgubioną.. Mógłbyś usłyszeć mnie. Cofnęłam się więc w głąb i czekałam, aż odejdziesz. Nie odchodziłeś jednak, starałem się więc nie poruszać, wstrzymać dech w piersiach. Wreszcie zerwałeś się, aby napaść na tamtego biedaka. Odetchnęłam uspokojona. To rabuś! Tem lepiej i śmielej się poruszyłam. W chwili, gdy zajęty byłeś tamtym, włożyłam dziecko do zauważonego dołu. Nie myślałam, że wrócisz. Widzisz jednak, że zgrzeszyliśmy oboje i że djabeł chciał naszej zguby. Przyszedłeś, a teraz, jeżeli nie będziesz milczał, to i ja nie przemilczę. Pójdziemy razem do więzienia!

— Cóż mam ci powiedzieć? Masz rację. Ostatecznie, ja, biedak, ograbiający z narażeniem własnego życia, aby utrzymać żonę, uczciwą kobietą, i ty, bezwstydnico, zagrzebująca żywcem własne dziecko — mielibyśmy być równi sobie?

— Nie mam nikogo, coby troszczył się o mnie. Ani męża, ani ojca, ani brata, ani kochanka nawet. Niegodziwiec, co mnie uwiódł, nie żyje już. Pracuję od rana do

nocy na wyżywienie siebie i matki. Gdyby ludzie wiedzieli, że urodziłam dziecko, plunęliby mi w twarz, i znalazłabym już nigdzie roboty. A zresztą, ktoby mi chciał chować chłopczyka? Czem wyżywiłabym go? Musiałabym go donosić do końca, taki już mój nieszczęsny los. Akuszerka przestrzegła mnie, że przypłaciłabym ciężko krok ryzykowny. Cóżby się stało wtedy z matką moją, kaleką na nogi, przykutą nieruchomo do krzesła?

— Et! — machnął ręką nieco udobruchany. — Na tym marnym świecie nie dzieje się nigdy tak, jakbyśmy chcieli. Wszystko na opak. Wszystko... zawsze... jak na złość... Ja ci to mówię.

Zdjął czapką i poskrobał się po głowie. Zamyślił się przez chwilę, a potem pochylił się nad dołem. Ostrożnie uniósł w górę kawałek płótna. Wyjrzała z pod niego obnażona główka dziecka. Oczy maleństwa były zamknięte, dolna warga odchyliła się nieco od dziąseł. Przyłożył ucho do piersi dziecka; po chwili szepnął uspokojony:

— Żyje... oddecha...

Wstał, otworzył portfel, przeliczył jego zawartość i rzekł sam do siebie.

Potem zwrócił się do kobiety ze słowami, któremi zwykł był przywracać wolność swoim ofiarom:

— Wracaj do swego zajęcia i patrz prosto przed siebie.

— Co ci przychodzi do głowy? — zapytała kobieta głosem drżącym, błagalnym.

— Zaniosę malca do siebie — odrzekł, nie patrząc na nią i nasuwając czapkę na oczy. — Lepiej mu będzie u mnie, niż w tym dole pogrzebanemu żywcem. Mam pieniądze na mleko dla niego. A żona moja postara się o resztę. Oddałaby życie swoje, aby mieć syna. Nie będzie wprawdzie jej własny, ale zawsze to ja robię jej ten prezent. Tyle razy błagała mnie, że chce wziąć sierotę!... Gdy dziecko zawoła na nią: „mama", będzie dopiero biedaczka kontenta.

Pochylił się raz jeszcze i delikatnie, ostrożnie wziął dziecko na rękę.

Gdy kobieta nie przestawała patrzeć na niego osłupiałym wzrokiem, powtórzył szorstko:

— Idziesz, czy nie idziesz?

— Idę.

— Ale milcz. Pamiętaj, że nie znaliśmy się nigdy. Rozumiesz. Nigdy nie oglądałaś mojej twarzy, a ja nigdy nie widziałem twojej. Rozumiesz, czy nie?

— Rozumiem.

— Idź do swojego zajęcia i patrz prosto przed siebie.

Kobieta poszła, nie oglądając się. Rabuś ucałował czoło dzieciny.

# Wrażenia z wycieczki kooperatystów za granicą.

## V.

### W ojczyźnie kooperacji.

Po kilku godzinach podróży okrętem wylądowali wycieczkowicze na ziemi angielskiej, w porcie Dower. Oczekiwał ich tam delegat stowarzyszeń angielskich, które przez cały czas pobytu rosyjskich kooperatystów w Anglji, opiekowały się nimi z braterską gościnnością.

Delegat wprowadził podróżników do wagonu trzeciej klasy, do przedziału zarezerwowanego wyłącznie dla nich. Z podziwem opisuje sprawozdawco wygląd tych wagonów: duże i czyste, z ławkami sprężynowemi, wybitemi miękko, — czynią wrażenie naszych wagonów klasy drugiej — tylko że są znacznie od nich czyściejsze. Na ścianach wiszą obrazy najpiękniejszych okolic kraju. Pasażerski, zwyczajny pociąg pędził z szybkością 80 wiorst na godzinę. A że odległość z Dowru do Londynu wynosi 110 wiorst, więc zaledwie to i owo mieli czas zauważyć. Okolica, którą jechali była pagórkowata, skalista. Między jednem a drugiem pasmem wzgórz leżały szerokie, zielone doliny, a na nich tu i ówdzie rzucone stada owiec i koni. Zboża mało. Gdzieniegdzie tylko owies i żyto. Mokre doliny, oraz chłodny klimat nie pozwalają na sianie innych gatunków zboża. Anglicy muszą je sprowadzać z obcych krajów.

Ale zanim kooperatyści zdążyli wypytać swego przewodnika o dokładniejsze dane, pociąg wpadł już w robotniczą dzielnicę największego na świecie miasta.

Londyn! Stolica państwa olbrzymiego, największej na świecie potęgi morskiej. Siedem miljonów ludzi mieści się w tym jednym grodzie, z którego możnaby wykroić 7 miast wielkości Warszawy. Klimat tu straszny: zimny, wilgotny i mglisty. Nad całem miastem unosi się mgła szara, pomięszana z brudnym dymem kominów fabrycznych. Skutkiem tego niemal ciągle panuje tu półmrok. W połowie sierpnia — gdy kooperatyści zwiedzali Londyn — było tak ciemno, że po fabrykach i sklepach palono światło od rana do jedenastej godziny przed południem i od trzeciej po południu aż do samego wieczora.

A na ulicach ruch gwałtowny, gorączkowy. Pod powierzchnią ziemi, w tunelach, przelatują nieustannie pociągi kolei podziemnej. A na powierzchni tłumy, całe rzeki ludzi, płyną w różne strony. Środkiem ulicy toczą się naładowane platformy, huczą powozy, ryczą samochody. Zdaje się człowiekowi, który po raz pierwszy znalazł się w tym tłoku, że zginie. Nie dojdzie, dokąd dojść sobie postanowił, bo go uniesie ruchliwa, żywa ludzka fala. Niemożliwą rzeczą wydaje się, aby ktoś potrafił zatrzymać te tłumy, sunące chodnikami, albo okiełznąć rozpęd pojazdów, dorożek, samochodów, zawalających środek ulicy. A jednak siła taka istnieje. Niby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej wstrzymuje się nagle lawina publiczności, koni i pojazdów. Pośrodku ulicy otwiera się przestrzeń wolna, przez którą można przejść bezpiecznie z jednej strony na drugą. Ale w gromadzie czekających stoi jakiś kaleka na kulach. Gromada rozstępuje się i kaleka pierwszy przedostaje się na drugą stronę. Idzie sam, aby go przypadkiem kto nie potrącił. Ci, co przed chwilą śpieszyli jeden przez drugiego, stoją teraz cierpliwie, spokojnie, aż kaleka wejdzie na przeciwległy chodnik. Zgadnijcie, kto to sprawił, że w jednem okamgnieniu stanęła ciżba ludzi i wozów? — Stójkowy! Angielski stójkowy! Jest to pan skromnie, czarno ubrany, bez wyłogów, znaczków, galonów, nawet bez szabli. Tylko na prawym rękawie ma czerwony, maleńki numer. On to stanowi jedyną siłę, zdolną uregulować szalony ruch londyński. Wyobrażacie sobie może, że uskutecznia to z pomocą jakiejś trąby, której głos góruje nad ogłuszającym hukiem. Gdzietam! Zwyczajnie podnosi w górę rękę i ruch zatamowany. A wszyscy go słuchają. Jest on władzą ulicy, a opiekunem kobiet, chorych, starców i dzieci. To też, gdy w przeszłym roku zbrodniarze zamordowali kilku stójkowych, cały Londyn uczestniczył w ich pogrzebie, a chłopcy, sprzedawający na ulicach gazety, złożyli na trumnie wieniec z napisem: „Naszym dobrym opiekunom".

Mieszkańcy Londynu zrozumieli, że jeśli życia ulicznego swej stolicy nie ujmą w pewne karby, wynikiem tego będą ciągle katastrofy, przejechania, zgniecienia i t. d. Pojąwszy to, zgodzili się komuś oddać władzę nad ruchem miejskim i obowiązek ten przeznaczyli urzędnikowi, którego w Londynie słusznie nazwać można „stróżem publicznego bezpieczeństwa". Tak powstało prawo, na mocy którego jeden człowiek kieruje tysiącami i nikt jego władzy się nie opiera. To drobny tylko przykład życia angielskiego — ale podobnych możnaby przytoczyć tysiące. Jedyny to bowiem naród w Europie, który nauczył się sam sobą rządzić, a swobody swej używać na korzyść całego społeczeństwa. Dlatego nazywamy go narodem kulturalnym.

# Klerykali a masonerja.

W roku 1892 pojawiło się nakładem firmy katolickiej Delhomme et Briguet w Paryżu dzieło dr. Bataille'a pod tytułem „De diable su XIX siécle" (Djabeł w XIX wieku), które wywarło olbrzymie wrażenie w sferach, prowadzących od szeregu lat walkę z masonerją. Wprawdzie już poprzednio Leo Taxie w licznych broszurach i Jules Bois w książce o satanizmie i magji, oraz powieściopisarz Huysmans w głośnych romansach poczynili rewelacje o praktykach masonerji, o kulcie szatana i zamachach zjednoczonych liberałów, radykałow i wszelkiego rodzaju satanistów na świat katolicki, jednakowoż w sferach wolnomyślnych lekceważono te rewelacje i poczytywano je jako brednie i legiendy, zmyślone dla potwarzania postępu i demokracji. Dzieło jednak dr. Bataille'a opierało się na materjale faktycznym, na zeznaniach świadków, tak, że wszystkie zarzuty przeciwko masonom, jakie podniósł kongres antymasoński w Trydencie, oraz tezy zawarte w encyklice „Humanum genus" znalazły tam świadectwo.

Dr. Bataille, autor wspomnianego dzieła, był wedle przedmowy lekarzem marynarki i przyjęty został do jednego z najniebezpieczniejszych zakonów masońskich tak zwanych „paladystów". Paladyści uprawiali kult szatana i wybierali antypapieża, którego misją było zniszczyć katolicyzm i antychrysta osadzić na stolicy świata. Na cześć szatana odprawiali paladyści najohydniejsze orgje, a kult polegał na przekłuwaniu hostji i znieważaniu podobizn Chrystusa i organizowaniu sił społecznych, politycznych i literackich na zgubę chrześćjaństwa. Na tajemniczych obchodach paladystów zjawiał się co 10 dni sam Lucyfer i suggerował idee wiodące ku ugruntowaniu władzy antychrysta.

W tajemniczych jaskiniach nad Gibraltarem wytwarzali masoni angielscy okrutne przyrządy i aparaty dla wytępienia świata katolickiego, a dr. Bataille był raz w laboratorjum, w którem djablikowie wytwarzali epidemje dla wytępienia ludzkości.

Po 11 latach dr. Bataille popadł w podejrzenie, że jest szpiegiem i został przez paladystów skazany na powolną śmierć, jednakowoż dzięki wstawiennictwu szlachetnej paladystki Miss Diany Vaughan uszedł cało i opublikował swoje przygody.

Miss Diana Vaughan odegrała bardzo poważną rolę w dziejach walki kościoła z masonerją. Wedla dr. Batailla oraz Leona Taxilla, który wydawał pismo przeciwko masonom, urodziła się ona 26 lutego 1862, jako córka najwyższego kapłana szatana i wyświęconą została na kapłankę paladystów. Doznawała wielkiej czci i kultu we wszystkich łożach masońskich i siedziała na tronie obok papieża paladystów Alberta Pikiego. Po schyzmie w obozie paladystów gdy Lemmi został wybrany przeciwpapieżem, pozostała Miss Diana wierną pierwotnym zasadom loży i wydawała pismo o odrodzeniu paladyzmu. Jako redaktorka wyszła w kontakt z pismami i kapłanami katolickimi, nauczyła się szanować chrześćjaństwo i powzięła kult dla dziewicy orleańskiej. Raz zjawił się u niej djabeł kochanek Asmodeusz osobiście i starał się na nowo utwierdzić w kulcie paladynizmu, ale próżne były usiłowania djabła, a gdy przywołał do pomocy Molocha i Astarota, wtedy Miss Diana natchniona instynktem samozachowawczym pomodliła się do dziewicy orleańskiej i pogromiła moc czartów. Wzruszona temi przejściami nawróciła się i wstąpiła do jednego z klasztorów paryskich, unikając ludzi i oddając się wyłącznie ascezie i modlitwie.

Jedynym gościem, którego przyjmowała Miss Vaughan był Leo Taxil, odgrywający rolę pośrednika i apostoła pomiędzy nią a duchowieństwem w Paryżu i Rzymie. Leo Taxil ogłosił także pamiętniki Miss Vaughan, a pamiętniki te bardziej jeszcze utwierdziły rewelacje dr. Batailla'a i podniosły urok ligi antymassońskiej, prowadzonej z wielkim temperamentem i niesłychaną żarliwością przez Leona Taxila. Miss Dianę Vaughan otaczał urok tajemniczości i świętości, portrety jej kursowały wśród nabożnego ludu i podobno wisiały między świętemi obrazami wraz z obrazem Taxila. Sam papież udzielał jej błogosławieństwa za pośrednictwem kardynała Parocchiego, zaś biskupi Fawa, Paganucci, kardynał Haller, książę biskup Valussi, powoływali się na jej autorytet. Wprawdzie podnosiły się licznie głosy w prasie przeciwko tym rewelacjom, a pisarze wolnomyślni twierdzili, że wszystkie opowieści o masonach są smalonymi dubami, zmyślonymi przez klerykałów dla szerzenia ciemnoty, jednakowoż powaga kurji papieskiej i najwybitniejszych książąt kościoła utwierdziła wierzących w przekonaniu, że jedynie intrygi massońskie dążą do zakwestjonowania oczywistych faktów. Jednakowoż szczypta sceptycyzmu wsączyła się i w serca wierzących i dlatego ze wszech stron zaczęto naciskać na Taxila, ażeby skłonił Miss Vaughan do opuszczenia klasztoru i pojawienia się na zebraniu publicznem.

Leon Taxil uznał to żądanie za słuszne, zwołał pamiętne zgromadzenie, na które zaprosił jedynie wybitnych katolickich dziennikarzy i księży paryskich. O zmroku zobaczyli zebrani na estradzie postać, jednakowoż nie w sukni lecz w spodniach, a postacią tą był p. Leo Taxil. Wygłosił on następujący odczyt:

„Życzycie sobie zobaczyć Miss Dianę Vaughan, a może i dr. Bataille'a, otóż ja jestem zarówno Miss Dianą jak i dr. Bataille'ą, gdyż ja na spółkę z dr. Hochem ułożyłem dzieło o djable XIX stulecia i pamiętniki Miss Vaughan i bawiłem się sakramentalnie, patrząc, jak dziesiątki tysięcy ludzi wierzyło w moje smalone duby, niby w ewangelję. Czasem podczas pisania moich bajek mówił mi dr. Hoch, że skompromituję się niesłychanie, bo nikt mi nie uwierzy w Belzebuby, Astaroty i grające na fortepjanach krokodyle, jednakowoż tłomaczyłem mu, że niema absurdu i głupstwa, w któreby nie uwierzyli ludzie, skoro to głupstwo żeglować będzie pod flagą klerykalną."

„Można sobie wyobrazić konsternację zgromadzonych po tych rewelacjach szambelana papieskiego Leona Taxila! Klerykali nazwali go największym oszustem stulecia, a liberali największym kawalarzem.

14 lat minęło od tych wypadków a ludzie zapomnieli o lekcji danej przez Taxila. Prezes akademji umiejętności hr. Stanisław Tarnowski na zjeździe w Przemyślu znów wywodził o masonach, jak Leo Taxil w najlepszych swoich czasach, zaś profesor uniwersytetu wzywał wszystkich katolików do obrony kościoła przeciw zamachom masonów, radykałów, twierdząc, że jedna i ta sama setka czci szatana i robi rewolucję w Barcelonie i strejki w Anglji.

Równocześnie stańczykowski „Przegląd polski" w Krakowie i narodowo-demokratyczne „Słowo polskie umieszczają „naukowe" artykuły o masonach, zaczerpnięte z dzieła dr. Batailla.

Jeszcze przed Leonem Taxilem powiedział Słowacki: „Głupstwo jest wieczne, głupstwo nie może umierać.

„Naprzód". E. Z.

## Rozmaitości

**Męki rozbitków.** Okręt pasażerski „Goth" w powrocie z Aden zawinął do portu marsyljańskiego z 25 rozbitkami zatoniętego okrętu „Fifeshire". Według ich opowiadań w dniu 9 sierpnia zaskoczyła „Fifeshire" gęsta mgła późnym wieczorem. Nagle odczuto gwałtowne zderzenie. Pasażerowie wybiegli na pokład, gdzie oficerzy objaśnili, że okręt osiadł na mieliźnie, że jednak niema niebezpieczeństwa. Pomimo to przerażenie ogarnęło pasażerów. Nad ranem usiłowano okręt uruchomić, lecz dziura, powstała wskutek uderzenia, przepuszczała coraz więcej wody, a grozę położenia powiększyła burza, która pod wieczór zaczęła szaleć z niezwykłą siłą. Następna noc przeszła w nieopisanym strachu, ponieważ w kajutach woda coraz wyżej się podnosiła. Obok przejeżdżał statek, który jednak z powodu mgły i burzy nie spostrzegł rozpaczliwych alarmów rozbitków. Dopiero trzeciego dnia parowiec, idący z Madagaskaru, usłyszał krzyki i wziął nieszczęśliwych na pokład. Opowiadali oni dalej, że setki dzikich przypatrywało się ich

rozpaczy i przygotowywało się do podpłynięcia do rozbitego okrętu, wskazując niedwuznacznie, jaki los czeka nieszczęsnych rozbitków.

* * *

**Uniwersytety w Austrji.** Ministerstwo wyznań i oświaty austrjackie ogłasza na podstawie oficjalnej statystyki daty o frekwencji austrjackich uniwersytetów w półroczu letniem roku 1910/11. Najliczniejszym okazał się uniwersytet wiedeński, do którego uczęszczało 7789 słuchaczy płci obojej. Z tej liczby uczęszczało na wydział prawniczy 3071, na medyczny 1959, na filozoficzny 2534 słuchaczy (w tej liczbie 587 kobiet), na teologiczny 225. Na uniwersytet we Lwowie uczęszczało 4480 słuchaczy i słuchaczek. Na wydział prawa zapisało się 2800 słuchaczy, w tej liczbie 29 nadzwyczajnych. Wydział medyczny liczył 402 słuchaczy (w tem 72 zwyczajne i nadzwyczajne słuchaczki). Na wydziale filozoficznym było zapisanych 928, mianowicie 462 słuchaczy, 190 słuchaczek zwyczajnych, jako 127 słuchaczy (w tej liczbie 62 kandydatów na nauczycieli szkoł realnych i 65 farmacentów) i 143 słuchaczki (132 kandydatki na nauczycielki szkół realnych i farmacentek) nadzwyczajnych, wreszcie 6 hospitanek. Na wydziale teologicznym liczono ich 357 (352 zwyczajnych, 5 nadzwyczajnych. Uniwersytet Jagielloński w Krakowie liczy ogółem — 2996 frekwentantów. Na wydział prawniczy uczęszczało 1291 zwyczajnych i 13 nadzwyczajnych słuchaczy; na wydział medyczny 414 słuchaczy i 40 słuchaczek zwyczajnych, a 13 słuchaczy i 3 słuchaczki nadzwyczajne; na wydział filozoficzny 1156, a mianowicie: 685 słuchaczy i 185 słuchaczek zwyczajnych, a 150 słuchaczy (w tej liczbie 19 kandydatów na nauczycieli szkół realnych i 32 farmacentów), jako też 98 słuchaczek (między niemi 5 farmacentek) nadzwyczajnych, oraz 38 hospitanek. Na teologję uczęszczało tam 97 słuchaczy zwyczajnych.

Minimum frekwencji przypada na uniwersytety w Innsbrucku (1122) i w Czerniowcach (1126).

Na uniwersytecie w Czerniowcach zapisanych było na wydziale prawniczym 602 zwyczajnych i 14 nadzwyczajnych jako też 2 hospitanki, razem 608, na wydział filozoficzny zapisało się ogółem 234 słuchaczy i 99 słuchaczek. Na wydziale teologicznym 170 zwyczajnych i 5 nadzwyceajnych, ogółem 175 słuchaczy.

Ogólna frekwencja uniwersytetów w Austrji doszła w półroczu letniem 1910/11 do 24 804 słuchaczy i stuchaczek.

* * *

**Najdłuższe połączenie telefoniczne** będzie wkrótce posiadała — oczywiście Ameryka Północna. Z Nowego Jorku donoszą, iż tamtejszy zarząd poczt i telegrafów dokonuje od pewnego czasu prób rozmów telefonicznych pomiędzy Salt Lake-City a San Francisko, oddalonymi od siebie o przeszło 1000 kilometrów. Dotychczasowe próby wypadły korzystnie. Rozmowy można prowadzić z jednego miejsca do drugiego nawet wówczas, gdy po tym samym drucie posyła się równocześnie telegramy. W razie udania się prób wszystkie miasta północno zachodniej części Stanów Zjednoczonych mają być połączone ze wschodem Północnej Ameryki.

* * *

**Nowa choroba.** Z dalekiego Wschodu donoszą, iż — według wiadomości, otrzymanej od rosyjskiego zastępcy konsula w Kuand Szensi — w Tschan Tschun wybuchła epidemja, objawiająca się bólami głowy i zaniemówieniem, poczem wkrótce następuje śmierć. Choroba ta rozpowszechnia się z wielką szybkością. Lekarze japońscy i chińscy nie mogą narazie zbadać przyczyn tej zagadkowej choroby.

* * *

**Dowcipny pod nożem.** Trzech doktorów operowało chorego, cierpiącego na wrzód w kiszkach i gdy zeszyto mu skórę na brzuchu, jeden z nich przypomniał sobie, że pozostawił w ranie igłę. Rozpruto mu więc szwy, wyjęto zapomniany przedmiot i zszyto go na nowo.

— Kochany kolego — zawołał, dokonywający razem z nim operacji, zdaje mi się, że i moje małej małe nożyczki w ranie pozostały, trzeba będzie znowu je wyjąć. — Wyjęto więc je i powtórzono operację zszycia.

— Moi panowie, odezwał się chory wreszcie do nich widząc, że i 3 doktór również ma zafrasowaną minę, jak gdyby również czego w ranie jego zapomniał. Jeżeli macie tak często prać moją skórę, czy nie lepiej byłoby, abyście poprzyszywali na niej guziki do zapinania jej i odpinania.

* * *

**Bolesne, lecz prawdziwe.** O ciekawem zdarzeniu, które możnaby uważać za dowcip, gdyby nie było faktem, donoszą z Getyngi do „Frankfurter Ztg.".

Jeden z tamtejszych kupców, handlujący starowizną, ogłaszał już oddawna w gazetach, iż kupuje zęby i całe szczęki i płaci za nie najwyższe ceny dzienne. Oczywiście nie chodziło mu tyle o zęby same, ile o pręciki platynowe, umieszczone w każdym sztucznym zębie, których dalsze sprzedanie wobec wysokich cen platyny dobrze się opłaca. W tych dniach zjawia się u owego handlarza pewien chłop wiejski i ofiaruje mu na sprzedaż 13 zębów. Pytając o najwyższą cenę dzienną, rozkłada na stole 13 zupełnie zdrowych zębów. Na odpowiedź kupca, że za każdy ząb zapłaci 25 fenigów, chłop oburzony nie chce ich sprzedać. Powiadano mu, mówi, że ów handlarz płaci za każdy ząb ludzki po dwie marki i dlatego kazał zębodłubowi wiejskiemu wzrwać sobie 13 zębów, aby je spieniężyć. Za samo wyrwanie zapłacił po 50 fenigów od zęba, a za boleści, które przy tem wytrzymał, także musi żądać wynagrodzenia. Dlatego niżej 1 marki i 50 fenigów od każdego sprzedawać zębów nie może, tem mniej, że dentyści za każdy ząb wsadzony biorą co najmniej 3 marki, że więc handlarz przy cenie 1,50 mk. jeszcze dosyć zarabia. I zanim kupiec mógł odpowiedzieć, zabrał poczciwiec swoje zęby i opuścił skład z zamiarem udania się wprost do dentysty, który mu za zęby lepiej zapłaci.

* * *

**Romans a rzeczywistość.** Szczególnie silne wrażenie sprawiła wiadomość o zniknięciu Mony Lizy w Danji, gdzie przypomniano sobie odrazu niedawno wydaną powieść, której treść stanowi kradzież tego cennego obrazu. Autor książki, która swego czasu (w r. 1909) wywołała bardzo silne zainteresowanie, jest zupełnie nieznany. Występuje on na karcie tytułowej pod nazwą Höjan, ale takiej osobistości w Danji niema i nikt też dotąd nie chciał przyznać się do tego pseudonimu.

Autor opowiada, że dyrektor Louvru „Bromol" (rzeczywiste nazwisko Homolle) pewnego dnia zgromadził przed obrazem Mony Lizy kilku kopistów i wygłosił wobec nich wielce uczony wykład o piękności tego dzieła, której najlepsza kopja oddać nie potrafi. Przypadkiem jeden z kopistów zbliżył się zanadto do obrazu i przekonał się, że — farbuje. Widocznie więc oryginał zastąpiono świeżą kopją! Wiadomość o zniknięciu nieocenionego oryginały sprawiła w Paryżu olbrzymie wrażenie, p. Lepine (zupełnie tak samo, jak się to obecnie stało) przeprowadził szczegółowe śledztwo, które wykazało, że z sali sąsiedniej przebito otwór i w ten sposób zabrano obraz.

Przypadkiem detektyw dostaje się po upływie dłuższego już czasu do skromnej pracowni malarskiej na Montmartre i znajduje tam rozczochranego malarza wraz z niemniej rozczochraną przyjaciółką, a na ścianie oryginalną „Monę Lizę". Okazuje się, że artysta w porozumieniu ze swą przyjaciółką urządził sobie figiel i za pomocą modelu, który był równocześnie kolporterem, uskutecznił kradzież obrazu.

Sprawę załatwiono ugodowo. Obraz ustawiono na zwykłem miejscu w Louvre, a Lepine zapewnił „figlarnemu" sprawcy kradzieży bezkarność.

Taka jest treść powieści, której rozliczne szczegóły przypominają doskonale rzeczywiste wydarzenia teraźniejsze.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 37. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej".

Katowice, sobota, dnia 16 września 1911.

JULJUSZ KADEN.

## CHŁOPIEC.

Chłopiec se siedział na stopniu cembrowanej studni i z uzbieranych śmieci, sznurków i przerozmaitego nieużytku wysławiał, sposobił i urządzał swe zabawy. To sklepik zakładał, to studnię budował, to znów piach jako mąkę w pudełkach woził. Tak trwało niewiadomo jak długo, póki zabawność sama nie uciekła. Wtedy nacieszywszy się do syta gracikami zmęczonemi zaczynał inne, nowe, coś, co jest najlepsze i najcichsze. W głowie mu się przemieniało wszelkie znaczenie błyskotek i strzępów a zostawał tylko jakiś wir, splątwszystkiego, przerozmaitego w jedność nieznaną, dziwną, obcą i swoją choć gdzieś z dali płynącą.

Oczy bez żadnej woli zapatrywały mu się w wielkie jaśnienie pól słonecznych, jesiennych, prawie pustych. Oczy mu się zapatrywały, uszy, niby te morskie muszelki, choć nic im do słuchania myślą nie raił, choć na wszystko słyszalne, na tumulty i chrzęsty i pogwary gospodarskie głuchł — same z siebie przędły granie, czy płynięcie nieustanne, miłe, błogie i przenajsłodsze. Więc tak se siedział z oczami w rozlewy słońca zatopionemi, z uchem, jakąś nie swoją ale niestraszną, bogobojną tajemnicą oczarowanem. Ręce wątłe, zwinne, brudne, ale w każdem dotknięciu łagodne, poprawne i przychylne prowadził z drobiazgu na drobiazg, ze szkiełka na szkiełko, ręce oglądającem dotykaniem wiele rzeczy myślące. Na wnątrzu, w piersi, płynął mu żadną troską nie zmarszczony głos spokoju. I gapił się w ten świat psienny, dziwny — przedziwny, niepojęty.

Aż przyszedł stary drwal do studni po wodę. Bo studnia na wiele domów była jedyna. Przyszedł, jedną i drugą konew postawił, zdjął koromysło z barów ugiętych i przeciągnął się należycie. Przeciągnął się, w ręce splunął i spuszczał wiadro. Spuszczał długo, bo studnia była głęboka, czarna, sina i zimna.

Chłopca obleciał strach na myśl, że oto tak, ni z tego ni z owego, wydrążona, wydłubana jest w ziemi głęboka, czarna, zimna dziura. I idzie coraz głębiej, coraz zimniej, coraz czarniej, aż do ciamkającej granicy, w której jest woda. A wodą tą, żeby przecie w głąb iść, jak ten kamień ukradkiem rzucony, żeby w głąb iść — to się będzie iść i spadać i spływać i zsuwać i spłozić aż na spód do jakiegoś lodu, na który woda zamarzła. A przez ten lód, żeby się gryść, gryść i gryść i wygryzać coraz głębiej, choć tam tak strasznie ciemno, tak strasznie czarno, tak strasznie zimno — to się człowiek przegryzie do środka światła i na tamtą stronę.

Wstawszy, wziął drwala nad studnią pochylonego za fałd grubych szerokich portek i tak uczepiony, pochylił się nad głęboką, jęczącą gardzielą ciemności. Czekał, póki się nie zacznie powrót i wesoły klekot wiadra o ściany. Nareszcie z pomroki studziennej wychylił się błyszczący łuk żelaza a za nim już wiadro, zimnem srebrem chlapiące dokoła. A gdy już wiadro stanęło na zrębie, radość się zrobiła. Radość z tego, że w wiadrze jest woda własna, zwykła zwyczajna.

Drwal poszedł a chłopiec nie wrócił już do zabawy. Nad studnią zawisł. Sam. Czekał. Ze studni się sączył jakby poszmer, daleki szept, najdalszy oddech.

Oczy wytężył, żeby szły mocno, mocno na wskroś ciemności. Wszystko, co tylko mogło rozumieć, otwarło się ku rozumieniu najlepszemu. Ze studni szło wciąż to samo. Szept, szum, szmer, czy oddech dalekiego, bardzo dalekiego snu.

Co tam śpi?

Żmija słonecznego blasku przewinęła się po zielonym mchu okrągłej ściany i zgasła.

Co tam śpi? Co tam szepcze? Co tam jęczy? Dlaczego? Czy śni mu się tam?

Co tam czeka? Co tam czuje? Czy co wie?

Coś błysło tuż, niedaleko na czarnej głębi studni. Zląkł się, bo zaniewidział na chwilę. Bo oczy cemnością znęcone w ciemność może spadły?... Dwie przestraszone wielkie łzy. Czy dosłyszy aż upadną? Nie słychać, choć się już sypią raz za razem.

Panującym przestrachom kłania się wszelkiego ruchu podorędzie. Przypochlebia się i tłomaczy, że to nic — ta czarna dziura w ziemi wydłubana, że to nic — ta studnia, że nad nią jest niebo, jak wielkie skrzydło niebieskawego gołąbka rozpostarte, przerośnięte piórkami białych chmurek i ziemia wszelka i na niej wszystko co się rusza i jest, jest, jest ciągle. Ale się strachy tem przypochlebstwem obełgać nie dają i chłopak głowy od studni nie odwraca.

Już teraz musi się dowiedzieć. Oczami nie wypatrzy, uchem nie wysłucha, ręką nie wyczuje. Jest tylko jedno — zapytać się. Rzuca bardziej badające od słuchu, wzroku, rzuca słowo.

— Powiedz, chcę wiedzieć.

Nic. Ten sam daleki oddech, czy sen.

Zawołał głośniej: „Powiedz, chcę wiedzieć!"

Zgiełk słów mętny, krzykliwy, lepki błąkał się chwilę i po krótce wsiąkł w czarną bezdeń. Tam w studni słowo przepada, gubi się i nie wraca — jak kamień.

Zsunął się na ziemię. Zakołysało nim nieznane, niewiadome. I to, że widać podwórko a w kącie śmietnik a dalej furtkę otwartą i to, że w ogrodzie widać grzędy buraków i drzewa i to, że widać dalej zeschły przeorany łubin a za nim łąkę, a za nią kilka białych domków, a dalej wystrzępioną ścianę lasu — wszystko utopiło się w cichej fali nieznanego.

Dusza chłopca niby drzemie, niby śpi. Wszystko co widzi, jest obrazkiem, malowanką, odbijanką. Ale niech znów nieznane tchnie — wszystko co widzi dusza chwieje się, spływa gdzieś precz, ucieka, wyciąga się i drży. Jak te włoski zielone na kamieniach strumykowego łożyska wodą poczesane, jak trawa na dnie sadzawki słaniająca się, jak to pierze powietrzne, jak te paździory, co lecą na wolę podmuchu zdane, jak te głosy co się rodzą i gubią, jak to tchnienie co ledwo pierś uniesie, gdy oto już odbiegło — tak wszystko leci w przestwór, leci, nieodszukane przenigdy.

Przysiadł chłopiec, na pięty się osunął, zabawę składał i rozkładał, ale przez serce płynęła mu żywcem ta struga przedziwnego rozumienia. Niewiadomo skąd, niemokra i niegłośna, bo niewidzialna wypływa i nie wiadomo gdzie ujścia szuka — jeno wiadomo, że płynie.

Gdy trwał tak posmętkiem, niby pierzem, puchem owiany, oczy mu się blisko pokumały z tym ogrodem za furtą. Nad grzędą wielkie kielichy buraczanych liści. Ciepłe i giętkie. Tu sobie burak zbiera rosę i różną wodę i pije za swoje zdrowie. Dalej łubin przeorany wraz z trawą przybłędną i pyżem. Całe pole zmiętoszone jeży się cieńkimi paluszkami łodyg. Daleko za płotem białe, czyste domki. Stoją osobne, twarde, nieruchome, choć wszystko się na wietrze chwieje i rusza. Między domami drzewa i sypie się z nich i miecie i osypuje, ciągle, długo, nieprzestannie, sypie się z nich suchym łupieżem mrowie liści. Liście spalone jak papierki. Każdy osobno umiera i umierają wszystkie razem. Cała ściana tam czerwona, czerwieni się, rzednie i umiera. Wszystko się od słońca rumieni, czerwieni i umiera.

Wszystko się kruszy.

Wielkie ukochanie rozgościło się w patrzącym. Cały widok ująć chcące. Ująć, rękami ogarnąć, jeszcze lepiej i bliżej, ręce na tem położyć, całemu całe objąć, i trzymać i dzierżyć i strzec. Ale nawet w rękach nie utrzymasz, bo się samo kruszy, póki nie umrze.

Czy wszystko umiera?

Najbardziej ze wszystkiego mała siostrzyczka. Leży, leży i leży, robi w pieluchy i płacze. Coraz ciszej i coraz cieniej. A potem tylko oddycha. A mama coraz bardziej jakoś na sobie wisi, głowę wyciąga do góry z samej siebie, z ramion i z pleców. A plecy i ramiona i całe ubranie tak na niej wisi. Chyba coraz cięższe jest. Z drzewa, z blachy, z samego kamienia. A tata w drewutni sobaczy wszystko i klnie. Taka go niecierpliwość zbiera, taki się w nim gniew groźny zaprowadza, że mu wszystko z rąk leci, w rękach wierzga i skacze. Za byle co już pas odpasał i skórę chłopcu łoji przy studni. Wrzeszczą obaj na podwórzu, gdy w tem mama się w drzwiach ukaże blada i ciężka, taka ciężka z oczami głęboko w głowie. Tak się zrobi na podwórku, jakby się cicha noc z nieba oberwała — tak blado się zrobi i zimno. Tata porwie syna za głowę, poleci z nim do drewutni, siędzie na worku z węglami. Obejmie syna za twarz i do siebie przygniecie. Syn słucha, jak się z ojcowej piersi ryk wydziera, jak się tam łzy ze świstem mięszają, jak tam coś okropnego chlusta. Tak sobie wtedy będą, bez żadnego dla ojcowej powagi uszczerbu, obaj płakać, czarna włochata stara głowa z białą synowską Potem się ojciec otrząśnie, na worku z ziemniakami przykaże siedzieć i pilnować i idzie do roboty.

Chłopiec siedzi, kręci się i rajdosi, bo choć się ziemniaki łacniej nagrzeją niż te węgle od ciała, i choć są ustępliwsze i gładsze niż węgle, to przecie długo tak przebywając, masz pod koniec, jakbyś na grochu siedział.

I przypatruje się na ulicę. Bo jak za domem z tyłu mają podwórko, ogród i las, tak z przodu jest ulica i domy z naprzeciwka. Idą ludzie jedni i drudzy, czasem który wdepnie do sklepu i z ojcem zaraz targ. Zaraz worki z węglem skrzeczą, chrzęszczą, pyłem kurzą, waga skrzypliwa w robocie i znów odchodzą. Idą, idą długo, różni, póki wieczoru nie sprowadzą. Już na ulicy mrok, a w sklepie jeszcze gorszy, od lampki, złoty, pogięty, rozłupany. Z pomiędzy czarnych złomów, między łyskiem zbrużdżonym z dziur i szczelin węgla coś się wychyla i przypomina. Ściany czarne zmykają się w czarną paszczę. Łysk po niej lata, błysk się po niej ślizga ale się w żadne światło skleić nie może. Tylko se ściany chropawym blaskiem wciąż na boki spozierają i łypią i zezują. A żeby tym wszystkim błyskom prosto w drogę patrzeć, trzebaby w dziesięć stron naraz oko zwrócić, że aż się oczy mącą i śmiga w nich daleka prawda, że to węgiel winien, on winien, on morduje!

Ale weszli rodzice oboje, wzięli go za ręce i wprowadzili do siostry umarłej, która teraz patrzyła twardemi oczyma, jak krzemienie. Później szli pochodem długim po błocie, daleko za miasto, na cmentarz i tam trumnę wpuścili.

Umiera mała siostra i w trumnie leży. Wszystko oblatuje, kruszy się i umiera. Liście zlatują i umierają. Ale ich nikt nie chowa do trumny. Nie mają żadnej. Co robią potem? No robi łubin, gdy umrze przeorany, że sterczą łodygi po trzy, po wiele, albo po pięć? — jak palce? A za palcami, od nich dalej, tylko że nie widać — biegną ramiona. Zbiegają się w szyję malutką, a na tej szyi — tylko że nie widać, tylko że zaorana, tylko że przeorana — leży pod grudą twarz. Czy leży, jeśli leży?

I runął chłopiec prędkiemi oczyma po krasnych kielichach burakowych a od nich na pole chłynął falą spojrzenia między ziemie i bruzdy. Rozkołysało się spojrzenie na gruncie w wyrwy porzuconym, zestrzępiło się na polu przeoranem — nic nie znajdując. Poszło stroskane, ziemią ciągnięte het! do środka cieplutkiego, pod zaschłą grudę, pod ciepłą skibę, het, dalej za pazuchę, do ziemskiego wnętrza, do pachnącej tajemnicy pola, do uroków w nierozwikłane korzenie zawikłanych, do tych spraw, które się w głębszej glebie tają, do onej wiecznej pamięci, która w łonach drzemie i śpi, na wszystko pomna.

Wyszedł na te pole. Przeszukał oczami bacznie, ziemię w palcach rozkruszył — i tu niema nikogo. Niema w studni, niema w węglu, niema na polu, niema nigdzie tej, co się półsłówkiem nie odezwie. A przecie musi być, gdy koniec wszystkiemu stawia. Niema jej w tych, których niema, bo ich niema. Niema w tych, którzy są, bo są. Gdzie jest? Gdzie siedzi, którędy chodzi?

Szary, wątły, w łatanej ojca kapocie i w słomianym kapeluchu, z tą twarzą w pole wyciągniętą, z oczyma na światełł przestrzał rozwartemi, z rąk grudę sypiący, stał, jak w pole wbity strach.

Piętami bosemi z twardej ziemi wyrasta i słyszy w tych cichościach powietrznych różne muzyki, sny i bajki. lecz się niemi nie powoduje. Pod spodem muzyk snów i bajek słyszy dzwonek cmentarny dzwoniący, z którego się zgrzytaniem śmieją węgle w workach. A pod spodem tego śmiechu słyszy gęstą ciszę, tam w izbie. Cisza przewiązana jest na mocny węzeł. Ten węzeł są usta matczyne, zamknięte. Za temi ustami jest to, co jest czarniejsze od węgla, od studni głębokiej, jest to, co leży w ziemi. Tam za ustami zamkniętemi jest śmierć. W tym gorzkim żalu.

Ruszył przez kładkę ku białym domkom. Jeszcze teraz śmierci nie widzi, nie trzyma jej, ale już ją chyba łapie. Ona się śmieje niedobrze w każdym płaczu, ona grozi złymi koziołkami w każdem żałowaniu, ona ziewa przekornie na tamtej stronie zlitowania. Wisi na wiankach cmentarza i na krzyżach, a nawet na cmentarzu jej niema, bo cmentarz jest w ziemi, a w ziemi nawet w grudkach wywróconych jej nie było. Wszyscy żałują. Śmierć jak robak we szwie ukryty, siedzi w myśli. W tej, co żałuje, a nie pomoże. Chłopiec tej śmierci wybuduje taką tamę, że śmierć w niej wyschnie i umrze. Wygoni, wydusi ją złodziejkę. Otoczy ją białym murem błyszczącym, suchym, ślicznym. Mur będzie lekki jak wiatr, jak harmonijka ściągnięty i rozciągnięty, a wierzch będzie miał, ostry, kaleczący. Ten mur — to jest śmiech. Bo śmierć jest w środku człowieka i można się z nią bić.

Podszedł pod okno domu, gdzie mieszkała praczka z pralnią, syn jej Antek i brat jego Bolek. Wywabił ich i poszli dalej do Zosi, jeszcze aż się ich uzbierało spora kupka. Poszli w las, z jednej polanki na drugą, tam, gdzie stał duży dębczak na środku.

Zaczął im mówić, tłomaczyć i przekładać, jak mu się to ułożyło, wykazało i wyszło o tej śmierci jedno za drugiem, do końca. Że choć mocna jest, można ją pobić, zepsuć i zniszczyć. I wcaleby jej nie było, żeby się nikt nie bał i żeby się z niej wszyscy śmiali. On im pokaże, że nie trzeba się bać. I jeszcze chciał im mówić długo, ale Antek z Bolkiem zaczęli się gzić, dziewczynki poleciały trząść orzechy, a został tylko mały Cesiek i nudził i prosił o jedną szpulkę. Ale gdy zobaczył, że innych już niema, poleciał za nimi.

Chłopiec został sam. Został sam jakby na pół jakiemś tępem cięciem przecięty, pokaleczony i rozerwany. Tak bardzo, że się ten ból niby gęsta woda wylał na ognisko śmiechu, w sercu. Taki się ostry syk utworzył, takie dła-

wienie, że sparł głowę o drzewo i siedział, jak najbiedniejszy dziadek na najrozstajniejszych drogach. Bo gdy uciekli i rozbiegli się po lesie — już nie usłyszą jego śmiechu i nie zobaczą jego wielkiej bitwy i nic im z tego wszystkiego. Zapomną sobie, co im mówił i przepadnie wszystko. Liście, trawa, drzewo i łubin przepada i słowa w studni.

Uczuł wielki, ciepły, gorący żal za nimi. Tak się zrobiło cicho w środku, jak w tej studni.

Powiedz, chcę wiedzieć — przyniósł skądś wiatr.

I wszystko w lesie ustało. Potem nagłe granie rozpięło się między gałęźmi i cudne płacze w koronach drzewnych i tak cierpkie krwie płynące z sęków i dziupli i taki szloch w moczarach. Aż się w to wszystko wdał głos dzwonu gębą głośną, huczną, srogą. Dzwonu głos mięsił ten cały garus, od spody wywracał i miaskał zachłannie, coraz bliżej chłopcu nad uchem. Rzeczka się ukazała blaskami z nieba na ziemię płynąca, a nad blaskiem matka z rękami przy oczach krwawych. To znów cały las jęknął gęstym szlochem ojcowej piersi. Ludzie biegli po błocie na cmentarz, na którym krzyże kruszyły się same, jak wapno. Za każdem uderzeniem z dzwonu inne dzwony wypadały, jeden z drugim na łąkę. Miasto tymczasem ulicami ruszyło i w długiego węża się ustawiwszy, pociągiem domów wjechało w las. Z nieba upadł deszcz węgli. Wtedy słońce samo zleciało na daleki skłon. Pola i lasy porznęło w kostkę czarną i czerwoną. Świsnęły nad wodami sine strachy w krwawe widełki palców.

Gniew się w chłopcu zapalił, męstwo niecierpliwe i zemsta dysząca na to całe oszukaństwo. Rękami, nogami, piętą roztropną, dłonią chwytką podsadzać się jął, wspinać coraz wyżej na sam wierzchołek drzewa.

Już nic nad nim nie widnieje, tylko to niebo. Jakby tu leciał z samego dołu, z dna studni, tak się umęczył. Ciarki go oblecialy, strach zimuem w piersi dmuchnął. Chłopie czoło se potarł i wygładził. Z wątku wszystkich strachów, wszystkich myśli wysnuł na usta śmiech, śmierci przyobiecany.

Nie przychodziła, tchórzliwa.

Więc rzemyk odpasał, uwiązał do gałęzi a potem koło szyi okręcił.

Nie przychodziła.

Poszukał jej oczami na niebie czystem. Poszukał między splotem gałęzi i w cieniu białych domków i w czarnych wrotach podwórza za burakami i w sinej odległości miasta.

Nie przychodziła.

Słodka, niecierpliwa nuda ogarnęła go lekkim przeciągiem.

Powiedz, chcę wiedzieć.

Taka czystość, taka moc, taka modlitwa słała się w duszy, że słowa były więcej niż wszystkie kwiecie. Samo kwitnienie leciało z nich i jeszcze więcej. Odrywały się z pytania roje życzyń całemu widokowi, całemu światu deszcz pocałunków.

Żebyś szukał. Żebyś się nie bał szukać! — ty — kochany! Zebyś się nie bał!

Skok. — — —

# Wrażenia z wycieczki kooperatystów za granicą.

VI.

Miasta Przyszłości.

Jeżeli w jednym pokoju będzie przez dłuższy czas przebywało kilkanaście osób, to powietrze stanie się ciężkie, duszne, niezdrowe. Słabsze osoby zaczną kaszleć, omdlewać, doznawać bólu głowy. Gdyby pokoju nie przewietrzyć, atmosfera w nim stałaby się po kilku dniach zabójcza. Rodzajem takiego pokoju nieprzewietrzanego, przepełnionego zarazkami najstraszniejszych chorób, są współczesne miasta - olbrzymy. Siedliska te ludzkie nieprzewietrzane już od całych, długich stuleci, są zbiornikami chorobotwórczych bakterji, tego najzacieklejszego wroga ludzkości, co zabija cichaczem z ukrycia, niewidzialny. Czystość, słońce, powietrze świeże i dobre odżywianie — to broń jedyna w walce z tym nieprzejednanym, bezlitosnym wrogiem. To też wszędzie, na całym świece walczą z nim ludzie tą bronią. Ale czy to jest możliwe? Czy możliwa jest skuteczna walka z chorobami zaraźliwemi w miastach, gdzie na przestrzeni jednej włóki stoi paręset wielopiętrowych klatek, w których mieszka nieraz po kikaset ludzi? A zwłaszcza w miastach, w których ilość mieszkańców liczy się nie na dziesiątki, nie na setki tysięcy, ale na miljony?

Stolica Anglji, Londyn, posiada 7 miljonów mieszkańców. Cyfra, którą wprost trudno sobie wyobrazić. 7 miljonów płuc ludzkich łaknie świeżego powietrza, siedem miljonów istot ludzkich z tęsknotą zwraca oczy do nieba, szukając błogosławionych, ożywczych promieni słońca. A niebo tego potwornego miasta, zatrutego kurzem, wyziewami dymem, jest szare i brudne, jak suterena najnędzniejszego z nędzarzy. Skąd nabrać powietrza świeżego, czystego powietrza łąk i lasów? Jakim cudem rozedrzeć tę powłokę z mgły wilgotnej i zakisłych oparów miejskich, która nigdy nie znika zupełnie nad miastem największem na świecie? Czy znajdzie się jaki sposób, za pomocą którego możnaby przewietrzyć te ludowisko potężne, oczyścić z brudu wiekowego to nieobjęte okiem morze domów?

Na pytania te odpowiedziano przecząco. Trzeba szukać innego wyjścia. Londynu uzdrowotnić nie można. Kto potrzebuje słońca, powietrza — musi Londyn opuścić. Ale czy każdy człowiek, nawet bardzo niezamożny człowiek z tych 7 - miu miljonów zdobędzie się na taki zbytek? Tak, każdy człowiek, pracujący w Londynie, będzie mógł wyjechać z potwornego miasta. Każdy będzie mógł kupić sobie domek w lesie, z ogródkiem — odpowiadają na to londyńskie zrzeszenia „miast - ogrodów".

Twórcą idei budowania „miast - ogrodów" jest anglik, Ebenezer Howard. Ponieważ miast starych gruntownie uzdrowić nie można, zakładajmy miasta nowe, wprowadzając w nich wszystkie reformy współczesnej hygjeny — oto jego hasło. Gdy przed kilku laty powstało w Londynie pierwsze stowarzyszenie, celem wprowadzenia w życie myśli Howarda, akcje (10 rublowe) posypały się tak hojnie, że w krótkim czasie zebrano kapitał 200 000 rubli. W odległości 50 wiorst od Londynu, zakupiono posiadłość Letchworth, a w przeciągu lat 4 powstało tam „miasto - ogród", liczące już dzisiaj 7 tysięcy mieszkańców. Przedstawia się ono niby jedno olbrzymie koło. W środku szumi las, główny park miasta przyszłości. Dokoła parku wiją się kręgami ulice. Zrazu małe, w miarę odległości od środka rozrastają się nakształt kolosalnych pierścieni, w ktorych tkwią białe kamienie domków, otoczone bukietami kwiatów i zielenią drzew. Zabudowania fabryczne znajdują się na wschodnim krańcu Letchworh'u, aby wiatry zabierały dym w stronę przeciwną od miasta.

Każdy dom otacza kawałek gruntu, przeznaczonego na ogród, wskutek czego szeregi domów nie zlewają się w jedną zbitą masę kamieni i cegły, lecz są oddzielone od siebie kępami drzew.

Spółka mieszkaniowa z Letchworth buduje przedewszystkiem domy dla rodzin robotniczych. Rozkład wewnętrzny jest następujący: na parterze izba duża o szerokich oknach, kuchnia i łazienka; na piętrze trzy małe sypialnie. Koszt budowy wynosi 1 500 rubli, a czynsz dzierżawny, pobierany od czonków przez spółkę, tylko 2 i pół rubla tygodniowo! Dodajmy jeszcze do tego, że komunikacja między Letchworth a Londynem jest tania i szybka, a będziemy mogli śmiało rzec, że żadna nawet najzamożniejsza rodzina robotnicza w Warszawie (że już nie wpsomnę o Łodzi, albo Zagłębiu!) o mieszkaniu podobnem nawet marzyć nie może!

Co się tyczy hygjeny, to Letchworth, stoi pod tym względem na poziomie najkapryśniejszych wymagań. Po-

siada kanalizację, wodociągi, elektrownię, oraz gazownię. W dalszym ciągu ma być utworzony centralny związek ekonomji domowej, to znaczy, że gotowanie, pranie bielizny i t. d. — wszystko to, co dzisiaj spada na barki przeciążonych pracą domową kobiet, będzie robione w zakładach społecznych, zaopatrzonych w najdoskonalsze maszyny.

Wogóle ruch stowarzyszeniowy w Letchworth rozwija się w sposób niebywały. Dość powiedzieć, że w r. 1906 na 3000 mieszkańców było 58 rozmaitych związków. Życie kulturalne i towarzyskie ma swoją własną siedzibę w budynku klubowym z salą na 250 osób, bibljoteką, czytelnią i t. d.. A wnet stanie tam wielka sala koncertowa na 1000 osób i szkoła dla 550 dzieci.

Zaludnienie Letchworthu wzrasta z miesiąca na miesiąc. W przeciągu krótkich lat cyfra jego mieszkańców osiągnie wysokość, przewidywaną w planach założycieli, t. j. dojdzie do 30 000. Stanie się wzorem, naśladowanym przez cały świat, a chlubą anglików. Nareszcie bowiem zaczynają już ludzie rozumieć znaczenie czystego, zdrowego, słonecznego mieszkania — znaczenie jego wagi niezmiernej nietylko ze względu na zdrowie ludzkości, ale także ze względu na jej rozwój duchowy. Jakże ma rozkwitnąć pięknie dusza człowieka, duszącego się przez całe życie w ponurych, bezsłonecznych norach miejskich kamienic? — Musi mieć słońce i wolne, czyste powietrze!

## Rozmaitości

**Wykorzystanie energji słońca.** Wykorzystanie siły ciepła słonecznego — było od dawnych już lat zagadnieniem, zajmującem nader żywo umysły wynalazców. Wszyscy zdawali sobie z tego sprawę, że słońce wysyła rok rocznie na naszą ziemię olbrzymie wprost ilości energji, która była dla ludzkości najzupełniej stracona, poza działaniem na wzrost roślin, rozgrzewanie się atmosfery, wyparowywanie wody itp. Wynikiem tych zastanawiań musiał być pomysł wynalezienia sposobu, któryby pozwolił zebrać tę energję i spożytkować ją dla techniki i przemysłu. Budowano zatem olbrzymie wklęsłe zwierciadła lub też przyrządy, składające się z soczewek i pryzmatów, mających ześrodkować promienie światła i ciepła w jednym punkcie. W tem ognisku aparatu ustawiono kocioł z wodą, która pod wpływem ciepła zamieniała się w parę, mogącą wprawiać w ruch machiny parowe.

Zawodowi technicy nie przywiązywali jednak wielkich nadziei do prób tego rodzaju. Oświadczali oni, że podobne „motory słoneczne“ mogłyby w niektórych wypadkach znaleść zastosowanie w krainach gorących, podzwrotnikowych, gdzie wiele jest słońca, a mało chmur i deszczu, że jednakże w sferze umiarkowanej n. p. u nas w Europie nie mogą być użyte. Przez długie lata żywiono więc z jednej strony niedowierzanie, z drugiej fantastyczne nadzieje praktycznego wyzyskania energji słonecznej.

Na bardziej rzeczywiste tory wchodzi zagadnienie dopiero w ostatnim czasie dzięki temu, że zainteresował się nim jeden ze sławnych techników świata, który też zbudował „akumulator słoneczny“, umożliwiający wyzyskiwanie energji cieplnej słońca nawet w okolicach uboższych w słoneczne blaski. Twórcą tej nowej konstrukcji jest zasłużony wielce w rozwoju elektrotechniki, a zwłaszcza telegrafji bez drutu, amerykański fizyk i inżynier, Reginald Aubry Fessenden. Wyszedł on słusznie z zasady, że wszystkie istniejące wzory motorów słonecznych, względnie zbiorników ciepła słonecznego, mają dwie zasadnicze wady: Przedewszystkiem w aparatach tych nie usuwano promieni świetlnych, co powodowało pewne straty w zgromadzonej energji cieplikowej, powtóre zaś używano zawsze wody, której ogrzanie do punktu wrzenia wymaga nazbyt wiele ciepła. Aparat pomysłu inżyniera Fessendena stara się ustrzec przed tymi błędami przez to, że zbiera on tylko promienie ciepła, a promienie światła zupełnie wyklucza, powtóre zaś przez to, że posługuje się cieczami, które prędzej się zagotowują, aniżeli woda. Tylko tam gdzie, jak np. w krajach zwrotnikowych, słońce dostarcza dostatecznej energji tam można jako płynu zagrzewanego w motorze użyć także wody.

Maszyna Fessendena: Między dwiema płaszczyznami zwierciadlanemi, odbijającemi wszystkie promienie światła, znajduje się przestrzeń, z ktorej wypompowano powietrze. Fessenden zbiera promienie ciepła w wielkim zbiorniku cementowym i zapobiega stratom energji cieplnej przez dobór ścian otaczających z materjału źle przewodzącego ciepło, oraz przez to, że zamyka zgromadzone ciepło również między dwiema błyszczącemi płaszczyznami, które zatrzymują je lepiej, a niepotrzebne promienie światła odbijają na zewnątrz. Zbiornik jest też doskonale chroniony przed utratą ciepła u podstawy.

Do skoncentrowania promieni cieplnych na płyn służy specjalne urządzenie, złożone ze skomplikowanych zwierciadeł wklęsłych i soczewek. Ponieważ ciemne ciała znacznie lepiej wchłaniają ciepło, aniżeli jasne, Fessenden zabarwił na ciemno zarówno używane przez siebie szkła, jak nagrzewany płyn. Soczewki są sporządzone z szkła, zawierającego wiele żelaza i mającego barwę ciemno-zieloną aż do ciemno-czerwonej. Do płynów dodaje się soli żelazawych lub innych chemikaljów, barwiących czarno. W pierwszym rzędzie używa się jako płynów: alkoholu i benzyny. Para wytworzona przez gorąco słoneczne przechodzi wprost do turbiny, która albo w ruch bezpośrednio odnośną maszynę, albo porusza dynamo maszynę i w ten sposób energję cieplikową przetwarza na elektryczną. Fessenden obmyślił też najpraktyczniejszy sposób wyzyskania utrzymanej energji. Mianowicie używa się jej do pompowania wody do rezerwoarów, umieszczonych na znacznych wysokościach. Gdy woda spływa z powrotem z góry, wprawia w ruch turbiny wodne. Fessenden skonstruował na razie duży model swej maszyny, dokonane próby dały doskonałe wyniki. Obecnie zawiązało się w Ameryce Towarzystwo akcyjne, które zamierza zastosować jego system na wielką skalę.

* * *

**Ryby w wulkanach.** Po ostatnim wybuchu wulkanu Paramuszir, na jednej z wysp kurylskich, znaleziono wiele ryb nieżywych wśród wyrzuconych przez wulkan kamieni, popiołu i lawy. Fakt ten nie był jednak — jak sobie wkrótce przypomniano — odosobniony. O podobnych wypadkach wspominał już Aleksander Humboldt w swojej „Podróży do krajów podzwrotnikowych nowego kontynentu“, tudzież przyrodnik Agassiz w swem klasycznem dziele o rybach. Przystępnie zaś tłomaczy to niezwykłe zjawisko prof. Giraroin następująco:

Niektóre wulkany wybuchają stosunkowo nader rzadko. Dziesiątki lat a nawet stulecia mijają, zanim wygasły wulkan przejdzie na nowo w stan czynny. W tym też czasie wypełnia się lejkowatej formy krater wodą z opadów atmosferycznych, bądź też przenikającą drogą podziemnych kanałów. Tak powstało wkrótce w kraterze nieczynnego wulkanu naturalne jezioro. Do tego przedostaje się z czasem młody płod rybi i jeżeli woda nie jest nadto słona i nie zawiera zbyt wielu przenikających z głębi wulkanu gazów trujących, łatwo się w takiem jeziorze aklimatyzuje i rozmnaża. Przejdzie podobny wulkan po długim okresie w stan czynny, to przenikające z jego głębi gorąco ogrzewa wodę jeziora do wrzenia. Skutkiem tego ryby giną, jak inni mieszkańcy jeziora. Wtedy wyrzuca je wybuch wulkanu i rozrzuca po okolicy w promieniu nieraz milowym, jak to miało miejsce przy ostatnim wybuchu wulkanu na wyspie Trinidad.

Ryby, wyrzucane przez wulkany należą zawsze do jednego gatunku, zwanego w Ameryce południowej „Prennadillas.“ Są to te same, które zamieszkują podziemia pustyni Sahary, a które często przedostają się do przewodów studzien artezyjskich. Ryby te, żyjąc w ciemni, drogą dostosowywania się do warunków, mają, podobnie jak odmieniec jaskiniowiec, organy wzrokowe w stanie zaniku.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 38. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 23 września 1911.

LUDWIG THOMA.

# MIŁOŚĆ OJCZYZNY.

(Tłomaczenie z niemieckiego).

W szkole niejeden raz nam ją tłomaczono: jako cnotę Leonidasa, który w boju trupem padł, jako przymiot rzymskich wodzów i ich przeciwników; jako znamię jednookiego zwycięzcy z pod Cannae. A ów nauczyciel gimnazjalny z płową brodą obniżył bas swój uroczyście, kiedy nam mówił o księciu cherusków, Hermanie, o najszczytniejszym przedstawicielu patrjotyzmu niemieckiego.

Przedstawiono nam więc miłość ojczyzny jako rzecz, która się łączy z zgiełkiem bitew, z książętami i wodzami.

Chłopię szkolne chętnie o tem słuchało i wchłaniało podziw w siebie całą duszą. Pod okiem znakomitego nauczyciela ominęło wszelkie sprzeczności i nie umiało przejrzeć, jakto niekiedy li tylko panowie-książęta na tego rodzaju patrjotyzmie dobrze wychodzili.

A kiedyśmy Tilly'ego jako bohatera narodowego uznali, to w Hesji napewno musiała się dziatwa szkolna na pamięć uczyć imion jako też nazwisk owych gienerałów, co to manewrowali zaprzedanymi chłopami przeciwko Washingtonowi.

Od roku 1870 zadął wiatr z innej strony, i jeżeli czcigodny pan inspektor szkolny nic nie ma przeciw temu, to chwała domu Hohenzollernów może odblask rzucać i przez Dunaj.

Spis wielkich patrjotów jest po dziś dzień daleko dłuższą litanją świetnych nazwisk, aniżeli przed laty pięćdziesięciu.

Ale i ich czynami — to bitwy i bitwy. A młódź i dzisiaj nie dowiaduje się nic a nic o heroizmie pracy, o jej błogosławieństwie, o jej zasługach wobec ojczyzny.

Nie wie ona, że ci kochają najgoręcej, co dla ojczyzny pracują i żyją po biedzie.

„Bez dziejów ojczystych niema miłości ojczyzny“. Dlatego uczy młódź się niedorosła, kiedy to pobił Teodorych Odoakara, a Henryk Otona.

Zna ona cudzobrzmiące nazwy miast francuskich, włoskich, hiszpańskich, bo pod ich murami krew płynęła. Ale nie wie, kto pod pług uprawia rolę, na której stoi dom rodzinny. Nikt prastarego nie pokazuje jej porządku w polu i w ogrodzie, nikt artystycznego umysłu przodków, który objawia się już po prostym krzyżu przydrożnym.

Uczeń zdolny z szacunkiem stawa przed domem, z którego okien raczył wyjrzeć Gustav Adolf, dreszcze historji ojczystej przechodzą go, kiedy patrzy na kulę szwecką, wmurowaną ponad bramą miejską.

Przy drodze krzyżowej wznosi się kamień pamiątkowy: tu bowiem syn królewski żegnał się ze swoją panią matką. Albo tam znów w bijatyce padł ostatni z rodu prastarego potomek. To jest historja naszej ojczyzny.

Ale czy nie przemawia ona zacniej ze spłowiałych zrębów chłopskiej chaty, obok której przechodzi młodzież bez uwagi?

Jej wysokoszczytna strzecha chroni ród, co od odwiecznych czasów krajał rolę pługiem i czynił ją wydajną.

A podczas kiedy panowie nasi na polach całej Europy harcowali, państwa druzgotali i państwa tworzyli, z których już tylko nazwy pozostały, znalazł tutaj narodowy byt swoją ostoję. W niskich, przyziemnych chatach ostał się język przodków, ostała się niejedna perełka naszego ludu.

I nawet potem, kiedy to cudze narzecze i cudzy sposób myślenia rozpostarł się w pałacach książąt, uchodzących dziś za przedstawicieli miłości ojczyzny.

Cóż byłoby dzisiaj ze swojszczyzną bez miłości ludu ubogiego.

Dzisiaj musimy miljony z nich wykluczyć z społeczeństwa. Jako niepatrjotów, międzynarodowych.

Wielcy panowie mogli sobie pozwolić, by swe sobkowskie albo i ambitne idee nieść poza granicę i tam za niemi gonić, nie bacząc na dolę i niedolę ludu; przedstawiciele miłości ojczyzny mogli w kraj przywozić sobie obcokrajowców, by sobie zdobyli mienie.

A mimo to pozostają przedmiotami naszej miłości tradycyjnej. Robotnik jest bez ojczyzny, jest niepatrjotą, jeżeli wszechludzkie idee niesie za granicę.

Nieustannie rąk wytęża siły, ale czyny nic nie znaczą, gdzie panuje frazes. Miłość ojczyzny poznaliśmy jako uczucie, które tylko działa przy odgłosie trąb i fanfar. Jakżeby ona mogła być w zgodzie z braterstwem wszech ludów. Miłość ojczyzny i miłość ludzkości to przeciwieństwa nieprzebyte.

I tak zrozumieć można, jakiem szyderstwem obryzgano Bebla i Vollmara, gdy się przyznawali do ojczyzny.

Czyż myśmy się od dziesiątków lat nie uczyli poznawać miłości ojczyzny jako monopolu pojedyńczych partji?

Czy nie wpajamy wciąż i wciąż naszej młodzieży, że miłość ojczyzny łączy się pojęciowo z krwawemi bitwami, z książętami i wodzami?

„Heroe mniema, że ojczyzna jest tylko ojczyzną klas panujących i dlatego nie obchodzi nic a nic proletarjatu. Jest wielką kwestją jeszcze, komu się należy ojczyzna. Wszystko życie kulturalne rozwija się na podstawie języka ojczystego, na gruncie narodu“. (Bebel).

Nie zgadza się z prawdą, że międzynarodowość jest antynarodowością. Nie zgadza się z prawdą, że my nie mamy ojczyzny. Miłość dla ludzkości nie może nam ani na mgnienie oka być przeszkodą: być dobremi niemcami“.

Vollmar.

Ironiczny uśmieszek na ustach konserwatystów.

Ale mimo to nie da się zaprzeczyć, że ani społeczne ani polityczne przekonanie nie wyklucza miłości ojczyzny.

Kto istniejący dziś porządek chce przeobrazić, aby osiągnąć coś lepszego, stara się ojczyznie przysłużyć. Bez ojczyzny jest tylko egoizm.

Czy robotnikowi, który znosi niedostatki i niesie ofiary, aby potomkom los zgotować lepszy, wolno przysądzać ten przymiot?

Czyż nie postępuje jako prawdziwy patrjota?

Bez ojczyzny? Jakżeby robotnik mógł być bez niej?

On, zrośnięty z ziemią, on, co całą duszą legnie do małej, pełnej dziatek, chaty.

Jego chęci i życzenia nie wychodzą poza obręb jego pracy. Że jego religją jest wiara w lepszą przyszłość, w którejby się ludzie nie szarpali jak szakale, nazwano go człekiem bez ojczyzny. Jak kochający swą swojszczyznę są ci wielcy ziemi! Jak głęboko wrośli oni w ziemię!

Jakieś państwo na Bałkanie potrzebuje księcia.

Obfitujące w książąt Niemcy dostarczają mu zaraz suwerena, i od dnia pierwszego szczęśliwiec ów duszą i ciałem zrosły z interesami nowego kraju i nic go od tego nie powstrzyma, by zawierać sojusze przeciw dawnej ojczyźnie!

Ale i tam mówi się o miłości ojczyzny górnolotnie. Jakże ociekają niemieckością książę-małżonek z Holandji, król belgijczyków i tyle wielu innych!

Tam, w głębi Rosji, tkwi kilka szwabskich wsi. Jeśli się tam do nich kto dostanie, będzie się czuł jak w domu koło Altbeuren. Przez stulecia zachowali owi chałupnicy język i zwyczaje ojczyste.

Może przed nimi zarumieni się niejedna dumna księżniczka, co w pierwszym dniu już zrzuciła z siebie skórę niemiecką.

* * *

Nie chcę przykładać palca do nosa i pytać, co jest miłość ojczyzny.

Tak — dawniej to miałbym na podorędziu odpowiedź. Fehrbellin i Leuthen i Sedan. I jeszcze kilka nazw. Ale dzisiaj... dzisiaj mi to nie starczy.

Jest mi jakoś więcej po swojsku, po niemiecku, kiedy widzę prostego robotnika, albo gbura, któremu przy pługu dłoń stwardniała, niż przy spotkaniu najpiększego gienerała.

Bo rzeczywiście jest kwestją wielką, do kogo ojczyzna należy.

# Wrażenia z wycieczki kooperatystów za granicą.

## VII.

### „Skład herbaty" w Londynie.

W ojczyźnie kooperacji przedstawia nam się działalność współdzielcza w obrazach potężnych, w formach wzorowych. Taki np. Związek hurtownych zakupów (Wholesale) prowadzi interesy, pośredniczy, zakupuje i wytwarza dla czternastu tysięcy sklepów współdzielczych. Jego składy spotykamy we wszystkich większych miastach Anglji. W Londynie istnieje ich kilka, stosownie do natury towarów. I tak osobny budynek mieści skład towarów łokciowych i galanteryjnych, w którym można dostać wszystkiego od nici do najwykwintniejszych materji, od blaszanej łyżeczki aż do kosztownych serwisów. W oddzielnym budynku znajduje się skład i sortownia herbaty, nazywany „departamentem herbaty". Wprowadzono w nim wszystkie urządzenia maszynowe, załatwiające najmozolniejsze i najszkodliwsze dla zdrowia prace, wykonywane dotąd przez człowieka. Jego rola ogranicza się teraz prawie wyłącznie do nadzorowania machin, poruszanych siłą elektryczności czy pary — albo do pomagania temu żelaznemu ale niemyślącemu robotnikowi w pracy przygotowawczej. W „departamencie herbaty pracuje jeszcze dotychczas 6 ludzi rękami. Jednak praca ich wygląda na zabawę, w porównaniu z niezużytą, niezmordowaną nigdy energją, wydajnością i dokładnością maszyn. Dość powiedzieć, że maszyny pracują 10 razy szybciej, niż tych 6 ciu robotników. Pozostawiono ich jedynie dlatego, że w żaden sposób nie mogli się wezwyczaić do pracy przy maszynach — a szlachetnością kierowany Zarząd, nie chciał z tego powodu wyrzucić na bruk dawnych swych pracowników.

Przyjrzyjmy się bliżej temu „odziałowi herbaty".

Jest to ogromny budynek, o 6 piętrach, zatrudniający 450 mężczyzn i 250 dziewcząt. Z najdalszych krańców kuli ziemskiej: Z Chin i Rosji, z Indji oraz z wyspy Cejlon sprowadza się tu herbatę najrozmaitszych gatunków: miesza się ją, sortuje, ocenia, pakuje i rozsyła do sklepów spółkowych całej Anglji.

Zobaczmy, jak się to odbywa.

Przedewszystkiem wsypuje się towar przywieziony do maszyny, która go czyści i przesiewa, poczem idzie on do mieszalni, wyrzucającej go z powrotem w ilościach po jednym pudzie do worków. Skoro worek już napełniony, waga zamyka się sama, worek zawiązuje i wyrzuca go na zewnątrz. Towar już gotowy. Ale trzeba go jeszcze ocenić i rozsortować. W tym celu bierze się z każdego worka próbki, numeruje się je skrupulatnie i odsyła do próby. Robienie próby jest pracą ciężką, bo niezmiernie szkodliwą dla zdrowia i dlatego specjaliści, zajmujący się wyłącznie próbowaniem herbaty, pracują 2—3 godzin na dzień, a pensję otrzymują bardzo wysoką (5000 rubli na rok). Mimo to nie mogą zbyt długo pozostawać przy swem zajęciu. Próbowanie odbywa się w sposób następujący. W dużej sali stoją rzędami długie stoły. Na nich filiżanki z herbatą zaparzoną z tych próbek, jakie poprzednio wzięto z każdego worka. Filiżanki są dokładnie ponakrywane numerowanemi przykrywkami. Specjalista od próbowania bierze z każdej filiżanki po łyżeczce do ust, smakuje ją i określa jej sortę. W ten sposób oznacza się sortę herbaty w każdym worku, a zatem i jej cenę handlową.

Teraz dopiero waży się ją w paczki po funcie, pół funta i t. d. i rozsyła do sklepów współdzielczych. Ważenie i pakowanie uskuteczniają również maszyny. Jedna odważa paczki takiej wielkości, na jaką się ją nastawi, druga wyrabia paczki i automatycznie podsuwa je pod wagę. Dziennie wychodzi z pod maszyn 4000 takich paczek, które potem, za pomocą elewatorów, spuszcza się na dolne piętro, gdzie je umieszczają w skrzyniach drewnianych i wysyłają na kolej.

## VIII.

### W Manchesterze.

Manchester, centrum przemysłu włóknistego Anglji, jest zarazem stolicą współdzielczego ruchu. Tutaj bowiem znajduje się główna hurtownia związku stowarzyszeń współdzielczych angielskich, słynny na cały świat Wholesale. Obroty tej olbrzymiej instytucji liczą się już na miljony rb. rocznie, stowarzyszenia, wchodzące w skład związku jako członkowie, na tysiące, a cyfra urzędników, pracowników biurowych, handlowych i sklepowych, oraz robotników fabrycznych, na dziesiątki tysięcy. Wholesale posiada własne fabryki obuwia, mydła, kakao, czekolady, ubrań, flaneli, łoju, własne młyny, sortownie herbaty i kawy, zakłady drukarskie, gospodarstwa ziemskie, plantacje herbaty i kawy i t. d. Filje Wholesale'u i jego biura są rozrzucone po całym świecie: w Danji, Niemczech, Szwecji, Francji, Hiszpanji, dwa w Ameryce i jedno w Australji. Ponadto Wholesale ma własną flotę, która zwozi do Anglji towary dla stowarzyszeń spożywczych z całego świata, wprost od wytwórców. To też członkowie kooperatyw angielskich otrzymują towar po cenach najniższych i w gatunku najlepszym, nie wyzyskując nikogo. Nie wyzyskują wytwórcy, kupując od niego towar po takich samych cenach, jak inni, prywatni nabywcy. Nie wyzyskują kupujących — gdyż w takim razie okradaliby samych siebie. Nie wyzyskują wreszcie swych urzędników i robotników, — gdyż celem ich nie jest zarobek, ale zaspokojenie potrzeb spożywczych. Skądinąd, jeśli chodzi o niebezpieczeństwa pracy fabrycznej, o wysokość płacy robotnika, o hygjenę, ba nawet, jeśli chodzi o uregulowanie wytwórczości, aby uniknąć okresów martwych w produkcji (kiedy to fabryki prywatne wyrzucają na bruk tysiące robotników) — to pod wszystkimi tymi względami współdzielcze fabryki i pracownie w Anglji są bez zarzutu. Nigdzie tak, jak tutaj, nie szanuje się i nie zabezpiecza pracy i mozołu ludzkiego.

Nie mogąc rozwodzić się dłużej nad działalnością Wholesale'u, ograniczamy się do opisu dokładnego tych stron ruchu kooperacji angielskiej, na które szczególną uwagę zwrócili wycieczkowicze.

Związek hurtownych zakupów posiada w Manchesterze własną drukarnię, pracującą wyłącznie dla stowarzyszeń spo-

żywczych. O jej wielkości świadczy 55 maszyn drukarskich i litograficznych, poruszanych dwoma motorami o sile 250 koni i 1100 robotników. Maszyny najnowsze, zaopatrzone we wszelkie ulepszenia. Najciekawiej przedstawia się maszyna, sama składającą słowa. Zecer siedzi i przebiera palcami po abecadle, ułożonem w ten sam sposób, jak klawjatura fortepjanu. Za każdem uderzeniem palca odbija się litera odpowiednia na papierowym pasie, który automatycznie, na walcu, przesuwa się do innej maszyny, i otwiera foremkę potrzebnej litery. Foremka napełnia się roztopionym ołowiem i czcionka układa się na swojem miejscu. Z tego opisu widać, jakiem dobrodziejstwem dla zdrowia ludzkiego jest taki przyrząd. Naprzód dlatego, że zecer może siedzieć, kiedy w zwykłych drukarniach musi stać przez cały czas pracy, powtóre, nie wdycha kurzu ołowianego, niszczącego płuca, wreszcie nie wysila oczów. Zbytecznem dodawać, że drukowanie maszyną odbywa się o wiele szybciej i dokładniej.

W drukarni związkowej drukuje się gazeta współdzielcza*), rozchodząca się w pół miljona egzemplarzach miesięcznie. Maszyny litograficzne odbijając obrazki na opaskach i pudełkach, służących do towarów. Oprócz tego bije się tu setkami tysięcy książeczki handlowe, bloczki, cenniki z próbkami towarów, krajanemi na specjalnych maszynach, zszywa i oprawia książeczki i t. d.

Płaca robotników wynosi 17 rubli tygodniowo za 48 godzin pracy. Dzieci do 13 roku życia, nie są przyjmowane do roboty. Tygodniowo spotrzebowuje drukarnia 2 000 pudów papieru, a roczny jej obrót wynosi półtora miljona z górą.

# Wyparcie człowieka przez maszynę.

Profesor techniki w Charlotenburgu Kammerer ogłosił w 132-gim zeszycie wydawnictwa tow. soc. politycznego, ciekawe studjum nad zmianami, jakie powoduje postęp techniczny. Tematu swojego nie wyczerpał, lub rozmyślnie nie chciał wyczerpać, będąc bowiem rzeczywistym profesorem techniki, ma wychować całe zastępy techników na przyszłych kierowników i dyrektorów fabryk skutkiem tego nie chciał widocznie zająć się pytaniem, jaki wpływ powinien przynosić postęp nowożytnej techniki na skrócenie czasu pracy, aby zapobiec coraz więcej wzmagającej się armji pozbawionych pracy. Tą etyczno socjalną stroną prof. K. bardzo mało się zajmuje, prawie że nic, uważa to za rzecz drugorzędną, natomiast szeroko rozwodzi się nad taniością produkcji i zabezpieczeniu się przed strejkami i t. d. Człowieka pracy stawia on na ostatniem miejscu. Podstawą nowożytnej techniki jest siła natury. Na pierwszem miejscu stawia siłę, na drugiem materjał, a potem czowieka. Uzyskanie i obrabianie surowych materjałów zapomocą siły natury, będzie ostatecznym środkiem do ukształtowania egzystencji ludzkości. Toby stanowiło treść poglądu prof. Kammerera. I właśnie to coraz większe wyparcie człowieka przez maszynę powinno naprowadzić prof. K. na myśl co zrobić z tą całą masą ludzi pozbawionych pracy, na to pytanie powinien był znaleść odpowiedź!

A jednak przypatrzmy się na obrazowo przedstawione przykłady, jakiej rewolucji dokonuje nowożytna technika. Np. roboty ziemne: Do wyrzucenia odpowiedniej ilości ziemi potrzeba było 75 robotników, a przy użyciu „bagru" potrzebny jest 1 maszynista i 8 ludzi. Robota rękami kosztowała mk. 0,75 (płace) za metr kubiczny, a praca z bagrem mk. 0,25, z czego na płace robotników przypada mk. 0,15, na maszynistę mk. 0,02, na uzyskanie siły mk. 0,01, (elektryka) a za użycie maszyny mk. 0,07 a zatem 64 ludzi jest zbytecznych, a koszta zmniejszyły się o dwie trzecie.

*) Wiadomości Współdzielcze „Cooperstive Nows".

Podobnie zmniejszyły się koszta przy transportach od czasu zastosowania wind parowych i kranów elektrycznych.

Dawniejszy sposób pracy wymagał 60 ludzi nieukwalifikowanych, a przy zastosowaniu maszyn, potrzeba czterech t. zw. kwalifikowanych robotników.

Tę ilość roboty, którą zdołało wykonać tych 60 ludzi w przeciągu 26 godzin, wykonuje teraz czterech robotników w przeciągu 12-tu godzin! Koszta pracy ręcznej wynosiły mk. 2,26 za jedną tonę ciężaru, a z pomocą maszyny tylko mk. 1,51

Tak samo zaszły ogromne zmiany w produkcji żelaza i stali.

Z chwilą wprowadzenia maszyn ładowniczych do pieców Simensa-Martina, koszta pracy zmiejszyły się o 50 procent, i prawie wszyscy robotnicy zajęci przy ładowaniu stali się zbytecznymi. Do jednego wysokiego pieca potrzeba było dawniej 218 ludzi z kosztem mk. 0,91 za jedną tonę surowego żelaza, a od czazu zaprowadzenia ukośnych wind do wyciągania ziemi i materjału palnego, potrzeba tylko 82 ludzi z kosztem na tonę mk. 0,28.

Do przetransportowania bloku stali lub żelaza potrzeba było 23 robotników teraz przy zastosowaniu dźwigarów potrzeba tylko 7 robotników, a koszta pracy spadły z mk. 0,78 na mk. 0,24.

Prof. Kammerer podaje dalej przykłady do jakiego minimalnego stopnia kosztów doprowadzono obrabianie bolców i śrub przez wynalazek tokarń rewolwerowych i automatycznych.

Rozwój maszyny do wyrobu narzędzi (Werkzeugmaschinen) idzie w trzech kierunkach, a to w uzyskaniu jak największej siły dokładności i samoczynności.

Jako przykład postępu ma posłużyć tokarnia, która należy do najstarszych maszyn.

Gdy nie znano jeszcze siły natury, posługiwano się tylko rękami i nogami, i wówczas można było tylko drobne roboty wykonywać. Dopiero z początkiem 19 stulecia z zastosowaniem maszyny parowej osiągnięto większą siłę i pośpiech i można było obrabiać już większe przedmioty.

Względną dokładność w wykonaniu osiągnięto dopiero przez wprowadzenie „supportu", a zupełną dokładność dopiero przez wynalazek tokarni rewolwerowej najprzód dla masowego obrabiania małych przedmiotów, a potem i dużych.

Tokarnia rewolwerowa wymaga już tylko czysto mechanicznej pracy, bez jakichkolwiek szczególnych zręczności.

Przy tokarni rewolwerowej stanowią tylko dwie główne czynności a to: przyrządzenie tokarni, i przysunięcie narzędzi.

Podczas gdy przyrządzenie wymaga nadzwyczajnej dokładności i ogromnej uwagi, do czego potrzeba bardzo inteligientnego robotnika, to dalszą czynność może wykonać każdy pomocnik lub uczeń.

Trzeci stopień postępu polega na samoczynności. Osiągnięto to przez skonstruowanie t. zw. automatycznej tokarni.

Są one używane do masowych robót. Przy tej maszynie odpada zupełnie ta druga część pracy, albowiem przysuwanie narzędzi do przedmiotu mającego ulec obróbce, wykonuje ona sama automatycznie. Natomiast przyrządzanie tej tokarni wymaga ogromnie ścisłej dokładności i rozwagi. Czynność tę wykonuje t. zw. Richtmajster.

Maszyny te używane są do wyrabiania karabinów, maszyn do szycia, maszyn do pisania, rowerów a koszta wynoszą zaledwie dziesiątą część. Ceny kupna takich przedmiotów są mimo tego wysokie dopóki rozpowszechnienie zapomocą kosztownych reklam i. t. p. dojdzie do odpowiedniej wysokości. Np. koszta wykonania kompletnej maszyny do pisania wynoszą 90 marek, a cena kupna 450 marek.

W dalszym ciągu prof. Kammerer opisuje narzędzia i przyrządy, przez które osiągnięto pewność w wykonaniu siłę i szybkość. Np. grubszy szpan osiągnięto przez uzyskania bardzo twardej stali. Dokładność osiągnięto także w ten sposób, że siłę uderzenia zastępuje siły ciśnienia. Ma-

szyny kowalskie osiągnęły dopiero drugi stopień rozwoju, a młot parowy dopiero pierwszy stopień. Działa on już bardzo szybko i z ogromną siłą, lecz dokładność w wykonaniu można osiągnąć przy pomocy nadzwyczaj zręcznego robotnika, kierującego młotem.

W drugim stopniu rozwoju znajduje się jeszcze prasa kowalska, łączy ona w sobie siłę i dokładność w wykonaniu, jednak wymaga jeszcze odpowiednich środków technicznych, aby uzyskać ciśnienie, równające się przynajmniej ciężarowi lokomotywy.

Wszystkie te środki mają dążyć do jednego głównego celu: tj. do osiągnięcia jak największej siły z najściślejszą dokładnością i samodziałalnością.

Momenta te, które przedstawia prof. Kammerer, wskazuje na to, że dla robotników hasłem musi być żądanie „skrócenia czasu pracy". Społeczeństwo winno się nad tem zastanowić, co mają ci robić, którzy zostają przez maszyny wyrzuceni z fabryk. I prawie w tych fabrykach, które najwięcej koszystają z postępów techniki, praca trwa najdłużej. Z postępu techniki powinni także odnieść korzyści robotnicy przez krótszy czas pracy łatwiejszy i lepszy zarobek. Dlatego też organizacje zawodowe muszą nad tem czuwać, aby zwycięzki pochód maszyny nie działał tak niszcząco na klasę pracującą. „Skrócić czas pracy!" to jest najważniejsze żądanie robotników, wobec tak świetnego postępu techniki.

## Rozmaitości

**Powodzie i głód w Chinach.** Telegramy z Chin doniosły już o strasznej klęsce, jaka nawiedziła niektóre okolice kraju. Według szczegółowych wiadomości we wszystkich okręgach, położonych poza Szanghajem, ulewy, oberwanie się chmur i powodzie zniszczyły całe żniwa. Jangtsekiang wzbiera nieustannie, setki kilometrów kwadratowych stoją pod wodą, ponieważ tamy nie były dość silne, aby oprzeć się potężnemu naciskowi wody. W niektórych okręgach na południowy zachód od Szanghaju wieśniacy podwyższyli tamy, aby zapobiec przynajmniej dalszemu przybieraniu wody, która pokrywa ziemię na wysokość 1 do 3 metrów. Na miejscach płytszych ludzie stoją po szyję we wodzie, ścinając kłosy ryżu, które jeszcze można dosięgnąć ręką, aby uratwać przynajmniej część rozmoczonego ziarna.

W dolinie Jangtsekiangu obliczają liczbę ludzi, porwanych przez fale na 100 000, miljony, opuszczając swe domy i pola, schroniły się na wzgórza, gdzie żywią się trawą, liśćmi i korą drzewną. Śmiertelność wśród nieszczęśliwych, zmuszonych do przebywania pod gołem niebem w nieustającym deszczu, wzrasta ogromnie. W niektórych okolicach wybuchła cholera. Pociągi kolei nankińskiej musiano wtrzymać, ponieważ na nasypach, wystających kilka metrów ponad wodę, rozłożyły się tysiące dotkniętych powodzią, pokrywając tor cały. Tłumy wygłodzonych płyną do większych miast, rabując i podpalając osady, położone nad drogą. Cały okręg Czungsui został spustoszono przez tłumy, trzy miasta złupiono i zniszczono. Gmachy rządowe podpalono. Położone w tej okolicy wielkie miasto Foochow, posiadające silne mury obronne, jest ze wszystkich stron otoczone tłumem zgłodniałych.

Także z południowych prowincji chińskich nadchodzą wiadomości o strasznych wylewach i klęsce głodowej. Zrozpaczona ludność uważa katastrofę za karę Bożą, sprowadzoną na Chiny nadużyciami cudzoziemców. Istnieje obawa groźnych rozruchów.

Nie lepiej niż w Chinach przedstawiają się stosunki w rosyjskiej prowincji nadamurskiej. Tam rzeki Ussur i Amur, wskutek ulewnych deszczów zamieniły się na nieprzejrzane jeziora, zalewając na szerokość kilku mil pola i sioła. Jezioro Chou-ku wezbrało ogromnie i wody jego zalały wielkie przestrzenie. Komunikacja na kolei ussuryjskiej jest przerwana. Olbrzymie pola kukurydzy, kartofli, jarzyn, a także nowe plantacje rośliny indygo nad rzeką Sungari stoją kilka metrów pod wodą. Klęska głodowa w Mandżurji i w prowincjach nadamurskich Rosji jest nieuniknioną.

* * *

**Ofiary popłochu w kinematografie.** Jak przerażające skutki wywołać może bezmyślny popłoch w zebraniu tłumnem, dowodem jest zdarzenie w teatrze kinematograficznem w miasteczku Cannonsburg w stanie Pensylwanji w Ameryce.

Wskutek zapalenia się filmy w przyrządzie kinematograficznem rozległ, się okrzyk „pożar!" i w jednej chwili setki osób rzuciły się ku wyjściu, tworząc na schodach jeden olbrzymi kłąb ciał ludzkich, tak zwarty, że ani naprzód ani w tył posunąć się nie dał.

Przywołana straż ogniowa zdołała kłąb ten rozluźnić dopiero przez wydzieranie z niego przemocą pojedyńczych ciał ludzkich. Gdy wreszcie na schodach zrobiło się luźno, straszny widok przedstawił się oczom ratujących. Oto 29 kobiet i dzieci leżało bez życia, okropnie potratowanych lub uduszonych a 60 nie mogło się podnieść o własnych siłach w skutek ran, połamania rąk, nóg lub żeber. Jak stwierdzono, ofiarami popłochu padli przeważnie polacy.

Wszystkie zaś osoby, które pozostały spokojnie w teatrze, uniknęły nieszczęścia, bo wogóle niebezpieczeństwa wybuchu pożaru nie było.

* * *

**Maszyna do robienia śniegu.** Gazety zagraniczne donoszą, że wynaleziono maszynę do produkowania śniegu w gwiazdkach, podobnych zupełnie do naturalnego. Wynalezek ten w handlu spożywczym usunie niewątpliwie wszelkie niedokładności, jakie były dotąd w konserwowaniu ryb przekładanych lodem, do którego przymarzały, a przy wyjmowaniu z opakowania były zwykle obdarte z naskórka rybiego i mięsa. Śnieg będzie środkiem, zabezpieczającym ryby od przymarznięcia i przystępu powietrza. Z tych względów ryby mogą być przechowywane w całości i bez żadnego uszkodzenia od 3 do 6 dni, a nawet dłużej. Wynalazek ten, zastosowany na wielkich rynkach spożywczych, może usunąć ponoszone dotąd znaczne straty podczas upałów.

* * *

**Polacy w miastach amerykańskich.** Największe skupisko polaków znajdujemy w trzymiljonowem Chicago, gdzie dochodzą oni do olbrzymiej zaiste liczby 350.000 osób, stanowiąc 11.7 proc. ludności. Jest to drugie po Warszawie na świecie „miasto polskie". Natępnie w Nowym Jorku liczba polaków sięga 260.000, co wynosi 6·8 proc. ogółu mieszkańców, których tu liczą na 3.800.000 głów.

Buffalo wraz z przedmieściami liczy 100 000 polaków, co wynosi 20 proc. ludności ogólnej. A w r. 1870 było tu jeno 135 przychodźców polskich.

Czwarte z kolei miejsce co do liczby polaków w grodach amerykańskich, zajmuje Milwaukee, gdyż posiada ono 85 000 polaków, co wynosi 21·3 prc. na 400 000 mieszk. Detroit posiada 75 000 polaków na półmiljonową ludność miasta, a więc stanowią tu oni poważny odsetek, wynoszący 15.

W Filadelfji mieszka 60 000 polaków, w Pittsburgu 50 000 Clevelandzie 30 000, Baltimore 25 000 i nakoniec w Toledo 20 000 osób polskiej narodowości.

Ogółem w Stanach Zjednoczonych Am. Północnej przebywa olbrzymia gromada naszych wychodźców wynosząca pono 4 476 000 głów.

Liczba zaiste olbrzymia. Stanowią oni prawie szóstą część ogólnej liczby polaków na całym globie.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 39. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 30 września 1911.

KAMIL LEMONNIER. *)

## Ból nadziei.

Trzy miesiące! Nareszcie nadszedł list; syn pisał do nich radośnie, sercem szczerego marynarza. W tem pisaniu ożywały w cudowny sposób wyspy, morza, porty, aromat dalekich przestrzeni. Jego ruchy, jego głos, cały drogi jego obraz unosił się z każdej zaschniętej kropli atramentu. Wydało im się, że słyną wzburzoną falę jego życia kołyszącą się na wodach oceanów.

Potem przeszły cztery miesiące. Czekali wciąż nowego listu.

W prostej ufności i ogromnej wierze w macierzyńskie miłosierdzie Matki Boskiej, wydawało im się, że dobry list spodziewany płynie już do nich, niesie się z fali na falę. Jak coś z niego, jak cząstka jego istoty przebywa list z powrotem wielką drogę, drogę wód nieskończoną, którą był odszedł ich syn.

Pewnego dnia morze dało mu znak; usłyszał głębokie wezwanie przeznaczeń. W tejże chwili ocknął się w nim człowiek jemu samemu nieznany, który odszedł na zew swojego życia. Ani łzy, ani obietnice przyszłości mniej tułaczej nie mogły go powstrzymać. Za znikającem dzieckiem, które wstąpiło w noc mórz, pozostały ręce rozwarte do wzniosłego uścisku, z którego już część jego duszy zdawała się uciekać.

Teraz, wieczorami przy lampie całemi godzinami starzy rodzice badali wielki globus, żeglując nadzieją i tęsknotą po błękitnych obszarach, przedstawiających ów niesamowity ocean. A za busolę mieli jeno swe smutne serca.

Po tych oto wodach płynął on, „materoos“ **), ich syn jedyny, a wokół niego siły nieznane. Tak szukając, wznosili się wciąż do zwężonych kół bieguna. Tam był już tylko mały, pusty punkt, gdzie wszystko się kończyło. I wyobrażali sobie, że tam jeno Bóg samotny i smutny, jak oni, śledzi oczyma za ich małym. Globus stał się dla nich mistycznem życiem ziemi. Nieświadomie, przez siłę miłości ożywili go oni jakimś magnetyzmem, który ze swej strony stanowił wieczny porządek. Ich serca zawarły w sobie nieskończoną przestrzeń wód; żeglował tam mały okręt jeno, a oni myśleli, że wszyscy ludzie świata popłynęli z ich synem.

Na ogromnych przestrzeniach delikatna siatka prądów rysowała morza jak srebrne liny, jak przeźroczyste włosy dawnych rozbitków. Rozeznawali je drżącemi palcami, matka pochylona ponad ramieniem ojca, oboje samotni i cisi w głębi małego swego domku, jak Pan Bóg, tam, w pustkowiach bieguna, patrzący na drogę ich dziecka.

Te prądy były dla nich jak widomy ślad okrętu, jego pracy ciężkiej w otchłaniach wód. Blade linje stawały się fibrami, przez które statek, zagubiony kędyś pod konstelacjami gwiazd, łączył się z ich miłością rozdartą.

Miesiące szły za miesiącami. Rodzice poczuli się naraz bardzo starzy; ostatki jakiejś wymarłej ludzkości; dwoje biednych, sędziwych ludzi pozostałych na skale, z której widzi się zawrotną samotność przestrzeni. Czasem nie mogli już sobie przypomnieć twarzy dziecka i widzieli go tylko małym chłopcem, z twarzyczką, jaką miał jeszcze w kolebce.

Oczy ich zmęczyły się już od patrzenia na globus, i on też zniszczył się od obracania pod ich palcami. Palce wyżłobiły w końcu śród prądów szeroką brózdę, która zatarła inne, i przez którą ich dusza szła ustawicznie ku oddalonemu.

Po szesnastu miesiącach zaczęli nawiedzać kapliczki Matki Boskiej i palili przed niemi gromnice, całowali miłosiernie wizerunki, nie porzucali swych skromnych modlitewników, ręce złożone mając w znak krzyża, przybite do krzyża, który nosili w sobie. A jednak nie mogli uwierzyć, aby ich syn mógł zginąć w wielkich i strasznych wodach, nosili go żywego w sercu, jak ciało czujące w trumnie; oni bowiem byli już jak martwi, i wskrzeszała ich do życia jeno nadzieja niezniszczalna.

Zdarzyło się pewnego ranka, że ojciec wszedłszy do pokoju, gdzie matka sądziła się samą, ujrzał ją, kołyszącą na rękach zwitek gałganów, ubrany w małą koronkową sukienkę; była to chrzestna sukienka ich dziecka.

Pojął, że zaczęła żyć wspomnieniem.

Było to z początku bardzo bolesne; uświadomił sobie, z wyraźną przerażającą pewnością, że syn ich umarł. Ale przestał się dziwić, że matka mogła przeżyć ten cios, gdy spostrzegł, że żyła ona tylko życiem, które w złudzeniu na nowo swemu synowi dała. Wkrótce on sam przywykł do tego kłamstwa; pomagał swemi biednemi niepewnemi rękoma starej niańki rozbierać małego i nosić go do kołyski. I był ten powrót do przeszłości jak łagodny i tęskny miraż, jak gdyby ten surogat dziecinnego ciała odbudowywał radość dawnych lat, kiedy patrzyli jak mały rośnie.

Wreszcie, siłą przyzwyczajenia, złudzenie przestało na nich działać. Złożyli z powrotem sukienki i zaczęli znów cierpieć swą beznadziejną nadzieję. Może listy jego zaginęły podczas burz morskich, może wylądowano w jakiejś dzikiej krainie, gdzie niema ludzi cywilizowanych.

Mieszkali w porcie. Jęli się naprzykrzać konsulatom, słuchali opowieści marynarzy i nigdzie nie było wieści. Nie umieli już płakać i unikali wzajemnej rozmowy; widok okrętów sprawiał im tyle cierpienia, że zamykali się w domu, aby nie ulec pokusie pójścia i zobaczenia tych, którzy wylądowują.

Doszli w końcu do tego, że zaczęli pragnąć, aby syn ich umarł z takim samym żarem uczucia, jak pragnęli go przedtem żywego i czuli bowiem, że życie z nich ucieka w

*) Kamil Lemonnier jest jednym ze znakomitszych pisarzy belgijskich. Większość jego powieści i nowel poświęcona jest ludowi flamandzkiemu, jego troskom i bólom i jego życiu.

Kamil Lemonnier jest członkiem Belgijskiej Partji Robotniczej i jako taki ma tem bardziej prawo być drukowany na łamach pisma ludowego.

Nowelka w sposób prosty opowiada o głębokich cierpieniach i przejściach duszy ludzkiej. Marja Dąbrowska.

**) Po flamandzku — marynarz.

okropnych wstrząśnieniach nadziei. Woleliby już najbardziej gorzką pewność, niż tę wątpliwość, która ich nękała. Wreszcie wydało im się, że Bóg ich wysłuchał, i zakupili mszę za zbawienie duszy swego syna.

Wtedy nabrali nieco odwagi, i jednocześnie stali się niepocieszeni. Poprosili sąsiadki, żeby zabrała globus.

Minął trzeci rok. Poświęcili synowi swemu kult pamięci i odczuwali teraz melancholijną radość, wywołując go w swych rozmowach. Czasami przed jego portretem, jak przed Jezusem palili małe lampki. Ale były dnie, w które powracała nadzieja i wtedy byli bardzo nieszczęśliwi. Wreszcie z agiencji wiadomość o zagubie załogi i majątku okrętowego. Tym razem było to wyzwolenie i ich łzy zatamowane popłynęły, jak gdyby go odnaleźli po długiej rozłące. I dziękowali Bogu z namiętnością swych serc umęczonych, jakby za wielką łaskę, jakby za prośbę wysłuchaną.

Przez współczucie dla jego ciała bez mogiły wybrali mu za grobowiec miłość bożej pośredniczki, Matki biednych marynarzy i wszystkich ludzi. Dwa razy na miesiąc nosili kwiaty przed jej ołtarze i sądzili, że ofiarowują je synowi nigdy nie odżałowanemu.

Wyschli w tym pobożnym trudzie i przyjęli wreszcie z cierpliwością i słodyczą swe lata starości, jak zło mniejsze niż śmierć.

Spadła na nich ostatnia próba.

Pewnego wieczoru ktoś we drzwi ich zastukał; otworzyli — i stanął przed nimi człowiek, zniszczony przez cierpienia. Wyciągnął ku nim ręce i zwał się ich synem. Ale długa troska uczyniła ich twardemi; pytali go, wstrząsając głowami, i żadne z nich nie miało dość siły, by przyjąć w siebie to nowe cierpienie, po tamtem, na które już się z poddaniem zdecydowali. Nie chcieli poznać dziecka, które im powracało i dali mu pieniędzy, by sobie poszedł. Tylko płacząc tamtego, który, ginąc, dał im siłę do życia, mogli spokojnie czekać śmierci.

# Wrażenia z wycieczki kooperatystów za granicą.

IX.

Rochdale.

Z Manchesteru do Rochdalu tylko godzina drogi koleją. Skorzystali z tego nasi wycieczkowicze, by zwiedzić kolebkę kooperacji, zobaczyć domek i sklepik, w którym słynni dzisiaj na cały świat pjonierzy, zaczęli w roku 1844 od sprzedawania mąki, krup owsianych, masła i cukru. Bo, na zaopatrzenie swego sklepiku w większą liczbę artykułów, nie stało kapitału owym 28 tkaczom angielskim. Nie stało kapitału w pieniądzach tym biedakom, — ale starczyło serca i rozumu, znalazło się dosyć energji, woli, wytrwałości i zapału, by stworzyć fundament dla kooperacji całego świata. Fundamentem tym jest manifest pjonierów rochdalskich. Po dziś dzień stanowi on wzór, podstawę i program ruchu kooperacyjnego. Ilekroć jakaś spółka, czy ruch współdzielczy jakiego kraju, zboczyły od programu pjonierów rochdalskich, zawsze wynikiem tego była klęska. Manifestem nazwano ów program robotników angielskich, zakładających pierwszą nowoczesną kooperatywę, ale zaprawdę skromność, niemal ubóstwo słowa, tych kilkudziesięciu wierszy programu roczdalskiego miały tę wyższość nad szumną, a pustą frazeologją zwykłych manifestów, że każde słowo rochdalskiego dokumentu było czynem i w czyn zostało wcielone. Skrupulatnie odważyli każde słowo ci pierwsi sklepikarze-kooperatyści, skoro każde z tych słów obróciło się potem w rzeczywistość. Z głęboką czcią i w zdumieniu prawdziwem czyta się ten króciutki program, w którym 28 robotników, uciemiężonych nędzą, pozbawionych pracy, oświadcza poważnie i spokojnie, że stowarzyszenie ich „otworzy sklep“, potem „kupi lub zbuduje domy“, dalej „rozpocznie produkcje artykułów, które uzna za odpowiednie“, że wreszcie „kupi lub wydzierżawi grunta“, a „z chilą, gdy to okaże się możliwem do wykonania, przystąpi do zorganizowania produkcji wymiany, wychowania i rządu“. Nic dziwnego, że towarzysze tych marzycieli zaczęli z nich drwić i uważać ich za półgłówków. Przecież zwykły zdrowy rozsądek wskazywał, że kilkunastu ludzi, którzy przy nadzwyczajnych oszczędnościach zdołali przez rok zebrać zaledwie 265 rubli na swoje olbrzymie przedsięwzięcia (tyle wynosił kapitał zakładowy pjonierów rochdalskich w pierwszym roku) — ludzi się, marzy, rzuca z motyką na słońce. A jednak zwykły, zdrowy rozsądek mylił się w tym wypadku. Ostrze drwin i złośliwości stępiło się na granitowej skale woli, energji i zapału 28 bohaterskich tkaczów. Bo oto ze sklepiku, założonego za 265 rubli, gdzie tylko dwa razy w tygodniu sprzedawano mąkę, krupy owsiane, masło i cukier, w lat kilkanaście wyrasta olbrzymia instytucja. Ilość członków podnosi się z 28 do 12 802 (w r. 1905), a kapitał udziałowy z 265 rubli blizko do trzech miljonów rubli (w roku 1905). Maleńki sklepik zamienił się w gmach pięciopiętrowy, w którym dolne piętra zajmują biura, poczekalnie, czytelnia, wypożyczalnia książek, licząca 16 tysięcy tomów, pracownie naukowe. Parter zajmują sklepy, sprzedające towary kolonjalne, bławatne, modniarskie, krawieckie, skład mebli, obuwia, cukiernię, jatki, biuro dostawy węgla i t. d. Oprócz tego istnieje przy stowarzyszeniu wydział ubezpieczeń, kasa pożyczkowa, kasa chorych, kasa oszczędności dla młodzieży, wydział budowlany, ułatwiający członkom nabywanie lub budowanie własnych domków i t. d.

Tak po 64 latach pracy przedstawia się dzieło twórców manifestu roczdalskiego, tych 28 nędzarzy ciułających po pół złotego na tydzień, by zebrać kapitał potrzebny do otworzenia sklepiku. Tak przedstawia się dzieło ich w samym Rochdalu. Ale wszak za przykładem tkaczów angielskich zaczęto podobne sklepiki zakładać na całym świecie. Dzisiaj cyfra ich naśladowców wynosi 5 miljonów członków (nie licząc ich rodzin), którzy obracają miljardami.

Pięknie więc i słusznie zakończył swe przemówienie jeden z członków wycieczki kooperatystów, odpowiadając na serdeczne przywitanie przewodniczącego zarządu stowarzyszenia w Rochdale: „Niech żyje Rochdale, ta kołyska kooperacji! Niech żyje Anglja, kraj kooperacji: A tym pierwszym bojownikom roczdalskim niechaj świeci wieczna pamięć ludzkości, za ideę współdzielczości!“

Prawdziwie — niechaj im świeci: Zapominać jednak nam nie wolno, że ludziom czynu, bojownikom o sercach mocnych i szlachetnych, ludziom skromnego słowa, a wzniosłej działalności oddaje się cześć w sposób najwłaściwszy — postępując ich śladami. Ludziom czynu hołd składa się czynem. Hołdem dla pjonierów roczdalskich będzie z naszej strony wytrwała, niezmordowana praca w duchu ich wiekopomnego programu.

EDWARD MILEWSKI.

# Kooperatywy pracy we Włoszech.

Na ten temat zamieszcza w „Głosie“ Edward Milewski następujący artykuł:

Gdy delegat francuskiego ministerstwa rolnictwa w Charles de Saint Cyr badał organizacje robotnicze we Włoszech, kooperatywy pracy zwróciły jego baczną uwagę. Pomiędzy innemi z powodu zwiedzenia domków robotniczych w Reggio-Emilia pisał on, co następuje: „Domy ludowe zbudowane są tutaj przez kooperatywy pracy. Wszystkie mają wygląd solidny i elegancki. Mieszkania — wzniesione nad piwnicami i podmurowane w ten sposób, że wilgoć absolutnie nie może się zagnieździć pomiędzy po-

wierzchnią terenu a murami budynku. Wszystkie mieszkania robotnicze składają się z 2-ch i 3-ch pokojów. Wstępowałem do kilku i byłem mile uderzony czystością i porządkiem, który tam panował. Wszędzie się widziało pewne dążenie do estetyki, świadczące, że mieszkańcy są zadowoleni ze swoich siedzib. Miłe twarze dzieci, pełne otwartej, szczerej wesołości świadczyły wymownie, że te dzieci należą do rodzin, którym się uśmiecha pokój i zgoda".

Kiedy włoski minister robót publicznych oglądał odrestaurowany przez kooperatywy pracy zamek książąt Sforzych w Medjolanie, architekt Beltrani, pod którego dozorem prowadzone były roboty budowlane, wyraził się, że w kooperatywach pracy znalazł „prawdziwe zrozumienie piękna i artyzmu" — te same cechy, które w wiekach średnich zapewniły robotnikom włoskim wszechświatową sławę.

Nie mniej chlubne świadectwo zdobyły sobie kooperatywy pracy w Rawennie wykonaniem robót regulacyjnych przy rzece Reno. Przedstawiały one trudności tak wielkie, że przedsiębiorstwa prywatne nie chciały się ich podjąć. Koszty regulacji dosięgły 10-ciu miljonów lirów.

Jedną wreszcie z najświetniejszych kart włoskiego ruchu kooperatystycznego, jest zbudowanie przez robotników, związanych w kooperatywy pracy, linji kolei pomiędzy Reggio i Ciano. Minister Luzzatti był jednym z tych, który wpłynął na rząd włoski, by udzielił koncesji na budowę tej kolei. Gdy w 1907 r., podczas kongresu w Cremonie liczne grono uczestników kongresu przybyło do Reggio celem obejrzenia kolej, Luzzati w gorącej przemowie podniósł wszechświatową doniosłość tej pierwszej próby powierzenia budowy linji kolejowej kooperatywom robotniczym i nazwał wykonane przez robotników dzieło „nowym cudem świata".

Rząd włoski chętnie powierza większe roboty pupliczne kooperatywom pracy i udziela im kredytu. Tak np.: kiedy konsorcjum budowy kolej Reggio — Ciano, złożone z 39 stowarzyszeń, z kapitałem udziałowym rozmiarze 102 tysięcy lirów (1 700 udziałów po 60 lirów każdy) objęło budowę wyżej wspomnianej kolei udzieliły kredytu nietylko banki kooperatystyczne, ale i Bank włoski (la Banca d' Italia). Koszty budowy tej kolei obliczone były na 3 600 000 lirów. Nadmienić wypada, że konsorcjum kooperatyw pracy otrzymało od rządu prawo eksploatacji kolei w przeciągu lat 70. Same kaucje gwarancyjne, które musiano złożyć w czasie budowy wyniosły: 1905 r. 21 grudnia przy rozpoczynaniu robót 200 000 lirów, następnie po wykonaniu pierwszej ich połowy 250 000 lirów, wreszcie w 1907 r. jeszcze 350 000 lirów tytułem gwarancji, poręczają-eksploatację kolei. Kaucje te wpłacone zostały przez „Umanitaria", Instituto di Credito per le cooperative w Medjolanie. Świadczy to najlepiej o wysokim stopniu zaufania, którym obdarza naród włoski robotnicze stowarzyszenia pracy.

Rozwinęły się one w krótkim stosunkowo okresie czasu z małego prototypu organizacji kilkudziesięciu robotników ziemnych, którzy pozostając od dłuższego czazu bez pracy, podjęli się przeprowadzenia na wspólny rachunek małej grobli. Dziś z tamtej małej organizacji wyrósł potężny ruch robotniczy, którzy w roku 1909 wykonał samych robót rządowych na 29 011 031 lirów.

Po całych Włoszech rozlega się dzisiaj okrzyk: „precz z pośrednikiem" — nietylko pośrednikiem w handlu, ale i pośrednikiem w przemyśle. Jak konsumenci zawiązują stowarzyszenia spożywcze ażeby usunąć pasożytnictwo pośrednictwa handlowego, tak i robotnicy organizują stow. pracy, aby pozbyć się pośredników przemysłowych, aby módz prowadzić przedsiębiorstwa bezpośrednio na własny rachunek, bezpośrednio otrzymując obstalunki od gmin i państwa, od kooperatyw, wreszcie od instytucji i osób prywatnych. A imbardziej drożeje życie, tem silniej wzrasta potrzeba zaoszczędzenia na dobro robotnika i konsumenta tych dochodów, które stanowią zysk pośrednika w handlu i przemyśle — zysk kupca i przedsiębiorcy kapitalistycznego. Niedawno, bo 9 sierpnia br. zawiązał się w Genui komitet, mający na celu propagowanie tej właśnie idei we wszystkich dziedzinach ekonomicznego życia pod hasłem: „precz z pośrednikiem". A oto ostatni numer „La Cooperazione Italiana", oficjalnego organu Narodowej Ligi kooperatyw włoskich, przynosi (z dnia 9 września) odezwę medjolańskiej „Camera del lavoro", w której organizacja ta solidaryzuje się z akcją komitetu genueńskiego i przywołuje wszystkich obywateli do popierania idei usunięcia pośrednictwa z handlu i przemysłu. „Wiemy, powiada odezwa, że walka nasza będzie długa i trudna, że pośrednicy, broniąc swych interesów, łączyć się będą w organizacje celem unicestwienia słusznych dążeń naszych, ale wierzymy, że, jeżeli wszystkie stowarzyszenia i związki proletarjatu wystąpią w tej kampanji z całym zapałem i wiarą, nieugiętością i wytrwaniem, zwycięstwo nie omieszka błysnąć nam w całej pełni".

A na to Antonio Maffi, redaktor „La Cooperazione Italiana", osobisty przyjaciel byłego premiera Luzzattiego i obecnie Giolittiego, odpowiada w imieniu redakcji, co następuje: Całe nasze współczucie po stronie tej najchwalebniejszej z inicjatyw. Usunięcie pośrednika z każdej dziedziny życia, gdziekolwiek tętni działalność ludzka, powinno być istotnym, właściwym celem wszystkich instytucji robotniczych. Wrogi pasożyt rozwielmożnił się na niwach pracy zarobkowej i zagarnia dziś bogactwa, nieobjęte dla coraz to trudniejszego bilansu rodziny robotniczej. Za wszelką cenę powinien być wyrwany i zniszczony. Dzieło to zmudne, wiemy o tem dobrze. Trudno jest wyzwolić się od tych wszystkich małżów pasożytnictwa pośredników, którymi oblepione jest życie wzpółczezne. Jednakowoż pomyślne wyniki walki niezawodne są o ile wezmą w niej udział wszystkie te organizacje, które przewodzą w emancypacyjnym pochodzie klasy pracującej".

Przytoczyliśmy wyjątki te w tym celu, aby oświetlić nastrój, ożywiający działaczy włoskich, zarówno tych, co bliżej stoją mas ludowych, jak i tych, co w kontakcie i zażyłości są z parlamentem i mężami stanu.

## Rozmaitości

**Kochliwy ojciec Strokow.** Jeszcze jeden „pasterz" stał się przedmiotem uwagi prasy i przyczyną specjalnego zjazdu duchowieństwa djecezji astrachańskiej. Jest nim o. Strokow, ozkarżony o defloracyę uczenicy szkoły djecezjalnej.

Według słów Astr. List. postępowanie Strokowa było przyczyną, iż życie duchowieństwa stało się w Astrachaniu wprost niemożliwe. Na zjeździe między innymi ustalono następujące postępki o. Strokowa:

„1) Strokowa starał się uchodzić za kochającego gorąco dzieci i pod tym pozorem pozwalał sobie na różne pieszczoty, przekraczające granice przyzwoitości, zwłaszcza w stosunku do dorastających wychowanic, bez względu nieraz na ich głośne protesty.

2) Starał się być eleganckim kawalerem i lubił zajmować się flirtem.

3) W rozmowach — nawet w liczniejszych grupach — dowodził, że enota — to przeżytek, pozostałość barbarzyństwa, dalekiej przeszłości i stanowi przestępstwo przeciwko przyrodzie, która wymaga niezwalczonego pociągu do siebie płci odmiennych.

4) Niektóre wychowanice rozumiały o. Strokowa i odpowiadały na jego pieszczoty w tych wypadkach, gdy chodziło o uniknięcie kary za jakieś przestępstwo szkolne, lub podwyższenie stopnia z jakiego przedmiotu.

5) Zdarzało się nieraz, że uczenice po spowiedzi u o. Strokowa dostawały ataków płaczu histerycznego i nie chciały wyjawić przyczyny tego.

6) Niektóre przełożone wprost mówiły matkom, żeby polecały córkom wystrzegać się o. Strokowa, jako złego człowieka".

O. Strokow w rezultacie został wydalony z djecezji, oprócz tego grozi jeszcze o. Strokowowi proces karny.

* * *

**Skradzione... muzeum i pałac.** Wychodzący w Petersburgu dziennik niemiecki St. Petersburger Herold w artykule o kradzieży obrazu Giocondy z Luwru powiada słusznie, że ten wypadek z Giocondą nie imponuje rozjanom: świeżo bowiem zniknął w Petersburgu nie jeden obraz, lecz całe muzeum. Całe muzeum skradzione!

Rzecz przedstawia się jak następuje: W teatrze Aleksandrowskim pewien bogacz G. ulokował przed laty całe muzeum, setki kosztownych obrazów i za życia troskliwie dbał o rozszerzenie swych skarbów sztuki. Po śmierci ofiarodawcy ani państwo, ani miasto nie uważały za stosowne zaopiekować się tym muzeum.

Obecnie niespodzianie stwierdzono, iż całe muzeum zniknęło. Z kilku setek obrazów nie pozostał ani jeden. Tylko gwoździe smutnie sterczą ze ścian... Gdie się podziało muzeum — nikt nie wie.

Tenże dziennik opowiada jeszcze drugą ciekawą historję. Przed kilku tygodniami stwierdzono zniknięcie całego pałacu. Stał mianowicie niegdyś przy górnej części Newy ulubiony pałac Katarzyny. Obecnie, gdy zarząd pałaców przekonał się z aktów, że nikt się pałacem nie opiekuje, postanowił wysłać urzędników do obejrzenia tegoż i przygotowania planów restauracji. Urzędnicy przyjechali i stwierdzili ze zdumieniem, że pałac — zniknął. Zniknęły ściany, meble, dzieła sztuki — wszystko. Gdzie się to wszystko podziało — niema wiadomości.

* * *

**Dookoła świata na motocyklu.** Z pewnem niebezpieczeństwem połączoną podróż odbywa obecnie mr. John Streiff z San Francisko, który sobie przedsięwziął objechać cały świat na kole motorowem.

Mr. J. Streiff rozpoczął swoją podróż 31 lipca r. b. z San Francisko na silnie zbudowanym jednocylindrowym Nekarsulmare 3 i pół HP, o podwójnej przenośni i wadze, razem z niezbędnymi przyborami i prowjantem, 240 kilogr. Droga prowadziła mr. Streiffa najprzód przez Sakramento, Towle, Lovelocks, Battle, Hallack, Ogden, Rock, Wyoming, Ogallale, do Nowego Jorku, razem 3860 mil, przebytych wśród najtrudniejszych warunków bez żadnego defektu maszyny. Niemniej jak 450 klm. przebył Streiff w braku gościńców, między szynami kolejowymi. Od Nowego Jorku pozyskał towarzysza w swoim przyjacielu mr. Eslerze. Z Nowego Jorku przeprawili się podróżnicy okrętem do Londynu i jadąc przez całą Anglję, Szkocję, Irlandję, i Walję, przebyli 2420 klm. Następnie mr. Streiff wrócił znów ze swoim towarzyszem do Londynu, ażeby stamtąd udać się do Francji, względnie do Paryża.

Dalej droga prowadziła do Belgji, a mianowicie do Brukseli, potem do Holandji — Rotterdam, Amsterdam, Utrecht, Arnheim, gdzie przekroczono granicę niemiecką. Dalszymi etapami były: Münster, Osnabrück, Minden i Hanower, poczem turyści pojechali do Bremy i Hamburga, ażeby wkońcu przez Ludwigslust, 11 bm., mając za sobą 14 000 klm. dotrzeć do Berlina skąd mr. Streiff zamierza udać się do Lipska, Frankfurtu nad Menem, Wiesbadenu, Kolonji i Heidelbergu. W dalszym planie mr. Streiffa są: Sztutgart, Bazyleja, Zurych i inne większe miasta szwajcarskie, poczem do Włoch podążą amerykańscy turyści.

Wrażenia z podróży zamierzają mr. Streiff i Esler opisać później w osobnej książce.

* * *

**Niezwykłej operacji** dokonał w tych dniach profesor Küttner ze Wrocławia. Wyjął on choremu całe ramię i wprawił inne, wyjęte z trupa człowieka umarłego na wodną puchlinę mózgu. Ramię z owego trupa było 6 godzin po śmierci wydobyte i 16 godzin w odpowiednim płynie przechowane. Wprawienie tego ramienia nowego się bardzo dobrze udało, a wszystko się bardzo ładnie wygoiło.

* * *

**Nowa epidemja u bydła.** Nad granicą holenderską zauważono szerzenie się nowej choroby ócz u bydła. Pierwszym objawem choroby jest ekcematyczne zapalenie zewnętrznych powiek. Po pewnym czasie pokazują się plamy na rogówce, które mogą spowodować znaczne osłabienie wzroku i w pewnych warunkach nawet zaniewidzenie. Znawcy przypuszczają, iż tu chodzi o chorobę zakaźną, której przyczyny jeszcze nie stwierdzono. Jedynym środkiem ku zapobieżeniu przeniesienia choroby jest zupełne odosobnienie chorego bydła od reszty, jeszcze nie dotkniętej pierwszymi objawami choroby. Podobne objawy spostrzeżono rzekomo także u koni. Władze celne starają się wszelkimi siłami zapobiec przeniesieniu epidemji do Niemiec.

* * *

**Mordowanie niemowląt.** Akuszerkę, Annę Bajac w Tryeście aresztowano pod zarzutem „fabrykacji aniołków". W toku śledztwa wykryto ohydne sprawki. Morderczyni dokonywała na licznych dziewczynach i kobietach zakazanych operacji. A wśród mężczyzn, którzy dla uwiedzionych istot do niesumiennej akuszerki udawali się „po pomoc", znajdował się także pewien dygnitarz.

Fabrykantka aniołków zagrzebała wiele trupów niemowląt, przez siebie zamordowanych, w grobie swojej matki. W domu akuszerki urządzono także orgie z małemi dziećmi, w których uczestniczyli arystokraci. Podczas przesłuchów zbrodniarka wyraziła w sposób cyniczny swoją radość, iż tyle dzieci już wysłała do „nieba".

* * *

**Myśliwi napadnięci przez orła.** W pobliżu Marsylji — jak opowiadają dzienniki paryskie — potężny orzeł napadł na dwu myśliwych, Palleta i Gaya, polujących na kuropatwy. Orzeł spadł jak kula na myśliwych, którzy, napadnięci znienacka, nie mogli użyć w pierwszej chwili strzelb w obawie postrzelenia się nawzajem. Wreszcie udało się jednemu z nich, po obronie uporczywej, zabić celnym strzałem napastnika. Zabity ptak mierzy od końca do końca skrzydeł 1 i pół metra.

* * *

**Samobójstwo dwuch zakonnic i studenta.** W szpitalu Aleksandrowskim w Petesburgu we wtorek starsza siostra miłosierdzia, obchodząca o północy szpital, znalazła w jednej z sal leżące na podłodze dwie młodsze siostry miłosiedzia, Czestochwałową i Jewgrafową. Obok stała flaszka z sinkiem potasu. Przeniesione do oddzielnej sali, obie siostry, mimo ratunku, zmarły o świcie. Rano o grodz. 10. przybył do szpitala student instytutu technologicznego, dobry znajomy otrutych sióstr, którego kolega poinformował o samobójstwie. Kazał się zaprowadzić do trupiarni i tam przyjrzał się zwłokom, poczym wyszedł i udał się do znajdującej w pobliżu herbaciarni. Tam kazał sobie podać herbaty, a wsypawszy coś nieznacznie do szklanki, wypił duszkiem. Po chwili spadł z krzesła, a gdy podbiegł do niego służący, student dawał już tylko słabe oznaki życia. Przewieziony do szpitala, wkrótce zmarł.

Ani przy siostrach, ani przy studencie nie znaleziono żadnych listów, objaśniających przyczynę śmierci.

* * *

**Przez trumnę na wolność.** Gazety warszawskie donoszą: Dwuch strażników, eskortujących aresztanta do sądu gminnego w Radomsku, wstąpiło na kieliszek do karczmy, zostawiając aresztanta na drodze. Aresztant, korzystając z tego, schował się do pustej trumny, stojącej koło karczmy. Za chwilę strażnicy wyszli z karczmy, a gdy aresztanta nie ujrzeli, myśląc, że uciekł, pognali za nim w pogoń, aresztant tymczasem wylazł z trumny i umknął naprawdę.

---

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 40. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 7 października 1911.

JULJUSZ KADEN.

## KUPCY.

Ciszę wieczoru prażyła nieskromnemi akordami krzykliwie grająca muzyka wojskowa. W takt rytmów snuł się po ogrodzie, chował się w cień, lub poufnie nikł w gąszczach tłum wystrojony. Uroczyste lśnienie gwiazd bladło wobec światła lamp, bodących słodkie ciemności wieczora twardymi promieniami. Blask sztuczny, fałszywy, zdziwiony ostrym nalotem łaskotał zwartą głębię drzew. Krzaki i krzaczki nasiąkły lepkim śmiechem taniej rozkoszy. Na ławkach rozpostarło się niedozwolone, dorywcze używanie. Ciemne kąty ogrodu, ku którym z za parkanu donosił się kwaśny wyziew dorożkarskich koni — zamieniły się w przytulny ustęp.

Zabawa rosła. Wciąż jeszcze zajeżdżały przed bramę parku nowe powozy. Pulchne, umyte, wyczesane i zapięte postacie jedna za drugą odrywały się z wzdętego łona skórzanych poduszek i nie czekając aż koń nerwowy da głośną folgę żołądkowi, biegły w światło. Pstrokały wąż tłumu bezwładną kiszką toczący się po sykliwym żwirze aleji wciąż rósł, wciąż nabrzmiewał i puchł.

Nad chwiejnym zagonem rozczapierzonych damskich piór, nad lśniącymi kominkami cylindrów, nad wiotkim łopuchem miękkich kapeluszy, nad sztywną spódniczką kremowych „panama“ słaniały się nietaktowne przysiady taktów muzycznych pomięszane z kurzem, prochem i łapczywą ponętą perfum. Wszystko złowione w ruchliwą dźwięczącą sieć chmary komarów.

Najpiękniejsza zabawa, najdorodniejszy gwałt tętnił wkoło wypatroszonego frontonu restauracji. Rozlegało się tu ustawiczne dźwięczenie szkła, przeraźliwy szczęk srebra zsypywanego do stalowych koszów, łakomy bulgot butelek i kleista rozmowa gęb zapchanych tłustem jadłem. Rubaszny śmiech hulał wśród stolików, przeradzając się w czkające tchnienie dosytu.

Na schodach w przejściu ku werandom uwijała się banda wyfraszonych fagasów. Szanownym pośpiechem starszych z miejsca na miejsce kopani chłopcy mali, zręcili się wciąż pod nogami, niosąc sprzyjające trawieniu wody mineralne i gazety.

Jeszcze większy ruch kipiał w środku budynku. Czereda mężczyzn oblęgała podniosły marmurowy szynkwas, ku którymu szło się po stopniach dywanami usłanych, jak do ołtarza. Mosiężne szyszaki pomp, sterczące dumnie ponad białą grobową taflą szynkwasu sikały bez ustanku złotawą strugą piwa w czyściutkie szkło. Herbami, koronami, postacią świątobliwego mnicha, tragicznym znakiem krzyża znaczone, bezwstydnie wypięte butle coraz skłaniały swe małe, obręczą laku wieńczone główki, wypluwając z metalowych dzióbków wąski prąd cierpkiego wyskoku. Na tacach coraz zmniejszał się wzorzysty pułk przekąsek. Kawior, łosoś, rybki, rybeczki kwasikiem ckliwiącym, smrodkiem zatęchłym nasiąknąwszy, przypochlebiały się wytwornym podniebieniom, oblepiając je płochą pieszczotą jeszcze większej pożądliwości i pragnienia. Zbożny śmiech wyłupywał się twardą kaskadą z uszczęśliwionych gardzieli towarzystwa.

W głębi poza szynkwasem rozwierała swe brudne wnętrze obszerna sala pocięta nawskroś rzędami długich białych stołów. Blask świateł wiercił tęczowe świdry na kancie szyb lustrzanych, płaszczył się na nich, żgłącą polewą rozlewał, ciskając daleko w pustą, bezprzestrzenną głąb zwierciadeł jedno i to samo odbicie miejsca.

W rogu sali przy automacie stał wypłowiały blondyn z białym kwiatkiem w czarnej klapie i głosem ochryplym wywrzaskiwał raz po raz przez automat wymiotowane numery. Przy stołach nad pokratkowanemi tabliczkami siedziało niecierpliwe mnóstwo kobiet grających w loterję. Wątły, słodkawy, kisnący zapach wydzielał się z ich ubiorów. Trąc się wzajem sznrokimi kryzami kapeluszy, bezustannie szeleszczące sykiem modnych materji, bezprzestannie przebierające rozrzuconymi po całym stole okrawkami szkła, kuliły się pilnie nad stołami. Ich twarze miękie, pulchne i pieszczone, delikatniejsze niż cienki naskórek trufli każdy wywołany numer darł tępym harapem niepokoju. Wraz marszczyły się, noskami różowemi węsząc na papierku nadzieję wygranej. Głosem wywoływacza tresowana ciżba kobiet czasem przerywała mores zacisznej gry. Podlotki, smukłe łanie panie domów, gospodynie, żony mężów, matki dzieciom zrywały się z krzesełek wygranych i kłócąc się, popychając, piszcząc, biegły do automatu. Słodkie, pudrowane podgardła nabrzmiewały przenikliwym krzykiem, język szastał po jedwabnych wargach, prędzej niż osełka na kosie. Zgiełk, jazgot wzbijał się poprzez szczęk naczyń kuchennych, głuszył zaplutą werwę trąby wojskowej i przerodziły się nagle w kłujący śmiech, napełniał całą salę ostrym, ściśniętym kwikiem.

Uchyliły się skryte w ścianie drzwi i pokazała się w nich duża, mięsna, bawola głowa człowieka. Podbiegł frasobliwy właściciel lokalu tłomaczył się, skłaniał, składał, przepraszał, ostremi słowy tłumiąc wybuchy kobiecego śmiechu. Bawola głowa znikła. Po chwili w stronę ukrytych drzwi biegli służący z butelkami. Ustawiwszy je na osobnym stole, odchodzili pośpiesznie, by nie przerywać pracy. Bo praca się tam odbywała. Nie przeszkadzał tu dym tak gęsty, że aż oczy kłujący, ani jęk komarow, ani cierpki zaduch z napitku, brudu i potu zamknięto okna, czarnym łachmanem wyścielono szyby, zaryglowano drzwi. Już dawniej przezornie oczy i uszy i wszelką czujność władz miarodajnych zatkano sutym okupem — by swobodnie płynąć mogła gra.

Niech się tam muzyka dźwięczącą pletwą ciska na żwirze, niech sobie tam ludzie biegają i nęcą się, i radzą i sprzedają — tu tryska ważniejsze od wszystkiego. Tu sobie złoto pyzate, przekupną myślą wyniańczone tańczy i skacze słodsze od muzyki. Tu sobie zysk łotrostwem zdobyty cugli popuszcza, wędzideł zbywa i hasa z rąk do rąk i bawi się, od lica karty zawisły i gzi chęcią ryzyka łaskotany. Krwawą pracę w kręgu pieniądza zamkniętą skubie i dla pociechy szczypie ręky kupiecka i policzkuje raz wraz

wytłoczoną tarczę herbów państwa i przewrotnie radośnie igra wartością, dla której innym umierać każe.

Pieniądz ich gryzie. Podali się w przód, rękami nakrywają, rękami po stole dudnią i tupią, złowić go chcą nakryć i chwycić. Lecz on skacze, z miejsca na miejsce przeskakuje — wielka, złota, niewidziana, niezłowiona, wysoko skacząca, sprężysta pchła.

Zielona łączka granicą polerowanego drzewa w kwadrat zamknięta. W rogach świece, przy głowach płonące, jak w zimną godzinę śmierci. Nad łączką zawisły cztery ciężkie, czarne ropuchy. Jedna, druga, trzecia i czwarta. Dyszą dymem. Dym płomieniami świec targa. Płomienie mętnym blaskiem lecą na ściany. Ściany się chwieją, drżą, mienią i z powrotem na ludzi tchną. Biało-złota, złoto-czarna pogoda płynie przez oczy.

Na kwadratowem błoniu słychać duckanie opasłych rąk, chlapanie twardej karty, przeżuły chrzęst miękich banknotów i cichy, dźwięczny brzęk złota, co niby długo wstrzymywany płyn pieniącym się pogłosem gdzieś spływa, leci i ścieka.

Na chwilę cisza wielka, większa, największa.

Znów wstrząsa się zwarte powietrze. Coś ję szybkim szelestem rozpruwa. Coś prosi: jeszcze, jeszcze, jeszcze. Z rozdającej ręki lecą karty. Śmigają nad krótko przystrzyżonem błoniem, ledwo musną i lecą w cztery strony. Grzbiety maja usiane rzędami małych, pustych orbit, rzędami pustych, malutkich oczek. Oczkami patrzą w nabrzmiałe oczy ludzi. Oczkami mącą, oczkami piją oczy ludzi. Co kryją, nie powiedzą. Palce białe jak pszenne kluchy, bezwolne, lepkie oblepiły karię. Dzierżą. Twarze prostują się, chytrze jaśnieją. Głęboko pod niemi czai się luty skir zysku. Głęboko w myśli tępej choć wytężonej hyca ze strony w stronę pająk podstępu.

Wolno rozchylają się grube, obrzękłe wargi. Wargi — zczerniałe strąki o ziarnie parszywem, robaczywem, o zębach czarnych, dziurawych. Wydały słowo zmięte, mokre, stęchłe, złowonne. Rozwarły się więc inne usta i cedzić, troczyć, wygniatać jęły słowa gnuśne, przetrawione, splekłe jak kał. — Licytacja. Stopniami szalbierstwa pobiegła jurna cena wysoko w górę. Niewidzialną — grające ręce klepać zaczęły nacierać, głaskać, póki jej nie wygłaskały i zdobyły pulchna łapki białego łysonia.

Znów rozdał karty i czekał. Twarz gruba, błyszcząca, żłobiona sinym cieniem, nakryta dużą łysiną, niby z pod gładkiego kolana starej ladacznicy wyglądająca — ani drgnęła. Źrenice podobne do grudek żółtego wosku topniały w ciemno-brunatnej otoczy białka wilgotnego od łez. Traciła się linja między źrenicą a tęczówką, tęczówką a białkiem. Wszystko zlewało się w jedną, krzepnącą masę krwawego śluzu. Tym śluzem, zesznurowanym nabiegłemi żyłkami, patrzył biały łysoń to w kart ściśnięty wachlarzyk, to w nieruchome twarze przeciwników. Z trudnością poruszał głową. Szyja bowiem wezbranem mięsem daleko poza kołnierzyk rozlana, czerwonym, chropawym wałem kładła się na ramiona. Olbrzymi brzuch odpychał grającego wciąż od stolika. Lecz łysoń nie dawał za wygranę a rozpiąwszy kamizelę, skrobiąc włochatą pierś, miażdżył szeroki brzuch na wąskiej listwie twardego drzewa.

Grają. Ze ściśniętych rozwachlarzeń wysmyka się karta jedna za drugą. Uwijają się, toczą po błoniu. Za niemi w ślad ręce skore. Poskoczą tu i tam, mlasną, plasną, ta i tamta susem białego szczura wzleci w górę i spadnie. Pięciokrotne, ruchome, ruchliwe grabki palców skrobią, myszkują po suknie. Do palców się lepią złote monety, z ręki do ręki przewleka się barwny papier. Przez usta pełznie blada gąsienica rzewnego uśmiechu.

Tu radość się otwiera. Piersi by się otwarły, serce by się rozwarło, by w tajną komorę złożyć wygrany zysk.

Tam drżenie się rodzi, palce truchleją, złość skronie gniecie i trzewia mściwą werwą szarpie.

Talja przechodzi do rąk drugiego. Porwał ją w czarne włochate palce, wypukłością dłoni obrównał i tasuje. Karta chrzęści, ugina się, syczy. Trze się o się, rozpycha, gładka, równa i nieustępna. Ręce włochate mieszają coraz szybciej. Rozciągliwe ciało talji zwija się w łapczywym ręku, rozwija się, piętrzy i kuli, barwami zmienne. Kosteczki wiotkie, cienkie, płaskie chrupią i gną się, gną się i świszczą. Jakieś kosteczki wątłe i słabe miażdży i mięsi włochata ręka, póki z nich dla siebie szczęścia, dla drugich zguby nie wymięsi.

Rozdaje. Papierosa przychwycił zębami, cierpliwie żuje papier, oko przed dymem przymknął. Rozdał. Twarz zarośniętą przeczesał, usta ze zlepionych wąsów wynurzył, uszy włochate wydłubał i prychnął nosem.

Cisza wielka, większa, największa.

Złamali ją. — Licytacja!

Śliskimi szczeblami pożądania zazdrosna cena bieży coraz wyżej.

Nieruchomi, poważni, biją, się, kopią, żgają zwyżką. Ponura przerwa.

Wtem rozlepiły się zwarte wargi kosmatego i odsłaniając białe strzępy pogryzionego ogarka rzuciły jeszcze wyższą cenę.

Biały łysoń otworzył usta, z których przeźroczystą nitką wyciekła ślina. Ktoś mlasnął, ktoś zacharczał.

Rozegrali. O sukno klaskać poczęły karty. Oczy wierciły oczy, daleko, głęboko, poprzez wszystko przekonanie, poprzez obspólną pogardę, wstręt i odrazę, poprzez nienawiść, dalej do szeregu jądra kupieckiej duszy, do tajemnicy oszukaństwa.

Chciwość łkała w piersiach palącą goryczą. Czarna nienawiść z oczu. Hycając z karty, na kartę, hucząc w nabrzmiałych skłoniach lejąc się zimnym potem ze grzbietów, sprawiała służbę.

Kosmaty wygrał. Ludzie przypadli do stołu. Wokół polituro wanego brzega, niby kawały poćwiartowanej jaszczurki, krążyć poczęły długie tęczowe banknoty.

Tymczasem tajemne drzwi uchyliły się, dając wejście nowym zaufanym gościom.

Odrzucono starą talję. Trzeci partner wziął nową, zapieczętowaną. Łykając gwałtownie, dysząc dławiącym niepokojem, patrzyli, jak żółtymi palcami wątłe pieczęcie. Owisły był, wątrobianemi plamami po ciele, niby zwietrzałą żółcią zlany. Na palcach łyskały wielkie brylanty kręcących się swobodnie, za szerokich pierścieni. Rozdał i przegrał. I jeszcze rozdał i przegrał. I jeszcze raz. Zaszkliły się brunatne blamy, pofałdowany podbródek drżał.

Tymczasem uchyliły się drzwi, dając wejście nowym poufnym gościom. Któryś z nich poprosił, czyby się do gry dostawić nie mógł. Pozwolono. Między zgiętemi plecami przepychać się jęły nieliczne, liczniejsze — cały płot rąk z pieniędzmi.

Zaczyna się. Cisza wielka, większa, największa. — Zachlapał twardy papier, mlasnęli gracze, wynik wpadł między koło widzów i wycisnął z niego namiętne wrzaski. Wątrobiany gracz tarł dłoń o dłoń, czarne wałeczki potu zdmuchując precz, biały łysoń wstrząsał się cały od kaszlu i chlapał na boki flegmą, ze ściśniętej kołami bruneta leciało ciche gulgotanie jak z butelki.

Talja przeszła do rąk czwartego. Był to mężczyzna cichy i zwinny, gładki i słodki, strzyżony, golony, ubrany czysto i twardo. W białych, długich, cackanych rękach kołysał, pieścił błyszczącą talję. Grał uprzejmie, ostrożnie, oczu nawet nie mrużąc, grał cicho i słodko.

Wtem biały łysoń, niby szydłem pchnięty, zerwał się z krzesła i rycząc „złodziej“ zwalił się na słodką postać partnera.

Ze słów obelżywych ulepił się gęsty ryk. Zamachały ramiona, zatrzęsła się zielona łączka. Lichtarze skoczyły w prawo i w lewo.

Ludzie się chcieli bić. Chlusnęły wyzwiska. Pokrzywdzony tłum widzów charczał zawzięcie, czyniąc rozejm pomiędzy skłóconymi.

Tu ciasno, tu nie można — wrzasnął ktoś — chodźmy na salę!

Splątaną masą wydętych ubrań wtoczyli się do sali. Pań już nie było. Muzykanci mieli odchodzić. Lecz biały łysoń skinął na nich, cisnął banknot, rozkazując grać dalej. Wzięli się więc muzykanci na nowo do głośnej swej roboty.

Gra szła dalej, mijając i drąc przerażeniem gęby ludzkie. Koło każdego kupca narastał pokaźny śmietniczek

banknotów. Adwokaci, doktorzy, urzędnicy, notarjusze, oficerowie, agienci, nauczyciele — walczyli, jak mogli. Najprzód szły pieniądze z portfeli szanownych, czcigodnych, potem już z portmanetek, potem stawki obłędne, wyżebrane, na kredyt. Najprzód szedł chciwy zysk, zmagał się z mocą kupieckiej przemocy i padał. Za nim odwet, zanim wstyd, za nim troska o wszystko, tam, przez grę skrzywdzone, haniebnie zapomniane i kopnięte. Kupy zrujnowanych domów, skowyt głodnego gospodarstwa, strugi łez, wory przekleństw, świństwo i krew — pulsowały w białej karcie. — Niby to wszystko na kupę zwalone, ludzie, sprzęty, potrzeby, niedostatki, żale i bóle. — Wszystko to drży w straszliwej toni pożądania. A w toni tej opuchłe żwinne ręce kupców, kartą jak łygą, mięszają, piłują, tną na wskroś, póki się ze wszystkiego wirujący lej nie ukręci. Nad leja tego głębiną kupcy siedzą i w rozwirowane serca plują mu.

Adwokaci, doktorzy, urzędnicy, notarjusze, oficerowie, agenci, nauczyciele, przegrawszy, pocichu, chyłkiem, rozeszli się. Wówczas kupcy zamknęli grę. Że to wiosna była, więc im podano świeży specyał — raki. Gryźli chrząstki, żuli pośpiesznie różowe mięso, przy świetle białych pucułowatych lamp wielkie czarne kraby pożerające czerwone, mniejsze. Za gorąco im było po pracy, przeto wyszli na werandę.

Srebrnemi gwiazdami patrzyła się noc w czarną otchłań nieba.

W ogrodzie, na środku klombu słodkim zewem łkała kryształowa fontanna, sypiąc tkliwe pluski na uśnięty krzew stulone róże klombów.

Ejże, panowie — zaśmiał się biały łysoń i zrzucać począł z siebie rozmamłaną odzież.

Poszli za jego przykładem. Prychając, parskając, skrobiąc się, zasłoniwszy podbrzusza stołowemi serwetkami skoczyli do wody. Ktoś zgiął i złamał srebrną wiklinę wiotkiej fontanny. Woda wystąpiła poza brzegi.

W niemym szacunku oddalił się z miejsca wypadku numerowany przedstawiciel dozorującej władzy. Kelnerzy skoczyli szukać czegoś dla obtarcia wielmożnych.

Gdy biały łysoń, niosąc oburącz swój miękki, śliski brzuch szedł z wody do czekającego nań z rozpostartym obrusem kelnera, pan restaurator zgiął do pasa swój wyfraczony grzbiet i ośmielił się zażartować — że teraz właśnie, jakby słońce wzeszło.

# Wrażenia z wycieczki kooperatystów za granicą.

## X.

### Fabryka cukierków i przytulisko dla bezrobotnych.

Wróciwszy z Rochdalu, zwiedzali kooperatyści w dalszym ciągu składy, sklepy i fabryki związku w Manchesterze. A więc fabrykę cukierków, wytwarzającą 700 pudów tygogniowo, fabrykę herbatników, piekarnię sucharków, fabrykę ubrań gotowych, wyrabiającą 6000 sztuk odzienia na tydzień, fabrykę mebli, suszarnię drzewa, stolarnię i t. d. W tych wszystkich fabrykach robi się głównie maszynami.

O wielkości zakładów da nam wyobrażenie opis fabryki konfitur. Posiada ona 72 kotły, w których dziennie przegotowuje się 5000 pudów owoców. Ilość robotników wynosi 4000 — 6000 osób, zależnie od sezonu. Bo fabryka nie pracuje przez cały rok. Owoce sprowadza się koleją żelazną, całymi wagonami: śliwki z południowej Anglji, a inne z Hiszpanji, Włoch i Grecji. Co tydzień przerabia fabryka 55 wagonów najrozmaitszych owoców. Samych pomarańcz spotrzebowuje w ciągu roku 8 tysięcy skrzyń, a winogron 750 tysięcy pudów. Cukru do gotowania dostarcza Ameryka. Jest on bardzo tani, gdyż funt kosztuje 8 kop. Skoro konfitury już gotowe, wtedy studzi się je, zlewa do słoików i zapakowuje w skrzynki. Dawniej musiano napełniać słoiki, wlewając konfitury łyżką. Była to robota długa i mozolna. Wtedy jeden z robotników wynalazł maszynkę, która automatycznie nalewa, robiąc to sześć razy szybciej, niż człowiek. Zapakowane już konfitury rozsyła się natychmiast do sklepów w mieście i na kolej. Składu żadnego niema, gdyż zamówień na towar jest tyle, że go nietylko nie trzeba przechowywać, lecz nawet często fabryka nie może nastarczyć zapotrzebowaniu.

Na wyjezdnem z Manchesteru do Glazgowa, obejrzeli jeszcze kooperatyści przytulisko dla robotników pozbawionych pracy, utrzymywane przez gminę religijną Metodystów. Przytulisko nie stoi w żadnym, która np. w ostatnim roku dołożyła do niego 3 tysiące rubli. Ale, że przytulisko takie istnieje, że społeczeństwo uważa za rzecz potrzebną fundowanie instytucji tego rodzaju — to świadczy w rownym stopniu o wysokim rozwoju społecznym narodu angielskiego, jak i o wspaniałym ruchu współdzielczego. Anglicy rozumieją, że nie wolno zostawiać na bruku człowieka, który został pozbawiony pracy nie z własnej winy. Przeciwnie — jeżeli społeczeństwo stoi na pracy, to pracę tę należy szanować, chronić, opiekować się nią w chwilach ciężkich.

W tym celu organizuje się w Anglji tysiące związków i stowarzyszeń najrozmaitszego typu. Przytulisko Metodystów — zwiedzone przez kooperatystów — jest jednym z wielu dowodów, jak dalece w Anglji społeczeństwo troszczy się o pracowników.

Jest ono urządzone na 370 ludzi. O ile jakiś robotnik nie może sobie znaleźć pracy, wówczas dostaje tam nocleg i utrzymanie. Jeżeli posiada trochę grosza, to płaci drobną sumę, w razie przeciwnym pomimo to jest przyjęty. Zarząd podejmuje się prac takich, jak rąbanie drzewa, czyszczenie ogrodów i t. p. Jedzenie jest proste, ale pożywne, pościel czysta, parowa pralnia, łazienka, czytelnia z gazetami i książkami. Robotnik, którego zagnała tu nędza, znajdzie tu zaspokojenie dla wszystkich głównych potrzeb życia. W innym kraju przepadłby i zginął może — tu podadzą mu rękę, podtrzymają, pozwolą przeczekać okres biedy i ów najstraszniejszy dla robotnika okres: braku pracy.

## XI.

### W Glasgowie.

Z Manczesteru udała się wycieczka do Glasgowa, głównego miasta Szkocji, a zarazem siedziby Związku szkockich stowarzyszeń spożywczych. Miasto ogromne, jak Warszawa, ale piękne, czyste, pełne ogrodów, drzew i zielenia, i gdzie ruch współdzielczy rozrósł się w imponującą potęgę. W samej hurtowni ilość robotników, zajmujących się tylko pakowaniem i rozwożeniem towarów wynosi 400 osób. Znaczną ilość towarów wyrabia Związek we własnych zakładach. Kooperatywna drukarnia drukuje gazety, broszury, książki rachunkowe, etykiety na towary i t. p. Odpowiednie warsztaty sporządzają kosze i skrzynki, na towary. W fabryce ubrań pracuje 600 ludzi, w fabryce mebli 300. Oprócz wymienionych posiada Związek szkocki jeszcze fabryki pończoch, koszul, szczotek, konserw, konfitur, tytoniu, papierosów, cygar i t. d. — ogółem 37 fabryk współdzielczych w których pracuje 17 tysięcy robotników. O wielkości tych zakładów świadczą same liczby. Tak np. fabryka obuwia szyje 40 do 50 tysięcy par tygodniowo, a w r. 1909 sprzedano towaru za 2 miljony 200 tysięcy rubli. Przy fabrykach znajdują się czytelnie, jadłodajnie, kaplice. Robotnicy otrzymują oprócz zwykłej płace pewien procent od czystego zysku. Płaca jest rożna, zależnie od rodzaju zajęcia robotnika. Tak np. w olbrzymiej piekarni współdzielczej, gdzie pracuje 1 200 robotników, płaca wynosi od 8 do 25 rubli tygodniowo za 48 godziu pracy. Przy tej sposobności przytoczymy tu cyfry, aby czytelnicy mogli sobie wyrobić pojęcie o rozmiarach tego przedsiębiorstwa. Otóż piekarnia współdzielcza w Glasgowie ma 132 piece. Wypieka się w nich 500 tysięcy sztuk chleba tygodniowo, a 750 pudów herbatników dziennie. Piekarnia zaopatruje w chleb najrozmaitszego gatunku sklepy spożywcze w samem mieście, a herbatniki wypieka dla wszystkich sklepów całej Szkocji.

Przyjrzawszy się temu wszystkiemu pojechali wycie-

czkowicze samochodami za miasto, aby zwiedzić majątek ziemski, należący do Związku. Zakupiono go pięć lat temu od pewnego lorda. Obszar folwarku wynosi 800 morgów. W środku parku, zarośniętego starodrzewem, wśród skał, strumieni i wodospadów wznosi się zamek starożytny, o wielkich, jasnych komnatach. Jest to muzeum Związku szkockiego. W oszklonych szafach leżą próbki towarów, a na ścianach wiszą portrety najwybitniejszych kooperatystów i tablice, wykazujące rozwój ruchu współdzielczego. Na folwarku chowają konie i tuczą trzodę chlewną. W cieplarniach uprawiają kwiaty, jarzyny, owoce i nawet wino. Musimy tu przypomnieć, że klimat angielski, a tembardziej szkocki. (Szkocja leży w północnej części Anglji) jest zimny i wilgotny. Stąd nie tylko południowe owoce, jak wino, ale nawet pomidory, które u nas dojrzewają pod gołem niebem, muszą się w Anglji hodować pod szkłem, w cieplarniach, ogrzewanych parą.

Ponieważ majątek ziemski Związku glasgowskiego znajduje się w pobliżu miasta, wybudowano parku herbaciarnię na 1 200 osób dla wygody swoich członków. W święta i niedziele przychodzą po parku całe tłumy wycieczkowiczów z Glasgowa. Bawią się, tańczą i używają wypoczynku wśród drzew, na świeżem powietrzu, a w razie niepogody schodzą się w herbaciarni na czytanie gazet i książek.

# Działalność oświatowa tow. wiedeńskich.

Partyjna praca oświatowa naszych niemieckich towarzyszów w Austrji została na dobre zorganizowana dopiero przed paru laty. A jednak dziś jest już tak obszerną, że tylko socjalna demokracja Niemiec, i to nie we wszystkich formach pracy, może jej dorównać. Dość powiedzieć, że w roku ubiegłym budżet wiedeńskiego „wydziału oświatowego" wynosił 79 000 K, liczba listów i przesyłek wynosiła 10 000.

Ostatni (sierpniowy) numer pisma tegoż „wydziału" „Bildungsarbeit" przynosi następujące szczegóły pracy w Wiedniu za rok ubiegły.

Wykładów pojedyńczych odbyło się w Wiedniu i okolicy 1045. 10 proc. wszystkich grup zawodowych miały minimum po 8 wykładów rocznie. Ogólna liczba słuchaczów wyniosła 70 000, przeciętna (przy wykładach w grupach zawodowych) 48. Największą ilość wykładów mieli metalowcy (305), drzewni (165), piekarze (107). Dla orjentacji w tematach, „wydział" wydał spis tematów. Najczęściej wykładano o „komunie" (57 razy). Zorganizowano szereg wieczorów dyskucyjnych.

Cyklów wykładowych odbyło się w Wiedniu 71 z przyciętną frekwencją sumaryczną 4500 osób. Niektóre centrale zawodowe zorganizowały dla swoich mężów zaufania cykle „O teorji i praktyce związków zawodowych (5 wykładów). Inne tematy: „Socjalna reforma i socjalna rewolucja" (4 wykł.), „Podatki" (9 wykł.), „Program minimalny (8 wykł.) i t. d.

Nauka elementarna czytania, pisania oraz innych początków szkolnych, a także stenografji, buchalterji i rysunków dla dorosłych i młodocianych zajęła prelegientom „wydziału" 1856 wieczorów. Wykłady z obrazami świetlnymi w ubiegłej zimie dopiero zostały zapoczątkowane, a w rozpoczynającej się mają być prowadzone na wielką skalę. Odbyły się 4 także wykłady „O pochodzeniu życia z 1400 słuchaczami, a przed wykładami rozdawno teksty.

Szkoła robotnicza z dwuletnim kursem, odbywająca swe wykłady wieczorami, miała przeciętną frekwencję 70 słuchaczów na pierwszym roku i 27 na drugim. Ukończeni słuchacze utworzyli klub absolwentów szkoły z 31 członkami i urządzili 19 posiedzeń dyskusyjnych na różne tematy partyjne.

Pismo „wydziału" „Bildungsarbeit", zawierające mnóstwo cennych wskazówek dla referentów, bibljotekarzy i t. d. i dyspozycyj wykładowych rozchodziło się w 2151 egzemplarzach, z czego na Galicję przypada 15.

Dyspozycje szczegółowe dla referentów w formie broszur stały się również przedmiotem prac „wydziału". Broszura Brauna z dyspozycjami dla wykładów „O związkach zawodowych" ukazała się już w trzecim wydaniu.

Bibljoteki robotnicze były porządkowane i przeprowadzono dzielnicową centralizację. Wydano katalog dzieł dla młodzieży i sprzedawano druki bibljotekarskie.

Koncerta symfoniczne wraz z poprzedającymi takowe objaśniającymi wykładami, kierowane przez tow. dra Bacha, wykazały frekwencję 10 300 zorganizowanych robotników.

Z innemi stowarzyszeniami oświatowemi, uprawiającemi popularyzację nauk przyrodniczych, lekarskich i t. p. wstąpił „wydział" w porozumienie i masowo rozpowszechniał bilety na takie wykłady. Na wykłady np. „Uranji" rozdano 1555 legitymacyj i 415 biletów familijnych; to samo z obserwatorjum, myzeami i t. d. Na polu popularyzacji nauk medycznych dużo między innymi zrobiły wykłady, zorganizowane przez Kasę chorych. (W samym Wiedniu 40 wykładów).

Taką kolosalną robotę oświatową prowadzą towarzysze wiedeńscy pod kierownictwem dra Danneberga, Bauera, Winarskiego i innych.

Co się tyczy prowincji, to i tam robota wzrasta szybko. Przy pomocy wiedeńskiej centrali zorganizowano 105 wykładów pojedyńczych, 90 cyklów. Dla braku miejsca pomijamy pracę lokalnych organizacyj, prowadzoną bez pośrednictwa centrali. Podkreślimy tylko niezwykłe sukcesy szkoły partyjnej w Podmokłem (Bodenbach). — Szkoła ta ma się stać stałą instytucją partyjną i, zwalniając uczniów od pracy zawodowej, bierze ich na swoje utrzymanie. Byli uczniowie tej szkoły, utrzymywanej przez partję z wielkiemi ofiarami, dziś prowadzą robotę oświatową, a zwłaszcza wieczorne szkoły robotnicze w wielu miejscach: Lincu, Bernie, Gracu, Komotowie, Reichenbergu.

Jak widzimy, niemieccy towarzysze po kilku zaledwie latach wytężonej pracy, mogą się poszczycić wyjątkowymi sukcesami. Oby one i nas zachęciły do energicznej pracy na polu oświatowym.

## Rozmaitości

**Ucho — siedzibą morskiej choroby.** Dr. Juljusz Auerbach, wiedeńczyk, uczynił ciekawe odkrycie. Na mocy długoletnich badań doszedł do przekonania, że powodem choroby morskiej nie są zaburzenia żołądkowe, lecz podrażnienie wewnętrznych kanałów usznych. Lekarze wiedeńscy po sprawdzeniu potwierdzili jego wniosek. Prawidłowe funkcjonowanie kanałów usznych podtrzymuje równowagę w organiźmie. Jeśli w tych funkcjach nastąpi zaburzenie, odbija się ono na całym ustroju. Dlatego wszelka djetyczna kuracja przeciw morskiej chorobie jest zgoła bezskuteczna. Dr. Auerbach, wskazując przyczynę, nie wynalazł jeszcze sposobu usuwania objawów.

* * *

**Nowy rodzaj gazety.** Chicago niejaki N. D. Cochrane, przyszedłszy do wniosku, że gazety wydawane w dużym formacie są niewygodne, szczególnie we wagonach tramwajowych i kolejowych, postanowił wydawać pismo w formacie dotychczas w Ameryce nieznanym. Będzie to gazeta codzienna, południowa, we formie zwykłej książki, zawartości 32 stronic. Wynajęto już lokal, sprowadzono dwie maszyny i za dwa tygodnie ma już wyjść pierwszy numer oryginalnego dziennika. Inne pisma dość ironicznie wyrażają się o nowem wydawnictwie. Nowy dziennik wychodzić będzie pod nazwą „Daj Book" a każdy numer kosztować będzie centa.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 41. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 14 października 1911.

KAMIL LEMONNIER.

## BRANKA.*)

Zły to był dzień dla chłopów z małych ferm. Chodziło o to, czy chłopaki wyciągną dobre losy. Za każdym razem, kiedy losowania do wojska zabierały kogóś ze wsi, cierpiała na tem rola, a rodzina pozostawała jak bez ręki. I nikt nie śmiał się za małemi szybami okien, gdy widziano, jak popisowi szli gromadami ku miastu, w dżdżystą, chmurną dal. Matki płakały na drogach, posyłając za nimi wzrok swój tak daleko, jak jeno mogły.

Dzieciaki stały tam także. Patrzyły, jak na krańcu drogi malały postacie idących, i nic nie rozumiały. Więc kładły palce w nos.

Czasem któryś z chłopaków odwracał się, machając czapką. Dachy domów zdawały się unosić, aby ich dłużej widzieć. A jednak przychodziła chwila, kiedy znikali z oczu. Każdy szedł ze smutną odwagą ku swoim losom.

W chatach, u komina starcy przesuwali paciorki różańca, twardemi jak bukszpan palcami. Drys Abeels stał również przez chwilę w oknie pracowni stolarskiej, patrząc, jak odchodzili. Szedł tam też syn rymarza Dow Onkelaer i kilku innych, których znał. Przechodząc, pozdrawiali go czapkami. I wtedy Drys był przypomniał sobie; wyciągnął był kiedyś zły los; ojciec kupił mu zastępcę.**)

Biedny syn najmity zapewne dotąd cierpiał kędyś w koszarach, klnąc tego, za którego zgodził się był służyć. Musiał on porzucić wszystko: starą matkę, rolę, rzemiosło, podczas kiedy Drys w dalszym ciągu grywał w kości i objadał się naleśnikami w dni święte. Ale tego dnia dom Abealsów nabrał większej powagi w oczach innych przez tę rzecz niesprawiedliwą, która go postawiła w rzędzie bogatych.

— Zawsze ta sama historja — myślał Drys — szanują cię za to, że przedłużasz trwanie społecznej nierówności. — Rzucił robotę; nie był w usposobieniu do pracy. Prawie wszędzie rzemiosła świętowały. Murarz, którego syn stawał także do losu, nie opuszczał szynku. Rymarz łaził po drodze. Rzeźnik wstał już przed świtem, aby zabić cielę. W polach nikt nie pracował. Ziemia była jak martwa. Drys razem z innymi poszedł na rynek posłuchać nowin. Po drodze zabrał ze sobą druha swego Kenkelaera.

Ciężko i powoli spadały z dzwonnicy uderzenia godzin śród szmeru nieustannego deszczu.

Po południu usłyszano muzykę harmonji; wracała z miasta gromada chłopaków. Szli rzędem, skacząc. Zajmowali sobą całą szerokość szosy. Muzykant, młody człowiek o chorych oczach, którego rzemiosłem było grać dla innych, szedł na czele poważny, bardzo łagodny z uchem przywartem do klawiszów harmonji. On jeden był poza radością, zagubiony w marzeniu.

Zwierając i rozwierając miechy swemi chudemi, prędkiemi jak pająki palcami, wyciągał taneczną melodję, zawrotnej hulanki piosenkę, co na kiermaszach tańczące pary w drżenie wprawia.

Przyszli wreszcie na rynek. Pęki wstęg zwisały im u czapek, na które jak dzicy królowi pokładli korony z róż papierowych. Raz poraz, bijąc hołubce hwytali się za ręce i hulali dokoła jak szaleni. Każdy z nich wywijał jak sztandarem swym numerem drukowanym na kartce, trzymając go we wzniosionej wysoko dłoni. W tem pijanem szaleństwie ogarnęło ich wszystkich ironiczne i smutne braterstwo; nie wiadomoć było, kto wygrał, a kto przegrał na tej krwawej loterji. Całemi gromadami garnęli się do szynków. Muzykant o chorych oczach wchodził pierwszy, grając wciąż swe melodje taneczne.

Zdarzało się, że matki lub siostry chciały ich zabierać do domu. Wtedy chłopaki poczynali przed niemi taneczne skoki wyprawiać, składając ukłony swemi papierowemi koronami z ceremonjalnym i niezdarnym wdziękiem cyrkowców. Muzyka harmonji wtórowała ciężkim przytupywaniom, hołubcom, któremi znaczyli rytm tańca.

I leciały urywki śpiewki, tej śpiewki, którą w czasie poborowym śpiewali wszyscy chłopcy Flandrji *). Zaczynało się to łzami; widać było w tym śpiewie całą rodzinę na progu domu.

— Nie płacz matko, nie płacz miła,
Kraj żołnierza, to mogiła
Z łóżka pościel zewlecz mi
Oh, dana dy
Szczur niech słomę z niego ćpa
Oh, dana da! — — —

...W cichej pracy pól zawarczał bęben wojny.

Bębny już biją, matko żegnaj mi
trzeba porzucić życia sny
Żegnajże matko, poszedł ci
oh dana-dy
Lecz na Zaduszki wrócić ma
oh dana-da.

Grzmot armat i chwała wojenna upajają serce żołnierza.

— Nie płacz matko, nie płacz miła
ominęła mnie mogiła
Na koniku schodzą mi dni
oh, dana-dy — — —
Na armacie wrócę hej, ha
oh, dana-da? — — —

I wreszcie powrót do wsi; święto powitania w starym domu, i miłość gwałtowna, dopominająca się swych praw.

— Witaj matko, droga i wy przyjaciele
Niechże mi się prędzej ślubne łoże ściele
Dziewczę w niem dziecię zrodzi mi
Oh, dana-dy
W kościele ochrzci je, hej ha
Oh dana da — dana da-dy da! — —

*) Opowiadanie niniejsze jest wyjątkiem z powieści belgijskiego pisarza Kamila Lemonniera p. t. „Wiatr we młynach“

**) W Belgji istniało jeszcze przed rokiem niespełna prawo, mocą którego człowiek zamożny mógł się wykupić od służby wojskowej, dając za siebie zastępcę, któremu płacił umówioną sumę pieniędzy. (Przyp, tłom.).

*) Flandrja jest częścią Belgji.

Jakże żałosna była ta piosenka. Była to jakby skarga tych czasów, kiedy żołnierze Flandrji szli gromadami na odgłos bębów Napoleona, kiedy matki rankiem, szukając poomacku, natrafiały na puste łóżka synów.

A jednak śmiech porywał, gdy wszyscy razem wykrzykiwali: dana da-dy da!... Myślało się o dzielnym brygadjerze, dumnie przesuwającym kitę czapy z prawej do lewej skroni przed dziewczętami, którym śpiewał tę piosenkę — wspomnienie kraju rodzinnego. Drys płakał i śmiał się razem. Iluż to odeszło pod tę melodję, aby już więcej nie wrócić. Kto wie? I jego zastępca śpiewał to na drodze w dniu odjazdu z cichem łkaniem w głosie.

I tym razem szczęście było po stronie bogatych. Szli chłopcy biednych, drobnych fermerów. Inni, syn rymarza, syn sklepikarza i rzeźnika wykręcili się sianem. A bądź co bądź byli to jednak Drysa przyjaciele; więc poszedł z nimi pić. Fala rekrutów napływała do szynku; wlewano sobie do gardła wódkę, albo kufel piwa. I to samo w następnym szynku. Wciąż wędrowała po wsi muzyka. Zapadł wieczór; piosenka tłukła się jeszcze po drogach, jak ptak o jednym skrzydle; trudno było poznać żołnierzyka Flandrji, wyśpiewującego tak zabawnie swoje: dana-da dy-da!... Papierowe róże wyglądały śród ciężkiego tumanu mgły, jakby wracały z pogrzebu.

Tylko muzykant wciąż tak samo z niezmordowaną gorliwością wygrywał swemi pajęczemi palcami. Melodja coraz bardziej smutna wchodziła do szynków, wychodziła z domów, tańczyła po ulicy, bijąc hołubce. A kiedy przechodziła około drobnych ferm, starcy, ręce grzejący u ognia, poczynali kwilić i jęczeć jak dzieci. Czasem ginęły jej tony na drodze pośród drzew. I wtedy zapadała ogromna cisza, jak gdyby wszystkie dusze odeszły za grajkiem o chorych oczach.

Nagle w ciemności zaczęła kosić piosenka kosiarza. Leciała poprzez ulice i pola. Słychać ją było z bardzo daleka, to znów rozlegała się tuż-tuż. Niewiadomo było kto i gdzie śpiewał dziki jej refren: „cich ciach", tak podobny do dźwięku kosy ostrzonej. *)

Drys wracał do siebie wąską ścieżyną. Ostani raz usłyszał muzykę harmonji. Jej taneczne dźwięki padały na drogę, jak łkania. Drys nie był w stanie słuchać tego dłużej.

Przywaliła go ciężka troska; żałował dnia straconego; cierpiał z powodu jakiejś rzeczy, której nie umiał wypowiedzieć. Kiedy skręcał około płotu spotkał starego Tona Boontje, ciągnącego wózek chrustu i wyprostowanego pod chomątem. Boontje powiedział mu, kaszląc, że jego chłopak wyciągnął zły los i że go wezmą. Nie rekł nic więcej, ale czuło się, że było to wielkie nieszczęście w domu ubogiego dzierżawcy skrawka ziemi. Drys wzruszył ramionami.

Raz jeszcze piosnka kosiarza zadzwoniła w dali. Zdało się — żniwiarz ostrzy kosę, nim nią traw pokos zagarnie. Ton Boontje śmiał się bezgłośnie.

— Tak, Drys Abeels — ot czego trzeba — dobrego cięcia kosy.

I odszedł, prężąc się pod chomątem jak koń. Drys widział, jak jego chuda postać grążyła się w cień mgły. Nie czuł już żaru wódki.

Stał chłodny i wytrzeźwiony, sam wobec wielkiej nędzy świata.

Tłomaczyła Marja Dąbrowska.

---

Kamil Lemonnier.

### Piosnka kosiarza.

Wziąłem ci jasną kosę życia,
wziąłem ci śmierci kosę czarną
cich-ciach! — — —

Na łąk srebrzystą idę rosę.
kwiaty się złote do stóp garną — — —
ciach-cich! — — —

Wziąłem ci jasną życia kosę,
com ją naostrzył na swem sercu
cich-ciach! — — —

Ktoś był śród łąki — śmierć mu niosę,
— nigdy już nie tknie on twych ust —
ciach-cich! — — —

Wziąłem ci jasną życia kosę,
wziąłem ci śmierci kosę czarną
cich-ciach! — — —

Więź złotych kwiatów z łąki niosę
— zabite serce w kwiatach krwawi —
ciach-cich! — — —

Wziąłem ci jasną życia kosę,
włożyłem ci ją w śmierci dłonie;
ku wsiom dalekim szliśmy razem,
ciach-cich! . . . cich-ciach! — — —

# Wrażenia z wycieczki kooperatystów za granicą.

## XII.

### Dwie szkody.

Koperatyści zwiedzający angielskie organizacje współdzielcze zdumieni byli nietylko rozwojem ruchu współdzielczego. Nie mniejszym podziwem przejmowały ich instytucje społeczne innego rodzaju, jak wogóle całe życie społeczne, stowarzyszeniowe i kulturalne tego niezwykłego kraju. Nie mogąc z powodu krótkości czasu przyjrzeć się wszystkiemu, próbowali zobaczyć bodaj rzeczy najciekawsze.

I tak w Glazgowie odwiedzili dwie szkoły, jedną miejską, drugą dla dzieci niedorozwiniętych (kalek i głupkowatych).

— Długo nie zapomnę tych odwiedzin — powiada sprawozdawca wycieczki. — Przekonałem się tutaj wyraźnie o rzetelnej prawdzie przysłowia: jakie dzieci, tacy ludzie, jacy ludzie, takie porządki. Nic dziwnego, że Anglja jest krajem tak wspaniałym, nic dziwnego, że kooperacja w Anglji rozwinęła się tak potężnie — gdyż ludzie tu rozumni, a cóż dziwnego, że ludzie rozumni tam, gdzie szkoły są tak wyborne".

Wejdźmy razem z nim do jednej z tych szkół.

Mieści się ona w ogromnym, jasnym budynku. Światło i czyste powietrze jest dla dzieci niezbędne — więc pokoje szkolne są duże i ciągle przewietrzane. Zdrowie i czystość są pierwszymi warunkami dobrego wychowania młodzieży — i dlatego dzieci nie tylko uczą się, ale także rozwijają fizycznie przez odpowiednie zabawy na wolnem powietrzu, przez codzienną gimnastykę i kąpiel w łaźni szkolnej. Łaźnia ma kształt ogromnej sadzawki, w której może się kąpać odrazu 200 chłopców. Łatwo sobie można wyobrazić, jak tam przyjemnie pływać, nurzać się, skakać, koziołkować — zwłaszcza, że kąpiel, zabawa i gimnastyka odbywają się przy dźwiękach muzyki. Raj dla dzieci! Ileż to później wspomnień rozkosznych z czasów pierwszego dzieciństwa. Tutaj dzieciom grają na fortepjanie, ażeby im było weselej, ażeby się radowały życiem — w innych krajach przedewszystkiem tłumią żywość dziecka, zmuszają je do sztucznej powagi, chociażby kijem... W Anglji nauczyciel jest przyjacielem dzieci, kochanym przez nie — gdzieindziej surowym, strach budzącym bakałarzem. Co prawda, przyznać trzeba, że gdzieindziej — np. u nas jeden nauczyciel ma 60, często 100 dzieci, a w szkole, którą kooperatyści zwiedzili w Glazgowie, było na 500 dzieci 50 nauczycieli. Czyli, że na każde dziesięcioro dzieci przypada jeden nauczyciel, albo nauczycielka. W takich warunkach można żądać od nauczyciela, aby wpływał na dzieci rozumem i dobrocią, a nie strachem.

Zdawałoby się, że szkoła, w której dzieciom grają na fortepjanie, gdzie są łazienki oszklone, gdzie jeden nauczyciel opiekuje się dziesięciorgiem dzieci, że taka szkoła jest przenaczona jedynie dla dzieci bogatych rodziców. Wcale nie. Jest to szkoła miejska, utrzymywana przez miasto, a więc szkoła ludowa. Uczęszczają do niej dzieci biedne i bogate, chłopcy i dziewczęta razem i rodzice ich naturalnie nic za to nie płacą.

Szkoła dla dzieci słabych, nierozwiniętych głupkowatych, czy kalek, jest również bezpłatna. Mieszka w niej przeszło 200 dzieci, które otrzymują tam wikt i mieszkanie, opiekę doktora i doktorki, oraz wykształcenie. Nauczyciele i nau-

czycielki obchodzą się z temi maleńkiemi kalekami z taką dobrocią i troskliwością, z jaką nie spotkałyby się one może w domu własnych rodziców. Uczą ich czytać, pisać i robót, do jakich te upośledzone przez naturę stworzenia są zdolne. I ciężka praca wychowańców przynosi owoce. Rokrocznie bowiem wychodzi ze szkoły 10 — 12 dzieci — kalek, o tyle już wyleczonych, że mogą uczęszczać do szkoły ludowej razem z innemi dziećmi. Istoty, które pozostawione bez starania i opieki umiejętnych nauczycieli, stałyby się ciężarami społeczeństwa, a może nawet wyrosłyby na zbrodniarzy, złodziejów i morderców, dzięki moralnej pracy nauczycieli, wracają do społeczeństwa, jako jednostki pożyteczne.

XIII.

W Leeds.

Leeds, to ogromne, fabryczne miasto, nazywane stolicą wyrobów wełnianych. Mieszka w nim pół miljona ludzi, w tem 40 tysięcy żydów. Żydzi zajmują tu osobną dzielnicę miasta, ale mają prawa takie same, jak wszyscy inni poddani angielscy. Wybierają ich do rad miejskich, na miejskich sędziów i przyjmują na wszelkie urzędy państwowe.

Współdzielcze stowarzyszenie w Leeds ma 48 tysięcy członków, a rocznego obrotu 17 miljonów rubli. Sklepów posiada 200. Większość tychże mieści się we własnych budynkach. Wycieczkowicze byli w kilku sklepach, w których uwagę ich zwrócił nowy, bardzo szczególny sposób załatwiania rachunków: wpłacania należności i wydawania reszty kupującym. Jak wiadomo, w każdym dużym sklepie istnieje osobna kasa. Kupujący bierze towar, otrzymuje od sklepowego karteczkę z wypisaną na niej należnością za towar kupiony i idzie z nią do kasy. Karteczkę oddaje, płaci i otrzymuje resztę. W sklepach współdzielczych w Leeds odbywa się to wszystko o wiele prościej. Kasa jest na podwyższeniu. Od niej prowadzą na dół, do sklepu, druciki, na których są poprzyczepiane piłki. Sklepowy pisze karteczkę, odbiera od kupującego pieniądze i, wszystko to włożywszy do piłki, puszcza ją na górę do kasjerki. Kasjerka bierze pieniądze, odliczoną resztę razem z blaszanemi markami wkłada z powrotem do piłki i odsyła na dół. Blaszane marki, to bony za towar wykupiony, które członek stowarzyszenia może, jeśli chce, zaraz wymienić na pieniądze w głównej kasie stowarzyszenia. Procent od zakupionych towarów wynosi 5 od 100. W razie, jeżeli z końcem roku okaże się, że dochody stowarzyszenia są wyższe, to członkowie nadwyżki tej nie odbierają ale zostawiają ją na rachunek kapitału zapasowego spółki. Otóż piłki z resztą i bonami wracają do kupującego, tak, że on wcale nie potrzebuje się ruszać z miejsca.

Następnie zwiedzili kooperatyści składy, warsztaty i fabryki współdzielcze. Pokazano im pralnię maszynową, piorącą i prasującą 100 tysięcy sztuk bielizny na tydzień. Maszyny piorą, suszą, maglują i prasują. Pomaga im w pracy 170 robotników. Później obejrzeli rzeźnię stowarzyszenia, w której biją na tydzień 100 wołów, 250 owiec i 125 świń. Jest przy niej lodownia tak urządzona, żeby świeże mięso mogło w niej leżeć przez cały rok, ale mimo to nie trzymają go dłużej, niż 4 dni. Zwiedzili jeszcze piekarnię, młyn, mielący około miljona pudów zboża na rok i wiele innych przedsiębiorstw współdzielczych.

Leeds to ostatnia stacja, przy której zatrzymała się wycieczka kooperatystów w Anglji. Zbliżał się termin zjazdu międzynarodowego w Hamburgu. Jeszcze raz podziękowawszy gościnnym gospodarzom za ich uprzejmą staranność i pomoc, jeszcze raz wyraziwszy podziw dla ogromu pracy, jakiej w przeciągu lat 60 dokonała kooperacja angielska — udali się do najbliższego portu i wsiedli na okręt, który w przeciągu 24 godzin przewiózł ich na wybrzeże Niemiec, do Hamburga.

## Rozmaitości

**Nowe siły.** W walce konkurencyjnej państwa, uboższe w siły wodne, poczęły się oglądać za innemi źródłami energji, a rezultatem tych usiłowań jest wielki projekt, który po raz pierwszy ma być wprowadzony w życie w niemieckiej miejscowości nadmorskiej Husum, a który — o ile nie zawiodą nadzieje twórców projektu — może wprowadzić w pewnych gałęziach przemysłu formalny przewrót. Obok systemu t. zw. zamykania dolin celem spiętrzenia w nich sztucznie wód, nowy pomysł może znowu dać ludzkości niewyczerpane wprost źródła siły.

Celem pomysłu jest ujarzmienie ruchu morza, przypływu i odpływu, i wykorzystanie praktycznie tej olbrzymiej ginącej nieproduktywnie energji. W Husum, jak doniosły ostatnie pomiary i obliczenia, różnica wysokości powierzchni morza podczas przypływu i odpływu przewyższa 3 metry. Te olbrzymie masy wód, wznoszące się do tak znacznej wysokości, reprezentują więc zapas energji niemały w chwili, gdy morze poczyna się cofać. Ilość energji zależy od ciśnienia wody i od ilości wody. Ponieważ ciśnienie wynikające z wzniesienia powierzchni, nie jest bardzo wielkie, trzeba je dopełnić ilością cisnącej wody, aby, skierowawszy ją następnie na koła wodne, lub turbiny, uzyskać potrzebną energję, opłacającą przedsięwzięcie.

Utworzone więc będą cztery ogromne zbiorniki, zajmujące razem przestrzeń 1392 hektarów. Akcję instalacji wyobrażają sobie twórcy w następujący sposób:

Zbiorniki dzielą się na górne i dolne, jedne są wyżej, drugie niżej położone. W chwili, gdy odpływ dochodzi do zenitu, wszystkie zbiorniki są puste. Gdy zaczyna się przypływ, wody morskie wchodzą przedewszystkiem do kanałów turbinowych dolnych zbiorników. Wciskające się fale wprawiają turbiny w ruch, a równocześnie wypełniają zbiorniki. W miarę, jak siła przypływu wzrasta, turbiny działają energiczniej, aż do chwili, gdy poziom przypływu zrówna się z brzegiem zbiorników. Wówczas turbiny przestają działać, kanały się zamyka. Ale już podczas tego wypełniają się także zbiorniki górne i ich poziom równa się wreszcie z powierzchnią przypływu. I znowu zaczyna się odpływ. Teraz wody ze zbiorników górnych poczynają coraz szybciej odpływać przez kanały, wprawiając temsamem w ruch drugie turbiny. Wielkość i wysokość zbiorników obliczono w ten sposób, że turbiny działają na przemian bez przerwy. Uzyskana energja elektryczna ma być użyta do celów przemysłowych i do oświetlania.

Bardzo interesujące są cyfrowe zestawienia przedsiębiorstwa. Koszt budowy instalacji obliczono na 5 miljonów marek, z czego przeszło połowę pochłonie budowa samych zbiorników. Uzyskaną energję obliczają twórcy projektu na 5676 koni, czyli 48 miljonów koni godzin rocznie. Gdyby chciano tę samą ilość energji uzyskać przy pomocy węgla kamiennego, koszt roczny wynosiłby około miljona mk. Przez odpowiednie pogłębienie zbiorników, które już dzisiaj wzięto w ewentualną rachubę, będzie można jeszcze bardzo znacznie spotęgować akcję instalacji.

* * *

**Oszukany święty.** Pewien chłopina jechał niedawno konno samotnie. Nagle zerwała się burza, z nieba zaczęły sypać się błyskawice, a grzmot za grzmotem napełniał powietrze. Chłopu robiło się niebardzo przyjemnie i lęk zaczynał go ogarniać. Westchnął więc do swego patrona Mikołaja i ślubował, jeśli piorun go nie zabije, złożyć przed jego ołtarzem tyle świec, ile dostać będzie mógł za wszystkie pieniądze, otrzymane za konia, na którym jechał. Mikołaj wysłuchał modłów strwożonego chłopa i odwrócił pioruny od jego głowy. Na drugi dzień chłop pomnąc na swój ślub, udał się na targ, mając pod pachą koguta, a drugą ręką prowadząc za uzdę konia.

— Hej — pytają go — co macie na sprzedaż?

— Koguta i konia — odpowiada — ale jednego bez drugiego nie sprzedam.

— A ile chcesz za to? — pytają go kupcy.

— Za koguta 200 rubli, a za konia dwa złote.

Koń był dobry, więc znalazł się rychło kupiec, dziwiąc się w duchu takiej propozycji. Chłop zaś kupił niezwłocznie za dwa złote świec, zaniósł je do kościoła i zadowolony ze spełnionego ślubu, zapalił je przed obrazem swego patrona, Mikołaja.

**Dramat nieszczęśliwej kobiety.** W mieście Ontario w Kanadzie (Ameryka) zasądzono niedawno pewną kobietę na śmierć za mężobójstwo. Według doniesienia dzienników sprawa przedstawia się bardzo tragicznie dla nieszczęśliwej kobiety. Przed dziesięciu laty przyjechała ona do Kanady z mężem z Włoch. Z początku mąż pracował w stalowni i powodziło im się dosyć dobrze. Mają czworo dzieci a piątego spodziewają się niedługo. Przed kilku miesiącami mąż się rozmyślił i przestał pracować, żądając od żony, żeby ona wychodziła na ulicę, przedawała ciało i z tego zarobku chciał utrzymywać rodzinę,

Kobieta z odrazą odrzuciła taką propozycję, wtenczas rozwścieklony człowiek jak zwierzę zbił ją tak strasznie, że musiała udać się do szpitala. Po wyzdrowieniu znowu ją zaczął mąż prześladować niegodnemi żądaniami, aż kobieta popełnić chciała samobójstwo, jednak temu przeszkodzono. Znowu zaczął grozić jej śmiercią, jeżeli nie przeda się na ulicy. Zrozpaczona kobieta porwała w nocy siekierę i podczas snu zabiła męża — potwora.

Kiedy ją oskarżono, zeznała, że zabiła męża, żeby uratować honor sobie i dzieciom. Sąd skazał ją jednak na śmierć, a wyrok miano wykonać po urodzeniu piątego dziecka.

Kiedy sprawa stała się publiczną, zawrzała opinja publiczna na takich sędziów. We Włoszech, w Kanadzie, Anglji zebrano tysiące podpisów protestujących przeciwko wykonaniu podobnie niegodnego wyroku. Szczególnie angielskie związki kobiece, za żadną cenę nie chciały dopuścić do skrzywdzenia nieszczęśliwej kobiety. Sąd musiał ustąpić i karę śmierci zamieniono skazanej na dożywotnie więzienie.

Ale i z tego nie jest opinja zadowoloną i żądają zupełnego uwolnienia skazanej, bo działała przed przymusem wobec ciągłych gróźb.

Pisma angielskie słusznie twierdzą, że ustawy karne zupełnie nie uwzględniają specjalnych potrzeb kobiecych i nie chronią dostatecznie honoru kobiecego. Tak też tylko gruntowna zmiana ducha ustawodawstwa, może zmienić i wyroki, które w wypadku powyższym są rzeczywiście prawdziwie drakońskie.

* * *

**Ilu lekarzy posiada Europa?** Pytanie to rzuciła gazeta francuska „La Nature". Z odpowiedzią pospieszył pewien lekarz francuski, który zebrał dane statystyczne i tak określa liczby, przypadające na poszczególne państwo europejskie.

Pierwsze miejsce zajmuje Anglja, posiadająca 20 tysięcy doktorów. Na drugim miejscu znajdują się Niemcy. Dalej idzie Rosja, posiadająca 21 400 lekarzy, następnie Francja — 19 800, Włochy — 18 240, Hiszpanja — 13 700 i zostatnie miejsce co do liczby zajmuje Austrja, rozporządzająca liczbą 10 400 lekarzy.

Liczby te jednak inaczej przedstawiają się w stosunku do liczby ludności poszczególnego państwa. I tak pierwsze miejsce zajmuje Anglja, gdzie na 10 tysięcy mieszkańców przypada 7,8 lekarzy. W Hiszpanji na 10 tysięcy przypada 7,5 lekarzy, czyli różnica z Anglją niewielka. W dalszym ciągu następują: Belgja — 5,9; Włochy — 5,6; Francja i Szwecja — 5,1; Norwegja — 4,8; Niemcy — 4,3; Portugalja — 3,8; Holandja i Danja — 3,7; Austrja — 2,6; Rosja — 1,6; Grecja — 1,3 i ostatnie miejsce zajmuje Bułgarja gdzie na 10 tysięcy mieszkańców przypada 0,47 lekarzy.

Statystyka miast pierwsze miejsce daje Brukseli, gdze na 10 tysięcy mieszkańców wypada 24,1 doktorów. Dalej stosunek stale się zmniejsza i następują po sobie miasta: Madryt, Chrystjanja, Rzym, Wiedeń, Berlin, Londyn, Ateny, Petersburg, Paryż, Lizbona, Kopenhaga Sztokholm i Amsterdam.

Ogólnie biorąc podług danych statystycznych liczbę lekarzy zamieszkałych w Eurogie dochodzi do 200 tysięcy.

* * *

**Potwory, czy obłąkani?** W Bretanji, w okręgu Falaise, 49 letni baron Couvrigny został zastrzelony przez swojego 18-letniego syna, namówionego do tego przez matkę.

Syn zeznał, że z matką zaczaił się przy drodze, którą baron miał wracać z Falaise i zastrzelił go z odległości dwóch metrów. Kula rozstrzaskała mu czaszkę.

Panią Couvrigny i mordercę aresztowano. Na śledztwie zachowują się z bezprzykładną obojętnością i cynizmem, tak, że nawet istnieje wątpliwość co do poczytalności obojga.

Morderca twierdzi, że zabił ojca, ponieważ mu kazał za wiele pracować. Baronowa była alkoholiczką, a mąż nie dawał jej na to pieniędzy.

Ani matka ani syn nie wyrażają żadnego żalu i bez cienia wstydu opowiedzieli najmniejsze szczegóły zabójstwa, o którem myśleli już od miesiąca. Zwlekali tylko dlatego, że nie mogli się zgodzić na rodzaj śmierci, jaką mają zadać baronowi.

Matka chciała, żeby syn ojca udusił. Syn miał większe zaufanie do dobrego rewolweru. Wkońcu zgodzono się na strzelbę myśliwską.

Matka wyjęła z szafy starą kłoszówkę i codziennie ćwiczyła syna w strzelaniu.

Pewnego dnia syn powiedział:

— Nie, ta strzelba za silnie oddaje — i wziął inną, nowszej konstrukcji i zaczął z nią nowe próby.

Wreszcie poprzedniej soboty matka i syn dokonali zabójstwo, jak wyżej opowiedziano. Mała córeczka barona była też przy tem obecną. Biła się i płakała.

Gdy rozległ się strzał, koń, zaprzężony do kabrjaletu, którym jechał baron, stanął dęba, a potem poniósł ciężko rannego do pałacu.

Gdy matka i syn tam przyszli, zobaczyli, że ojciec jeszcze żyje. Oczy mu wychodziły na wierzch, oddychał silnie, ale nie mógł się ruszać.

Widząc go umierającym matka i syn spokojnie czekali, aż śmierć nadeszła.

Teraz oboje robią sobie wyrzuty, że podszegali się wzajem do mordu. Ubrani są oboje okropnie. Matka ma podarte buty i krótkie pończochy, syn bez skarpetek, oboje brudni do niemożliwości.

Na kołach kabrjoletu znaleziono kawałki rozpryśniętego mózgu barona.

* * *

**Niewidzialny samolot.** Baron Adam Roenne skonstruował według własnego pomysłu samolot, posiadający tę własność, że jest niewidzialny na przestrzeni 1000 metrów. Sekret wynalasku polega na tym, że powłoka samolotu przygotowana jest z jakiegoś świecącego metalu, specjalnie spreparowanego. Posiadając właściwości zwierciadła, samolot staje się ciemnym lub jasnym, stosownie do otaczającego tła, i może niepostrzeżenie latać w powietrzu. Odpowiednie urządzenie sprawia, że spodnia powierzchnia samolotu nie odbija ziemi, lecz stosownie do pogody, przybiera barwę chmur lub błękitu nieba. Wynalazca pracuje obecnie nad ulepszeniem motoru i uczynieniem swego samolotu nietylko niewidzialnym, ale i niedosłyszalnym, oczywiście w tym celu, aby oddawał większe usługi militarezmowi.

* * *

— **Para trzewików za 12 000 mk.** Na wystawie pewnego szewca w Londynie znajduje się para trzewików damskich, za które szewc zaznaczył cenę ni mniej ni więcej, tylko 12 000 marek. Ta niezwykła cena ma pokryć nie materjał, zużyty na trzewiki, na których zresztą niema żadnych kosztowności, żadnych drogich kamieni, lecz tylko robotę, która trwała pół roku. Trzewiki te bowim są obszyte w całości piórkami z kolibrów. Naszywanie tych delikatnych, maleńkich piórek, nadzwyczaj drobnymi ściegami, było pracą ogromnie zmudną i powolną, trwała więc aż pół roku. Ten sam szewc sprowadził drugą parę trzewików, które obszył piórami marabutów. Cena tych trzewików wynosi tylko 1800 mk. Kwestja tylko, czy szewc ten znajdzie nabywców na to drogie obuwie.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 42. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 21 października 1911.

MARCIN ANDERSEN NEXO.

## IDJOTA.

(Przekład z duńskiego).

Nazajutrz po konfirmacji siedziałem znowu za przegródką słomianą i tłukłem kamienie na gruz, gdy tymczaczasem ojciec mój stał o kilka kroków dalej i łupał materjał na kamienie brukowe. Dzień dzisiejszy podobny był zupełnie do wczorajszego. Nie miałem żadnego katzenjammeru ani też konfirmacja nie oznaczała uroczystego wtajemniczenia w nowy świat.

Wtem ojciec odłożył młotek i rzekł:

„Najlepiej idź i poszukaj sobie zajęcia; bo od jutra masz sam o sobie myśleć“.

Ojciec kiwnął znacząco przy tych słowach; i chociaż musiałem sam myśleć o sobie prawie od czasu jak zacząłem pełzać, brzmiało to jednak złowróżbnie — jak gdyby oddawał mi jakieś ciężkie, odpowiedzialne brzemię — a sam prostował grzbiet. Zebrałem narzędzia i poszedłem na chybił trafił w deszcz jesienny.

Daleko w Poulskerze trafiłem wreszcie na gospodarza, który nie pogardził taką mizerotą jak ja i przyjął mnie za chłopca do bydła. Zagroda była dość duża; musiałem obsługiwać wszystko bydło i dostałem za to dwadzieścia koron na pół roku. Teraz używa się ludzi dorosłych i wykształconych do tej pracy, która uchodzi za szczególnie trudną i odpowiedzialną i ze wszystkich robót w rolnictwie najlepiej jest płatna. Dużo się zmieniło od tego czasu!

Byłem mały i szczupły; ciało moje zbyt wcześnie musiało się włożyć do przelewania wszystkich sił w pracę. Zato umiałem już orać jak wół, byłem zahartowony i wytrwały; nie prędko się męczyłem i nie lękałem się żadnej pracy. Ale jednak miałem roboty zadużo. Od trzeciej, pół do czwartej rano w zimie nie ustawałem w pracy aż do dziewiątej, i to w pracy, która zawsze wymagała całego nakładu moich sił a często je przerastała. Gdy tylko mi się nie udała jakaś drobnostka lub przez chwilę opadały mi ręce, wnet nagromadzała się około mnie robota jak nieprzebyte pasmo górskie. Zamęczałem się szalonym pośpiechem, aby odrobić stracony czas, ale bydło było surowym rozkazodawcą. Gdy tylko o pięć minut spóźniałem się z paszą, zwierzęta uderzały w oskarżycielski ryk. Wtedy zaś chłop opuszczał swą młodą żonę i przybiegał rozprawić się ze mną.

Były to ciężkie czasy; ale ja właściwie nie użalałem się nad sobą. Znosiłem swój los tak, jak uciskani wogóle znoszą swą klątwę: otoczenia ułagodzić nie sposób, trzeba więc spróbować samemu znieczulić się na cierpienia. Mimo to przypominam sobie mgliście chwilę buntu: pewnego razu poszedłym do obory z pętlicą na szyi i szukałem miejsca, aby się powiesić. Coś tam mi przeszkodziło — zdaje się, że byk się urwał z uwięzi, całe przejście zresztą nie zrobiło wtedy na mnie głębszego wrażenia. Dość, że i tym razem musiałem poświęcić własne dobro dla obowiązku.

Jeden z sąsiednich dworów zajmował gospodarz, u którego czeladź nigdy długo nie zagrzewała miejsca. Nie był chętny do pracy, a lubił dobrze jeść i pić; ale tym, którzy pracowali, nie dawał jadła ani zapłaty. Teraz prowadził gospodarstwo przy pomocy biednego, głupkowatego człowieka, za którego gmina płaciła mu strawne.

Znałem dobrze tego nieszczęśliwego; za mojego wczesnego dzieciństwa był to młody, tęgi chłopak, który służył na statkach. Od czasu do czasu przyjeżdżał na zimę do domu, wesoły i dziarski, pełen świeżości z morza. Ale pewnego razu przyszła wieść, że stał w czasie burzy u steru, wielki żagiel się wyrwał i blok uderzył go w głowę. Mógł puścić koło i uniknąć ciosu — statek chybaby wtedy się rozbił; ale wytrwał na swoim posterunku i wystawił się na cios, który go zrobił idjotą! Tak mniej więcej opowiadano; i w tym smutnym stanie przybył też do ojczyzny, przewożony z miejsca na miejsce jak niemowlę. Nie mógł już sam się utrzymywać; zajęła się więc nim gmina i powierzyła go mniej żądającemu. Niczego szczególnego w nim nie dostrzeżono; wyglądał na zwyczajnego, zupełnie zahukanego robotnika. Można też było się z nim całkiem dobrze rozmówić. Ale z jaśniejszych czasów przed wypadkiem nie pamiętał nic i wszystko na świecie było mu zupełnie obojętne, prócz wódki. Pola obu gospodarstw graniczyły ze sobą i często się z nim stykałem. „Czy masz wódkę?“ pytał się zawsze, kiedy mię widział. Mogłem za kieliszek gorzałki kupić uścisk dłoni, ale miałem wtedy swoje powody do tego, by nienawidzieć wódki.

Na trzeźwo był zły, podstępny i budził obawę; nawet jego pan bał go się wtedy. Może pod zidjoceniem burzyło się w nim niejasne żądanie bytu ludzkiego; potrzebował wtedy alkoholu, aby je w sobie zalać. Dlatego gospodarz dbał, żeby gorzałka dla niego zawsze była w zapasie. Pozatem jednak traktował go gorzej niż zwierzę, dawał mu podłą strawę i kazał sypiać w kącie obory. Idjota poddawał się temu z całą pogodą ducha, jeżeli tylko dostawał wódkę. Był to silny, barczysty chłop, który mógł robić za dwuch i trzech; musiał go ktoś tylko pchnąć do pracy i wprowadzić w ruch.

— — — — — — — — — — — — — —

Pewnego dnia mieliśmy dostawić na parowiec młodego byczka. Zwierzę miały narowy, i ani gospodarz ani jego syn nie łakomili się bardzo na odprowadzenie go. Polecono więc to mnie; byłem przecież obyty z bydłem. Gospodarz był w dobrym humorze i uwolnił mię na resztę dnia.

Nie widziałem jeszcze swoich od tego czasu i cieszyłem się ogromnie ze swego szczęścia. Prześpiewałem po drodze wszystkie moje piosenki i pędziłem z byczkiem w cwał, tak, że nie miał czasu myśleć o wybrykach. Tęsknota do domu żarła mię do szczętu.

Odstawiłem byczka i podbiegłem do domu. Ojciec nie wrócił po robocie i było nam bardzo dobrze; matka łatała mi ubranie, a my dzieci wycinaliśmy obrazki ze starych kart do gry. Zapomniałem zupełnie, że jestem w domu tylko gościem i że wkrótce muszę wracać do miejsca męczarni.

Nie miałem zamiaru wracać do gospodarza — za nic w świecie! Pobiegłem tylko w mroki nocy, aby nie martwić matki. Ale coś jednak skierowało moje kroki w stronę Poulskeru; było to zapewne przeklęte poczucie obowiązku, które u maluczkich tkwi głęboko w krwi i ciele i pobudza ich do brania na siebie brzemienia tego świata, który nie dla nich istnieje. Nie chciałem wstąpić na tę drogę a jednak biegłem nią — klnąc pocichu dla protestu.

Przebiegłem już więcej niż pół mili, nie doznawszy żadnych wrażeń; umysł mój zapadł widocznie w ów stan oszołomienia, które zawsze jeszcze jest jedynym orężem nieszczęśliwych przeciw cierpieniom. Las jodłowy i niepokojący gaj Balka minąłem nie wiedząc o tem. Ale potem obudził mię z odrętwienia nieprzeparty wpływ ośmy nocnej; ujrzałem dokoła siebie ciemność i padłem na klęczki.

Są ludzie, którzy lubią ciemność, szczęśliwi, nieświadomi, dla których jest ona koicielką, łagodzącą wszelkie rozterki. Dla mnie pomrokę napełniało zawsze jakieś straszliwe życie; z rozpaczą musiałem się przeciw niemu bronić, zwłaszcza wtedy, gdy wiedziałem więcej, niż mogłem znieść. Już za dzieciństwa ciemność odsłaniała mi wszystko, co światło ukrywało; jak owe szczury chińskie, wyrastające w kloakach, miałem niepokojący dar widzenia wszystkiego, co porusza się i trzepoce w pomroce nocnej. I oto teraz cały ten zły świat rzucił się na mnie, odczuwałem jego okropność z wizyjną siłą i byłem bezbronny. Wszystko dręczące z mojego dzieciństwa powstało zaczarowane z mroków, dziwaczne i przepotężne, aby pożreć mnie, małą istotę ludzką.

Był to jakby atak epileptyczny, całe moje jestestwo skurczyło się w jeden kłębek — jednak biegłem coraz dalej. Myśl o zagrodzie gospodarza była jedynem we mnie żywem i ciepłem uczuciem, dwór stał mi w oczach jak bezpieczne przytulisko. Nagle poczułem, że ktoś jest w pobliżu; biegnąc, wglądałem się w ciemność — i nagle upadłem na jakieś ciężkie ciało.

Był to idjota; poznałem go, gdy zapaliłem zapałkę. Był pijany do nieprzytomności. Nie mogłem w żaden sposób podnieść go i poszedłem dalej. Teraz już ani trochę się nie bałem.

O parę kroków dalej, spotkałem naszego parobka, który odprowadził swoją kochankę o kawałek drogi. Poszedł ze mną napowrót; i udało nam się postawić idjotę na nogach. Ale niepodobna było namówić go, żeby ruszył się z miejsca. Słaniał się tylko i mruczał coś pod nosem; głowa opadała mu ciężko na piersi. Zdawało mi się, że bełkocze: Moja wódka — moja wódka. Zacząłem szukać, gdy tymczasem parobek trzymał go prosto, i znalazłem na skraju drogi butlę cztero czy pięciolitrową, pełną do samej góry. Jak ja nienawidziłem tego szkaradnego płynu! Pomimo swej słabości nieraz już przeciw niemu się buntowałem i ojciec mię za to bił — teraz nienawiść buchnęła znowu płomieniem. Wyrwałem korek i wylałem wódkę do rowu; woń jej zionęła wokoło mnie jak oddech pijanego, budząc rój wspomnień. Potem zanurzyłem butlę w rowie i napełniłem ją wodą...

— Gdzie jesteś? — zawołał parobek.

Idjota ożywił się, kiedy przyszedłem z butlą; chciał ją sam nieść i objął ją mocno obiema rękami. Ale nie mógł się utrzymać na nogach. Musieliśmy go powlec do domu i doprowadzić do legowiska.

Gdy następnego przedpołudnia śniadaliśmy, przyszedł nagle gospodarz z sąsiedztwa. Wyglądał na bardzo wylęknionego. — Z Andersem źle — powiedział; — wściekł się zupełnie i nie mogę sobie z nim poradzić.

— Pewno mu żałujesz gorzały. W tem cała rzecz! — odparł ze śmiechem mój chlebodawca.

— Nie, nie, ma pełną butlę. Ale nie chce jej dokńąć. Kręci się około mnie i ma taką minę, jakby chciał się na mnie rzucić. A pracować wogóle nie chce.

Zrobiło mi się gorąco. Cieszyłem się już był pokryjomu z mojego uczynku — i omal nie opowiedziałem go parobkowi. Mogło się to źle dla mnie skończyć.

Mój gospodarz poszedł razem z sąsiadem, ale wrócili z niczem. Nie ośmielili się dojść do idjoty. Chodził po dworze, uzbrojony w widły. Drżałem, że szaleńcowi może przyjść do głowy, iż to ja zatrułem mu życie; możeby przyszedł i zabił mię. Co chwila wychodziłem z obory patrzałem w tamtą stronę, gotów w razie potrzeby do ucieczki. Widziałem go zdaleka wymachającego szeroko w powietrzu rękami i słyszałem jego wykrzyki.

Sąsiad pozostał u nas przez ten dzień; przychodzili ludzie z różnych stron i naradzano się, co czynić. Zaczęto mówić, że trzeba kupą iść na idjotę i obezwładnić go. Ale parobcy nie lubili tego gospodarza i nie chcieli iść; sami zaś chłopi bali się obłąkańca. Stanęło więc tylko na tem, że nazajutrz zawiodomi się policję w mieście.

Ale w nocy idjota podpalił obejście i cały dwór zgorzał do szczętu.

— — — — — — — — — — — — —

Jest to tylko jedno z wielu przeżyć dziecięcych. Zdawało mi się wówczas, że jestem złoczyńcą; długo żyłem w ciągłym strachu, że zwierzchność wreszcie dojdzie we mnie właściwego sprawcy całego zajścia. Później jednak życie moje ukształtowało się i rozszerzyło — na podścielisku dzieciństwa; i z wielu dziedzin zsumowały się moje doświadczenia, tak że idjota nabrał dla mnie znaczenia, przekraczającego objaw jednostkowy.

Zawsze sądzę: musiała tkwić jakaś określona myśl w tem, że zabrałem mu wódkę i pobudziłem go przez to do podpalenia zagrody i położenia kresu nadużyciu.

# LINOTYPY.

Współczesne dziennikarstwo ma jeden z najcięższych obowiązków, a to podawanie jak najspieszniej wiadomości bieżących. Użycie telegrafów, telefonów, maszyn rotacyjnych i pociągów ekspresowych, oto łańcuch, po którym spieszy wiadomość od źródła do ciekawego czytelnika. Jedno tylko ogniwo w tym łańcuchu sprawia o najwięcej trudności i opóźniało przesłanie wieści, a tem był ręczny jedynie sposób składania czcionek.

Dziś dzięki maszynom t. zw. linotypom usuwa się ręczny sposób składania czcionek, przyspieszając robotę wielokrotnie.

Linotyp składa się z czterech zasadniczych części a mianowicie: z tastatury (klawiatury), podobnie jak w maszynie do pisania, z magazynu matryc, z aparatu odlewającego czcionki i z sortownika. Przebieg roboty czyli składania pisma jest następujący: Operator odczytuje rękopis i uderza klawisze, podobnie jak w maszynie do pisania; pod uderzeniem wypada z magazynu matryca, t. j. płytka z wyżłobieniem odpowiadającem danej literze i układa się w szereg. Gdy ilość tych matryc zbierze się na wiersz, odzywa się dzwonek i wówczas operator porusza dźwignię, która złożony wiersz oddaje innej części maszyny i nie troszcząc się o niego, składa wiersze następne. Dalsza część roboty odbywa się samoczynnie, linotyp bowiem popędzany jest motorem elektrycznym i wszystkie czynności następne odbywają się automatycznie, ponieważ dla każdego wiersza są one podobne i duchowego kierownictwa operatora tem samem nie wymagają.

Niezważając na operatora, który puka po klawiszach i co wiersz porusza dźwignię, zajmijmy się dalszemi kolejami matryc złożonych w wiersz, a zdanych tylko na los maszyny. Kiedy odezwał się dzwonek i matryce zsunęły się ze swego stanowiska, powien rodzaj łap ściska je i przytyka do aparatu, odlewającego czcionki. Ten aparat składa się z kociołka, podgrzewanego nieustannie płomykiem gazowym i pompy, która tłoczy roztopioną mięszaninę metalu drukarskiego przez kanalik do złożonych matryc.

Tu wciśnięty metal wypełnia najcieńszą nawet szparkę i zastyga momentalnie, chodząc się o matryce. Po tej fazie roboty odsuwają się matryce a otrzymany odlew przedstawia się jako jedna cała linja długości wiersza o wystających literach wypukłych.

Linja po obheblowaniu nożami z nierówności (co trwa cząstkę sekundy) spada do szufladki, gdzie leżą jej poprzedniczki.

Podczas gdy to się dzieje, matryce chwyciła inna żelazna ręka i niesie do szczytu maszyny, aby je rozsortować

Aparat rozsypujący matryce ma za zadanie wrzucić do magazynu tylko do przynależnej komory daną matrycę, co też spełnia bez omyłki. Matrycę porywa zwój śruby i sunie ją po szynie trójkątnej o wielu rowkach.

Pod szyną są otwarte komory (przedziałki), gdzie matryce odpowiednie wpadają. Jak to się dzieje?

Każda matryca zaopatrzona jest w szereg ząbków, któremi się trzyma rowkowanej szyny, wisząc zaczepiona temi ząbkami nad magazynem z przedziałkami. Matryce tej samej litery mają jednakowe ząbki, matryce innej litery podobne wzajemnie lecz różne od innych matryc, innych liter.

Prowadząca szyna, po której suną się matryce, ma wycięcia w swych rowkach i to tak kombinowane, że nad komorą każdej litery są inne wycięcia, dobrane w ten sposób, że odpowiednia matryca traci prowadzenie, jej ząbki nie mają się czego trzymać, wpada więc do przegródki, gdzie są te same litery.

Cały spryt leży więc w dobraniu ząbków i wycięć; matryca przechodzi nad rozmaitemi komorami i choć inne tam wpadają, ona idzie dalej aż do swojej przegródki; gdzie wpaść musi.

W normalnych warunkach operator zł żyć może 6000 liter, w szczególnie dobrych (czytelne rękopisy) i przy wprawie 7000—8000 na godzinę!

Jest to dzielność bliska praca jednego zecera przez cały dzień!

Składając maszynę ma się jeszcze i tę korzyść, że ilość błędów zmiejsza się znacznie; jak wiadomo sławne djabliki drukarskie pochodzą stąd, że przy rozbieraniu składu nieodpowiednia litera dostaje się do kaszty; o tem zaś mowy być tu nie może.

Po złożeniu i przełamaniu kolumn robi się odlewy walcowe dla maszyny rotacyjnej, która drukuje, rozcina i składa 10 000 egzemplarzy na godzinę.

Przez wprowadzenie linotypów może czytelnik dostać do rąk „ciepły" jeszcze numer, w którym są wiadomości z przed 30 minut!

„Kurjer Lwowski". E. Porębski, asyst. polit.

# Wrażenia z wycieczki kooperatystów za granicą.

XIV.

Spółdzielcza fabryka mydła w Riesa.

Do związku kooperatyw niemieckich należy 600 stowarzyszeń. Kiedy związek powziął myśl założenia fabryki mydła, pojedyńcze stowarzyszenia złożyły na to przedsiębiorstwo udziały. W ten sposób zebrano kapitał wielkości pół miljona rubli. W maju roku 1908 zakupiono pod miasteczkiem Riesa, mil kilkanaście od stolicy Saksonji, Drezna, plac mający obszaru 42 tysiące metrów kwadratowych. Sam plac kosztował 100 tysięcy rubli. Fabryka mydła nie zajęła oczywiście całej tej przestrzeni. Z czasem zamierza związek postawić tam jeszcze inne fabryki, które będą wytwarzały produkty wyłącznie dla stowarzyszeń spożywczych.

Fabrykę puszczono w ruch w maju 1910 r. Z dworca kolejowego przeprowadzono do fabryki specjalną linję na użytek fabryki. Węgiel, soda, potaż, oraz inne produkty, potrzebne do wyrabiania mydła, przewozi się wprost do fabrybi. Tak samo mydło gotowe ładuje się wprost na wagony. W początkach produkowała fabryka dwa wagony mydła na dzień. Wnet jednak produkcja zwiększyła się w dwójnasób. Towar z fabryki zaspokaja potrzeby wyłącznie stowarzyszeń współdzielczych. Ale wytwarza ciągle za mało. Wyrabia się mydło wszelkich gatunków, od prania bielizny, do najwykwintniejszych.

Robotników pracuje tu 102. Zarobek wynosi od 20 rubli na miesiąc do 50. Stosunki między zarządem, a robotnikami są bardzo miłe. Dyrektor i robotnicy mówią sobie „Ty" nazwajem. Nie psuje to wcale dyscypliny i porządku, który jest wzorowy.

Jak widzimy, owa fabryka mydła to początek dopiero. Czy można przewidzieć, do jakich rozmiarów dojdzie za lat dziesięć, dwadzieścia?! Ileż to nowych fabryk wyrośnie obok niej. A wszystkie te kipiące życiem budynki, będą wytwarzały dla spożywcy. Te setki, a w przyszłości może. tysiące robotników będą pracowały nie dla jednego właściciela, ale dla siebie. O cenach towaru stanowić zacznie nie kapitalista, ale spożywca i wytwórca w jednej osobie.

Z powrotem przez Hamburg i Berlin.

Jak to zaznaczyliśmy na początku, wycieczka kooperatystów miała na celu zwiedzić kilka krajów europejskich i wziąć udział w międzynarodowym zjeździe kooperatystów w Hamburgu. Na zjazd przybyło około 500 przedstawicieli stowarzyszeń współdzielczych z całej kuli ziemskiej. Byli tam delegaci ze wszystkich krajów europejskich, dalej z Ameryki (Kanada i Stany Zjednoczone), z Azji (Indje oraz Japonja), wreszcie z Australji.

Posiedzenia i obrady zjazdu trwały trzy dni. Przez ten czas obejrzeli sobie nasi wycieczkowicze zakłady stowarzyszenia hamburskiego „Produkcja". Zostało ono założone dopiero 10 lat temu, rozpoczynając od jednego tylko sklepu spożywczego. Dzisiaj należy do niego 41 tysięcy 875 członków, a obrót roczny wynosi przeszło 4 i pół miljona rubli. Wzrost, jak widzimy, niesłychanie szybki i potężny. Sklepów spożywczych istnieje w hamburgu 75. Oprócz tego posiada stowarzyszenie własne domy, wartości 2 i pół miljona rubli, w których znajdują się mieszkania, dla 650 rodzin po 2, 3 i 4 pokoje z kuchniami, wannami, wodociągiem i wszelkiemi wygodami. Szybki rozwój kooperatywy hamburskiej tłómaczy się tem, że członkowie nie biorą dywidend, ale zostawiają je w stowarzyszeniu, dopóki ilość udziału każdego członka dosięgnie wysokości 130 marek (65 rubli). Dzięki temu wzrasta z roku na rok kapitał stowarzyszenia, a więc i jego siła.

Bardzo ciekawą jest historja powstania rzeźni współdzielczej. W roku 1904 zakupiono na próbę jedną sztukę bydła. Próba się udała. Zaczęto kupować więcej. Dzisiaj kooperatywa hamburska posiada swoją własną rzeźnię, w której bije się rocznie 12 tysięcy świń i 1 500 wołów na rok. Mięso przedaje się w 17 jatkach współdzielczych a rozwozi w 22 furgonach i 8 samochodach. Obrót roczny rzeźni wynosi 1 i pół miljona rubli. Rozwój taki nastąpił w przeciągu 7 lat.

W stowarzyszeniu hamburskiem pracuje 234 osób. 45 rachmistrzów i pisarzy, 42 piekarzy, 44 w składach, 17 maszynistów i ślusarzy, 48 rzeźników i masarzy, 13 stolarzy, 8 kowalów, 17 furmanów. Robotnicy pracują 8 godzin, a płaca ich jest dwa razy wyższa, niż w zakładach prywatnych.

Zjazd skończył się. Trzeba było wracać do domu. Z Hamburga jechała wycieczka kooperatystów przez Berlin. Stolica Niemiec (Berlin) zadziwiła wycieczkowiczów swoją niezwykłą czystością. Wogóle miasta niemieckie są czyste, ale czystość Berlina wprost zdumiewająca. Ulice wyłożone asfaltem, szoruje się co kilka godzin szczotkami. Nigdie ogarka od cygara, ani śmieci. Nawet pluć nie wolno, bo za to kara. Przed każdym domem są spluwaczki — więc nikomu nawet przez myśl nie przejdzie, ażeby można pluć na chodnik. „Po czystości miast niemieckich, wydają się nasze miasta śmietnikami i gnojówkami" — powiada sprawozdawca wycieczki kooperatystów.

# Jubileusz Nansena.

Fritjof Nansen, jeden z najśmielszych podróżników polarnych obchodzi 50 rocznicę swoich urodzin, otrzymując przy tej sposobności życzenia ze wszystkich stron świata.

Odkrycie bieguna północnego przez Pearego nie zmniejsza zasługi tego nadzwyczajnego człowieka, który wśród ogromnych niebezpieczeństw pierwszy po przeszło

półwiekowej przerwie przekroczył 82 stopień północnej szerokości. Od czasu bowiem, jak Parry w roku 1827 zbliżył się na odległość 8 stopni do północnego wierzchołka ziemi, żaden podróżnik nie odważył się zapuścić dalej na północ, aczkolwiek w międzyczasie dokonano ważnych odkryć w krainie polarnej, jak np. odkryto „Kraj Franciszka Jozefa" na północ od Spitzbergen, a na zachód od Grenlandji, amerykańscy i angielscy podróżnicy wynaleźli przez Smihtsund dogodny przestęp do lodowatej okolicy biegunowej.

Dopiero w latach 1893—6 dotarł Nansen do 86 stopnia i 4 minut szerokości połnocnej. Głośny już ze swej pierwszej karkołomnej przeprawy przez wnętrze Grenlandji (r. 1888), wybrał się Nansen w r. 1893 w podróż na okręcie „Fram" (Naprzód) własnej konstrukcji, wytrzymałym na parcie bloków lodowych, które dotąd trzaskały każdy okręt, jak zabawkę. Przez to, że pozwolił nieść się prądowi lodowemu od wysp nowosybiryjskich na zachód, udało mu się przepłynąć dość blizko bieguna. Pragnąc jednak zbliżyć się jeszcze więcej, opuścił 14. marca 1895 roku okręt i z jednym tylko towarzyszem, porucznikiem Johansenem, na saniach puścił się w drogę północną. Atoli, gdy psy z głodu padły, odważni podróżnicy musieli już 7. kwietnia rozpcząć odwrót, dotarszy aż do 86 4' szerokości północnej. Przezimowali następnie obaj w kraju Franciszka Józefa. Była to już druga zima, którą Nansen podczas tej fantastycznej wyprawy przepędzał w okolicach polarnych. Uratowała go teraz od śmierci głodowej wyprawa polarna Jacksona, która przypadkowo znalazłszy się wówczas w kraju Franciszka Józefa, zabrała Nansena i Johansena na pokład swego statku „Windwerda" i przywiozła do Norwegji.

Tymczasem „Fram" płynął dalej pod komendą kapitana Svardorysa ciągle w kierunku zachodnim i dzięki swej łódkowatej formie (zwężonej od dołu) i silnej konstrukcji, opierał się zwycięsko ciśnieniu lodów. Dnia 16. października 1895 dotarł do 85 stopni i 57 minut szerokości. Przez 4 miesiące uwięziony w lodach, zdołał jednak wydostać się na prąd południowy i około zachodnich wybrzeży Spitzbergenu przybyć do Nowegji.

Nansen został obsypany odznaczeniami i orderami za swą smiałą wyprawę. Rząd norweski zamianował go profesorem zoologji w Chrystjanji Jego ekspedycja rzuciła nowe światło na kraje arktyczne, zbadała głębokość morza polarnego (3800 metrów głębi), stwierdziła, że kraj Franciszka Józefa składa się z szeregu wysp, że Syberja była niegdyś pokrytą lodowcami, odkryła nadto istnienie różnych żyjątek w morzu polarnem, które pod wierzchnią zimną taflą jest w swej głębi niezwykle ciepłem (+ $^1/_2$ stopnia Celsjusza). Wyprawę swą opisał Nansen w wielkim dziele „W kraju nocy i lodu".

Po Nansenie zapuścił się nieco dalej na północ książę Abruzzów, a potem w roku 1906 Peary, któremu wreszcie udało się zatknąć w roku 1909 sztandar gwiaździsty na biegunie. Trzeba jednakże zważyć że Peary miał znacznie łatwiejsze zadanie, niż Nansen. Peary bowiem wziął za podstawę operacyjną zachodnie wybrzeża Grenlandji, które aż do 75. stopnia szerokości są zaludnione przez eskimosów. Eskimosi też ułatwili Pearemu drogę, podczas gdy Nansen opuściwszy brzegi norewskie, nie mógł znaleźć już nigdzie pomocy ludzkiej i zdany był na własne siły i na łaskę lodów.

Wyprawa Nansena przyniosła nadto nauce ogromne korzyści, podczas gdy rekord Pearego dotąd pozostał tylko tryumfem sportowym.

## Rozmaitości

**Papyrus jako materjał opałowy.** Bogata kraina, Sudan, była dotychczas niedostępna dla przemysłu na większą skalę, z powodu braku zupełnego pokładów węgla, głównego obok wody materjału do wytwarzania energji. To też wszelkie próby uprzemysłowienia kraju, popierane energicznie zwłaszcza przez lorda Cromera, nie dawały żadnych rezultatów. Dopiero nowoczesna technika rozwiązało to trudne zadanie.

Przez Sudan przepływa Nil, którego spokojne wody nie nadają się wprawdzie do wyzyskania technicznego, ale olbrzymie przestrzenie wód Nilu pokrywają gęste lasy papyrusu, z którego starożytni egipcjanie wyrabiali materiał do pisania, prócz tego rosną tu inne rodzaje trzcin wodnych tak gęstych, iż uniemożliwiają miejscami żeglugę. Papyrus dosięga siedmiu metrów wysokości, inne trzciny trzech i więcej. Zwiędłe rośliny padają na dno rzeki i gnią, a na tym pokładzie, coraz grubszym, rosną nowe lasy trzcinowe. Niekiedy burza odrywa od dna rzeki takie lawice przegniłych papyrusów, a prąd unosi je na odległość kilku i kilkunastu kilometrów, tworząc czasem zapory, przypominające góry lodowe na północy.

Pierwszy lord Cromer, doskonały znawca i badacz Sudanu, zwrócił uwagę na ten materjał, i rozpoczął próby w kierunku wytworzenia z tych olbrzymich zasobów, nagromadzonych przez przyrodę, materjału opałowego.

Praca wezwanego do pomocy uczonego specjalisty, profesora wyrtemberskiego, dr. Hoeringa, została uwieńczona skutkiem pomyślnym: udało się wytworzyć z gnijącej masy coś w rodzaju torfu, posiadającego wysoką wartość opałową. Ale produkt był jeszcze zanadto kruchy, nie umiano wyrabiać twardych cegieleg, nadających się do transportu.

Po pierwszych udatnych próbach zorganizowano specjalną ekcpedycję techniczną na pola trzcinowe, zajmujące obszar przeszło 35 000 kilometrów kwadratowych. Po dodaniu innych gatunków trzcin, oraz niewielkiej ilości tłustej gliny, prof. Hoering wyprodukował brykiety, posiadające twardość węgla kamiennego i wartość opałową równą węglowi brunatnemu.

Produkcja odbywa się za pomocą specjalnie skonstruowanych maszyn, przystąpiono też do budowy olbrzymiej fabryki, która będzie wyrabiała wielkie ilości nowego materjału opałowego. Materjału surowego nie zabraknie z pewnością. W ten sposób papyrus, który już w starożytności odegrał tak wybitną rolę w rozwoju kultury, stał się ponownie czynnikkiem, umożliwiającym zdobycie ekonomiczne Sudanu, a więc i otwarcie granic tego kraju dla cywilizacji.

* * *

— **Odkrycie kopalń radu.** Pewnej angielskiej ekspedycji naukowej, na której czele stanęli dwaj znani gieologowie, Harry i Fred Maret, udało się niedawno odkryć obfite pokłady materjału, z którego można otrzymywać rad. Ekspedycja przeprowadziła bardzo gruntowne badania wszelkich obszarów ziemi w różnych krajach, zanim mogła się poszczycić ostatniem odkryciem. Badania te przeprowadzono najpierw w Czechach w miejscowości Joachimsthal, gdzie, jak wiadomo, znajduje się jedyna na świecie kopalnia czarnego uratu, z którego otrzymuje się rad. Badano następnie wielkie tereny w Maroku, aż wreszcie udała się ekspedycja do północno-wschodniej Portugalji i tu na wzgórzach Sierra do Estrella odkryła nader bogate kopalnie uranium, będącego zasadniczym kruszcem radu.

Ekspedycja zapewniła Anglji prawo wywozu tego kruszcu i rozpoczęła natychmiast jego wydobywanie, które jest tem łatwiejszem, iż uranium mieści się w głębokości zaledwie 20 stóp. W miasteczku Guarda, położonem na wysokości 6 tysięcy stóp ponad poziomem morza, założyli uczestnicy ekspedycji główną swoją siedzibę.

* * *

— **List doręczony po 41 latach.** Poczta angielska potrzebowała na doręczenie jednego listu w Londynie a adresowanego do Belfast, 41 lat. List ten nadano w dniu 30 października 1870 roku a doręczono go 3. października bieżącego roku. — List nie był zupełnie zniszczony, pismo na kopercie całkiem jeszcze wyraźne.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 43. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 28 października 1911.

JULJUSZ KADEN.

## PANICZE.

Rozwidnił się, rozświetlił strop zachodzący, jasną tęczą chwalebny i pochwalony, wyrżnięty chyba z perłowej macicy i korału, wysłany jeszcze piękniej niż opalem, wykuty chyba z jakiegoś cudu miłości.

Rycerz, co harmonje te przebudził i ziemi podarował właśnie odchodzi precz, obsłużyć radością drugą półkulę świata. Twarzy jego nad granatową kryzą lasów nie ujrzeć, albowiem nie poziera chełpliwie na dokonany zaszczyt. Jeno widnieje chełmu płonącego mosiądz, kita piór, lśnień, strzał promienistych, co mu — gdy oto tak zstępuje w dalekie straszliwe niepoznaki — na hełmie drżą, cudną rozwartość światów ostatni raz poczesując.

Jeszcze nie wkrzesła noc. Jeszcze czarną nagonką cienie nie tropią i blasków uradowanych nie trapią.

Światło ustraja pospólstwa drzew a między czarne ich konary wścibia złote kawały nieba gromniczym blaskiem tchnące.

Światło się ciska między chałupy rumiankiem wonności zlewa ich uniżone ściany, serdecznie iska zlepioną chyrę strzech, ciapami złota ciepłego wyleguje się w gnojówkach. Czerwonym miodem łuny napoi zsiniały od orki pług, co się nad rowem zmiłowania czekający zastanowił. Wyłoni z drzewek z ważywą ubogiego, z kwiatków głodnych choć wedle wszystkiej możności protekcją nawozu syconych, wszelki zapach i wonność zaskarbioną przez cały dzień. Strawi oną woń, i niewiadomo, czy bardziej wonne, czy bardziej świetliste leci dalej.

Leci, dzieciom na drodze przyświeca, w przełaz się im uwija pod samo niebo wysoki a przez najmniejszego zawsze łacno okraczony. Leci, babom przy stawie na desce pralnej położy się, a ty babo zawzięta, choć z całych sił pierz i łup — nie zgonisz go. Leci, chłopu wracającemu kosę zorzą umai, bydłu zgonionemu zagapione ślepie ucałuje.

Wynudziło się w rowach wilgotnych, wśród pokrzywy i chwastu, przed sierpem głodnej łapczywości chłopskiej zazdrośnie pilnowanego. Żelaznemi włóczniami pańskiego parkanu zranione hyclo w park. I tu skończyła się samowola.

Szły ścieżki uczesane, zgrabione (na plewie ich niejedne się ręce zdarły), pudrowane grzeczną, równiótką kaszką żwiru. Zmordowany żywopłot jałowem ciemnym wyłogiem zieleni chronił je, strzegł i zabezpieczał. W głębi, z trawników, bieliły się wyniosłe kopce kwiecia w elipsę strzyżonego. Jak w szpinak wetknięte jaja białe, na twardo.

Sztywny, zapięty na krępe guzy kamiennych słupków, twardy kołnierz żywopłotu, wygiąwszy się, bramował wielkie kosmate wypukłości kwietnego ronda, przerżniętego w połowie spieczonym rowkiem owiędłych wrzosów.

Dalej za klombem, przez płyty kamienne cedził się posłuszny zabiegiem ogrodników dobrze wychowany strumyk. Od brzegu do brzegu nad batystową falbaną strumyka wyciągał swe kształty pełne zgibów i ukłonów drewniany most, podobny do foremnego pudełka od cygar.

I znów rozwijały się po bokach aleji gładko ulizane pośladki klombów. Tu i tam smęciły się chude postacie chochołów. Tu i tam, na kij wsadzone, niby z orbit wydarte, szalonym podziwem nabrzmiałe gały oczne, — świeciły wielkie szklane banie. Krwawe blaski latały w nich dookoła, dookółka, żglistym kręćkiem wydłużając pionowo, poziome łachy trawników, kręcąc zawrotnie prosty bieg ścieżek i strzelisty rost drzew.

Żywopłot urwał się. Zamieniły go wysokie drzewa, poprzez suty złotogłów zwiądu tężące ku niebu czarne strudzone ramiona. Na ziemi usłanej liśćmi, co jak znaki zwątpienia odrywają się z góry i lecą wdół zwątpieniem przekwitu ziemię ścieląc, w żywej trumnie ziemi i drzew, zrośniętych szczytami, — leżała głucha cisza. Kołysały ją zagubionych wczasów oddechy. Za wezgłowie miała kamienną stopę pałacu, płaską posadą w głowach trumny stojącą. Od stopy bliższej do dalszej skroń pagórka okraczającej szły wzdłuż odnogi pięter, nito uda kamienne, płasko na ziemi rozpostarte. W ich kroku, w zbiegu pachwin, posadzone było cudne rozległe okno, w półkole szklannego wachlarza rozwinięte, — oko tęczy, pożogą czaru z miejsca wykwitłe. Blask z niego leciał mocny, skośny i gorący poprzez kamienną werandę i zmarszczki schodów na czerwony klomb, co niby krwawa jarmułka kardynalska wyokrąglał się pod zajazdem.

W tem pękła jasna tkanka szyb, małe skrzydła rozwarłszy się poleciały na boki a u podstawy wachlarza wynikł czarny prostokąt w pokojów głąb wiodący. Otwarto drzwi.

Z wnętrza wysypał się, wyperlił, wylśnił zgiełk rozmowy, pomięszany durzącą wonią cygar i dźwięcznym szczebiotem cieńkiego kryształu. Hałas dostatku dmuchnął przez meble wiedieńskie na terrasie. Długie piszczele bambusowych krzesełek, związane obrzękłemi kolankami sęków, niby sptrokate wątłe pająki zatrzęsły się w przeciągu. Dyskretna wrzawa ominąwszy poczwarną gromadę laskonogich mebli rozpękła w grząskim wieczorze wilgną okiścią echa i zgasła daleko na fryzowanych koafiurach ogrodu.

Wybiegli trzej panicze i stanąwszy u skraju werandy, zachwycali się widokiem.

Ziemia opadała stopniami ku samej granicy parku. Stąd rwały skołtunione nieużytki aż do parowu, który jak świeżo rozerwana rana dymił obficie. Tam właśnie leżała głęboko wciśnięta wieś. Wciśnięta, ściśnięta zwinięta w kłębek, z oddali podobna do szarej ogromnej wyżlicy półwniesionej półpłaszczącej się przed spodziewanem uderzeniem.

Dobrze jest wszędzie, ale najlepiej w domu — westchnął panicz blondyn, pieszcząc swe herbowe płuca błękitnym wdechem wonnego cygara.

W domu — podchwycił panicz szatyn i wyrzuciwszy monokl w górę złapał go w swe złote zęby. — W domu, a przecie ciągle się jest we fraku!

Do obiadu, i przeciw temu się nie buntujcie — wypłynął perfumowany głos kobiecy z głębi pokoju — chcę was mieć moi panowie zawsze we frakach.

Machinalnie wszyscy trzej obrócili się tyłem do otwartych drzwi. Stali, kołysząc się na czarnych, sprężnych

pochwach, wylakierowanych tak gładko, że w błyszczącej skórze można było się przeglądać jak w lustrze. Dalej do góry biegły dwie wąskie trzciny, schowane w czarnych, powiewnych nogawkach. Na takiej podstawie dłużyły się spłaszczone walce tułowiów. Ozdoba walców białe podobieństwo krowiego sera — gors koszuli puczył się bezczelnie, zrodzony szczęśliwie w gościnnym trójkącie kamizelki. Pod szyją, w gardło, w pięty, drżał jedwabny motyl krawatki. Szyje mieli białe kołnierzykowe, starannie wyprasowane. Na nich to właśnie dojrzewała niewielka szypułka głowy, z trudnością wszystkie przybory twarzy, jak oczy, nos, uszy, lub czoło pomieścić mogąca. Za twarzą z tyłu ciągnęła się pusta przestrzeń ściśle sklepiona. Sklepienie nakryte było dwoma wonnymi plastrami zlepionych włosów. Dzielił je pół równy szpagat szarego rozdziału. Szpagat wyrywał się z czoła dobiegał wierzchu szypułek, stamtąd toczył się wdół ku białym, wyprasowanym szyjom, związując tym sposobem mocno i pewniej, niż głowy cukru, obie półkule włosistych szyszek.

Gdy po białych szerokich schodach schodzili wdół, nieciąc wiotkimi lakierami seplenienie żwiru, — z poza przepaści horyzontu wyrastał już żałobny marsz czarnych chmur nocy.

Szli wolno między tresowanym ogrodem, aż przyjęła ich stara, zapomniana toń ciemno-zielonej drogi modrzewiowej. Tu, w głębi, usiadłszy na kamiennej ławie owitej bluszczem, w sąsiedztwie starej urny, rozwiedli szeroko wstęgę dymu i rozmowę.

Ze smakiem, z pożądliwą suchością oczu, z pomlaskiem nerwowo skubanych powiek z apetytem cieniutkich słabych palców. O odsadzie szyi, o zadach końskich i niewieścich ochrapach i nozdrzach o ogonie rysaka plecionego staran niej niż warkocz dziewczyny. O siodłach spódnicach, sztylpach, uzdach, ostrogach i najnowszych gumowych prezerwatywach.

Wytargał się z niemrawych ust cierpki chrzęst i gnuśny chrobot kieszonkowych brudów, wzorowej stajni i buduarowego smrodu, oblanego gryzącą wonią „dżokiej klubu".

Dzika perfuma, koński pot, zniewieściałych porywów żądza wszeteczna...

Wymienili między sobą znak, myśli hasło, potocznej uciechy szyld — w staropańskiej orgji, purpurowej bułany zad półkonia pół-kobiety... Obmieniwszy się tak sportowym herbem klasy, przeszli dalej.

Rozmowa zstępowała w dół, ku tajniejszym apetytom, ku zakusom ponęty przekornej, pielęgnowane piersi, robaczywe serca smarą piołunu zalewającej.

Poszła ściśnięta siekana śmiechem rzecz o rozkoszy miejskiej a najtańszej, o brudzie sprzedażnym, kupnym za grosz.

Bawił paniczów prostoduszny niedostatek tej rozwią złości, bawiła taniość rozpaczliwa i to, że oni, tacy czyści, tak wymyci, tak na każde zachcenie wonni, jedwabiem gaci szeleszczący — mogą ująć, w ręce wmieścić, zawrzeć i mieć potworne kukły. Mogą swe wątłe anemiczne usta miażdżyć na twardych skopanych jabłkach ulicznego zapotrzebowania.

Wystąpiła w całej krasie wiedza międzynarodowa i patrjotyzm francuski.

Polecieli daleko, świądem łakomej pamięci odnowili wspomnienia podróży. O tem jak jest w Paryżu a jak w Bukareszcie, jak po berlińsku a jak po wiedieńsku.

Długo oglądali różnice ludów rozmaitych, porównując maść ciał, zapach lub fetor, prężność kształtów, ogień ataku, spryt wyzysku, porownując dokładnie ceny, nadwyżki, płace i napiwki.

Długo i smakowicie oglądali różnice ludów, węsząc z entuzjazmem ludów sromotę i srom rozdrapany, rozbity w torturach posiadacza zwyrodniały.

Dowcip cuchnący, rozkraczony przeplatał coraz mięszoną sprawę wyciągając z niej długie, cucnnące węże cichych chichotów.

Palce białe, żywo giestykulujące i wilgotne, skrobiąc, migdałowymi paznokciami krusząc coś w powietrzu, zdawały się gdzieś wpychać głęboko, rozrywać, coś drzeć i prać.

Występne porozumienie otwierało świadomości, pełne straszliwych, skwapliwie tuczonych gnid.

Nie sztuka zorać ciało pługiem twardych wymogów, nie sztuka broną gwoździstych pocałunków pokruszyć, nie sztuka grabiami dreszczów rozgrabić na niem szeroko krupę gęsiej skóry. To wszystko to jeszcze powściągliwość jest i klasztor cnót. Ale sztuka — ducha upokorzyć, duchowi człowieka w beznadziejne oczy plunąć. Sztuka — nieszczęście wydziedziczonych jak miękki piernat pod siebie podścielić, z rozpaczy cudzej poduszkę, jatiek uczynić. Poduszeczce, którą pierze oskubanej nadziei wypycha, rogów przycierać. Ludzkim buntem, rokoszem smaganego serca podnóżek usłać — to jest sztuka. To jest rzadkie i drogie ptasie mleko niebywałe.

Dla zabawy mieć, do nogi uwiązanego. W udo rękawiczką trzepnąć, by na czworakach duch człowieczy przypełzł i jęzor błagalnej skargi wywalił. Ten jęzor w ręce białe chwycić, dla pośmiechu, niby na rzemieniu brzytwą na nim poigrać, w żarłach kształtną łydusię, strachem podkoszoną, ogolić...

Więc się zwierzali z klejnotów okrutnego szlachectwa rzadkich kosztownych, najkosztowniejszych, więc te liczyli za ile, komu udało się cudzą żałobę sponiewierać, zaufanie oddanej kopnąć, wiarę zdobytą obżygać.

W mroku rzewnym, pod starą urną, na ławce falami zielonego bluszczu płaczącej skuleni chichotliwie, pili czego, pono ludziom nie dostaje — pili drogie rzadkie niebywałe ptasie mleko.

Noc już szła. Pałac rozejrzał się blaskiem tylko co oświetlonych pokoi. Bazyliszkowem wejrzeniem szyb bryznął obficie w mrok zachodu. Z okien wysnuły się ciężkie, tkane poświatą nieba złote promienie, jak bogate sute pasy stuckie.

Na deseniu szlacheckiego pasa, co wysłał słodkiem migotaniem wonną nawę modrzewiowej alei dostrzegli panicze nagle wiejską dziewczynę.

Szła wolno rozkołysana w biodrach biodrami zwiewny kielich spódnicy kołysząca — żywy dzwonek polny z łąki do parku przybyły.

Zmówili się, naradzili.

Widać ją było dokładnie. Głowa otoczona powrósłem złotych włosów w wieniec aureolny. Twarz prosta, twarda, posłowna, kłopotem roli wychowana. Do tych rąk, — mocnych więźb trudu wszelkiego, — uczepione konewki. Czarną stopą, rozczapierzając zgięte palce nóg, szła żywo niby właśnie tymi palcami drogę umniejszająca.

Z otwartego okna pałacu wyfrunęło coś nagle nieobjęte, bezsłowne. Ptak — nie ptak, czy sama tęcza piór — samograjów. Struny — nie struny, czy serce żywe kroplami boiesnej krwi w przetak strun płaczące.

Umrze czy wskrześnie? Zatraci się czy zakwitnie? Drogo tańcząca, mazurska dolo wyboista, mazurek tobą pędzi u zawartej bramy kołacze, lute wrzeciądze targa. Mazurek strasznej klątwy maczugę z komory wziął!

Zaduma ciężka porwaną siermięgą niedoli nad grobem nędzy zwisła. Przez tę siermięgę wzorzy się chłopski pas cudami łez przemienionych nabijany. Zaś w łzach nadzieje, w nadziei taniec.

Pytania duszne niesie, skargi kradzionych skib miecie, strasznego śmiechu sierp w zębach trzyma.

Taniec nad grobem nędznym, po niwach szlacheckich chłopski pląs — mazurek strasznej klątwy maczugę z komory wziął.

Fortepjan, — Szopena gra.

Podkowy hartu bezbrzeznego skrzeszą taneczne skry, te się dwoją, troją, zapalne mnożą się. Słodkie mateczki wielkiego ognia rozbiegły się, na konwie strun piszą znak tego, co zbyć się ma. A przecie załamało się, jakowąś zdradę zachłysnęło, nie zbyło się, nie, nie, — niemrawstwem czyimś zduszone.

Mazurek dolą wyboistą pędzi, u zawartej bramy kołacze, blaski krzyżów mogilnych z serca mu tchną. Runęła muzyka z nieba potęgi na gnój rozpaczy.

Z za węgła rytmów przysadzistych szczerzy się podarta głodem twarz, ziemie wydarte węsząca.

Tupie mazurek w bezdomny los.

Amarantowa krew świta na białych, chłopskich świtkach i krwawe podania pisze, czerwonym krasnorostem po nurtach płynie, w doły śmierci ojczystej przyklękiem oberków zapada, póki nie stanie. Stanie mazurek na rozgwiezdnym

zakrętasie dróg, pytajnikiem tonu ostatniego odpowiedź hardo wyzywający.

Podczas tej srogiej muzyki, gdy już byli wzięli dziewczynę w maszczone pieszczotą obroty, karesy, uszczypnięć cierpkie frykasy, łasującymi rękami po ciele plądrujący, gdy ona w targu wydziwiań broniła się zachętliwie kuksami, curaniem się, czy półobrotem pleców — powzięli jeszcze coś nowego.

Podniósłszy dziewczynę z ławy, ręce związawszy, wypsnęli z pod niej szary łach spódniczyny, zarzucili na głowę a na głowie w worek związali. By szła, jak poszedł w świat ich kraj z rękoma skrępowanemi z głową i z sercem w worku niewoli, na pośmiewisko — ze sromotą.

Jeszcze raz spłonęła krzykiem kryształowo głośna pierś fortepjanu. Jeszcze raz prawdomowne tony poderwały krwawą kartę chłopskiej doli, ciskając żrący żar na gnój rozpaczy.

Nim oszołomiona dziewczyna drgnąć zdążyła, odskoczywszy, jeszcze raz w mroku rzewnym, pod starą urną, na ławce falami zielonego bluszczu płaczącej, ujrzeli nogi stulone w kształt zbielałego ze wstydu serca...

Pobiegli przed się ku zchodom pałacu, które jak cichy, kuty, nieludzki śmiech, spływały kamienną białą kaskadą z pałacu w dół, na rozranioną pierś ziemi.

# Istota ciepła?

Czem jest ciepło? Istota jego jest nieuchwytna. Ciepła nie można widzieć ani go ująć. Jest ono czemś, co tkwi w rzeczach. Dla nas jest ono uczuciem, wrażeniem. Lecz czem ono jest dla rzeczy? W pierwszej chwili wydaje się rzeczą niemożliwą, aby znaleść odpowiedź na to pytanie.

A jednak nauka, która gromadzi pozornie małoważne spostrzeżenia, zbudowała cudowny gmach teorji o cieple. Wstąpmy do tego misternego gmachu i przyglądnijmy mu się w szczegółach.

Fundamentem jest teorja o atomach, nauka, że wszystkie rzeczy składają się z najdrobniejszych cząsteczek, zwanych atomami. Już greccy filozofowie wypowiedzieli tę myśl, nowoczesna wiedza przyrodnicza rozwinęła ją i udowodniła przy tysięcznych doświadczeniach.

Własność gazów dostarczyły najpierw niezbitych dowodów istnienia atomów. Nikt wprawdzie nigdy atomu nie widział ani go nigdy nie zobaczy, ponieważ są bardzo małe, aby je zobaczyć można. Lecz wiemy że, metr sześcienny powietrza zawiera sto tysięcy biljonów (100 000 000 000 000 000) atomów.

Wiemy dalej, że atomy nie wypełniają całej przestrzeni; że one są tak małe, że w powietrzu przestrzeń wolna między atomami jest około tysiąc razy większa aniżeli przestrzeń, jaką zajmują atomy. Istnieje około 80 rodzajów atomów, różniących się wielkością i właściwościami. Ciało składające się z atomów tegosamego rodzaju nazywa się elementem; wszystkie inne ciała złożone są z atomów wielu rodzajów.

Te atomy więc, które sobie można wyobrazić jako znikomo małe baloniki gumowe, znajdują się w ustawicznym ruchu. Lecą one naprzód po linji prostej z szybkością 500 m. na godzinę aż się natkną na sąsiedni atom, od którego się odbijają. Jeśli w naczyniu znajduje się gaz, to atomy znajdujące się w pobliżu ścian naczynia, uderzają o jego ściany i wywierają na nie nacisk, ciśnienie. To ciśnienie, jakie wywiera powietrze na powierzchnię wszystkich rzeczy wynosi kilogram na każdy centimetr kwadratowy powierzchni.

Jeśli tak potężne ciśnienie nie zwraca naszej uwagi, to dlatego, że ciało nasze powstało pod tem stałem ciśnieniem. Gdyby jakaś siła to ciśnienie nagle usunęła, tobyśmy musieli umrzeć, gdyż naczynia ciała zmiażdżyłyby się jak u ryby morskiej, żyjącej w głębinach, którą z tego ciśnienia głębi wydobyto na powierzchnię.

W jakim związku pozostaje to wszystko z istotą ciepła? — zapytacie. Otóż istota ciepła pozostaje w ścisłym związku z tym ruchem atomów a raczej molekół z nich się składających. Bo kiedy przy 18 stopniach ciepła molekóły powietrza poruszają się w różnych kierunkach z szybkością 500 m. na sekundę, to ruch ich przy podwójnej szybkości odpowiadałby temperaturze około 1000 stopni Celzjusza. Przy minus 273 stopni ustałby wszelki ruch.

Należy jednak nieco dokładniej określić pojęcie ciepła, gdyż zimny i ciepły nie są określonemi pojęciami, jednemu wydaje się coś ciepłem, co drugi uważa za zimne. Zimnym nazywamy wogóle przedmiot, którego temperatura jest niższa aniżeli temperatura naszego ciała; ponieważ z niego przepływa ciepło na ów przedmiot. Dopiero przy minus 273 stopniach Celzjusza niema wcale ciepła. Przy tej temperaturze ustaje ruch molekół.

Podobnie jak przy gazach ma się rzecz z płynami i ciałami stałemi. Inne również składają się z ruchomych atomów. Tylko, że one ruchem swym nie wywierają żadnego ciśnienia na otoczenie, ponieważ poruszenia molekół są tu tak krótkie, że się wzajemnie nie popychają. Działanie poruszeń molekół objawia się tu jedynie jako ciepło, które np. przy dotknięciu przepływa do naszej ręki.

Czy ruchy molekół o równej szybkości odpowiadają zawsze równej temperaturze? Nie, bo ciepło jest siłą, właściwiej — energja jest żywą siłą ruchomych molekół. Jeżeli rzucimy z równej wysokości wielki i mały kamień, to oba spadną z równą szybkością, lecz większy posiada znaczniejszą siłę uderzenia. Moglibyśmy jednak małemu kamieniu nadać takie samo działanie, jakie wywiera większy kamień; mianowicie musielibyśmy go tylko rzucić z większej wysokości. Wówczas szybkość małego kamienia będzie o tyle większa, że żywa siła obydwóch kamieni będzie taka sama. Ciepło można porównać z ową siłą uderzenia spadających kamieni. Ciężkie molekóły, posiadające większą masę, poruszają się przy tejsamej temperaturze wolniej niż małe. Jednakowoż żywa siła molekół o równej emperaturze równa.

Jeżeli zetkniemy jedno ciało z innem, cieplejszem, którego więc molekóły posiadają większą siłę żywotną, to cząstki cieplejszego udzielają energji cząstkom zimniejszego ti wprawiają je w szybszy ruch. Mówimy wówczas, że ciepło przepływa do ciała zimniejszego.

Jezeli więc w zimie zwracamy się plecami do ciepłego pieca, to molekóły ciała naszego popadają w szybszy ruch. Wytwarza to podobnie rozkoszne uczucie, jakbyśmy pędzili sankami po błyszczącej skorupie śnieżnej, alby też jechali koleją.

W tem porównaniu wynurza się przed nami nowy problem, Tam poruszają się molekóły z błyskawiczną szybkością tu i tam, tu pędzą wszystkie molekóły w tymsamym kierunku, z tąsamą szybkością.

Lokomotywa, nowoczesny cud, umie zamienić bezładne ruchy cząsteczek rozżarzonego węgla w jeden ruch całego pociągu, ruch naprzód.

Można więc ciepło przemieniać w pracę. Jednak tylko wtedy, jeżeli ciepło z gorącego przedmiotu przepływa w zimny. Gdyby wszystkie ciała były równie ciepłe, to wogóle nie możnaby uzyskiwać z ciepła pracy.

Nie wiałyby wiatry, nie płynęłyby źródła, świat zginąłby śmiercią ciepła. Wiemy, że dwa ciała stykające się z sobą, wyrównują temperatury. Dlaczego więc w nieskończenie długich odstępach czasu, w jakich świat istnieje, nie nastąpiło zupełne wyrównanie temperatury, dlaczego nie ulegliśmy jeszcze śmierci ciepła? Jest to problem, nad którem zagłębiali się najwybitniejsi fizycy, dotąd jednak nie mogą nań dać pewnej odpowiedzi.

# Wrażenia z wycieczki kooperatystów za granicą.

XV.

Korzyści wycieczki kooperatystów.

Wycieczka kooperatystów zwiedziła 5 miast niemieckich, 3 miasta belgijskie, oraz 5 miast angielskich i szko-

ckich. Przez te kilka tygodni obejrzeli oni świetne wyniki pracy kooperacji zachodnio-europejskiej. Widząc te magazyny olbrzymie, piekarnie, warsztaty i fabryki, zobaczywszy je na własne oczy, uwierzyli, że wspaniałe opisy, cuda jakie się opowiada o zagranicznej kooperacji, to nie bajki ale żywa prawda. Nie mogąc tego wszystkiego zbadać dokładnie przez tak krótki czas, stwierdzili jednak tyle, że ruch współdzielczy w Europie zachodniej jest potęgą, że przyszłość jego jest wspaniała. Biedny, jako jednostka samotna słaby robotnik, był wyzyskiwany przez kapitalistę. Za grosz ciężko zapracowany dostawał nędzną, niezdrową strawę, brudny chleb, zepsute mięso, rozwodnione wino, liche, tandetne ubranie, brudne, ciemne i ciasne mieszkanie. Mało tego. Za to wszystko musiał jeszcze opłacać swego wyzyskiwacza, kapitalistę, pośrednika, sklepikarza. A gdy nastał czas głodowy, gdy brakło pracy, wtedy rozpacz ogarniała niewolnika kapitału. Nie widzi wyjścia z tego zaklętego koła wyzysku, nędzy, niewoli. Aż światło zabłysło. Zapalił je pierwszy Owen, wielki myśliciel i kochający pracę ludzką działacz angielski. Ale myśli swej nie umiał wprowadzić w czyn. Uczynili to pionierzy roczdalczy. Oni to wykazali możliwość ujęcia rozhukanej gospodarki kapitalistycznej w karby. Oni wykazali, że uregulowanie samowolnych, wyniszczających ludzkość rządów kapitalistycznej gospodarki jest możliwe. Oni to, oraz ich następcy, udowodnili faktami, czynem, olbrzymiemi organizacjami, że skarby wytwarzane pracą ludzką mogą wrócić do ich wytwórcy. Oni to wykazali, że jedyną siłą, źródłem życia, jego fundamentem jest praca. A praca zorganizowana stanowi jedyną siłę społeczną. Można się spodziewać z całą słusznością, że, jeśli kooperacja będzie się rozwijała w tem tempie, jak dotąd, jeśli od sklepiku spożywczego, łączącego wszystkich spożywców, będzie przechodziła do zakładania własnych fabryk i warsztatów, to w przeciągu, być może, już XX wieku zginie z powierzchni świata społecznego nietylko pośrednik i faktor — ale choroba wyczerpania zacznie podcinać korzenie prywatnego kapitału. Dzisiaj już związki współdzielcze w Anglji ogromem swym i wielkością kapitałów dorównywują potędze trustów amerykańskich, owych związków kapitalistów, którzy wysysają siły żywotne całych narodów. Ale jeśli trusty kapitalistyczne służą małej bandzie „królów stalowych", „królów naftowych", „królów miedzianych„ — to kapitały związków współdzielczych służą jedynie i wyłącznie „królom pracy" — robotnikom. Przyjdzie do tego, że ludzkość będzie wytwarzała to, co jej jest potrzebne i ile zużywa, posługując się narzędziami, które sama stwarza. Porozumie się spotrzebowanie i produkcją, spożywca wejdzie w przymierze z robotnikiem, bo jeden i drugi będą stanowić jedną osobę. Zginie wyzysk, zginie kryzys ekonomiczny, bo wytwórczością będzie kierowała potężna wola tego, dla którego się wytwarza — spożywca! Nie są to bajki! Jeżeli lat sześćdziesiąt rozwoju ruchu kooperatywnego dało tak świetne rezultaty, to jakiegóż postępu można się spodziewać po następnych latach sześćdziesięciu! Ci, którzy dzisiaj, po latach 60 posiadają własne fabryki, plantacje, okręty, ci, którzy ważą się na zakładanie nowych miast (miasta-ogrody) — śmiało mogą powiedzieć: za nowych lat 60 będziemy największą potęgą tworzącego się, nowoczesnego państwa pracy.

Wszystko to bardzo pięknie — powiecie. Ale wszystko to — za kordonem, gdzieś w Niemczech, w Belgji, a zwłaszcza w Anglji... Niewątpliwie. Ale u nas ruch współdzielczy znajduje się dopiero w powijakach. Liczy zaledwie szósty rok życia! a wobec tego, co już jest zrobione, śmiało można powiedzieć, że ruch ten u nas już stoi na trwałej podwalinie. Z roku na rok wzrasta, uczy się bada teren, przystosowuje do naszych warunków — i miejmy nadzieję — w przeciągu najbliższych lat kilkunastu nie będzie się potrzebował wstydzić swych sąsiadów.

Słusznie kończy opis wycieczki sprawozdaca, p. Wołoszynowski: „Wycieczka nauczyła nas bardzo wiele, ona dodała nam otuchy. Zobaczyliśmy na własne oczy, do czego może dojść kooperacja, do czego już doszła. Przekonaliśmy się, że zachęcając do zakładania stowarzyszeń spożywczych i obiecując z tego korzyści i lepszą przyszłość, nie rozpowiadamy ludziom bajek dziecinnych, ale mówimy prawdę, wskazujemy właściwą drogę do dobrobytu. I sami jeszcze bardziej pokochaliśmy sprawę kooperacji, bośmy się przekonali, że służąc jej, służymy dobrej sprawie".

## Rozmaitości

— **Ile kosztowało odkrycie Ameryki?** Pewna gazeta hiszpańska oznajmia światu, iż niedawno temu znaleziono bardzo ważne dokumenty, dotyczące odkrycia Ameryki, i to książki rachunkowe braci Pinzon, właścicieli warsztatów okrętowych w Palos, z których pomocą Krzysztof Kolumb mógł urzeczywistnić swój zamiar odkrycia nowego świata. Z umieszczonych w tych książkach zapisków można zupełnie dokładnie obliczyć, ile kosztowało odkrycie Ameryki. Oto Kolumb sam, jako kierownik wycieczki pozamorskiej, otrzymał roczne wynagrodzenie w ilości 1659 pesetów (peseta = 80 fenygów), dwaj kierownicy towarzyszących mu okrętów, poddani rozkazom Kolumba, po 900 pesetów rocznie, a załogi tych trzech okrętów po 50 realów miesięcznie od głowy. Na całe urządzenie tej flotyli 14 000 pesatów; środki żywności kosztowały miesięcznie 6 pesatów od głowy. Wróciwszy z wyprawy otrzymał kolumb 22 000 pesetów, jako zwrot wydanych podczas podróży zaliczek. Wynagrodzenia obejmują czas od 3 sierpnia 1492 r. do 4 marca 1493 r. Do owych 22 000 należy więc tyko jeszcze doliczyć 14 000 pesetów, zużytych na urządzenie okrętów; razem przeto wydano na całą wyprawę 36 000 pesetów, to znaczy na dzisiejsze stosunki około 28 000 mk. Zważywszy, że pod koniec XV stulecia pieniądz znacznie większą posiadał wartość, aniżeli dzisiaj, przyznać trzeba, że okrycie Ameryki było rzeczą dosyć tanią.

— **Imiona mahometan.** Pisma zamieszczają szereg uwag o imionach mahometańskich. Mahometanie! nie używają nazwisk rodzinnych, lecz oznaczają pochodzenie dodaniem imienia ojca. Ogółem imiona ich dzielą się na cztery grupy. Pierwsza obejmuje imiona proroków i patryjarchów: Ibrahim (Abraham), Jussuf (Józef), Izzed (Izaak). Mussa (Mojżesz), Harun (Aron), Soliman (Salomon), Ismail (Ismael), Mohammed, Hamed, Hamud (trzy imiona proroka). Drugą grupę stanowią imiona wodzów, którzy przyczynili się do rozszerzenia się islamu, jak Osman, Omar, Ali itd. Trzecia obejmuje imiona, zaczynające się od „Abd" (sługa), jak np. Abd Allaf (sługa Boży), Abd-el-Kadar (sługa wszechmocnego). Do czwartej należą imiona, kończące się na „din" (wiara), jak np. Salah-ed-din (Saladin, wskrzesiciel wiary). Dalszą grupę stanowią imiona złożyne, w których dodano pewne przymioty, lub przydomki osób do imienia dla uniknięcia pomyłek. Kilka przykładów: Hassan (piękny), Hakem (potężny), Said (szczęśliwy), Mustapha (wybrany od Boga), El Kabir (wielki), El Rekik (smagły). Najczęściej spotyka się połączenia, w których po imieniu syna, następuje imię ojca np. Harun-ben Jussuf (Aron, ssu Józefa). Często zdarzają się kombinacje, że mahometanie zamiast imion ojców, wymieniają imię syna lub córki np. Abu-Taleb (ojciec Taleba), Abu-Bekr (ojciec dziewicy — tak nazwał się teść Mohameta, oddawszy mu córkę za żonę). Imiona kobiet wyrażają w regule pewien przymiot np. Saida (szczęśliwa), Lobna (biała), Lulu (perła), Sarah (kwiat).

**Ciekawe odkrycie.** Przy usuwaniu gruzów z zniszczonego przez wybuch pancernika „Liberte" w porcie Tulonu dokonano onegdaj ciekawego odkrycia. Oto na tylnej części pokładu znaleśli marynarze pod stosem postrącanego i poszarpanego przez wybuch żelaztwa doskonale zachowaną książkę p. t. „Marynarka dawnemi czasy". Książka ta, opisująca słynniejsze bitwy morskie, otwarta była w miejscu, przedstawiającą widok wybuchu fregaty angielskiej „Quebec" dnia 7 października r. 1779. Wybuch ten, który zniszczył zupełnie fregatę angielską, zdarzył się podczas bitwy morskiej floty angielskiej z francuską w pobliżu Quessant.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 44. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 4 listopada 1911.

LACINTO OCTAVIO PICON.

## GROŹBA.

(Obrazek z życia robotników hiszpańskich).

Zabrzmiał dzwon południowy i w chwilę potem otwarły się drzwi i wypuściły falę ludzi milczących, znużonych, którzy stanowili personal fabryki. Tłum rozprószył się jak obłok, który pod tchnieniem wiatru dzieli się na części i niknie. Była to z początku masa, która dzieliła się na grupy, potem na pary, przyzwyczajone do rozchodzenia się bez pożegnania. Jedni udawali się do domów, drudzy wstępowali do oberży lub kabaretów, wszyscy wsiąkali w ruchliwe życie przedmieścia.

Jednym z ostatnich, który wyszedł był Gaspard Santigos inaczej zwany Gaspard albo Gasparon. Był on siły nadzwyczajnej, bardzo wysoki i bardzo mocno zbudowany. Powierzchowność tego herkulesa w bluzie była sympatyczna.

Szedł w cieniu murów, przeszedł dwie lub trzy ulice i przecinając po drodze place puste, wszedł na promenadę, wysadzoną wiązami; korony ich posplatane tworzyły sklepienie cieniste, pod którem oczekiwała na niego młoda kobieta czysto odziana i miła. Przed sobą trzymała kosz, a na kolanach dziecko, przy niej znajdował się pies. Pies pobiegł ku swemu panu, dziecię wyciągało ku niemu małe rączęta, i gdy Gaspard brał kosz i krajał chleb, kobieta nie przestając patrzeć na męża, wyjęła i postawiła na boku sałatę, wyciągnęła butelkę wina czerwonego, serwetę, drewniane łyżki i wylała na głęboki talerz fajansowy biały z niebieskim szlakiem cocido*) żółtawe i dymiące.

Gdy się w dali rozległ dzwon, wzywający do powrotu, Gasparon połknął łyk ostatni, skręcił papierosa, ucałował dziecko, rzucił jakiś ochłap psu i uścisnąwszy szybko ale serdecznie młodą kobietę, puścił się w drogę do fabryki.

Zniknął za drzwiami, przebył podwórze, pełne odłamków żelaza i wszedł na galerję długą i szeroką, oświetloną przez okno, za którego zapylonemi szybami odgadywało się poczerniałe mury, kupy węgla, trzeszczenie ognisk na kuźnach i w wysokich kominach, które wyrzucały chmury dymu, ciężkiego i przesyconego pyłem koksowym. Galerję przecinały wzdłuż i wszerz skomplikowane linje niezliczonych błyszczących lin stalowych, drutów brunatnych, dźwigni kół, połączonych rzemieniami, które podnosiły się, opadały, zwijały, krzyżowały między sobą i kręciły z zawrotną szybkością, tak samo, jak członki mechanizmu żyjącego, w którem żaden nie może się zatrzymać, nie ubezwładniając innego. Podłoga drżała od wyładowywania się pary. Z innych pracowni dochodziły odgłosy uderzeń młotów o żelazo i warczenie maszyn, zmięszane z pieśniami kobiet.

Z galerją tą sąsiadowała druga taka sama; wąski mały mostek drewniany, przerzucony był przez podwórze, rozdzielający galerje; łączył on dwa korpusy gmachu; obok tej kładki, obracało się na swej osi ogromne koło rozpędowe.

*) Zupa hiszpańska z jarzyn, kapusta z kiełbaskami i szynką.

Gasparon był już w połowie mostu, gdy ujrzał przybywającego z drugiej galerji czeladnika, który biegł w takim pędzie, że nie mógł się zatrzymać. Ponieważ nie miał się czasu cofnąć i widział, że obaj nie zmieściliby się w przejściu tak wąskim, Gasparon umieścił się z boku kładki, możliwie jak najmniej zajmując miejsca, młodzieniec wpadł jak błyskawica, potknął się nieostrożnie i gwałtownie upadł, przyczem wystawał prawie całym korpusem poza kładkę, wisząc nad przepaścią, bez punktu do oparcia. Gasparon, więcej myśląc o niebezpieczeństwie jego, niż o swojem własnem, podał mu rękę i młodzieniec oszołomiony strachem, przyczepił się do niej z taką siłą, że zachwiał robotnikiem. Tem tracąc równowagę, próbował instynktownie odzyskać ją i wyrzucił za siebie drugą rękę, trzymając ją w powietrzu, koło otarło się o rękę i strzaskało ją nad dłonią.

Uczeń opowiadał później, że mimo strachu, usłyszał trzask podobny do tego, jaki wydaje drzewo, gdy pod uderzeniem siekiery lecą z niego drzazgi. Ale Gasparon miał dosyć siły i spokoju, aby się cofnąć kilka kroków. Pociągnął chłopca za sobą i gdy go postawił całego i zdrowego na podłodze galerji, sam zmożony bólem gwałtownym.

Podnieśli go towarzysze i, ponieważ nie było lazaretu w fabryce, ponieśli w krześle do sąsiedniego szpitala, gdzie trzeba było mu amputować rękę do łokcia.

Rekonwalescencja była długa; podczas jej trwania Gasparon z żoną wydali swe oszczędności, potem zastawili odzież świątecsną, potem pomogli im nieco koledzy sąsiedzi, wreszcie dostali zapomogę z kasy na wypadek strejku. Chory nie mógł myśleć o dostaniu pracy, gdyż stracił rękę prawą.

Po upływie dni czterdziestu od dnia wypadku, żona Gasparona przyszła do kasy fabrycznej.

— Co nowego przynosicie tu ze sobą? — zapytał jeden z piszących w dużej księdze na pulpicie oficjalistów kantorowych, ujrzawszy kobietę.

— Jakże się ma Gasparon po tym wypadku? — spytał drugi.

— Och! będzie jednorękim!

— A po co tu przychodzisz?

— Po zapłatę.

Jeden z dwóch piszących wziął regiester i zaczął przeglądać, mrucząc...

— Gaspar... Gaspar...

— Zapisany jest Santigos. Galerja prawa, druga sekcja — rzekła kobieta.

— Tak! Gaspard Santigos, oto.

— To on — dodała kobieta, wzdychając.

Oficjalista zrobił rachunek na skrawku papieru i zapytał:

— Czy wziął zapłatę za tydzień poprzedni?

— Tak panie...

— A więc to powinno być...

Wtedy wykwintnie ubrany jegomość, który czytał gazetę z boku, odrzucił ją i nie patrząc na kobietę spytał:

— Którego dnia to się zdarzyło;

— Dwudziestego ostatniego miesiąca: w środę o drugiej — odrzekła smutnie.

— Niema więc się o co wahać — odrzekł ów jego-

mość — poniedziałek to jeden dzień, wtorek — dwa, środa... razem dwa i pół, licząc po cztery pesetas pięćdziesiąt na dzień, czyni jedynaście pesetas dwadzieścia pięć centymów. I odwrócił się plecami.

Oficjalista wyciągnął z kasy mały koszyk, porachował pieniądze i wręczył je kobiecie. Wyszła biedna płacząc i słychać było jeszcze szelest jej kroków, gdy pan wytwornie ubrany rzekł surowo:

— Nie zapomnij pan zapisać, że Gasparon nie należy już do fabryki.

Gdy robotnicy dowiedzieli się, że zapłacono Gasparonowi za dwa dni i pół, niesprawiedliwość ich wzburzyła.

Zwołano zebranie do tylnej izby przy oberży i wezwano tam także jednorękiego, by się dokładnie dowiedzieć o przebiegu.

Gasparon opowiedział wszystko, pokazał okaleczoną rękę i podczas całego trwania narady nie przestawał nudzić przyjaciół, prosząc o opieczętowanie i wyjęcie papierosów, gdyż nie nauczył się jeszcze posługiwać ręką lewą.

Gwarno było i burzliwie, zamieniano poklądy. Słychać było okrzyki:

— Dzień ośmiogodzinny!

— Powiększenie zarobków!

Wtedy usłyszano głos wątły, ale nacechowany siłą woli:

— Nie przyszliśmy tutaj po to, dyskutować, ale by się zemścić. Macie odwagę, albo nie? Wiem, gdzie jest dynamit. Ciągnijmy losy; ten, którego los wskaże, rzuci bomby.

Milczenie długie nastąpiło po tej strasznej propozycji. Jednych przestraszała myśl zniszczenia, innych obawa kary.

Gasparon podniósł się, wypuścił parę kłębów dymu z papierosa i stając w blasku słabym lampy, aby odczytano na jego twarzy siłę niepohamowego postanowienia, rzekł w następujący sposób:

— Wszystko to jest zbyteczne. Strejk? Po co? Aby się zetknąć z przeszkodą niezwyciężoną, gdy braknie chleba w domu, aby się zadłużyć lub wrócić z musu do pracy? Co do bomb — to okrucieństwo dzikie. Nie chcę, by na mój rachunek zabijano kogokolwiek. Pozostawcie mnie moją zemstę, która będzie dobra i długa.

Wszyscy z rozmaitych względów, niektórzy czytając w oczach Gasparona jakieś straszne postanowienie, zadośćuczynili jego prośbie i rozeszli się natychmiast.

Dnia następnego Gasparon zaczął prosić przechodniów o jałmużnę u przedsionka pałacu, w którym mieszkał fabrykant.

Tutaj przebywał ciągle, oparty o kratę z złoconemi ozdobami, blisko okna, poza którego szybami widać było jedwabne portjery. Tam go widziano od wschodu do zachodu słońca, wznoszącego swą rękę okaleczałą, opierającego się całym swym korpusem o marmurową fasadę i noszącego na szyi zawieszoną małą tabliczkę z napisem: „Wydalony jako nieużyteczny z fabryki don Martina Penalva".

Błagania., groźby, ofiary dawane w celu, aby się oddalił, wszyskie wysiłki, robione w tym celu, nie zdały się na nic. Był tam, gdy bogaty pan wychodził, aby się udać za swymi interesami, lub dla użycia przyjemności, gdy żona jego wracała z kościoła, gdy jego córki udawały się na wizyty, będąc odziane w suknie wykwintne.

Ten żebrak u bramy pałacu był to żyjący afront; a także i przepowiednia straszna....

Ręka, którą wyciągał po jałmużnę, zdawała się grozić!

# U źródeł rewolucji chińskiej.

Początek XX stulecia jest okresem politycznych rewolucyj wśród narodów, zapomnianych przez wiek XIX przedewszystkiem zaś wśród państw wschodnich — Rosji, Turcji, Persji, Chin. Grożą rewolucje w Indjach, Egipcie.

Głębokie wewnętrzne procesy nurtowały 400 miljonowe państwo chińskie, tę najstarszą ze znanych nam cywilizacyj. Uwidoczniły się przed Europą zachodnią w postaci groźnej dla dynastji i chińskiego „ancien regime" rewolucji z hasłem republikańskiem.

Przyjrzyjmy się głównym prądom chińskiej myśli politycznej — reformistycznej, rewolucyjnej i konserwatywnej.

Reformistyczna partja jest produktem inteligiencji chińskiej, która z bólem i żalem przyglądała się tymu, jak europejscy kapitaliści, miljonerzy i żółnierze grabią kraj. Plany podziału Chin, układane z dyplomacją europejską, nie pozostały dla niej tajemnicą. Zwłaszcza wojna japońsko-chińska, upokorzenie się Chin wobec dziesięćkrotnie mniej licznego wroga, a następnie zabranie Wejhaweju przez Anglików, Kiaołczau przez niemców, Kuangczenwanu przez francuzów, zwłaszcza cały ten rabunek, dokonywano przez „wyższą" cywilizację na niższej, spowodował polityczne wrzenie wśród inteligiencji chińskiej.

Na plan pierwszy występuje ciekawa postać wodza reformistów Kank-Ju-Weja, który opierając się na tej warstwie, nielicznej zresztą, reformistycznie usposobionej inteligencji, pisze w roku 1898 list do młodego cesarza.

Już dawno — wywodzi on w liście — zwracałem uwagę w sferach dworskich na potrzebę reform. Nie słuchano mnie jednak.

„Zamknąłem się tedy w mieszkaniu i roniłem gorzkie łzy. Pojechałem następnie za morze, zrobiłem tysiące kilometrów drogi. Pomiędzy krajami uciskanymi są takie, jak Polska, które straciły powoli swą potęgę, zostały podzielone i rozerwane. Inne znowu też straciły niepodległość i tylko z nazwy są państwami niepodległemi, jak Annam. Trzecia znowu kategorja państw zachowała jeszcze pewną siłę, lecz i te wkrótce zostaną podzielone, jak Turcja i Egipt. Niektóre zaś wogóle znikły, jak Birma".

Kraj nasz — wychodzi dalej autor listu — jest tylko nominalnie niezależny. Koleje, banki, handel, — wszystko należy do europejczyków. Chcieć utrzymać stary porządek, znaczy dążyć do własnej zguby. Konserwatywne narody giną, postępowe kwitną.

16 czerwca 1898 r. cesarz Kuang su przyjął Kang-Ju-Weja na audjencji oficjalnej. I rozpoczęła się owa sławna „epoka 100 dni", epoka reform. Faktycznym kierownikiem polityki stał się Kang-Ju-Wej. W centralnym aparacie państwowym wszystko zawrzało. Głowa partji reformistycznej stanął u steru. Spadł obfity deszcz postępowych dekretów, dotyczących reorganizacji szkół, eksploatacji kopalń, reformy wojskowości i finansów itd. Rozdano subwencje powstającym pismom liberalnym.

„Rozpowszechnienie się gazet — pisał np. rząd — daje ludowi możność poznania, na czem polega dobro państwa, władzom zaś — sposobność zrozumienia dążeń i potrzeb ludności". I dalej: „Rozkazujemy prefektowi stolicy i wszystkim cenzorom, aby z całych sił popierali zakładanie pism przez osoby z arystokracji, przez kupców i przez ludzi prostych".

Wszystkie wolne pagody (świątynie) oddano do użytku szkołom wprowadzano nauki europejskie, przystąpiono do reorganizacji poboru na sposób europejski.

Jak powiada tow. Pawłowicz w „Neue Zeit", trudno znaleźć w historji powszechnej okres i naród, gdzieby z takim entuzjazmem rwano się do reformy ze strony rządu.

Naturalnie jednak ten „złoty wiek" nie długo potrwał, natrafiwszy na szalony opór ze strony prowincjalnych mandarynów i wicekrólów, którym się nie śpieszyło z reformami, podkopującymi ich władzę despotyczną. Czuli zarazem, że rząd liberalny jest słaby, że braknie mu na razie poparcia zorganizowanego ludu lub silnego wojska.

Po kilku już tygodniach liberalnego rządzenia cesarz w specjalnym dekrecie żali się na ospałość władz prowincjonalnych: „Jakkolwiek wysłaliśmy szereg ważnych rozporządzeń do władz prowincjonalnych, nie robią one nic".

Złota epoka skończyła się, jak wiadomo, zamachem stanu. Przy poparciu Rosji i reakcjonistów cesarzowa wdowa zdetronizowała nieszczęśliwego cesarza i, ubiwszy, uwięziła na odludnej wysepce na jeziorze pałacowem, gdzie ekscesarz zmarł 1908. W testamencie zaklina przyszłych władców, by wprowadzili w Chinach konstytucję.

Po tym przewrocie rozpoczęły się prześladowania reformistów. Jednych torturowano, drugich mordowano, inni emigrowali. Kang-Ju Wej wyjechał do Meksyku. Słaba partja reformistyczna, popierana zresztą przez niektórych bogatych kupców, zaczęła pędzić żywot opłakany.

A jednak rozwój przemysłu, handlu, miast, zwłaszcza w prowincjach południowych, prowadziły do przewrotu w światopoglądach szerokich kół ludności. Rozszerzały się źródła reformizmu i rewolucyjności. Aby skierować te siły na trop fałszywy, cesarzowa przez swych agientów umysły rewolucjonizowane przeciw cudzoziemcom — z wyjątkiem naturalnie rosjan, przyjaciół cesarzowej i reakcjonistów.

Tak się zorganizowały, przy współudziale rządu, chińskie czarne sotnie pod protektoratem dworskiego reakcjonisty Kang-Ni. W r. 1900 zainscenizowały one słynne powstanie „bokserów", partji reakcyjnej, skierowane głównie przeciw Anglji, Japonji i Stanom Zjednoczonym — mocarstwom, popierające prądy reformistyczne.

Dalsza industrjalizacja kraju, straszliwe poniżenia, przez które kraj przeszedł po upadku ruchu bokserskiego, kiedy to wojska europejskie zdobywały Pekin i okrutnie się mściły na spokojnej, niewinnej ludności, wreszcie niepowodzenia pokojowej taktyki partji reformistycznej — wszystko to spowodowało powstanie partji rewolucyjnej, na czele której stanął dziś tak sławny Sun-Jat-Sen. Ta partja rewolucyjna (Keming-rang) początkowo oparła się na najbardziej wrażliwych kołach młodzieży studjującej (zwłaszcza studjącej w Japonji), lecz wkrótce pokryła siecią tajnych związków szereg miejscowości na południu i w centrum kraju, przenikając także w wojsko.

Dr. Sun-Jat Sen przez dłuższy czas prowadził agitację i kierował kolportażem z zagranicy, np. z Londynu. Bezradny wobec bajecznej energji i zręczności Sun-Jat-Sena rząd chiński kazał go chwytać w Londynie na Trafalgar-squary i uwięzić w piwnicach ambasady, lecz przyjaciele uwolnili go przy pomocy rządu angielskiego.

W swojem przemówieniu na zgromadzeniu chińskich akademików w Japonji podniósł Sun Jat Sen jeszcze w roku 1907 trzy naczelne postulaty swego programu: zasadę walki rasowej (Ming-Tao) ludowładztwa (Ming-Kiuan) i socjalizmu (Ming Tscheng).

Pierwsza zasada — to walka przeciw panującej rasie mandżurów; przeciw rasie, jako takiej, nic nie mamy — mówił — lecz walczymy w imię wolności o oswobodzenie Chin od jarzma obcej, mandżurskiej rasy.

Druga zasada logicznie doprowadza nas do zasady republikańskiej. „Niegdyś wszystkie rewolucje polityczne miały na celu postawienie na miejsce jednego cesarza — drugiego. Jeślibyśmy jako rewolucjoniści dążyli tylko do tego, w takim razie Chiny byłyby skazane na zagładę".

Najciekawszy jest postulat trzeci, socjalistyczny. Jako reprezentant ludu rolniczego sądzi Sun-Jat-Sen, że właśnie takie kraje, niezbyt uprzemysłowione, są bliższe wprowadzenia socjalizmu. Jest to to, jak słusznie zauważa tow. Pawłowicz, utopja, właściwa rosyjskim socjalistom, narodnikom lub takiemu Ferrerowi (Hiszpanja), który twierdził: „Im bardziej zacofany jest kraj pod względem uprzemysłowienia, tem bardziej jest rewolucyjny... Hiszpanja jest bliższą rewolucji socjalnej, niż jakikolwiek inny kraj". Na tym samym punkcie widzenia stoi Sun-Jat-Sen. Uważa on zresztą za jedyny sposób rozwiązania kwestji agrarnej i socjalnej wprowadzenie wzamian wszelkich podatków innych jedynego, wciąż wzrastającego podatku gruntowego, czyli nacjonalizację ziemi według recepty Henry'go Georges'a.

Słowem, trzy zasady — usunięcie panowania mandżurów, republika, wyrównanie wartości ziemi; metoda walki — rewolucja. Naturalnie ten program i ta taktyka wykopały przepaść pomiędzy partją reformistyczną i rewolucyjną i na zgromadzeniach oba kierunki i metody — petycje do rządu o reformy z jednej strony i republikańska rewolucja z drugiej ostro się niejednokrotnie starły ze sobą.

Praca rewolucjonistów doprawadziła do tego, że już w r. 1907 wybuchło pierwsze powstanie, które się rozpowszechniło w 6 prowincjach. Niejednokrotnie 60 tysięczna armja rewolucjonistów ścierała się z wojskami rządowemi. Już wówczas pokazało się, że najchętniejszych sprzymierzeńców rewolucja ma na uprzemysłowionych brzegach rzeki Jangtse Kiang.

Z niezwykłą konspiracyjnością rozwijał się spisek. Wielkie wrażenie wywarł niespodziewany zamach 6 listopada roku 1907. Gdy gubernator prowincji Ngan Hwej odwiedzał szkołę policjantów, zwrócił się dyrektor szkoły w obecności wysokiego gościa do uczniów z przemową! „Działajcie zawsze solidarnie", zakończył. Poczem nagle zbliżył się do gubernatora, odsalutował po wojskowemu i strzelił do niego ze słowami: „Mam zaszczyt należeć do partji rewolucyjnej". — Poczem długo odstrzeliwał się, zamknąwszy się ze swymi zwolennikami w budynku, wojsku i policji, aż wystrzelali wszystkie naboje. Przed sądem umotywował swój czyn w ten sposób, że gubernator należał do najżarliwszych wrogów rewolucji.

Rewolucja z r. 1907 się nie udała. Uczestnicy się rozproszyli, przezornie chowając broń do — lepszych czasów...

Te czasy wreszcie — widzimy — nadeszły. Setki tysięcy ludzi gromadzą się w obozie rewolucyjnym i wydają zwycięskie bitwy wojskom rządowym, walcząc o ziemię i wolność.

Lud chiński też chce żyć i rozwijać się jak wszyscy.

## Rozmaitości

**Sztuczny przełyk.** Współczesna chirurgja wykonuje zabiegi, które zdumiewają już nietylko laików, ale i cały świat naukowy. Obecnie udało się prof. Sexerowi w Jenie zastąpić u pewnej dziewczyny przełyk, przeżarty wskutek wypicia kwasu siarkowego kawałkiem jelita cienkiego. Zabiegiem swym umożliwił pacjentce przełykanie i wogóle odżywianie się takie, jak u zdrowego człowieka, z tą różnicą, że przy połykaniu większych kęsków, widać posuwające się w dół sztucznego przewodu pokarmowego pożywienie. Dziewczyna wspomniana będąca obecnie już 8 miesięcy po operacji, ma się zupełnie dobrze, przeto zabieg uważać należy za udały.

* * *

**„Tęsknota za gwiazdą polarną".** Popularno-naukowy tygodnik „Umschau" zamieszcza interesujący artykuł prof. Wolfganga Ottona o właściwościach ciał wirujących. Ciała wykonujące szybkie ruchy wirowe dokoła swej osi, a więc np. koła rozpędowe maszyn parowych itp. starają się zająć takie położenie, by oś ich leżała równolegle do osi ziemskiemj a jeden jej biegun zwrócony był na północ ku gwieździe polarnej.

Angielski profesor Perry wyraża się o tej właściwości w książce swojej pt. „Spinning Tops" w ten sposób:

„Dziwnego uczucia doznajemy, kiedy dochodzimy do wniosku, że wszystkie ciała wirujące, a więc i koła rozpędowe maszyn dążą zawsze ku gwieździe polarnej; jak długo są w ruchu, wywierają stały, choć bezskuteczny ucisk na swe łożyska, aby zwrócić się w stronę przedmiotu swej czci".

Własność tę ciał wirujących wykorzystał dr. Anschütz w Niemczech i skonstruował aparat, który będąc gyroskopem, jest zarazem doskonałym kompasem. Gyroskop nie jest niczem innem, tylko wolno wirującem kółkiem, wykonującem wielką ilość, bo około 330 obrotów na sekundę. Kółko to spoczywa wolno na pływaku, umieszczonym w rtęci, i może skutkiem tego podczas wirowania zajmować dowolne położenie.

Przekonano się, że oś gyroskopu podczas ruchu kółka zawsze ustawia się poziomo a wyprowadzona z położenia poziomego waha się tak długo, dopóki znowu położenia tego nie zajmie. Przytem jeden biegun tej osi stale zwrócony jest ku gwieździe polarnej, wskazuje zatem prawdziwy północny biegun ziemski, gjeograficzny a nie magnetyczny. Wogóle kompas taki nieczuły jest na wszelkie wpływy, tak magnetyczne, jak elektromagnetyczne, a więc może być

umieszczony bez szkody dla dokładności w pobliżu wielkich dynamomaszyn i aparatów stalowych, jest bardzo ważnym dla okrętów wojennych, na których znajdują się olbrzymie masy stali. Przytem brak deklinacji magnetycznej ułatwia pewniejsze sterowanie i większą pewność ruchów okrętu. Dla tych to własności kompasy gyroskopowe, mimo kosztowności znalazły zastosowanie w wojennych marynarkach kilku państw europejskich, a i okręty pasażerskie będą się nimi w przyszłości posługiwały. Dotychczas towarzystwo Hamburg-Amerika-Linie zdecydowało się na umieszczenie tego rodzaju kompasu na budującym się obecnie olbrzymie morskim „Imperatorze".

* * *

**Slub bandyty ze śpiewaczką.** Oryginalny związek małżeński zawarł w tych dniach w Paryżu Jan cortier, bandyta-włamywacz i niedoszły morderca, skazany za jeden ze swych występków na 8 lat ciężkich robót i oczekujący za drugi występek na karę jeszcze większą. — Bandyta z zawodu mechanik, miał przed uwięzieniem narzeczoną, pannę Beaume, śpiewaczkę 25 letnią, piękną pannę, której życie jest bez zarzutu. P. Beaume taką jednak nieprzepartą miłość ku swemu narzeczonemu, iż nie zważając na nic, postanowiła go poślubić. Na zapytanie zdziwionego otoczenia panna Beaume odpowiedziała: „Cóż chcecie, ja go kocham". I dotrzymała słowa, bo w piątek odbył się ślub tej oryginalnej bądźcobądź pary wśród niezwykłych warunków. Ślub odbył się przy świadkach i 4 agientach policyjnych. Podczas przewożenia młodej pary do merostwa, gdzie odbył się ślub, panu młodemu nałożono na ręce kajdanki. Uczta posłubna odbyła się już w więzieniu.

* * *

**Kinematograf w kościele.** W przedostatnią niedzielę wprawiono po raz pierwszy kinematograf w ruch w kościele presbiterjańskim w Montelair, w stanie New-Jersey. Tamtejszy duchowny, pastor George J. Bechler miał kazanie o biblijnej postaci „Marnotrawnego syna", a kinematograf w tym czasie pokazywał odpowiednie obrazy, zastosowane do kazania. Podobno skutek był taki, że kinematografy chcą także wprowadzić i do innych kościołów.

* * *

**Gazeta przez telefon.** Pewne towarzystwo telefoniczne w stanie New-Jersey w Ameryce chce zaprowadzić ciekawy sposób wydawania gazet, a raczej ogłaszania wiadomości, ukazujących się zwykle w gazetach. „Abonenci" w przyszłości nie będą potrzebowali czytać gazety, tylko o pewnej porze dnia przystawią sobie do ucha słuchawki telefoniczne i dowiedzą się o najświeższych wypadkach na świecie. „Abonenci" tej ciekawej „gazety" będą mieli także sposobność przysłychiwać się za pomocą telefonu przedstawieniom operowem i koncertowem, nie potrzebując wychodzić z domu.

* * *

**Narzeczone muszą składać egzamin z gotowania.** Parlament niemiecki niejednokrotnie już zastanawiał się nad tem, aby postawić warunki przedwstępne, od których chce uczynić zależnem zawieranie małżeństw. Obecnie podobno zajmowali się norwescy posłowie projektem zaprowadzenia formalnego zupełnie egzaminu przedślubnego. Każda narzeczona ma przed zawarciem małżeństwa złożyć państwu dowody, iż umie szyć, a przedewszystkiem gotować samodzielnie. Ten egzamin będą musiały składać wszystkie kandydatki do stanu małżeńskiego, czy biedne, czy bogate, bez różnicy stanu i wieku. Przedewszystkiem na znajomość kuchni kładą nacisk przedatawiciele ludu w norweskim parlamencie, wychodząc z tego przekonania, że bez dobrego posiłku nie może być zupełnej harmonji w małżeństwie.

Ileżby to u nas kandydatek do stanu małżeńskiego przepadło w tym egzaminie przedślubnym!

* * *

**Wesoły transport.** Sołtys z Sokolnik pewnego dnia w sierpniu upoważnił parobka Maluśkiego i robotnika Rodewalda, wdowę Hollaender z Pozuania, która w Sokolnikach w napiłym stanie sprowokowała bijatykę, zaprowadzić do komisarza okręgowego w Swarzędzu. Transporterzy w drodze z „wesołą wdówką" wstępowali do każdego gościńca celem „pokrzepienia" sił, tak, iż dopiero późnym wieczorem przybyli do Swarzędza. Biuro komisarjatu było już zamknięte, eskorta więc z aresztantką rozpatrywała się po ulicach miasteczka za jakim stróżem lub policjantem. Spotkany pan, z osobliwie rudą głową, oznajmił im, iż w restauracji Gnerlja przebywa sekretarz komisarza, i radził im udać sie tamdotąd. Transporterzy posłuchali dobrej rady, a w restauracji uraczono ich wraz z wdówką jedną i drugą kolejką piwa. Po pewnym czasie ów rudy pan przedstawił się jako sekretarz z komisarjatu i zapisał w swym notesie personalja aresztantki, odbierając zarazem kartkę legitymacyjną od jednego z transporterów. Podczas tej sceny dwuch innych panów trąciło kufelkami z ryżym jegomościa, tytułując go „sekretarzem". Następnie zwolniono eskortę z uwagą, że umieszczenie aresztantki w komórce policyjnej pan „sekretarz" sam załatwi. Po oddaleniu się transporterów, z uniżoną podzięką za sowite ugoszczenie, wypuszczono aresztowaną wdowę z upomnieniem na wolność.

Epilogiem tego zajścia był proces przed II izbą karną w Poznaniu, wytoczony majstrowi kominiarskiemu R., majstrowi kominiarskiemu L. i restauratorowi G., wszystkim ze Swarzędza; pierwszemu o nadanie sobie publicznego urzędu, dwom drugim o pomoc do tego przestępstwa. Sąd nie brał owego „figla knajpiarskiego" zbyt tragicznie i zasądził oskarżonych na grzywny; pierwszego na 15 mk., a dwuch drugich każdego na 10 mk.

* * *

**Największy skład na świecie.** Jak donosi jedno z pism londyńskich, ma tam niezadługo nastąpić otwarcie składu, który będzie można uważać za największy tego rodzaju budynek na świecie.

Cały dom zbudowany jest z białego granitu i posiada front długości 840 stóp. Druty przewodów elektrycznych w całym domu posiadają długość 24 mil angielskich, a wszystkie lampy elektryczne mają razem siłę światła 135 tys. świec. Olbrzymie sale w tym domu pomieścić mogą 100 osób. 500 urzędników i urzędniczek zatrudnionych będzie w 115 różnych oddziałach obsługą klientów; do ruchu osobowego w tym olbrzymim składzie 24 wind elektrycznych i 154 klatek schodowych. Na dachu będzie urządzona stacja telegrafu bez drutu, a w domu samym jest 800 cel telefonicznych. Na zbudowanie samej tylko konstrukcji żelaznej domu potrzebowano 21 miljonów funtów stali. Wielkie sale restauracyjne pomieszczone zostaną w olbrzymich halach szklannych.

W lecie będą się klienci mogli orżeźwiać w ogrodach na dachu, gdzie będzie także umieszczona kawiarnia wiedeńska. Na dachu również ma być urządzony plac zabaw dla dzieci, gdzie wykształcone w tym celu pielęgniarki mają pełnić swą służbę podczas załatwiania sprawunków przez matki.

* * *

**Wagon srebra ukradli.** Z Petersburga donoszą „Birżewyja Wiedomosti": Wśród miljonowych nadużyć na kolejach wschodnich w Rosji rewizja br. Medema wykryła zniknięcie bez śladu wagonu z 500 pudami srebra w sztabach (pud = 40 funtów). Srebro to zostało wysłane w roku 1906 z Charbina do Petersburga pod adresem banku wschodnio chińskiego (dziś rosyjsko-azjatyckiego). Wagon doszedł szczęśliwie przez koleje wschodnio-chińską i zabajkalską do kolei syberyjskiej — i stąd zniknął, „jaby w wodę wpadł". Przypuszczają, że srebro przeszło z wagonu do kieszeni drapieżników kolejowych, ale jednocześnie są niejakie poszlaki, że srebro zabrał ktoś nie na kolei syberyjskiej, lecz w samym Petersburgu. Srebro miało tu nadejść do lądowego urzędu celnego z koleji mikołajewskiej i zostało wydane na żądanie kogoś nieznanego.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 45. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 18 listopada 1911.

CH. ROBERT DUMAS.

## W UCIECZCE.

Uciekał. Odziany w grube sukno, z gołą głową, bosy, z pianą w ustach i oczami krwią nabiegłemi, pędził jak szalony wprost przed siebie, przesadzając płoty i ogrodzenia, przecinając pola uprawne i rżyska, wydeptując w biegu pszenice, owsy i żyta. Unikał domów, dróg i ludzi. A gdy kogo spotykał, rzucał się głową naprzód, zacinając zęby i ściskając pięści tak, że mu ustępowano z drogi. I pędził, jakby celem tego szalonego biegu był mu horyzont, owa ciemna linja, odsuwająca się zwodniczo, w miarę, jak się do niej zbliżał. Ponad łanami płowego zboża migała to wyżej, to niżej jego krótko ostrzyżona głowa. Słyszał, jak dzwoniono na Anioł Pański w południe i słyszał jak dzwoniono na wieczór; widział jak słońce stało w zenicie i widział, jak zaczerwienione zachodziło spokojnie w głębi pól — a on biegł ciągle. Schodząc ze wzgórza, spotkał chłopca wiejskiego, wracającego ze szkoły z książkami pod pachą i kromką chleba z masłem w ręku. Wyrwał mu ją, powalił jednym rzutem płaczącego malca na trawę i biegł dalej, zajadając, ciesząc się, że może choć trochę głód zaspokoić.

Szary cień powlókł niebo, blade opary ciągnęły nisko nad ziemią, mgła otuliła wierzby — noc się zbliżała. Wówczas, w głębi wąwozu, człowiek ów zatrzymał się i poraz pierwszy obejrzał się dokoła, był zupełnie sam. Wytężył słuch: żaden szmer nie zakłócał ciszy tej godziny; mógł więc nareszcie odetchnąć, odpocząć trochę. Padł na ziemię, jakby mu nogi kosą podcięto; rozciągnąwszy się na brzuchu, wtuliwszy w ziemię, wilżąc twarz i ręce w mokrej od rosy trawie, wyciągnął na krzyż ręce i tak leżał bez ruchu. Dyszał ciężko, wywiesiwszy język, jak pies zziajany. Piersi mu latały, serce waliło, jak młotem, i, choć leżał na wilgotnej trawie, całe ciało oblane miał potem. Czuł, jakby wraz z tym potem siły go opuszczały, tak zesłabł; jednocześnie trawiło go piekielne pragnienie i gorąco, jakby ogień miał w żyłach.

Chciałby się podnieść i iść, choćby daleko, poszukać źródła, lecz nie mógł przewrócić się nawet na plecy. „Pić!“ — zawołał i, otworzywszy szeroko usta, zaczął lizać dokoła mech, trawę, zeschłe liście, nieczystości, co się nadarzyło, wyciągając szyję, jak pasące się bydło. Przyczołgał się na brzeg wąwozu i leżał, czekając, aż mu siły powrócą. Nadstawiał uszu w strachu śmiertelnym, by go nie odkryto i nie złapano w tej dziurze, jak zająca w legowisku, bez możności ucieczki i obrony. Wiedział, że ma za sobą strażników, czuł instynktownie, jak węszą za nim, znęceni nagrodą, myszkując, rozpytując przechodniów, włóczęgów, chłopców, dzieciaka, którego przewrócił na drodze — wszystkich, co go widzieli i poznali w nim zbiegłego złoczyńcę po tym przeklętym chałacie więziennym. Widział chłopca, a obok niego ludzi w mundurach. Nachylali się, by lepiej słyszeć:

„Widziałeś go, co? Pewny jesteś? — „Widziałem, tędy poszedł, o patrzcie!“ I wyciągał ku dolinie denuncjacką rączynę. Zbieg zaklął, zgrzytając zębami. Przyjdą, podniosą go jak nadgniły owoc z drzewa spadły i zaprowadzą do miasta, gdzie czeka nań pusta jego cela. Zacisnął pięści. Nie da się, będzie się bronił rękami i nogami, pazurami i zębami; skoczy do gardła i będzie gryzł, drapał, dusił.

— Czekam na was, — wołał, otwierając i zaciskając pięści. — Poleje się krew, moja i wasza! oj, poleje! Psiakrew, żeby choć nóż mieć!

— To nic, jak się bić, to się bić. Marny los tego, kto mój kułak na karku poczuje. Bo i cóż ryzykuję? Głowę! Owa, raz kozie śmierć! Wolę to, niż znowu do ula. A przytym lżej człowiekowi wyciągnąć kopyta, jak się kogo przy tej okazji na tamten świat wyprawi.

Od strony ścieżki rozległ się odgłos kroków i brzęk szabli, włóczonej po kamykach. I nagle zjawili się dwaj strażnicy — czarne cienie, z białemi naszywkami, oświetlonemi księżycem. W niedorzecznej, zapewne instynktownej nadziei ratunku, zbieg nadludzkim wysiłkiem podniósł się na obolałe, poranione nogi i stanął na drodze. Ryknął z bólu, zachwiał się, lecz dobywając resztek sił, ruszył ciężko pod górę. Spostrzegli go.

— Łapaj, trzymaj! to on! Łapaj go!

Strażnicy pędzili, krzycząc, podniecając się do pościgu. Z lewą ręką na szabli, z prawą na biodrze, gnali, starając się dopędzić nieszczęśnika.

— Tędy, tędy, łapaj!

Zbieg tracił siły. Naraz zatrzymał się: ścieżka kończyła rię spadzisto, a w dole płynęła spokojnie głęboka rzeka, szeroką taśmą przecinając drogę.

W poprzek wody leżał, snać przez burzę wywrócony, wysoki pień drzewa. Ku niemu skierował się uciekający. Rozkrzyżowawszy ręce, jak tancerz na linie, stąpał po pniu, jakby po kładce, stawiając ostrożnie jedną nogę po drugiej. Tymczasem na brzegu strażnicy namyślali się, wahali. Jeden z nich, wypróbowawszy pień końcem buta, odważył się wejść nań, drugi, stojąc na brzegu, dodawał mu odwagi. Zbieg, przedostawszy się na brzeg przeciwległy, obejrzał się ciekawie, prawie drwiąco. Nie odważą się nigdy pójść za jego przykładem w ciężkich, podkutych butac, z plączącą się u nóg szablą.

— Padam do nóżek, łot...

Ironiczne wyrazy uwięzły mu w gardle. Patrzał strapiony na posuwającego się po niepewnej kładce strażnika. Taka śmiałość z ich strony nie dodała mu ducha. „Patrzajcie“ — podziwiał — „nie tchórze jednak“. I zaczął biec znowu wśród nocy, jak zwierzę ranione.

Wtem poza sobą usłyszał straszny krzyk i plusk padającego do wody ciała. A po chwili głos rozdzierający, który przejął go do szpiku kości.

— Na pomoc, na pomoc, tonę!

Włóczęga zatrzymał się. Tym razem był uratowany.

— Zdychaj, ścierwo, będziesz miał naukę! — zawołał.

Zrobił jeden krok, drugi i poszedł dalej. Nagle zawrócił, podskoczył, i pędem pobiegł ku rzece.

O kilka kroków od niego strażnik walczył z falą; wi-

dać było jeszcze jego ręce, wystające z wody, czapka płynęła w odmęcie, tworząc punkt czarny na fali. Na przeciwnym brzegu drugi strażnik, widocznie nie umiejący pływać, stracił głowę i krzyczał, biegając tam i z powrotem.

Włóczęga złożył ręce nad głową, odstąpił parę kroków i skoczył do rzeki. Po chwili ukazał się na powierzchni, łykając wodę i wypluwając ją, krztusząc się i nurkując jak ongi, za dobrych czasów, kiedy się kąpał w Sekwanie. Na środku rzeki dał nurka, poczem wypłynął, unosząc topielca. Podpłynął do brzegu, gdzie razem ze strażnikiem wyciągnęli ociekające wodą ciało i położyli je na trawie.

Włóczęga klęknął.

— Nic mu nie będzie — powiedział.

Poczem zakomenderował:

— Trzeba go dobrze natrzeć, to przyjdzie do siebie.

Strażnik zakasał posłusznie rękawy i obaj się nachylili; ręce ich uwijały się szybko, spotykały, mijały nad ugniatanem ciałem...

Kiedy nareszcie uratowany przyszedł do siebie, podniósł się i przypasał szablę, wszyscy trzej spojrzeli po sobie w milczeniu.

— No — zawołał spokojnym głosem włóczęga — teraz załóżcie mi kajdanki. Złapany jestem!

I wyciągnął im obie ręce. Strażnicy stali nieruchomo. Wówczas przemówił do nich głosem przekonywającym:

— No, dalej! Cóż robić, nie możecie mnie przecie puścić wolno. Przykra rzecz, to prawda, ale to już rzemiosło, obowiązek, mus... czy ja to wiem zresztą, co.

Strażnik obszukał kieszenie, wyciągnął łańcuszek kłódką i okuł dłonie więźnia.

— W drogę! — wyszeptał.

Poszli.

I szło ich troje powoli milczących i zamyślonych.

Włóczęga szedł z podniesionem czołem, strażnicy mieli głowy pochylone.

# Bomby z aeroplanu.

Pod Tripolisem, po raz pierwszy — jak wiadomo — została w walce użytą „czwarta broń" armji włoskiej nowy sposób mordowania ludzi: aeroplany. Zrazu posługiwano się nimi tylko do rekonesansów, wysyłając na zmianę trzy aeroplany, jakie przypłynęły z Włoch na statkach wojennych. Obecnie wprowadzono je bezpośrednio w walkę, przez rzucanie granatów ręcznych z powietrza.

Po pierwszych dniach prób rekonesansowych zatelegrafowano mianowicie po pociski zupełnie nowego typu, sfabrykowane specjalnie dla awjacji. Są to bomby okrągłe, wielkości niedużej pomarańczy, zrobione ze stali, wypełnione masą bardzo silnie wybuchającą. Granaty te są wynalazkiem porucznika marynarki Cipelli'ego, który życiem przypłacił próby ostateczne nad nimi. W Viareggio, na poligonie prób artyleryjskich, przeprowadzał Cipelli przed kilku laty doświadczenia z tymi pociskami, wypełnionymi pikratem potasu; jeden wybuchnął przedwcześnie i zabił wynalazcę, drugi porucznika Mazzuo i dwóch robotników. Granaty mają wewnątrz rurkę zapałową; gdy pocisk uderzy o ziemię, następuje eksplozja. Rurka zapałowa jest tak urządzona, że w czasie transportu pocisk nie może wybuchnąć, chociażby był rzucony o ziemię. Bezpośrednio przed rzuceniem pocisku wyciąga się „bezpiecznik" i bomba, spadłszy na ziemię, eksploduje.

Nasamprzód przedsięwzięto pod Tripolisem próby rzucania granatów z powietrza na opustoszałe budynki nad morzem. Okazało się, że pociski wyrządzają ogromne szkody. Dnia 1 b. m. porucznik brygady awjatycznej, Gavetti, zabrał ze sobą na aeroplan kilka granatów, przymocowując je w torebce do poręczy siedzenia. Zapalniki były wyjęte tak, aby w razie katastrofy i upadku, lub zbyt „twardego" wylądowania nie nastąpił wybuch mimo bezpieczników. Około 6 z rana porucznik Gavetti wzniół się w powietrze, kierując się ku oazie Ain-Zara, o 8 kilómetrów od najdalszych placówek włoskich. Spodziewał się tam zastać znaczniejsze oddziały arabów.

Wkrótce ujrzał oddział, liczący około 1500 arabów, zwrócony frontem na północ. W głębi oazy widać było armaty i regularną piechotę turecką. Wzniósłszy się na 700 metrów w górę, porucznik Gavetti wyjął jedną bombę i, przytrzymując ją kolanami, włożył zapalnik. Musiał tego dokonać jedną ręką, gdyż motor działał nieregularnie i zmuszał go do ustawicznego manewrowania korbą. Przelatując nad grupą arabów, wyjął zębami bezpiecznik i rzucił bombę. Przez parę sekund obserwował spadek granatu, potem bieg aeroplanu uniósł go od tego miejsca, więc zawrócił i wówczas spostrzegł ogromną chmurę czarnego dymu. Ludzie uciekali na wszystkie strony.

Gavetti powtórzył eksperyment jeszcze kilkakrotnie, zawsze z tym samym rezultatem. Nie dało się jednak dokładnie obserwować skutków, gdyż szybki lot aeroplanu odciągała awjatora nader rychło z terenu, na którym działa rzucona bomba. Należałoby więc — jak to już prawdopodobnie przedsięwzięto — wprowadzić w bój dwa aeroplany: jeden, z którego padają bomby, i drugi, lecący w tyle; z którego można obserwować działania pocisku.

Dzienniki włoskie przywiązują wielkie nadzieje do „walki z powietrza"; sądzą bowiem, że nietylko działanie bezpośrednie bomby może w bitwie oddać przysługi, ale, że wpływ moralny na arabów i na wojska tureckie będzie bardzo znaczny.

# Przeciwnik o komunie paryskiej.

Kłamstwa i oszczerstwa, któremi kapitalistyczna i reakcyjna prasa europejska obrzucała bohaterską rewolucję proletarjatu paryskiego z 1871 roku, spotykają coraz to mniej wiary, znajdują coraz to częściej jaskrawe zaprzeczenia, pochodzące od ludzi nie sympatyzujących ze socjalizmem i z powstaniem paryskiem proletarjatu socjalistycznego.

W ostatnich dniach znalazł się nowy świadek naoczny majowych dni 1871 roku, dni upadku, dni walki rozpaczliwej ginącej Komuny; świadek, który zeznaniami swemi zadaje kłam potwarcom reakcyjnym, znieważającym pamięć Komuny; — to świadek bezstronny, bo wróg i przeciwnik Komuny.

Przed kilku dniami wyszły w Paryżu pamiętniki generała Cuny. W czasie wojny między Paryżem robotniczym a rządem wersalskim, był on oficerem w wersalskiej armji i walczył przeciw Komunie. Jest on przeciwnikiem rewolucjonistów paryskich, ale jest uczciwym i prawdomównym człowiekiem i dlatego daje obraz powstańców paryskich zupełnie inny, niż fałszerze historji, stojący na usługach kapitalizmu.

Oto jak komunardów opisuje Cuny:

O trzeciej godzinie rano wyruszyliśmy koło Muette (wili zamkowej obok parku bulońskiego) do miasta. Walka uliczna szalała w dalszym ciągu. Ani na chwilkę nie umilkł grzmot armat i huk karabinów. Musieliśmy przepuścić brigadę kawalerji Galliffeta, która zmierzała ku ulicy de Passy. Generał ten pełen werwy młodzieńczej, chciał brać udział w walce i odznaczyć się w oczach naszych sfer rządzących... Po wschodzie słońca dotarliśmy do ulicy de Boulainvilliers, by tam otoczyć pałac z terasami ogrodowemi, gdzie się skupiło około tysiąc powstańców. Wypuszczono ich stamtąd i ustawiono ich po ośmiu w jednym szeregu w kolumnę, którą z prawej i z lewej strony otoczył szwadron konnicy. Dragoni naładowali broń, by przestrzec jeńców przed wszelką próbą ucieczki i pochód ruszył w kierunku do Wersalu, gdzie schwytanych z bronią w ręku komunardów stawiano przed sąd wojenny. Byli tam ludzie w różnym wieku, nawet starcy z włosem ubielonym, kobiety i dzieci z oczernionymi od prochu rękami, z podartą odzieżą. Wszyscy prawie nie mieli nakrycia na głowach... Wzruszająca solidarność jednoczyła ich wszystkich. Młodzi podtrzymywali starszych i nieśli ich niekiedy na ramionach. Na bramie

Point-du-Jour oświadczył mi jeden starzec, że nie jest już w stanie iść dalej. Chciałem go kazać nieść, ale nie zgadzał się na to. Byłbym go chętnie puścił na wolność, ale rozkaz wojskowy nie pozwalał mi na to. Postanowiłem go przeto oddać kapitanowi piechoty, stojącemu na paroli na jednej z bram. Oficer ten był niezwykle oburzony na komunardów i zapewne bardzo troskliwie mego więźnia.

Słońce wkrótce zaczęło palić. Trzoda ludzka, której tchu nie stawało z powodu upału i kurzu towarzyszącego pochodowi, z wielkim jeno trudem posuwała się naprzód. Ale przez całą drogę nie usłyszeliśmy ani jednej skargi — a przecież pragnienie tych ludzi musiało być olbrzymie. Wielu z nich nie miało nawet chusteczki, by obnażoną głowę uchronić przed promieniami słońca.

Kiedyśmy przyszli do Wersalu, pochód nasz przechodzić musiał poprzez dwa szpalery gapiów ciekawych. Naszych jeńców zasypali oni gradem obelg, próbowali ich bić, jedni laseczkami spacerowemi, inni parasolami. Ci obywatele czcigodni, przeważnie paryżanie, przeżyli dużo strachu i mścili się teraz, mścili się wtenczas, kiedy już nie mieli się czego lękać.

# Zwycięstwo nauki.

i

Radosny jubileusz obchodziła przed kilkunastu dniami nauka. Oto w dniu 26 października minęło lat 25 od chwili, gdy słynny lekarz francuski Pasteur przedstawił gronu uczonych chłopca dziewięcioletniego, wyleczonego z wścieklizny.

Ze wszystkich chorób, jakie trapiły i trapią ludzkość, wścieklizna jest prawie najstraszniejszą, a grozę jej powiększa jeszcze ta okoliczność, że roznosi ją wierny a nieodstępny towarzysz człowieka, pies.

Wściekliznę u psów znano już w czasach starożytnych, lecz dopiero w drugim wieku po Chrystusie ukazują się wzmianki o wściekliźnie u człowieka. Lekarze ówcześni wysilali swe zdolności na znalezienie lekarstwa na tę chorobę, lecz bezskutecznie. Ani połykanie ócz rakowych, ani zjedzenie wątroby tegoż psa wściekłego, który chorego ukąsił (które to środki polecali), nie zapobiegało wybuchowi wścieklizny u ludzi, pokąsanych przez wściekłe psy.

A ponieważ nie było środka, tłumiącego chorobę, dlatego ona ukazywała się coraz częściej, szerząc przerażenie i strach. Dochodziło do tego, że nieszczęśliwych chorych duszono, zastrzelano lub w inny sposób pozbawiano życia, a choć skóra się wzdryga na myśl, że ludzi chorych, nieszczęśliwych zabijano jak zwierzęta, jednak przyznać trzeba, że był to ostateczny środek, do którego uciekano się, w celu uniknięcia nieszczęścia większego. Jeszcze w r. 1810 zdarzył się we Francji wypadek uduszenia wściekłego człowieka materacami.

W roku 1880 rozpoczął Pasteur badania nad wścieklizną w celu wynalezienia na nią lekarstwa. Sposób leczenia chciał oprzeć na szczepieniu jadu wścieklizny, tak, aby organizm stał się odporny na wybuch choroby. Badania były długie i uciążliwe. W r. 1884, kiedy Pasteur doszedł już do pewnych wyników swych badań, wtedy poprosił, aby rząd ustanowił komisję dla ich stwierdzenia.

Komisja, przekonawszy się, że szczepienie jadu wścieklizny u psów daje dobre rezultaty, wyraziła życzynie, aby założono olbrzymią psiarnię, w którejby można trzymać przez dłuższy czas pod obserwacją psy szczepione i wystawiane później na zarażenie, a także próbować, czy takie szczepienie jest w stanie uratować psy już pokąsane. W tym celu zwrócono uwagę na część parku Muedon pod Paryżem; było to miejsce ustronne, łatwe do ogrodzenia. Trwoga i oburzenie zapanowała w całej gminie; każdemu z nich zdawało się, że ma u łydek całą sforę psów wściekłych. Nawet mer tameczny, jakkolwiek był wielbicielem Pasteura, założył protest do ministra; poruszono gazety, wysłano delegację i gmina Meudonn sprawę wygrała. Wówczas rząd ofiarował Pasteurowi dla jego psów część obszaru dóbr rządowych Villeneuve, a opierając się na tem oświadczeniu rządu i komisji naukowej, mógł Pasteur zdać publicznie sprawę na kongresie międzynarodowym, mającym się odbyć w Kopenhadze.

Na owym kongresie święcił Pasteur prawdziwe tryumfy. Kiedy opowiedział wszyststkie swoje doświadczenia, próby, badania i ich wyniki, ozwały się huczne oklaski, a w dowód czci dla niezmordowanego uczonego, wszyscy powstali z miejsc.

Dotąd jednak wszystkie doświadczenia odbywały się tylko na zwierzętach: psach, królikach i innych. Dopiero w marcu 1885 r. oświadczył Pasteur, że zacznie leczyć pokąsanych przez wściekłe psy ludzi. Wypadek zrządził, iż pierwszym pacjentem było 9-letnie dziecko, poszarpane w 14 miejscach przez psa wściekłego. Biedne dziecko szło polną drogą do szkoły, gdy napadł je pies wściekły; ocalił dziecku życie murarz, który, widząc z daleka, co się dzieje, nadbiegł z żelaznym drągiem i psa odpędził. Pies wrócił do swego pana i ugryzł go w nogę. Przerażony właściciel psa chwycił strzelbę i zabił psa na miejscu.

Sekcja zwłok stwierdziła wściekliznę; Pasteur uspokoił przerażonego właściciela psa i odesłał do domu, bowiem ubranie i bielizna jego nie były przegryzione. Natomiast rany dziecka były zatrważające. Nadzieja wyratowania zagrożonego życia ludzkiego walczyła w nim ze śmiertelną obawą i niepewnością. Pasteur zasięgnął rady jednego z uczonych kolegów, którego sądowi wielce ufał. Ten uznał, iż wobec tak okropnego wypadku, należałoby próbować ostatniego środka ratunku. Kilku jeszcze lekarzy potwierdziło to zdanie. Zdecydowano zaszczepić malca tegoż jeszcze wieczora. Pasteur zastrzykiwał mu przez 14 dni jad ochronny. Malec królował nad królikami, morskiemi świnkami i myszkami białemi, bawił się wyśmienicie, a szczepienia coraz świeższym jadem miały miejsce codziennie. Im jadowitszego środka używał Pasteur, tem większy ogarniał go niepokój; pracować we dnie, ani sypiać po nocach nie mógł; prześladowała go wizja okropnej śmierci jego pacjenta. Cały przebieg leczenia trwał dni 14, szczepiono malca 12 razy, z tych ostatnie zastrzyknięcie jednodniowym jadem, dającym królikowi wściekliznę w drugim dniu. Po tem ostatniem szczepieniu malec wesoły spokojnie spać się położył, a dobroczyńca jego oka nie zmrużył przez noc całą. Nazajutrz wyczerpany oddał go pod opiekę dra Grauchera, a sam pojechał na kilka dni wypoczynku do córki swej w okolicy miasta Arallon w Burgundji.

O tym to pierwszym przypadku leczenia swoją metodą zdawał Pasteur sprawę w dniu 26 października 1886 roku na posiedzeniu akademji nauk ścisłych. Od tej chwili rozpoczęła się rzeczywista walka z wścieklizną, której rezultaty dziś stają przed nami. Przed 25 laty stanęły zakłady, instytuty, lecznice imienia gienjalnego Pasteura we wszystkich krajach świata, a pierwszy taki instytut powstał w Paryżu w 1888 roku z dobrowolnych darów i składek międzynarodowych.

## Rozmaitości

**Telefon jubilatem.** W roku bieżącym upływa lat pięćdziesiąt od ustawienia pierwszego aparatu do rozmowy na odległość; był on niepodobny do tego, co dziś nazywamy telefonem. W roku 1861 Filip Reis z Friedrichshof, pod Hamburgem, wytworzył przyrząd, chwytający głos i odtwarzający go na znaczną odległość, lecz słowa wychodziły zeń niewyraźnie. Inni wynalazcy usiłowali ulepszyć aparat Reisa i nadać mu zastosowanie praktyczne, lecz dopiero w 14 lat później, w r. 1875 amerykaninowi Grahamowi Bell, udało się zbudować to, co dziś nazywamy telefonem, aparat, przesyłający głos ludzki wyraźnie; był to jeszcze przyrząd jednostronny, czyli, że na jednej stronie można było tylko mówić, po drugiej tylko słyszeć dopiero w r. 1878 M. Hughes wynalazł aparaty, dzięki którym po obu stronach drutu można i mówić i słyszeć. Obecnie na powierzchni świata

jest parę miljonów centrali telefonicznych, a długość drutów, opasujących ziemię, wynosi kilkakroć sto tysięcy kilometrów.

* * *

**Czarna groźba w Ameryce.** W Cometa (stan Oklanoma) w Ameryce grozi wybuch masowych walk pomiędzy czarnymi i białymi wskutek następującego wypadku. Murzyn przechodząc ulicą, zepchnął białą dziewczynę z chodnika. Dwóch białych, którzy ujęli się za dziewczyną, murzyn zranił wystrzałami z rewolweru. Murzyna zabito, jeden z białych padł trupem.

Na to tysiąc murzynów tamtejszych zagroziło wyrżnięciem całej ludności białej, mniej licznej.

Do Cometa wysłano kompanję żołnierzy i wysłano z tej miejscowości wszystkie białe kobiety i dzieci.

* * *

**Caruso i samobójca.** Gdy Caruso przybył ostatnio na występy gościnne w Berlinie, otrzymał list następującej treści:

„Szanowny panie Caruso! Mam stanowczy zamiar rozstać się z tem życiem, pragnę jednak wykonać go wówczas dopiero, gdy zobaczę grę i usłyszę śpiew pański. Nie zdoła pan sobie nawet wyobrazić, jaką drobnostką będzie dla mnie śmierć, gdy pomyślę, że głos pański będzie mi pieśnią pożegnania. Chciałbym tylko prosić, abyś mi pan zapewnił bilet po cenie zwykłej, posiadam tyle tylko gotówki, aby utrzymywać się przez 3 dni do dnia występu wielkiego artysty i 10 marek na bilet. Rachunek poniższy stwierdza prawdę moich słów: Posiadam 35 marek. Gdy zapłacę za bilet 10 marek, za inne wydatki w teatrze 2 mk., za broń i naboje 3 marki i za trzy dni utrzymania 15 mk., pozostanę bez feniga przy duszy."

List ten zaniepokoił Carusa niebywale. Artysta jest człowiekiem bardzo zabobonnym i wierzył, że jeśli nie pomoże nieznajomemu, gościna jego w Berlinie przyniesie mu nieszczęście. Starał się usilnie odnaleźć nieznajomego, lecz było to niepodobieństwem, gdyż list nie był nawet podpisany. Wreszcie artysta kupił sam bilet i polecił w kasie, aby go wydano człowiekowi, który zgłosi się po bilet za 10 marek po cenie nominalnej. — Później już artysta zapewniał, że nigdy jeszcze nie śpiewał tak znakomicie, jak podczas gościny w Berlinie; świadomość, że głos jego jest pieśnią łabędzia dla umierającego, była dlań podniętą, nadającą głosowi niebywałą siłę i uczucie.

* * *

**Pomnik Ferrera w Brukseli.** Dnia 6 b. m. odsłonięto w Brukseli na placu św. Katarzyny pomnik Ferrera. Mimo niepogody odbyła się uroczystość przy imponującym udziale robotników; także wielu reprezentantów z zagranicy przybyło. W uroczystości wzięła też udział córka Ferrera i jego przyjaciel Malato. Cały plac i domy naokoło udekorowane były chorągwiami w barwach wszystkich narodów dla zademonstrowania, że przeciw międzynarodowej sile reakcji stoi międzynarodowa potęga wolnej myśli. Mowę wygłosił były pastor protestancki; na bankiecie przemawiali: Partel, następca Ferrera w kierownictwie jego szkół, poseł liberalny Janson, wykonawca testamentu Ferrera, demokrata Sarrant i socjaliści Hins i Furnemont. Twórcą pomnika jest rzeźbiarz Puttemans; koszta pokryto ze składek zebranych wśród wolnomyślicieli całego świata.

* * *

**Ile czasu potrzebuje telegram dla obejścia kuli ziemskiej naokoło?** Ciekawy eksperyment przeprowadzono w Nowym Jorku dla ustalenia, ile czasu potrzebuje telegram dla oblecenia naokoło kuli ziemskiej. W redakcji „New Jork Times" nadano telegram o 9 słowach, który przez Honolulu, Singapore, Bombaj, Suez, Gibraltar i wyspy Azorskie wrócił do Nowego Jorku. Telegram odbył drogę 28 618 mil angielskich i przeszedł przez 16 stacji głównych, a potrzebował na to 16 i pół minut. Przeciętnie robił on 1740 mil na minutę. Ten czas nie jest jednak najkrótszym, gdyż starsze doświadczenia przekonały, że tę samą drogę może telegram odbyć za 9·30 minut. Powyższy telegram szedł jako zwyczajny, t. j. nie powstrzymano dla niego normalnego ruchu na odnośnych linjach telegraficznych.

* * *

**Uniwersytet angielski w Chinach.** W odezwie, podpisanej przez kierowników uniwersytetów w Oksfordzie i Cambridge, wykazane są bliższe szczegóły projektu założenia w Chinach środkowych, mianowicie w Hankau, bądź Wuczangu, uniwersytetu angielskiego. Projekt powyższy jest od lat trzech opracowywany przez przedstawicieli aniwersytetów angielskich, wyższych szkół amerykańskich i kanadyjskich, oraz uniwersytetu w Kalifornji i Toronto. Już obrano miejsce, w którem gmach będzie wzniesiony; na pierwszego prezydenta uniwersytetu wybrano p. Soothilla, dawnego kierownika uniwersytetu chińskiego w Szanaj.

Budowa będzie rozpoczęta niezwłocznie po uspokojeniu się Chin. Obecnie gromadzone są kapitały, które w sumie ogólnej mają wynosić 250 000 funtów szterlingów. Połowę tej sumy dostarczą Anglja i Ameryka. Prasa niemiecka, notując tę wiadomość, mówi z przekąsem, że Anglja i Ameryka, „oddając chińczykom usługę nieoszacowaną", chce zabezpieczyć rynki handlowe, pomimo wielkiej konkurencji.

* * *

**Klub miljarderów.** W Nowym Jorku otwarto niedawno t. zw. „Reces Club", którego członkami są miljarderzy amerykańscy. Lokal klubu urządzony jest z niesłychanym przepychem i mieści szereg arcydzieł sztuki. Założycielami klubu są znani miljarderze amerykańscy Pierpont Morgan i Geo Baker. Klub obliczony jest najwyżej na 250 członków

* * *

**Przyczyna niemoralności.** Zdarzyło się w mieście Milwaukee w Ameryce, że na zachodniej stronie miasta wynaleziono grupę młodzieńców, którzy uprawiali niemoralne i nienaturalne stosunki z podlotkami. Do sprawy tej wmięszane były dziewczęta Theimhaus. Zaledwie sprawa ta dostała się do wiadomości publicznej, zabrał głos ksiądz Dean Delaney i potępił niemoralność młodzieży wogóle; a 12 chłopców i kilku dziewcząt w szczególności. Wyraził się, że przyczyną niemoralności wśród młodzieży jest głównie to, iż w szkołach publicznych niema nauki religji. Ksiądz dobrze zrobił, że się odezwał i że zwrócił uwagę rodziców na niedoglądanie dzieci, gdy wymykają się z domu wieczorami. Ale kiedy zbadano całą sprawę, okazało się, że ojciec duchowny mylił się grubo w jednej części swej nauki. Oto chłopcy, złapani na niemoralności, uczyli się w szkołach, gdzie wykładaną jest religja, mianowicie uczęszczali do Marquette College. Dziewczęta zaś Theinhaus wychowane były w klasztorze, gdzie siostry zakonne i księża uczyli je religji i moralności. Zatem uwaga księdza Delaney okazała się niewłaściwą, bo niemoralna młodzież nie uczęszczała do szkół publicznych, lecz do jezuickich zakładów.

* * *

**Wypadek Henryka Sienkiewicza na polowaniu.** Z Warszawy donoszą: W ubiegłą sobotę w dobrach Pawłowice dra Jana Brzezińskiego odbywało się polowanie na bażanty z udziałem kilku znanych myśliwych z Warszawy. Pod koniec polowania, około godziny 5-ej po południu, kiedy zaczął zapadać zmrok, a myśliwi z trofeami powracali do dworu, nagle poderwał się kogut. Dano doń prawie jednocześnie dwa strzały. Bażan poszedł, natomiast ofiarą jednego z strzałów padł Henryk Sienkiewicz. Jedna śrócina ugodziła go w czoło tuż powyżej prawej brwi, druga w okolice stawu kolanowego lewej nogi. Ranki są tylko nieznaczne i w niczem nie zagrażają powieściopisarzowi.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 46. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 25 listopada 1911.

JULJUSZ KADEN.

## ŚPIEWACY.

By z okien gruchnął tkliwy grad jałmużny, w głębi podwórza, — w studni kamiennej, ślimakiem pięter pod pod niebo cembrowanej, słaniam się, płaczę i wyję.

Na tym okręcie maszty strzaskane,
A na tej lutni struny zerwane!

Niosę wam miłe poselstwo z ziemi dalekiej. Na wstędze głosu, na przegryzionym sznurze oddechu wiszą suchoty.

I idę dalej.

Nie patrz mi w oczy, mam oczy zdechłej ryby.

Nie patrz mi w oczy, me oczy cuchną.

Jestem śpiewakiem.

Gdzieście odeszli śpiewacy, że was nie słychać, gdzieście odeszli bracia! Na jakich nurach, ukołysany, zasnął wasz głos.

Nie patrz! Suknię mam litą z błota i ulicznego brudu, kurzem przydrożnym sposobię gardło do śpiewu, na złotych cięgach spiekoty chłodzę mą krtań, na zimnie, chłodzie i mrozie grzeję mój zapał.

Suknię porwaną zwilżam upałem, suknię porwaną suszę w ulewie, suknię mam w dziurach, ciało mam w łatach, tobie do usług — gniję.

Doły mych oczu — dwie czarne nuty, zęby niezwartych ust — chwiejne klawisze, mój brzuch — miech głośny. Głód go gniecie i kalikuje, organ jestem chodzący, harmonja, twej mszy sławna muzyka dobrodzieju!

Na tym okręcie maszty strzaskane!

Suknię mam podłą, nie patrz w me oczy, mam oczy zdechłej ryby, me oczy cuchną.

Zarobić daj, jestem śpiewakiem.

Postaw niedojdę, postaw chudzinę, postaw gardłacza na twoje pańskie pole. Trupem skostniałym ustrzegę ci je.

Na zbytku siedzisz tłusty kluczniku, nuda cię słodko pieści, przez pulchne gardło wzdycha, wzdycha sytną czkaweczką. Nudzisz się radco, nudzisz się książę, nudzisz się księże, nudzisz się hrabio.

Miast dłubać w zębie, miast dłubać w nosie, gdyś najadł się i napalił! Miast strzykać w palce, czy wykałaczką dobywać z ucha twą czystą, złotą i muzykalną woskowinę, kopnijże z okna, w dół, z góry na dół, kopnij i spluń w podstawną muszlę rąk, w żywą spluwaczkę rąk, spluń kruszkę twego dobrobytu, strzepnij monetkę.

Dola chudziutka.

Gdzieście odeszli śpiewacy?

Dola chudziutka, dola cieniutka, dola dziurawa.

Gdzieście odeszli śpiewacy, że was nie słychać?

Dola dziurawa — piszczałka. Dola fujara, matka fujary, matka moja!

Gdzieście odeszli śpiewacy, że was nie słychać, gdzieście posnęli bracia rodzeni, na tym okręcie maszty strzaskane!

Te słowa w sobie śpiewak wił, ukręcał w jedno zawołanie, urabiał w jeden krzyk.

Nie śmiałby śpiewać, nie śmiałby mówić, zaledwie myśleć śmiał. Choć w samotności swej, w osamotnieniu wielkiem trząsł się ze zgrozy-rozpaczy, głodny i chłodny, choć palenisko jarego buntu czuł w piersi wyschłej, kurzem nasiąkłej, w wietrze skostniałej szedł wolno, chlapał stopą o bruk, oczami łypał, uchem i strzygł i prosił.

Płuży ulicą samotny, wolny, a zda się ciągnie wór, a zda się ciągnie wóz, gdyż nierozgiętym kolanem dzióbie mgliste koryto ulicy, gdyż podał piersi wprzód, ramiona mu dyndają, gdyż głowę aadarł ku niebu. Widać wodze nim rządzą niewidziane, głowę nad tonią ucisku utrzymać pragnie, z zatraty głowę zrtować chce.

Z głodów żarliwych, z nieprzemierzonych nędz, z haniebnej skruchy z wilczej zawiści uciułał sobie pieśn sobaczą. Pieśnią nabożną, litosną, pieśnią bezwstydnie wierzącą ślini ten twardy pański słuch, kulawą, chromą — cieszy opasłe ciała miłosierdzia. Liże tą pieśnią zamknięte drzwi, zawarte okna, zakrzepłe mury a u wysokich schodów pałacu, przed gmachem sądu, przed budą kary skamle i skuczy: „Okażcie litość w imię tego, którego zamordowano na krzyżu.“

A pod tem słowem, a pod tym sensem a pod tą myślą ryczy śmiech i gra dreszcz słodki, cierpki, gorzki dreszcz grzechotnik.

Umknęły gniewy, że jeno widać ginący w głuszy miejskiej ostatni cwał zapalnych słów.

Sława ci świecie, niezmordowana chwała.

Po mieście pańskiem, pobudowanem, po mieście gładkiem! Gdzie drzewa czesze zobowiązany ogrodnik-fryzjer, gdzie łajno końskie zbiera schludny stróż, gdzie społem trwa człowiek-maszyna, człowiek-pan, kobieta-lubieży ściek, człowiek-morderca, człowiek-kat i dziewka chuci zlew, gdzie człowiek-zdechlak, głodomór, wilk, kłów nie użyje a bratu do nóg kładzie swą pieśń jak szczenię głodu, jak pomiot nędzy — — po mieście doświadczonem chodzi strawiona już w kiszce zapotrzebowań twych, miazga karmna, miazga ludzka, a ty to znosisz, znosisz łaskawe, hojne, szczodre, ty, miasto!

Nie patrz mi w oczy, mam oczy zdechłej ryby.

Nie patrz mi w oczy, me oczy cuchną.

Twój śpiewak, miasto, całuje twe kamienie, pije twe ścieki, pieści twe zlewy, chłonie twój dym i smród, ty łaskawe.

Gdzieście odeszli bracia, że was nie słychać, gdzieście pomarli!

Śpiew mój — czarna sień, uciekaj stąd, biegnij do wyjścia, u wrót mego śpiewu czeka na ciebie strzępione próchno szczęk!

Masz mnie! Me córki — skrzypce twoje, grasz na nich panie.

Masz mnie! Ma żona — dojna twoja krowa. Twój udój stały, doisz krwawy pot.

Masz mnie! Synowie moi, strzelcy twoje. One to w strojnym ozdynku warkną ojcu w twarz nutą ołowiu, kulą boleści.

Dola chudziutka, dola cieniutka dola dziurawa — lufa.

A na tej lutni struny zerwane.

Masz mnie! Mój głos — twój budzik panie, wsadźże twój czujny klucz w koła zegara i nakręć głodem kiszki.

Masz mnie! Wylewa się ze mnie twa łaska radco, korkociągiem sprawiedliwości otwarłeś butlę, leje się z niej bez końca chwalba twoja.

Masz mnie! Rozgłaszasz mores miłości złoty panie. Zakasuj poły, dychaj spokojnie. Pokorne boki chłoną kopnięcia, chciwie się karmią sieczką twych nauk, głodem skwapliwie kwaśne bigosy twego kazania.

Śpiew zapomina, przemienić chce...

Zapomnę, żeście są, zapomnę, żeście byli. Nie wiem co jest, nie wiem co było. Nicuję oko, nicuję ucho. Ciemną lewą stroną pozieram w świat. Widomą prawą szukam w sercu.

Niech znajdę tu chwilę małego miejsca, niech znajdę tu chwilę wytchnienia.

Za sobą wlokę czarny wór choróbsk, po drodze nałapanych. Za sobą taszczę wóz niewoli i człapię ulicą w górę, pod górę.

Niech znajdę w sobie chwilę cichego miejsca.

Masz mnie a puszczam cię mimo. Leć panie, słowem żebraczem w rękę łaskawą nie całowany. Leć pani biała, z migdałowej kąpieli wykwitła, stopką pohopną, futerkiem mojej skargi nie okurzoną. Leć drogi bliźni, blizna mych ran nie będzie liną wyniesienia się twego.

Na tylnych łapach staję, — twój kundys czworonożny ośmiela się. Na zadnich łapach stojąc, bebechy batem schlastane, kryjąc, przednie łapy z głodu sysając, kwaśne są, słone, pokrzepiające, — szukam w swem sercu chwili wytchnienia.

Ty je masz, ty je znasz, ty się go uczysz.

Ty mądrość pijesz z opłaconych głów, ty cnotę skarbisz z wynajętych serc.

Ja kruszę straszny łom niewidzy, ciskam się pod hukiem rozechwianych spraw, ja nieskończony, ja zaniechany, ja niepobudowany.

Ja nie znam ciszy, jestem śpiewakiem.

Kisnę pod murem twego kościoła, drę się błagalnie u wrót twoich kosztownych szkół, a moja żona jest płodna, a moje dzieci są płodne, a moje wnuki są płodne, — nawozim ci twój bruk. Co też z bruku wyrośnie!

Nie znajdę chwili cichego miejsca, nie zdybię chwili wytchnienia, wszystko jest we mnie naruszone, wszystko jest we mnie uszkodzone.

Na tym okręcie maszty strzaskane,
A na tej lutni struny stargane.

Jestem śpiewakiem.

Masz mnie, z tej krzywdy skarbię tę pieśń, twoja jest i tyś jest ojciec. Na piersi syna wwalonej siadłeś, ma grdyka — jest twój gryf. Dławisz palcami, na herb sygnetów ścięgna nawijasz, przygniotłeś kciukiem. Słuchaj jak w pustem pudle muzyka twoja płuco targa, jak pęka nuta po nucie, oczko po oczku, jak z ust wymiata czerwone skrzepy-pieśni.

Żar wybucha.

Nie patrz mi w oczy, me oczy cuchną.

Jestem śpiewakiem — mierzwa jestem.

Gwiazda już kwitnie. Gwiazda gniewu pali się w ustach, żarzy się w gardle. Przełknę gwiazdę.

Na górze, za granicami, wiatr się przewala. Tu, z miasta noc wyświecona, na dzikich wygonach jęczy.

A w dole blasków wąsy, na supły lamp wiązane.

A w dole świateł piszczele, pomiędzy ciżbą kamienia.

A w dole długie świetliste kościotrupy w klubach kamiennych wiją się, łamią i gną.

Gwiazda już kwitnie. Gwiazda gorzeje w ustach, żarzy się w gardle, spływa do serca.

Jestem śpiewakiem. Otwarte serce, rozwarta gardziel, usta na ścieżaj.

Nad szkarpem pochylony, krzyk bezdomny.

Tu bije źródło twojej sławy, tu, tryska, miasto, o tobie wieść.

Leje się z krwią przemięszana pieśń — suchoty.

Kołysze się w oczach świat i bełkocze.

Kołyszesz się w oczach tę pieśń lejącego — okręt szalony, światłami wściekły.

Ręce ciśnięte w pustą przestrzeń walą twój twardy grzbiet, grzbiet dzika, piorunochronów szczeciną zarosły.

Ręce złamane stworzyły okrętny wiatrak rozmachu.

Skokiem straszliwym, skrzydłem jastrzębim zlatuje radość ku przetężonym skroniom.

Na tym okręcie maszty strzaskane!

Gdzieście odeszli śpiewacy, że was nie słychać, gdzieście usnęli bracia niemściwi?...

Nuże!

Przegryźcie łupę miłosierdzia, rozprujcie błonę współczucia.

Chuzia!

Na okrainach miasta, wraz z nocą czarną, wyświecony tłum, wygnani — nuże! Lejcie czarną smołę swych pieśni, wylejcie piersi.

Śpiew wasz — łuczywo co łzami ognia płacze.

Tej pieśni pierścień, obręcz wielkiego ślubu.

Pędźcie spiewacy!

Lećcie śpiewacy!

Nuże!

Echo was czeka w duszach skrzywdzonych. Ze snu już pora!

Uderzcie głosem w wasz luty los.

# Krwawa tragedja miłosna.

Wiedeń został wstrząśnięty straszną tragedją miłosną, jaka rozegrała się w czwartek, 16 b. m. w rodzinie dr. Holzknechta, emerytowanego szefa sekcji w ministerstwie sprawiedliwości

Dzienniki wiedeńskie tak opisują to tragiczne zajście:

Dr. Matkowicz, były nauczyciel w domu dr. Holzknechta, który zakochał się w ich córce Marji, był dzień przedtem u Holzknechtów na uroczystości srebrnego wesela i zabawił tam do późnej nocy. Matkowicz i dzieci Holzknechta grały na skrzypcach i na fortepjanie. Odchodząc Matkowicz powiedział, że nazajutrz przyjdzre na lekcję nie o godz. 6 jak zwykle, lecz o 4 po południu. Matkowicz bowiem dowiedział się, że o tej godzinie dr. Holzknecht wychodzi z żoną do krewnych. Matkowicz zatem z góry uplanował morderstwo.

O godzinie 4 po południu Matkowicz przybył do mieszkania Holzknechtów. Drzwi otworzyła mu kucharka, która zaraz odeszła do kuchni, znajdującej się za pokojami. Matkowicz wszedł do pokoju i zaczął strzelać. Młodszy syn Jerzy i córka Marja zginęli na miejscu. Starszy syn Robert miał jeszcze tyle przytomności, że zawołał:

— Matko! Matko! Matkowicz strzelał! W drugim pokoju leżą dwa trupy! — poczem stracił przytomność. Matkowicz odebrał sobie następnie życie.

Policja tymczasem szukała rodziców pomordowanych, aby ich z całą ostrożnością zawiadomić o tem, co zaszło. Chodziło zwłaszcza o dr. Holzknechta, 73-letniego starca. Dozorcy domu polecono, aby nie puszczał Holzknechtów do mieszkania, gdyby się wcześniej pojawili. Najpierw przybyła p. Holzknechtowa. Dozorca poprosił ją, aby nie wchodziła do mieszkania, tylko zaczekała na męża. W kilka minut później nadszedł dr. Holzknecht. W tej chwili zbliżył się do niego komisarz policji i poprosił go, aby wysłał ggdziekolwiek żonę, a sam poszedł z nim do mieszkania. Na pytanie Holzknechta co się stało, komisarz z trudem odpowiadał. Po chwili powiedział komisarz, że stało się nieszczęście.

Dr. Holzknecht: Czy dziecko umarło?

Komisarz: Jeszcze gorzej.

Dr. Holzknecht: Cóż więc się stało?

Komisarz: Dwoje dzieci zginęło.

Dr. Holzknecht: Co z trzeciem?

Komisarz: To żyje, ale jest ciężko ranne.

Następnie opowiedział komisarz całe zajście. Dr. Holzknecht nie powiedział ani słowa i spokojnie wszedł do mieszkania. Komisarz prosił go, aby nie wchodził do pokoju w którym leżą zwłoki dzieci. Gdy następnie pani Holzknechtowa chciała wejść do tego pokoju, mąż jej nie puścił, mówiąc:

— Przypominam sobie, jak wczoraj moje dzieci się bawiły i grały. Chcę ten obraz zatrzymać w pamięci i dlatego nie wchodzę do pokoju.

Gdy w rodzinie Matkowicza dowiedziano się o tem zajściu, zapanowało tam ogromne przerażenie.

Dr. Holzknecht oświadcza, że odmówił Matkowiczowi ręki córki nie ze względu na jego stanowisko praktykanta sądowego, tylko dlatego, ponieważ uważał, że różnica wieku pomiędzy nim a córką jest za mała. Ponadto córka nie chciała sama wyjść za mąż. „Zresztą — mówił dr. Holzknecht — myśmy nie mieli żadnego majątku, a córka nasza, wychodząc za mąż, straciłaby posadę nauczycielki".

Ofiara tej tragedji, córka dr. Holzknechta, Marja, była znaną pięknością. Odznaczała się też jako utalentowana pjanistka — była bowiem uczenicą znanego profesora Leszetyckiego. Również posiadała piękny głos.

Nauczycielką była raczej z zamiłowania, gdyż stosunki finansowe do tego ją nie zmuszały.

Dr. Matkowicza nie kochała. W przeddzień tragicznego zajścia oświadczyła mu, że nie wyjdzie za mąż i że czuje się szczęśliwie w swoim zawodzie i dobrowolnie nie zgodzi się na zmianę tych stosunków. To zdaje się wpłynęło tak deprymująco, że dopuścił się tak tragicznego czynu.

Pogrzeb ofiar tragedji odbył się w poniedziałek.

Holzknecht oświadczył dziennikarzom, że dzieci jego są ofiarami nieszczęśliwej ustawy, uchwalonej przez sejm dolno-austrjacki. zaprowadzającej celibat dla nauczycielek. Córka jego bowiem ze względów finansowych nie mogła porzucić zawodu nauczycielskiego, a wobec tej ustawy nie mogła wyjść za mąż.

Holzknecht nie rozumie, co mogło wywołać czyn Matkowicza. Matkowicz był zawsze nadzwyczaj rozsądaym i trzeźwym i kochał dzieci rodziny Holzknechta. „Ileż to razy — mówił Holzknecht — życzyliśmy sobie, aby nasze dzieci były do niego podobne, tak dzielne i tak dobrego charakteru. Zamordował mi dzieci w kwiecie wieku; jednakże myśląc o nim, nie mogę przecisnąć przez usta złego słowa, taki obraz pozostawił w moim sercu i tak go dawniej lubiłem, jak własne dzieci, ja mu przebaczam; oby mu i Bóg przebaczył. Musiał być chory, lub bez umysłów".

Holzknecht opowiada dajej, że bynajmniej nie odebrał Matkowiczowi wszelkiej nadziei. Córka była tak zapaloną do zawodu nauczycielskiego, że oświadczyła, iż jak długo sejm ustrjacki nie zniesie przymusowego celibatu nauczycielek, nie rozłączy się ze szkołą. — W późniejszym terminie bylibyśmy się zgodzili na jej ślub z Matkowiczem; nie miał więc powodu do rozpaczy.

Stan starszego syna dr. Holzknechta, Roberta, jest ciągle bardzo groźny.

## Rozmaitości

**Jedwabny sznur.** Już dziś uważać można jako błogosławione następstwo rewolucji w Chinach, że zniesiono t. zw. „jedwabny sznur", czyli obowiązek odebrania sobie życia. Przedtem do wybitniejszego chińczyka mógł przyjść każdego dnia i godziny z „pałacu" (tak zwano „rodzinę cesarską") eunuch, który, wręczywszy mu jedwabny sznur, nie szczędził pochlebnych i grzecznych słów, a nawet pozdrowienia cesarskiego. „Uszczęśliwiony" tym darem wiedział już, co mu czynić pozostaje, nie usłuchawszy bowiem rozkazu, musiał się przygotować na uwięzienie i na nieubłaganą zemstę.

Po wręczeniu sznura przychodził ten sam eunuch dowiadywać się ze słodkim uśmiechem o „zdrowie" obdarowanego. Biada mu, jeżeli na to zapytanie odpowiedziała jego rodzina, że stosownie do rozkazu pana, żyć „usiłował". Na ten wyraz „usiłował" kładziono nacisk, ażeby przez to zaznaczyć, że porzucił już tę dolinę łez.

Swoją drogą szpiedzy sprawdzali, czy istotnie odebrał sobie życie, w przeciwnym zaś razie wpadano do domu, więziono rodzinę, a cały majątek ulegał konfiskacie.

Miejsce jedwabnego sznura zastępowała w szczególnych przypadkach „pigułka opium". Wiadomo, że młodszy cesarz, Kwang-su, na kilka dni przed śmiercią cesarzowej-wdowy otrzymał również odwiedziny eunucha, który jednak wręczył mu i sznur jedwabny i pigułkę z opium, dając mu do wyboru jedno lub drugie. Ponieważ Kwangsu wiedział, że losu swojego nie uniknie, więc wybrał pigułkę.

Opowiadając również, że słynny a dziś mniemany zbawca Chin, Juan-Szi Kaj, otrzymał przed swoim wyjazdem z Pekinu sznur jedwabny, pozwolił sobie jednak na odpowiedź, nie pozbawioną aktualnej ironji, odesławszy bowiem sznur, pisał, że nie wie, co z nim począć, że jednak nosi przy boku wypróbowany miecz, którym sznur ten mógłby, gdyby chciał, przeciąć na dwoje. Zastępy jego zwolenników były już wtedy tak liczne, że rząd, przerazony, sznur zatrzymał przy sobie, nakazując tylko Juan-Szi-Kajowi powrócić do swojej ojczyzny i tam pielęgnować swoje zdrowie. Ale, bądź, co bądź, zwyczaj przesyłania sznura ustał już chyba na zawsze.

Oczywiście wobec „motłochu" nie robiono ceremonji z „jedwabnym sznurem". Takich skazańców spędzono do kupy i ucinano im łby, jak bydłu.

* * *

**Niezwykły rachunek.** Przy odnawianiu archiwum kościelnego katedry szweckiej w Tawaśćguście w Finlandji, między starymi papierami znaleziono ciekawy rachunek, wystawiony niezawodnie przez majstra, który dokonywał odnowienia katedry w r. 1618. Znajdują się w nim takie pozycje:

Za poprawienie dziesięciu przykazań — 2 mk.

Za dorobienie nowego oka łotrowi na krzyżu i rozszerzenie mu palców 1 mk.

Za odświeżenie Piłata Ponckiego i obszycie czapki jego nowem futrem — 1 mk.

Za trzykrotne pomalowanie służącej arcykapłana — 2 marki.

Za powiększenie niebios i dodanie kilku gwiazd — 3 marki.

Za poprawienie ogni piekielnych i zrobienie djabłu straszniejszej twarzy — 15 mk.

Za posrebrzenie 30 srebników Judaszowych — 1 mk.

Za przedłużenie końca świata, który był za krótki — 3 marki.

Za oczyszczenie morza Czerwonego od śladów much — 3 marki.

* * *

**Przepowiednie na rok 1912.** Znana wróżbiarka paryska, pani de Thebes, ogłosiła swoim zwyczajem swe „przepowiednie na rok 1912". Zdaniem jej rok 1912 będzie rokiem „feralnym", gdyż pozostaje pod „magnetycznym wpływem" planety Merkura, niekorzystnym dla ziemi. Co więcej, grozi pani de Thebes, że ten okres „niekorzystnych wpływów" porwa aż do 35 lat. Pomimo to — ciągnie dalej paryska wróżbiarka — „w roku 1912 nie będziemy mieli jeszcze wojny z Niemcami, nie mówi o wojnie wogóle, bo ta wojna odbędzie się napewno w r. 1913". Poza tem wróży jeszcze pani de Thebes Paryżowi wiele nieponiepomyślnych wydarzeń.

„W ciągu roku 1912 spłonie jeden z wielkich teatrów paryskich, umrze jeden z najwybitniejszych pisarzy; kroniki dzienników zanotują cały szereg skandali teatralnych". By

jednak nie przerażać swych wyznawców zbytnim pesymizmem, zaręcza pani de Thebes na zakończenie, że „w ciągu 1912 roku, tak samo jak poprzednio, Francja nadal przewodniczyć będzie kulturalnemu ruchowi narodów europejskich".

* * *

**Handel dziećmi w Paryżu,** W Paryżu nadzwyczajną sensację budzi sprawa odkrycia obszernego handlu młodocianemi dziewczętami, która zatacza coraz szersze kręgi i w dalszym ciągu objęła także osobistości znane i „poważne". Przehandlować miano przeszło 300 nieletnich dziewcząt, w wieku od 11 do 15 lat; wiele z nich przeszachrowane zostały przez własne matki, które za uzyskaną za nie sumę pragnęły ujść nędzy.

Osławiona w Paryżu rajfurka Lamaire z ulicy Wiktora, została aresztowaną; oprócz licznych dziewcząt, przeszachrowała ona także własne dwie córki. Klienci owych rajfurek wabieni byli przez nie za pomocą zrócznie ułożonych ogłoszeń w pismach, w których polecano „małe obrazki" i „klejnociki" na sprzedaż. Wtajemniczeni wiedzieli już, jakiego to rodzaju klejnociki im zalecano. Aresztowano już dużą liczbę osób.

Ohyda dzisiejszego ustroju kapitalistycznego na każdem polu. Dla zdobycia pieniędzy rzuca się dzieci w otchłań zbrodni.

* * *

**Nędza w Ameryce.** W jednym z niemieckich pism ekonomicznych pojawiła się korespondencja z Nowego Jorku, w której opisuje autor wprost okropne stosunki wśród sfery ludności zarobkującej. Obok przysłowiowych bogaczy amerykańskich, istnieje potworna otchłań nędzy. Na ulicach i w handlach Nowego Jorku, Chicago i innych miast ludzie giną literalnie z głodu, chociaż pragnęliby pracować. Pracy zaś często brak. Statystyka wykazała, że w Stanach Zjednoczonych jest obecnie przeszło trzy miljony nędzarzy, zwanych tam „Paupers", zaś cztery miljony ludzi korzysta z publicznych instytucji dobroczynnych. W jednym tylko roku wyrzucono na bruk w jednej dzielnicy Nowego Jorku 60,463 rodzin, gdy nie miały z czego zapłacić czynszu. Statystyk Hunter obliczył, że w 1903 roku 20 procent ludności Bostonu nie miało z czego żyć, w Nowym Jorku wynosił ten procent w roku 1907 — 19 procent.

Najgłówniejszym powodem nędzy jest brak pracy. Jest on tem dotkliwszy, że rząd nie wyszukuje w takich wypadkach źródeł zarobku dla ludności w robotach publicznych. Wówczas jest ludność skazana na bezwarunkową nędzę. Kto nie zaoszczędził na te czasy grosza, ginie z głodu. Ubezpieczenia robotników, ochrona ich przed wyzyskiem stoją na najniższym poziomie, gdyż nie mogą podołać olbrzymiej sile i organizacji trustów kapitalistycznych.

W Ameryce, w Europie, czy gdzieindziej wszędzie pod panowaniem kapitalizmu ta sama nędza dziesiątkuje lud roboczy a przeciwnicy nasi śmią to nazywać „porządkiem bożym" i szlachetne dążności socjalizmu zwalczać. Na nędzy ludu zbudowano gmach przepychu i zbytku dla bogaczy a księża błogosławią też gmach niesprawiedliwości. Bo kapitalistom i księżom jest dziś dobrze. Tylko lud biedny cierpi.

* * *

**Żmija na grobie.** Różnie różni czcą pamięć wielkiego pisarza Rosji, Tołstoja, którego niektóre dzieła są jak wiadomo wyklęte.

Dziennik prawicowy „Kołokoł" uważał za stosowne uczcić rocznicę śmierci starca z Jasnej Polany opowiedzeniem następującej historji:

Biskup wołogodzki Nikon przeprowadził śledztwo w sprawie dziwnego „znaku", jakim było ukąszenie jakiegoś chłopczyka przez żmiję na grobie Tołstoja. Śledztwo prowadził duchowny Kudrjawcew i „spotkał się z wielkiemi trudnościami", badając tę sprawę. „Nawet policjant, który dežurował dnia 28 sierpnia u grobu Tołstoja, nie wiedział o tem fakcie". W końcu jednak jakaś kobieta „blisko stojąca rodziny Tołstojów" potwierdziła ten „znak". Otóż „ustanowiono" ten „znak". Chłopczyk był ukąszony w rękę, ale potem „mówią, że puchlina przeszła na obręb piersi". „Nie zdołano tylko stwierdzić", czy chłopczyk umarł, czy nie. Nazywał się Biriukow.

Duchowny Kudriawcew zastanawiał się za to nad ważniejszą okolicznością i oto jego opowieść: „W pagórku ziemnym nad prochami Tołstoja niektóre osoby i nawet moja córka zauważyła otwór szerokości około półtora werszka; głębokości otworu nie stwierdzono, ale córka mówiła, że kij długości arszyna nie był dostateczny dla zmierzenia głębokości. Niektórzy przypuszczali, że to czciciele Tołstoja czerpią stąd ziemię jako talisman, chcąc zaczerpnąć jej jaknajbliżej od zwłok. Ale czyż nie słuszniej przypuścić, że tam, w głębi tego wzgórka, na piersiach Lwa zagnieździła się gadzina?"

Biskup Nikon stanowczo podtrzymuje to ostatnie twierdzenie.

* * *

**Bójka pomiędzy pisarzami rosyjskimi.** W petersburskich kołach literackich wielkie wrażenie wywołał skandal następujący: Artysta dramatyczny Chodotow zaprosił do siebie na obiad grono znajomych ze świata literacko-artystycznego, a między innymi znanych pisarzy Andrejewa i Kuprina. Przy końcu obiadu, kiedy już wszyscy byli podchmieleni, zaczęli się Kuprin i Andrejew sprzeczać o jakiś drobiazg. Kuprin, który od pewnego czasu jest podrażniony, uniósł się do tego stopnia, że rzucił się na Andrejewa, pochwycił go za gardło, przewrócił i zaczął dusić. Niechybnie Andrejew w żelaznym uścisku, wydałby ostatnie tchnienie, gdyby obecni nie byli rzucili się na Kuprina, odrywając go od zaskoczonego Andrejewa. Mimo to wywiązała się ogolna bójka, podczas której Kuprin i inni pisarze zostali datkliwie pobici.

* * *

**Ile kosztują wybory do parlamentu.** Wobec zbliżających się wyborów do parlamentu niemieckiego warto zastanowić się nad pytaniem: ile też — oczywiście w przybliżeniu — mogą wynosić koszta przygotowania i przeprowadzenia wyborów. Dotychczas sądzono ogólnie, że koszta wyborów w Niemczech, w porównaniu np. do wyborów w Anglji są niezbyt znaczne. Tymczasem pokazuje się, że w ostatnim czasie także wybory w Niemczech wymagają wcale niemałych nakładów. Z kół parlamentarnych otrzymał „Wiesbadener Tageblatt" w tej sprawie ciekawe szczegóły, polegające na dokładnych — o ile to możliwe — obliczeniach.

Powiedziano tam, iż przy obliczeniu wszelkich kosztów, których wysokość zależy od tego, z jaką namiętnością toczy się walka wyborcza, należy najpierw stwierdzić ogólną liczbę kandydatów. Przypuszczać można, że wszystkie stronnictwa parlamentarne razem postawiły dotąd okrągło 1000 kandydatów, ponieważ w większej części okręgów wyborczych stoi przeciw sobie najmniej trzech kandydatów różnych partji. Pisma burżuazyjne obliczają, że fundusze stronnictw socjalnej demokracji, konserwatystów, wolnokonserwatywnych, centrowców, zjednoczenia gospodarczego, polaków i alzatczyków wynoszą razem na walkę wyborczą około 10 mil. marek. Ciekawym jest fakt, że koszta wyborcze stronnictw konserwatystów i centrowców w porównaniu do liczby dzierżonych przez nich mandatów poselskich były dotychczas najmniejsze. Uderza to zwłaszcza u centrowców, którzy, posiadając w ręku okrągłe 100 mandatów, powinniby ponosić jedną czwartą wszelkich kosztów wyborczych; tymczasem nakłady ich ani w przybliżeniu nie dosięgają tej sumy (za konserwatystów pracują lantraci, za centrowców księża). — Z postawionych 1000 kandydatów może być wybranych posłami tylko 397. Licząc zatem okrągłemi liczbami, kosztuje kandydat na posła do parlamentu okrągłe 20 000 marek, każdy zaś wybrany poseł 25 000 mk.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 48. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 9 grudnia 1911.

Franciszek Połeć.

## Z doli górniczej.

Przyjął pracę w kopalni, był zdrowy i młody,
Na razie miał u panów widoki, miał i dobrą chwałę,
Nie brak mu było siły ni urody,
Więc go przeznaczyli kruszyć czarną skałę,

Pracował pilnie, gorliwie i szczerze,
Kłaniał się panom aż do ziemi nisko,
Korząc się przed Barbarą, odmawiał pacierze,
Chodził do domu dwie godziny blisko.

Codzień mu ręce w pracy omdlewały,
Często go w gardle dręczyła posucha,
Ocierał z czoła znój ciepły, zczerniały,
Gdy wymachiwał kilofem od ucha.

Codzień jadąc windą wisiał jek na haku;
Po pracy czuł straszny ból głowy.
Więcej fedruj, krzyczał nań sztygar, darebaku.
Jadał metodą Gautscha chleb czarny, jałowy.

Aż dnia jednego przechodzi to zgrozą!
Zaprząg do szpitala jedzie wolnym krokiem:
To tego silnego górnika tam wiozą —
On teraz jest już wolnym żebrakiem.

Stanisław Płonka.

## Sobota.

Stara Marcinowa kończyła szorowanie schodów. Poprawiwszy swe siwe włosy, które jej bezustannie spadały na oczy, wykręciła płat pa raz ostatni i odetchnąwszy głęboko, szepnęła: „Skończyłam wreszcie!“

Wtem wpadł drzwiami od podwórza jej chłopak dwunastoletni. — Matko, mam zestawić kawę?

— Zaraz przyjdę — odparła Marcinowa, nie możecie się to doczekać? Chłopak wiercił się niecierpliwie i łasił. — Stary przyszedł? — spytała. — Nie jeszcze. — No naturalnie, jak przy sobocie.

— Idź Kaźku — rzekła po chwili dobrotliwie, patrząc na bladą twarz swego chłopaka — masz tu półzłótka, przynieś kaszanych kiszek, dziś przy sobocie, trzeba co zjeść. Chłopak przyskoczył uradowany i wziąwszy pieniądze, wyleciał na ulicę. Pędząc co sił, spychał ludzi z drogi.. Wiedział już teraz napewno, że przy sobocie będzie lepsza kolacja. Wystarczyło, by się trochę pokręcił koło matki i zaraz miarkowała, o co mu chodzi. Ach, gdyby ojciec był taki jak matka, byłby każdy dzień sobotą. Ale ojciec... odpychał Kazek tę nieprzyjemną myśl o ojcu.

Dzisiaj musi się cieszyć. Kiedyż się więcej cieszyć, jak nie w sobotę? Najpierw jest po każdej sobocie niedziela. Nie potrzeba iść do szkoły. Można się więc cieszyć z tego powodu od soboty południa i przez całą noc. W sobotę kolacja z kiszką i karmelki, które matka dostaje przydane do sprawunków, a w niedzielę bułki i kołacze; pozatem cały dzień wolny. Można więc wziąść harmonikę i grać, co się żywnie podoba. Na myśl o graniu porwała go ponowna radość, tak wielka, że lecąc, bił się piętami po plecach.

Załatwił co było potrzeba i wrócił zadyszany do domu. Matka kręciła się w kuchni, z której swąd rozchodził się po całym pomieszkaniu. Maryśka, starsza od Kazika, szorowała w izbie podłogę. Powstawiała krzesła na stół, by przy myciu nie zawadzały. Umyła już połowę, zakryła rozpiutemi workami. Powietrze przesiąknięte było zapachem mydła i wilgocią, którą tchnęły białe, wyszorowane sprzęty. Kazik, że to się bał przy robocie zawadzać, siadł na starej, wyduszonej kanapie przy piecu. Było to jego najwięcej ulubione miejsce. Tutaj o zmroku grywał na harmonice. Teraz głowę oparłszy o piec, słuchał, jak w nim huczało. Czasem coś trzasło, czasem zaświszczał wiatr, jak rozbójnik, porywając ciepło, które matka drzewem i węglem roznieciła. Gorąco, które biło od pieca, rozpaliło głowę Kazika. Oczy poczęły mu się kleić. Jakieś czerwone koła świetlane rozwijały się stopniowo pod jego źrenicami, aż wytworzyły słońce, które paliło taką ciepłotą, jakiej doznał w onych latach dziecinnych, nim jeszcze do szkoły chodził.

I widział szerokie podwórze, na którym śnieżna bielizna suszyła się a oczy wprawiała w mdlenie, tak silnie na słońcu błyszczącą. I Maryśkę Hanulska, co się z nim w „grochy“ bawiła. Słyszał gdakanie kur, który zlatywały się, kiedy naśladował koguta. Rozśmiał się dziecinnie, gdy wspomniał sobie, jak siostrze ukradł sukienki jej lalki i ubrawszy w nie kota, chciał go nauczyć tańczyć, zaco go ten tak podrapał, że się dwa tygodnie gniewali. Przytulił się bardziej do pieca, gdyż przypomniało mu się o pannie, której ile razy przyniósł list, przycisnęła go do twarzy i dała trojaka. Za te trojaki kupił pierwszą harmonijkę.

W piecu znowu zaświszczało, ale zda się za silnie, bo marzenia jakby spłoszone pierzchnąć zaczęły. Kazik zwarł bardziej oczy, aby móc popieścić się jeszcze w tych widziadłach, ale już tłoczyły się surowe obrazy szkólne.

Daleko przed sobą widniała z surowych cegieł — szkoła. Jakaś gruba książka przewracała karty i wiatr zimny przenikał kości — chociaż plecy Kazika parzyły się od pieca. Wyciągnął ręce, chciał promienie słoneczne, te promienie wiedzy spodziewanej przytrzymać, ale słońce zachodziło szybko i wpadło w morze nienawiści.

Mrok w izbie sklepowej. Ogarnął Kazika ból, tęsknota za czemś, czego nie mógł wypowiedzieć.

Siostra kończyła już szorowanie. Z kuchni dolatywał zapach i krzekot dźwięk talerzy. Najstarsza córka, Hanka, wróciła do domu — weszła zaraz do kuchni. Marcinowa spojrzała na nią ciekawie i z zadowoleniem: Ile też jej odda? Córka zrozumiała; wydobyła z kieszeni dwa talary i położyła na stole — „za godziny po fajrancie dostanę w poniedziałek. Majster nie miał tyle przy sobie, musi wpierw odnieść skończoną robotę". Matka nic nie powiedziawszy, wzięła pieniądze w rękę, poczęła obracać je i myśleć...

Jakubowska musi za mleko poczekać — Dwa talary do komornego — Na pierwszego z posługi pięć marek, to będzie osiem... drugie osiem od redaktora, to szesnaście — a cztery z popołudnia... co stary przyniesie... Urwała. Zeby raz tę zimę przepchać; najgorzej do Wielkanocy. Potem głośno do dzieci: Jakoś się musi dać radę. Byliście mali, samam na was robiła, gdy on zimą siedział bez roboty. Jednak Pan Bóg dał, żeście nie pomarli. Jeszcze parę lat, a każdy z was da sobie radę. Niech jeno Maryśka dostanie miejsce, a Kaziek jeszcze dwa lata, to też już coś zarobi.

Woda zagotowała się i Marcinowa wsypała kawę. Zapach rozszedł się po całej izbie. Maryśka zapaliła lampkę przed obrazem Matki Boskiej. Różowe światło nadało fantastyczny kolor zużytym już, starym meblom. Różowe migotanie światła kołysać zaczęło duszę Kazika. Ten piękny, zawsze tak długo wyglądany dzień: Sobota!

Zapach świeżości, odmienny zapach potrawy, różowy blask lampki i to z upragnieniem oczekiwanie niedzieli, nietroska o zaspanie, wszystko to nadawało sobocie jakiś świąteczny nastrój. Każdy przynosił w ten dzień swój zarobiony grosz. Matka liczyła przychód, kupowała wszystko co było potrzeba, a Kazikowi zdało się wtedy, że nie zawsze będzie matka schody szorować, nie zawsze temi rękami tylko brudy prać. On sam nie zawsze będzie myślał buty czyścić. Pachniały od mydła sobotniego ręce, izba cała, pachniało życie inne, ku światłu, powietrzu, kwiatom, lepszej doli — i kto wie?

Kto wie, czy jak wszyscy zaczną pracować, nie będzie lepiej? Kto wie, czy matka potrzebuje mieć zawsze trzy posługi? Wszak dawniej miała cztery, a odkąd Hanka robi, tylko trzy. Jak Maryśka zacznie, będą tylko dwie, a jak on będzie pracował, to żadnej już.

Ocknął się Kazik, wszedł do kuchni, gdzie jedli i pili kawę ze smakiem i apetytem.

Silne, nierówne stąpanie nad oknem przerwało nagle ten cały spokój — ojciec powracał. — Chłód przeniknął wszystkich. Ojciec! Za chwilę będzie w domu. Umilkli. Marcinowa przerwała: Idzie znów zbąbany jak bydlę. Dostał parę fenigów, więc uchlał się zaraz za nie. — Hanka i Maryśka szybko poczęły dopijać kawę. Marcinowa wstała od stołu a Kazik wziąwszy swój chleb i kubek, schronił się koło pieca. Chwilę jeszcze, a drzwi się rozwarły i ojciec wparł się do izby. Chciał wymówić wesoło: dobry wieczór, ale nogi zaplątały mu się w płatach na podłodze rozpotartych i padł na ziemię z krzykiem: Djabli psiakrew mnie posidłali! Zaczął się gramolić. Kazik przyskoczył, chciał mu pomóc, ale on odparł z złością: „Idź do djabła, czy ja od kieliszka jednego taki pijany, że nie mogę wstać. Ale te psiakrew płaty porozkłodoł mi ten siwy łeb na złość, żebym się musiał torać po ziemi. Dywanów się jej zachciewo, głupimu wołowi!" — Nareszcie podniósł się i wleciał do kuchni. Światło lampy raziło go w oczy, w pierwszej chwili zapomniał gdzie jest. Ze spuszczoną głową chwiał się od stołu do kotliny, to znowu odbił się o szafę, aż wreszcie upadł na łóżko. Maryśka i Hanka uciekły do izby. Marcinowa przystąpiła do niego, by go podnieść i za stół posadzić. Na miękkiej pościeli leżąc, nie mógł się w żaden sposób wyprostować, kopał przed siebie, klął i machał rękami. Usta zaślinione, wyszczerbione zęby, na niemi nastrzępiony wąs i dziki wyraz oczu czyniły twarz jego wstrętną, nieludzką.

To był jej mąż! Ojciec jej dzieci.

I jej młodość, kiedy się o nią bili parobczaki.

Postanowienie budziło się w niej uciekać jak najdalej. Zeby nie te dzieci...

A „Stary" wymyślał i klął. Marcinowa zaczęła go podnosić. Nie starczyło jej mocy, tem bardziej, że pijak szamotał się i ciężył bezładnie. Nareszcie zdołała go postawić na nogi i posadzić do stołu. Wymyślał żonie, że go szarpała jak psa. Ona milczała.

Tłumiła oburzenie, jakie nią miotało i nic nie mówiąc, postawiła mu kolację. Ta obojętność rozbudziła w nim nową złość: „Jak mi to postawiła, jak psu! Na — żrej, żebyś nie zdechł, żebyś mógł w poniedziałek harać jak koń. Taką jo mom żonę. Taki djabelski tłuk! — I począł wściekle gryść przysmarzone kiszki. Natrafił na kawałek kości, czy drewna, bo zgrzytnął zębami a potem rzucił z wściekłością kiszkę o ścianę, że obryzgało kalendarz ścienny.

Marcinowej krew uderzyla do głowy. Nie mogąc się opanować, krzyknęła: Ty dziadu zatracony, żeby ci tak kiedyś przyszło, żebyś musiał z rynsztoka chleb podnieść. Zebyś za moją pracę, za moją marnetę z piekła nie wylazł. — On pięścią uderzył w stół, aż wszystkie naczynia podskoczyły: „Zjadłaś ty stotysięcy djabłów, z twoim pyskiem jadowitym. Jak to będzie nademną wytrząsać. Jakbym cię tak psiakrew!!" — Boże! ryknęła Marcinowa, daj mi wytrzymać, aż dzieci dorosną, a potem pójdę sobie na koniec świata, sama — raz wolną — ani nogą nie kopnę tego dziada. — On zawył: Jo wiem, że ci nie byłem dobrym, że ci byłem żęchem, że rada byłabyś, żebym najprędzej zdechł, ale nim mię zagwożdżą, to ci wpierw te siwe kudły powyrywam. Ty — taka...

W Marcinowej zastygła krew.

Ona, ona miała okazję zdradzać go, lecz nie chciała mieć hańby na dzieciach, co je z nim z wstrętem spłodziła, ale tylko z nim — dla Boga z nim, ona co je sama prawie odchowała, nad nimi zmarniała, ona tu teraz od męża takie słowa słyszy?

Nie mogąc słowa wymówić, chciała się rzucić na niego. Z błyszczącemi, nawpół obłąkanemi oczami, syknęła: Ty chamie przeklęty!

On zgrzytnął zębami, a potem porwał filiżankę i cisnął ku niej — szczęściem chybił, trafiając w szafę.

Córki z płaczem krzyknęły: Jezus Marja!

Kazik przerażony, wlepił oczy w kafle pieca, w których odbijał się czerwony blask lampki. Kanarek bił o drut skrzydłami; wydawało się to w tej ciszy kłującej, jakby ktoś żelaznemi trzaskał oknami. Nagle krzyknęła zimno Marcinowa: Nie płaczcie dzieci, kogo się boicie, tego dziada? Jakbym tak schwyciła tę rękawicę, to od razu leżałby pod stołem..

Nie domówiła, gdyż on, jakby oparzony skoczył i w okamgnieniu miał siekierę w ręku, by ciąć nią Marcinową.

Ledwie zdążyła rzucić krzesłem w nadchodzącego męża. Uderzony niespodziewanie, padł. Kazik krzyknął: Jezu! Córki szlochały. Matka wydarła siekierę i wykrztusiwszy: „Zbój!" rzuciła ją do izby. Na świeżo umytej podłodze zostawiła siekiera ranę. Pijak rzęzał jak mordowany i nie myślał się podnieść. Marcinowa odpasała fartuch, odziała się chustką i szybko zaczęła zwijać pościel w jedno prześcieradło. Zwinąwszy w duży tłumok, zarzuciła go na plecy a potem prawie rozkazująco rzekła do dzieci: Dalej, zabierzcie się, idziemy. Hanka odezwała się nieśmiało: teraz na noc, gdzie? Wszystko jedno — odparła Marcinowa — choćby na policję, byle nie w tym piekle. Przeklęty ten dom, jeszcze byśmy zarazą pomarli. Już przy drzwiach, spojrzała na obraz Matki Boskiej. Równo jak zawsze paliła się lampka.

Siwe, pod czarną chustką włosy i biały tłumok na plecach, przy jej poważnej twarzy, na której ślady cierpienia zatarły wszystko, co było pięknem kiedyś, nadawały postaci Marcinowej posągowy widok. Różowy blask lampki migocąc, to jaśniał, to chmurzył jej bladą twarz i błyszczał w wpadniętych oczach, które teraz w obraz wlepione, byłyby dla malarza wzorem na obraz Madonny boleści. Stała niema, sztywna. Mimowoli usta wyszeptały: Matko boleści, zmiłuj się nad nami.

Ile razy obraz ten był świadkiem jej cierpień? Obraz ten przywiózła ze wsi, gdzie służyła u gospodarza. Ten kupił jej go na odpuście razem z koralami i pierścieniem. Lubił on ją kiedy śpiewała, a bardziej jeszcze wtedy, gdy mu markotno było za nieboszczką... — Ona uciekła. — I wtedy to poszła w świat, z tym oto wyrostkiem, by na obczyźnie szczęścia szukać. Byle tylko wydostać się w świat, to już pójdzie, mówiła sobie i — — znalazła.

Szanowała obraz jak relikwję. Za ostatni grosz kupiła oleju, by się tylko przed nim paliło. Ten obraz patrzał na nią, jak dzieci swe karmiła, — jak sprzęty starzały się. On był świadkiem jej niezliczonych łez, przed nim w cichych szeptach skarżyła się z swego losu. I teraz patrząc na niego zdało się jej, że te oczy przy świetle lampki migocą, żyją... Szelesty szeptały: Tu zostawiłaś młodość — — — — —

Dla kogo?

Spojrzała na dzieci.

Ten który się teraz z ziemi podnosił, był ich ojcem.

Czy to prawda? nie sen?

Nie, ona je porodziła — — —

Weź na policję siekierę i powiedz, żem chciał was mordować, odezwał się ochrypłem głosem Marcin. Może mnie na zimę wsadzą, będziesz się cieszyć, że mnie nie będzie, ty jędzo złakrew! Potem skulił się przy łóżku i zaczął szeptać pacierz. — Boże, żeby nie wstyd, nie obraza Twoja, myślała. Łaskiś pełna, pan z Tobą — mruczał pijak.

Marcinowa usiadła z powrotem przy stole. Dzieci porozpraszały się po kątach. Ucichło. — Słychać było tylko ciężki oddech i szeptanie pacierza. Myśli różne i liczne toczyły się w głowie matki i Kazika. Pacierz ucichł. Ojciec zapalił zapałkę, by jak zwykle zobaczyć, która godzina. Bronzowa tarcza zegaru, zdobiona w pstrokate kwiaty, rzuciła swe błyskotliwe dwanaście ócz jak dziwoląg, śmiała się grymaśnie, niby larwa hinduskiego boga, palcem wskazując godzinę dwunastą. Marcin patrzał, patrzał, jak na starego znajomego, aż zapałka spaliła mu się w ręce. Potem ściągnął buty i położył się do łóżka. Marcinowa rozwinęła pierzyny i jednę mu rzuciła. Zdjąłwszy chustkę, kazała dzieciom iść spać. Gdy weszła do kuchni, padła na łóżko i załkała: Zebym nie chciała Twojej obrazy, o Boże, to jutro nikt by mnie tu już nie widział. Zagasiła światło. —

Po chwili rozlegał się w izbie oddech i chrapanie. — Kazik trwożnie słuchał, jak każdy po koleji usypiał. Nadłużej trwało u matki; ale i ona ucichła.

Wszyscy spali, tylko on nie mógł usnąć. Bo jakże miał się położyć koło ojca...

Czy ten, który przerażał tę ciszę chrapaniem, mógł być jego ojcem? który po części przychodził do domu zimny i głuchy jak dozórca, by tylko dać na chleb, lub z pijanym uśmiechem poigrać, dla swawoli zagrozić batem?

Ciężkie walki toczyły się w Kaziku. Czemu matka raczej nie poszła stąd?

Ale dziś — przy sobocie?

Lampka świeciła się znowu tak różowo, spokojnie, jakby mu nic nie zaszło. I ten zapach świeżości jak przedtem. A jutro bułki i kołacze...

Zrozumiał Kazik, dlaczego matka została. Trzyma to ją tu wszystko. Ściany, sprzęty. Ta boleść między niemi, ta praca wśród nich dokonana. Nowa radość, inna niż przedtem uciecha wstąpiła w niego. Jeszcze niedawno cieszył się, że to sobota. Lepsze jedzenie, cukierki, a jutro, niedziela, dzień wolności, którego się z pracą nie dzieli, który się dla uciechy ma.

A teraz? Teraz przez matkę zrozumiał inną sobotę: Sobotę świętej zacnej cierpliwości, po której następuje nowa niedziela. Niedziela, dzień, którego się z żadną troską nie dzieli, bo się samemu spełniło własne zadanie do ostatka sił.

O mamo — chciałby teraz krzyknąć z całej duszy — tyś moją matką! —

# Pamiętniki Kamila Flamariona.

**Popularny astronom. — Bibljoteka w piwnicy. — Lekcja dla szukających posady. — Nigdy wizyta z grzeczności. — Nieodpowiadanie na listy. — Sztuka życia. — Popularne wykłady. — Zaufanie w przyszłość wiedzy.**

Kamil Flamarion, popularny astronom francuski, napisał na życzenie przyjaciół „pamiętniki", w których opowiada dzieje swego życia. Szkicuje naprzód swą młodość z jej interesującymi szczegółami z życia dziecięcego i dobremi anegdotami.

Pewnego pięknego dnia letniego odwiedził on wraz z rodziną swego kuzyna, który był weterynarzem w Chaumont. Pełny dumy powiedział Kamil swemu kuzynowi, że ma dosyć wielką bibljotekę, która złożona jest jedynie z premij szkolnych.

— Także ja mam bibljotekę — powiedział kuzyn, mrugając oczyma — ty także możesz mieć zaszczyt ją widzieć.

Z temi słowami zaprowadził go do piwnicy, w której znajdowały się szeregiem poukładane beczki z burgundem, bordeaux i szampanem.

„Ten przyjaciel owoców, winogron — pisze w pamiętnikach — był zupełnie dobrym człowiekiem, ale jego żart nauczył mię lekceważenia książek, przed któremi miałem bezwzględny szacunek i które uważałem wtedy za najwyższe objawienie ludzkiego myślenia".

Zasłużoną lekcję dał Flamarion młodym ludziom, którzy nie cofają się przed najbardziej niskiem pochlebstwem, aby tylko zyskać dobre posady, aby czemś zostać, a przed ludźmi, którzy już są czemś, w niegodny sposób poniżają się!

„Od mej najwcześniejszej młodości — pisze astronom — lubiłem samotność i spokój. Może się wydawać dziwnem i rzadkiem, ale nigdy nie odwiedziłem nikogo. Nazywam odwiedzinami wizyty, które robi się z grzeczności i interesu. Także nie liczę tu wizyt, na których dostaje się jeść i pić. Żałowałem nieraz tego przekroczenia wobec elementarnych zwyczajów towarzyskich i miałem nieraz wrażenie, że zachowuję się niestosownie wobec wybitnych osobistości. Ale zawsze jest ta sama historja: niema czasu. Także nie mogłem odpowiadać na listy. Można w życiu dużo rzeczy zrobić, a jedno jest niemożliwem, stworzyć sobie czas..."

Flamarion oświadcza dalej, dlaczego uczony, który na tę nazwę zasługuje, a szczególnie filozof potrzebuje tak bardzo czasu: „Pytano się nieraz uczonych, dlaczego tak wiele pracują, mimo, że ich praca nie połączona jest ze szczególnymi interesami materjalnymi. Mogą oni odpowiedzieć, że czynią to z zadowolenia, które przynosi im praca, że praca daje artystyczne użycie, które jest równe temu, jakie sprawia piękna statua, piękny obraz, piękna symfonja, że te praktyczne „rezultaty" tych duchownych prac, jeżeli egzystują, nie mogłyby tyle znaczyć, jak szczęście i wewnętrzne zadowolenie, które pociąga za sobą studjowanie".

Prawdziwy apostolski urząd astronomiczny Kamila Flamariona datuje się od r. 1865. Wydał on wtedy: „Światy zamieszkałe", „Światy urojone", „Cuda niebieskie", a prócz tego liczne artykuły popularno-naukowe.

Aby zyskać dla nauki astronomji jak najwięcej zwolenników, wygłaszał on publiczne odczyty, na które gromadnie zbierał się lud; przez świetne projekcje nadawał on tym wykładom szczególnie interesujące charaktery; posługiwał on się niemi, aby ze swoimi słuchaczami „odwiedzać po kolei słońce, księżyc, różne planety, komety, gwiazdy, dalekie światy".

W roku 1867 wydał Flamarion swe piękne dzieło o atmosferze; to dzieło zrobiło go pionierem awjatyki; „Porywa mię żądza — pisze podniecony — wzniesienia się balonem w powietrze, zagłębić się w atmosferę, zbadać drogę prądów powietrznych i przestudjować prawa tych prądów..."

Książka kończy się filozoficznemi słowami: Zważmy, że żyjąca na ziemi ludzkość ma przed sobą jeszcze miljony

lat istnienia, że jest starą zaledwie 3, albo 4 setki tysięcy lat; że „to dziecko", które obecnie nie jest jeszcze odpowiedzialnem za swe czynności, będzie większem; że obecnie pokazuje się u niego pierwszy przebłysk mądrego wieku; i dodajmy do tego liczne odkrycia nauki, które są tak owocodajne, chociaż rozpoczęto je dopiero od jednego lub 2 wieków. Postęp jest najwyższem prawem. Mamy zaufanie do przyszłości. Kultura naukowa poniesie umysły, oświeci sumienia, zniesie polityczną niewolę. Więzy materji i odziedziczonej zwierzęcości odpadną, a myśl ludzka uwolniona, podniesie się do światła..."

## Rozmaitości

**Ksiądz mordercą.** W miejscowości włoskiej Avellino skazali sędziowie przysięgli księdza Wincentego Diaferio na 17 i pół roku ciężkiego więzienia. Człowiek ten w okropny sposób zamordował swoją szwagrową, z którą usiłował nawiązać stosunek miłosny. Kara została wymierzona przy uwzględnieniu okoliczności łagodzących, wykluczono jednak przez obronę podnoszony motyw zmniejszonej poczytalności w chwili dokonania czynu.

* * *

**Zabawka arystokraty.** Pewien bogaty arystokrata, przyjmując w swoim pałacu pod Berlinem grono osób, wymyślił dla nich niebywałą zabawkę, połączoną... z orgją pijacką. W sali jadalnej kazał postawić bilard, podzielony na 64 pól, jak szachownica, przyczem miejsce zwykłych figur i pionków zajęły flaszki z winem i tak, obu królów reprezentował szampan, królowe — wino reńskie, laufrów — Mosel, wieże — wino Bordeaux, pionki — porter angielski. Towarzystwo podzielone zostało na dwie części, grające przeciw sobie, przyczem zabrane figury musiały być zaraz wypite. Nim się gra skończyła, oryginalni szachiści „powstawiali" się setnie.

* * *

**Zamordowanie dyrektora cyrku.** Wielkie wrażenie wywołało w całym Londynie zamordowanie dyrektora cyrku, 85 letniego Jerzego Sangera. Sanger, mimo podeszłego wieku bardzo rzeźki jeszcze człowiek, znany był w Londynie i daleko poza jego granicami pod przydomkiem „lord". Sanger znajdował się w swym pokoju sam, gdy o godzinie 6 po południu nagle drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł z rozmachem człowiek jakiś z toporem w jednej a brzytwą w drugiej ręce. Zanim jeszcze Sanger pojął, o co chodzi, otrzymał toporem trzy silne uderzenia w głowę i z krzykiem padł na ziemię. Sługa jego, Jackson, słysząc krzyk, wbiegł do pokoju, lecz i jego morderca uderzeniem topora powalił na ziemię, poczem uciekł niepoznany. Policja dotąd go nie ujęła. Chodzi prawdopodobnie o morderstwo rabunkowe. Sanger umarł wkrótce.

* * *

**Walka na stopniach wagonu.** Próbie ucieczki zapasza Lalane'a, którego wieziono z Paryża do Bordeaux w pociągu pośpiesznym, towarzyszyły okoliczności następujące:

Lalane'a wieziono w towarzystwie wachmistrza i szeregowca żandarmerji. W drodze zdjęto mu kajdany z rąk. W chwili, gdy pociąg szedł z szybkością 80 kil. na godzinę, Lalane wyszedł na korytarz, a za nim wachmistrz. Nagle apasz odwrócił się, zadał wachmistrzowi potężny cios pięścią, rozbił szybę i wyskoczywszy oknem stanął na stopniu, idącym wzdłuż wagonu.

Ogłuszony na chwilę wachmistrz wyszedł za apaszem — i oto na stopniu wagonu, pędzącego z zawrotną szybkością, ci dwaj ludzie zaczęli walkę na śmierć i życie, a pasażerowie przypatrywali się temu bezsilnie, napróżno ciągnąc za linę sygnałów alarmowych.

Wreszcie obydwaj zapaśnicy spadli ze stopnia. Żandarm poniósł śmierć na miejscu, Lanale'a ciężko rannego odwieziono do Bordeaux.

* * *

**Walka z pijakiem w powietrzu.** W australskiem mieście Perth kilkakrotnie wzbijał się na małym balonie ze spadochronem, uczepionym do gondoli. Pod spadochronem umocowany był trapez, na którym, wzlatując coraz wyżej, aeronauta-gimnastyk dokonywał różnych sztuk akrobatycznych. Otóż razu pewnego w chwili, gdy wobec kilkutysięcznej publiczności miał się puścić w obłoki, już po przecięciu lin, do trapezu uczepił się jakiś pijak. Skutkiem podwójnego ciężaru balon wzbijał się w górę powoli. Tłum z zapartem oddechem przyglądał się temu widowisku.

— Zeskocz pan! — wołał rozpaczliwie Scanson — za chwilę będzie zapóźno. Ale pijak nie puszczał liny, przeciwnie, próbował strącić aeronautę. Wywiązała się walka rozpaczliwa. Balon wzlatywał coraz wyżej; trapez, obliczony na wagę dwustu funtów, nie mógł utrzymać podwójnego ciężaru. Oszalały ze strachu Scanson szamotał się ze swoim towarzyszem i wreszcie, z wysokości dwustu metrów, strącił go w przepaść powietrzną, natychmiast spuścił spadochron i opuścił się na ziemię. Ostatni akt napowietrznej tragedji rozegrał się w tych dniach przed sądem przysięgłych. Scanson został uniewiniony. Okolicznościami łagodzącemi była walka w obronie życia. Lecz od owych zapasów cierpi na straszny rozstrój nerwów; ma przewidzenia, doprowadzające go niemal do obłędu. We dnie jest spokojniejszy, lecz gdy noc nadejdzie, przed oczyma staje mu obraz pijaka, staczającego się w głąb, ku niechybnej śmierci.

* * *

**Miasto pod dachem.** W Clapham Junction w Londynie buduje się ogromny dom, wprawdzie tylko o sześciu piętrach, ale który będzie stanowił całe miasto, mieszcząc 250 lokatorów po dwa do pięciu pokojów, z telefonem i łazienką w każdym lokalu, oraz 300 jednopokojowych mieszkań kawalerskich. W suterynach tego gmachu będą urządzone ogromne hale targowe. Parter pod arkadami zajmą sklepy i magazyny wszelkiego rodzaju. Na dachu, na całej powierzchni budynku, będzie ogród „skating-ring", zabawy dla dzieci i kiosk koncertowy, środek zajmą kluby dla mężczyzn i kobiet, restauracja, palarnia, czytelnia, sala rysunkowa, bilardowa, bibljoteka, sala gimnastyczna, wreszcie sala zabaw i przyjęć na 800 osób. Wszystkie te apartamenty zostaną wynajęte z całkowitym umeblowaniem a komorne zawierać będzie w sobie opłatę za kluby, światło, ogrzewanie elektryczne i sprzątanie pokojów przez służbę. Kobiety nie będą się więcej zajmowały gospodarstwem. Sama budowa tego „miasta pod dachem" kosztowała 18 miljonów franków. Tego rodzaju budowle stawiano już w Nowym Jorku, Berlinie i Kopenhadze, ale nie tak wielkich rozmiarów.

* * *

**Skutki wścieklizny.** W Hradcu Królewskim (Czechy) umarł w szpitalu przed kilku dniami rolnik Boucek, skutkiem wścieklizny, której uległ, będąc pokąsany przez psa wściekłego. W kilka dni później zachorował jego syn, potem córka, następnie dwie siostry miłosierdzia, zajęte w szpitalu, a wreszcie służący szpitalny i posługaczka. W końcu zachorował lekarz szpitalny dr. Krejcik, który opiekował się tymi chorymi. Wszyscy ci chorzy zostali przewiezieni do Wiednia do zakładu Pasteura.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 49. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej".

Katowice, sobota, dnia 16 grudnia 1911.

W. DOROSIEWICZ.

## Dobry bogdychan.

(Z bajek chińskich.)

Bogdychan Fan-Dżin Dzian, nazwany przez kronikarzy Mun Su, co oznacza „ojciec narodu", był dobrym bogdychanem i bardzo się o lud swój troszczył.

Gdy dowiadywał się przypadkiem, że gdzieś wice król krzywdzi jego poddanych, natychmiast wzywał go do siebie i dawał rozkaz katom:

— Zdejmcie główkę z tego panka. Na tamtym świecie i bez główki z czynów jego go poznają.

I natychmiast na miejsce ściętego mianował innego wicekróla, najlepszego z tych, jakich mu przedstawiali doradcy i ministrowie.

Doniesienia wicekrólów sam zawsze czytał:

W tych doniesieniach pisano, że w Chinach jest taki dobrobyt, jakiego dotąd dzieje nie znały, że słońce świeci, jak nigdy dotąd, że deszcze padają w porę, że mieszkańcy nawet nie wiedzą, co mają robić z ryżem.

Bogdychan czytał to i myślał:

— A może kłamią?

I oto przyszła mu do głowy myśl. O oznaczonej godzinie kazał wszystkim swym ministrom, doradcom i dworzanom zebrać się w pałacu, usiadł na tronie i oznajmił:

— Więc królowie piszą, że dobrobyt w Chinach kwitnie i że chińczycy nie wiedzą, co mają robić z ryżem. Troszcząc się o naszych poddanych, postanowiliśmy zastanowić się, wznieść modlitwy do bogów, co zrobić z niezjedzonym ryżem, by naród korzyści z tego mógł ciągnąć. Oddalamy się tedy do wewnętrznych komnat naszego pałacu, by oddać się modłom, myślom i obcowaniu z cieniami przodków. A że, dzięki bogom, przodków tych było nie mało, to uważamy, że co najmniej trzy miesiące upłynie, zanim z nimi wszystkimi, nie krzywdząc nikogo, się porozumiemy. I oto nakazujemy, by w ciągu trzech miesięcy nikt nas nie niepokoił i do naszego pałacu nie śmiał przychodzić. W ciągu trzech miesięcy nikt nas nie ujrzy, prócz niebios!

Ministrowie, doradcy i dworzanie sławiąc mądrość bogdychana, opuścili pałac z sercem przepełnionem radością.

A tymczasem bogdychan wezwał oddanych mu sług, przebrał i siebie i ich w szaty żebracze niepostrzeżenie, wymknął się z pałacu i rozpoczął pielgrzymkę po Chinach, by się dowiedzieć, czy prawdę piszą wicekrólowie w swoich doniesieniach i czy naprawdę dobrobyt w Chinach kwitnie i czy rzeczywiście naród chiński jest zachwycony rządami w kraju.

Z początku odwiedził prowincję Pe Czi-Li.

Stanął przed pierwszą chałupą.

— W imię pamięci waszych przodków, którzy przez swe cnoty byli ozdobą ziemi, a obecnie są ozdobą nieba, dajcie garść ryżu nieszczęśliwym, umierającym z głodu!

Odpowiedziano mu:

— Sądząc z tego, że jesteś żebrakiem, musisz być z naszej prowincji i poddanym naszego wicekróla. Ale z tego, że nas prosisz o wsparcie, widać, że jesteś z daleka. A zatem oddal się nieznany człowieku!

Bogdychan z towarzyszami podróży stanął przed następnym domem.

Tu na prośbę o garstkę ryżu odpowiedziano:

— Zły jesteś, bo się śmiejesz z cudzego nieszczęścia.

W trzecim domu, gdy wspomniał o ryżu, rozległ się płacz.

A w czwartym, gospodarz usłyszawszy słowo „ryż" podniósł głowę i zapytał:

— A kto to jest? Mandaryn, czy zwierzę?

Bogdychan uśmiechnął się.

— Wice-król Pe-Cze-Li miał rację. Rzeczywiście, gdyby tutejszym ludziom dać ryżu, nie wiedzieliby co mają z nim robić! Zdaje się, że ci ludzie nawet nie widzieli ryżu!

Chcąc się dowiedzieć co mówi lud, o co błaga stwórcę, zaczął bogdychan odwiedzać świątynie.

Żołądki chińczyków były puste, ale świątynie były przepełnione.

We wszystkich świątyniach spotykał bogdychan tłumy pobożnych.

Wszyscy modlili się o jedno.

Święci przodkowie, uprośćie niebo, aby natchnęło naszego mądrego, naszego dobrego, naszego troskliwego bogdychana wspaniałą myślą, aby kazał ściąć wicekróla Tun-Tu-o. Takiego draba, takiego łupieżcy nie było jeszcze na świecie.

Tak modlili się ludzie we wszystkich świątyniach. Pewnego dnia jednak gdy jak zwykle przyszedł do świątyni, ujrzał starca, który szczególnie gorąco się modlił.

Wszyscy modlili się bardzo gorąco, ten jednak najgoręcej ze wszystkich.

Bogdychan zbliżył się doń, by podsłuchać modlitwę starca i usłyszał:

— Święci nasi przodkowie — modlił się starzec — podszepnijcie naszemu dobremu, ale niespokojnemu bogdychanowi Fan-Dżyn-Dzianowi, aby nam zostawił Tun-Fa-o jako wice-króla na długie lata. I oby niebo posłało Fun-Fa-o, jak najdłuższe życie. Oby dożył do głębokiej starości i oby wtedy zaczął żyć na nowo od początku.

Zdziwił się wielce bogdychan, i gdy starzec skończył modlitwę, zapytał go:

— Powiedz, czcigodny starcze, czy wice-król Fun-Fa-o wyświadczył ci jakie dobrodziejstwo, że się tak modlisz?

Starzec uśmiechnął się:

— Jeszcze nie urodziła się matka matki tego człowieka, któremu Fun-Fa-o zrobił co dobrego. Odrazu widać, żeś nie tutejszy! Gdyby było inaczej, nie stawiałbyś takich głupich pytań.

— No, to może Fun-Fa-o podoba ci się z postawy, z powierzchowności? Widziałeś go?

Starzec odmówił modlitwę do przodków.

— Dzięki bogom! ani ja jego na oczy nie widziałem, ani on mnie. Bogdychan całkiem przestał rozumieć.

— Dla czegoż w takim razie modlisz się, by żył jaknajdłużej, gdy wszyscy modlą się, aby bogdychan jak najprędzej kazał ściąć Fun Fa-o głowę?

— Oni dlatego tak się modlą — odrzekł starzec — że są jeszcze młodzi, głupi i świata nie znają. A ja już przy trzecim oto bogdychanie żyję. Za moich czasów był u nas wice-król Cu-Li-Ku, chciwy był człowiek, okrutny człowiek, jękiem zapełniła się nasza prowincja. I modliliśmy się od rana do nocy: „Niech bogdychan każe ściąć głowę Cu-Li Ku. Wysłuchało niebo naszych modlitw, podszepnęło tę myśl bogdychanowi. Bogdychan sprowadził Cu-Li-Ku do Pekinu i kazał ściąć mu głowę, a do nas przysłał jako wice-króla mandaryna Ksang-Chi Fu. A Ksang-Chi Fu, był jeszcze bardziej chciwy, jeszcze okrutniejszy od Cu Li-Ku. Jeszcze głośniej jęczała nasza prowincja i zaczęliśmy błagać niebo, aby podszepnęło bogdychanowi myśl, by kazał ściąć głowę Ksang Chi-Fu i ściął mu głowę, a do nas przysłał teraźniejszego Fun Fa o, oby niebo przedłużyło jego życie do nieskończoności.

Przejdź wzdłuż i wpoprzek całą prowincję nie zobaczysz ani jednej wesołej twarzy, ani jednego sytego człowieka. Siejemy zamiast ryżu — łzy, a wyrastają utrapienia. Dlatego lud w swej głupocie błaga bogów, aby bogdychan ściął głowę Fun Fa-o. Ja zaś, człowiek stary, boję się, aby niebo naprawdę nie wysłuchało ich próśb. Bogdychan zetnie głowę wice-królowi i przyśle nam innego. A jeśli ten inny będzie jeszcze gorszy? Chociaż nie myślę, by kto mógł być gorszym od Fun-Fa-o, ale ręczyć za to nie można. Nie! Niech już lepiej ten się zostanie, oby niebo przedłużyło jego życie na długie, długie lata.

Zmartwił się bogdychan, wysłuchawszy tej powieści. Zaniechał dalszego chodzenia i badania, wrócił do Pekinu, do swego pałacu i zwołał ministrów, doradców i dworzan i oświadczył:

— Narada nasza z przodkami trwała krócej, niżeśmy przypuszczali, bowiem przodkowie nasi, zgodnie dali nam jedną radę:

Nigdy nie zmieniać wice-królów, bez względu na to, co o nich opowiadają i jakie pogłoski o nich krążą. Niech tak będzie!

I wszyscy podziwiali i uwielbiali mądrość bogdychana.

A wice-królowie w szczególności.

A mądry starzec z prowincji Pe-Cze-Li najwięcej.

# Lekarstwa przeciw nędzy.

Każdy człowiek ma prawo do bytu i prawo do wiedzy.

Prawo do bytu oznacza zaspokojenie fizjologicznych potrzeb jednostki, o czem decyduje hygjena.

Prawo do wiedzy oznacza otrzymanie wykształcenia, odpowiedniego do zdolności. Niższe, ogólne wykształcenie jest odpowiednie do każdej zdolności, a o wyborze wyższego, zawodowego wykształcenia decydować winno zamiłowanie jednostki.

Prawo do bytu i prawo do wiedzy wynika nietylko z uczuciowych pobudek braterstwa ludzkiego, na których je opierali twórcy współczesnej demokracji, ale leży ono w interesie wszystkich jednostek, jako członków społeczeństwa.

Istotnie organizm ludzki, osłabiony głodem lub niedostatecznem odżywianiem się, z łatwością poddaje się chorobie, a ta udziela się innym ludziom. W końcu chorego biedaka umieszcza się w szpitalu, gdzie mu społeczeństwo w obawie rozszerzenia się choroby, najczęściej zaraźliwej, udziela na zbiorowy koszt strawy i lekarstwa.

Gdyby społeczeństwo wcześniej czuło się w obowiązku zaspokojenia głodu takiego biedaka, nie straciłoby sobie kosztów leczenia.

Zbrodnia jest również niejako tajona w nędzy.

Więzienie, toć przecie jest zakładem, który dostarcza bezpłatnie, na koszt ogółu mieszkania i pożywienia (z dodatkiem niepotrzebnych udręczeń w postaci kary). Nędzarz może dostać się do tego zakładu za cenę przestępstwa, a więc doprowadzony do ostateczności całym szeregiem przyczyn i skutków, które się stać musiały.

Społeczeństwo wydaje miljony na utrzymanie więzień i całego aparatu sądowo policyjnego, który słusznie nazywają „szkołą zbrodni".

Gdyby społeczeństwo postarało się przedewszystkiem, aby prawo jednostek do bytu, to jest do zaspokojenia ich potrzeb załatwionem zostało, dziewięćdziesiąt na sto przestępstw nie doszłoby do skutku, a ten mały procent zwyrodniałych, który i w takich warunkach zakłóciłby porządek społeczny, kwalifikowaliby się raczej do szpitali warjatów, niż do więzienia.

Ofiarą przestępstwa może paść każdy, a także przy dostatecznie odpowiednich warunkach przestępcą może stać się każdy, więc najskuteczniej jest zwalczać przestępstwa przez zasypanie ich źródła.

Zaspokojenie niezbędnych potrzeb jednostki usuwa nędzę. Nędza jest źródłem chorób i zbrodni. Zbrodnia jest także chorobą moralną. Ofiarą choroby jednego osobnika, dzięki naturalnymu faktowi współzależności zjawisk może paść każdy inny; — a więc wszystkie osobniki ludzkie, czyli całe społeczeństwo, w interesie każdego i wszystkich, powinno zaspokoić niezbędne potrzeby każdej takiej jednostki, która o własnych siłach dopiąć tego nie jest w stanie.

Ciemnota jednostki jest także niebezpieczeństwem publicznem i usunięcie jej leży w interesie wszystkich.

Czyż nie jest jasnem, iż człowiek ciemny, pomimo najlepszych chęci nie zdoła być uzdolnionym na niwie obranego zawodu, dobrym obywatelem kraju i dobrym członkiem ludności.

Nędza jest straszną rzeczą, większego nieszczęścia być nie może, z wyjątkiem chyba nieuleczalnej choroby — choć najczęściej te dwie rzeczy bardzo blisko obok siebie się znajdują i jedna drugą rodzi.

Nędza jest matką ciemnoty, niewoli i zbrodni. Nędza jest matką brudu: bardzo biedny nie może być czystym, ponieważ porządek wymaga pieniędzy, miejsca i czasu.

Dobroczynność, którą dziś bogate klasy zmuszone są stosować, ażeby zażegnać wiszącą nad ziemią burzę, robi więcej złego niż dobrego. Biedny człowiek, zamiast otrzymać to, co mu się słusznie należy, dostaje część tego, w sposób, który go poniża i upadla niesłusznie — tak samo jak bogatego wywyższa i sławi — także niesłusznie.

Skuteczną walkę z nędzą może tylko przeprowadzić socjalizm, przez oddanie wszystkich dóbr na własność ogółu.

# Żywe trupy.

Jeszcze o rosyjskiej katordze.

Pisano o niej i opisywano wiele razy. Lecz męki, masowe samobójstwa i powolna śmierć w więzieniach katorżnych najlepszych synów Rosji za czasów „konstytucyjnych" przewyższa wszystko, co można sobie wyobrazić. Oby już raz wróciły przedkonstytucyjne czasy — myślą więźniowie — kiedy to więzień przecież czasami był człowiekiem dla więziennej administracji!

Lecz „konstytucja" dusi w więzieniach, zabija i morduje w tak wyrafinowany sposób, że sam Torkwemada uchyliłby czoła przed talentem kierowników rosyjskich „muzeów" lub saratowskiego więzienia.

Ostatni numer Burcewowskiego „L'Avenir" przytacza szereg listów z politycznej katorgi.

„Niema sił do walki — piszą z butyrskiego więzienia w Moskwie — towarzysze jeden za drugim umierają na suchoty. Wprawdzie byli towarzysze, którzy w pojedynkę

walczyli o swą godność ludzką, lecz miesiące ciemnych, wilgotnych piwnic wkrótce sprowadzały ich do grobu i protest ich samotny, napół zdławiony, zamilkł pod uderzeniami rózgi"...

Z Saratowa piszą:

„Na czele administracji stoi u nas Humbuł, znany kat saratowski, t. zw. „ojciec"! Na jego rozkaz nas biją i sadzają do karceru, depczą nogami, słowem, nie podobna opisać jego dzikiego postępowania. Pomocy lekarskiej udziela się na pół godziny przed śmiercią. Każdego miesiąca umiera tu 30—40 osób...

Karmią tu więźniów za 7 kop. na dobę. Chleb czarny, wilgotny; barszcz śmierdzący... Gdybyście zobaczyli nas, przestraszylibyście się: podobni jesteśmy do mumji chodzących"...

Z Wilna pisze pewna katorżanka:

„Warunki życia tu są zabójcze: dokoła jęki, choroby. Suchotników masa. Śmierć zabiera towarzyszów jednego za drugim. Wiele kwitnących życiem przed kilku miesiącami towarzyszek obecnie już kończy swój porachunek z życiem. Masowe choroby żołądkowe, anemja. upadek sił. Niejedna ma 35 stopni temperatury. Strasznie patrzyć na towarzyszki z ich beznadziejnym, mętnym wzrokiem"...

Z Amuru znowu piszą:

„Kto nie kończy swej „lekcji" (porcja robót ziemnych) ten musi przy powrocie dopędzać towarzyszów. Widziałem, jak pędzono po pracy kilkunastu katorżników, mokrych od potu, bez czapek, bosych, z szeroko otwartemi oczyma, w których zastygł wyraz przestrachu — biegli, chwytając rękami za piers, chrypiąc i sapiąc, chwiejąc się i padając co pięć kroków, a z tyłu biegli „konwojni", czerwoni i pokryci potem, z zwierzęcemi twarzami i okładali kolbami; bili po plecach, po nogach, po głowie"...

Nie wytrzymali wreszcie ci nieszczęśliwi męczennicy i poskarżyli się naczelnikowi, że ich biją.

„Nie bić, lecz zabijać taką swołocz trzeba!" — była krótka odpowiedź.

Jest to świadomie postawiony cel — bić, męczyć, dręczyć i zabijać, by oczyszczać czemprędzej miejsce dla nowych, wciąż nowych ofiar „konstytucyjnego" cara.

Żywe trupy...

## Rozmaitości

**Jak Niemcy kroczyły dawniej na czele cywilizacji.** W roku przyszłym mija 80 lat od czasu, gdy dokonano wynalazku zapałek siarkowych, 55 zaś lat od czasu, gdy wynalazca ich zmarł w nędzy.

Był to niemiec, nazwiskiem Jan Kemmerer, z zawodu chemik. W ojczyźnie swej został on skazany na więzienie za mowę przeciwrządową. Karę odsiadywał w areszcie w Hohanasperg i tu w listopadzie r. 1832 dokonał swego wynalazku. Skoro jednak po odsiedzeniu kary począł czynić starania około znalezienia przedsiębiorcy, któryby się zajął wyrobem zapałek, zakazano mu „tworzenia niebezpiecznego środka do wywoływania ognia" pod grozą ciężkich kar.

Mimo to nie zraził się Kemmerer i otworzył tajną fabrykę zapałek, sprzedając wyroby za granicą; wkrótce atoli rzecz stała się głośną, władze poleciły fabrykę zburzyć, a wynalazcę aresztowano. Równocześnie we wszystkich krajach niemieckich ogłoszono zakaz „sprzedawania i używania niezwykle niebezpiecznych zapałek, wynalezionych i tworzonych przez chemika Kemmerera".

Nieszczęśliwy wynalazca stracił w więzieniu zmysły, a w roku 1857 zmarł.

Prancja i Anglja pochwyciły natychmiast ten doniosły wynalazek, a fabrykanci zapałek w ciągu krótkiego czasu dorobili się miljonów. Niemcy natomiast przez długie jeszcze lata zadowalniały się pierwotnym sposobem krzesania ognia, lub też musiały sprowadzać ten dziś najniezbędniejszy artykuł z zagranicy.

* * *

**Trzykrotny nieboszczyk.** W Petersburgu aresztowano niejakiego Popławskiego, nadzwyczajnego oszusta, który grasował bezkarnie przez lat kilkanaście.

Popławskij jest synem porucznika i wychowywał się w gimnazjum w Tyflisie. Będąc naczelnikiem stacji na kolei władykaukaskiej sprzedał rządowi 6 cudzych wagonów kaszy. Aresztowanego za to wypuszczono za wstawiennictwem matki. Oszust wynagrodził to matce: sprzedał bez jej wiedzy jej majątek i uciekł z pieniądzmi jakie otrzymał ze sprzedaży.

W r. 1897 Popławskij zabezpieczył się na życie w towarzystwie „Urbaine" na 15 000 rubli. W rok potem przyjechał do Pskowa ze swoim ciężko chorym kolegą gimnazjalnym Fedjuninem i przepisał go na swój paszport.

Wkrótce potem mniemany Popławskij umarł, a rzeczywisty Popławskij otrzymał 15 000 rubli ubezpieczenia.

W r. 1901 mniemany Fedjunin ubezpieczył się w towarzystwie „Nowy Jork" na 35 000 rubli i przyjechawszy do Petersburga, wynalazł ciężko chorego, którego dni były policzone, zawiózł go do Starej Russy, potem napowrót do Petersburga, gdzie umieścił go w mieszkaniu brata. Chory umarł jako Fedjunin, a Popłowskij otrzymał 34 000 rb.

Jeszcze jako żywy Fedjunin, Popławskij ożenił się z nicjaką Smirnową, którą próbował ubezpieczyć na 30 000 ale udało mu się tylko na 15 000 rubli w Kierczu. W jakimś szpitalu petersburskim poznał jakąś ciężko chorą i wziął ją ze sobą na leczenie do Kirczu. Tam chora umarła jako żona Fedjunina, a Popławskij wziął 15 000 rubli.

Potem Popławskij wydobył skądciś paszport na imię Bolesława Kunickiego, wynalazł jakiegoś ciężko chorego i ubezpieczył jednego ze swoich na 25 000 rubli, chcąc znowu na tem „zarobić", ale tu go aresztowano.

* * *

**Nowy dramat Przybyszewskiego.** Przybyszewski nadesłał dyrekcji teatrów warszawskich nowy trzyaktowy dramat, p. t. „Popiel". Dramat ten będzie wystawiony w najbliższym czasie.

* * *

**200 skazanych na śmierć.** „Berl. Tageblatt" donosi z Nowego Jorku:

Nadchodzą dalsze informacje o katastrofie w kopalni węgla w Knoxville w stanie Tennessee.aEksplozja prochu spowodowała pożar w szybie, wskutek którego dwunastu robotników, znajdujących się pod powierzchnią, straciło możność odwrotu. Przystęp do palącego się szybu jest wskutek buchających zeń płomieni i powtarzających się dalszych wybuchów niemożliwym. Robotnicy, zamknięci w szybie, są skazani na śmierć niechybną od pożaru, lub wskutek uduszenia dymem. Tą samą śmiercią zginęło w r. 1902 przy eksplozji w sąsiednim szybie Fraterville 200 robotników.

O katastrofie w kopalni pod Knoxville donoszą, że w szychcie porannej było 207 górników, z czego tylko 3 zdołało się uratować. Nie ulega wątpliwości, że wszyscy inni zginęli.

* * *

**Katastrofa w teatrze.** W stolicy Belgji, Brukseli, podczas przedstawienia w jednym z teatrów kinematograficznych wybuchła wieczorem bomba,raniąc ciężko kilkanaście osób. Pomiędzy widzami, których zgromadziło się około 3 tys., powstała panika. Wszyscy rzucili się ku wyjściom. Powstał straszny tłok, przyczem wiele osób zostało zranionych. Policja postarała się o przywrócenie spokoju i zapobiegła dalszym nieszczęściom. Liczba ciężko rannych wynosi 42. — Chodzi o zemstę pewnego wydalonego z pracy robotnika, który był do niedawna zatrudniony w teatrze.

Przymocował on pod podłogą bombę i połączył ją z drutem elektrycznym, powodując w ten sposób wybuch. Nie zdołano go dotąd przyaresztować.

* * *

**Naganka na p. Curie Skłodowską.** W Paryżu odbyła się rozprawa w procesie, wytoczonym przez panią Langevin p. Curie Skłodowskiej. Rozprawę tę odroczono.

Wyszło w czasie rozprawy na jaw, że istnieje formalna organizacja pewnych osób, które wypowiedziały naszej znakomitej rodaczce nieubłaganą walkę, chcąc ją usunąć z zajmowanej katedry w Sorbonie. Osoby pewne, którym zagradza drogę do karjery słynna polska uczona, używają wszelkiej, najniegodziwszej nawet broni, by odebrać jej pole do pracy naukowej, zniweczyć jej dobrą sławę, a nawet życie jej odebrać!

Zastępca p. Curie-Skłodowskiej, były minister, poseł Millerand na podstawie bardzo obfitego materjału wykazał, że w danym wypadku chodziło o formalny spisek przeciw p. Curie-Skłodowskiej i przeciw jej stanowisku w Sorbonie. Millerand oświadczył dalej, że chce przeprowadzić dowód prawdy na to, iż spisek ten istniał oddawna i skierowany był także przeciw jej mężowi, którego, gdy był jeszcze w nędzy, chciano zwabić na posadę, przynoszącą 30.000 franków dochodu, aby tylko zrzekł się pracy naukowej. Następnie, gdy pp. Curie udało się odkryć rad, starano się udowodnić, że nie jest to odkryciem naukowem. Pp. Curie nie dali się wyprowadzić z równowagi i doprowadzili odkrycie do skutku.

Millerand oświadczył dalej, że z listów p. Curie-Skłodowskiej powyjmowano różne zdania i słowa, z których stworzono nowe listy.

W końcu wśród olbrzymiej sensacji wymienił poseł Millerand nazwisko pewnej kobiety, wynajętej przez ten komplot w celu wykonania zamachu na życie pani Curie-Skłodowskiej.

* * *

**Straszne czyny obłąkanego.** Nauczyciel Fluetsch w szwajcarskim kantonie Toggenburgu, zastrzelił ojca, siostry i nakoniec siebie a prócz tego popełnił więcej jeszcze morderstw. Nasamprzód zastrzelił w Toggenburgu matkę i po zaciętej walce także mieszkającą u niej siostrę swoją. Stamtąd udał się do Prättigau, gdzie mieszkał zamożny ojciec jego; Fluetsch posłał po niego w góry, gdzie ojciec jego czuwał nad licznemi swojemi trzodami i strzelił do niego z tyłu. Następnie udał się do mieszkania zamężnej siostry, którą znalazł z dzieckiem na ręku. Po pierwszym strzale, po którym nastąpiły trzy dalsze strzały, zemdlała młoda matka. Zbudziwszy się z omdlenia, znalazła jeszcze tyle siły, że powlokła się do drzwi, które zamknęła na zasuwkę. Fluetsch, który był już odszedł, powrócił raz jeszcze, a znalazłszy wejście zamknięte, czatował cały dzień przed domem. Gdy nareszcie zjawili się ludzie, cofnął się do poblizkiego lasku i zastrzelił się. Młodą kobietę znaleziono w nocy nieżywą.

* * *

**Alkohol a chirurgja.** Prywatny docent, dr. Must, lekarz ordynujący w lazarecie św. Jerzego we Wrocławiu pisze w „Blätter für Volksgesundheitspflege" (1910 Nr. 9) ciekawy artykuł, stwierdzający wyraźnie, że przyczyną większej części wypadków jest alkohol. On to bowiem jako trucizna nerwów już przy drobnych dawkach zmniejsza zmysł spostrzegawszy przy wykonywaniu trudnych i odpowiedzialnych czynności.

Cóż dopiero przy chronicznem nadużywaniu! Mniej także odpornym czyni alkohol przedewszystkiem przy skaleczeniach głowy i powoduje cięższe komplikacje ran. Zdarza się nawet, że skaleczenie głowy u alkoholików doprowadza często do delirium.

Także wobec infekcji chorobliwych zarazków — jest abstynent mniej narażony, niż alkoholik. Jak wreszcie jest z alkoholikiem w razie potrzeby operacji? I tutaj dopiero okazuje się w całej pełni niszczący wpływ alkoholu na najwyższy, najżywotniejszy organ ciała ludzkiego, na serce. Jest przecież serce przy odurzeniu na stole operacyjnym i przez samą operację najwięcej na szwank wystawione, tak że często u alkoholików okazuje się za słabe do przezwyciężenia narkozy i operacji.

Słowem i na polu chirurgji — alkohol stracił swój urok jako środek pomocniczy. W użyciu lekarskiem już coraz więcej traci swe znaczenie jako środek pobudzający serce i inne organy, a z drugiej strony także tem więcej jako środek odurzający i uspokajający. Sztuka chirurgiczno-lekarska ma na to inne mniej szkodliwe środki. Jedynie jeszcze zewnętrznie użyty może on jej oddać nie małe usługi."

* * *

**Ucieczka przed trąbą morską.** Niezwykłe zdarzenie miał parowiec „Eretic" podczas swojej ostatniej podróży z Genui do Nowego Jorku. Kapitan parowca, Lodez, opowiada, że w ubiegły poniedziałek, o godzinie 8 zrana, ujrzał straszną trąbę morską wysokości mniejwięcej 300 metrów, w dość znacznej odległości od okrętu, posuwała się jednak ona z taką samą szybkością, jaką rozporządza „Eretic". Gdyby ta kolosalna trąba morska wpadła na parowiec, straszna katastrofa byłaby nieunikniona. Kapitan wydał rozkaz puszczenia całej pary, aby ujść przed trąbą morską. Ostatecznie „Eretic" musiał zwrócić się w innym kierunku, aby uniknąć olbrzymiego muru wodnego. Nasuwa się uwaga, czy nie było to złudzenie optyczne.

* * *

**Pochował cudzą żonę.** Piszą „Kur. Lwow." z Brodów: Jednemu z kupców tutejszych nazwiskiem Mościsker, zdarzył się niezwykły wypadek. Umieściwszy swoją umysłowo chorą żonę w Kulparkowie, po niejakim czasie otrzymał stamtąd wiadomość, że żona umarła. Zaraz wyjechał do Lwowa, z Kulparkowa przywiózł tu zwłoki i pochował je, nie szczędząc grosza. Po odbytej żałobie zaczęto go obrabiać i tłomaczyć mu, że choć już starszy, powinien się prędko ożenić.

P. Mośkisker miał się już zaręczyć, gdy wtem całkiem niespodzianie dostał list od żony z Kulparkowa. Przerażony udał się do zakładu kulparkowskiego i rzeczywiście znalazł tam swą żonę przy życiu; robiła mu wyrzuty, że tak długo nie pisał do niej. Pokazało się więc, że pochował cudzą żonę! Jakto być mogło? Otóż rzecz się podobno tak miała: W Kulparkowie umieszczona była kobieta z Mościsk i tam zmarła. Mościska — Mościskier — te nazwy pomięszały się i kupiec brodzki padł ofiarą pomyłki. Jeśli tu winien zakład w Kulparkowie, to koszta musi zarząd Kulparkowa płacić.

* * *

**Pouczające liczby.** Bawarskie ministerstwo sprawiedliwości czynić odtąd będzie regularne wywiady w sprawie szkodliwego wpływu alkoholu na liczbę i rodzaj przestępstw i zbrodni. Oto co pierwsza tego rodzaju statystyka na rok 1910 głosi: 8674 wyroków za czyny karygodne, popełnione pod wpływem alkoholu, stały się w tym roku prawomocnymi, a 190 było zasądzeń u osób, rekrutujących się z pijaków nałogowych. Z tego wynikałoby jasno, co jeszcze ogólnie nie jest dostatecznie znanem, że więcej karygodnych czynów, w stanie napiłym popełnionych, dopuścili się okolicznościowi niż nałogowi pijacy; dalej z tego wysnuć trzeba wniosek taki, że alkohol za każdorazowem użyciem potępia rozwagę i rozbudza nasze niższe instynkta, a odbiera rozum. Tych 8864 skazanych dopuściło się razem 10040 przestępstw, a z tych 5006 (prawie połowa) przypada pod rubrykę: niebezpieczne uszkodzenie cielesne. Gdy doliczymy do tego pośredni wpływ alkoholu np. wszystkie te wypadki, gdzie nadużywanie alkoholu doprowadziło do ruiny majątkowej, a z powodu tego do oszustwa, sprzeniewierzenia się — w bankach itd., to jeszcze nie obejmiemy całokształtu przestępstw, spowodowanych przez alkohol. Dalej w 150 wypadkach nie można było osób karać, ponieważ były w chwili przestępstwa nieprzytomnie pijane.

Te liczby powinny niejednemu oczy otworzyć na społeczną i towarzyską wartość alkoholowych napojów.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 50. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej".

Katowice, sobota, dnia 23 grudnia 1911.



Marja Konopnicka.

## Bez dachu.

*Noc się podniosła, cała w mgłach i bieli,*
*I srebrnem tchnieniem owiała stolicę,*
*I brylantowych iskier błyskawice,*
*Roztliła w śniegów pościeli.*

*Kto miał ognisko własne i ramiona,*
*Co go czekały, jak pieszczot ponęta,*
*Mówił do nocy tej: „błogosławiona",*
*Kto nie miał, mówił: „przeklęta!"*

*A takich głosów było, ach! tysiące...*
*A wszystkie dziwnie przeraźliwe w ciszy...*
*O gwiazdy! czy Bóg je usłyszy?*

*Patrzycie blade i ja patrzę blada.*
*Wicher się zrywa, śnieg zawiewa drogę...*
*O gwiazdy! jeśli która odpowiada,*
*Ja was dosłyszeć nie mogę!...*

* * *

*O nocy srebrna! o nocy królowo!*
*Ty masz żelazne dla nędzarzy berło...*
*A mglistą szronów zasłonę nad głową*
*Spinasz zastygłych łez perłą.*

*O nocy! czyliż gwiazd twych jasnych z nieba*
*Pragnie ta ciżba, wybladła i skrzepła!*
*Przez litość, słuchaj! wszak oni chcą chleba*
*I tylko troszeczkę ciepła.*

*Ach! gdybym była tobą, o królowo!*
*Największy brylant, co w lazurach świeci,*
*Dałabym nędznym w tą zamieć śniegową*
*Na chleb i ogień dla dzieci...*

*I wiem, że niebo nie byłoby bledsze,*
*Gdyby za jedną tę gwiazdę w błękicie,*
*Jasne źrenice, gdzie znów wskrzesło życie,*
*Świeciły łzami w powietrze...*

*O nocy! idziesz cicha, lodowata,*
*Nad czołem twojem skrzy śniegów korona;*
*A twoja srebrna, ciężka, długa szata,*
*Całunem jest — dla miljona.*

* * *

*Przed bramą, w której płonęły latarnie,*
*Stanął chłopczyna w tą mroźną zawieję...*
*Biedny! on myślał, że mur go przygarnie,*
*Że go ten kamień ogrzeje...*

*Lecz stróż drzwi zamknął na rygle... i naraz*
*Łzy się dziecięce, jak perły rozsnuły...*
*— „Gotów tu zmarznąć, a potem ambaras*
*Dla wszystkich... śledztwo... cyrkuły!"*

*Chłopczyna odszedł, płacząc, — Tam w oddali,*
*Widać świątyni granitowe mury...*
*A ponad nimi mgła białych opali*
*A wyżej lodowe chmury.*

*I krzyż. Sierota uklęknął przed progiem;*
*W powietrzu, szronów latały dyamenty...*
*Chciał wejść, lecz kościół szczelnie był zamknięty,*
*Razem z litością — i z Bogiem.*

*Ach! gdyby Chrystus tu przebywał z nami,*
*Wiem, żeby chodził ciemnemi nocami*
*I zbierał głodnych, zziębniętych nędzarzy,*
*I tulił u swych ołtarzy.*

*Skostniałe dziecię szklanemi oczyma*
*Patrzyło w niebo, gdzie mleczna lśni droga:*
*Chciało się skarżyć, lecz matki już niema,*
*Mówiło zatem do Boga:*

*— „Ojcze nasz"... Jakto, o synu królewski!*
*Ojca twojego narody zwą Bogiem,*
*A ty, wypatrzony w ten pałac niebieski,*
*Konasz, bez dachu, za progiem?*

*„Ojcze nasz" mówisz:.. a czyim ty bratem?*
*Czy tych, co w zbytku umarłą tkwią duszą,*
*I głośnym, pełnym puharów wiwatem*
*Gasnące jęki twe głuszą?*

*„Ojcze nasz!"... Boże, czy słyszysz to dziecię,*
*Co usta z nędzy otwiera?*
*Ach! ono wierzy, żeś ojcem mu przecie;*
*I z wiarą taką — umiera.*

* * *

*Dziecię mówiło pacierz... mgła srebrzysta*
*Z tchnieniem ust jego lekko się rozwiała,*
*Z razu gorętsza i błękitno biała,*
*Później — dziwnie przeźroczysta.*

*Wreszcie znikła... wpół otwarte wargi*
*Przestały szeptać modlitwy i skargi...*
*Wobec ciemnego, milczącego gmachu,*
*Dziecię skonało bez dachu.*

JULJUSZ KADEN.

# DOSTATEK.

Raźny koniaczek i jędrne zakąseczki budziły ciekawość apetytów. Zwłaszcza koniaczek: na chwile przesłonił oczy, skocznem gorącem zahuczał w uszach i zdążył załaskotać pod kolanami, wyciągając na chłodne, białawe z głodu ręce napęczniałe miłym żarem sine żyłki.

Przerzucając się uprzejmą ceremonją słów, naoliwionych masłem sardynkowem, usiedli do stołu.

Rozmowę strzępili urywaną. To ją przeplatało dyskretne skubanie kromek chleba, to nagła radość przedobiedniej chwili, to znów zniecierpliwienie rozkapryszonego głodu.

Słońce sprzyjało, z zapałem, z entuzjazmem oświetlając cały stół. Mrużyły się oczy od blasku kieliszków, noży, widelców, widelczyków, łyżeczek i rozmaitego kryształu. Biesiadnicy patrzyli w słońce, lub wzajem na siebie, sącząc przez zwarte żuchwy uprzejmy śmiech cierpliwości.

Mimo celowo wytrzymany głód, mimo, wstrzemięźliwością niejedzenia od drugiego śniadania aż do obiadu zapracowany apetyt, (na drugie śniadanie tartinka z szyneczką pragską lub pasztetą z gęsich wątróbek i naparsteczek czerwonego wina) mimo ten apetyt, przy długiem oczekiwaniu na pokusę prostego chleba wystawiony nikt nie tracił właściwie dobrego humoru. Gdy bowiem już-już, ów dobry humor urywać się miał i zasępiać — podtrzymywały go widome wdzięki jadalni.

Ze ścian drzewem do połowy wyłożonych — drzewem, by pokojowi nadać pozór prostoty i prastarej, kmiecej skromności — wychylały swe ponętnie poderżnięte głowy, malowane cietrzewie i bażanty. Wypukłe oczy ptaków zdawały się dziękować za poniesioną śmierć i prosić się na rożen. Po drugiej stronie, głową w dół zwisłe zające, podbrzuszem lekko krwią zrumienionem, przypominały widzowi ciche zimowe pola i polowanka. Te krótkie ukłucia radości w sercu, gdy widzisz zwierze, twoją właśnie kulą ugodzone, w śmiesznych koperczakach konające. Podczas kanonady pisk pań, co patrzą zdaleka z sanek. Potem wspólne śniadanko, gdy poczciwi gajowi ogień rozniecą. Jedzenie soczystych marynat pośród cichutkiego lasu i omdlałej białości śniegu na sosnach. Ten szczery kmiotek nagonki, nowoczesnymi zwyczajami niezepsuty, nie za kilka groszy, a przez szacunek z całowaniem do rąk opiekuńczych się garnący. Ten spacer do sanek, to wsadzanie pań i to podsadzanie panienek — ta cała rozkoszna przyroda.

Na trzeciej ścianie malunek biało-szary. Jedzenie bardziej pokojowe, raczej pokutne, jedzenie cnotliwej rezygnacji i nabożnego posłuszeństwa, postne — ryby i rybki. Patrzą w dal sennemi oczyma i przypominają swem białem mięskiem tęsknotę do zagrobowego życia.

U samej góry niewinna panna, najsmaczniejszych uroczystości dewiza — wypchany biust sarenki. Futerko na niej, jak żywe, ciepłe i gładkie. Wprost czujesz w myśli jej udo starannie w ocłach przeróżnych bajcowane, stojące nieomal na granicy rozkładu. Takie kruchutkie, że ci się samo w ustach za jednem poruszeniem języka rozpływa.

Zaś zupy, jak nie widać, tak nie widać. Oglądaniem na pamięć znanych obrazów i rozmową, zresztą coraz wątlejszą maskują zebrani zniecierpliwieni.

Aż pani domu cała w śmietanie białych koronek, ręce jeszcze cokolwiek od słońca nadmorskich kąpieli spalone i chropawe, nagie do łokci — z chrupkiego kremu koronek, niby dwa wielkie biszkopty, otrząsa. I załamuje w omdleniu złości i ciężko ciska na stół. Twarz z żółtej stała się ceglastą. Jedną ręką niecierpliwie szczypie spoconą zmarszczkę podbródka, druga szuka przy nakryciu emaljowanego krążka z dzwonkiem elektrycznym, ustami zaś śmieje się do rozmowy. Już znalazła. Wpycha migdałowy paznokieć w emaljowany lazurem pępuszek krążka, naciska kostkę twardo, raz, drugi i trzeci. Poczem palec zbielały od naporu bierze na chwilę do ust, drugą ręką klepie obok siebie siedzącego męża i mówi: „Zaraz, zaraz podają.

Rzekłszy, uprzejmie patrzy przez siebie na kredens, którego służący znów porządnie nie okurzył. Bydlę — nie figas — przemknęło jej przez głowę.

Kredens stał na prawie całej połowie ściany, ogromny, oszklony, piętrowy, niby ołtarz. Obłaziła go dokoła plątanina rzeźbionych dyndełków, dziubków i faramuszek, wśród których zgięci, ciężarem półek jadła pełnych, przygnieceni aniołkowie, z uśmiechem wyglądali na pokój. Kredens ten stanowił chlubę gospodyni, bo chyba cudem jakimś odkryła go na licytacji mebli po ś. p. koledze męża. A co najważniejsze, wspaniały ten mebel, stylem krewnił się ze stołem, który, również ona sama, przez znajomość, okazyjnie kupiła od znanego adwokata (musiał natychmiast sprzedawać wszystko, bo mu wypadła nagła jazda do Ameryki...). Tacy sami jak ci z kredensu, aniołkowie, stanowili zakończenie czterech nóg stołu, jeno że tu siedzieli nie pod półkami, a każdy na długim, potwornym smoku. Robota była piękna, zręczna i droga, jeno że niepraktyczna. Bo aniołkowie tak właśnie mieli pochylone głowy, że siedzącemu za stołem, najwygodniej było na nich opierać stopy. Ta mimowolna nieostrożność tak wszystkim w końcu dokuczyła — zwłaszcza że startą rzeźbę wciąż od nowa werniksować wypadało — że, by się odzwyczaić, postanowili za każde kopnięcie aniołka rzucać coś do puszki na ubogich.

To też teraz, gdy pani domu, zniecierpliwiona, z posuwistym szumem jedwabiu uniosła pod stołem nogę i gniewnie oparła lakierek na pucułowatej twarzyczce aniołka, syn jej dwudziestoletni, poeta, wyciągnął skarbonkę ku matce. — Skarbonka ta stała zazwyczaj na środku stołu, tuż obok dwojaczków z solą i pieprzem. — Ale pani domu w lot zrozumiała niewłaściwą intencję syna. Spłoniona aż po czarny wałeczek sztucznego włosia nad czołem, głośno obie stopy na karbowanej główce rzeźby postawiła, raz, drugi i raz za razem — na złość.

Niech jaje nie będzie mądrzejsze od kurki — rzekła synowi, wsypując z dwojaczków do skarbonki dla ubogich sporą krztę pieprzu.

Tak dowcipnie to wypadło, tak się nikt tego nie spodziewał, nauczka była tak dosadna, że wszyscy wybuchnęli głośnym śmiechem. Zatrząsł się cały stół a po szkle i kryształach przeleciał jasny, zimny dreszcz.

Nareszcie drzwi otwarto na oścież. Wszedł prosty człowiek w białym krawacie, ogolony i w białych rękawiczkach. Na dużej tacy niósł wazę dymiącą, obok leżała pozłacana łyga.

Na zdobnie tłoczone, pięknie malowane niezabudki talerzy spłynęła złota, wonna, dymiąca ciecz. Przed każdym z jedzących zatrzepotało w naczyniu tłuste jeziorko.

Czekali, póki pani domu wszystkim rozdawszy, sama nie nabierze.

Choć jesień już oddawna słaniała się po świecie, tu, w złotej ciszy kwitła wiosenka. Lekko prowadząc łyżkę w pogoni za płynnem oczkiem tłuszczu, to młodą marchewkę tracałeś niedbale, toś spotkał blady, żyłkami przerośnięty, uduchowiony płatek seleru, to jeszcze płochliwe strzępy zielonej pietruszki pędziłeś srebrną krawędzią łyżki, to znów, bogactwem jarzyn zafrasowany, mijałeś ostrożnie młodociane główki szparagów. Tam i sam, w naiwnej igraszce trącały się wzajem świeżutkie ziarnka francuskiego groszku.

Fagas, wdzięcznym pani ruchem precz odegnany, stanął na warcie pod kredensem, latając pilnie spojrzeniem to po stole, to między jedzącymi, czy aby komuś czegoś nie trzeba. Twarz poważna skupiona, zeszmurowana godną lecz uległą pokorą, z zapobiegliwym wysiłkiem śledziła rozlewne, a w każdej chwili nowy rozkaz wyrazić mogące ruchy pani domu.

Płyn niesłychalnie nikł w coraz wydłużających się ustach, wiosenka jarzyn ginęła spiesznie. Zmienił się ton rozmowy. podczas gdy wyprężony fagas każdym ruchem za swą osobę przepraszający i fertyczna pokojówka zbierali głębokie talerze, — dyskutując pogodę, pozierano w okna, przesłonięte białemi firankami. Białe, koronkowe, niby przy kolanie, sutym pękiem rosety podpięte, podobne były do koronkowych, szerokich nogawic, przez które wybłyska na pokój słoneczna okrągłość zenitu.

Wspomnienie złotego rosołu przędło się w słowach ze złotem słońca. Złoto słońca, przylgnąwszy do pierścieni i broszek, pryskało w krótkich wypryskach na wszystkie strony. Cieniutkie pryzmaty tęcz przeciągały się lubieżnie w szklankach, lub na obfitym brzuchu karafki, w której jak zdrowotna jucha chlupotało bogobojnie gęste, czerwone wino. Rozpalił się rząd brylancików na grzebieniach pani domu. Uśmiechem świetlistym, ząbkiem jarzącym gryzły te brylanciki suchą falę jej włosów. Rajdosiła się ustawicznie na krześle, a szum jedwabiu, szept płótna, które opieszczało jej pełne nogi, dawał dokładne pojęcie o każdym ruchu ciała. Schylona przez stół tak, że kosmate jej ramię muskało farbowaną brodę sąsiada mecenasa, poprawiała córce rubinowy krzyżyk, wiszący na złotym łańcuszku we wgłębieniu, między cnotliwą wyniosłością niewinnie boczących się piersi.

Prosty człowiek w białych rękawicach wniósł nową potrawę. Muszelki z pierożkami z mięsem, zapiekane w buljonie z serem parmezańskim.

Mąż pani domu, ziemisty, spróchniały notarjusz świsnął przeciągle w bezdenne dziury czarnych zębów, chyżo uwiązał serwetę, tak, że dwa jej końce białymi rogami wychyliły się z ponad uszu. Zatarł trzeszczące ręce, w całe garście chwycił nóż i widelce i sztorcem postawiwszy, czekał. Zaczęły się ceregiele, bo pani domu, jako-że był cierpiący, nie chciała mu dać potrawy. Fagas, to pana, to pani rozkazem mylony, biegał pokornie od miejsca do miejsca. Córka i syn zaczęli błagać ojca, by nie jadł i nie szkodził sobie. Goście uśmiechali się pobłażliwie, póki pan domu, naresszcie przekonany, sam noża i widelca gwałtownie nie odrzucił.

Potem skulił się i krwawem, złem okiem skrzywdzonego mopsa wodząc po zebranych, dalej żuł swe sucharki.

Pani domu wonną poduszeczkę dłoni położyła mu na usta, mówiąc: „Kotuchna niech będzie rozsądny".

Zaś potrawa przemawiała prosto do serc. Te małe pierożki, niczem małe, smacznej łaskawości pełne. rasowe uszka hrabskie, skąpane w gęstej, krzepkiej, serdecznej wilgoci buljonu, miały na celu pokrzepienie spracowanego organizmu. I tu właśnie ocenić należało przewidującą wychowawczą mądrość kucharza. By krzepić nie nudząc, by nauczając bawić, sprószył pierożki zielonkawym szronem parmezanu. Zaś, by nauka nie szła osobno a praca osobno, by całkowicie zmięszać i przepleść pożytek z przyjemnością, zapieki, figlarz, społem, jedno i drugie. Nie wiesz jedząc, nie czujesz smakując, że gdy podniebienie przekorą sera ubawione, — organizm krzepi się zmełtem mięsiwkiem i buljonem.

Otóż panowie, tej właśnie strawy rozumem, cnotą i prostodusznem pochodzeniem podochoceni (cóż bowiem skromniejszego, wszak pierogi jada pierwszy lepszy chetka-pętelka) mówić jęli o sprawach, których opiekunami nauka i porządek społeczny ich ustanowiły.

Gdy mowa o pierogach — ciągnął ochrypłym od jedzenia głosem adwokat — gdy mowa o naszych swojskich obyczajowych zabytkach, o naszych swojskich potrawach poprostu, gdy mowa o naszym ludzie i chłopku, muszę państwu oświadczyć, że nie jest to takie proste. W każdym razie niepowołane żywioły niesłusznie na nas spychają jakąś tam winę. Czegóż chcecie? Jestem pożądnym człowiekiem, nikogo nie zabiłem, nie ograbiłem — to samo każdy z nas. Każdemu człowiekowi stoi życie otworem.

Tu, córka domu, niepostrzeżenie mówiącego pogładziła po udzie.

Ostatecznie koleje, poczty, telegrafy, cła, — wszyscy to opłacamy i wszyscy możemy z tego korzystać. Nie moja wina, że chłop z tego korzystać nie chce, czy nie umie. Czy uwierzą państwo, że połowa spraw, z jakiemi chłopi do mnie przyjeżdżają, to sprawy przedawnione, nie do wygrania. Tłomaczę im, mówię, przekładam, z jednej instancji przegrywają do drugiej a nie chcą słuchać. Bo mi nie wierzą. Więc się to prowadzi, wlecze, więc się chłop rujnuje, więc adwokat te parę groszy zarabia na co? Na to, by taki chłop powiedział wam, że się wreszcie na sądzie ostatecznym porachuje, a tu na ziemi, by się dalej uważał za oszukanego. Kto winien? Chłop. Niewiara w pana go gubi. Ostatecznie, wogóle tak, jak jego sprawa przegrana, tak i on sam — jest zupełnie przedawnioną rzeczą. To trudno, życie idzie naprzód, co ma wymrzeć niech umiera.

Słuchacze, niby ów smak pierożków posilnie dowcipny, zasłuchali się w słowa mecenasa, który chciał dalej mówić. Lecz pani domu wskazała mecenasowi na stojącego przy kredensie fagasa. Zmieniono rozmowę, by nie demoralizować wiernego sługi.

Dopiero przy następnem daniu — przy wołowej pieczeni szpikowanej słoninką w sosie tatarskim na dziko — objęła gawęda cały stół. Rozruszał się nawet ziemisty notarjusz, żądający skrobany bifsztyczek. Mówiło się o większych sferach, koncesjach, masach spadkowych, upadłościach, sekwestraturach, obligacjach, losach loterji św. Krzyża, wreszcie o transakcjach rolnych.

Ten i ów rozpinał ostrożnie pod stołem najniższe guziki kamizelki.

Brat pani domu różowy dentysta, jeden z najbardziej wziętych w mieście, przerwał to wszystko.

Moi kochani — rzekł — dość mam całej tej prozy w życiu. Zresztą kupujcie sobie wy swoje akcje, ja tam, wysoko się nie pnę, będę sobie po staremu nabywać obrazy.

Na których — zaskrzeczał spróchniały notarjusz — handlując, zarabiasz sto na sto.

A cóż to kogo obchodzi, czy i ile zarabiam? Wolałbyś, by się obrazów nie kupowało i by artyści poumierali z głodu. — Sławny dentysta rozgniewał się i oczy mu zamigotały zimnym blaskiem, niby niespożyte platynowe plomby.

— Zresztą — dodał — nie mógłbym żyć bez piękna i sztuki.

(Dokończenie nastąpi.)

# Rozmaitości

**Samobójstwo w kościele.** Pisma krakowskie donoszą: W sobotę przed południem w kościele OO. Redemptorystów w Podgórzu po skończonej sumie strzelił do siebie dwukrotnie 31-letni woźny magazynów tytoniowych Józef Flinta. Samobójca wysłuchał mszy św., przystąpił do spowiedzi i komunji św., poczem, po skończonem nabożeństwie wyszedł na środek kościoła i tu popełnił samobójstwo. Na huk strzałów powstała w kościele panika. Na miejscu czynu zjawiło się natychmiast pogotowie, które po opatrunku przewiozło Flintę w stanie beznadziejnym do szpitala. Flintę — jak stwierdzono — był człowiekiem umysłowo chorym. Na dzień przed samobójstwem Flinta zakupił kilkadziesiąt klepsydr, wydrukował na nich swoje nazwisko, oraz wyznaczył dzień swojego pogrzebu na sobotę na godz. 3 po południu. Kościół OO. Redemptorystów zamknięto.

* * *

**300 dentystów pod sądem.** Niebawem w Moskwie toczyć się będzie olbrzymi proces przeciw przeszło 300 dentystom, praktykującym w Rosji, w tej liczbie 9 w Łodzi. Akt oskarżenia, sformowany na 70 stronicach drukowanych, zarzuca im, że skorzystali ze sfałszowanych dyplomów dentystycznych. Olbrzymia „fabryka" tych dokumentów istniała we Smoleńsku, a dyrektorem jej był starszy lekarz powiatu smoleńskiego, Edward Rutkowski. Fabrykacja dyplomów prowadzona była „en gros", przyczem w różnych punktach państwach działali pośrednicy, trudniący się zawodowo sprzedażą, wreszcie trzecią grupę stanowią osoby, które, nabywszy owe dyplomy, trudziły się praktyką dentystyczną, nie mając w tym fachu odpowiedniego uzdolnienia. Ogółem afera ta obejmuje 400 osób, prokurator zaś ze swej strony powołał 300 świadków. Wszyscy oskarżeni znajdują się na wolnej stopie, po złożeniu poręki.

* * *

**Przyszłość lotnictwa.** Znany lotnik Graham White wypowiedział w tych dniach swoje zdanie o przyszłości lotnictwa. Zdaniem jego po 20 latach komunikacja napowietrzna pomiędzy Ameryką a Europą będzie zupełnie uregulowaną. Postępy techniki umożliwią budowę aeroplanów mających 300 metrów długości, zaopatrzonych w skrzydła żelazne i mogących unieść do 1000 podróżnych. Aparaty te zaopatrzone będą w motory o sile 175 tys. koni i będą mogły przebiec 300 klm. w godzinie. Czy to tylko nie fantazja?

# Nowiny demokrackie.

Co jo se miynia? Jo, Gustlik Beskuryjo, jezdem se s fachu gelegenhajcarbajter, skisz tegó znom sie na wszyckim: na grubach a werkach, na luft- i zejszyfach, na gazytach, na partyjach, na polityce, na posłach, na podatkch a cłach, na wojokach i pikelhaubach ibehaupt na modach i rostmaitych inkszych starościach a ostudach ludzkości tyż nieco. Tako mie towarzysz Mieczkoski (niech żyje sto lot i trocha) molestowoł, cobych tyż tak napisoł nieco o tym wszyckim, co nom wszyjskim dopolo. Jo tam pisać nie moga rychtycznie po polsku, bo mie w szpilszuli a we szkole pruski uczyli jino po fajnymu, a i to ech zaboczół, jeno tak pisza, jak rzóndza, a tak rzóndza jak mi dziób urós za pozwolyństwem pana Bilowa.

Bo to, wiedzóm, na wszycko musi być terazki przeca pozwolyństwo: hnet a hnet styknie od palagrafów, lepszy mieć je od ministra, jeszczy lepszy od regirunku z Opolo, ale nojlepszy 'od amcforsztejera albo od samygó pana blicablajtera w mieście a pana siandara na wsi, bo óni wszyjscy mogom wiynkszy, jak prawo. Kiej siandara co nie pozwoli, tak ani rusz nic nie można, a kiej pozwoli, tak i prawo na bok, aże inkszy nie nałoży sztrofu. Zaś kiej policaj na co pozwolom, to państwo a gmina nałożom podatek: Kiej ci pałeta puchnie od móndrości fortragu, to płać fergnigungssztajer; chcesz jeść, to płać podatek od żywności, a jeść musisz, bo inakszy twoje opiekuny nie mieliby wojoków, bo żeby nie to toby zakozali jeść; na opara a presówka tyż nie stykniesz, to, ażeby ci wyfedrować te czeskie, opodatkowali woda, chtóro gruby ściągnęły i tyn kansek cukru, co go ci baba włoży do opodatkowany kawy, kiej idziesz na szychta, a siarki tyż.

Wiync na policaja trza wdycki pomstować, gierycht nic nie pomoże, to sie weluje ku tymu posłów do lantaku albo sejmu. Naszych tam mało, to ich trza wiynkszy, coby regirunkowi a junkrom a inkszym burżujom pedzieli kuździymu co noleży, tak kiej dóm z boży łaski pisze se: „Suum cuique". Podatków nie trza kasować w lantaku, to sie robi w rajchstaku albo parlamyncie.

Sejm je trzyklasowy, a ta niesprawiedliwość a ta włosno chwała „rechcsztat Prajsen" to tak som na podoba, kiej pies s kotem. Tyn parlamynt ale to tyż je tako instytucyjo gizdosko. Ano, mieli filipa, kiej dowali konstytucyjo, a tyn gupi noród miyniół, iże mo już wszelko wolność. Ale i tam bydzie lepszy, kiej tyn modro-czorny blok rozkurzy sie w proch, a nasza czerwono gromadka wiynkszy zajmie stołków a łow.

Korfanty padoł na wiecu w Rajchshali, iże nasi byliby za cłami, kiejby mieli wiynkszość, ale tak to jino skisz agitacyji chyrtoniom przeciw cłom. Ale to sie wiy, iże Korfanty je kiepskim prorokiem, bo kiejby bół dobrym, toby nie bół przez 10 roków szlechtowoł Napiyralskiygó a nieskorzy do niegó poszoł w służba. Wiedziołby tyż, iże we pszczyńsko-rybnickim osmolom kandydatura jego kamrota grofa Mielżyńskiygó, chtóro on narzuco wyborcom, jak dowiedzom sie w tych bożych strónach, iże tyn isny panoczek mo kobiyta z inkszyj kupiół psa za pora tysióncow. Zaś dobry prorok nie bółby tyż zakłodoł „Poloka" ani „Sylwany" ani tam szklił, bo wyprorokowołby se zawczasu dobro piajta. Móg sie lepszy spamiyntać na ónygó trojaka „Kajś ta wloz?"

Pono terazki już Gody? Jo bym im wszyjskim coś doł na dzieciątko, ale som żyja kiej inwalid, co już sie nakłodo do kalyctwa, aby mu obrywano rynta stykła, bo dziada, choć młodygó, nicht nie weźmie do roboty. Okróm tegó tako drożyzna a biyda, że wszyckie partyje pańskie s ministrami nie mogli ji zabić swoimi mowami. To im tyż wszyjskim skisz tego jino życza od serca, żeby tyż roz tak ich w ta tłusto morda pynkła ta nieistniejonco biyda. A na te świynta, co je majom skasować do połowy, to mom tako kolynda:

Boże Narodzynie to świynto miłości,
Tu wyborcy wzajem łomióm sobie kości;
Bydom stare dzieje:
Chtóś trzeci sie śmieje.
Hej kolenda, kolenda!

Chtó za rzóndem stoi? Chtó przeciw rzóndowi
Takie hasło wydać — biada Berlinowi!
Ale kaj tam rozum?
Same: hura! bum, bum!
Hej kolenda, kolenda!

Kiejbyśmy tak wszyjscy za rynce sie wziyli,
I do gwiazdowa i k'sobie krzyknęli:
Wybow te norody
Z wiynzów a niezgody!
Hej kolenda, kolenda!

Gustlik Beskuryjo.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 51. Rok V.

# PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 30 grudnia 1911.

JULJUSZ KADEN.

# DOSTATEK.

(Dokończenie.)

Wniesiono deser, górę czekoladowego błotka, owoce, szlachetnie śmierdzące sery, kawę i likier.

Rozmową zstąpiła cokolwiek niżej, o wiele niżej, znacznie w dół.

Zaszkliły się oczy nad rozpłomienionymi dosytem policzkami.

Mówiło się o tem, kto z kim ostatnio zerwał, kto z kim nawiązał, że ta zdradza tamtego a tamten tą, że doktorową taką złapał mąż na gorącym uścisku z synem plenipotenta hrabiego, że baronowa z własnym lokajem — któremu płaci. Że żona fabrykanta już się z niczem nie liczy.

— Która żona, bo ma zdaje się trzy — przerwała pani domu.

Że się z niczem nie liczy i że ją szwagier zastał w kawalerskim mieszkaniu — nie — przerwał sobie adwokat — nie można tego przy paniach głośno —

Niech pan powie memu mężowi na ucho.

Że ją szwagier fabrykanta zastał w kawalerskiem mieszkaniu, wśród panów nu stole do kart, nagą, pieprz nie kobieta, — grali na niej w karty.

Pan domu prychnął dentyście niepowstrzymanym śmiechem na klapę surduta. Jednak śmiech przemienił się wkrótce w kaszel. Zadygotały cieńkie nogi notarjusza, brzuch się wypuczył, kaszlem wypchany z ust, zgiął się w rynienkę, drżącą bezwładnie na czarnym grzebieniu zębów.

Pani sfrunąwszy ku mężowi, przytrzymała mu skronie. Na szczęście atak nie nastąpił. Ze względu na duszność otworzono drzwi, pani ucałowała męża w czółko i wyprowadziła go na balkon.

Roztaczał się stąd piękny widok, przesycony srebrnoniebieską mgłą, usłany tam i sam próżnymi kłosami słonecznego blasku. U dołu, z poza złocisto-rudej gęstwy drzew, niby w odwiecznej glinie wypalona szkatuła, wznosił się starodawny uniwersytet. Przywiązywała go do ziemi wzorzysta stuła w dal wyciągniętych trawników. Pod łukiem bramy ostrym, wysoko wzniesionym, jakby pod brwiami w surowem zdziwieniu uniesionemi, przewijał się bez końca ciemny prąd, po naukę śpieszących młodzieńców. Grupy, grupki, złożone z kilku, z kilkunastu, lub kilkudziesięciu, migały wśród tła zieleni, niby ogromne, czarne, skrzętne szczypawki.

Dalej na lewo kudłaty nurt liściastej złocistości opływał dokoła wypukłą trumnę kościelnego dachu. Ostra wieża świątyni na podobieństwo uparcie zaciśniętego dzioba, przebijała na wylot czuprynę rudych drzew, tężąc swój przenikliwy szpic wysoko, ku pełnemu niewysłowionej słodyczy niebu.

Jeszcze dalej, za rzędem szarych domów-pudełek, które nieznany jakiś kułwa ścisnął zazdrośnie, jedno przy drugiem, na wzgórzu, ponad nieustannym pokłonem odwiecznych drzew, — rozsiadał się biodrem niespożytej mocy, — kamienistymi złomami — pamiętny gród minionej tężyzny i sławy. Na jego wieży najwyższej, jak roziskrzona kropla śmiertelnego żalu, zawisł, na sprawy niepomszczonej pamiątkę, ubabrany w złocie, ptak poniechanych lotów.

— Fuj! — krzyknęła nagle pani domu — fuj, a pfe! poczem, zwracając się w głąb pokoju, ku towarzystwu, które za stołem rzucało na siebie kulkami z chleba. — Moi kochani, chodźcie, chodźcie prędko, pokażę wam coś nadzwyczajnego.

Zaś, gdy przybiegli i wsparci na żelaznej fryzurze balkonu, w zmieszaniu pociągliwych ciepeł, fryzur kosmatością wzajem łechczący się, jedno drugiemu przez ramię wyglądnęli, wskazała im osobliwość.

Na dole, w przestrzebionych krzaczkach, trzy kroki od asfaltowego ręcznika, po którym młódź do uniwersytetu uczęszcza, poodal kościoła, niedaleko od grodu minionej tężyzny, siedziała stara żebraczka, zajęta wyłapywaniem robactwa ze spódnic i z za pazuchy. To odsłaniała szeroko poły kaftana, wnikając ręką pod żółte, lekkie, jak z marszczonej bibuły piersi, to gwałtownym napadem sięgała pod spódnice, to znów, roztropnymi paluchami tropiła wśród skołtunionej głowy. Potem zzuła trzewiki, i ściągnąwszy nieopowiedzianie brudne, stare, dziurawe skarpetki, oglądnęła sobie stopy, całe w węzłach i gruzłach.

Pani domu załamała swe białe ręce-biszkopty — „ach Boże, co za nędza pomyśleć, co za nędza! Jakaż okropność.

Spróchniały notarjusz, dostrzegłszy wreszcie staruszkę, wybuchł piskliwym niewstrzymanym śmiechem. Syn-poeta, z niesmakiem obrócił się na pięcie, przeszedł do pokoju i co żywo nalał sobie kieliszek likieru.

Tymczasem żebraczka podniosła z ziemi swe brudne tobołki i rozstawiwszy nogi — podczas gdy panienka wisnęła z balkonu do jadalni a panowie dyskretnie odwrócili głowy — zapomniała, że w publicznym znajduje się ogrodzie.

— Dzwońcie mi na służącego — jęknęła pani domu — ach, co za paskudztwo. Zeby mi, broń Boże, nie wpuszczał tego tatałajstwa do bramy. Przecież to zapchli odrazu cały dom. Powiedzcie, czy możliwe jest coś podobnego za granicą?! A przecież płacę, mają na domu opatrzność, przybita prawie że na klamce! Zeby też tu nigdy się człowiek nawet we własnym domu nie mógł czuć jak u siebie!

Wrócili do jadalni, zamykając szczelnie drzwi na balkon. Panowie porozchodzili się, mecenas grał obok w gabinecie z córką domu na głębokiej kanapie w oficerskiego winta. Syn-poeta wyszedł na miasto szukać w kawiarni nowego dreszczu, a pani domu, zmrożona, zdenerwowana, nie miała z kim jechać na przechadzkę.

Bo skąd ci też, serce, do głowy przyszło — wypraszał się notarjusz.

Smutna jestem — odpowiedziała mężowi. Ta jesień, dnie coraz krótsze, ta nędza, to wszystko rozstraja, nudzi mnie. Nie dobrze mi jakoś. Chciałabym odpocząć. Wszystko we mnie takie rozrelikane. Chodź, pojedziemy do moich umarłych.

Notarjusz drgnął.

Tam, na cmentarzu, — prosiła — tak dobrze, kojąco, cicho.

Zwiesił ziemistą twarz na gors koszuli.

Ale żona, z gryzącym sykiem jedwabiu, usiadłszy na poręczy krzesła, w bujnych koronkach zawisła nad nim, niby kupa zmydlonej piany.

No, kotuchna, no — prosiła rozkazująco, mnąc w ciepłych palcach zimne zmarszczki jego szyji.

Żebym był złośliwy — wykręcał się — powiedziałbym, że doprawdy jeździsz trawić na cmentarz.

Zamknęła mu usta oboma rękami.

Pojechali.

Między rzędem nagrobków, mijając roztkliwione nad urnami płaczu kamienne anioły, strzaskane kolumny, ciężkie, niby wieka skarbców, grobowe płyty, poprzez tragiczne straże cyprysów, pod złoto-listnym błogosławieństwem więdnących drzew, na szkarłatnym strumieniu liści — szła najprzód ona, za nią on.

Pod gumową auredą wysokich korków trzaskały wątłe gałąski, kruszyły się w proch liście, skręcone w chrupkie muszle i konchy.

Zatrzymując się przy napisach, posuwała się z przerwami od grobu do grobu, od chwili do chwili, susem, na krasnej ścieżce, w czarnym aksamicie płaszcza, — ogromna wrona.

Z tyłu wlókł się powoli spróchniały mąż. Patrząc z mimowolnym niesmakiem na pobłyskujące z pod uniesionej sukni pękate łydki żony, w zielonych, złotem haftowanych pończochach, że majdają z pod kremów spódnicy, jak ruchome butelki.

Szampańska kobieta — podobno..

Na jaki to jeszcze spacer zaprowadzą.

Twardy dreszcz owinął mu skronie.

Cliquot — — Venve?... *)

---

*) Tak zowie się jeden z najlepszych gatunków szampana. Venve znaczy po francusku wdowa.

Kamil Lemonnier.

# Z flamandzkiej wsi.*)

Dobrze przeszły święta Bożego Narodzenia. Zaraz po sumie jadło się z Piotrem Baerenem i Flanderesem kiełbasę i pieczeń wieprzową. Cała wieś biła wieprze. Kot zlizywał jeszcze w ścieku świeżą krew drobnemi muśnięciami języka. Wiatr przesycony był do wieczora kwaśną wonią smażonych kotletów i soków z czosnkiem. Po południu spotkali Kenkelaera.

Miał w butonierce gałązkę kwitnącej wiśni. Roza, jak wszystkie dziewczyny Flandrji, zerwała gałązkę, w dniu Zwiastowania; gałązka rozkwitła w samą noc Bożego Narodzenia; Kenkeler był szczęśliwy i popisywał się przed nimi całym zasobem swych dowcipów. Wychylili razem wiele kufli piwa. Drys Abeels bawił się, jak król. „Skorom już postanowił zostać prawdziwym pracującym człowiekiem, myślał, niechże spędzę wesoło czas, który mi zostaje."

Ale nazajutrz leżał w łóżku do południa. Wyciągał to jedną, to drugą nogę, szukając chłodnych miejsc w pościeli.

Wilgotny wiatr wwiewał poprzez komin mdły zapach sadzy. Drys słuchał, jak deszcz bije w okno. Myśli jego były zamglone, jak szyby. Nie śmiał otworzyć oczu szeroko; wiedział, że tam na krześle leży fartuch, który był sobie kupił, aby iść pracować do stolarza.

---

*) Flandrja stanowi północną część Belgji. Opowiadanie niniejsze jest wyjątkiem z powieści Lemonniera p. t. „Wiatr we młynach".

— Hm — rozważywszy dobrze, myślał nie jest to chwila dobra do rozpoczęcia pracy. Tylko sześć dni do końca roku. Lepiej zacząć z nowym rokiem. Ziewnął i z ulgą zawinął się w kołdry.

Nagle ostry głos przeciął ciszę schodów. Z dołu służąca krzyczy: że przyszedł jeden z drobnych fermerów.

Żeby to licho wzięło! — Nigdy go nie zostawią w spokoju. Co dzień to jeden, to drugi przychodzi. Wstał, krzywiąc się niechętnie; bose nogi zadudniły na podłodze; było mu przecież nieco wstyd, że spał tak długo.

Człowiek, który był przyszedł, stary małorolny dzierżawca, o śpiczastych kościach, czekał go w kuchni, siedząc przy ogniu, ze swemi zgrabiałemi odparzonemi rękoma na kolanach. Wytężonym wzrokiem patrzył na deszcz, który ciął drobne kwadratowe szyby. Oczy jego, oczy bez spojrzenia miały też barwę deszczu.

— O, Ton Bontje?

Właściwie nazywano go zawsze „boberkiem".

Chłop wstał, nie zdejmując czapki sterczącej na czubku jego siwej czaszki, między wystającemi uszami. Chłop flamandzki nigdy nie zdejmuje czapki.

Ze spuszczonymi oczyma jął siąpić słowo za słowem, wyłuszczając swą sprawę. Dzierżawił pole. Oto uprawiał je od lat trzydziestu ośmiu. Stało się owo pole z biegiem czasu, jak gdyby częścią jego ciała. Koń by się nad tem bardziej pokornie i gorliwie nie mordował. On i jego rodzina spływali krwią i potem, by móc zapłacić dzierżawę na każdego świętego Marcina. Nigdy nie widzieli pana, człeka bogatego, którego życie schodziło na wałęsaniu się po świecie. Kwity wydawał im notarjusz przy końcu roku.

Ton Boontje przerwał na chwilę i jego rzadkie siwe rzęsy drgały, poruszane ciężką troską bez łez. Ale siedział na brzegu krzesła prosto, przywykły do cierpienia. Drys słyszał, jak podchodziła mu do gardła rzerząca czkawka. Wreszcie ściszając głos jeszcze bardziej, opowiedział, że przyszli z zamku. Baron wykupił pole i oddawał je w dzierżawę jednemu z większych swych fermerów.

— I oto — mówił chłop — chciałbym wiedzieć, Drys Abeels, czy niema dla mnie żadnego prawa. Niema nic pisanego. Najstarsi ludzie nie pamiętają, żeby podpisywano dzierżawy. Trzydzieści osiem lat, Drys Abeels, użyźniałem to pole własnym tłuszczem. Wolałbym już, żeby mi żona umarła.

Drys wstrząsnął głową.

— Niema na to żadnej rady. Prawo jest po stronie pana. On ma wszystkie prawa.

Chłop siedział wciąż na brzegu krzesła, patrząc jak deszcz pada jak za oknem.

Miedziane naczynia kuchenne, błyszczące jak księżyce, odbijały nędzę biedaka, ugodzonego w samo życie, jak biedny wół na swym barłogu. Imbryk na kotlinie grał z cicha swoją piosenkę fletnią. Kanarek dziobał w klatce ziemię, pośpiewywał i znów rozłupywał ziarnko. Węgiel pod blachą szumiał i chrapał jak woda w śluzie. Drys zapragnął być jeszcze w łóżku i wyszukiwać chłodnych miejsc końcami stóp.

I powtarzał.

— Niema rady, Ton Boontje.

Chłop wstał. Ramiona jego uniosły się zmęczonym zrezygnowanym ruchem.

— Tak — no cóż ciężko przecie. Po trzydziestu ośmiu latach! Nie spodziewałem się, że i to nieszczęście przyjdzie za innemi.

Drys spłonął nagle gniewem. Tupnął nogą w podłogę i krzyknął cały czerwony w błyszczącą ciszę ślicznych rondli.

— Samiście tego chcieli, wy i wasi wszyscy. To wasza wina, wina was wszystkich, że was traktują jak bydło. I będzie tak samo z waszemi dziećmi, jeśli nie...

Ręką uczynił waleczny giest zburzenia.

— Panowie będą zawsze panami. Stoją nad nami tak wysoko — powiedział pokornie chłop.

Wyglądał rzeczywiście jak „boberek", gdy ogrodnik przechodzi mimo z siekaczem.

Drys dobrze wykarmiony chłopak o krwi młodego byczka, dyszał ciężko.

— Wszyscy tak mówią i siedzą bezczynnie. Nadstawiają gardła jak barany. Czyż człowiek nie jest równy człowiekowi?

Ton patrzył na niego swoim zgaszonem wzrokiem z pod twardych siwych rzęs, podobnych świńskiej szczecinie. Powoli kręcił głową.

— Wy możecie tak mówić, wy, człowiek bogaty — powiedział. — Wiadomo przecie, że jesteście synem handlarza lnu.

— — — I głos chłopa powoli cichł coraz bardziej.

— Chłop — to chłop. — —

Drys pomyślał o swym nowym fartuchu. Nie chciało mu się już podnosić głosu. Nędzny robotnik rolny, pilny pracownik, co przez tyle lat orał od zorzy porannej swe pole, miał prawo zaśmiać się, gdyby mu powiedział, że czeka nowego roku, by także jąć się pracy.

Odpowiedział łagodnie:

— Zasłużyłem na to, byście tak do mnie mówili. No tak, jestem zawsze tylko synem kupca lnu... A jednak mogę wam to powiedzieć, że nie postępujecie dobrze. Wierzcie mi, trza stanąć kołem jak krowy i rogi nastawić.

Szybki, posępny ognik zapłonął na twardej, chmurnej twarzy chłopa. Czarne pieńki zębów zgrzytnęły za wargami, zjedzonemi przez szkorbut. Nikt nie jest zdolny opowiedzieć, jaka błyskawica kosy przecięła na chwilę jego głuchą ciemność wewnętrzną. I nagle ramiona się ugięły, opadły jak fałdy i składy całunu.

— Lecz potem na nowo rozpoczęłoby się cierpienie — powiedział.

Milcząca odwieczna troska, ciężka bólem całej rasy utrudzonej i rezygnującej tu przed nim, skręciła Drysowi serce jak mdła woń kostnicy.

Raz jeszcze uczuł wielką pokorę przed tem stworzeniem ludzkiem, zużytem jak juczne bydlę i zgadzającem się na swój los. Ujął ręce chłopa i dzierżąc je krzepko w swoich, powiedział ze szczerym wyznaniem.

— Ton Boontje, wybaczcie mi, żem bogaty, ja to powiedzieliście przed chwilą. Tak, proszę, wybaczcie mi to. Nie uczyniłem bowiem ku temu nic, prócz tego żem się urodził. Urodziłem się synem kupca lnu. Życie nie jest sprawiedliwe.

Byli sami w ciepłej, smakowitej kuchni. — —

Imbryk wciąż poświstywał swoją piosenkę ironicznego flecika.

Strugi deszczu spływały wzdłuż szyb ciężko, jak krople rtęci. Kiedy „boberek" podnosił głowę albo wznosił rękę, miedziane kociołki na półce czyniły to samo.

Chciałoby się tam umrzeć spokojnie, z oczyma zwróconymi w tę stronę, gdzie szumiała ulewa. Ton Boontje patrzył teraz na swoje stopy, zwyczajem ludzi biednych. Nie wiadomo, czy myślał o tem, co przed chwilą powiedział Drys.

Mysim krokiem przeszła pokasłując matka Drysa. Szła z jadalnego pokoju, gdzie od pół godziny stygło śniadanie na obrusie.

Ujrzeli, jak postawiła na ogniu dzbanek kawy, który trzymała w ręku.

I powiedziała do chłopa:

— Nie trzeba tak długo zatrzymywać mojego syna. Muszę oto odgrzewać kawę. Pomyślcie o tem innym razem.

— — — — — — — — — — — — — —

Drys spuścił głowę, nie znajdując żadnej opowiedzi, ogarnięty pomimo woli radością życia, która nie pozwalała wypraszać starego Tona.

— Tak, tak — powiedział, śmiejąc się. Pomyślcie o tem innym razem.

Odprowadził go do drzwi. Zapach kawy unosił się jak wonny obłok. Przechodząc mimo pokoju spostrzegł Drys delikatne kawałki chleba z masłem, piętrzące się na stole obok filiżanki o złoconym brzegu.

— Ah — pomyślał — czemu to wszystko tak jest słodkie, tak dobre...

Tłomaczyła Marja Dąbrowska.

# Demokrackie nowiny.

I były Gody i poszły se. Baby sie nastarały a natropiły, te, co miały na kołocze to je spoliły, a te co nie miały, to do dzisiok chorujom na jankór. Dziecka sie ucieszyły te co miały s czegó i popsuły już wszycko, a te co nie miały to do dzisiok suszom ojcom pałety, tak jakoby ci byli tymu winni a nie biyda.

Ale kabza jeszcze wiynkszy prozdno jak piyrwy, a tu zbawiynio s ty biydy nijakiygó nie widno, jeszcze „Wciąż płyną ludu gorzkie łzy".

Tą gwiozdą betlejemską, co zbawiynie głosi, miała być pono odezwa wyborczo myszmaszu narodowo-niymieckiygó, chtóry postawiół nom na kandydata poselskiygó bergrata Williger. Ale te panoczki, co za nim pisali ta odezwa, padajom sami, iże Williger bydzie sprawiedliwy, okrom tego kajzertroj i głosować bydzie za flotom a wojokami a wszyjskimi podatkami. Pono tyż jino tak na błozny napisali se tako odezwa i dlo tych, co liwerują dlo fiskusa albo chcą mieć ptoszka na jakli; bo s robotników nicht tam nie bydzie welowoł na takiygó posła, som knapszaftsarct by takiymu liziłapie poświodczół, iże nie je zjimulandem jino osłem patentowanym. Jednakowo boli sie zaś pedzieć „faterlancloze gezelen", bo już pono uznali, iże tyn faterland nie kużdymu je futerland.

Ale Im padom, iże nie rychli bydzie lepszy na tym świecie, aże nie spełnią sie moje życzenia, chtóre ech ułożół na Nowy Rok wszyjskim Czytelnikom „Robotniczy", wszyjskim towarzyszom a zwolynnikom, a wrogom tyż.

Jest ich cało hołda, ale Im jino nieco napisza, bo wszyjskich nie spisołbych i na tym papiyrze, co gó gierychty spotrzebowały i jeszcze spotrzebujom, ażeby móndro policaja nauczyć prawa o zebraniach i stowarzyszyniach. Bo to je tak w tych najsprawiedliwszych Prusach, iże nieznajómość prawa nie chróni od kary. ale wszyjskim bejamtrom a osobliwie policajom je wolno nie znać prawa, a kiej im chtó powiy tako rzecz, to gó zaróski dadzom na sztacwalda o bejamtenbelajdygunek.

Wiync winszuja w tym Nowym Roku od serco a żółci:

Cały ludzkości: wiynkszy rozumu, a tym co go mają, wiynkszy sił.

Rzóndóm, coby sie nie dały rzóndzić przez rostmaite kanalje i kliki.

Parlamyntom a sejmom: lepszych wiynkszości a zaś wiynkszy władzy.

Duchowiyństu: coby miyni godało balachwostów a cygaństw, za to lepszy robiło, po chrystusowymu a nie po faryzeuszosku.

Uczónym: coby wyónaczyli takie prawa, coby ich nie mogli obyńść ani policaje, ani reksanwaldy, ani ci, co robiom dobro plajta, ani ci, co majom płacić renta.

Kapitalistom: coby przez cały rok żyli wedle tyj recepty móndryj, chtóro pado, iże człowiek (bo robotnik tyż pono człowiek) może przy tyj drożyznie żyć z dziesięciu ludźmi rodziny za piątka przez dziyń.

Kołom Polskim w Berlinie: coby nie pukły z głodu i zimy u wrót rzóndowych.

Elzasy, duńczyki a welfy niech nie idom za jich przykłodem, jino niech rzóndowi tyż pokożom hierajn.

Inkszym partyjom w rajchstaku życza, coby w tych nowych wyborach stały się mieńsze, osobliwie junkiyrskie a bogate niech sie mocno przesiejom. Jino nasza partyjo

niech zdobędzie hnetby połowa stołków w tym nowym parlamyncie.

Zaś tyn nowy rajchstak, co bydzie wybrany, niech sie nie bawi w piosek i woda, ani w dowanie piyniyndzy tam, kaj ich nie trza, niech sie nie bawi w tako polityka, coby bronić jino państwo, ale niech uprowio polityka tako, co broni obywateli; a s tych obywateli nie tych ónych jino, co sie sami za swoje piynióndze obróniom, jino osobliwie tych, co we swoi biydzie nojwiynkszy opieki potrzebujom.

Gustlik Beskuryjo.

## Rozmaitości

**Bandyci w Paryżu.** W Paryżu wydarzył się niezwykle śmiały napad bandycki.

Czterej bandyci ustawili się w samojeździe w pobliżu jednego z banków. Gdy wyszedł inkasent bankowy nazwiskiem Caby, jeden z bandytów dał do niego kilka strzałów, z których dwa go ugodziły.

Gdy Caby upadł na ziemię, bandyci zrabowali mu 15 000 franków w złocie i 200 000 w papierach wartościowych, a strzelając poza siebie do przechodniów, którzy chcieli samojazd zatrzymać, uszli.

Dotąd ich nie wyśledzono.

* * *

**Tarnowska w więzieniu.** O Tarnowskiej, skazanej jak wiadomo, przez sąd wenecki na 8 lat więzienia za namówienie Naumowa do zamordowania hr. Komarowskiego, donoszą z Medjolanu: Pierwszych kilka miesięcy po wydaniu wyroku przez sąd wenecki mogła Tarnowska pozostawać dalej w więzieniu śledczem i była traktowana jako więzień pozostający w śledztwie. Gdy jednak trybunał kasacyjny potwierdził wyrok wenecki, Tarnowska przewieziona została do zwykłego więzienia w Medjolanie i miała poznać całą surowość prawa. Jednakże, ponieważ oświadczyła, że jest ciężko chora, umieszczoną została w więzieniu celkowem, w którem dotąd przebywa i w którem otrzymuje własny wikt i jest starannie pielęgnowana. Od czasu do czasu odwiedza ją sławny genueński lekarz chorób kobiecych prof. Rossi, który już podczas rozprawy wydał opinję, że Tarnowska z powodu swej choroby jest nieodpowiedzialna za swe czyny i który teraz ciągle protestuje przeciw traktowaniu Tarnowskiej jak każdego zasądzonego więźnia. — W ostatnich czasach rozpoczęli krewni starania, aby uzyskać dla niej częściowe ułaskawienie w tym kierunku, by resztę kary pozwolono jej odbyć w jakiemś ustronnem miejscu w areszcie domowym. Taką ulgę otrzymała swego czasu Linda Murri, zasądzona przez sąd boloński za zamordowanie swego męża.

* * *

**Chleb z przed 1000 lat.** Docent uniwersytetu sztokholmskiego, dr Schnittger, wydobył przy poszukiwaniu w Getlandji, w okręgu Ljunga, chleb, pochodzący z czasów Wikingów. Niezwykłe wykopalisko poddano badaniu chemicznemu w instytucie farmaceutycznym w Sztokholmie. Stwierdzono, że chleb był wypieczony z kory sosnowej i mąki z grochu. Groch uprawiano tedy w Szwecji już w IX wieku po Chrystusie. W wykopaliskach z czasów przedhistorycznych kilkakrotnie natrafiano na bochenki chleba; znajdowano je w Egipcie i w Szwajcarji, rzadziej jednakże w krajach północnych. W r. 1898 odkrył dr. Schnittger przy odkopywaniu starego zamczyska w Bobergu bochen chleba, wypieczonego ze zboża. Orzeczono, że pochodzi z IV wieku po Chrystusie.

* * *

Львівська Бібліотека
АН УРСР

**Apoteoza awjatyki.** W tygodniu świątecznym w Wielkiej Operze paryskiej ma być dany poemat muzyczny „Ikar". Pośród nimf ukaże się olbrzymi orzeł Ikar i oznajmi o swoim zamiarze szturmowania do niebios. W drugim obrazie Ikar rozpościera skrzydła nad morzem. Trzeci obraz przedstawia umierającego Ikara w otoczeniu syren. Nad trupem jego rozpościera skrzydła gienjusz lotnictwa w pięknych wierszach rokując zwycięstwo awjatyki.

* * *

**Miasto dyamentowe.** W Transvaalu (w południowej Afryce) znajdują się najbogatsze w świecie kopalnie dyamentów. W ostatnim czasie w okręgu Bluemont nad brzegami rzeki Waal powstało w przeciągu miesiąca nowe miasta, złożone z samych namiotów, w których mieszka 12 000 ludzi. Przed kilku miesiącami znaleziono tam pierwszy dyament, co wywołało „gorączkę dyamentową" w całej południowej Afryce. Ze wszystkich stron napływały tłumy, a właściciele gruntów w przeciągu jednego dnia sprzedali 90 000 parcel. Znalazł się też przedsiębiorca, który wystawił hotel, a już w pierwszym miesiącu miał z niego 30 000 mk. dochodu.

* * *

**Skradziony wagon świń w Niemczech.** Zdawaćby się mogło, że to żart nie wczesny, tymczasem to smutna rzeczywistość. Handlarz bydła J. z pewnego miasteczka saskiego kupił na targowisku świńskiém w Friedrichsfelde pod Berlinem wagon świń i odesłał je zaraz do pewnego miasteczka w Bawarji. W Bitterfeldzie trzeba było wagon przesunąć do innego pociągu. Zanim jednak do tego doszło, nadszedł telegram z prośbą, aby wagon posłać nie do Bawarji, lecz do Lipska. Telegram zawierał wszystkie szczegóły, jak numer wagonu, liczbę i rzeczywiste nazwisko oddawcy. Wobec tego urzędnikom ani przez myśl nie przeszło, że może zachodzić oszustwo, wagon więc odszedł do Lipska. Tutaj przybył oszust na dworzec towarowy z pewnym komisjonerem na bydło i zaraz mu świnie sprzedał, odbierając za nie zaliczki 7000 mk. Resztę ceny kupna w wysokości 2000 mk. odesłał mu komisjoner pod podanym adresem do Prus Wschodnich. Tak więc oszust zdobył 9000 mk. W tym czasie właściwy oddawca oczekiwał z niecierpliwością w Bawarji nadejścia świń. Wreszcie dowiedział się ku swemu niemiłemu zdziwieniu, że telegraficznie nakazał świnie przewieść do Lipska. Tak się więc zagadka rozwiązała, ale po świniach nie było już śladu, jeszcze mniej po pieniądzach. Dotychczas po złodzieju niema śladu.

A więc takie oszustwo także w Niemczech możliwe, a nietylko w Rosji.

* * *

**Kolonista oszust.** Przed poznańską pierwszą izbą karną stawał w środę zeszłego tygodnia kolonista i sołtys Otton Molle z Połajewa jako oskarżony o oszustwo w urzędzie. Na jednym z posiedzeń gminy, na którem omawiano kwestje kasowe, oświadczył Molle jaks rendant, że w kasie znajduje się gotówki tylko 2 do 3 mk., wobec czego celem wysłania podatków powiatowych konieczną będzie repetycja. Oświadczenie to zafrasowało wielce ławników, którzy spowodowali rewizję kasy. Komisarz stwierdził też przy rewizji brak około 250 mk. Oskarżony na swe uniewinnienie przytaczał rozmaite argumenty, które atoli nie mogły sądu przekonać i kolonistę oszusta skazano na 3 miesiące więzienia.

* * *

**5 osób zabitych przez niedźwiedzia.** Z Kielc donoszą: Na przedstawieniu cyrkowym na placu targowym w Kielcach wydarzyła się straszna katastrofa. Jeden z dresowanych niedźwiedzi rozbił klatkę i wypadłszy na plac, zabił troje dzieci i 2 osoby dorosłe. Z trudem udało się go zastrzelić.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.